De II 1

OGÓLNEGO ZBIORU TOM 158.

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1880.

SERYA V.

Czerwiec.

TOM II. — ZESZYT VI.

WARSZAWA.

Skład i Eksp. Głów. w Księg. GEBETHNERA i WOLFFA.

Ukończono druk dnia 5 czerwca 1880 r.

TREŚĆ.

stron.

I. Przegląd najnowszéj literatury włoskiéj. Przez Juliana Adolfa Święcickiego. 365

II. Od szkolnéj ławy. Opowiadanie z lat 1798—1813. Przez Kajetana Kraszewskiego (Ciąg dalszy). 401

III. Tunel ś. Gotarda. Skreślił Władysław Mazurkiewicz (inżynier —z ośmiu drzeworytami). 429

IV. Książka jubileuszowa dla uczczenia pięćdziesięcioletniéj działalności literackiéj J. I. Kraszewskiego 452

V. Z dziedziny przyrodoznawstwa. Przez T. Skomorowskiego. 473

VI. Kronika paryzka, literacka, naukowa i artystyczna.—*Weselne gody Attyli*, dramat Henryka Bornier.—*Nowe studya słowiańskie*, p. Ludwika Léger: *Karol z Żerocina; Powieści pani Greville; Weda bulgarska.*—*Dwaj dyplomaci: hr. Atanazy Raczyński* i *Donozo Cortez*, *margrabia Veldegamas*, przez hr. d'Antioche.—Zmarły powieściopisarz i publicysta Edmund Duranty.—Poprzedniki Zoli.—Najnowsze dzieło o Miltonie.—Wystawa rzeźb i obrazów na Polach Elizejskich. . . . 498

VII. PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA KRAJOWEGO I ZAGRANICZNEGO.

Juliana Bartoszewicza: Historya pierwotna Polski. Tomów IV, 1878, 1879. Kraków. Tom I, str. 500; t. II, str. 522; t. III, str. 450; t. IV, str. 336. Przez A. Tyszyńskiego. 518

VIII. Wiadomości bieżące, literackie, naukowe i artystyczne. . . 541

De II. 1

PRZEGLĄD
NAJNOWSZÉJ LITERATURY WŁOSKIÉJ.

PRZEZ

Juliana Adolfa Święcickiego.

I.

Studya literackie.

Molmenti: *Ipolito Nievo* (Venezia, 1869 r.); *Impressioni letterarie* (Milano, 1875 r); *Nuovi impressioni letterarie* (Torino, 1879 r.); *Carlo Goldoni* (Venezia, 1880 r.).—E. Camerini: *Profili letterari* (Firenze, 1870 r.).—Luigi Capuana: *Il teatro italiano contemporaneo* (Palermo, 1872 r.); *Studii sulla letteratura contemporanea* (Milano, 1880 r.).—Fr. de Sanctis: *Saggi critici* (Neapoli, 1874 r.); *Nuovi Saggi critici* (Neapoli, 1879 r.); *Zola e l'Assomoir* (Milano, 1879 r.).—G. Poletto: *Amore e luce nella divina commedia* (Padova, 1876 r.).—F. Martini: *Heine e Zendrini* (Milano, 1879 r.).—Magrini: *Danton Francesco Grazzini* (Imola, 1879 r.).—Ar. Linaker: *L'odierno realismo in poesia* (Firenze, 1879 r.).—Bartoli: *Storia della letteratura italiana* (Firenze, 1879 r. 2 tomy).—Kantorowicz: *Storia della letteratura italiana* (Zurigo, 1879 r.).—Giovani de Castro: *Storia della poesia popolare milanese* (Milano, 1879 r.).—Cesare Cantu: *Italiani illustri* (Milano, 1879 r., 3 tomy); *Monti e l'eta che fu sua* (Milano, 1879 r.).—M. Tabarrini: *Gino Capponi* (Firenze, 1879 r.).—Angelo de Gubernatis: *Alessandro Manzoni* (Firenze, 1879 r.).—P. Prampolini: *Aleardo Aleardi* (Firenze, 1878 r.).—Corradino: *Poeti contemporanei* (Torino, 1879 r).—Carlo Simiani: *Bozzetti critici* (Milano, 1880 r.).—Dr. Sebast. Brigidi: *Vita di Giov. Batt. Niccolini* (Firenze, 1879 r.).

Wiadomo, że charakter wewnętrznego życia narodu, jego stosunków politycznych, religijnych i społecznych, odzwierciedla się i we współczesnych pomnikach umysłowych, które tym sposobem krystalizują niejako fizyognomią duchową danéj epoki. Kto tylko miał spo-

sobność wniknąć cokolwiek głębiéj w życie wewnętrzne, w organizm duchowy dzisiejszych społeczeństw europejskich, temu nietrudno dopatrzéć wspólności głównych rysów, charakteryzujących stan obecny cywilizowanego świata, podlegającego nowym prądom. Dążność do lekceważenia tego wszystkiego co się nie łączy ściśle z praktycznemi, materyalnemi celami życia i rozwinięcie spotęgowanéj działalności w tych kierunkach, które do urzeczywistnienia celów powyższych prowadzić mogą; skoncentrowanie wszystkich sił żywotnych w sprawie dobrobytu materyalnego i połączonych z nim wygód, prowadzące do coraz nowszych wynalazków: jedném słowem zwrot *realny* przeważa we wszystkich kierunkach pracy umysłów ludzkich.

Bardzo naturalnie, następstwem takiego stanu rzeczy jest bujny rozkwit nauk przyrodzonych i ścisłych, tak mocno z rozwojem dobrobytu materyalnego połączonych i, co za tém idzie, odpowiednia reakcya w literaturze i sztukach pięknych. Realizm życiowy odzwierciedla się w poezyi, romansach, w sztuce dramatycznéj i t. p., a że każdy kierunek ducha ludzkiego ma swych adeptów lub wrogów, ztąd wynika walka idealistów z realistami.

Wiadomo powszechnie, jak poważne rozmiary przyjęła ta walka w literaturze francuzkiéj, gdzie kierunek skrajnie realny wywalczył sobie szerokie koło zwolenników. W naszéj pracy *O literaturze hiszpańskiéj* wykazaliśmy czytelnikom *Biblioteki* w swoim czasie [1]), że Hiszpania nawet jest dziś areną walki tych żywiołów i że taki oklaskiwany Selles np. w dramacie *Nudo gordiano* i innych pracach scenicznych posuwa nagi realizm do krańca.

Literatura włoska nie stanowi pod tym względem wyjątku; realizm i tu się krzewi, wywołując tak zwaną *giovane letteratura* (młodą literaturę) i zaciętą walkę *veristów* z idealistami.

„Przyglądając się bacznie, bez uprzedzeń i podszeptu naszych indywidualnych namiętności, mówi jeden z krytyków włoskich, naturze wieku, w którym żyjemy i zuchwałym zdobyczom nauki współczesnéj, czyż śmielibyśmy utrzymywać, że możliwe są dzisiaj hymny spokojne Manzoniego, skeptycyzm nawskroś subjektywny Leopardiego, ballady Pratiego i sielanki Aleardiego; jedném słowem poezya dni ubiegłych? Nikt nie pogardza tą poezyą, która zdobyła cześć naszę jako wspaniały pomnik wieku minionego; rozumiecie to dobrze *minionego:* lecz dzisiaj inne zwycięztwa wywalczyć trzeba, za innemi wodzami pójść należy."

„Tymczasem nowe hasła wywołują straszliwy zamęt, mówi w inném miejscu ten sam pisarz. Z jednéj strony umysły przerażone nowemi ideami czepiają się konwulsyjnie (*aggrappano convulsi*), niby deszczki ocalenia, dawnych wyobrażeń; z drugiéj strony nie pojmujące

[1]) *Bibl. Warsz.*, maj, 1879 r.

żadnych wędzideł (*indocili di freno*) mózgi obalają wszystko i negują. Nic się nie twierdzi jeszcze... nic!... Być może, iż twierdzenie istnieje tu i owdzie w indywidualnéj świadomości uczonego, ale nie w sumieniu powszechném, które tak jest zachwiane w swych przekonaniach, że pokolenia młode, zanim jeszcze poznały nazwiska Büchnerów, Darwinów, Straussów, mienią się być ateuszami, niedowiarkami i materyalistami. Nikt dziś nie twierdzi, wszyscy wątpią; jesteśmy w tak zwanéj fazie przejściowéj" (*siamo in uno dei cosi detti periodi di transizione, piu frequenti che non si creda nella storia dei popoli*) [1]).

Pragnąc zapoznać czytelników, choć pobieżnie, z najświeższym ruchem umysłowym we Włoszech, rozpoczynamy ten przegląd od historyi literatury i od krytyki, poczém przejdziemy do powieściopisarstwa, liryki i dramatu, w przekonaniu, że przedmiotowy rozbiór ruchu umysłowego narodu, wywierającego niemały wpływ na doskonalenie się idei estetycznych, jest kwestyą bardzo żywotną danéj chwili i może wpłynąć korzystnie, jeśli nie na oświecenie, to przynajmniéj na zreflektowanie wielu umysłów i poza Alpami.

„Miłość i nadzieja, mówi Molmenti w swojém „wspomnieniu" o Hipolicie Nievo, stanowiły treść jego życia, któtkiego, lecz ozdobionego wieńcem cnót wszelkich, pełnego energii myśli i szlachetności serca. Był on powołany do wielkich przeznaczeń: miał ducha wrzącego najszlachetniejszemi uczuciami, a zahartowanego w niedoli i miłości. Jako pisarz, malował żywo i analizował trafnie serce ludzkie, a chociaż śmierć wczesna nie pozwoliła mu rozwinąć dostatecznie całéj potęgi twórczego ducha, i to jednakże co zostawił wystarcza do jego nieśmiertelności" (str. 14).

Hipolit Nievo urodził się w Padwie 1832 r. Pierwsze swoje prace poetyczne drukował w czasopiśmie: *Alchimista Friulano*, którego jednym z główniejszych redaktorów był Ciconi, oraz wydał dramat p. t.: *Galileo* i kilka komedyjek. W r. 1856 ogłosił dwa romanse: *Conte Pecoraio* i *Angelo di Bonta*. Pierwszy z nich osnuty został na kanwie historycznéj ostatnich lat Rzplitéj weneckiéj, drugi zaś jest rodzajem psychologicznego studyum, w którém Nievo maluje nadzwyczaj wiernie obyczaje ludu. Spędziwszy ostatnie chwile życia w szeregach Garibaldi'ego jako pułkownik, utonął w roku 1861 w morzu, w czasie rozbicia okrętu. Dopiéro po śmierci Nieva wyszły bardzo udatne jego poezye p. t.: *Le reminiscenze d'un anima*, *Le lucciole* (Błyskotki), *Amori garibaldini*, odznaczające się nadzwyczajną prostotą i szczerością uczucia. Do pośmiertnych poezyj tego pisarza należy jeszcze *Ultimo Esilio* (Ostatni wygnaniec), „jedna z najpiękniejszych poezyj satyrycznych w literaturze włoskiéj" i romans historyczny: *Confessioni d'un Ottuagenario*, najznakomitsze dzieło Nieva.

[1]) Conrado Corradino: *Poeti contemporanei*, Torino, 1879 r., p. 12.

Przedstawił on w téj pracy okres upadku rzeczypospolitéj weneckiéj, oraz idee wolności głoszone przez rewolucyą francuzką, kładąc nacisk na trzy epizody pamiętne nowéj ery włoskiéj: upadek oligarchii weneckiéj, oblężenię Genui i rewolucyą neapolitańską w r. 1820, a przy końcu II tomu nie zapomina téż autor i o obronie Rzymu przez Garibaldego. Gruntowna znajomość epoki, sąd sprawiedliwy o ludziach i sprawach tego czasu, psychologiczną prawda w odtworzeniu charakterów romansu, a wreszcie artyzm szlachetny w zewnętrznéj szacie: oto zalety, które Hipolit Nievo uwydatnił w ostatniéj pracy.

To „wspomnienie" o Hip. Nievo przedrukował Molmenti znacznie skrócone w swoich *Wrażeniach literackich*, które się doczekały dwu wydań. „Co za rozkoszny tomik, mówi o téj książce jeden z francuzkich krytyków. Ten mały zbiorek pisarzów włoskich, wybranych z takim artyzmem, będzie dla mnie antologią bardzo przyjemną. Molmenti wykazał w téj pracy talent krytyczny i to uczucie, tę miłość piękna, która tworzy artystę."

Nadzwyczaj sympatyczne to dziełko, obejmujące sylwetki 30 pisarzów, rozpoczął autor od Godfreda Mamelego, którego hymn patryotyczny był marsylianką włochów w 1848 roku. W 22 roku życia zginął Mameli od kuli francuzkiéj, a pamięć młodzieńca tak jest drogą dla włochów, jak imię Körnera dla niemców lub Petöfiego dla madżiarów. Utworów tego poety doskonałemi nazwać niemożna, lecz są one wiernem zwierciadłem nadziei oraz szczytnych uniesień téj epoki.

Takim samym bohaterem-poetą był Teobald Ciconi, walczący pod sztandarem narodowym w 1848 r. Pierwsze jego poezye, grzeszące sentymentalizmem sztucznym i konwencyonalnością były przyjęte chłodno. Gdy jednak długie i poważne studya wzbogaciły umysł Ciconiego, a idea niepodległości kraju oddziaływała na niego bardzo żywo, wstąpiła muza tego poety na podnioślejsze tory. Poświęciwszy się dramatowi, napisał dwie tragedye: *Speronella* i *Eleonora di Toledo*, a w r. 1858 wystawił w Udine komedyą: *Le pecorelle smarrite* (Owieczki zbłąkane).

Po tych pierwszych próbach wystawił z powodzeniem: *Troppo tardi* (Zapóźno), *I Garibaldini*, *Le mosche bianche* (Białe muchy), *La rivincita* (Odegrana), *La statua di carne* (Posąg z ciała).

Niespodziewana śmierć matki podkopała zdrowie Ciconiego, który w skutek tego wypadku popadł naprzód w melancholią nieuleczoną, a ta sprowadziła wreszcie i śmierć przedwczesną. W r. 1863, po wystawieniu ostatniéj jego komedyi: *La figlia unica* (Córka jedyna), przyjętéj z ogromnym entuzyazmem, Ciconi wstąpił do grobu. Duch tego pisarza przebywał zawsze w sferach najszlachetniejszych, a jedyną nienawiścią jego była nienawiść niemców i wszystkiego co obce.

Ludwik Mercantini należy do tegoż samego cyklu poetów, dla których swoboda ziemi ojczystéj była hasłem całego życia. Wpośród powszechnego materyalizmu zachował w duszy do śmierci najgorętszy

entuzyazm młodości. Miał więcéj serca niż geniuszu; człowiek stoi w nim wyżéj od poety. Dzielność ducha nie opuszczała go nigdy, a na wygnaniu nawet robak zwątpienia daleki był od jego serca; pełen nadziei, wierzył zawsze w jaśniejszą przyszłość swéj ziemi, i niby skromny Tyrteusz pisał swe pieśni pełne ognia, które wiodły współziomków jego do zwycięztwa. W 1848 r. bohaterscy obrońcy Wenecyi umierali z hymnem Mercantiniego na ustach; to też poezye tego poety żyć będą nie jako dzieła sztuki, lecz jako skarbnice wspomnień o niedolach i tryumfach włoskiego ludu.

Józef Torelli (Ciro d'Arco), serdeczny przyjaciel Maksyma Azeglio, to charakter nawskroś uczciwy; to pisarz, który słuchał tylko głosu sumienia, miał wstręt do wszelkiéj hipokryzyi i nazywał rzeczy po imieniu. Jak wszyscy ludzie prawi posiadał tę energią spokojną, która imponuje; żył na dworze czas jakiś, ale nie został dworakiem. Dał on sobą szlachetny przykład téj demokracyi, która jest powszechną w kodeksach i dziennikach, lecz rzadką w sercach (str. 35). Jego *paesaggi* przypominają *Reisebilder* Heinego. Mniéj są udatne szkice literackie (Profili) tego pisarza, lecz największą mają wartość *Wspomnienia polityczne* (Ricordi politici), wydane po śmierci Torellego, a odznaczające się śmiałością sądu i trzeźwością przekonań.

Daléj przedstawia Molmenti sylwetkę E. Cameriniego, o którym niżéj mówić będziemy; Biniego, zmarłego wcześnie poety melancholika, który „zacząwszy od zwątpienia o wszystkiém, skończył na rozpaczy" (str. 47); za nim idzie Tarchetti († 1869), poeta, wykarmiony na Heinem i Leopardim, lecz oryginalny przytém i bardzo płodny, w ciągu bowiem lat czterech napisał siedm większych utworów (*Paolina, Szlachetne szaleństwo, Historya ideału, Opowiadania fantastyczno-humorystyczne* i inne); Franciszek Dall'Ongaro, poeta i dramaturg, który pierwszy usiłował oswobodzić dramat włoski z więzów klasycyzmu i wprowadzał na scenę nie abstrakcye zimne, lecz ludzi umiejących czuć, kochać i cierpiéć (str. 56). Jednakże prace dramatyczne tego pisarza (*Il Fornaretto, l'Ultimo barone, la Bianca Capello il Guglielmo Tell* i inne) nie stoją na wysokości sztuki.

Józef Rovani „był jednym z pierwszych, którzy stworzyli silną reakcyą przeciwko starym tradycyom akademickim i skarlałemu epikureizmowi arkadyjskiemu." Rozpoczął on działalność literacką od krytyki, zajmował się historyą (*Młodość J. Cezara*) i napisał romans historyczny, malujący trzy generacye medyolańskie. Jestto najlepsze obok *Confessioni* Nieva dzieło, jakie się w literaturze włoskiéj tego rodzaju ukazało po Manzonim. Pośmiertną pracą Rovaniego jest: *Le tre arti* (Trzy sztuki) studya krytyczne.

Po Tomaszu Locatellim, który całą swoję działalność zogniskował w *Gazecie weneckiéj*, Molmenti kreśli bardzo sympatyczną postać Laury (Beatrice Oliva) Mancini, zmarłéj w 1869 r. poetki, która „poświęciła serce dla ogniska rodzinnego, a talent dla ojczyzny" (str. 73).

Na sześć lat przed śmiercią poetki, muza Laury zwracała się i ku naszéj ziemi, stwarzając pieśni natchnione współczuciem i miłością... Juliusz Carcano pisał dramaty (*Spartaco*), nowelle, poezye i trzy romanse (*Damiano, Angiola Maria* i *Gabrio e Camilla*), a prace tego pisarza grzeszą „czułostkowością chorobliwą i ckliwą słodyczą, pozbawioną prawdziwego uczucia. Carcano ma serce, lecz uderza ono spokojnie, wolno, monotonnie; pisarz ten żyje w świecie własnéj fantazyi, gdzie wszystko jest słodkie i przecudne. W utworach jego nie spotkasz odwiecznego kontrastu dodatnich i ujemnych żywiołów... wszystko tam pachnie.... wodą różaną" (str. 114). Antoni Caccianiga, przez czas jakiś dziennikarz, późniéj urzędnik, następnie osiadły na wsi samotnik, jest pisarzem modnym we Włoszech. W utworach swoich *Vita campestre* (Życie wiejskie), *Bozzetti economici* (Szkice ekonomiczne), *Dolce far niente*, *Il bacio delle contessa Savina* sądzi społeczeństwo swoje, nie odczuwając rządzących niém namiętności. Jest on zanadto moralistą, wygłaszającym zbyt często jeremiady nad upadkiem kraju oraz nędzą czasów i ludzi; lecz zaletą jego jest pewna jasność myśli i pewien szczery zapał przekonań, nie pokrywanych żadną maską.

Jan Verga, autor kilku romansów (*Eva, Storia di una capinera, Nedda, Eros*) wprowadził pierwszy do literatury włoskiéj ten rodzaj, który we Francyi rozpoczęty z *Panią Bovary* Flaubert'a, spotęgowany został w *Teresie Raquin* Zoli. Verga posiada żywość, śmiałość, bystrość spostrzegawczą i upodobanie w potwornościach francuzkich pisarzów; lecz nie posiada ich sztuki odtwarzania życia wewnętrznego naszych czasów i nie umie tworzyć charakterów drgających prawdą i życiem własném; zanadto roztrzela się on w szczegółach (str. 143).

Leopold Marenco, dramaturg, jest na wskroś idealistą. Oczom jego przedstawia się wszystko w jasnych barwach; wszystkie kreacye jego ducha są idealnie piękne (*Celeste, Marcelina, Adelasia*); lecz świat tego pisarza niéma z rzeczywistością nic wspólnego. Marenco w złe nie wierzy, a jeżeli spostrzega je czasem, natychmiast sobie oczy dłonią zakrywa. Dramaty jego, odznaczające się pięknością formy, grzeszą zupełnym brakiem walk namiętności, i dlatego, warunkom prawdziwego dramatu zadość nie czynią. Achiles Toreli, inny współczesny dramaturg, przewyższa Marenca umiejętnością rozwijania na scenie namiętności z taką prawdą psychologiczną, że widzowie zdają się miéć przed oczyma nie deski teatralne, lecz najdotykalniejszą rzeczywistość. Rozpoczął on zawód pisarski bardzo młodo: *Onesti* (Uczciwi), *Verita* (Prawda), *Missione della donna* (Powołanie kobiety) i jest obecnie jednym z najpopularniejszych pisarzów włoskich w dziale dramatycznym.

Głośne imię na polu dramatopisarstwa historycznego, zdobył sobie Józef Revere, przez jednych nad zasługę wynoszony, przez innych niesprawiedliwie krytykowany. Dramaty jego (*Palleschi e gli Arabiati*,

Lorenzino de Medici, *La Congiurą di Bedmar*, *Sampiero da Bastelica*) warunków scenicznych nie posiadają.

Ludwik Settembrini, autor *Historyi literatury włoskiéj*, jest podług Molmentiego, raczéj pełnym ognia i siły sympatycznym artystą, aniżeli krytykiem; a goniący za jaskrawością efektów poeta Boito (*Mefistofele*, *Re Orso*) jest raczéj dziwacznym niż oryginalnym, więcéj kapryśnym niż nowym.

Najwięcéj miejsca poświęcił Molmenti zamykającemu książkę jego T. D. Guerraziemu. Pisarz ten ur. 1804 w Liworno. W 22 roku życia, napisał pierwszy utwór *Bataglia di Benevento*, w którym z poza mniéj lub więcéj przezroczystéj zasłony przebija gorący protest przeciwko wszelkiemu uciskowi. W 1831 roku był uwięziony we Florencyi za dążności rewolucyjne, a w 1834 r. wysłany na wygnanie na Elbę, gdzie napisał: *Izabella Orsini* i *Assedio di Firenze* (Oblężenie Florencyi). Powróciwszy do kraju, ogłosił dwie wyborne nowele: *Veronica Cybo* i *Nuovi Tartufi*. Po rewolucyi, skoro wprowadzony został do Toskanii rząd konstytucyjny, Guerrazi był wraz z Montanellim i Mazzonim wybrany deputatem do władzy, a po ustanowieniu republiki—jéj dyktatorem. Po upadku tego rządu, skazany został na całe życie na wygnanie. W czasie pobytu na Korsyce napisał: *Beatrice Cenci*, *La Torre di Nonza*, *Fides* i inne opowiadania mniejszéj wagi. Uciekłszy z Korsyki do Genui, oddał się tu całkowicie literaturze, a owocem jego pracy były romanse: *Il mement'homo*, *Il buco nel muro* (Dziura w murze), *Il Plutarco italiano*, *L'assedio di Roma*, *L'asino* (Osioł) i wiele innych.

Doczekawszy się jeszcze wyswobodzenia swego kraju, wrócił do ojczyzny i umarł rażony apopleksyą w 1873 r. Wszystkie prace wyszłe z pod pióra Guerraziego nie jednakową mają wartość, lecz wszystkie noszą na sobie piętno oryginalności, szczególniéj pod względem stylu, przepełnionego jużto nadzwyczajną śmiałością zwrotów, jużto pogodą klasyczną, już téż nadmiarem hyperboli.

Powodzenie *Wrażeń literackich* w kraju i za granicą, skłoniło Molmentiego do ogłoszenia w roku zeszłym nowéj seryi szkiców p. t.: *Nuovi impressioni letterraie*. Długi szereg pisarzów rozpoczyna Kajetan Trezza, poważny autor *Lukrecyusza* i *Krytyki współczesnéj*, dwu dzieł krytycznych, które świadczą, że Trezza łączył w sobie powagę myśliciela z fantazyą poety, wszystkie warunki uczonego z właściwościami artysty—i że pierś jego oddycha miłością prawdy i wiarą w postęp ludzki. Piotr Salvatico był poważnym historykiem sztuki, Kamil Boito trzyma berło krytyki estetycznéj; Cezar Betteloni, to poeta niedoli, którego *odie canzoni*, *ballate e leggende* oddychają melancholijnym smutkiem, świadcząc o głębokim rozstroju ducha poety; Józef Capparozzo, kapłan-poeta, którego utwory zebrane przez jego uczniów, odznaczają się obok wytworności retorycznéj i przesadnéj prostoty, jasnością wyrażenia, czystością obrazów, delikatnością uczucia i analizy. Forma ich jest uroczysta i klasyczna. Nie mógł on zrozumiéć wielkie-

go i wrzącego ruchu nowych idei, które zaczęły śród nowych pokoleń kiełkować, i złączony duchem z przeszłością, naśladownictwem obcém pogardzał. Niekiedy czuć w jego piersiach rozdźwięk między człowiekiem a kapłanem; widać, że drgnień swego serca okiełznać nie mógł, że kochał, ukrywając swoje uczucie i że łagodził porywy serdeczne nadzieją przyszłego życia. Jasny umysł Caparozza najwymowniéj się uwydatnił w *Bajkach* i *Epigramatach*, gdzie wyższa obserwacya łączy się z subtelnością a przejrzystą ironią. Antoni Peretti jest poetą natchnionym i narodowym. Ojczyzna i sztuka były dwoma zbratanemi ideałami jego życia. „W słowie „ojczyzna," widział spółgłoski, sztuka miała z niemi połączyć samogłoski" (66). Utwory jego z jednéj strony przemawiały do ducha, z drugiéj budziły myśl narodową. Poemat Perettiego liryczny: *I Marchesi d'Ivrea*, którego treścią oswobodzenie Italii, jest jednym z najpiękniejszych klejnotów współczesnéj poezyi włoskiéj. Peretti umarł w 1858. r.

Mario Rapisardi był pierwszym w gronie młodych poetów dzisiejszych, który wziął rozbrat z idealnością chorobliwą i głosił zdobycze nowéj myśli, kusząc się o rozwiązanie zagadek bytu. Rozpoczął on od wiary, przeszedł fazę wątpienia i skończył na zupełnym skeptycyzmie. W *Palingenesi* kreśli historyą idei chrześciańskiéj, w *Ricordanze* odtwarza wewnętrzne walki ducha a w *Il Lucifero* uosabia myśl ludzką z całą jéj wielkością i nędzą; jest on jednocześnie rewolucyonistą, kochankiem, artystą, mówcą, erudytem i krytykiem; krytykiem nadewszystko. *Lucifero* jest poematem ateistycznym, jest satyrą we wspaniałéj, bogatéj szacie poezyi. Nie można się zgodzić z Rapisardim jako filozofem, trzeba w nim jednak uwielbiać poetę (str. 83).

Andrzéj Maffei położył wielkie zasługi jako tłómacz. W przekładach jego włosi nauczyli się kochać Byrona, Goethego, Schillera, Miltona i Moore'a.

Tomasz Gherardi dei Testa, toskańczyk, zajmował się czas jakiś adwokaturą we Florencyi, lecz wcześnie porzucił ten zawód dla literatury, do któréj miał szczególne upodobanie od lat dziecięcych. Działalność swoję w tym kierunku rozpoczął od satyry ludowéj, lecz dopiéro napisanie komedyi (*Una folle ambizione*) wprowadziło talent jego na właściwą drogę. Pierwszy ten utwór przyjęła krytyka chłostą a publiczność oklaskami. I nie zawiodła się na swoim sądzie. W ciągu roku napisał Gherardi trzy nowe komedye: *Un momento di errore* (Chwila błędu), *Un viaggio per istruzione* (Podróż dla nauki), *Vanita e Capriccio* (Próżność i kaprys). Były to sztuki wesołe, pełne prostoty i uczucia, w których autor maluje obrazy obyczajów z prawdą, finezyą i wdziękiem. W przeciwstawieństwie do istniejących przed nim dramatów konwulsyjnych i tragedyi z trąbami, bębnami i marszem tryumfalnym, utwory Gherardiego, wnoszące na scenę prawdę sytuacyi, naturalność charakterów, bogactwo i dowcip dyalogu a wreszcie zdrową wesołość, na wskroś młodzieńczą, były nowością arcy przyjemną (150). Powszechnie oklaskiwany, tworzył coraz nowe sztuki, jużto na tle społecz-

ném (*Moda e la famiglia*, *Scimmie* (Małpy), *Vera blasone* (Prawdziwy herb) *Vita nuova;* już też na politycznem *Coscienze elastiche* (Sumienia elastyczne), zajmując w dramatopisarstwie włoskiém wybitne stanowisko.

Skromniejszéj skali komedyopisarzem jest Gallina. Treść jego utworów pospolita, węzeł dramatyczny bardzo prosty; lecz malowidło obyczajów prawdziwe a sceny pełne ruchliwości i życia. Do lepszych jego komedyj należą: *Le barufe in famegia* i *La famegia in rovina.* Z wielkim talentem napisane są również: *Tuti in campagna*, *Nissun va al monte*, *La chitara del papa.* Są to wszystko utwory, któreby ludowemi nazwać można.

Rafael Giovagnoli, powieściopisarz historyczny (*Spartaco*, *Opimia*, *Plautilla*); Ferdynand Martini, dziennikarz i krytyk (*Morale e il teatro*); Ollindo Guerrini, poeta liryczny; Wiktor August Vecchi, powieściopisarz morski (*Saggi storico-marinareschi*, *Bozzeti di mare*) i kilku innych mniejszéj wagi pisarzów uzupełniają książkę Molmentiego.

Podawszy w najkrótszém streszczeniu zawartość *Wrażeń literackich* tego pisarza, przyznajemy otwarcie, że dać ono może zaledwie słabe wyobrażenie o niepospolitym talencie Molmentiego, uderzającym na każdéj stronicy jego książek. Tyle tam bystrości krytycznéj, tyle subtelnéj analizy, takie bogactwo erudycyi, taka bezstronność sądu, taki beznamiętny spokój w przedstawieniu najsprzeczniejszych kierunków i dążeń, a wreszcie taki wdzięk i poetyczność zewnętrznéj szaty *Wrażeń* Molmentiego, że się ich nie czyta, lecz pochłania.

Nie tak korzystnie przedstawia się ostatnia praca Molmentiego p. t.: *Carlo Goldoni* (studyum), jakkolwiek jestto także bardzo interesująca książka. Autor scharakteryzował na wstępie życie wewnętrzne Italii, a w szczególności Wenecyi w XVIII w. Hypokryzya jest hasłem wszystkich. Szczególna mieszanina dewocyi i galanteryi, pedantyzmu i występku—oto stan moralny włochów téj epoki, uzewnętrzniony i w sztuce. Akademie zamienione zostały w teatry ćwiczeń retorycznych, pełnych śmieszności. W poezyi nikt nie szukał myśli, lecz frazesów; uczucie nie odgrywało żadnéj roli, gdyż serc zbrakło. Jestto najsmutniejsza karta w historyi literatury włoskiéj. Nie było ani ojczyzny, ani godności, ani uczuć (str. 5).

Na takiémto tle epoki występuje Karol Goldoni, słynny komedyopisarz, ur. w Wenecyi w roku 1707. Szczegóły o życiu tego pisarza czerpią historycy głównie z autobiografii (*Memoires*) Goldoniego, z humorem i prawdą skreślonéj. Zajęcia do jakich go rodzice skłaniali, nie licowały z upodobaniem młodego Karola do sceny, która taki miała dlań urok, że będąc jeszcze niedorostkiem, opuścił szkołę i z przejezdném towarzystwem dramatyczném wybrał się w podróż. Nauka medycyny a późniéj prawa, szła leniwo, gdyż umysł Goldoniego gubił się ustawicznie w rozmyślaniach nad przyszłością teatru narodowego, na którym włochom zbywało. W tymto czasie powstały dwa pierw-

sze utwory komiczne poety: *Il buon padre* i *Cantatrice* (Spiewaczka). Dopiéro po śmierci ojca wziął się szczerze do pracy i został adwokatem. Skłonność jednak do teatru nie opuszczała go nigdy; wyczekując na klientów napisał tragedyą liryczną *Amalasunta*. Następnie wystawił w Medyolanie poraz pierwszy sztukę komiczną: *Gondoliere veneziano* a potém w Wenecyi tragedyą: *Belisario* „pełną niedorzeczności, pozbawioną formy, treści i charakterów" (str. 29). Za *Belizaryuszem* poszły: *Rosmunda*, *L'Assemblea letteraria*, *Don Giovanni* i *Griselda*, tak że wreszcie Goldoni porzucił zupełnie adwokaturę a oddał się wyłącznie teatrowi. Wkrótce potém połączył się węzłem małżeńskim z osobą, która mu była do śmierci najdroższą i najwierniejszą towarzyszką. Napisawszy jeszcze tragedyą *Enrico re di Sicilia* i *Rinaldo di Montalbano* tragikomedyą, porzucił niezgodny z naturą swojego talentu kierunek dramatyczny i wszedł na odpowiedniejsze dla siebie pole codziennéj rzeczywistości, którą z czasem miał tak po mistrzowsku malować. Na scenie włoskiéj panowały wówczas wyłącznie tak zwane komedye *a braccia* i *a soggeto*, w których poeta podawał tylko fabułę i wątek akcyi, podczas gdy aktorowi zostawiona została swoboda dyalogu. Goldoni postanowił zreformować teatr przez wprowadzenie na jego deski komedyi charakterów, a pierwszym krokiem w tym kierunku była sztuka *Momolo Cortesan*, przyjęta przez publikę nader życzliwie. Żeby jednak nie wprowadzać reformy zbyt obcesowo, napisał wkrótce, dla „ułagodzenia zwolenników dawnéj szkoły": *Le trentadue disgrazie d'Arlecchino* i *La notte critica* (Noc krytyczna), dwie komedye *a soggetto*.

Tymczasem Goldoni został mianowany konsulem genueńskim w Wenecyi i na tém stanowisku będąc, napisał trzy komedye charakterów: *La Bancarotta* e la *Donna di garbo*. Lecz gdy zajęcia dyplomatyczne nie przypadły do smaku poecie, zrzekł się ich prędko i wrócił do zajęć adwokackich w Pizie. Na szczęście jednak poznawszy w Liworno dyrektora trupy komicznéj, opuścił powtórnie adwokaturę, a idąc za popędem miłości dla sztuki, wyjechał do Wenecyi wraz z trupą, z któréj przewodnikiem zrobił układ, że wyłącznie dla niego poświęci swoję komedyopisarską działalność. Pierwsza komedya, jaką po tym układzie wystawił dyrektor Medebac na scenie S. Angelo, a mianowicie: *Tognetto bella grazia*, przeszła bez wrażenia, lecz dwie następne *Uomo prudente* i *Due gemelli veneziani* (Bliźniacy), zapewniły Goldoniemu zwycięztwo. Pierwszemi jednak utworami tego pisarza, pozbawionemi przesady i fałszów życiowych, a płynącemi wprost z serca, były dwie sztuki: *Vedova scaltra* (Wdowa przebiegła) i *Puta onorata*, sponiewierane przez krytyków, a oklaskiwane gorąco przez publiczność. Ta zjadliwość krytyki i zawiść nędznych pismaków spotęgowały jeszcze twórczość Goldoniego, który téż w ciągu roku wystawił szesnaście komedyj: *Il teatro comico*, *Il caffe*, *L'Adulatore* (Pochlebca), *L'Antiquario*, *Il cavaliere di buon gusto*, *La moglie prudente* (Żona roztropna), *L'incognita* (Nieznajoma), *Il padre rivale di suo figlio* i kilka innych.

Taka nadmierna praca nabawiła poetę choroby, z któréj wyszedłszy, napisał w krótkim czasie: *Il padre di famiglia*, *l'Avocato veneziano*, *La figlia obbediente* (Córka posłuszna), *La serva amorosa*, *Poeta fanatico* i kilka innych. Rozstawszy się z Medebakiem, zawarł korzystniejszy układ z właścicielem teatru San Luca i wystawił zaraz na téj scenie trzy komedye: *Sposa persiana*, *Ircana e Julfa* i *Ircana a Ispahan*, do których fantastyczna historya Persyi dostarczyła mu wątku. Następnie po małéj przerwie, spowodowanéj powtórną chorobą, wystawił dziesięć nowych komedyi, jak: *La Villegiatura*, *La Donna forte*, *Terenzio*, *La Peruviana* i inne. Wezwany w r. 1756 przez infanta Filipa do Parmy, wystawił na teatrze książęcym trzy opery komiczne: *La buona figlia*, *Il festino* i *Viaggiatori ridicoli* (Podróżnicy śmieszni), wszystkie z muzyką najlepszych kompozytorów. Po powrocie do Wenecyi, znalazł jeszcze niechętniéj uprzedzonych nieprzyjaciół swoich, a w szczególności partyą Gozziego, co znów podwoiło działalność poety, któréj owocem były komedye: *Tasso*, *L'egoista*, *Rusteghi*, *La vedova spiritosa* i kilka innych. Odwiedziwszy Rzym, który zrobił na nim silne wrażenie, po powrocie do Wenecyi wystawił: *Gli innamorati* (Zakochani), *La casa nova* i kilka innych. W tym czasie ofiarowano Goldoniemu urząd superintendenta widowisk królewskich w Paryżu w teatrze włoskim. Przed wyjazdem (1761) wystawił jeszcze kilka nowych komedyi, z których ostatnią była: *Una delle ultime sere di carnevale* (Jeden z ostatnich wieczorów karnawałowych), sztuka alegoryczna, będąca ostatniém pożegnaniem ojczyzny. Teatr trząsł się wtedy od oklasków, a okrzyki: *Buon viaggio!* (Szczęśliwéj podróży!) *Felice ritorno!* (Szczęśliwego powrotu!), tak wzruszyły Goldoniego, że płakał, jak dziecko. Dwie nowe sztuki, jakie wystawił w Paryżu: *Amor paterno* i *La serva riconoscente* (Sługa wdzięczna), nie podobały się, ale zato Goldoni zdobył sobie publiczność paryzką wystawieniem sztuki francuzkiéj: *Bourru bienfaisant* (1771); Ludwik XVI dał poecie 6000 franków gratyfikacyi i 1200 fr. pensyi rocznéj. W 80-tym roku życia złożył Goldoni pióro komedyopisarskie, a zabrał się do pisania *Pamiętników* po francuzku. W dwa lata późniéj wybuchła rewolucya i biédny starzec straciwszy pensyą, znalazł się nagle wraz z żoną w okropnéj nędzy, która téż skróciła dni jego życia. Umarł 6 lutego 1793 r., a nazajutrz po jego śmierci—dziwna ironia losu—konwencya narodowa, przyznała Goldoniemu całą pensyą, z któréj już tylko wdowa staruszka korzystać miała. Tak żył „Molier włoski," którego najmilszemi gwiazdami w życiu były: sztuka i Wenecya. Charakter Goldoniego szlachetny, lecz słaby. Miał on więcéj skromności, niż dumy szlachetnéj. O ile dzielnie walczył ze sztuką pełną maniery, o tyle brakło mu odwagi do walczenia z hypokryzyą wieku. Był on pokorny i uniżony wobec możnych, uprzejmy z niższemi, pochlebstw nie żądał, zazdrością się brzydził, a jakkolwiek żył czas jakiś na dworze, dworakiem z interesu nie został i honorem nigdy nie frymarczył, pomimo, że w owym czasie tyl-

ko pochlebcy żyli wygodnie. Wpośród zepsucia powszechnego umiał być zawsze szlachetnym.

Z komedyi Goldoniego wieje filozofia zdrowego rozsądku, którą czerpał z ludu, przypatrując się jego zwyczajom, jego duchowi. Nikt nieumiał lepiéj od niego wniknąć we wnętrze serca swych współziomków, to téż w komedyach swoich odzwierciedlił ze świeżością nieśmiertelną całość życia weneckiego ludu. Wprawdzie napisawszy przeszło 150 prac dramatycznych, niémiał czasu i cierpliwości do ich należytego wykończenia; ale téż z drugiéj strony utwory jego mają zapewnioną nieśmiertelność, dzięki świeżości wrażeń, prawdzie uczucia i bystrości analitycznéj, jedném słowem temu wszystkiemu, co w utworze scenicznym stanowi życie. Goldoni jest niższy od Molier'a pod względem głębokości pomysłów, piękności formy, a nadewszystko tego subtelnego dowcipu, który u komika weneckiego przechodzi nieraz w trywialność. Muza Molier'a, to margrabianka, piękna, wyperfumowana i elegancka; muza Goldoniego, to wieśniaczka powabna, o licach, jak krew z mlekiem. Pierwszy odznacza się uczuciem delikatném, subtelném, a głębokiém; drugi prostém, szczerém, lecz powierzchownėm. Autor *Tartuffe'a* posiada umysł wykształcony; sztuka Goldoniego nie jest wcale owocem studyów, a zasady jego ograniczały się do prostych obserwacyi zdrowego rozsądku. Francuz jest filozofem i artystą, włoch artystą tylko. Jeden rozmyśla i zastanawia się poważnie; drugi obserwuje wybornie i śmieje się. Goldoni nie był jednak fotografem tylko, jak chcą niektórzy, bo umiał nadawać kreacyom swoim życie i barwę, czego i niektórym postaciom Molierowskim brakuje. W każdym razie jest on twórcą nowożytnego teatru włoskiego.

Studyum Molmentiego o Goldonim, napisane z właściwym temu pisarzowi talentem i smakiem, czyta się wprawdzie bardzo przyjemnie, ale warunkom prawdziwie krytycznéj pracy nie czyni zadość. Wszystkie sądy autora czytelnik *in verba magistri* przyjąć musi, gdyż Molmenti nie poddał analizie żadnéj z prac Goldoniego i nie przytoczył ani jednéj sceny, któraby taki, lub inny sąd krytyka usprawiedliwić mogła. Strona biograficzno-bibliograficzna tego studyum jest w stosunku do całości zaobszerna i tym sposobem na rozbiór gruntowniejszy, przynajmniéj pierwszorzędnych komedyi „Menandra" włoskiego (bo i tak nazywają Goldoniego) miejsca niestało.

. . . . . .

Z rozrzuconych po pismach peryodycznych artykułów E. Camerini-ego, powstała książka bardzo ciekawa p. t.: *Profile literackie*, zawierająca szereg studyów o najrozmaitszych pisarzach. „Artykuły te, mówi Roux [1]), są nietylko sympatyczne i rozumne; lecz oprócz tego zawierają mnóstwo wskazówek i anegdot literackich, z których historya skorzysta. Zarzucają mu wprawdzie, nie bez słuszności, optymizm zbyte-

[1]) *Histoire de la litterature contemporaine en Italie.* Paris, 1874, pag. 339.

czny, lecz wada ta jest po większéj części pozorna. Zpoza grzeczności przegląda zawsze prawdziwa myśl autora, który tą rozsądną taktyką chrześciańską zdobył sobie sympatyą powszechną, nie zdradziwszy interesów sztuki."

Camerini rozpoczyna dzieło swoje od historyografów i polityków (Mikołaj Machiavelli, Juliusz Michelet, Fr. Guizot, Raffael della Torre, Aureliusz Bianchi Giovini), przechodzi następnie do ziemiopisów (Antoni Bresciani) i reformatorów na polu religijnych studyów (Wincenty Gioberti); charakteryzuje greckiego naturalistę (Paweł Lioy) i amerykańskiego metafizyka (R. W. Emerson) i wykazuje zasługi tłómaczów Arystotelesa (Bonghi i Ricci). W dalszym ciągu rozbiera stanowisko panegiryków i biografów (Fr. Arago, St. Canovai, Daw. Brewster, W. C. Henry, Waddington Kastus, Dom. Berti, Johnson, Macaulay); analizuje twórczość romansopisarzów angielskich (Troloppe, Bulwer, Douglas Jerrold) i nowelistów (Bersezio, Poe, Gerard de Nerwal); oraz poddaje krytycznéj analizie duchowe płody wielkich poetów świata (Milton e l'Italia, Goethe e gli Amori, Wiktor Hugo, Heine).

Niektóre z powyższych artykułów pisane są gruntownie i krytycznie, inne z pośpiechem; ze wszystkich jednak przebija szlachetna niepodległość myśli, niekłamany zapał uczucia i dbałość o elegancyą formy. Camerini wydał jeszcze dwa tomy: *Profilów literackich*, których jednak nie znamy. Śmierć zaskoczyła dzielnego pisarza pośród gorączkowéj pracy, a sława, która mu nigdy nie towarzyszyła za życia, oddała mu dopiéro honory swoje na mogile...

. . . . . .

W podobnyż sposób, jak powyższa książka, powstała praca: *O teatrze współczesnym we Włoszech.* Autor jéj, Ludwik Capuana, poddaje we wstępie sądowi czytelników, czy dobrze zrobił, że artykuły luźne, drukowane w różnym czasie po dziennikach (*La Nazione* i *Perseveranza*), przedrukował razem w jednéj książce. Naturalnie, prasa to Moloch, w którego wnętrzu ginie wszystko... bez wieści, a książka przechodzi do potomnych; ale to, co jest nawet dobre w dzienniku, nie zawsze kwalifikuje się do książki. Felietony teatralne, pisane pod wrażeniem chwili i po większéj części dalekie od wszelkiéj gruntowności, najmniéj właśnie nadają się do przedruku, a z takich właśnie felietonów składa się książka Capuany. Owszem, powiedziałbym, że tego rodzaju książki przynoszą niekiedy więcéj szkody, niż pożytku; rozpowszechniają bowiem i utrwalają o pewnych autorach sądy powierzchowne i doraźne, oparte w danéj chwili na jednéj tylko sztuce. Capuana wszakże jest pisarzem poważnym, a nadewszystko trzeźwym. Nie pozwala on sobie żadnych iluzyi i patrzy na literaturę dramatyczną włoską bez najmniejszych uprzedzeń, bez okularów próżności narodowéj. Otwarcie przedstawia swoim współziomkom opłakany stan teatru we Włoszech, wykazując, że nie ilość scenicznych elukubracyi, lecz jakość dzieł sztuki, stanowi literaturę dramatyczną. Rozbierając rozprawę Trevisaniego: *O stanie literatury dramatycznéj włoskiéj w ostatniém*

dwudziestoleciu [1]), powiada bez ogródki, że „teatru my (włosi) nie posiadamy właściwie, lecz tylko pisarzów i ich utwory" (str. 7). „Dopóki autorowie nasi, mówi cokolwiek daléj, biorąc się do pisania komedyi, nie będą pamiętali o tém, żeby one były dziełami sztuki, dopóty wszelkie ich wysiłki odrodzenia literatury dramatycznéj okażą się zawsze bezskuteczne."

W następnym artykule: *Autori et attori*, Capuana przedstawia bardzo ciekawy obraz stosunków materyalnych świata aktorskiego do dramatopisarzów włoskich, *ex re* ogłoszenia prawa o własności literackiéj, które wywołało między aktorami straszną burzę. Byli oni zgorszeni, że pisarze dramatyczni ośmielili się żądać odpowiedniejszego wynagrodzenia za swoje prace, kiedy jakaś np. setka franków powinnaby im wystarczać przy tym zaszczycie, że ich dzieła są przedstawiane. „Prawa autorskie, wołają aktorowie, to zupełny upadek sztuki. Ileż towarzystw zginąć musi... Autorowie dramatyczni są względem nas niewdzięczni; my im nic nie zawdzięczamy, oni nam wszystko. W rezultacie jeżeli już mamy płacić, to Augier'om, Sardou, Dumasom i t. d., a nie autorom naszym, których sztuki są bez wartości i jeżeli mają jaką zasługę, to tę chyba jedynie, że... są włoskie" (str 16). „Sztuka dramatyczna, konkluduje Capuana, dopóty wśród nas nię zakwitnie, dopóki jéj kapłani nie będą mieli pewności dostatecznego wynagrodzenia, któreby ich zrobiło niezależnemi i pozwoliło oddać się sztuce całém sercem, obecnie bowiem los komedyopisarzów włoskich jest najnędzniejszy w Europie."

Pierwsza połowa książki, o któréj mowa, składa się z felietonów, traktujących o pojedyńczych utworach scenicznych włoskich pisarzów, druga zaś zawiera kilkanaście recenzyi o sztukach obcych, a tylko na scenie włoskiéj przedstawianych (*Les idées d. M-me Aubray*, Dumasa syna; *Paul Forestier*, Augier'a; *Nos bon villageois*, Sardou; *Le lion amoureux*, Ponsard'a i inne). Są to wszystko krótkie artykuły, pisane z poczuciem artystyczném i znajomością przedmiotu.

Tenże sam autor wydał przed dwoma miesiącami pierwszą seryą swoich *Studyów o literaturze współczesnéj*. W przedmowie Capuana, idąc za de Sanctisem, taką daje swoję *profesio fidei* jako krytyk: „forma nie jest *apryorystyczną*, nie jest czémś, coby istniało samo w sobie w różnicy od treści, jakby ozdoba, albo strój, albo dodatek do niéj: a więc z treści, działającéj w umyśle artysty powstają tak treść jak forma. Lecz jeżeli treść piękna, poważna, pozostała w umyśle artysty bezczynna, albo słaba lub zniszczona, jeżeli nie miała dostatecznéj siły twórczéj i objawia się w formie niedołężna, fałszywa lub skażona, cóżby znaczyło opiewać jéj pochwały?... W tym wypadku treść może być ważna sama w sobie, lecz jako literatura i jako sztuka jest bez wartości. I przeciwnie, treść może być niemoralna, niedorzeczna,

[1]) *Delle condizioni della letteratura drammatica italiana nel ultimo ventennio, relazione storica.* Firenze, 1867.

fałszywa, lub próżna; lecz w pewnym czasie i w pewnych okolicznościach działała potężnie w mózgu artysty i stała się formą, któréj treść jest nieśmiertelna!..." To powiedziawszy, Capuana rozbiera dzieło ostatnie Micheleta (*Le Banquet,* papiers intimes) jednę z tych zwyczajnych utopii serca, tak łatwych dla charakteru, będącego mieszaniną jasnowidzenia i halucynacyi;" daje sylwetkę Teofila Gautier, poety, krytyka, romansopisarza francuzkiego, a nadewszystko człowieka; kreśli działalność Leonarda Vigo, poety sycylijskiego, zmarłego w ostatnich czasach i zbieracza pieśni ludowych. W dalszym ciągu analizuje, dość płytko, utwory Zoli; daje wyborną charakterystykę Jana Pratiego, Rapisardiego, Aleardiego i kilku innych poetów; poświęca kilka kartek historycznéj pani Roland i kończy tę galeryą obrazków sprawozdaniem ze *Szkiców krytycznych* Canellego.

W ogólności *Studya* Capuany pokazują pisarza wytrawnego, a w porównaniu ze znaną nam poprzednią pracą tego autora, stanowią postęp tak pod względem głębokości sądu, jak i formy.

. . . . . .

Mamy przed sobą dwa grube tomy prac Franciszka de Sanctis, byłego ministra za Wiktora Emanuela, jednego z najpoważniejszych pisarzów włoskich w obecnéj chwili. Są to *Szkice krytyczne* (w trzeciém wydaniu, str. 528) i *Nowe szkice krytyczne* (w drugiém wydaniu, str. 527). W obu tych pracach wykazał autor dowody niepospolitéj erudycyi, tak w dziedzinie literatury ojczystéj jak i obcéj, obok niezaprzeczonéj głębokości sądu krytycznego. Czegoż bowiem niéma w tych dwu tomach. Gruntowna i z wielkim talentem napisana analiza dzieł dramatycznych Szyllera; sprawozdanie z *Kursu literatury dramatycznéj* Saint-Marc Girardin'a; rozbiór *Lukrecyi* Ponsard'a; krytyka *Pamiętników historycznych i literackich* Villemain'a; paralela literacka między Schopenhauerem a Leopardim; recenzya *Historyi literatury włoskiéj* Cezara Cantu; ocena *Historyi XIX wieku* Gerwinusa; studya nad treścią *Boskiéj komedyi* Danta i *Uwagi krytyczne nad Wiktorem Hugo.* W drugim tomie zastanawia się nad niektóremi postaciami z *Boskiéj komedyi;* daje bardzo gruntowną i wyczerpującą charakterystykę Pariniego „pierwszego poety nowożytnéj literatury włoskiéj;" wykłada o krytyce Petrarki; kreśli sylwetkę Maksyma d'Azeglio; ocenia liryczno-epiczny świat Manzoniego; daje obszerne (359—407) i ciekawe studyum nad Zolą; przedstawia działalność Thiers'a; wykazuje pierwiastki filozoficznego realizmu i analizuje liryki Leopardiego.

De Sanctis nie rozsiewa w krytykach swoich frazesów, lecz myśli, umie postaciom swoim nadawać szczególną wypukłość i życie, a daleki jest zawsze zarówno od przesadzonych uwielbień jak i stronnego poniżania. Walczy on ze wszystkiém co jest niepewne, chwiejne i mgliste, chociaż sprawiedliwość przyznać każe, iż niekiedy sam wpada w te wady, które u innych potępia. Każe on nienawidzieć sentymentalizmu, idealnych wybryków i marzeń nad nieskończonością, które obezsilają ducha; lecz sam pocichu wielbi idealizm, daje się unosić porywom swoich marzeń i lubi przebywać w świecie abstrakcyi.

Wobec idei, wobec prostego faktu zatrzymuje się nieraz, wytwarza sofizmaty, kręci się w kole niepotrzebnych subtelności, a przeszedłszy najrozmaitsze perypecye myślowe, rozprawia na kilku stronicach o tém, co dałoby się powiedzieć w jednym okresie. Lecz kiedy umysłu swego nie rozprasza pośród drobiazgów, kiedy żadna myśl uboczna nie zakłóca jego mózgu, widać na kartach jego książek rozum krytyka, umysł otwarty dla wszelkich wrażeń artystycznych, szlachetną śmiałość poety i smak subtelnie wykształcony [1]). Żeby dać czytelnikom pojęcie dokładniejsze o charakterze krytyk de Sanctis'a, zatrzymamy się cokolwiek dłużéj nad jego rozprawą o Zoli (*Zola i L'Assomoir*), wygłoszoną w Neapolu 15 czerwca 1879 r. na posiedzeniu Towarzystwa filologicznego a obsypaną grzmotami oklasków. Wobec najróżnorodniejszych sądów o autorze *Nany*, mniemam, że słówko krytyczne takiego krytyka jak de Sanctis, wypowiedziane o utworze, które miało podobno 46 wydań, będzie i nader ciekawe i na czasie.

Zola jest malarzem zgnilizny paryzkiéj, a opowiadanie jego (*L'Assomoir*) to nie tylko historya Gervasyi, ale historya społeczna. Jeżeli chcecie mieć o tém pojęcie, patrzcie na Neapol. Alboż tam niéma legowisk strasznych, w których wegetują społem ojcowie, dzieci, matki, bez powietrza, bez światła, wpośród wiekuistego brudu, łachmanami okryci, obszarpani, skrofuliczni i pogrążeni w anemii? Nikt z nas nie miał odwagi pójść tam i studyować tę nędzę; obrzydzenie trzyma nas zdala od nór takich. Otóż tę odwagę miał Zola w Paryżu; poszedł do nich, aby studyować proletaryat w najpodlejszych szynkach, w najohydniejszych domach. Zola przebywał lata w atmosferze tego świata zgniłego; patrzył na występek zblizka, czuł woń zgnilizny i nosa od niéj nie odwracał; słyszał wyrazy wstrętne i uszu sobie nie zatykał. Chodził tam z umysłem profesora anatomii, który ćwiertuje trupy ludzkie dla szukania w nich wiedzy, z miłością ś. Franciszka Salezego, lub Alfonsa Casanowy, którzy przepędzili życie pośród łotrów, nazywając ich swemi braćmi. Zola powoduje się miłością wiedzy i sztuki, a miłość jest nieustraszona i wstręt zwycięża. Chodził tam z notesikiem w rękach, a zapisując wszystko, gromadził obszerny materyał, z którego powstały słynne romanse. A więc jakież jest to społeczeństwo, przez Zolę z taką miłością studyowane; jakaż jest ta atmosfera, w pośród któréj żyje Gervasia? Społeczeństwo to niéma już w piersiach podnioślejszych radości ducha ludzkiego, niéma błękitu niebios i zieloności pól wonnych: tam niéma Boga ani natury. Gdybyż przynajmniéj była ojczyzna! „Wszystko nam jedno, mówią, czy cesarz czyli król rządzi; nasze życie zawsze jednakie." Żaden z członków tego społeczeństwa nie odczuł piękności kwiatów, żaden z nich nie wzniósł ku niebu swoich spojrzeń na skrzydłach myśli; żaden nie posiada najmniejszéj świadomości zasad moralnych, ani poczucia godności osobistéj. A czémże są Bóg, natura, ojczyzna, moralność, honor? Ludz-

[1]) Molmenti, *Nuovi Impr. lett.*, str. 21.

kością!... To wszystko robi człowieka człowiekiem. Cóż więc pozostało tym ludziom?... Zwierzęcość sama. Nie mają woli, lecz apetyt. Nie posiadają inteligencyi, lecz instynkt; do robienia wyboru nie są zdolni, panować nad sobą nie potrafią i działają pod wpływem pobudek chwilowych, bezpośrednich, jak zwierzęta. Zapytacie może w tém miejscu, mówi de Sanctis, jaki cel opowiadania Zoli? Cel taki: Gervasia rzucona w tę atmosferę zginąć w niéj musi. Ja jednak nie jestem tak absolutny jak Zola, dodaje krytyk włoski. Nie wierzę we wszechmocność atmosfery. Dajcie mi dzielną osobistość a ona z tém otoczeniem walczyć będzie. Zapewne; ależ Gerwazya niéma przymiotów, lecz instynkty, a instynkt dopiéro pod wpływem wychowania i dobrych przykładów staje się własnością naszego ducha, drugą naturą i dopiéro przekształcony w charakter, opierać się może otoczeniu. Ona musi, przechodząc od złego do złego, od upadku do upadku, skończyć na ostatecznem upodleniu. Taka jest myśl autora. Zapytacie może czy to jest sztuka? Obalacie mi ludzkość, tworzycie atmosferę pozbawioną wszelkich ideałów i to ma być sztuka? Zobaczymy. Jeżeli rzecz przedstawiona ma być sztuką, musi miéć oddźwięk w naszym mózgu; rzeczy martwe nie mają dla nas interesu; żyją dla siebie nie dla nas, a sztuką my sami jesteśmy. Jeśli rzecz robi na nas wrażenie, wywołuje w naszych piersiach sensacye, spostrzeżenia i emocye, a my odczuwamy nie tylko jéj życie, lecz w niém i cząstkę naszego życia; taką jest forma idealna. Jakaż jest treść idealna? Wielkie uczucia ludzkie: Bóg, ojczyzna, natura, ludzkość, wolność, sprawiedliwość, piękność, wiedza, a pojęcia te są historyą ludzkości, rozwojem tego wszystkiego co nie jest w człowieku zwierzęciem.

Idealizując życie rzeczy, mamy formę idealną; a widząc w tém życiu wszystkie uczucia ludzkie, mamy idealność, treść idealną. Przeszedłszy do Zoli, widzimy w nim świat martwy, zwierzęcy, z którym dusza ludzka niéma nic wspólnego. Niemasz tam ani formy idealnéj, ani treści, ani wewnętrznych motywów idealnych, ani nawet form artystycznych prostoty, elegancyi lub ducha. Kiedy artysta w tém co przedstawia znajduje sprzeczność z owym ideałem form; kiedy zamiast prostoty spotyka cynizm, zamiast elegancyi rubaszność; przeciwieństwo tego co znalazł z tém co odczuwa, sprowadza ten nieunikniony objaw, który jest śmiechem; nie ten śmiech niesmaczny, upatrujący sprzeczność tam, gdzie jéj niéma, lecz uśmiech ducha, który ją odczuwa i wyrzuca nazewnątrz w jedném słowie, w jednym dowcipie, któremu śmiech towarzyszy. Takie jest źródło karykatury, ironii, sarkazmu, humorystyki.

Otóż w opowiadaniu Zoli nietylko tych trzech form brakuje, lecz istnieją ich przeciwieństwa. Wytworność staje się pospolitością, prostota—cynizmem, duch—głupotą. A jeżeli to wszystko nie jest sztuką, zapytacie daléj, czyja wina: Zoli, czy przedmiotu? *L'Assomoir* wywołał liczne protesty, lecz jeszcze liczniejsze oklaski. A gdzie pisarze i publiczność są wspólnikami złego, tam istnieje zgnilizna i upadek.

Otrząśnijmy się jednak z wrażeń dzisiejszych i spojrzyjmy na Zolę w historyi świata. Żyjemy w czasach przejściowych i mówimy wszyscy: sztuka jest w stanie przesilenia. Czémże jest ta nowa sztuka? Naturą, która się domaga swego stanowiska, zwierzęcością, która pragnie szerszego współudziału. Myśl przedystylowana i wycieńczona chce się odświeżyć i odmłodzić w czystych falach natury, odnaleźć w niéj swą siłę i swoję młodość. Już nie chce być niedołężną myślą Hamleta, w którym był nadmiar człowieka, a brak zwierzęcia; to też restauracyi ciała ludzkiego towarzyszy ta sztuka zapłodniona siłami naturalnemi i zwierzęcemi.

Zwierzęcość jest poezyą młodzieńczych wieków. Achiles, to najdziksze i najstraszniejsze zwierzę, jakie tylko fantazya poety stworzyć mogła. Niéma rodziny, ojczyzny, pobożności—serce z żelaza. Piekło dantejskie jest najpotężniejszém malowidłem zwierzęcości ludzkiéj. Największa ponęta aryostowego poematu leży w tych zwierzętach nieokiełznanych, które się nazywają kawalerami, a którym towarzyszy już tylko półuśmiech poety, niby woń epoki oświeceńszéj. Sztuka tedy dąży zawsze do uzmysłowienia, do ucieleśnienia swych ideałów. A ideały abstrakcyjne i mistyczne, bezsilne i suchotnicze nie znajdują już echa w Europie staréj, która szuka krwi nowéj i pragnie powrotu swéj młodości. Chcemy odmłodzić człowieka, przerobić ciała, szukamy żądnie sił naszych naturalnych i zwierzęcych. Jestto zwierzęcość w przeciwstawieństwie do wygórowanego humanizmu! Jestto gimnastyka!... Zola zresztą nie jest twórcą nowéj sztuki ani nawet jéj zwiastunem. Jest on zjawiskiem, albo jeśli wolicie, symptomatem. Jestto zwyczajne następstwo każdego upadku a nie początek nowéj budowy. Zwiastuni są jako droga mleczna; zostawiają ślad promienisty, w którym późniejsi odkryją gwiazdy. Zola nie jest zwiastunem nowego, ale grabarzem starego. Nowe są tylko formy jego płodów, oblekające zawartość trupią.

. . . . . .

Ciekawa byłaby zaiste bibliografia powszechna studyów o Dantem, jakie się od XIII wieku na widowni świata ukazały! Zdawałoby się, że uczeni wypowiedzieli już o tym poecie ostatnie słowo; że gdy do każdego wiersza *Boskiéj komedyi* istnieją tysiące najgruntowniejszych komentarzów, byłoby prawdziwém niepodobieństwem powiedzieć o tym utworze coś nowego. A jednak biedni ludziska ustawicznie robią wysiłki, żeby z wyciśniętéj nawskroś cytryny, wydobyć jeszcze choć kroplę soku!... Ileto mózgów wyschło nad Homerem, ileto sił umysłowych pochłonęła Szekspiromania, ileżto elaboratów bezcelowych zawdzięcza istnienie swoje kochankowi nieśmiertelnemu Beatryczy. Jak tu nie pisać o takich „drogowskazach ludzkości,” o takich „płomiennych łunach cywilizacyi narodów,” o takich „podwalinach wieków”? Jak tu znów pisać a niepowiedzieć nic nowego? Trudna to sprawa po setkach tysięcy tomów, napisanych w tym przedmiocie z możliwie wyczerpującą gruntownością; ale ktożby się tam lękał tych trudności!... Albożto

nie można przejść ze sfery faktów i logiki, w sferę halucynacyi i mrzonek? Alboż kto ograniczyć zdoła sferę hypotez i wniosków? Wielkaż historya, że w uczonych zaciekaniach swoich, głęboki krytyk przypisze poecie takie idee, dążenia i konsekwencye, jakie mu nigdy przez mózg nie przeszły; że myśli najjaśniejsze, najprostsze podciągnie pod metafizyczne formułki wylęgłe we własnym mózgu, byleby tylko „przeżuwającemu talentowi" swemu dostarczyć strawy!

Téj chorobliwéj manii przeżuwania ustawicznie jednych przedmiotów, szczególniéj niemcy ulegają, a wyssawszy aż do głupstwa klasyków, pastwią się obecnie nad Dantem i Szekspirem (naturalnie Szylera i Goethego biorę za nawias, jako swojskich). Do wypowiedzenia powyższych uwag, skłania mię praca prof. G. Poletto p. t.: *Miłość* i *Światło* w *Boskiéj komedyi.* Czego chciał ten mąż szanowny i jaki ma być rezultat jego mglistéj pracy? Odgadnąć trudno.

„Zastanawiając się uważnie, mówi p. Poletto, nad ostatecznym celem pomysłów Danta i ich wewnętrznem znaczeniem, spostrzegam zupełną i doskonałą ich syntezę w *miłości* i *świetle (!).*

Wykrywszy cud ten, autor przebiega czyściec, piekło i niebo, szukając dowodów na poparcie swéj tezy, a wreszcie kończy arcy-nudną wędrówkę podziękowaniem czytelnikowi za towarzystwo (bardzo słusznie) i tego rodzaju postulatem: „O ile bardziéj przyznaję niekompetencyą swoję w przeprowadzeniu tak doniosłego tematu, o tyle gorącéj pragnę, żeby studya dantejskie dobroczynne, a pełne życia, kwitły coraz lepiéj w *świetle* wiary i piękna, w *miłości* prawdy, w naukowéj i obywatelskiéj wielkości naszego kraju" (str. 76).

. . . . . .

Że nieśmiertelny autor *Księgi pieśni* i *Obrazów z podróży* jest bardzo trudny do tłómaczenia, wié o tém każdy, kto się dokładniéj wtajemniczył w subtelności jego utworów, stanowiące indywidualną fizyognomią Heinego. To téż nic dziwnego, że pomiędzy przekładami utworów tego poety więcéj jest niefortunnych niż dobrych. Prawie w tym samym czasie, kiedy p. Kraushar przysłużył się naszemu społeczeństwu tłómaczeniem liryk Heinego, we Włoszech dokonał takiéj saméj pracy Zendrini. Na nieszczęście tłómacz zadaniu swemu nie sprostał, jak świadczy o tém broszurka p. Feliksa Martiniego p. t.: *Heine* i *Zendrini* ze złowróżbną dewizą na czele: *Du sublime au ridicule il n'y a qu'un pas...* Jakoż p. Martini, zestawiając skrupulatnie przekład z oryginałem, dochodzi do przekonania, że włosi, którzyby, nie znając języka niemieckiego, chcieli się zapoznać z Heinem, zapomocą przekładu Zendriniego nie będą mogli powiedzieć, że go poznali *intus et in cute.*

. . . . . .

Powiedzieliśmy na wstępie, że literatura odzwierciedla w sobie duchową fizyognomią narodu w danéj epoce. Powszechny przed pięciu wiekami upadek moralności we wszystkich warstwach społeczeń-

stwa włoskiego dał początek literaturze humorystyczno-satyrycznéj (burlesca), szczycącéj się niektórymi wysoko utalentowanymi przedstawicielami swoimi i posiadającéj w samym narodzie szerokie koło bardzo gorących zwolenników. Umysły żartobliwe i sarkastyczne już od wieku XIV szukały pola dla popisywania się z żartem lub dwuznacznikiem w sferze zwyczajów i obyczajów licznego w owych wiekach duchowieństwa. W wieku XV, a mianowicie za czasów Sacchettiego (frottole) i Giovanniego (pecorone) wzmaga się literatura tego rodzaju; w XVI zaś wieku zdaje się lekceważyć wszelkie względy moralne i estetyczne, co nie przeszkadzało ówczesnym pojęciom podnosić reprezentantów tego kierunku do godności klasyków włoskich [1]).

Najgłośniejszym przedstawicielem téj poezyi był w XVI wieku Berni (1490—1536 r.), postać w swoim rodzaju wielce charakterystyczna i ciekawa, autor „poprawki" (rifacimento) *Rolanda* Bojardowego. Był on właściwie pierwszym i prawdziwym wynalazcą, mistrzem i rodzicem stylu *con burla*, zwanego odtąd *stile Bernesco*. Drobnemi utworami swemi Berni założył szkołę i stworzył gałąź poezyi włoskiéj, z którą historyk literatury poważnie rachować się musi. Jestto poezya wesoła, żartobliwa (*giocosa*), jużto satyryczna już szydercza, a nawet wyłącznie parodyi poświęcona. Bawiła ona włochów przez dwa wieki zgórą, przyczyniając się do upodlenia smaku i skażenia myśli [2]).

Powyższe objaśnienia uważaliśmy za konieczne dla dania czytelnikom kanwy, na któréj uwydatni się lepiéj postać Grazziniego, zbyt obcesowo wprowadzona, w rozprawie p. t.: *D'Anton Francesco Grazzini*, zwany *Il Lasca*. Poeta ten (ur. 1503 † 1583 r.) pisał bardzo wiele wierszem i prozą, lecz miał szczególne upodobanie *alla poesia giocosa*, w któréj współzawodniczył nawet z Bernim. Ten ostatni wybierał do utworów swoich przedmioty nowe, oryginalne, łotrowskie (*furbeschi*); Grazzini zaś dziwaczne, suche, kapryśne. Berni, wróg niewoli, otwarcie żąda swobody; Lasca, stosując się do czasów, nie pragnie jéj zgoła, a przynajmniéj udaje, że nie pragnie. Pierwszy, kapłan i sceptyk, wszystko w żart obraca: moralność, religią, Boga nawet; drugi świecki i wierzący szanuje Kościół, religią i moralność. Tamten przedstawia życie światowe i szpetne uciechy rzymskie; ten społeczeństwo florenckie opieszałe, lekkomyślne, korzące się pod jarzmem tyranii, nie dbające o wolność i ojczyznę i żądne tylko... *far niente!*.. Berni przykładał wiele pracy do swoich *capitoli* i *sonet-*

[1]) Dr. Ruth: *Geschichte der italienischen poesie.* Leipzig 1847 r., t. II, str. 695.

[2]) L. Etienne: *Histoire de la litterature italienne.* Paris, 1875 r., str. 230.

li, Grazzini pisał bez wielkiego zachodu, jak się zdarzyło, *quasi stans pede in uno*. Berni miał zawsze przed oczyma pojęcie sztuki; Grazziniemu chodziło głównie o wyrazy. Tamten umiał jednoczyć idee najodrębniejsze i tym sposobem śmiech wywoływał; Grazzini przechodził od pojęcia do pojęcia, jakgdyby filozoficznem rozumowaniem. Pierwszy szukał jedynie w każdéj rzeczy humorystycznéj strony; drugi, usiłując być moralnym, wpada w sentencyonalizm. Obaj odznaczali się stylem żywym, prostym, swobodnym, używając języka, mieszkańcom Florencyi właściwego. Bądźcobądź z pomiędzy poetów żartobliwych owego czasu, po Bernim Grazzini jest najoryginalniejszy, najczystszy i najuczciwszy; i gdy większéj części poezyi téj epoki nie można czytać bez wstrętu, Lasca bezwstydem niegrzeszy.

We Florencyi, szczególnie w XV wieku obchodzono uroczyście publiczne widowiska karnawałowe, w czasie których liczne maskarady, przedstawiające poetów, rycerzów błędnych, aniołów, błaznów i t. p. przebiegały miasto, śpiewając odpowiednie ludowe pieśni zwane *carnasciali* (zapustowe). Otóż w poezyi takiéj celował Grazzini, mający z tego powodu wielką popularność. Jest on również autorem 350 sonetów najrozmaitszéj treści i wartości, trzech poematów heroiczno-komicznych: *Gigantea*, *Nanea*, *Guerro de Mostri* i trzech zbiorków nowelli zatytułowanych *Cene*, z których każdy zawierał 10 powiastek. Jako nowelista zajął nawet dość wybitne stanowisko. Starał się on przedewszystkiém zmuszać do śmiechu, chociaż często żartami zbyt dzikiemi krwawił serce. Niemiał zamiaru z nowelli swoich tworzyć dzieł sztuki, lecz tylko dostarczyć przyjaciołom rozrywki miłéj, a nadewszystko dyalekt toskański wznieść na wyżyny języka. Grazzini był także i komedyopisarzem.

W XV wieku włosi mieli dosyć komedyi gorszych i lepszych, lecz im zbywało zupełnie na komedyi prawdziwie narodowéj, która z powodu braku życia narodowego i dzięki tradycyom klasycyzmu rozwinąć się tutaj nie mogła. Włochy były wówczas rozczłonkowane i zgnębione; rozmaite ludy w skład ich wchodzące, nie mogły się pochwalić ani dobremi obyczajami, ani instytucyami, a Florencya, usiłująca niby za Wawrzyńca Medyceusza być Włoch ogniskiem, myślała tylko o rozkoszach życia i zabawie: wolność znikła, a zgnilizna powszechną się stała. Komedyopisarze, przestrzegając ściśle reguł Arystotelesowych, mieli ustawicznie przed oczyma utwory Menandra, Plauta i Terencyusza.

Gdy charakterystyczną cechą téj epoki była zmysłowość, komedye tedy im brudniejsze, tém większe miały powodzenie. Dogadzając smakowi tłumu, autorowie wprowadzali na scenę cudzołóztwo, wyśmiewali księży, przedstawiali synów życzących śmierci ojcom, a bohaterami komedyi byli: mnisi, rozpustnicy, faktorzy, gachowie lub niewolnicy bezczelni. Taki stan rzeczy wywołał szlachetne usiłowania reformy, którą rozpoczął w XVI wieku Gelli, a podnosił również

i Grazzini. Ten ostatni, w przedmowie do jednéj ze sztuk swoich, utrzymuje, że komedya „powinna być wesoła, kapryśna, dowcipna, śmieszna, piękna i dobrze grana" i rzeczywiście komedye tego pisarza (*Gelosia*, *Spiritata*, *Strega*, *Sibilla* i inne) są „wesołe," „kapryśne" i „zabawne," ale też i nic więcéj. Lasca ani wznieść się na stanowisko sztuki, ani z pęt klasycznych wyjść nie umiał; czuł on potrzebę zreformowania sceny, lecz do wysokości zadania tego nie dorósł. To też komedye Grazziniego mają tylko wielkie znaczenie pod względem formy, są one prawdziwemi *testi di lingua*. Studyum Pr. Magriniego jest interesujące i poważne, zrobilibyśmy mu tylko ten zarzut, że nie uwzględnił dostatecznie tła historycznego, na którém Lasca występuje.

. . . . . .

Materyalizm, mówi Artur Linaker (*Realizm dzisiejszy w poezyi*) z ksiąg filozofów i z katedr przechodzi w serce człowieka, robiąc go egoistą; w organizm tłumów, budząc w nich gwałtowną żądzę bogactw; w dusze artystów i poetów, sprowadzając ich twórczość na drogę... *realizmu*. Człowiek jest człowiekiem i wszystko co ludzkie nie może mu być obcém. Wrażenia, idee, uczucia i namiętności, myśli i fantazye, rzeczy widzialne i sfera wierzeń, miłość tego co istnieje, oraz pragnienie rzeczy przyszłych; świat pojęć określonych i nieokreślonych: wszystko to jest ludzkie, i, jako przedmiot sztuki, jest realne, prawdziwe. Ztąd też Rafael niemniejszym jest realistą od Meissoniera, jeżeli przez prawdę i realizm pojmujemy to, co jest faktem w naturze ludzkiéj i co być może przedmiotem sztuki. Lecz, rozumuje daléj Linaker, poeci nowi nie nazywają się realistami lecz *werystami*. Co należy rozumieć przez ten wyraz nowy *verista?*... Jeżeli to co prawdziwe (*vero*) utożsamia się z rzeczywistém (*reale*); w takim razie co rozumiemy przez wyraz *realne?*... W obszerném znaczeniu „realne" przeciwstawia się „idealnemu"; to co jest faktem, temu co jest możebne lub co się spostrzega w idei, jak np. doskonalenie się nasze. W znaczeniu ciaśniejszém „realne" bierze się przez niektórych za zmysłowe, za cielesne, za rozkosze zmysłów; a w takim razie przeciwstawia się ono rzeczom bezcielesnym, nadzmysłowym jak uczciwość, sprawiedliwość i wszystkie prawdy wogólności, które nie podpadają pod zmysły.

Ograniczać „prawdziwe" do tego ostatniego znaczenia jest to zaprzeczać prawdzie, która obejmuje wszystko co jest i co być może, wszystkie potrzeby i wszystkie siły natury ludzkiéj, z wyjątkiem tego tylko, co leży w granicach absurdu i sprzeczności. Zdawałoby się tedy, że tracąc z przed oczu istotę rzeczy, sprzeczamy się o wyrazy, w skutek czego w dziedzinie sztuki realista przeciwstawia się idealiście i jeden nie chce mieć z drugim nic wspólnego. Zkąd ten rozdźwięk? Zanim odpowiemy, zobaczmy naprzód jak sobie postępuje w sztuce realista? Przekonawszy się, że we wszechświecie nie wszystko jest bez zarzutu, że stron ujemnych w nim nie brak, ogarnia wła-

śnie samę tylko niedoskonałość jego i takową w przesadnych rysach czytelnikom lub widzom, popisowi gwoli, przedstawia. Uczucie np. jest doskonałością; namiętność zaś, będąc, przypuśćmy, stanem patologicznym ducha ludzkiego, jest niedoskonałością. Realista bierze namiętność, potęguje ją do przesady, w jéj świetle ukazuje różne zjawiska i przedmioty, zarażając obłędem niedoświadczonych czytelników.

Określiwszy w ten sposób stanowisko realizmu, p. Linaker przebiega, cokolwiek zapowierzchownie, najrozmaitszych poetów europejskich współczesnych, zaznaczając takie obrazy i myśli w ich utworach, które się pod sformułowane przez niego definicye podciągnąć dadzą. Jest w téj rozprawie dużo zdrowych myśli, nie brak wszakże i poglądów zbyt jednostronnych.

. . . . . .

W ostatnich czasach ukazało się we Włoszech kilka dzieł średnich rozmiarów, obejmujących całokształt literatury włoskiéj, lecz wszystkie te prace poważnéj krytyki nie wytrzymują, pomimo, że ich autorowie należą do najznakomitszych pisarzów tego kraju. Settembriniego: *Lekcye literatury włoskiéj*, owoc trzydziestoletnich studyów i rozmyślań, napisane zostały na przełomie dwu peryodów literackich, kiedy przekonania i sądy nie nabrały jeszcze spokoju i bezstronności. Autor pisząc swe dzieło, nie pozbył się jeszcze licznych przesądów, a już ulegać zaczął wpływowi nowych idei, wskutek czego przy naturalnéj żywości wrażeń, tracił równowagę sądu i na objektywne, a głębsze traktowanie przedmiotu zdobyć się nie mógł. To też bardzo często zdania jego o pisarzach tak wyglądają, jakby je autor bezkrytycznie na chybił trafił wygłaszał. Jeżeli jednak Settembrini krytykiem nie był, to w każdym wierszu jego pracy czuć artystę, pełnego ognia i siły.

Nie lepiéj wywiązał się z zadania swego znany nam już De Sanctis, który pomimo niepospolitéj nauki i talentu krytycznego, stworzył dzieło o *Historyi literatury włoskiéj*, bardzo słabe. Widocznie trafną jest uwaga prof. Gubernatisa, który twierdzi, że De Sanctis zawsze jest niższym od siebie, ile razy przychodzi mu opracowywać przedmiot, którego granic jednym rzutem oka objąć nie zdoła. Jego *Historya*, przedstawiająca się, jako szereg artykułów, nicią organicznego związku nie powiązanych, jest kompilacyą pełną braków i poglądów nieumotywowanych, a powierzchownych.

Cezar Cantu wreszcie, głośny autor znanéj społeczeństwu naszemu: *Historyi powszechnéj* i bardzo wielu innych dzieł historycznych i literackich, wydał we Florencyi jednotomową *Historyą literatury włoskiéj*, którą krytyka miejscowa bardzo surowo przyjęła, twierdząc, że „autor niémiał dość jasnego pojęcia o tém, co pisał.” Cezar Cantu to duch samotny i znękany w ciągłych zapasach ze współczesnymi; to deklamator, piorunujący przeciw pedantom i literatom, przeciw obskurantyzmowi i zgniliznie wieku; to malkontent, przez nikogo nie rozumiany i stawiający się poza społeczeństwem, którego atmosferą oddy-

cha. Przy takim stanie duszy, przy podobném rozdrażnieniu wewnętrzném i niechęci autora, dzieło jego o literaturze włoskiéj musiało wyjść z pod pióra mocno spaczone!...

Po takich niefortunnych próbach, ukazanie się: *Dziejów literatury włoskiéj* Bartolego Adolfa, jest dla włochów faktem literackim bardzo doniosłym. Dotąd wyszły dopiéro dwa tomy téj pracy, która o ile można sądzić z tego początku, bardzo się świetnie zapowiada. Tom I, zatytułowany: *Caratteri fondamentali della letteratura medievale*, składa się z jedenastu rozdziałów, a mianowicie: kroniki, historye wierszowane i śpiewy historyczne, *le Moralisationes*, legendy, liryka religijna, dramaturgia religijna, encyklopedye, poezya *golijardica*, *fabliaux* i romans o lisie, romans o róży, poezya prowansalska. W II tomie, noszącym tytuł: *La poesia italiana nel periodo delle origini*, spotykamy następujące rozdziały: wpływy prowansalskie, wpływy francuzkie i pierwsze próby dyalektyczne włoskie, poezye dyalektyczne religijne i moralne w północnych Włoszech, poezye dyalektyczne żartobliwe i miłosne w północnych Włoszech, poezye dyalektyczne obywatelskie i polityczne w północnych Włoszech, szkoła poetyczna sycylijsko-prowansalska, liryka religijna w Umbryi, dramaturgia religijna, poezya miłosna w Toskanii, poezya żartobliwa i satyryczna w Toskanii, Toskania i Bolonia, poezye alegoryczno-moralne. Oprócz tego jest jeszcze na końcu tomu dość obszerny dodatek (*Appendici*), złożony z ośmiu różnych utworów téj epoki, przytoczonych w całości. Niepodobna w ciasnych ramach przeglądu streszczać téj ze wszech miar ciekawéj pracy, zamykającéj już w dwu pierwszych tomach materyał iście olbrzymi; przedwczesném byłoby także wygłaszanie dziś sądu o dziele, którego prawdopodobnie część piąta wyszła dotąd z druku; nie możemy wszakże powstrzymać się od zaznaczenia, że: *Historya* Bartolego jest dziełem źródłowém, opartém na samodzielnych i widocznie gruntownych studyach; że autor jéj, czerpiący rzecz swą z mnóstwa najpoważniejszych źródeł włoskich, francuzkich, angielskich, niemieckich i łacińskich, jest człowiekiem rozległéj wiedzy i że wreszcie objektywne traktowanie przedmiotu, charakterystyka wewnętrzna rozbieranych utworów, umiejętne porządkowanie treści, i jasny wykład i piękny język, nie wiele pozostawiają do życzenia. Po wyjściu całego dzieła, nie omieszkamy zapoznać z niém bliżéj czytelników. Tom III p. t.: *La prosa nel periodo delle origini*, jest już pod prasą.

Od dzieła Bartolego, do *Historyi literatury* Kantorowicza skok olbrzymi. Zaintrygowany polsko-żydowskiém nazwiskiem autora sprowadziłem świeżo wyszłą w Zurichu książeczkę jego (*compendietto*, stronnic 96), widocznie dla szkół przeznaczoną i przekonałem się, że mam przed sobą lichą kompilacyą, ułożoną podług Scherra (!) i Maffeiego, a doprowadzoną bibliograficznie mniéj więcéj do drugiéj połowy XIX wieku. Zaletą książki jest jéj cena (2 marki).

. . . . . .

Jestto literatura (ludowa), mówi Jan de Castro (*Historya w poezyi ludowéj medyolańskiéj*), która powstaje i żyje wśród ludu prostego, ma swobodę listków latających za powiewem wietrzyka, a jednoczy się chętnie ze śpiewem i muzyką, przebiegając drogi i place. Wypadek nadaje jéj życie i zaletami obdarza; lubi tłumy, bądźto kiedy się gromadzą w świątyniach na modlitwę, bądź téż gdy się zbierają w grona wesołe i przyjemne; jest częścią istotną uroczystości publicznych i bez niéj wesołość uczty kuleje. Bywa melancholijna lub wesoła, poważna i lekka, chwalcza i potępiająca; zna wszystkie rodzaje, wszystkie tony i wszystkie miary, lecz po chwilowém powodzeniu przepada w niepamięć. Przez czas jakiś jest uciechą wielkich i małych, władców i poddanych, szlachty i mieszczan; jéj utwory błąkają się wszędzie w pewnéj dobie, przez echa tylko powtarzane, gdyż pamięć pogardza niemi, jako bezużytecznym ciężarem. Jeżeli które śród téj wędrówki nie zginęły, leżą pokryte pyłem i zaniedbane w bibliotekach. Będąc wyrazem danéj chwili, zwracają uwagę współczesnych, rzadko do potomności przechodząc; stają się więc zczasem bibliograficzną tylko rzadkością, trudem i nagrodą cierpliwych poszukiwań historyków, erudytów i zbieraczów starożytności. Nagrodą—bo są one żywym obrazem przemian, którym w kolei wieków ulegał język i przechowywają pamięć wypadków, zwyczajów i opowieści narodowych. Te dziarskie lub patetyczne piosenki, te kwiatki poezyi ukrytéj, która często bez rymu i wiersza obchodzić się musi; te dyalogi rymowane, w których odpowiedź bywa niekiedy tak gwałtowna i wrząca; te szmaty wierszowane kroniki obywatelskiéj i wieśniaczéj; owe pieśni miłosne lub hymny kościelne służyły dla tylu pokoleń za pokarm, że niepodobna ich odczytywać, nie pomyślawszy o usługach, jakie one oddały i o ideach, jakie rozbudzać mogły w umysłach przodków naszych. To téż mają one, niezależnie od swojéj wartości literackiéj, inne znaczenie. Mogą być pozornie liche i bezbarwne, a przecież bywają dokumentami dla dziejów, przychodzą w pomoc etnografii i pomagają do poznania człowieka.

Określiwszy w ten sposób stanowisko i ważność pieśni ludowych, de Castro poddaje gruntownéj analizie zabytki literatury ludowéj medyolańskiéj z czasów pierwotnych, wskazując z niezaprzeczoną bystrością krytyczną na te wszystkie szczegóły, które mogą rzucić mniéj lub więcéj jasne światło jużto na wydarzenia historyczne, już téż na kształtowanie się stopniowe języka włoskiego, albo wreszcie zacieranie się lub powstawanie pewnych stron etycznych ducha narodu i t. p. Jestto praca ze wszech miar poważna i ściśle naukowa. Autor sumiennie korzysta z pomocy poprzedników swoich i rozporządza materyałem bardzo bogatym, wykazując w całém dziele zarówno wielką miłość dla przedmiotu jak i umiejętne nim owładnięcie. Naszym badaczom literatury ludowéj możemy śmiało polecić książkę Jana de Castro, jako przewodnik w tego rodzaju studyach nad przeszłością.

. . . . . .

Mówiliśmy wyżéj, że Cezar Cantu, przejęty pewną nieufnością dla młodszych pokoleń, wykarmionych nowemi ideami, traci równowagę ducha, ilekroć przychodzi mu oceniać utwory najświeższe. Nie tając przed sobą i przed ludźmi tego zwątpienia, oświadcza wyraźnie (*Sławni Włosi*), że „wobec powszechnéj obecnie dążności do pogardzania i czernienia na przemiany, do wyszydzania wszelkiéj powagi i traktowania z ironią wszelkiéj szlachetności, z rozkoszą zwraca wzrok swój ku minionym czasom, w których namiętność i zawiść posiadały mniéj władzy.” Żeby więc stracić z przed oczu teraźniejszość, Cantu zagłębił myśl swoję w przeszłości, z któréj ku nauce swego społeczeństwa, odgrzebuje żyjące przed wieki postacie włochów, aureolą sławy nieśmiertelnéj opromienionych. Tym sposobem powstało olbrzymie jego dzieło: *Italiani illustri* (w trzech tomach, in 4-to majori, po 700 stronnic każdy), które już w roku zeszłym doczekało się trzeciéj edycyi.

W I-szym tomie, ozdobionym wizerunkiem Torkwata Tassa, spotykamy biografie Danta; Cycerona; słynnego podróżnika Marco Polo; Krzysztofa Kolumba; Alberta Radicati, który w czasie walki Wiktora Amadeusza z papieżem, występuje namiętnie przeciwko Klemensowi XI (w początkach XVIII w.). Daléj idą życiorysy: Juliusza Cezara; Pasquale Paoliego, korsykańskiego generała († 1807 r.), który w przekonaniu Fryderyka pruskiego był pierwszym wodzem w Europie (str. 278); Napoleona; głośnego astrologa Cecco d'Ascoli (1322 r.); słynnego demagoga Cola di Rienzo († 1354); Owidyusza; nieśmiertelnego autora *Jerozolimy Wyzwolonéj;* Grzegorza VII, papieża, o którym zwycięzca z pod Austerlitz miał powiedzieć: „gdybym nie był Napoleonem, chciałbym być Grzegorzem VII (str. 469); Gabryela Malacridy, apostoła Brezylijskiego w XVIII wieku; Romagnoriego, prawnika, matematyka, filozofa i publicysty († 1812); Wiktoryi Colonny, słynnéj poetki XVI wieku; a wreszcie Renaty, księżnéj ferrarskiéj († 1575 r.).

Na czele II tomu figuruje osławiony i w naszym kraju Cagliostro, po nim idzie biografia Pliniusza; daléj kreśli autor życiorys poety Montiego, o którym za chwilę szerzéj mówić będziemy; słynnego astronoma Barnaby Oriani, którego Napoleon I niezmiernie wysoko cenił; Hipolita Pindemontego, poety († 1828 r.); Tomasza Campanelli, filozofa, astrologa i polityka († 1639 r.); Palearia, nieszczęśliwego poety, filozofa, literata i męczennika wiary († 1570 r.). Daléj przedstawia Cantu koleje burzliwego życia Bernarda Ochina, heretyka († 1564 roku), który, wygnany z ojczyzny, schronił się był do Polski za Zygmunta Augusta i tu w kazaniach swoich mieni się być apostołem, więcéj cierpiącym za wiarę od Chrystusa (str. 304). Tu także, dla przypodobania się Zygmuntowi, dowodził w jednym ze swoich *Trzydziestu dyalogów*, że mąż, posiadający żonę niepłodną, może zawrzéć nowe związki małżeńskie, bez rozwodzenia się z pierwszą. W dalszym ciągu spotykamy w tym tomie biografią Muratoriego, hi-

storyka i twórcę poetyki (w XVII w.); Tiraboschiego, autora *Historyi literatury włoskiéj*, bardzo surowo ocenionego; Piotra Pawła Vergeria, będącego, podług Cantu, „jedynym przykładem człowieka, który świetne stanowisko prałata rzymskiego, godność nuncyusza, mitrę biskupią i widoki purpury zamienił na niedolę wygnańca" (str. 392). Był to dostojnik kościoła katolickiego zarażony luteranizmem. Podobnie jak Ochino, szukał on szczęścia i w liberalnéj Polsce za ostatniego z Jagiellonów, gdzie starał się szerzyć reformacyą, podtrzymywany przez Radziwiłła i popularyzować pisma protestanckie.

Nie obcy jest również naszym dziejom bohatér następnéj biografii, Jan Morone, kardynał, który w r. 1542 był nuncyuszem papiezkim w Polsce (str. 409). S. Karol i Fryderyk Boromeusze; kardynał Alberoni; Elżbieta parmeńska i kilka innych podrzędniejszych nazwisk uzupełniają tom drugi.

Tom ostatni rozpoczyna Cantu *Listami* Tomasza Grossiego, przyjaciela Manzoniego. Byłto jeden z główniejszych reprezentantów romantyzmu we Włoszech, autor: *Ildegondy*, *Lombardów na wojnie krzyżowéj* i innych romansów wierszowanych. Za Grossim idzie pisarz religijny Celio Curione († 1569 r.); po nim Piotr Vermiglio, męczennik († 1562 r.); daléj Jakób Sadoleto, kardynał i prawa ręka papieża Pawła III († 1547 r.); Piotr Carnesecchi, słynny heretyk; Piotr Giannone, zapaśnik wszechwładztwa królów, „założyciel filozofii historyi" (str. 198) w XVIII wieku. Bardzo ciekawa i wzruszająca do głębi jest biografia Henryka Tazzolego, kapłana, profesora w seminaryum w Mantui, który, za usiłowania rewolucyjne przeciw austryakom, poniósł wraz z kilku towarzyszami śmierć męczeńską (1851 r.). Z kolei zapoznaje nas autor z Ludwikiem Castelvetro, dobrym pisarzem i krytykiem XVI wieku; z Antonim Rosminim, filozofem współczesnym, publicystą; dobrym kapłanem i równie dobrym liberałem oraz ze słynnym Giordano Bruno, spalonym w 1600 r. męczennikiem nauki. Gdy inkwizycya postanowiła *ut quam clementissime et citra sanguinis effusionem puniretur*, Bruno skazany został na spalenie. Usłyszawszy wyrok zawołał: „Wy go z większą trwogą wygłaszacie, niż ja go przyjmuję" (*Avete piu paurà voi nel proferirla che io nel riceverla*). Gdy mu podano krucyfiks, nie chciał go ucałować, powtarzając te słowa Plotina: „Robię najwyższe usiłowanie, żeby to co jest boskiego we mnie, zjednoczyć z tém, co jest boskiego we wszechświecie." Stałość jego, mówi Cantu, podtrzymywały zapewne te słowa, które kiedyś sam napisał: *Il morir in un secolo fa vivo in tutti gli altri.* Samotny i namiętny Bruno mieszał zarówno w stylu swoim, jak w myślach szczytność z trywialnością, hymny z obelgami. Umysł błędny, paradoksalny, wielki i dziwaczny, piękny, melancholiczny, wrzący jak Wezuwiusz ojczysty, czcząc filozofią jak religią, zwalczając szkołę, którą jednoczył z Kościołem; nie wiedział dobrze, czego chciał, brakło mu poczucia rzeczywistości, które każe poświęcać formy dla treści i nie umiał ukry-

wać lub miarkować własnych sądów, chociażby walczyły ze wszechświatem (str. 371).

Józef Parini, satyryk (ur. 1720 r.), autor poematu *Giorno* (Dzień), będącego malowidłem ironicznem próżniaczego życia arystokracyi medyolańskiéj; Ruggero Boseowich, jezuita, przyrodnik uczony i poeta XVIII wieku; Jan Trissin, autor poematu: *Italia oswobodzona od Gotów* i *Sofonisby*, tragedyi († 1550 r.); Maksym d'Azeglio, współczesny autor romansu: *Liga lombardzka* i *Wspomnień*, przepełnionych patryotycznemi uczuciami; nieśmiertelny Galileusz; wielki fizyk Aleksander Volta; a wreszcie głośnéj sławy religijno-polityczny demagog włoski Sawonarola, spalony jako heretyk w r. 1498—oto zawartość III tomu „Sławnych włochów."

Cezar Cantu usiłował w dziele tém wykazać, że człowiek jest nietylko cyfrą w obrachowaniach statystycznych, liczbą w batalionie, kamieniem w budynku państwa; lecz również istotą realną, czynną, wolną, że ma prawo być szanowanym, że jest zdolny do odkryć, kombinacyi, walk, odwagi, ofiar i zasług; i że historya, w skutek tego, w najszlachetniejszém jéj znaczeniu, jest studyowaniem człowieka, wypadków jego życia, zastosowań praktycznych jego idei albo ich zejścia na marne, a wreszcie rozwoju myśli, złożonéj w człowieku przez Opatrzność. Pomimo pedantycznéj oschłości w sposobie przeprowadzenia tych założeń, pomimo zbyt pobłaźliwego niekiedy stanowiska, dla swoich bohaterów; pomimo, że Cantu, będąc z natury swego talentu historykiem, przy zetknięciu z poetami, ze światem ideałów i fantazyi—mocno kuleje; możemy jednak *Słynnych włochów* gorąco polecić czytelnikom jako dzieło bardzo ciekawe, zajmujące i pożyteczne.

Też same zalety i wady posiada najświeższa praca Cezara Cantu: *Monti i wiek jego*. Autor jest tu wyłącznie historykiem. Opowiada szczegółowo dzieje rzeczypospolitéj cisalpińskiéj, poświęca wiele miejsca Napoleonowi i jego królestwu włoskiemu, przytacza *in extenso* obszerne listy, rzucające światło na ówczesną epokę i jéj działaczów, jedném słowem gromadzi w swéj książce to wszystko, co tylko być mogło w pośrednim lub bezpośrednim związku z osobą Montiego i kolejami jego życia. Wprawdzie takie tło historyczne, niezbędne zawsze w tego rodzaju studyach nad pisarzami, jest wyjątkowo nieuniknione przy analizie działalności Montiego, który, pod wpływem zewnętrznych okoliczności, giął się jak trzcina wątła, co chwila zmieniając bogów, przekonania i barwę; ale też z drugiéj strony poety nie można oceniać jak polityka i męża stanu. Cantu wykazuje skrupulatnie wszystkie te przyczyny, które dany utwór Montiego wywołały; ale żadnego z utworów ze stanowiska sztuki nie ocenia, jak gdyby estetycznéj ich strony dotykać nie chciał lub nie umiał. Autor podaje np. że *Bassvillana* jestto poemat napisany ku czci Bassvill'ea, sekretarza poselstwa francuzkiego w Neapolu, który, przybywszy do Rzymu dla rozbudzenia patryotyzmu, poniósł śmierć z ręki wzburzonego ludu; przytacza Cantu w kilku wierszach treść tego poematu, zaliczając go

do lepszych prac poety (*migliore e piu duratura*); nie dość na tém, gwoli prawdzie historycznéj, ogłasza list Montiego o genezie poematu, przedstawiający duszę poety w najujemniejszém świetle (*d'inescusabile bassezza* str. 18); saméj *Bassvillany* jednak nie rozbiera wcale, pomimo że Monti zawdzięczał temu utworowi olbrzymi rozgłos. W téj saméj nieświadomości pozostać musi czytelnik odnośnie do prac dramatycznych Montiego, które zaledwie z tytułów przytoczone, analizie bliższéj nie uległy.

Z drugiéj wszakże strony, przyznać potrzeba, że Cantu spożytkowawszy nieznane dotąd materyały, przedstawił Montiego jako osobistość dziejową, w najwyraźniejszém świetle, nie tając takich nawet szczegółów, które o elastycznym charakterze poety i nicości jego moralnéj smutne dają świadectwo. Wogóle książka, o któréj mowa, będąca wybornym przyczynkiem do charakterystyki społeczeństwa włoskiego w epoce napoleońskich tryumfów, jest dziełem ze wszech miar zasługującém na przeczytanie.

. . . . . .

Z epoką jeszcze bliższą dni naszych zapoznaje nas Tabarini w pracy swéj p. t.: *Gino Capponi, jego wiek, studya i przyjaciele.* Jestto biografia w najściślejszém znaczeniu tego słowa. Autor, zacząwszy od genealogii Capponich, ród których XIII-go wieku sięga, prowadzi bohatera swego od kołyski (1792 r.) aż do grobu (1876 r.), nieopuszczając osoby jego ani na chwilę. Opisuje tedy szczegółowo dziecięce lata i sieroctwo Capponiego, w czasie emigracyi ojca do Wiednia; pierwotne wychowanie chłopca; studya młodzieńca nad klasycyzmem i nowożytnemi językami; ożenienie w 19 roku życia w sposób nic wspólnego z romantyzmem niemający, bo poprostu podług wskazówki i woli ojca; wczesną śmierć młodéj żony, która zostawiła Capponiemu dwie córeczki; podróż jego kilkoletnią po Włoszech, Francyi, Anglii, Niemczech, Szwajcaryi; studya naukowe w tych krajach i znajomości z najwydatniejszemi osobami tego czasu; a wreszcie powrót do ojczyzny, szczegóły domowego życia i praca Capponiego dla dobra kraju na niwie obywatelskiéj, politycznéj i literackiéj, która przyprawiła tego zacnego męża o ślepotę.

Capponi zdobył sobie miłość współziomków przedewszystkiém, jako patryota, najzacniejszy obywatel i hojny mecenas literatury. Jako pisarz, umiłował dzieje ojczyste, którym się poświęcał do ostatnich chwil życia. Pod względem przekonań religijnych, należał do téj szkoły, któréj Manzoni był poetą, Tomasseo pisarzem polemicznym, Rosmini i Gioberti filozofami, a Balbo, Troja i Capponi historykami. Ten ostatni napisał nawet: *Historyą Kościoła.* Najważniejszém jednak dziełem Capponiego, które wydał pod koniec życia i nad którém pracował przeszło lat dwadzieścia, była: *Storia della Republica di Firenze*, doprowadzona do r. 1530. Praca ta, jakkolwiek najrozmaiciéj oceniana, stawia Capponiego niewątpliwie w rzędzie poważnych historyków. Niemałą położył Capponi zasługę stworzeniem pisma naukowego *Antolo-*

gia, które od r. 1821 zaczęło wychodzić we Florencyi, pod bezpośrednim kierunkiem Vieusseux'a. Pismo to stało się ogniskiem ruchu umysłowego w Toskanii, oddziaływającém na całe Włochy. W niém się jednoczyły najróżnorodniejsze kierunki umysłowe, lecz wszyscy ich przedstawiciele mieli przed sobą jeden cel wspólny: dobro publiczne. Duszą tego organu był Capponi, który pod każdym względem dawał swym ziomkom przykład działania liberalnego bez zarozumiałości, głębokiéj wiedzy bez popisu, usiłowań najróżnorodniejszych, lecz poważnych zawsze i za awanturniczemi ideami nie goniących (str. 369).

Rozstając się z książką Tabariniego, napisaną popularnie i z wdziękiem, przytoczę nawiasowo wyjątek z listu Tomassea do Capponiego o Mickiewiczu, którego Tomasseo poznał w Paryżu. „Gdybyś poznał Mickiewicza, podobałby ci się. Skromny, szczery, mówiący pięknie i z uczuciem. Odczuwa kraj nasz, religią, piękność; nie udaje ani wad, jak to czynić zwykli wielcy ludzie, ani zalet, jak to pospolicie robią maluczcy. Poznać Mickiewicza w Paryżu, jestto znaléźć różę... na Syberyi" (str. 223).

. . . . . .

Do bardzo licznych studyów o Manzonim przybyło Włochom jeszcze jedno i to wyszłe zpod pióra znakomitego pisarza, bo jest nim niewątpliwie Angelo de Gubernatis. Książka jego p. t.: *Aleksander Manzoni* (studyum biograficzne), powstała z odczytów, wygłoszonych przez autora w r. 1878 w Taylorian Institution, w Oxfordzie, zawiera dziewiętnaście rozdziałów, z których pięć poświęcił Gubernatis wychowaniu Manzoniego, w innych zaś zajmuje się prawie wyłącznie oceną jego utworów.

Manzoni ur. się r. 1785 w Medyolanie. Wcześnie bardzo okazał nadzwyczajne zamiłowanie do poezyi i łatwość wierszowania, a ulubionym jego mistrzem był wtedy Parini, którego *Il giorno* umiał na pamięć. Wiadomo, że Monti z katedry swojéj w Padwie występował bardzo śmiało z ideami liberalnemi i mówił głośno o miłości Dantego dla ojczyzny i wolności. Wrażenia z téj szkoły wyniesione, uwydatniły się jasno w pierwszym utworze Manzoniego, jaki nas doszedł, t. j. w poemacie o czterech pieśniach, zatytułowanym: *Il triunfo della liberta*.

Piętnastoletni poeta przedstawił się tutaj jak młode orlę, które probuje sił swoich w pierwszym locie i chociaż odczuwa potęgę skrzydeł, nie zna jeszcze drogi. W dziewiętnastym roku życia, będąc studentem, zakochał się w 30-letniéj wenecyance, która wielbicielowi swemu na gorące oświadczenia miłości, odpowiedziała zachętą macierzyńską... do nauki. Owocem nienormalnego stanu ducha po téj odmowie były: *Sermoni giovanili*, pełne siły wiersze, z odcieniem humorystyczno-satyrycznym. Wkrótce potém napisał Manzoni wiersz p. t.: *In morte dell' Imbonati*, ku uczczeniu zmarłego przyjaciela matki, wiersz pełen prawdziwego ognia, oryginalności i potęgi. Przeniosłszy się do Paryża, Manzoni wszedł w stosunki przyjaźni z Cabanisem, a szczególnie z Faurielem, a pobyt jego w tém mieście i studya nad literaturą

francuzką, nie pozostały na nim bez wpływu. Niektórzy twierdzą, że miłość, którą wkrótce hymen miał uświęcić, natchnęła Manzoniego do napisania poemaciku: *l'Urania*, który pomimo pewnych zalet, jest utworem zimnym i wymuszonym (str. 114). Małżeństwo poety z szesnastoletnią Henryką Blondel, protestantką, odbyło się w Medyolanie w roku 1808; przez następne lat dziesięć twórczość duchowa Manzoniego była w uśpieniu, poetę bowiem owładnęła *idea fissa* stania się poetą i apologistą religii katolickiéj. Oprócz kilku *Hymnów świętych* i kanzon politycznych, w guście klasycznym, nic więcéj w tym okresie nie napisał. *Inni Sacri*, napisane pod zachętą spowiednika Tossi, są obmyślone raczéj, niż odczute. Nie wyszły one z serca pod wpływem wiary gorącéj, lecz z głowy pod przymusem rozumu, zniewolonego do takich ćwiczeń literackich radami, zachętą i przepisami spowiednika. Poeta uległ; widoczne jest jednak, że to posłuszeństwo było dlań ciężarem (str. 137). Gdzie tylko w tych *Hymnach* chciał być szczytnym, jest ciemnym jedynie. Wogóle zresztą utwory te są dobre dla artysty, który chce wierzyć, lecz nie dla ludu, który wierzy.

Tam jednak, gdzie poeta rozstaje się z dogmatami, a uderza tylko w struny miłości chrześciańskiéj, którą czuł już silnie, zanim się w ręce spowiednika dostał, owéj miłości, która jest podstawą, źródłem i elementem każdéj religii, tam słowa jego pieśni są proste, naturalne, wymowne. Za hymnami poszły daléj: *Osservationi sopra la morale cattolica*, którą to pracę naznaczył Manzoniemu spowiednik Tossi za pokutę. Tymczasem w r. 1818, Manzoni, ku wielkiéj boleści swojéj, był zmuszony sprzedać ojcowiznę (*Caleotto*), która była dla niego skarbnicą wspomnień, a kłopoty życiowe skierowały muzę jego do dramatu. To téż w pierwszéj tragedyi tego poety p. t.: *Conte di Carmagnola*, spotykamy przeważnie ducha, myśli, zwątpienia i walki wewnętrzne autora, troskliwego o swoje imię, chwiejnego w czynie, wrzącego w pomysłach, pobożnego, delikatnego, kochającego ojczyznę i rodzinę. W następnéj tragedyi: *Adelchi*, indywidualne uczucia autora przejawiają się już w mniejszym stopniu, a w dalszych jego pracach gwiazdą poety jest jedność kraju pod każdym względem, a w szczególności i językowa. Kwestya języka nie jest nowa we Włoszech, powstała ona jednocześnie z literaturą; Manzoni wszakże ma tę zasługę, że ją ze stanowiska narodowego zaczął traktować z tą samą powagą, z jaką odnosili się do niéj w XIII i XV wieku pierwszy poeta Italii Dante i pierwszy jéj prozaik Machiavelli. *Jedność* była hasłem Manzoniego. Twierdził on, że należało pisać popularnie... dla wszystkich, mówić jednym językiem, mieć jednę wiarę religijną i polityczną, bez czego ani harmonii narodowéj, ani prawdziwéj wielkości włoskiéj być nie mogło. Ogniskiem jedności językowéj miała być podług niego Florencya, a jedności religijnéj kościół katolicki. Ze względu zaś na poczucie harmonii powszechnéj, odczuwał podniosłe stanowisko poezyi, obejmującéj w sobie wszystko, co tylko odczuć, lub pomyśléć można. Rzeczywistość była

dla niego podstawą, idealność koroną każdéj budowy poetycznéj; to też prace jego, oparte na ziemi, mogły sięgnąć z łatwością aż w niebo.

Burzliwe okoliczności polityczne, wśród których żył Manzoni wywołały piękny utwór tego poety: *Odę z 1821 r.*, poświęconą pamięci Teodora Kernera, poety i żołnierza w walce o niepodległość Germanii, zabitego w bitwie pod Lipskiem. Nie jestto tylko hymn wojenny Włochów, lecz odezwa do wszystkich narodów cywilizowanych. Pomimo wyjątkowego nastroju ducha poety, z ust jego nie wyszło ani jedno słowo nienawiści, zemsty lub namiętności poziomej; daleką jest również od niego wszelka chełpliwość lub szalone uniesienie gniewu; owszem, w całéj odzie rozlane jest tylko spokojne umiarkowanie dumy męzkiéj. Gdy Napoleon umarł 5 maja 1821 r., Manzoni uświęcił pamięć dnia tego pięknym utworem lirycznym *Cinque Maggio*, tłómaczonym na język niemiecki przez Goethego i naśladowanym przez Lamartine'a.

Najgłośniejszym wszakże utworem Manzoniego jest romans *Promessi sposi*, napisany z zaniedbaniem wszelkich zasad tego rodzaju literatury. Zbywa temu dziełu na odpowiedniém ustosunkowaniu części do całokształtu, na owém *crescendo* powabów, które w każdym romansie spotkaćbyśmy chcieli. Akcya główna jest niedość ważna, a przynajmniéj przedstawia się taką, rozważana sama w sobie, a nie w pojęciach społecznych autora, który za pośrednictwem wypadku drobnego i wyjątkowego chciał przedstawić odwieczną walkę pomiędzy ciemiężycielami i uciśnionemi, panami i służbą, magnatami i ludem, grupując około téj walki niektóre poważne kwestye społeczne: jak zdrowia publicznego, prawodawstwa karnego, o nieszczęściach które sprowadza wojna, o duchowieństwie i t. p. Romans Manzoniego sam przez się, ze stanowiska inwencyi mówi mało; wielkich i silnych namiętności niemasz w nim ani śladu; czytelnik nie został zaciekawiony i zdziwiony żadną nowością; lecz to jest właśnie szczególne, że w tym jedynym romansie mniéj się szuka tego co bawi, to jest elementu romantycznego, niż innych rzeczy; a jeszcze oryginalniejszą jest ta okoliczność, że autor, pozbywszy się prawie tego elementu, który w innych romansach tak za niezbędny uchodzi, znalazł poza nim tyle materyi pociągającéj i żywéj (str. 234). W *Boskiéj komedyi* nie przedmiot nas porywa, lecz sposób w jaki autor obmyśla go, odczuwa i traktuje: toż samo i o *Promessi sposi* powiedzieć można: w pierwszym szukamy poezyi Dantego, ducha i umysłu Dantego; w drugim poezyi Manzoniego, ducha i umysłu Manzoniego, oraz sposobu jakim potrafi jednoczyć rzeczywistość z idealnością. Kto czyta *Narzeczonych* jako zwykłą książkę, miernie tylko zająć się nią może; lecz kto szuka w nich tego, co autor chciał przedstawić, nie zawiedzie się nigdy i musi podziwiać twórcę, który środkami tak skromnemi umiał potężne efekty wywoływać. Skoncentrowanie, rozdzielenie i wyczerpanie jakgdyby całego siebie w jednem głównem dziele, jest największą chwałą Manzoniego i głównym, jakgdyby tajemniczym urokiem *Narzeczonych*, który sprawia, że utwór

ten miał we Włoszech, a ma i obecnie, niepraktykowaną popularność i wywołał licznych naśladowców.

. . . . . .

Współczesny Manzoniemu i pod wielu względami pokrewny mu duchem, był Aleardo Aleardi, jeden z bardziéj utalentowanych poetów włoskich, którego śmierć w r. 1878 odbiła się bolesném echem w sercach jego ziomków i wywołała między innemi broszurę Prampoliniego serdeczném piórem skreśloną. Aleardi przyszedł na świat poetą i otrzymał od natury bogaty zdrój uczucia, którém tak obficie utwory swoje ożywiał. Był poetą, bo kochał. Kochał silnie ojczyznę i sztukę; tym dwu świętym gwiazdom swego życia poświęcił całe istnienie. Miłość ojczyzny, ujarzmionéj wówczas i nieszczęśliwéj, natchnęła go wspaniałemi pieśniami (*Il Monte Circello*, *La citta italiane; marinare e commercianti; Un ora della mia giovinezza*) które przechodząc z ust do ust, zabrzmiały jako protest przeciwko Austryi, jako podniosły objaw uczuć, zamkniętych w sercu każdego włocha. Ujarzmieni ojcowie przekazywali te pieśni dorastającym dzieciom, które pod ich wpływem rozwijały w młodocianych piersiach gorącą miłość ziemi rodzinnéj. Tę misyą szlachetną okupił poeta więzieniem naprzód w Mantui, następnie w Josephstadt; ale duch Alcardiego nie zachwiał się ani na chwilę. Cierpiał z godnością i spokojem pełnym rezygnacyi wyczekując, obojętnie wyroku.

„Nie proś, broń Boże, Beatryczo, o łaskę dla mnie—mówił do siostry, która go w więzieniu odwiedziła—wolę śmierć powolną niżeli łaskę...”

Głębokie poczucie natury, miłość ideałów transcendentalnych, mistycznych i słodki melancholijny koloryt wiersza, robiły Aleardiego uprzywilejowanym poetą płci nadobnéj, która oprzéć się nie mogła potędze czaru, jaki płynął z namiętnych pieśni o *Rafaelu* i *Fornarynie*, lub z *Listów do Maryi*. Aleardi był poetą w całém znaczeniu tego słowa, bo posiadał w największym stopniu poczucie piękna, a muza jego była jedynie na usługach pielęgnowanego w głębi duszy ideału. „Gdy umrę—mawiał często—połóżcie mi na grobie kamień z tym napisem: „był to uczciwy człowiek.” Trzeba się zgodzić z de Sanctisem, że „Aleardi, to poeta prosty i skromny... w swéj wielkości!....”

Ze broszurka Prampoliniego nie jest panegirykiem, przekonywamy się również i z książki Corradina *O poetach współczesnych*, w któréj Aleardi został mniéj więcéj w podobny sposób oceniony jako poeta i jako człowiek. W pracy powyższéj, poważnie rekomendującéj autora, Corradino dał oprócz sylwetki Aleardiego, ciekawe studya o Pratim, autorze *Edmenegardy*, *Armanda* i wielu innych poematów, o Carduccim, największym z liryków włoskich dziś żyjących, z którym w następnym numerze *Biblioteki* zapoznamy się bliżéj, o Giacosie, utalentowanym dramaturgu, (*Una partita a Scachi*, *Il Marito amante della moglie* i t. d.) a wreszcie o Emilu Praga. Ten szkic ostatni, jako najbardziéj interesujący, podamy czytelnikom w głównych zarysach. Je-

żeli kiedy był poeta—mówi Corradino—któregoby idee, w najlepszéj wierze wygłaszane, podejrzywane były o złe intencye, któregoby dusza odbierała w każdéj chwili mnóstwo zniewag, szyderstw i zarzutów od publiczności—to jest nim Emil Praga, ustawiczny przedmiot gwałtownych nienawiści i niemniéj gwałtownego uwielbienia. Męczennik jednocześnie własnych i cudzych namiętności, ofiara geniuszu i poziomych nienawiści ludzkich, przedmiot wściekłego gniewu zawistnych, musiał Praga sączyć po kropli przez całe życie nadmierny kielich goryczy, jako *poeta przyszłości* (str. 142). A jednak Praga zrobił tyle dla poezyi włoskiéj, ile Manzoni dla prozy. Był on twórcą nowego sposobu pisania wierszów, dzięki któremu wszystkie rzeczy otrzymywały właściwą nazwę i zgodne z prawdą obrazy, rugujące owo gadulstwo klasyczne, tak zabójcze dla myśli i natchnienia. Był on wrogiem sztucznego idealizmu. Istniała we Włoszech poezya, która czerpała natchnienia swoje ze spekulacyi nawskroś idealnych, niemających w świecie rzeczywistości żadnéj odpowiedniéj formy, a jéj twórcy błąkali się tylko śród obłoków, po to chyba schodząc na ziemię, żeby potrącać tłumy. Poezya, mająca ustawicznie przed sobą wzory klasyczne, obca była ziemskiemu życiu; nie istniał dla niéj świat psychologiczny i natura schwytana w jéj tajemnicach. Cokolwiek późniéj, jedynemi źródłami natchnień życiowych była idea prawdy filozoficznéj i miłości ojczyzny, zkąd między innemi wypłynęły najsmętniejsze dźwięki Leopardiego, pieśni wojenne wielu mężnych włochów i nieśmiertelna satyra Giustiego.

Emil Praga wydarł tych melancholijnie ascetycznych poetów ze świata bezpłodnéj spekulacyi, sprowadził poezyą na ziemię, na tę piękną i ponętną ziemię; a poezya wtedy, opuściwszy chętnie drogę lazurów nieskończonych, z rozkoszą zstąpiła na pełne balsamicznéj woni łąki ojczyste, drżała z radości na widok wspaniałego morza i wzmacniała wycieńczony organizm ożywczém gór powietrzem. Jestto realizm Pragi, realizm, który się łączył cudownie z dobrze pojętym idealizmem i którego Praga był pierwszym i najdzielniejszym zapaśnikiem.

. . . . . .

Włosi kochają się widocznie w drobnych rozmiarami szkicach literackich, których, jak to widzieliśmy, po kilka i kilkanaście nieraz, składa się na średniéj objętości książkę. Przed kilku miesiącami opuściły prasę w Medyolanie *Szkice krytyczne* Simianiego, który tłumaczy się w przedmowie, że nie dla sławy zebrał kilka artykułów w jeden tomik, lecz że woli posiadać je razem, aniżeli rozpraszać po dziennikach. Szereg obrazków krytycznych rozpoczyna *L'Orlandino* Piotra Aretino, który jest prawdziwym wyrazem charakteru wieku XVI. Streszcza on w sobie to wszystko co tylko najsprośniejszego, najbardziéj poziomego, najsprzeczniejszego mogło się zrodzić w naturze ludzkiéj. Panegirysta aż do ckliwości; drwinkarz—do hańby; trwożliwy jak baba, arogant gorszy od żaka. *Orlandino*, to ani poemat, ani satyra; autor połączył w nim szyderstwo z żartem i stworzył karykaturę. Rozstawszy się

z wstrętnym utworem Aretina, Simiani osładza sobie przykrość poprzedniéj analizy rozkoszą dźwięków pieśni, którą z takim artyzmem umie wydobywać ze swéj liry Marianina Caffa Caruso, współczesna poetka sycylijska, „łącząca w sobie miękkość Tibulla i męzki zapał Propercyusza" (str. 27). Daléj ocenia Simiani przekład tragedyi Eurypidesa, dokonany przez Józefa de Spuches; rozbiera wyszłe w 1873 r. poezye Antoniego Amico, zaliczając do najpiękniejszych poematy: *L'alba* (Jutrzenka), *La Farfalla* (Motyl), *La Quieto* (Spoczynek) i inne, oraz zastanawia się nad tłumaczeniami tego pisarza; a wreszcie kreśli wspomnienie o uczonym historyku sycylijskim Izydorze La Lumia, zmarłym przed kilku laty i kończy sylwetką Józefa di Neapoli, współczesnego autora kilku udatnych poematów lirycznych. Simiani nie pisał *Szkiców* swoich dla sławy, i... one mu téż sławy nie przyniosą!

Toż samo powiedziećby można: o *Życiu Niccoliniego*. Autor téj pracy, dr. Brigidi, miał zadanie bardzo wdzięczne, ale mu sprostać nie zdołał. Niccolini urodził się w r. 1782 w okolicach Pizy. W 22 roku życia, przejęty do głębi okropną klęską miasta Livorno, dziesiątkowanego przez zarazę, napisał wiersz *La pieta*, w którym talent jego poetyczny zajaśniał poraz pierwszy. Przez długi czas poświęcał się Niccolini studyom klasycznym, których owocem była ogłoszona w r. 1810 pierwsza jego praca dramatyczna p. t.: *Polissena*. Tragedya ta, uwieńczona nagrodą akademii, została w trzy lata późniéj odegrana z ogromném powodzeniem. W jakiś czas potém wystawione zostały trzy inne tragedye tego pisarza, a mianowicie: *Ino e Temisto*, *La Medea*, *L'Edipo*. W czasie kiedy bohatér z pod Waterloo pędził samotne życie śród skał ś. Heleny, poeta toskański napisał tragedyą *Nabucco*, o charakterze przeważnie polityczno-alegorycznym, w któréj rozumnie ocenił Bonapartego. Gdy absolutyzm Austryi dławił we Włoszech każdy objaw narodowego ducha, tragik florencki pod wpływem szlachetnego oburzenia stworzył nową tragedyą *Foscarini*, któréj sława szeroko rozbrzmiała po Europie i którą Ludwik Bonaparte, późniéjszy Napoleon III, na język niemiecki przetłómaczył.

Owocem nieustannych rozmyślań nad jednością włoską, był dramat *Giovanni da Procida;* za nim powstały tragedye *Lodovico Sforza*, *Filippo Strozzi*, *Beatrix Cenci* i *Arnaldo;* ta ostatnia przeciw papieżowi skierowana. Zapał ducha, spokojność sądu, powaga i naturalność stylu, jednolitość akcyi, szczytność charakterów i świeżość sytuacyi, oto wybitne zalety prac dramatycznych Niccoliniego (str. 44). Pisał on również wiele rozpraw prozą jak: *Dell Imitatione dell'arte dramatica; Di Dante e del suo poema; Sul romanzo storico*; *Lezioni di mitologia; Del sublime e di Michelangiolo* i t. d., którym dr. Brigidi najwięcéj miejsca poświęca. Oprócz tego, Niccolini, przyglądając się bacznie naturze ludzkiéj i czasom swoim, rozsiewał wiele aforyzmów religijnych, intelektualnych, moralnych, politycznych i estetycznych niepospolitéj wartości. W dalszym ciągu dr. Brigidi przedstawia nam swego bohatéra jako najszlachetniejszego człowieka, obywatela i ojca rodziny.

Gdy w 1861 r. rozeszła się wieść po Florencyi o śmierci Niccoliniego, wszyscy mieszkańcy miasta od najwyższych do najniższych, byli głęboko dotknięci tym ciosem, a władza municypalna postanowiła złożyć śmiertelne szczątki poety na Santa Croce i wznieść mu pomnik (str. 186).

Książka Brigidiego napisana jest dziwnie sucho i anemicznie, pomimo uwielbienia, jakie miał autor dla poety; to też postać tragika florenckiego, a szczególniéj jako zapaśnika sceny, wyszła blado i bezbarwnie.

. . . . . .

Na zakończenie niniejszego artykułu uważamy za stosowne dodać, iż celem naszym nie była bynajmniéj wyczerpująca krytyka dzieł przedstawionych, to jest *szczegółowy* rozbiór zarówno stron ujemnych jak dodatnich każdéj pracy, lecz tylko zaznajomienie czytelników z obecnym ruchem umysłowym we Włoszech i podanie dokładnych informacyi dla tych wszystkich, którzyby się bliżéj z literaturą włoską zapoznać chcieli. Oprócz tego nadmienić muszę, że gdy z jednéj strony ramy tego przeglądu muszą być szczupłe, z drugiéj zaś o takich tylko książkach mam zwyczaj pisać, *które sam przeczytałem;* przeto z natury rzeczy tak w powyższym przeglądzie jak i w następnych, trzeba było pominąć nie jednę pracę, na bliższe poznanie zasługującą. Sądzę jednak, że zarówno ilość dzieł któreśmy przejrzeli, jak i ich wybór w zupełności do celów powyżéj wskazanych wystarczyć mogą.

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

Od szkolnéj ławy.

OPOWIADANIE Z LAT 1798—1813 *).

PRZEZ

Kajetana Kraszewskiego.

Pod wieczór wjechawszy do Warszawy, stanęliśmy w zajeździe Zrazowskiego, który mieścił się w prawym pawilonie saskiego pałacu, gdzie za trzy złote na dobę dano nam wygodne trzy pokoje i stajnię na ośm koni. Po drugiéj stronie pałacu znajdowało się naówczas Liceum, z którego widzieliśmy właśnie wychodzących uczniów; było ich bardzo niewielu i to samych malców. Stolica zdała się nam smutną i opuszczoną nadspodziewanie, sklepów kilka tylko na Miodowéj ulicy, którą natenczas kazano nazywać Napoleońską, ogłaszając to przemianowanie z wielkiemi solennościami; kilka magazynów na Krakowskiém Przedmieściu i kilka na Senatorskiéj. Ruch w mieście bardzo nieznaczny, żydzi tylko ze skrzynkami na ramionach i faktorzy, napastując rzadkich przechodniów, snuli się po ulicach, albo przeciągały kompanie rekrutów; dziwna jakaś wszędzie panowała cisza, nieznamionująca bynajmniéj stołecznego miasta. Zostawiając na dzień następny obmyślenie dalszych kroków naszych, odwiedziny i oddanie listów polecających, któreśmy mieli do osób znaczniejszych, pokładliśmy się spać wcześnie, pocieszając się, że smutne wrażenie, jakie na pierwszym wstępie uczyniła na nas Warszawa, rozwieje się rano przy weselszéj myśli i rozpatrzeniu się bliższém, kiedy po męczącéj wypoczniemy podróży. Jakoż, wcześnie nazajutrz, przebudził nas dźwięczny i wesoły głos trąbki wojskowéj; wyskoczyliśmy z łóżek na równe nogi; tuż przed samemi oknami, jakby umyślnie na przyjęcie nasze, uszykowały się kolumny piechoty, które właśnie ćwiczenia rozpoczynać miały.

*) Dalszy ciąg—patrz zeszyt za maj r. b.

Było to czas, kiedy wielki Napoleon do podtrzymania swéj władzy i chwały największą ilość ludzi spotrzebowywał; setki i tysiące szły na ofiarę Molocha; szczupłe Księztwo Warszawskie, ubogie i wycieńczone, bezustannie nowe kontyngensa dostarczać było obowiązane. Zadanie to w każdym innym czasie i w innych okolicznościach byłoby niepodobném do uskutecznienia, gdyby nie ten zapał powszechny i poświęcenie się bez granic dla kraju i dla niezwyciężonego mocarza, który upadłych podnosił. Ubóstwo nowo utworzonego państwa, ciężary wszelkie i trudności nie zrażały ogółu mieszkańców, a choć stęknął niejeden, mienie jednak i życie ze skwapliwością na ołtarz powszechnego dobra przynosił. Były to świetne chwile zapału, którego nie ostudzały najcięższe ofiary, nie rozczarowywała bijąca w oczy obłuda i po sto razy ponawiane a niespełniane chwiejne obietnice.

Nigdy może kraj żaden nie dostarczał tylu ludzi, ile ich słało bezustannie małe Księztwo Warszawskie do armii Napoleona; na 2 miliony ludności krajowéj do 80 tysięcy żołnierzy naszych rozrzuconych było po wszystkich stronach Europy; z nich mniéj niż połowa zostawała w kraju; młodsi, gorętsi, i wawrzynów chciwi, biegli poza granice swéj ziemi ojczystéj, w któréj wojny blizkiéj nie przewidywano. W Księztwie téż prócz oficerów wyższych, co z legionów włoskich wrócili, jak: Dąbrowski, Sierawski, Hornowski i inni znajdowali się nietylko oficerowie młodsi, ale i starzy nawet wojacy z dawnego rycerstwa naszego, którzy od czasów konfederacyi barskiéj z konia nie zsiadali. Do armii tak licznéj wielka téż liczba i starszyzny była potrzebną, waleczność przeto uznana i długoletnie doświadczenie, równie cenione były, jak najnowszéj taktyki nauka. Ci jednak starzy wojacy, już się w daleki świat nie wyrywając, tradycyjnie strzegli własnego zagona i lubo w dzielności, młodszym za przykłady służyć mogli, z trudnością nałamywali się do regulaminów nowych, które im z „pod blachy" od głównego wodza przysyłano.

Natenczas właśnie, kiedyśmy do Warszawy przybyli, opowiadano o takim starym konfederacie, generale Kwaśniewskim, który najosobliwsze nieraz księciu Józefowi przysyłał raporta. Sam bowiem, brzydząc się piórem, posługiwał się sekretarzami; rygor jednak starego generała zniechęcał wielu, zmieniali się więc często, a co przybył nowy sekretarz, chociaż mu generał dyktował, nowe pisał banialuki. Nadsyłane papiery odczytywano częstokroć u księcia, w obecności starszyzny wojskowéj; szefa sztabu Fiszera, pułkownika Rautenstraucha, generała Hebdowskiego i innych; tę czynność zwykle powierzał książę adjutantowi swemu, pułkownikowi Kamienieckiemu, wkrótce majorem placu mianowanemu, który miał dar wyczytywania najniewyraźniejszych charakterów, a i za humor wesoły lubionym był przez księcia. Podobnie téż, raz do głośnego czytania znalazło się między innemi pismo, nadesłane właśnie od starego Kwaśniewskiego; towarzystwo nastrojone było poważnie, milczenie panowało powszechne; Kamieniecki z kolei wziął dużą kopertę, pieczęć rozłamał, rzucił

okiem na papier, zawahał się małą chwilę, niedostrzeżony uśmiech powstrzymywał, a przybierając głos i minę jaknajbardziéj seryo, zaczął donośnie:

— O, Jezu! Jezu! Jezu!

Wszyscy spojrzeli po sobie zdziwieni: adjutant czytał dalćj.

— O, Jezu! Jezu! Jezu! w Pomeranii Gdańskiéj na kresach stojący...

— Co to jest? Kamieniecki? co ty tam czytasz?— zawołał książę zrywając się z kanapy.

— Raport, proszę księcia. Tak napisano.

— Jaki raport?

— Niech książę raczy posłuchać.

Tu czytał nanowo.

— O, Jezu! Jezu! Jezu! w Pomeranii Gdańskiéj na kresach stojący generał Kwaśniewski. Raport.

Śmiech głośny, niepowstrzymany, powszechny, przerwał dalsze czytanie; tajemnicę tego osobliwszego pisma zaraz téż objaśnił generał Hebdowski.

Stary Kwaśniewski miał zwyczaj dyktować chodząc, a z nałogu już wzdychał zawsze, o Jezu! Jezu! Jezu! co mu weszło w przysłowie; sekretarz tak pisał jak słyszał, generał zaś w dobréj wierze pośpiesznie *manu propria* raport podpisał i odesłał do księcia.

Ten sam jednak Kwaśniewski, mimo swych osobliwszych raportów stojąc nad Odrą z czwartym pułkiem strzelców konnych, dał się dobrze we znaki prusakom, a generał Schill, co chciał na kszałt hiszpańskiéj pruską ruchawkę urządzić, jakkolwiek dzielny niezaprzeczenie, przy całéj swéj przebiegłości nie mógł mu dać rady; bo kiedy g. Kwaśniewski miał bić prusaków, a konfederatkę po staroświecku za pas wpakowawszy huknął na swoich: „wiara, za mną!" i tak z gołą głową, a szablą wzniesioną kopnął się na przedzie swoich szeregów, nie było przykładu, żeby kiedykolwiek nieprzyjaciel dotrzymał placu.

W trzy dni po przybyciu naszém do Warszawy, byliśmy już do kontroli wojskowych wpisani, wszyscy trzej zaciągając się do formowanych właśnie ułanów; Łukaszek miał wprawdzie wielką ochotę wstąpić do szaserów, aleśmy go od siebie puścić nie chcieli. Obu furmanom naszym pozwoliliśmy wracać do domu, ale tylko podkomorzyca chłopak korzystał z wolności, mój Pietrek nie chciał ani nas, ani koni opuścić, a późniéj do legii nadwiślańskiéj wstąpił; z ośmiu koni naszych, cztery było wyborowych pod wierzch jeżdżonych, wzięliśmy więc trzy pod siebie, jeden został sprzedany, a cztery zaprzężne z tłomoczkami naszemi i kupionym wózkiem poszły pod komendę mego Iwasia. Wszystko to urządziło się gładko i żwawo w przeciągu dni kilku, a lubo mieliśmy listy polecające, które ułatwiły nam wiele i bez nich jednak, o ileśmy się przekonali, można się było obejść wyśmienicie. Żołnierz natenczas w Księztwie, był nadewszystko pożądanym. Davoust'a korpus stał w kraju i on sam rezydując w Brühlowskim pałacu, a wy-

prawiając asamble i bale wraz z niedawno przybyłym rezydentem francuzkim panem Serra, o nowe zaciągi bezustannie naglili. Władze przeto wojskowe Księztwa, rade przyjmowały ochotników, tém bardziéj, jeśli oni z ościennych ziem przybywali; kraj bowiem i tak już wycieńczony, mniéj się z miejscowéj ogałacał ludności. Żałowaliśmy niezmiernie, żeśmy choćby kilka miesięcy pierwéj nie mogli przybyć do Warszawy, gdyż właśnie przed kilku tygodniami wyszedł był do Francyi nowo wystawiony pułk ułanów, a jak francuzi nazywali: szwoleżerów, pod dowództwem Wincentego Krasińskiego. Pułk ten przeznaczony był na gwardyą przyboczną samego cesarza, przy nim więc, u głównego ołtarza, miał się dosługiwać wawrzynów, mógł je najprędzéj pozyskać, i w istocie téż niezapomnianą okrył się chwałą w sławnym wąwozie Sommo-Sierra, całéj armii Napoleona otwierając drogę do Madrytu.

Już więc niespełna w tydzień po naszym przyjeździe, zaczęliśmy życie nowe, nowy zawód, jak dla mnie przynajmniéj wymarzony oddawna. Mundur nasz podobnym był zupełnie do pułku gwardyi Krasińskiego, granatowy z żółtemi wyłogami i ponsowym kołnierzem; kiedym go wdział poraz pierwszy, wyznaję, żem się cieszył jak dziecko; była to prawa strona medalu, jak mówią francuzi; odwrotną, miało mi okazać doświadczenie późniejsze, niebezpieczeństwa wojny, trudy i niewczasy obozowe. Toż samo jednak doświadczenie nauczyło mię również, że i dodatnia strona wojskowego życia nie ogranicza się bynajmniéj na mundurze, koniu i szabelce, a ma swój powab niewysłowiony i na całe życie najmilsze pozostawiający wspomnienia; jest nim nierozdzielne życie koleżeńskie i duch braterstwa łączący jakby w jednę rodzinę tych wszystkich, co pod jedną walczą chorągwią. Tośmy w całéj pełni dopiéro uczuli wszyscy, znalazłszy się w pół roku późniéj na drugim końcu Europy, z obcém wojskiem, w obcym kraju, garstka nas, Polaków, jak sierot rzuconych na pastwę kul i bagnetów, gdzie nad mogiłą poległego nawet ptasze nie zakwili. Aniśmy się spodziewali, co nas czeka, kiedy po dwu miesiącach, już nieco w służbie wyćwiczeni, otrzymaliśmy rozkaz wymaszerowania do Sedanu. Józio spostrzegł się teraz, że jego małżeńskie zamiary mogą być pokrzyżowane, jeśli za rok nie będzie się w kraju znajdował; wypadki jednak toczyły się żywo, należało coś i Opatrzności poruczyć, a nie czas było do rozmyślań, kiedy się już krok uczyniło stanowczy.

Dwa miesiące przebiegło nam w Warszawie niepostrzeżenie, ciągłemi a męczącemi ćwiczeniami zajęci, nie mieliśmy ani czasu, ani ochoty do zabawy, ledwieśmy rozpatrzéć się mogli, już nas wyprawiono do Francyi wraz z pięciuset rekrutami przesyłanymi dla dopełnienia legii Nadwiślańskiéj. Z Sedanu poszliśmy do Paryża; tu, po przeglądzie na placu Vandôme, odbytym przez samego cesarza, dano nam sutą ucztę w gmachu szkoły wojskowéj i zaraz nazajutrz wyruszyliśmy wzdłuż całéj Francyi, do Bajonny. Pochód ten na zawsze dla nas pamiętnym zostanie, czas był przecudnie piękny, kraj rozkoszny i boga-

ty, przyjmowano nas wszędzie z zapałem i gościnnością wszelkie przechodzącą granice; nie rzadko spotykaliśmy albo rodaków, albo francuzów, którzy kraj nasz znali i wspominali uprzejmie. Pochód ten, jakoby tryumfalny, gdyż nas nie rozróżniano od armii, która walczyła pod Jeną, był najprzyjemniejszą podróżą i tém milsze zostawił wspomnienia, że przekroczywszy granice Francyi i grzbiet Pireneów, znaleźliśmy się w kraju, gdzie nas na każdym kroku witano kulami, nie rzadko sztyletem, a nawet trucizną.

Świetne, bohaterskie nieraz czyny polskiego oręża na Iberyjskim półwyspie jeszcze swego historyka czekają. Legie nasze, które tam posłano, rozrzucone zostały jakby na okrasę pomiędzy wszystkie francuzkie korpusy. Nie było więc w nich jedności działań, oficerowie nasi znać mogli jedynie pojedyńcze wypadki wojny, które w skutek partyzanckiego urywkowego jéj charakteru mnożyły się nieskończenie. Każdy przeto z naszych starszych oficerów i dowódzców, zbierając własne wspomnienia, mógłby cząstkę zaledwie ogólnych działań odtworzyć. Dla wykazania obrazu całości, trzebaby miéć sprawozdania każdego z dowódców, a nieraz i młodszych oficerów nawet, którzy zostawali pod rozkazami generałów francuzkich. Niewielu jednak było takich, coby przygody własne i oddziałów, w których służyli, zapisywać chcieli i mogli; francuzcy zaś historycy, począwszy od Thiersa, lubo im materyałów nie brakło, ledwie gdzieniegdzie, z konieczności tylko i prawie niechętnie czyny wojsk naszych wspominają. I nie dziw, bo nieraz tam, gdzie ich najwaleczniejsi żołnierze pola dotrzymać nie mogli, tam, na stracone imię, posyłano legie nasze: ułanów, szaserów, woltyżerów i oni im torowali drogę. Wygodniéj więc te waleczne czyny policzyć ogólnie na karb armii całéj, albo korpusu, na zasługę własnego oręża. Sprawiedliwsi jednak byli sami francuzcy żołnierze, a nawet hiszpanie i anglicy; wszyscy oni i wszędzie oddają najwyższe pochwały waleczności, karności i wytrwałości naszego żołnierza. Przy powtórném już bezprzykładném w dziejach oblężeniu Saragossy, kiedy cała oblegająca armia francuzka, zniechęcona morderczą a bezskuteczną walką szemrała i blizką była wypowiedzenia posłuszeństwa swym wodzom, nasze tylko legie, pod dzielnym żelaznéj wytrwałości Chłopickim, darły się na szańce i wyłomy, na baterye i dachy kamienic, z rodzinną piosnką na ustach, z dobrodusznym uśmiechem. Gotowi na każde skinienie ukochanego wodza, szli na śmierć jak na gody, i ginęli, ostatnie westchnienie posyłając w kraj oddalony. Kiedy pod morderczym kartaczowym ogniem żołnierze nasi zdobywają plac broni w Saragossie i ulicę Engracia, o którą darmo kusili się francuzi, jeden z grenadyerów podziwem zdjęty, woła, rzucając karabin: „Wielki Boże?! jakimże sposobem kraj wasz zdobyto!?" Proste to, z serca i w uniesieniu rzucone pytanie, wywołuje również prostą, ale niemniéj znaczącą odpowiedź, że *nie oręż jedynie broni i nie oręż zdobywa;* czego najlepszym dowodem była ta właśnie wojna nieszczęsna, którąśmy toczyli w Hiszpanii; tu żołnierz, bijąc się bezustannie i zwyciężając, tę miał

tylko zdobytą ziemię, na któréj nogi jego stały; tysiące wojsk rozbrajał, warownie posiadał, a kraju nie był w stanie opanować.

Dziwném téż i niezbadaném przeznaczeniem losu przyszło nam walczyć w Hiszpanii, wspomagać sprawę zdradziecką, najazd niczém nieusprawiedliwiony i bić się z narodem, który nam nietylko nie uczynił nic złego, ale podziwienie nasze i mimowolny wzbudzał szacunek, rozwijając w obronie swojéj ojczyzny godne najwyższego uwielbienia cnoty. Jak grzech każdy niesie w sobie zarodek kary, tak téż i ta podstępna wojna hiszpańska wykruszyła najpierwszą cegiełkę z gmachu potęgi Napoleona. Sam on, już będąc na wyspie ś-téj Heleny przyznał, że ona głównie przyczyniła się do jego upadku.

Dziwimy się nieraz ptakom i zwierzętom, że się dziesiątkami w jeden samotrzask łapią; dziwićby się więcéj należało ludziom, którzy ucząc się historyi narodów, zawsze się jednak na też same sidła podłego podstępu i zdrady ułowić dają. Napoleon, idąc tą utartą drogą nic nie wymyślił nowego. Najprzód więc jest przekupiony minister, zasiane niesnaski w kraju i w panującéj rodzinie; późniéj, niewinna prośba o pozwolenie przeprowadzenia tylko wojsk francuzkich przez hiszpańską ziemię do Portugalii; daléj, łaskawe podjęcie się pośrednictwa w uczynieniu zgody między Karolem IV i Ferdynandem III, ojcem i synem, pociągnięcie ich do Bajonny, i owóż, klapka politycznéj pułapki zapada. Następuje uwięzienie ojca i syna i zabór kraju, w którym również uczciwych używano sposobów do opanowania miejsc obronnych w samych początkach, póki się naród nie opatrzył jeszcze, a z całą ufnością wierzył w przyjacielskie stosunki. Ciekawy jest pod tym względem pomysł generała Boneta, celem zajęcia cytadeli w Pampelunie, pierwszém od strony Francyi obronném miejscu za Pireneami; przyczém pamiętać należy, iż to się działo w tym czasie, kiedy wojska Napoleona, jako przyjacielskie jedynie, w przechodzie niby, gościły w Hiszpanii; twierdzę tę jednak bądźcobądź zająć im było potrzeba, a bić się... tak zaraz, z początku, nie wypadało. Gościnni hiszpanie, dozwoliwszy przejścia, dostarczali téż, po umówionych cenach i żywności dla przyjacielskiego wojska, wydawano zatém francuzom co wymagała potrzeba ze składów wojskowych, znajdujących się w cytadeli. Do odbierania żywności przyszli młodzi i żwawi żołnierze bez broni, w długie tylko płaszcze odziani; hiszpanie, jakkolwiek z przyjaciołmi mieli do czynienia, nikogo jednak do środka twierdzy nie wpuszczali; żywność mierzono i ważono w składach, kiedy oddział francuzki oczekiwał pod bramą. Było to w zimie, a że miasto położone jest na wysokiéj płaszczyznie u stóp Pireneów, śnieg przeto w téj porze, lubo nietrwały, dość często się trafia. Francuzom, jak wiadomo, na humorze nie zbywa, daléjże jedni na drugich, jak żaki, zaczynają ciskać śnieżkami: śmiech i wesołość powszechna. Nieliczna załoga twierdzy, stojąc w otwartéj bramie z powagą hiszpanom właściwą i z pogardą nawet niejaką przypatruje się téj dziecinnéj zabawie. Latają śnieżne kule, kilkunastu napastowanych silnie przez towarzyszów,

chroniąc się przed gradem pocisków, ze śmiechem i wrzawą wpada do bramy, za nimi z żartami i odgróżkami wbiegają inni... nagle, zpod długich płaszczów błysnęły bagnety, zdumiona załoga, nim się opatrzéć i opamiętać zdołała, już była rozbrojoną, a twierdzę... przyjaciele zajęli.

Po usunięciu rodziny królewskiéj, opróżniony tron w Hiszpanii zajmuje brat Napoleona, Józef; w przesiadanego bawiąc się z Muratem, szwagrem swoim ex-garsonem hotelowym, któremu neapolitański oddaje. Naród, widząc jawny podstęp i zdradę, rzuca się do broni; nowy król po czterodniowym pobycie w stolicy już musi uchodzić; pierwszy jednakże dekret, jaki ogłasza w pięć dni po ucieczce z Madrytu, jest skasowanie klasztorów. Tymczasem Murat uspakaja stolicę; kartaczuje więc procesye, a ludność chwytaną po ulicach, bez względu na wiek, płeć i powołanie, dziesiątkami i setkami skazuje na śmierć ryczałtowo.

Wielce jest wątpliwą rzeczą, czyby naród hiszpański powstał tak jednomyślnie i silnie, czy zdołałby tak długo z tak bohaterską wytrwałością walczyć i ginąć w obronie ojczyzny, gdyby nie barbarzyństwo Murata i innych generałów francuzkich, bezbożne i ich i żołnierzy rabunki i ów dekret o skasowaniu klasztorów. Nieugięci są i zaciekli z natury hiszpanie: o katalończykach mówią, że gdy im trzeba wbijać ćwiek w ścianę, nie młotkiem to czynią, ale głową; o aragończykach zaś dodają, że w takim wypadku gwóźdź jeszcze obracają główką do muru; ani ta jednak zajadłość i upór, ani Welington z anglikami, ani tak dzielni partyzanci, jak: Palafox, sławny obrońca Saragossy, margrabia Lazan, brat jego starszy, Montijo, Longo, Mina, Marino i wielu innych nie zdołaliby tak długiego stawić oporu, gdyby nie religijny zapał całego narodu, do fanatyzmu niemal podniesiony, a bezustannie przez zagrożone duchowieństwo klasztorne podsycany i podtrzymywany. Tą groźbą zamknięcia klasztorów nowy król oddał Hiszpanii, mimo woli, największą i rzeczywistą przysługę; zakonnicy podnieśli i podtrzymali wojnę narodową i ocalili ojczyznę. Nie ograniczając się na ambonie i konfesyonale, wielu z nich, z krzyżem albo szablą w ręku, szli osobiście na czele zebranych oddziałów ruchawki; kapucyn Francisqueti w la Mancha, był jednym z najdzielniejszych dowódzców, prowadzących lud do obrony swéj ziemi.

Każda na świecie wojna rzeczą jest nieludzką i barbarzyńską; hiszpańska jednak kampania Napoleona prowadzona była, rzec można, z bezprzykładną w dziejach z obu stron zaciętością. Ale jeśli rozpaczliwa obrona siedzib własnych od obcego najazdu, nietylko tę zaciętość tłómaczyła, lecz chlubę nawet przynosiła hiszpanom, jak wytłómaczyć i czém usprawiedliwić barbarzyństwo francuzów? Głoszą się oni za cywilizatorów świata. Wyznaję, żem przestał w to wierzyć, patrząc jedynie na ich okrucieństwa i nienasyconą chciwość łupu w rabowaniu wszędzie i wszystkiego, co im pod rękę podpadło; domów Bożych nawet nie oszczędzając, dla których nietylko nie mieli żadnego posza-

nowania, ale je bezcześcili w sposób najhaniebniejszy: hiszpanie, słusznie ich za bezbożników uważali. Tu, okazała się cała różnica narodowego charakteru polaków: kiedy francuzi obdzierali kościoły, nasi żołnierze śpieszyli tam ze skruchą korząc się przed ołtarzami. Nie rzadko, chórem zabrzmiała pieśń nabożna w języku, który pod sklepieniami kilkowiekowych świątyń nigdy nie był słyszanym; pieśń, wspomnieniami porywająca w kraj oddalony, pod zczerniałą strzechę wiejskiego kościołka, stokroć od owych marmurów i złoconych stropów dla serc naszych droższą; za pieśnią, cichym szmerem płynęły modlitwy i westchnienia i łza nieraz rzewna stoczyła się po marsowém legionisty obliczu.

Łupieztwo francuzów poznaliśmy i w naszym kraju, kiedy wkroczyli jako przyjaciele i obrońcy; wiadomém jest powszechnie owo zdarzenie, gdzie po świetnym obiedzie, przez jednego z magnatów na przyjęcie francuzkich oficerów wydanym, większa część sreber stołowych przeszła do szerokich kieszeni cywilizowanych gości.

Nasz żołnierz rabunkiem się brzydził, jedynym łupem pożądanym dla niego było to, co znajdował w spiżarni, wszystko co do zaspokojenia głodu i pragnienia służyć mogło; tu był téż łatwo usprawiedliwionym. Gdzie wpadło wojsko, francuz chwytał złoty zegarek, a nasz wiarus sięgał po kiełbasę albo chleba bochenek; i nieraz się téż późniéj zdarzyło, że francuz oddawał chętnie zegarek, byle dostać choć połowę owego bochenka. Wielu oficerów naszych poprzywoziło jednak z Hiszpanii rzeczy kosztowne. Żleby wszelako sądził ten, coby ich o rabunek pomówił, działo się to bowiem podobnie jak z owym bochenkiem. Oficerowie i żołnierze francuzcy zdobywali bogactwa i kosztowności, ale je téż jako lekko, nie licząc sumienia, nabyte, w potrzebie i bez potrzeby trwonili i marnotrawili często. Za armią snuli się chmurami spekulanci i handlarze, nawet naszych żydków polskich widywaliśmy nieraz; niejeden przeto z naszych rodaków, widząc za bezcen oddawane przedmioty, czuł się niejako usprawiedliwionym, jeśli je sam nabywał. Chęć zysku tak jest silną u żydów, że przemagała nawet wrodzoną tchórzliwość, o tyle bowiem bezpieczni być mogli, o ile się tylko przy armii trzymali, a i tu w razie porażki groziło im największe niebezpieczeństwo. Hiszpanie do tego stopnia brzydzą się żydami, że ich prawie za ludzi poczytywać nie chcą, utrzymując, że są oddzielnym gatunkiem człowieka i każdy z nich rodzi się z ogonem, który starannie ukrywa. Zdarzały się nieraz wypadki, że pierwszą rzeczą po złapaniu żyda było najskwapliwsze zbadanie, czy człowiek ten jest z ogonem lub bez ogona.

Mimo téj ciemnoty prostego ludu i oni nawet w bardzo prędkim czasie nauczyli się polaków od francuzów odróżniać; *los lancieros polacos*, jak naszych ułanów nazywano, byli postrachem wojska, ale ciż sami polacos katolicy i nie rabusie, przez samo porównanie z resztą najezdniczéj armiii, z każdym dniem u krajowców coraz większą zyskiwali przychylność. Niedość bowiem, że się modlili i nie rabowali,

ale czując całą niesprawiedliwość wojny, w któréj prawdziwą igraszką losu mimo woli i przekonań uczestniczyć musieli, starali się téż wszędzie i w każdém zdarzeniu oszczędzić cierpień nieszczęśliwéj ludności, uchronić kogo można było od klęsk i niebezpieczeństw, a w wielu bardzo razach od śmierci: bądźto osłaniając ich i ostrzegając w czasie rozpasanéj swawoli żołdactwa, bądź z narażeniem się nieraz własném, ułatwiając ucieczkę niewinnym różnéj płci i stanów ofiarom, najniesprawiedliwiéj pojmanym i na śmierć haniebną skazanym.

Zapytywano nas często, dlaczegośmy ich gnębić przyszli, kiedy oni nam nic złego nie uczynili, ani nas znali nawet? „Jeśli wam ziemi nie starczy, mawiali, przychodźcie do nas jak bracia i przyjaciele, będziemy żyć razem i chleba nam nie zabraknie." Nie łatwo nam było odpowiadać na zapytania podobne; przy bliższéj jednak znajomości stosunki zawiązywały się coraz ściślejsze, najwięcéj zaś przez kobiety, które w Hiszpanii mniéj niż gdziekolwiekbądź do spraw publicznych mieszać się zwykły; wyjątek tu stanowią niektóre panie w stolicy lub damy, należące do rodzin przewodnictwo w kraju mających.

Z jeńcami lub rannymi nawet, którzy po klasztorach i lazaretach zostawać musieli, hiszpanie obchodzili się nieraz po tyrańsku, mordując i zabijając bez skrupułu; marudera lub zbłąkanego, jeśli się im w ręce dostał, tenże sam los oczekiwał. Polacy jednak, po pewnym czasie, gdy ich lepiéj poznano, czasem w takich wypadkach wychodzili cało i zdrowo, bo nienawiść zwracała się głównie do francuzów, a gdy przedłużyło się już zajęcie kraju i załogi nasze stały w jednych miejscach po kilka miesięcy i dłużéj, wyrobiła się między nami i mieszkańcami zażyłość nawet i najlepsza zgoda.

Romansów na wołowéj skórzeby nie spisał, ile ich tam mieli nasi oficerowie i żołnierze nawet i przygód téż osobliwszych niebrakło.

Znałem niejakiego Kaczorowskiego, który wszedł do naszego pułku ułanów, jako porucznik, a jeszcze w legionach włoskich służył w piechocie; ten miał w Medyolanie dziwne prawdziwie, a najszczęśliwsze w skutkach zdarzenie. Po dziennym skwarze, korzystając z wolnéj chwili, że noc była księżycowa i bardzo piękna, udał się on do cienistéj ulicy, położonéj nad głębokim kanałem i ciesząc się świeżém powietrzem, przechadzał się zatopiony w tęsknych dumaniach. Wtém posłyszał zdala w krzakach nad brzegiem jakieś wołania i jęki, podszedł więc żywo, a widząc, że osoba jakaś szamocze się w wodzie, chwytając się gałęzi zwieszonych, które jéj się z rąk wymykają i już prawie tonie, rzucił się pośpiesznie i niebawem udało mu się wyratować od niechybnéj śmierci jakąś nieznaną osobę. Była to dama młoda i piękna, ale obszarpana i prawie z ubrania odarta. Widząc, że uratowana omdlała zupełnie, wziął ją ostrożnie na ręce i zaniósł do niezbyt oddalonego biwaku; tu otulono ją płaszczami, wpuszczono w usta kilka kropel wina, a po niejakim czasie, gdy do przytomności przyszła, z wielkiém zdziwieniem dowiedział się Kaczorowski, że jestto panna margrabianka Eleonora Casabianci, córka bardzo bogatego, znanego i szanowanego

powszechnie człowieka. Wracała ona z teatru i chcąc skorzystać z pięknego wieczoru, odprawiła karetę, a sama ze służącą poszła piechotą; w ulicy napadli ją jacyś rabusie, ze stroju, oraz kosztownych brylantów odarli i wrzucili do kanału; służąca wraz z rabusiami zniknęła, zkąd domyślano się, że z nimi w zmowie być mogła. Margrabianka gdy do sił przyszła, prosiła, aby ją odprowadzono do domu, że była jednak mocno jeszcze osłabioną, Kaczorowski wezwał kilku swoich wiarusów, uwiązano naprędce nosze, jak dla rannych robią, okryto ją płaszczami i tak w eskorcie poniósł ją Kaczorowski do pałacu ojca.

Margrabia zobaczywszy córkę w tym stanie, przekonany był zrazu, że ją żołnierze nasi napadli i odarłszy, a okrywszy płaszczami, na urągowisko do domu odnieśli; wpadł więc w pasyą i furyą szaloną, zaczął lżyć i łajać tak, że do słowa nie dał przyjść nikomu i uspokoić go nie było podobna. Kaczorowski nie zważając na nic i nie czekając dalszych tłómaczeń, bo i po włosku ledwie piąte przez dziesiąte rozumiał, złożywszy pannę w pałacu, zabrał się ze swymi żołnierzami i do biwaku powrócił. Nazajutrz ledwie się dzień zrobił, margrabia uwiadomiony już od córki o całym wypadku, wpadł do Kaczorowskiego, nie mogąc słów dobrać na wyrażenie swéj wdzięczności za wyratowanie jedynego dziecięcia, chciał znaczną nawet ofiarować sumę, ale Kaczorowski harda dusza w ubogiém ciele, prosił, żeby mu téj krzywdy nie czynił i wręcz odmówił przyjęcia. Casabianci więc obdarował suto żołnierzy, dla oficerów wyprawił ucztę wspaniałą i póki ten legion stał w Medyolanie, opiekował się Kaczorowskim, jak synem. Dotąd niéma w tém zdarzeniu nic nadzwyczajnego; nie na tém jednak był koniec owéj przygody, tu bowiem czyn dobry w najosobliwszy sposób odniósł zasłużoną nagrodę. Po utworzeniu Księztwa Warszawskiego, na początku 1807 r., szczątki legionów włoskich powołane zostały do ojczyzny, składały się one tylko z trzech batalionów piechoty; żołnierzy wszystkich, nim wyszli do kraju, zabrał do siebie Józef, król neapolitański, z nimi téż razem przyjęła służbę i część starszyzny wojskowéj, reszta zaś oficerów i podoficerów wróciła do kraju i prawie wszyscy zaciągnęli się do pułków ułańskich, które zaraz następnego roku wysłano na wojnę hiszpańską; między tymi właśnie był i Stanisław Kaczorowski. Znalazł się on w dywizyi generała Dupont, który na samym początku kampanii 1808 roku, lubo miał sławę ustaloną znakomitego i uczonego wodza, przez fałszywe jednak obroty, znalazł się w takiém położeniu, że mając korpus z siedmnastu tysięcy ludzi złożony, przymuszonym był wejść w układy z generałem Castanos i w Baylen haniebną kapitulacyą podpisał. W skutek tego nieszczęśliwego wypadku, po rozbrojeniu wojska, hiszpanie umowy nawet nie dochowując, czterystu naszych polaków, a z nimi i Kaczorowskiego, obdarłszy do bielizny saméj, wysłali na wyspę Cabrerę. Na téj pustéj i jałowéj skale, bez przytułku, bez odzieży i bez chleba nawet, żywiąc się wodą i ślimakami, w zimnie, nędzy i głodzie, nieszczęśliwi wygnańcy nasi myśleli, że już dla nich ostatnia wybiła godzina. W kilka dni po wylądowaniu, kiedy już ci biédacy le-

dwie się na nogach trzymali, przybiła do wyspy łódź rybacka z zapasami żywności i odzieży. Kaczorowski, siedzący właśnie nad brzegiem morza, gdzie już tylko śmierci oczekiwał, oczom swym wierzyć nie chciał, ujrzawszy wysiadającego na ląd... margrabiego Casabianca. Dziwną łaską Opatrzności dowiedział się on o losie polaków, nie przypuszczając nawet, żeby się tam Kaczorowski znajdował; przez miłosierdzie jednak a może i pamięć, pośpieszył natychmiast z pomocą i nie poprzestając na tém, przez stosunki swe, gdyż miał krewnych w Hiszpanii, u których właśnie bawił, wyjednał nietylko ulgę dla jeńców, ale gdy anglicy wywozili ich wszystkich do siebie, Margrabia za pośrednictwem posła angielskiego, zdołał zupełnie uwolnić Kaczorowskiego i czterech jego towarzyszów, którym do Francyi wrócić pozwolono.

Gdyby opisywać przyszło najosobliwsze meraz losy rodaków naszych, którzy w owych czasach tułali się po całym świecie, po wszystkich lądach i morzach, ileżby przygód podobnych naliczyć można. W Hiszpanii wielu starszych oficerów, zostawszy komendantami miejsc obronnych, po kilku latach pobytu zagospodarowało się jakby we własnym kraju, pożenili się i z całemi rodzinami później wracali do Polski. Począwszy od kapitana Michałowskiego z Saragossy, albo Suligowskiego oficera od piechoty, tamże zamieszkałego, który dymisyą wziąwszy, ożenił się z córką alkada i doskonałe własne wino tłoczył: możnaby takich całą litanią wyliczyć. Za walecznym nawet księciem Sułkowskim, kiedy go w 1810 roku, po krótkiém gubernatorstwie miasta Malagi odwołano, mówiono że pojechała także jedna zakochana hiszpanka, a jak inni dowodzili, afrykanka, która miała być bardzo piękną, tém się zaś szczególnie odznaczała, że nosiła jeden kolczyk z ogromnéj perły czarnéj u nosa. Dostała się ona późnéj do Warszawy, gdzie sklep jakiś utrzymywała. Romansów i małżeństw naszych oficerów obrachowaćby trudno, nie mogę tu jednak pominąć wspomnienia o jednym człowieku nieznanym prawie, zapomnianym, który w czasie pobytu swego w Hiszpanii, zawarł związek małżeński tak osobliwy i świetny, że powinien był być wiadomym nie tylko w Polsce, ale w świecie całym; i gdyby rzecz nie była ściśle prawdziwą, z trudnością uwierzyćby w nią przyszło.

W nieskończonych marszach, prawdziwéj włóczędze naszéj po Hiszpanii, osładzanych jedynie cudowną częstokroć pięknością i klimatem tego kraju, stanęliśmy pierwszych dni stycznia 1810 roku w miasteczku Alcaniz, w Arragonii. Leży ono nad rzeką Guadalupe wpadającą do Ebro, w położeniu pięknem i malowniczém, skupione u stóp wysokiego wzgórza, na którém wznosi się cytadela, czyli zamek obronny, zdając się tulić pod jego opiekę; nie była ona jednak dość silną, oddawna bowiem stała tu załoga wojsk francuzkich z częścią polskich legionów. Tych jeden batalion stał w cytadeli saméj, któréj francuzi dla niewygody zająć nie chcieli, gdyż w zamku całym ani drzwi ani okien prawie nigdzie nie było, a wiatr tu na górze, dął wiecznie tak

przeraźliwy, wyjąc po izbach, zaułkach i korytarzach, że ani się gdzie przytulić, ani ognia rozpalić nie było podobna.

My z naszym szwadronem stanęliśmy w miasteczku, dowiedziawszy się jednak o braciach naszych znajdujących się w twierdzy, kto mógł, pośpieszyliśmy ich odwiedzić. Obcy, w dalekim a nieznanym kraju, pomiędzy obcém wojskiem rozrzuceni, biegliśmy jedni do drugich, choć nieznani i witaliśmy się poraz pierwszy, a często i ostatni, jak rodzeni bracia, którzy się oddawna nie widzieli. Listy do kogokolwiekbądź przychodzące z kraju, przynosiły nieraz wiadomości dla każdego ciekawe, rozmowa sama i wspomnienia stron rodzinnych nieopisaną były dla nas rozkoszą. W kilku zaciszniejszych izbach na dole mieszkał tu właśnie szef batalionu legii nadwiślańskiéj, kapitan Chłusowicz, do którego pociągnął mnie wspólny nasz znajomy, adjutant major Gosławski, wkrótce téż i kilku innych kolegów naszych nadeszło; towarzystwo zebrało się dość liczne i gospodarz przyjął nas z uprzejmością wielką; że był wszelako sam smutny, znękany i milczący, chociaż więc mile nam wieczór na rozmowie i wspomnieniach upłynął, nie mogliśmy się bawić wesoło. Słyszałem w dalszych izbach kwilenie dziecięcia, stara jakaś piastunka pokazała się kilka razy, kobiet jednak żadnych nie widzieliśmy więcéj, i późniéj dopiéro dowiedziałem się bliższych nieco szczegółów o kapitanie Chłusowiczu. Kiedyśmy go naówczas odwiedzili, właśnie przed kilku miesiącami stracił był żonę, która go po roku małżeńskiego pożycia odumarła, zostawiając małą dziecinę.

W Polsce, kiedy dowiadujemy się, że ktoś jest żonaty, pytamy zwykle o nazwisko żony, jak jest z domu? I nic w tém niéma dziwnego, bo cała szlachta nasza stanowi jakoby jeden dom i jednę rodzinę na liczne podzieloną gałęzie; a rzadko jest spotkać z odległych okolic nawet takiéj szlacheckiéj rodziny nazwisko, o któréjby się coś nie wiedziało, któraby przez związki swe i stosunki nie była nam znaną.

Z cudzoziemcami rzecz jest wcale inna: tu, ludzie dla nas są zupełnie obcy, nazwisko więc niczego nauczyć nie może. Niebyłbym przeto ciekawy wiedzieć jak się nazywała owa hiszpanka z którą Chłusowicz był żonaty, gdyby mnie nie zagadnął sam Gosławski pytając, czy wiem kto ona była. Odpowiedziałem, że i kapitana nie znałem dotąd i o żonie jego nic nie słyszałem. Tu dopiéro, opowiedział mi kolega, że Chłusowicz, przed rokiem, stojąc w Tudeli, około Valladolid, poznał się z jednym staruszkiem hiszpanem, który był w prostéj linii ostatnim potomkiem Krzysztofa Kolumba; wnuczka owego staruszka, młodziuchna, bogata i piękna panienka, tak się szalenie a prawdziwie po hiszpańsku, w kapitanie rozmiłowała, że dziadek bojąc się o jéj zdrowie i życie, sam go do małżeństwa ośmielił, które téż doprowadziwszy do skutku, zmarł wkrótce. Został po nim ruchomy i nieruchomy majątek dość znaczny, który spadał na żonę Chłusowicza; ale najpiękniejszą spuścizną, rzec można, klejnotem nieocenionym, przechowanym w rodzinie, najgłówniejszą po wiekopomnym podróżniku

pamiątką, był to, na złotym grubym łańcuchu takiż duży medal z wizerunkiem królewskiéj pary Ferdynanda i Izabeli, wybity w roku 1494 i ze stosownemi napisami za odkrycie Ameryki, dany Columbowi przy sławnym a wspaniałym wjeździe jego do Barcelony po powrocie z podróży. W późniejszym czasie Chłusowicz podzielając losy polskich legionów odwołany został z Hiszpanii na początku 1812 roku; sprzedał więc dom, który posiadał w Valladolid po żonie, a była to również po Columbie spuścizna, tam on bowiem mieszkał i życie zakończył; dom ten jednak dostał się w dobre ręce, kupił go bowiem niejaki Veragoa, który lubo z bocznéj linii, także był sławnego podróżnika potomkiem.

Po odbytéj kampanii 1812 roku, gdy Chłusowicz korzystając z amnestyi, wrócił do kraju, kazano mu osiedlić się w stronach zkąd pochodził; w Petersburgu więc, niewiadomo z jakich powodów, zostawiwszy małą córeczkę swoją Dolores u księżnéj Naryszkin na wychowanie, powrócił w Grodzieńskie [1]) i zamieszkał u dalekiego krewnego swego marszałka Wrońskiego, w powiecie słonimskim, gdzie też do końca życia zostawał. Zjeżdżano się tam z ciekawością oglądać ów sławny medal, oraz wiele innych cennych pamiątek i przedmiotów, niewiadomo jednak co się z tém wszystkiém po śmierci Chłusowicza stało i jaki był los jego córki.

Tak, dziwną wypadków koleją, jedna z najsławniejszych w świecie pamiątek, za którąby dziś anglik albo amerykanin jaki góry złota położył, dostała się do nas, w uprzywilejowaną krainę zatraty wszelkich zabytków przeszłości i nie można zaręczyć, czy jéj dla popadzianek na pierścionki nie przerobił jaki żydek słonimski.

Po pierwszéj bytności naszéj w Alcaniz, dwa razy jeszcze późniéj, przechodząc przez tę okolicę wraz z podkomorzycem i Żebrowskim odwiedzaliśmy zawsze Chłusowicza, który nam ów medal pokazywał. Ostatni raz w Hiszpanii spotkałem się z nim w czasie bitwy pod Posuel dnia 24 października 1811 roku i przy wzięciu Murviedro, gdzie generał Blake straciwszy 1500 ludzi, na głowę porażony został, a jedynie legie nasze i ułani los całéj bitwy rozstrzygnęli, o czém u historyków francuzkich niéma nawet wspomnienia [2]). Tam, wybawił mnie od niechybnéj śmierci, kiedym był ranny i konia podemną ubito, podkomorzyc wraz z Józefem Stadnickim, sławnym siłaczem naszym, który nieraz na patrol wysłany, sam jeden, jak nażart po dwie placówki hiszpańskie za kołnierz do obozu przyprowadzał, a miał sobie za

[1]) W przejeździe był kapitan Chłusowicz w Romanowie (na Podlasiu) i w Dołhém (gub. grodzieńska) u rodziców autora, gdzie między wielu pięknemi rzeczami, oglądali wszyscy i ów sławny medal Columba. Matce autora ofiarował natenczas kapitan Chłusowicz rodzaj portfeilu misternéj roboty z kordubańskiéj skóry, który dziś jest w posiadaniu rodziny. *Prz. Aut.*

[2]) Treść raportu z pod Murviedro, dnia 26 października 1811 r., pisana po francuzku przez kapitana Chłusowicza, do generała dywizyi Harispe, znajduje się w posiadaniu autora. *Przyp. Aut.*

szczególny obowiązek biedz zawsze na obronę oficerów, jeśli który z nich był w czasie bitwy zagrożonym.

W wojskach naszych w Hiszpanii było natenczas niemało takich siłaczy; Załuski jedném uderzeniem pięścią, każdego jeźdzca z konia zwalił; Kłoczewski, szeregowiec z legii nadwiślańskiéj, przy budowie jakiéjś będąc, kiedy siedział na belce i linę na dół zrzucił, uczepiło się do niéj jedenastu mameluków i wyrwać mu jéj nie zdołali, kazał im się przeto mocno owéj liny trzymać i wszystkich razem wciągnął do góry. Takim był i sławny Zielonka, wachmistrz trzeciego szwadronu w pułku Krasińskiego; nie mniejszéj téż siły znajomy mój Wasilewski, który wziąwszy dymisyą z pułku elizabetgrodzkich huzarów, wkrótce po spotkaniu się zemną, wszedł do Księztwa Warszawskiego i ujrzałem go już w Hiszpanii kapitanem trzeciego pułku woltyżerów. Nasz Łukaszek Żebrowski zadziwiał wszystkich zimną krwią i niezachwianym w największych niebezpieczeństwach spokojem. Kiedy nam w zabezpieczeniu armat stojącym, pod gradem kul co chwila przerzedzały się szeregi, Łukaszek palił swoję krótką fajeczkę, a gdy mu raz kula nad samą czaszką na wylot kaszkiet przedziurawiła, puszczając kłąb dymu, rzekł ze swym zwykłym dobrodusznym uśmiechem:

— A! to Bóg zapłać! słońce okrutnie pali pod kaszkietem, teraz przynajmniéj wiatr trochę przedmucha.

Mój Iwaś w Hiszpanii już wstąpił do naszego pułku. Niémiał on téj krwi zimnéj, ale w szarży, w uderzeniu, zaciętym był, jak prawdziwy rusin, a na czatach, patrolach, podjazdowych utarczkach i wysyłkach nieoceniony. Wesoły zaś humor jego i najosobliwsze spostrzeżenia i uwagi, jakie czynił nad obcemi krajami, ludźmi i obyczajami, nietylko nas wszystkich co chwila pobudzały do śmiechu, ale rozchmurzały nawet nieraz i posępne czoło podkomorzyca. Wszyscy trzej, jakeśmy wstąpili do szeregów razem, w jednym pomieszczeni szwadronie, a z lat młodzieńczych od czasu naszego bractwa w Lubieszowie prawdziwie braterską związani miłością, zawsze téż nierozłączni, smutek i wesele, niewygody i dostatki podzielaliśmy z sobą, a zginąćby nam przyszło każdemu i nieraz, gdybyśmy się nie wspomagali wzajemnie. Podkomorzyc ocalił mi życie, jakom wyżéj powiedział, ale żeśmy się często w starciu wyrąbywali razem, to już i spamiętać trudno kto, kiedy i komu przybiegł z pomocą.

Całe półczwarta roku téj kampanii naszéj było jedném nieustannem pasmem bitw, marszów, kontramarszów i utarczek drobniejszych, których ani zliczyć, ani spamiętać żadenby z nas nie potrafił, a pułk nasz, o którym bez przechwałki, ale z prawdziwą chlubą powiedzieć można, że z waleczności słynął, boć go sami hiszpanie *Los infernos* przezwali, rozrywany był przez generałów naszych. Z pułkownikiem Klickim po bitwie pod Tudelą, część jego poszła pod Saragossę, reszta w czwartym korpusie generała Sebastyaniego walczyła z anglikami, hiszpanami i portugalczykami w armii południowéj. Biliśmy się razem, lub rozdzieleni pod generałami: Lefebvre, Soult, Lasalle, Mortier,

Merlé, Pèrimont i innymi; brał nas kto mógł, gdyż przed lancami ułańskiemi nieprzyjaciel nie ostał się nigdy. Byłto pułk prawdziwie nieprzeparty i szalony w ataku, błądził tém chyba, że się najczęściéj zapędzał zuchwale i przez to jedno ginęło zbyt wielu bez żadnéj dla sprawy korzyści. Nie mówiąc już o drobnych utarczkach tego pułku ułanów naszych, dość wspomnieć wawrzyny, które zbierał w bitwach pod Talavera, Amonacid, Ocania, Rio-Almanzor, Lorca, Olivenca, Badajoz, oraz w sławnéj bitwie pod Albuhera, gdzieśmy anglikom dwieście najpiękniejszych koni zabrali i jak wszędzie, tak i tu, głównie na naszą stronę przechyliliśmy szalę zwycięztwa, o czém najlepiéj raporta samych anglików przekonać mogą. Wszystkie te bowiem czyny waleczne zaledwie przez francuzkich historyków wspomniane zostały i zapadły w ciemną przepaść zapomnienia. Cóż powiedzieć o bezstronności takiego dziejopisarza, jak Thiers, który przemilczał o wzięciu niedostępnego wąwozu Sommo-Sierra, przez trzeci szwadron pułku Krasińskiego, przypisując to francuzom, gdzie ich noga nie była i jedynie wskutek publicznéj odezwy pułkownika Niegolewskiego, błąd swój, pewno nieprzypadkowy, zmuszonym był odwołać. Tu jednak pierwszy, co otworzył drogę, waleczny szwadron Kozietulskiego i następne z Tomaszem Łubieńskim i Roztworowskim, działały w obecności samego cesarza, całego sztabu i wszystkich wojsk zgromadzonych; cóż więc dziwnego, że niemniéj godne wiekopomnéj chwały zdobycie przez naszych ułanów wąwozu Sierra-Morena, nikomu prawie nie jest znane.

Z Murcyi do Andaluzyi, przechodząc w styczniu 1810 roku, zastaliśmy te wązkie i kręte między dwoma ścianami niebotycznych skał przesmyki, również jak w Sommo-Sierra, obsadzone działami i armią kilkudziesiąttysięczną i nie kto inny jednak torował tam drogę, ale my sami; a gdy pod Sommo-Sierra dzielni ułani Krasińskiego, sformowani już przed atakiem, jak piorun wpadli do wąwozu, my w ręku prowadząc konie pod paszczami dział, które ziały na nas kartaczami, wsiadaliśmy na koń i zdobywali pozycye, niedostępne prawie. Tegoż roku oparliśmy się byli aż o portugalską granicę i stanęliśmy pod Rodrigo, kiedy nam Welington z całą dywizyą zatamował drogę; kilkudziesiąttysięczny korpus jego składał się w części z anglików, w części z portugalczyków, oraz ruchawki dowodzonéj przez angielskich oficerów, zwanych *Ordenenzas*. Ci partyzanci byli dla nas najcięższą plagą, bitwy bowiem otwartéj unikając, dniem i nocą niepokoili nasze forpoczty i mniejsze oddziały, urywali gdzie co mogli, zabierali transporty wojenne, żywność i magazyny, pastwili się nad maruderami lub jeńcami, od nich téż największe ponosiliśmy szkody. Z naszéj strony, pod Rodrigo, lewém skrzydłem, gdzie i myśmy się znajdowali, dowodził Bessières, prawém Massena, będący właśnie w odwrocie z nieszczęśliwéj wyprawy swéj do Portugalii, środkiem korpusu Douvsen, marszałek gwardyi cesarskiéj. Oba wojska rozłożyły się były zdala od siebie na łagodnych stokach wzgórz przeciwległych, rozdzielonych obszerną, żyzną i piękną doliną, któréj środkiem biegła w tysiącznych zwojach ma-

ła rzeczułka, jak wstęga błękitna wśród zieloności traw, bujnego zboża, winnic, krzaków świętojańskiego chleba i lasków oliwnych. Dolina ta, utworzona przez dwie odnogi wzgórz, łączących się w stronie południowéj, rozszerzała się ku północy, dokąd też kierowała się i owa rzeczułka, parę mil daléj wpadając do rzeki Aguenda. Nad rzeczką rozrzuconych było kilka folwarków i osad, które znalazły się teraz pomiędzy dwoma nieprzyjacielskiemi zastępami, lada chwila mogącemi te urocze siedliska, pełne wesela, swobody i życia, zgnieść między sobą, zamienić w kupę popiołów i gruzów, w dolinę łez i śmierci. Żal było patrzéć na tych mieszkańców biednych, którzy spostrzegłszy, w jakiém są położeniu, z płaczem i trwogą zabierali się do ucieczki, unosząc co kto mógł, a wymykając się pomiędzy wojskami ku południowi, w mniéj dostępne góry i wąwozy. Myśmy te sceny najlepiéj widzieć mogli, zajmując na lewém skrzydle wynioślejszą nieco pozycyą, zkąd też i całe prawie rozłożenie armii Welingtona dość dobrze widzieć się dawało. Korzystał z tego dowodzący dywizyą naszą generał Bessières, pilnie, a bezustannie przez lunetę śledził ruchy nieprzyjaciela. Że się tu walna bitwa stoczyć musi, już wątpliwości nie było; oba jednak wojska, tak nasze, jako i przeciwne, nie bardzo się ku temu kwapiły; z obu stron starano się pierwéj zbadać siły, z któremi się spotkać miano, rozkład ich i położenie miejscowości. W tawernie, czyli karczmie, znajdującéj się poza naszym właśnie obozem, gdzie generał Bessières kwaterował, jako w najdogodniejszém miejscu, zjeżdżali się po kilkakroć dowódzcy nasi, tam też i rady wojenne składano, rozsyłano szpiegów, posyłki i rekonesanse. Nazajutrz po nadciągnieniu naszém w tę stronę, kiedy się cała armia rozwijała jeszcze i rozkładała, po nocnéj naradzie wojennéj, do dnia otrzymały rozkaz wsiadania na koń dwa nasze szwadrony. Posileni naprędce winem i bułką, stanęliśmy w gotowości; zdziwiliśmy się jednak, widząc samego generała Bessières, który pozdrowiwszy nas uprzejmie, osobiście nad tak małym oddziałem objął dowództwo i natychmiast dał znak do pochodu. Wąwozy dość były wązkie, ruszyliśmy trójkami, radzi z zaszczytu, że pierwsi zaczną mamy wojenne działania.

Ranek był pogodny i w okolicy górskiéj prawdziwie zachwycający; cała dolina zdawała się usypiać jeszcze w cieniu, spowita we mgle puszystéj, która na swéj srebrzystéj powierzchni zabarwiała się już różowym odblaskiem, rzuconym od wierzchołków gór, po stronie zachodniéj leżących, a oświeconych wprost jaskrawemi, purpurowemi promieniami wschodzącego słońca, szczyty zaś gór po stronie wschodniéj, na któreśmy właśnie wstępowali, czarno prawie rysowały się na jasném tle w tysiączne barwy ozdobnego nieba; woń ziół górskich i dzikiego rozmarynu nasycając powietrze, czyniła go jakby orzeźwiającym balsamem.

Cicho postępowaliśmy za dowódzcą, który nas prowadził, cisza też najzupełniejsza panowała wokoło i w szeregach naszych; wobec téj czarującéj natury, niejednemu wyrwało się tęskne westchnienie z my-

ślą o oddalonéj rodzinnéj krainie, gdzie i gór niebrak i pięknych widoków, a choćby i mniéj piękne były, najdroższe, bo swoje.

Wąwóz, którym postępowaliśmy, w tył nieco poza linią naszego obozu, skręcając się ku południowi w prawo, prowadził na wyżéj piętrzące się, niezbyt jednak wyniosłe szczyty; roślinność bujna w dolinie coraz się bardziéj ku wyżynom zmniejszała, odkrywając nagie, porysowane i popękane skały. Już byliśmy prawie u wierzchołka górzystego grzbietu, kiedy w załomie wąwozu generał zwrócił się ku nam i ręką tylko skinąwszy, kazał się zatrzymać; stanęliśmy jak wryci; Bessières zsiadł z konia i pieszo, z lunetą w ręku, skierował się w bok ku rozpadlinie skały, która otwierała widok na drugi stok góry; wychylony z za téj ściany kamiennéj, pilnie przypatrywał się czas jakiś, wreszcie zwrócił się żywym krokiem i oznajmując, że niebawem z nieprzyjacielem spotkać się mamy, kazał mocniéj przytrokować kulbaki i w zupełnéj gotowości do boju postępować na szczyt góry.

W istocie okazało się, że armii naszéj anglicy chcieli tył zająć i w tym celu wysłali oddział huzarów, a za nim, o czém nie wiedzieliśmy nawet, grenadyerów swoich i gerillasów. Generał widział tylko huzarów, gdyśmy więc pokazali się na wierzchołku góry, spostrzegliśmy ich na paręset kroków przed nami. W jednéj minucie, lubo w najniewygodniejszéj pozycyi, złożywszy lance w pół ucha końskiego, jak się należy, uderzyliśmy na nieprzyjaciela. Huzary jednak, ledwie nas spostrzegli, pierzchnęli odrazu; rzuciliśmy się w pogoń, kilkunastu dostało się w ręce nasze, ale gdyśmy się w najlepsze rozpędzili, z dwu stron naraz, znienacka, to jest z boku od gerillasów i z frontu od grenadyerów angielskich, zaskoczeni i obsypani zostaliśmy gradem kul nieprzyjacielskich. Z grenadyerami, na których wpadliśmy bezwiednie prawie i zgoła niespodziewanie, nastąpiła najcięższa przeprawa; zrobiło się zamieszanie, jak w garnku, grenadyerzy cofnęli się wreszcie, my zaś opamiętawszy się po utarczce i obrachowawszy się między sobą, ujrzeliśmy w szeregach naszych znaczny ubytek. Ja i Łukaszek wyszliśmy obronną ręką z téj przeprawy, z lekkiemi tylko ranami, ale najgorszém było to, żeśmy wcale nie wiedzieli, co się z podkomorzycem stało. Nie mogliśmy się uspokoić w żalu naszym i niepewności, Żebrowski był prawie w rozpaczy, zaczęliśmy się rozpytywać towarzyszów naszych, ale to w pochodzie nie było łatwém; gdyśmy się dopiéro znaleźli w obozie, nadbiegł mój Iwaś, oraz wachmistrz z drugiego plutonu Bączalski, którzy zapewniali nas, że Józio niebył rannym nawet, lecz gdy pod nim konia ubito, porwali go grenadyerzy, uprowadzając z sobą.

Wieść ta przeraziła nas bardziéj jeszcze, bo wydostanie się z rąk gerillasów, jeśliby oni pochwycili podkomorzyca, było niepodobném prawie, a co gorzéj, groziło śmiercią męczeńską.

Ja tak byłem tym nieszczęśliwym wypadkiem zgryziony, że mi się myśli plątały i zgoła rady nawet, ani ratunku nie widziałem żadnego. Żebrowski wszelako, twardszéj snać odemnie natury, lubo zasmucony i zafrasowany mocno, przytomnéj myśli nie tracił. Poduma-

wszy chwilę, pobiegł do pułkownika, zkąd powróciwszy, nie mówiąc nic, pieszo, z karabinkiem tylko, żywym krokiem ruszył na pobojowisko. Już było dobrze z południa, leżałem właśnie w szałasie z oliwnych gałęzi, ustawionym naprędce, stękając trochę po téj gorącéj przeprawie, bo mię rana w ręku paliła okrutnie, kiedym go spostrzegł nadchodzącego. Zziajany był i zmęczony, usiadł koło mnie, ocierając kroplisty pot, co mu oczy zalewał, mieszając się może z niejedną łzą za utraconym towarzyszem i przyjacielem. Zacząłem go się wypytywać, gdzie chodził i po co; milczał uparcie, ledwie nieledwie dowiedzieć się mogłem, że dotarł do miejsca naszego rannego spotkania, że oglądał zabitych, między któremi podkomorzyca nie było.

— Ale ja go muszę z niewoli wydobyć—powtarzał ciągle.

— Jakim sposobem?—spytałem wreszcie.

Machnął ręką wyraziście, ale nie odpowiedział nic.

— Mam ja myśl—rzekł po długiém milczeniu—bom się na pobojowisku nie darmo włóczył, ale poczekajmy do wieczora, jak się generałowie zjadą na naradę, pójdę do tawerny, może i moja głupia głowa na co się przyda.

Napróżnom go się jeszcze wypytywał, Łukaszek jak skamieniały siedział, nie mówiąc ani słowa.

Tu objaśnić wypada, że gdy Massena szedł jeszcze do Portugalii, zdobywszy tam niewielką fortecę Almeidę, leżącą o dwie mile od Rodrigo, już za granicą hiszpańską, obsadził ją był garnizonem włochów, pozostawiając tam batalion piechoty z pułkownikiem i artyleryą. Teraz przeto, gdy Welington stanął między Almeidą i Rodrigo, została ta forteca zupełnie od armii naszéj odciętą, była to więc jedyna chwila, w któréj garnizon ten, gdyby z twierdzy wyszedł, mógłby i dywersyą Welingtonowi w czasie bitwy uczynić i połączyć się z nami. Zmiarkowali to generałowie nasi i przed wieczorem jeszcze zebrawszy się na naradę wojenną, postanowili przesłać dowódzcy fortecy w Almeidzie rozkaz, aby ją na dany czas, kiedy się walna bitwa nazajutrz rozpocznie, w powietrzé wysadził, a sam z garnizonem do nas się przez linią nieprzyjacielską przebijał. Chodziło o człowieka, któryby podjął się zanieść ten rozkaz komendantowi fortecy. Jeszcze więc na parę godzin przed zachodem słońca i przed wieczornym apelem, otrąbiono w obozie, że gdyby się znalazł ochotnik dla zaniesienia rozkazu do Almeidy, stawić się ma do generała Bessières po instrukcyą i jeśli w wyprawie téj szczęśliwie mu się powiedzie, sowicie nagrodzonym zostanie.

Gdy to usłyszał Łukaszek, zerwał się co żywo i pobiegł do kwatery generała, tu jednak ujrzał już czekającego na instrukcyą ochotnika, oficera od piechotnych strzelców, piemontczyka, który podejmował się téj niebezpiecznéj wyprawy. Byłyby wszelkie zamiary Żebrowskiego upadły, gdyby nie kapitan trzeciego pułku legii, Łuczycki, dobry nasz znajomy, który się w kwaterze generała natenczas znajdował; za wstawieniem się jego, Bessières, ułanów naszych bardzo lubiący, raz jeszcze rozpytawszy się dokładnie i upewniwszy o osobie Żebrowskie-

go, piemontczyka odprawił z niczém, a Łukaszkowi przedarcie się do fortecy powierzył.

Żebrowski uradowany, wpadł do naszego szałasu i pośpiesznie przebierać się począł, opowiadając o posłuchaniu swojém u generała. Kiedy po otrąbieniu i wywołaniu ochotnika wybiegał, niémiałem czasu mówić z nim ani słowa, teraz więc nastawałem już mocno, aby mi powiedział, jaki związek mieć może ta jego awanturnicza wyprawa z myślą, którą tak stanowczo objawiał, że podkomorzyca z niewoli wybawić musi i że ma jakieś względem tego projekta. Nie wątpiłem bowiem, że ta wycieczka nie w innym celu była przez Żebrowskiego przedsiębraną.

— Proszę mi już wybaczyć—odparł Łukaszek—bo ja nic nie powiem, nie chcę mówić przed czasem; jak da Bóg wrócę, to klnę się, że chyba z panem Józefem, a jak nie wrócę, no, to zmówcie zdrowaśkę za moję duszę.

— Ale ja możebym co dopomógł—rzekłem zniecierpliwiony tą tajemnicą—po co się kryjesz przedemną, czy to się godzi między nami...

— Niech Bóg uchowa!—zawołał Łukaszek—z czém się mam kryć?.. pan ranny jesteś, potrzebujesz spoczynku, ja sam tylko na domysł idę i do takiéj roboty jednego dosyć.

Tu, pożegnawszy się żywo, karabinek porwał na ramię i puścił się znowu w kierunku drogi którąśmy rano przechodzili.

Forteca Almeida położoną była za lewém skrzydłem wojsk nieprzyjacielskich, z naszego więc lewego skrzydła, Żebrowski chcąc się do niéj przedzierać, okrążać musiał poza całą linią wojsk angielskich, inaczéj jednak uczynić nie mógł, gdyż w górach i wąwozach z téj strony łatwiéj się było przemykać, niż płaszczyznami od prawego naszéj armii skrzydła. Gdy nam znikł z oczu, długośmy jeszcze o nim przemyślali, i prawdę rzekłszy, nie bardzo byliśmy pewni, czy z téj szalonéj wyprawy powróci.

Nazajutrz z rana zaczęły się już harce naszych i angielskich tyralierów, a niebawem i działa z obu stron rozpoczęły rozmowę; gadały téż gadały, nie sekretnie wcale, aż ziemia pod nogami drżała, a lubo mgła ranna opadła w dolinie, zastąpił ją dym gęsty, który chwilami tylko, pod lekkim powiewem wiatru, skłębił się i przerzedził. Nasze oba szwadrony, do asekuracyi dział przeznaczone, z miejsca się nie ruszyły; służba to jest dla kawaleryi najcięższa i stokroć od najżwawszéj bitwy do zniesienia trudniejsza; na ten raz jednak mniéj była, niż kiedyindziéj uciążliwą, położenie bowiem obrane szczęśliwie, znacznie nas od kul nieprzyjacielskich ochraniało. Tymczasem bitwa wzmagała się na całéj linii; z naszéj strony legie ucierały się z piechotą angielską, rozsypaną w laskach oliwnych i winnicach; wśród najgęstszéj zieloności przeglądały ich czerwone mundury, które jaskrawém słońcem oświecone, najwyborniéj nadawały się do celowania. Śmieli się téż z nich nasze mazury, przezywając „raczkami."

Wśród najgorętszéj bitwy prawie usłyszeliśmy potężny huk oddalony, jakby sto dział razem zagrało; wybuch to był min podłożonych w fortecy Almeidy: ucieszyliśmy się, będąc już pewni, że Łukaszek dotarł szczęśliwie na miejsce. Generał Bessiéres, widząc legie nasze ucierające się z piechotą angielską, która się po uliczkach winnic kryła, odkomenderował im w pomoc szefa Paca, z jednym tylko plutonem; wnet się też anglicy poczęli cofać ku wyżynom, na główną linię, gdzie sam Welington dowodził.

W téj chwili ujrzeliśmy rzecz dziwną, któréj z początku nikt sobie nawet wcale wytłómaczyć nie umiał. Gdy się bowiem na całéj linii wojska angielskie dość porządnie cofać zaczęły na pozycye wyższe, nasze też bez zbytecznych strat posuwać się za niemi nie mogły, z oliwnego lasku, leżącego na samym skraju doliny, przy lewém skrzydle naszém, wysunął się spory oddział grenadyerów szkockich. Już mieli na nich uderzyć nasi ułani, kiedy sam generał Bessières, który przez lunetę śledził wszelkie ruchy, wstrzymał komendę. Nie mogliśmy zupełnie zrozumieć, co to wszystko znaczy, ile że grenadyery, nie dając wcale ognia, sformowani porządnie, wprost ku nam śpiesznym krokiem dążyli. Gdy się już tak zbliżyli, że ludzi rozpoznać było można, z osłupieniem prawie ujrzeliśmy na czele owego oddziału... Łukaszka i podkomorzyca! Za nimi stu dwudziestu kilku grenadyerów szkockich prowadziło kilkudziesięciu gerylasów ze związanemi rękoma. Wszyscy ci, jak się okazało, grenadyerzy, mniemani szkoci, byli to polacy, zabrani przez anglików w niewolę na San Domingo i wcieleni do pułku szkockich grenadyerów, w którym przez ośm lat bez przerwy służyć musieli [1]). Łukaszek znalazł jednego z nich na pobojowisku, rannego lekko i przygniecionego zabitym koniem naszym ułańskim; byłby tam zapewne i życie zakończył, gdyby go był nie wyratował Żebrowski; opowiedział on swemu wybawcy i o reszcie rodaków, którzy anglikom po niewoli służyli; umówili się więc, żeby w nocy ujść i dostać się do naszego obozu, a Łukaszek miał ich przeprowadzić, spodziewając się, że i podkomorzyca przytém oswobodzi. Rzeczy się jednak zmieniły: Żebrowski, idąc do Almeidy, porozumiał się z grenadyerem, który do swego batalionu powrócił, a skoro komendant fortecy wyszedł z załogą, podprowadził go Żebrowski na stanowisko przez grenadyerów zajmowane, ci w jednéj chwili rzucili się na stojących blizko gerilasów, niewolników i podkomorzyca uwolnili i nawiązawszy ich jeszcze, jak baranów przyprowadzili do naszego obozu. Za nimi też ukazała się i załoga Almeidy, lubo znacznie uszczuplona, bo z tysiąca ogółem ludzi tam zostawionych, czterystu tylko wróciło; część wymarła w fortecy, część zginęła przebijając się przez linię wojsk angielskich, czém też i wycofanie się naszych polaków grenadyerów osłonione i znacznie ułatwione zostało. Trudno jest opisać radość tych biedaków, zobopólne zdziwienie, wykrzykniki i powitania,

[1]) Historyczne. *Przyp. aut.*

gorące łzy rozrzewnienia, kiedy się znaleźli wśród swoich, usłyszeli mowę ojczystą i odzyskali nadzieję powrotu do rodzinnéj ziemi. Niebawem rozległy się i wesołe śmiechy, zwłaszcza z ubioru owych szkotów, którzy przy pełnym mundurze nie mieli wcale, jednéj, najpotrzebniejszéj rzeczy... szarawarów. Nasze wiarusy przekonani byli, że anglicy przez skąpstwo i na pośmiewisko tak im się ubierać kazali; nie mogła ich wcale przekonać reszta umundurowania, piękna i wspaniała nawet. Mieli bowiem ogromne, ze skóry psów morskich, bermyce, z ponsowemi wierzchami, piórami i kutasami i blachę złoconą nad czołem, na któréj był lew brytański; kolety krótkie, ponsowe, z kołnierzami i rabatami czarnemi, obszytemi taśmą białą; do tego na obnażonych nogach nic więcéj, tylko sznurkowe chodaki i zielone, w kratki, małe... fartuszki.

Ubiór ten, prawdę rzekłszy, chociaż niby paradny, nam samym śmiesznym się wydawał, a Iwaś mój aż się przeżegnał.

— Tfu!—zawołał spluwając—co to, proszę pana, za żołnierze, jak baby, bez szarawarów, tylko w fartuszkach chodzą!

Obracali ich téż nasi ułani i nadwiślańcy na wszystkie strony, i za boki się brali od śmiechu. Do późnéj nocy gwar był w naszym obozie jak w ulu.

Generał Bessiéres niezmiernie był rad zdobyczy grenadyerów, wcielono ich do legii naszych, a Żebrowski, rozsławiony za swoją dzielną wyprawę, podany był do awansu i do orderu.

Po bitwie téj, nierozstrzygnionéj, która przeszło ośm godzin trwała, oba wojska na stanowiskach swoich zostały. Rozpoczęły się zatém układy i zawarto zawieszenie broni na dni piętnaście, po upływie których, gdyśmy się do walnéj bitwy przygotowywali, widząc na całéj linii angielskiéj szerokie w nocy ogniska, ze zdziwieniem ujrzeliśmy rano, że już tam Welingtona ślad tylko w tych obozowych popiołach pozostał. W nocy bowiem, poprzedzającéj dzień bitwy, wyniósł się tak cicho, żeśmy nie wiedzieli nawet, kiedy i jak to się stało.

Z całéj kampanii hiszpańskiéj, wstrętnéj i przykréj dla nas, bośmy, wbrew przekonaniom naszym, uczestniczyć w niéj musieli, odebranie owych grenadyerów, rodaków naszych, z rąk anglików, było dla nas zdarzeniem najmilszém, jedyném po naszéj myśli dziełem wojenném. Żebrowski, awansowany i ozdobiony krzyżem legii honorowéj pozyskał szacunek i miłość powszechną; bynajmniéj go to jednak nie wbijało w dumę, uśmiechał się dobrodusznie jak zwykle.

— Et! co tam!—mówił rzucając ręką niedbale—niewielka sztuka, toby każdy potrafił, tylko Bogu dziękować, że się pan Józef z rąk tych oprawców wydostał.

Wypadek ten stał się dla nas z całéj kampanii najbardziéj pamiętnym, ale również prawie niezapomniane i niezatarte pozostały w pamięci naszéj kilka miesięcy życia, któreśmy przepędzili we wsi Valdepenias, w prowincyi Mancyi, gdzieśmy na odpoczynek po bitwie pod Ponte Almaras w roku jeszcze 1809 stanęli. Kraj to jest tak roz-

koszny, jakoby w nim wieczna panowała wiosna, istny raj i ziemia obiecana, a taką zwłaszcza była dla nas. Przyszedłszy do téj osady, długiemi niewygodami wyniszczeni i znużeni, zastaliśmy tu wszystko, co tylko, jak mówią, dusza pożądać może... prócz ludzi. Mieszkańcy tutejsi, najzamożniejsi w kraju, opuścili siedziby, pozostawiając całe mienie, nieobliczone zapasy zboża, wina, bydła, trzody, domowe sprzęty, gospodarstwa całe, nietknięte i nienaruszone. Osobliwszy to i nadzwyczajny przedstawiało widok, niby w zaczarowanym zamku zastaliśmy wszystko na nasze usługi, a we wsi całéj cisza, pustka; nikogo, ani żywego ducha nie było. Nasz pułk i drugi holenderskich huzarów stał tu przez cztery prawie miesiące. Każda kompania miała swój dom oddzielny; zagospodarowaliśmy się tak, że w jednéj sali zawsze były stoły nakryte, a kucharze mieli jadło przygotowane, stały gąsiory i stągwie z wyborném winem, którego tam była taka obfitość, żeśmy go wypić nie byli w stanie, a zdarzało się, że nawet konie niém myli, zwłaszcza holendrzy, którzy niezbyt w winie smakując, piwo dla siebie warzyli. U nas zaś Majewski, adjutant, co był komendantem placu, pędził wódkę z wina, wyborną; karmiono wieprze i pod zarządem Skarzyńskiego doskonałe robiono szynki, salcesony i kiełbasy. Istnie też, jakby dla zabawy, mieliśmy codzienne z gerylasami utarczki, były one mniéj lub więcéj gorące i niebezpieczne, tyle właśnie, aby w czujności ducha rycerskiego utrzymać, zapełnić życie, i dać pole do popisu z opowiadań, które nam biesiady nasze ożywiały i rozweselały. Zdarzało się, że z wyprawy takiéj wróciwszy, gdy już i stół był gotowy i kowal czekał z obcęgami i młotkiem dla przybicia oberwanéj podkowy i jęczmień leżał zasypany w żłobie, ledwie się miało czas nieco posilić, znów trzeba było na siodło wskakiwać. Najczęściéj jednak wyprawy czyniły kompanie i oddziały kolejno, mieliśmy więc wypoczynek po trudzie spokojny i jeśli dni kilka upłynęło bezczynnie, już nam się i nudzić zaczynało. Była to prawdziwa jakoby rzeczpospolita żołnierska, życie wesołe, bez jutra, bez troski, a tylko wspomnienia rodzinnego kraju przerywały niekiedy tok myśli wesołéj, ale i te zagłuszane były gwarną rozmową, zabawą, śmiechem towarzyszów. Życie to nasze miało w sobie niezwykły, dziwny, niewysłowiony urok jakiś, którego obraz niezatarty niczem, w pamięci naszéj pozostanie nazawsze.

W końcu stycznia, już w 1812 roku, otrzymaliśmy rozkaz powrotu do kraju; radowaliśmy się wszyscy, ale nikt więcéj nad podkomorzyca. Nas cieszyło zakończenie wojny uciążliwéj, w któréj walczyliśmy z obowiązku raczéj, z konieczności, nie z przekonania; cieszył powrót do rodziny i ukochanéj ojczyzny, ale podkomorzyca, prócz tych wszystkich pobudek, ciągnęło serce, tęsknota do narzeczonéj i niespokojność tém większa, że od miesięcy kilku, żadnych już nie otrzymywał ztamtąd wiadomości. Pewnym on był stałości uczuć swéj narzeczonéj, bo w listach poprzednich od podczaszego i Michasia, którego ojciec jeszcze przytrzymywał w domu, sam często i mocno zapadając na

zdrowiu, i w przypiskach panny miał jasne dowody, że pamiętano o nim i czekano go niecierpliwie; teraz więc, gdy od tak dawna żadne nie nadchodziły wiadomości, niepokoił się mocno, nie mogąc pojąć przyczyny tego milczenia.

W początkach lutego, wiosna już w téj południowéj krainie w całéj pełni tysiączne a różnobarwne rozsypuje kwiaty, czas jest ciepły a nieskwarny i powietrze zdaje się być najrozkoszniejszą kąpielą. Wesoło puściliśmy się ku Pireneom, na Wschód, goniąc oczyma lekkie obłoczki, które nas wyprzedzały, lecąc w tęż samą, co i my szliśmy, stronę, może na nasze sioła i dwory i lasy, dokąd nas równie szybko pociągały serca, ale setki mil oddalenia rokowały marsz kilkomiesięczny. Pocieszała myśl jednak, że każdy krok konia, każde stąpienie zbliżało nas ku rodzinnéj stronie; moglibyśmy się przeto całą duszą weselić, gdyby na tym świecie było gdzie światło bez cienia, wieniec radości bez wplątanego weń ciernia smutku i żałoby. I tu więc, często piosnka wesoła urywała się w pół słowa, często milkła ożywiona i żartobliwa rozmowa, gdy na usta wybiegło imię znane, imiona wielu a wielu towarzyszów naszych, których dusze uleciały do najpierwszéj ojczyzny, ale prochy legły na obcéj, oddalonéj ziemi i niczyjéj tam łzy żalu ani pobożnego nie wywołają westchnienia.

Wyszło nas, polaków, natenczas z Hiszpanii, wraz z legionami nadwiślańskiemi, czyli piechotnemi pułkami 6,000 ludzi. W końcu maja byliśmy już na rodzinnéj ziemi, cztery miesiące szliśmy od Pampeluny do Poznania. Drugiego dnia po naszém przybyciu, kiedyśmy z rana po długim i nużącym marszu wypoczywali, widząc, że już od dni kilku podkomorzyc jest więcéj niż kiedykolwiek milczący i zamyślony, zagadnąłem go pytając czy nie chory.

Ruszył ramionami.

— To gorzéj niż choroba—rzekł smutnie—od Kruszyńskich żadnych wiadomości, stary Zaręba pieniądze wprawdzie nadesłał, ale ani słowa nie pisze, co się z nimi dzieje; tu nowa kampania się otwiera, a ja sam nie wiem co mam robić z sobą... iść... czy zostawać.

— Jakto?—spytałem—myślisz o dymisyi w marszu? przed najgłówniejszą może kampanią.

— Ha—westchnął—żeby choć urlop na kilka tygodni.

— Co tu o kilku tygodniach wspominać—odrzekłem—kiedy za kilka dni przyjdzie może na koń wsiadać.

Zacząłem mu przekładać, że kiedy się tyle lat przebyło cierpliwie, należy już dotrwać do końca, a i wiadomości nadejść przecie muszą.

Kiedy tak rozmawiamy, wchodzi do kwatery naszéj młodzieniec, którego ani ja, ani podkomorzyc nie poznaliśmy wcale; tylko Żebrowski, co natenczas przy ścianie tyłem do nas odwrócony, przysiadłszy w kuczki, w mantelzaku gmerał, słysząc że się drzwi otwierają, odwrócił głowę.

— Pan Michał! jak Boga kocham!--zawołał podbiegając ku niemu.

Tu, jakby nam się oczy otworzyły, rzuciliśmy się na powitanie.

— Cóż? nie poznaliście mnie—mówił Michaś Kruszyński—ale i was też słońce opaliło; czarni jesteście jak cyganie: mnieby was chyba trudniéj poznać było.

Jak plutonowy ogień, a raczéj jak kartacze posypały się wzajemne zapytania, których narazie, połowa przynajmniéj uleciała bez odpowiedzi, albo półsłowami tylko załatwioną została. Tyleż-bo rzeczy było do wypowiedzenia, tyle wiadomości do udzielenia sobie wzajemnie; a to wszystko chciałoby się w jednéj wypowiedzieć i usłyszéć chwili: jednych ust na to nie starczy i jednéj pary uszu zamało.

Najważniejszą atoli, lubo najsmutniejszą zwiastował nam Michaś wiadomość; poczciwy, a ukochany przez wszystkich podczaszy, przed kilku miesiącami właśnie, zakończył życie. Michaś też, załatwiwszy nieco sprawy majątkowe, jak skoro o nadchodzących wojskach posłyszał, pośpieszył do Poznania, w celu odszukania nas i przyłączenia się do naszych szeregów. To przybycie naszego kolegi, jako i bilecik od siostry, który narzeczonemu przywoził, uspokoiło wreszcie podkomorzyca; nie było jednak czasu do marzeń, do snucia jakich projektów albo zamiarów przed wojną, bo już w kilka dni potém, opatrzono nas w świeże mundury i konie, zatrąbione na apel i ruszyliśmy własnym już krajem... za Niemen.

Wiekopomna wyprawa, na podobieństwo jakiéjś krucyaty, którą Napoleon przeciw Rossyi przedsięwziął, znana jest całemu światu; ale gdyby o niéj setki tomów napisano, niebyłyby one chyba dostatecznemi do odmalowania tych scen, na jakie oczy nasze patrzały, tych przygód, jakieśmy przebyli; tych wreszcie uczuć i wzruszeń, którycheśmy w téj całéj kampanii doznali.

W szeregach wojsk, ciągnął za sobą ów chwilowy mocarz świata, mało nie wszystkie europejskie narody: istna wieża Babel. Czterykroćstotysięczna armia posuwała się w linii bojowéj na przestrzeni stu mil przeszło, rozciągając się od Połongi, aż pod Tomaszów u galicyjskiéj granicy. Ani Atylla, ani Batu-Chan nie ciągnęli tak szeroką przestrzenią kraju; a jeśli owa dzicz barbarzyńska, w swym niegdyś pochodzie niosła pożogę i mordy, była ona bezwątpienia, wobec pojęć obyczajowych więcéj godną usprawiedliwienia niż ci, zowiący się wielkim, cywilizowanym narodem, co popiołami i rabunkiem znaczyli swe szlaki, i to na ziemiach jeszcze, za których rzekomo sprawę, walkę podejmować mieli. Dla wojska nie było żadnych przysposobionych zapasów, miało ono zdobywać sobie samo wszystko, co do utrzymania i wyżywienia jego było potrzebném. Naturalném tak dziwnego urządzenia następstwem było rozpasanie żołdactwa, grabież powszechna, a ztąd i zupełne rozluźnienie węzłów karności wojskowéj; tak, że z samego prawie początku kampanii, liczba maruderów już do trzydziestu tysię-

cy dochodziła i w skutek skarg a narzekania powszechnego należało przeciw własnemu żołnierzowi, osobne oddziały wojska posyłać. Nieporządek ten nie był w armii francuzkiéj żadną nowością. Znane bowiem są rabunki i zbrodnie nawet popełniane przez maruderów armii w czasie wojny austryackiéj w 1809 roku; doszły one były do tego stopnia, że również jak w 1812 roku osobne oddziały do łapania tych złoczyńców wyprawiano [1]).

Z ośmdziesięciu pięciu tysięcy siedmiuset ludzi, ogółem ówczesnego wojska polskiego, zostawiono tylko dwadzieścia pięć pod dowództwém księcia Józefa, jako korpus piąty, resztę zaś, przeszło sześćdziesiąt tysięcy, rozrzucono tak pomiędzy armią całą, że ani ich samych, ani działania ich samoistnego nigdzie dopatrzéć się nie było podobna. Cała owa homeryczna wyprawa nosiła na sobie prawdziwe piętno czysto francuzkie: była olbrzymią na wielką skalę, komedyą. Sami historycy ich zapewniają, że Napoleon rachował na przestraszenie nieprzyjaciela i pewnym był, iż po pierwszéj bitwie przyjdą układy; komedyą była zorganizowana z rozkazu Napoleona a pod wpływem ambasadora Pradt'a owa niby konfederacya warszawska; komedyą były nakazywane z urzędu widowiska publiczne dla podniesienia zapału narodowego; komedyą, najrozmaitsze obietnice i przemowy Napoleona do wzywanych *ad hoc* deputacyi. Nieinaczéj nawet sami siebie oceniali główni aktorowie: Pradt komedyantem nazywa Napoleona, również jak księcia Bassano, który żyć w tym żywiole przywykły, nawet istotnych aktorów woził z sobą do Wilna. Bassano nawzajem, taksamo nazywa przewrotnego arcybiskupa mechlińskiego. Murat w hiszpańskim najosobliwszym stroju nieinaczéj wygląda, a sam wielki reżyser nie pozwala Dniepru inaczéj nazywać, tylko szumnobrzmiącém mianém: *Borysthenu!* Dla nienasyconéj swéj dumy poświęciwszy na najstraszniejsze męczarnie śmierci 300,000 ludzi, pokonany patryotyzmem narodu, karnością armii nieprzyjacielskiéj, dyplomacyą i klimatem, wesoły jednak i w najlepszym humorze okazuje się w przejeździe swym dnia 10 grudnia przez Warszawę. Rad że się wyrwał sam z nieprzyjacielskich szponów, żartuje, śmieje się, paple bez związku prawie, co mu ślina do gęby przyniesie i jednéj rzeczy tylko się obawia, aby w oczach Europy nie okazał się śmiesznym. Nikt mu zaiste zaprzeczyć nie może niezrównanego wojennego geniuszu; godne uznania są: dzielność i zapał francuzkiego wojska i tysiączne inne przymioty tego narodu, témbardziéj przeto zadziwiają, zdumiewają nieraz, niepojęta ich i nieuleczona lekkomyślność, barbarzyństwo często i chciwość. Wady te również jak przymioty najwybitniéj uwydatniły się właśnie czasu kampanii 1812 roku, a najlepiéj przez nas uważane być mogły; byliśmy bowiem

[1]) Rozporządzenie wojenne, tyczące się ukrócenia tych nadużyć, wydane zostało w głównéj kwaterze cesarskiéj w Schönbrunn, d. 14 czerwca 1809 r., podpisany książę Neufchatel, major generalny Alexandre (Berthier).

przyłączeni do wielkiéj armii z dziewiątym korpusem generała Victora i dopiéro w sławnéj rejteradzie po klęsce tego generała odesłano nas, już pod Orszą do korpusu piątego, dowodzonego natenczas przez generała Zajączka, gdyż książę Józef szwankując z koniem pod Tarutyno, nogę sobie wywichnął i zmuszony był daléj jechać powozem.

Rabunki wojsk wielkiéj armii, rozpoczęte zaraz na początku pochodu, ciągnęły się już mimo wszelkich nawet przedsiębranych środków, przez cały czas wojny nieprzerwanie; nieoszczędzono i Wilna, gdzie nietylko na przedmieściach dokazywało żołdactwo, ale i w klinice akademickiéj pomieszczeni żołnierze, powypijali nawet spirytus ze słojów, w których przechowywane były ciekawsze okazy członków ludzkich, z żywych lub umarłych amputowane. Rozprzężenie, zbytki i nieład do tego stopnia doprowadziły armią, że już w Witebsku sto tysięcy ludzi ubyło z szeregów. Po krwawéj bitwie pod Smoleńskiem, gdzie nasze wojska walcząc głównie, straciły dwa tysiące ludzi i sześćdziesięciu oficerów, wieść rozeszła się była, że tu stanąć mamy na zimowe leże. Mówiono, że za tém mocno książę Józef obstawał; radził silnego nieprzyjaciela nie lekceważyć, przypomiuał ciężkie zimowe przeprawy Karola XII, a wskazując cesarzowi dzikie gęsi, które już na południe ciągnęły, przepowiadał ciężką zimę; wystawiał niebezpieczeństwo prowadzenia wojny w téj porze w odległym kraju bez należytych zapasów i przygotowań; z drugiéj zaś strony wskazywał korzyści w zajęciu prowincyi południowych i umocnieniu się w krajach już posiadanych, dla rozpoczęcia dalszéj wyprawy z wiosną następnego roku. I Napoleon podobno, myśl tę z początku podzielał, powtarzając głośno, a dobitnie i chełpliwie, że „zastępy swoje nad brzegami Borystenu rozłoży." Nowe jednak zwycięztwa zawsze dzielnych wojsk francuzkich pod Połockiem i Walutyno, chęć zajęcia stolicy, a z nią i spodziewanych tam łupów wojennych, zmieniły poprzednie plany i popchnęły wodza do murów staréj, bogatéj Moskwy, o które cała wielkość jego i potęga rozbić się miały.

Pod Smoleńskiem staliśmy jeszcze dni kilka, upały były tak wielkie, że nam hiszpańską naszą wyprawę przypominały; armia téż jakby topniejąc, zmniejszała się ciągle, była wszelako jeszcze tak liczną, żeśmy stojąc tam przez dwa dni, dwa jeziora, nie wielkie wprawdzie, ale do szczętu i do kropli wypili.

Nastąpiła wreszcie sławna i pamiętna bitwa, pod Możajskiem, czyli Borodyno, która liczbę wojska jeszcze o dwadzieścia kilka tysięcy zmniejszyła; z obu stron bowiem poległo dziewięćdziesiąt tysięcy ludzi i dwadzieścia tysięcy koni. Zwarły się tu dwie największe ówczesne potęgi; bój rozpoczął na prawém skrzydle Davoust, wraz z księciem Józefem. Można sobie całą grozę téj walki wystawić choćby z tego jednego, że z saméj francuzkiéj strony w przeciągu godzin dziewięciu dano sześćdziesiąt tysięcy wystrzałów działowych, czyli więcéj, niż po sto na minutę. Geniusz wojenny Napoleona i męztwo wojsk jego przeważyły

szalę, nieprzyjaciel pokonany był chwilowo, ale niezwyciężony. Otwartą została droga do staréj stolicy; tu czekać miał wielki wojownik, aby mu składano hołdy, zdano się na jego łaskę i przystąpiono do układów —napróżno; nikt go nie wita i nie spotyka, mieszkańcy oddając na łup i na pastwę płomieni dostatki swoje i własne siedziby, uchodzą w step bez pokłonu. Jestto prawdziwa samołówka, w którą się najezdnik łapie; pięć tygodni łudzi się nadzieją układów, ale słońce coraz mniéj grzeje i jesień, a za nią zima, zbliżają się wielkiemi krokami. Tymczasem, gdy wojska polskie najcięższe odbywają służby obozowe, stojąc w otwartém polu, osłaniając armią, rozbijając się dla wyszukania furażów i żywności, a ucierając się z forpocztami; francuzi o niczém inném nie myślą, nie marzą, tylko o zdobyczach. Napoleon, jako wódz, nie próżnuje także; zabiera kosztowności w Kremlinie, z cerkwi św. Iwana zdejmuje krzyż kilkunastołokciowy, oraz figurę św. Jerzego, gdyż przekonano się, że są z czystego srebra ukute. Sam osobiście wybiera i wraz z Berthiérem rozpatruje, przy wesołéj gawędzie, drogie sprzęty w zamku i aparaty w bogatéj cerkwi zamkowéj, naradza się, co ile warte być może i każe przy sobie zrzucać na stosy; obraz, godzien pędzla jakiego znakomitego artysty. Wódz i generałowie bawią się rozmowami o zrabowanych sobolach, srebrach i drogich klejnotach, żołnierze łupią sklepy, składy towarów i mieszkania prywatne. W nienasyconéj chciwości zapominają o wszystkiém, rzucają broń, amunicyą i wszelkie najpotrzebniejsze, nieodzowne do życia i obrony zapasy, zapełniając natomiast kiesony, wozy, tornistry, kieszenie, torby i mantelzaki tysiącznemi rzeczami, których nawet wartości wcale nie znają. Wszystkoby zabrać chcieli, a niémając gdzie chować już i jak z sobą dźwigać, wysypują na ulicę to, co pierwéj zagarnęli, rzucając się na nowe łupy, które im się kosztowniejsze zdają. Trafiło się, że kompania jedna po wielekroć odmieniając zdobycz, wpadła wreszcie, późno już w nocy, do kasy rządowéj; stały tu wielkie wory z monetą, poczęto je dźwigać skwapliwie, pękł jeden i całą strugą aż na dół po wschodach i na ulicę posypały błyszczące, świeże pieniądze.

— Złoto! złoto!—rozległ się okrzyk wokoło.

Dalej-że, poraz niewiadomo który, wypróżniać tornistry i kieszenie z zabranych poprzednio przedmiotów, a zapychać je nową zdobyczą, najpożądańszą—złotem, tym ostatnim wyrazem, skupiającym w sobie wszelkie ich sny i marzenia. Cięższe to do dźwigania, niźli wyrzucone ładunki, ale cieszą się i weselą noc całą, przy blasku ognia pieszcząc wzrok pozyskanemi skarbami, zasypiają marząc o bogactwie i rozkoszach; nadchodzi ranek, budzą się pełni dobréj myśli i otuchy, ale co za rozczarowanie! mniemane złoto okazuje się prostą, świeżo z pod stępla wybitą, drobną miedzianą monetą.

My wszyscy, znając lepiéj kraj i klimat tamtejszy, przewidywaliśmy prawie, co nas czeka, a nie kusząc się bynajmniéj o cudze mienie, o żadne zdobycze, zaopatrywaliśmy się głównie w rzeczy nieodzowne,

kożuchy, zaprzęgi i zapasy do utrzymania życia potrzebne. Francuzi żadnych rad, ani przestróg naszych słuchać nie chcieli, ale straszne następstwa przyniosły karę za chciwość i przekonały ich, kto miał słuszność za sobą.

Dyplomatyczne układy, które się przez miesiąc przeszło ciągnęły, okazały się strategicznym wybiegiem, prostą ułudą; wielki wojownik dał się złapać na wędkę swéj bezmiernéj zarozumiałości i dumy; przedstawienia i nalegania Napoleona w odpowiedzi otrzymały nakoniec wyjaśnienie, że „dla francuzów wprawdzie kampania skończona, ale dla rosyan teraz się właśnie zaczyna." Bitwa pod Tarutyno i porażka Murata, przypominają nam, że należy myśleć o odwrocie.

(*Dokończenie nastąpi*).

PRZEGLĄD
NAJNOWSZÉJ LITERATURY WŁOSKIÉJ.

PRZEZ

Juliana Adolfa Święcickiego.

I.

Studya literackie.

Molmenti: *Ipolito Nievo* (Venezia, 1869 r.); *Impressioni letterarie* (Milano, 1875 r); *Nuovi impressioni letterarie* (Torino, 1879 r.); *Carlo Goldoni* (Venezia, 1880 r.).—E. Camerini: *Profili letterari* (Firenze, 1870 r.).—Luigi Capuana: *Il teatro italiano contemporaneo* (Palermo, 1872 r.); *Studii sulla letteratura contemporanea* (Milano, 1880 r.).—Fr. de Sanctis: *Saggi critici* (Neapoli, 1874 r.); *Nuovi Saggi critici* (Neapoli, 1879 r.); *Zola e l'Assomoir* (Milano, 1879 r.).—G. Poletto: *Amore e luce nella divina commedia* (Padova, 1876 r.).—F. Martini: *Heine e Zendrini* (Milano, 1879 r.).—Magrini: *Danton Francesco Grazzini* (Imola, 1879 r.).—Ar. Linaker: *L'odierno realismo in poesia* (Firenze, 1879 r.).—Bartoli: *Storia della letteratura italiana* (Firenze, 1879 r. 2 tomy).—Kantorowicz: *Storia della letteratura italiana* (Zurigo, 1879 r.).—Giovani de Castro: *Storia della poesia popolare milanese* (Milano, 1879 r.).—Cesare Cantu: *Italiani illustri* (Milano, 1879 r., 3 tomy); *Monti e l'eta che fu sua* (Milano, 1879 r.).—M. Tabarrini: *Gino Capponi* (Firenze, 1879 r.).—Angelo de Gubernatis: *Alessandro Manzoni* (Firenze, 1879 r.).—P. Prampolini: *Aleardo Aleardi* (Firenze, 1878 r.).—Corradino: *Poeti contemporanei* (Torino, 1879 r).—Carlo Simiani: *Bozzetti critici* (Milano, 1880 r.).—Dr. Sebast. Brigidi: *Vita di Giov. Batt. Niccolini* (Firenze, 1879 r.).

Wiadomo, że charakter wewnętrznego życia narodu, jego stosunków politycznych, religijnych i społecznych, odzwierciedla się i we współczesnych pomnikach umysłowych, które tym sposobem krystalizują niejako fizyognomią duchową danéj epoki. Kto tylko miał spo-

EGZEMPLARZ BIBLIOTEKI WARSZAWSKIEJ

sobność wniknąć cokolwiek głębiéj w życie wewnętrzne, w organizm duchowy dzisiejszych społeczeństw europejskich, temu nietrudno dopatrzéć wspólności głównych rysów, charakteryzujących stan obecny cywilizowanego świata, podlegającego nowym prądom. Dążność do lekceważenia tego wszystkiego co się nie łączy ściśle z praktycznemi, materyalnemi celami życia i rozwinięcie spotęgowanéj działalności w tych kierunkach, które do urzeczywistnienia celów powyższych prowadzić mogą; skoncentrowanie wszystkich sił żywotnych w sprawie dobrobytu materyalnego i połączonych z nim wygód, prowadzące do coraz nowszych wynalazków: jedném słowem zwrot *realny* przeważa we wszystkich kierunkach pracy umysłów ludzkich.

Bardzo naturalnie, następstwem takiego stanu rzeczy jest bujny rozkwit nauk przyrodzonych i ścisłych, tak mocno z rozwojem dobrobytu materyalnego połączonych i, co za tém idzie, odpowiednia reakcya w literaturze i sztukach pięknych. Realizm życiowy odzwierciedla się w poezyi, romansach, w sztuce dramatycznéj i t. p., a że każdy kierunek ducha ludzkiego ma swych adeptów lub wrogów, ztąd wynika walka idealistów z realistami.

Wiadomo powszechnie, jak poważne rozmiary przyjęła ta walka w literaturze francuzkiéj, gdzie kierunek skrajnie realny wywalczył sobie szerokie koło zwolenników. W naszéj pracy *O literaturze hiszpańskiéj* wykazaliśmy czytelnikom *Biblioteki* w swoim czasie [1]), że Hiszpania nawet jest dziś areną walki tych żywiołów i że taki oklaskiwany Selles np. w dramacie *Nudo gordiano* i innych pracach scenicznych posuwa nagi realizm do krańca.

Literatura włoska nie stanowi pod tym względem wyjątku; realizm i tu się krzewi, wywołując tak zwaną *giovane letteratura* (młodą literaturę) i zaciętą walkę *veristów* z idealistami.

„Przyglądając się bacznie, bez uprzedzeń i podszeptu naszych indywidualnych namiętności, mówi jeden z krytyków włoskich, naturze wieku, w którym żyjemy i zuchwałym zdobyczom nauki współczesnéj, czyż śmielibyśmy utrzymywać, że możliwe są dzisiaj hymny spokojne Manzoniego, skeptycyzm nawskroś subjektywny Leopardiego, ballady Pratiego i sielanki Aleardiego; jedném słowem poezya dni ubiegłych? Nikt nie pogardza tą poezyą, która zdobyła cześć naszę jako wspaniały pomnik wieku minionego; rozumiecie to dobrze *minionego:* lecz dzisiaj inne zwycięztwa wywalczyć trzeba, za innemi wodzami pójść należy."

„Tymczasem nowe hasła wywołują straszliwy zamęt, mówi w inném miejscu ten sam pisarz. Z jednéj strony umysły przerażone nowemi ideami czepiają się konwulsyjnie (*aggrappano convulsi*), niby deszczki ocalenia, dawnych wyobrażeń; z drugiéj strony nie pojmujące

[1]) *Bibl. Warsz.*, maj, 1879 r.

żadnych wędzideł (*indocili di freno*) mózgi obalają wszystko i negują. Nic się nie twierdzi jeszcze... nic!... Być może, iż twierdzenie istnieje tu i owdzie w indywidualnéj świadomości uczonego, ale nie w sumieniu powszechném, które tak jest zachwiane w swych przekonaniach, że pokolenia młode, zanim jeszcze poznały nazwiska Büchnerów, Darwinów, Straussów, mienią się być ateuszami, niedowiarkami i materyalistami. Nikt dziś nie twierdzi, wszyscy wątpią; jesteśmy w tak zwanéj fazie przejściowéj" (*siamo in uno dei cosi detti periodi di transizione, piu frequenti che non si creda nella storia dei popoli*) [1]).

Pragnąc zapoznać czytelników, choć pobieżnie, z najświeższym ruchem umysłowym we Włoszech, rozpoczynamy ten przegląd od historyi literatury i od krytyki, poczém przejdziemy do powieściopisarstwa, liryki i dramatu, w przekonaniu, że przedmiotowy rozbiór ruchu umysłowego narodu, wywierającego niemały wpływ na doskonalenie się idei estetycznych, jest kwestyą bardzo żywotną danéj chwili i może wpłynąć korzystnie, jeśli nie na oświecenie, to przynajmniéj na zreflektowanie wielu umysłów i poza Alpami.

„Miłość i nadzieja, mówi Molmenti w swojém „wspomnieniu" o Hipolicie Nievo, stanowiły treść jego życia, któtkiego, lecz ozdobionego wieńcem cnót wszelkich, pełnego energii myśli i szlachetności serca. Był on powołany do wielkich przeznaczeń: miał ducha wrzącego najszlachetniejszemi uczuciami, a zahartowanego w niedoli i miłości. Jako pisarz, malował żywo i analizował trafnie serce ludzkie, a chociaż śmierć wczesna nie pozwoliła mu rozwinąć dostatecznie całéj potęgi twórczego ducha, i to jednakże co zostawił wystarcza do jego nieśmiertelności" (str. 14).

Hipolit Nievo urodził się w Padwie 1832 r. Pierwsze swoje prace poetyczne drukował w czasopiśmie: *Alchimista Friulano*, którego jednym z główniejszych redaktorów był Ciconi, oraz wydał dramat p. t.: *Galileo* i kilka komedyjek. W r. 1856 ogłosił dwa romanse: *Conte Pecoraio* i *Angelo di Bonta*. Pierwszy z nich osnuty został na kanwie historycznéj ostatnich lat Rzplitéj weneckiéj, drugi zaś jest rodzajem psychologicznego studyum, w którém Nievo maluje nadzwyczaj wiernie obyczaje ludu. Spędziwszy ostatnie chwile życia w szeregach Garibaldi'ego jako pułkownik, utonął w roku 1861 w morzu, w czasie rozbicia okrętu. Dopiéro po śmierci Nieva wyszły bardzo udatne jego poezye p. t.: *Le reminiscenze d'un anima*, *Le lucciole* (Błyskotki), *Amori garibaldini*, odznaczające się nadzwyczajną prostotą i szczerością uczucia. Do pośmiertnych poezyj tego pisarza należy jeszcze *Ultimo Esilio* (Ostatni wygnaniec), „jedna z najpiękniejszych poezyj satyrycznych w literaturze włoskiéj" i romans historyczny: *Confessioni d'un Ottuagenario*, najznakomitsze dzieło Nieva.

[1]) Conrado Corradino: *Poeti contemporanei*, Torino, 1879 r., p. 12.

Przedstawił on w téj pracy okres upadku rzeczypospolitéj weneckiéj, oraz idee wolności głoszone przez rewolucyą francuzką, kładąc nacisk na trzy epizody pamiętne nowéj ery włoskiéj: upadek oligarchii weneckiéj, oblężenie Genui i rewolucyą neapolitańską w r. 1820, a przy końcu II tomu nie zapomina téż autor i o obronie Rzymu przez Garibaldego. Gruntowna znajomość epoki, sąd sprawiedliwy o ludziach i sprawach tego czasu, psychologiczną prawda w odtworzeniu charakterów romansu, a wreszcie artyzm szlachetny w zewnętrznéj szacie: oto zalety, które Hipolit Nievo uwydatnił w ostatniéj pracy.

To „wspomnienie" o Hip. Nievo przedrukował Molmenti znacznie skrócone w swoich *Wrażeniach literackich*, które się doczekały dwu wydań. „Co za rozkoszny tomik, mówi o téj książce jeden z francuzkich krytyków. Ten mały zbiorek pisarzów włoskich, wybranych z takim artyzmem, będzie dla mnie antologią bardzo przyjemną. Molmenti wykazał w téj pracy talent krytyczny i to uczucie, tę miłość piękna, która tworzy artystę."

Nadzwyczaj sympatyczne to dziełko, obejmujące sylwetki 30 pisarzów, rozpoczął autor od Godfreda Mamelego, którego hymn patryotyczny był marsylianką włochów w 1848 roku. W 22 roku życia zginął Mameli od kuli francuzkiéj, a pamięć młodzieńca tak jest drogą dla włochów, jak imię Körnera dla niemców lub Petöfiego dla madżiarów. Utworów tego poety doskonałemi nazwać niemożna, lecz są one wiernem zwierciadłem nadziei oraz szczytnych uniesień téj epoki.

Takim samym bohaterem-poetą był Teobald Ciconi, walczący pod sztandarem narodowym w 1848 r. Pierwsze jego poezye, grzeszące sentymentalizmem sztucznym i konwencyonalnością były przyjęte chłodno. Gdy jednak długie i poważne studya wzbogaciły umysł Ciconiego, a idea niepodległości kraju oddziaływała na niego bardzo żywo, wstąpiła muza tego poety na podnioślejsze tory. Poświęciwszy się dramatowi, napisał dwie tragedye: *Speronella* i *Eleonora di Toledo*, a w r. 1858 wystawił w Udine komedyą: *Le pecorelle smarrite* (Owieczki zbłąkane).

Po tych pierwszych próbach wystawił z powodzeniem: *Troppo tardi* (Zapóźno), *I Garibaldini*, *Le mosche bianche* (Białe muchy), *La rivincita* (Odegrana), *La statua di carne* (Posąg z ciała).

Niespodziewana śmierć matki podkopała zdrowie Ciconiego, który w skutek tego wypadku popadł naprzód w melancholią nieuleczoną, a ta sprowadziła wreszcie i śmierć przedwczesną. W r. 1863, po wystawieniu ostatniéj jego komedyi: *La figlia unica* (Córka jedyna), przyjętéj z ogromnym entuzyazmem, Ciconi wstąpił do grobu. Duch tego pisarza przebywał zawsze w sferach najszlachetniejszych, a jedyną nienawiścią jego była nienawiść niemców i wszystkiego co obce.

Ludwik Mercantini należy do tegoż samego cyklu poetów, dla których swoboda ziemi ojczystéj była hasłem całego życia. Wpośród powszechnego materyalizmu zachował w duszy do śmierci najgorętszy

entuzyazm młodości. Miał więcéj serca niż geniuszu; człowiek stoi w nim wyżéj od poety. Dzielność ducha nie opuszczała go nigdy, a na wygnaniu nawet robak zwątpienia daleki był od jego serca; pełen nadziei, wierzył zawsze w jaśniejszą przyszłość swéj ziemi, i niby skromny Tyrteusz pisał swe pieśni pełne ognia, które wiodły współziomków jego do zwycięztwa. W 1848 r. bohaterscy obrońcy Wenecyi umierali z hymnem Mercantiniego na ustach; to też poezye tego poety żyć będą nie jako dzieła sztuki, lecz jako skarbnice wspomnień o niedolach i tryumfach włoskiego ludu.

Józef Torelli (Ciro d'Arco), serdeczny przyjaciel Maksyma Azeglio, to charakter nawskroś uczciwy; to pisarz, który słuchał tylko głosu sumienia, miał wstręt do wszelkiéj hipokryzyi i nazywał rzeczy po imieniu. Jak wszyscy ludzie prawi posiadał tę energią spokojną, która imponuje; żył na dworze czas jakiś, ale nie został dworakiem. Dał on sobą szlachetny przykład téj demokracyi, która jest powszechną w kodeksach i dziennikach, lecz rzadką w sercach (str. 35). Jego *paesaggi* przypominają *Reisebilder* Heinego. Mniéj są udatne szkice literackie (Profili) tego pisarza, lecz największą mają wartość *Wspomnienia polityczne* (Ricordi politici), wydane po śmierci Torellego, a odznaczające się śmiałością sądu i trzeźwością przekonań.

Daléj przedstawia Molmenti sylwetkę E. Cameriniego, o którym niżéj mówić będziemy; Biniego, zmarłego wcześnie poety melancholika, który „zacząwszy od zwątpienia o wszystkiém, skończył na rozpaczy" (str. 47); za nim idzie Tarchetti († 1869), poeta, wykarmiony na Heinem i Leopardim, lecz oryginalny przytém i bardzo płodny, w ciągu bowiem lat czterech napisał siedm większych utworów (*Paolina, Szlachetne szaleństwo, Historya ideału, Opowiadania fantastyczno-humorystyczne* i inne); Franciszek Dall'Ongaro, poeta i dramaturg, który pierwszy usiłował oswobodzić dramat włoski z więzów klasycyzmu i wprowadzał na scenę nie abstrakcye zimne, lecz ludzi umiejących czuć, kochać i cierpieć (str. 56). Jednakże prace dramatyczne tego pisarza (*Il Fornaretto, l'Ultimo barone, la Bianca Capello il Guglielmo Tell* i inne) nie stoją na wysokości sztuki.

Józef Rovani „był jednym z pierwszych, którzy stworzyli silną reakcyą przeciwko starym tradycyom akademickim i skarlałemu epikureizmowi arkadyjskiemu." Rozpoczął on działalność literacką od krytyki, zajmował się historyą (*Młodość J. Cezara*) i napisał romans historyczny, malujący trzy generacye medyolańskie. Jestto najlepsze obok *Confessioni* Nieva dzieło, jakie się w literaturze włoskiéj tego rodzaju ukazało po Manzonim. Pośmiertną pracą Rovaniego jest: *Le tre arti* (Trzy sztuki) studya krytyczne.

Po Tomaszu Locatellim, który całą swoję działalność zogniskował w *Gazecie weneckiéj*, Molmenti kreśli bardzo sympatyczną postać Laury (Beatrice Oliva) Mancini, zmarłéj w 1869 r. poetki, która „poświęciła serce dla ogniska rodzinnego, a talent dla ojczyzny" (str. 73).

Na sześć lat przed śmiercią poetki, muza Laury zwracała się i ku naszéj ziemi, stwarzając pieśni natchnione współczuciem i miłością... Juliusz Carcano pisał dramaty (*Spartaco*), nowelle, poezye i trzy romanse (*Damiano*, *Angiola Maria* i *Gabrio e Camilla*), a prace tego pisarza grzeszą „czułostkowością chorobliwą i ckliwą słodyczą, pozbawioną prawdziwego uczucia. Carcano ma serce, lecz uderza ono spokojnie, wolno, monotonnie; pisarz ten żyje w świecie własnéj fantazyi, gdzie wszystko jest słodkie i przecudne. W utworach jego nie spotkasz odwiecznego kontrastu dodatnich i ujemnych żywiołów... wszystko tam pachnie.... wodą różaną" (str. 114). Antoni Caccianiga, przez czas jakiś dziennikarz, późniéj urzędnik, następnie osiadły na wsi samotnik, jest pisarzem modnym we Włoszech. W utworach swoich *Vita campestre* (Życie wiejskie), *Bozzetti economici* (Szkice ekonomiczne), *Dolce far niente*, *Il bacio delle contessa Savina* sądzi społeczeństwo swoje, nie odczuwając rządzących niém namiętności. Jest on zanadto moralistą, wygłaszającym zbyt często jeremiady nad upadkiem kraju oraz nędzą czasów i ludzi; lecz zaletą jego jest pewna jasność myśli i pewien szczery zapał przekonań, nie pokrywanych żadną maską.

Jan Verga, autor kilku romansów (*Eva*, *Storia di una capinera*, *Nedda*, *Eros*) wprowadził pierwszy do literatury włoskiéj ten rodzaj, który we Francyi rozpoczęty z *Panią Bovary* Flaubert'a, spotęgowany został w *Teresie Raquin* Zoli. Verga posiada żywość, śmiałość, bystrość spostrzegawczą i upodobanie w potwornościach francuzkich pisarzów; lecz nie posiada ich sztuki odtwarzania życia wewnętrznego naszych czasów i nie umie tworzyć charakterów drgających prawdą i życiem własném; zanadto roztrzela się on w szczegółach (str. 143).

Leopold Marenco, dramaturg, jest na wskroś idealistą. Oczom jego przedstawia się wszystko w jasnych barwach; wszystkie kreacye jego ducha są idealnie piękne (*Celeste*, *Marcelina*, *Adelasia*); lecz świat tego pisarza niéma z rzeczywistością nic wspólnego. Marenco w złe nie wierzy, a jeżeli spostrzega je czasem, natychmiast sobie oczy dłonią zakrywą. Dramaty jego, odznaczające się pięknością formy, grzeszą zupełnym brakiem walk namiętności, i dlatego, warunkom prawdziwego dramatu zadość nie czynią. Achiles Toreli, inny współczesny dramaturg, przewyższa Marenca umiejętnością rozwijania na scenie namiętności z taką prawdą psychologiczną, że widzowie zdają się miéć przed oczyma nie deski teatralne, lecz najdotykalniejszą rzeczywistość. Rozpoczął on zawód pisarski bardzo młodo: *Onesti* (Uczciwi), *Verita* (Prawda), *Missione della donna* (Powołanie kobiety) i jest obecnie jednym z najpopularniejszych pisarzów włoskich w dziale dramatycznym.

Głośne imię na polu dramatopisarstwa historycznego, zdobył sobie Józef Revere, przez jednych nad zasługę wynoszony, przez innych niesprawiedliwie krytykowany. Dramaty jego (*Palleschi e gli Arabiati*,

Lorenzino de Medici, La Congiurą di Bedmar, Sampiero da Bastelica) warunków scenicznych nie posiadają.

Ludwik Settembrini, autor *Historyi literatury włoskiej*, jest podług Molmentiego, raczéj pełnym ognia i siły sympatycznym artystą, aniżeli krytykiem; a goniący za jaskrawością efektów poeta Boito (*Mefistofele, Re Orso*) jest raczéj dziwacznym niż oryginalnym, więcéj kapryśnym niż nowym.

Najwięcéj miejsca poświęcił Molmenti zamykającemu książkę jego T. D. Guerraziemu. Pisarz ten ur. 1804 w Liworno. W 22 roku życia, napisał pierwszy utwór *Bataglia di Benevento*, w którym z poza mniéj lub więcéj przezroczystéj zasłony przebija gorący protest przeciwko wszelkiemu uciskowi. W 1831 roku był uwięziony we Florencyi za dążności rewolucyjne, a w 1834 r. wysłany na wygnanie na Elbę, gdzie napisał: *Izabella Orsini* i *Assedio di Firenze* (Oblężenie Florencyi). Powróciwszy do kraju, ogłosił dwie wyborne nowele: *Veronica Cybo* i *Nuovi Tartufi*. Po rewolucyi, skoro wprowadzony został do Toskanii rząd konstytucyjny, Guerrazi był wraz z Montanellim i Mazzonim wybrany deputatem do władzy, a po ustanowieniu republiki—jéj dyktatorem. Po upadku tego rządu, skazany został na całe życie na wygnanie. W czasie pobytu na Korsyce napisał: *Beatrice Cenci, La Torre di Nonza, Fides* i inne opowiadania mniejszéj wagi. Uciekłszy z Korsyki do Genui, oddał się tu całkowicie literaturze, a owocem jego pracy były romanse: *Il memenť homo, Il buco nel muro* (Dziura w murze), *Il Plutarco italiano, L'assedio di Roma, L'asino* (Osioł) i wiele innych.

Doczekawszy się jeszcze wyswobodzenia swego kraju, wrócił do ojczyzny i umarł rażony apopleksyą w 1873 r. Wszystkie prace wyszłe z pod pióra Guerraziego nie jednakową mają wartość, lecz wszystkie noszą na sobie piętno oryginalności, szczególniéj pod względem stylu, przepełnionego jużto nadzwyczajną śmiałością zwrotów, jużto pogodą klasyczną, już też nadmiarem hyperboli.

Powodzenie *Wrażeń literackich* w kraju i za granicą, skłoniło Molmentiego do ogłoszenia w roku zeszłym nowéj seryi szkiców p. t.: *Nuovi impressioni letterraie.* Długi szereg pisarzów rozpoczyna Kajetan Trezza, poważny autor *Lukrecyusza* i *Krytyki współczesnéj*, dwu dzieł krytycznych, które świadczą, że Trezza łączył w sobie powagę myśliciela z fantazyą poety, wszystkie warunki uczonego z właściwościami artysty—i że pierś jego oddycha miłością prawdy i wiarą w postęp ludzki. Piotr Salvatico był poważnym historykiem sztuki, Kamil Boito trzyma berło krytyki estetycznéj; Cezar Betteloni, to poeta niedoli, którego *odie canzoni, ballate e leggende* oddychają melancholijnym smutkiem, świadcząc o głębokim rozstroju ducha poety; Józef Capparozzo, kapłan-poeta, którego utwory zebrane przez jego uczniów, odznaczają się obok wytworności retorycznéj i przesadnéj prostoty, jasnością wyrażenia, czystością obrazów, delikatnością uczucia i analizy. Forma ich jest uroczysta i klasyczna. Nie mógł on zrozumiéć wielkie-

go i wrzącego ruchu nowych idei, które zaczęły śród nowych pokoleń kiełkować, i złączony duchem z przeszłością, naśladownictwem obcém pogardzał. Niekiedy czuć w jego piersiach rozdźwięk między człowiekiem a kapłanem; widać, że drgnień swego serca okiełznać nie mógł, że kochał, ukrywając swoje uczucie i że łagodził porywy serdeczne nadzieją przyszłego życia. Jasny umysł Caparozza najwymowniéj się uwydatnił w *Bajkach* i *Epigramatach*, gdzie wyższa obserwacya łączy się z subtelnością a przejrzystą ironią. Antoni Peretti jest poetą natchnionym i narodowym. Ojczyzna i sztuka były dwoma zbratanemi ideałami jego życia. „W słowie „ojczyzna," widział spółgłoski, sztuka miała z niemi połączyć samogłoski" (66). Utwory jego z jednéj strony przemawiały do ducha, z drugiéj budziły myśl narodową. Poemat Perettiego liryczny: *I Marchesi d'Ivrea*, którego treścią oswobodzenie Italii, jest jednym z najpiękniejszych klejnotów współczesnéj poezyi włoskiéj. Peretti umarł w 1858. r.

Mario Rapisardi był pierwszym w gronie młodych poetów dzisiejszych, który wziął rozbrat z idealnością chorobliwą i głosił zdobycze nowéj myśli, kusząc się o rozwiązanie zagadek bytu. Rozpoczął on od wiary, przeszedł fazę wątpienia i skończył na zupełnym skeptycyzmie. W *Palingenesi* kreśli historyą idei chrześciańskiéj, w *Ricordanze* odtwarza wewnętrzne walki ducha a w *Il Lucifero* uosabia myśl ludzką z całą jéj wielkością i nędzą; jest on jednocześnie rewolucyonistą, kochankiem, artystą, mówcą, erudytem i krytykiem; krytykiem nadewszystko. *Lucifero* jest poematem ateistycznym, jest satyrą we wspaniałéj, bogatéj szacie poezyi. Nie można się zgodzić z Rapisardim jako filozofem, trzeba w nim jednak uwielbiać poetę (str. 83).

Andrzéj Maffei położył wielkie zasługi jako tłómacz. W przekładach jego włosi nauczyli się kochać Byrona, Goethego, Schillera, Miltona i Moore'a.

Tomasz Gherardi dei Testa, toskańczyk, zajmował się czas jakiś adwokaturą we Florencyi, lecz wcześnie porzucił ten zawód dla literatury, do któréj miał szczególne upodobanie od lat dziecięcych. Działalność swoję w tym kierunku rozpoczął od satyry ludowéj, lecz dopiéro napisanie komedyi (*Una folle ambizione*) wprowadziło talent jego na właściwą drogę. Pierwszy ten utwór przyjęła krytyka chłostą a publiczność oklaskami. I nie zawiodła się na swoim sądzie. W ciągu roku napisał Gherardi trzy nowe komedye: *Un momento di errore* (Chwila błędu), *Un viaggio per istruzione* (Podróż dla nauki), *Vanita e Capriccio* (Próżność i kaprys). Były to sztuki wesołe, pełne prostoty i uczucia, w których autor maluje obrazy obyczajów z prawdą, finezyą i wdziękiem. W przeciwstawieństwie do istniejących przed nim dramatów konwulsyjnych i tragedyi z trąbami, bębnami i marszem tryumfalnym, utwory Gherardiego, wnoszące na scenę prawdę sytuacyi, naturalność charakterów, bogactwo i dowcip dyalogu a wreszcie zdrową wesołość, na wskroś młodzieńczą, były nowością arcy przyjemną (150). Powszechnie oklaskiwany, tworzył coraz nowe sztuki, jużto na tle społecz-

ném (*Moda e la famiglia*, *Scimmie* (Małpy), *Vera blasone* (Prawdziwy herb) *Vita nuova;* już też na politycznem *Coscienze elastiche* (Sumienia elastyczne), zajmując w dramatopisarstwie włoskiém wybitne stanowisko.

Skromniejszéj skali komedyopisarzem jest Gallina. Treść jego utworów pospolita, węzeł dramatyczny bardzo prosty; lecz malowidło obyczajów prawdziwe a sceny pełne ruchliwości i życia. Do lepszych jego komedyj należą: *Le barufe in famegia* i *La famegia in rovina.* Z wielkim talentem napisane są również: *Tuti in campagna*, *Nissun va al monte*, *La chitara del papa.* Są to wszystko utwory, któreby ludowemi nazwać można.

Rafael Giovagnoli, powieściopisarz historyczny (*Spartaco*, *Opimia*, *Plautilla*); Ferdynand Martini, dziennikarz i krytyk (*Morale e il teatro*); Ollindo Guerrini, poeta liryczny; Wiktor August Vecchi, powieściopisarz morski (*Saggi storico-marinareschi*, *Bozzeti di mare*) i kilku innych mniejszéj wagi pisarzów uzupełniają książkę Molmentiego.

Podawszy w najkrótszém streszczeniu zawartość *Wrażeń literackich* tego pisarza, przyznajemy otwarcie, że dać ono może zaledwie słabe wyobrażenie o niepospolitym talencie Molmentiego, uderzającym na każdéj stronicy jego książek. Tyle tam bystrości krytycznéj, tyle subtelnéj analizy, takie bogactwo erudycyi, taka bezstronność sądu, taki beznamiętny spokój w przedstawieniu najsprzeczniejszych kierunków i dążeń, a wreszcie taki wdzięk i poetyczność zewnętrznéj szaty *Wrażeń* Molmentiego, że się ich nie czyta, lecz pochłania.

Nie tak korzystnie przedstawia się ostatnia praca Molmentiego p. t.: *Carlo Goldoni* (studyum), jakkolwiek jestto także bardzo interesująca książka. Autor scharakteryzował na wstępie życie wewnętrzne Italii, a w szczególności Wenecyi w XVIII w. Hypokryzya jest hasłem wszystkich. Szczególna mieszanina dewocyi i galanteryi, pedantyzmu i występku—oto stan moralny włochów téj epoki, uzewnętrzniony i w sztuce. Akademie zamienione zostały w teatry ćwiczeń retorycznych, pełnych śmieszności. W poezyi nikt nie szukał myśli, lecz frazesów; uczucie nie odgrywało żadnéj roli, gdyż serc zbrakło. Jestto najsmutniejsza karta w historyi literatury włoskiéj. Nie było ani ojczyzny, ani godności, ani uczuć (str. 5).

Na takiémto tle epoki występuje Karol Goldoni, słynny komedyopisarz, ur. w Wenecyi w roku 1707. Szczegóły o życiu tego pisarza czerpią historycy głównie z autobiografii (*Memoires*) Goldoniego, z humorem i prawdą skreślonéj. Zajęcia do jakich go rodzice skłaniali, nie licowały z upodobaniem młodego Karola do sceny, która taki miała dlań urok, że będąc jeszcze niedorostkiem, opuścił szkołę i z przejezdném towarzystwem dramatyczném wybrał się w podróż. Nauka medycyny a późniéj prawa, szła leniwo, gdyż umysł Goldoniego gubił się ustawicznie w rozmyślaniach nad przyszłością teatru narodowego, na którym włochom zbywało. W tymto czasie powstały dwa pierw-

sze utwory komiczne poety: *Il buon padre* i *Cantatrice* (Śpiewaczka). Dopiéro po śmierci ojca wziął się szczerze do pracy i został adwokatem. Skłonność jednak do teatru nie opuszczała go nigdy; wyczekując na klientów napisał tragedyą liryczną *Amalasunta*. Następnie wystawił w Medyolanie poraz pierwszy sztukę komiczną: *Gondoliere veneziano* a potém w Wenecyi tragedyą: *Belisario* „pełną niedorzeczności, pozbawioną formy, treści i charakterów" (str. 29). Za *Belizaryuszem* poszły: *Rosmunda*, *L'Assemblea letteraria*, *Don Giovanni* i *Griselda*, tak że wreszcie Goldoni porzucił zupełnie adwokaturę a oddał się wyłącznie teatrowi. Wkrótce potém połączył się węzłem małżeńskim z osobą, która mu była do śmierci najdroższą i najwierniejszą towarzyszką. Napisawszy jeszcze tragedyą *Enrico re di Sicilia* i *Rinaldo di Montalbano* tragikomedyą, porzucił niezgodny z naturą swojego talentu kierunek dramatyczny i wszedł na odpowiedniejsze dla siebie pole codziennéj rzeczywistości, którą z czasem miał tak po mistrzowsku malować. Na scenie włoskiéj panowały wówczas wyłącznie tak zwane komedye *a braccia* i *a soggetto*, w których poeta podawał tylko fabułę i wątek akcyi, podczas gdy aktorowi zostawiona została swoboda dyalogu. Goldoni postanowił zreformować teatr przez wprowadzenie na jego deski komedyi charakterów, a pierwszym krokiem w tym kierunku była sztuka *Momolo Cortesan*, przyjęta przez publikę nader życzliwie. Żeby jednak nie wprowadzać reformy zbyt obcesowo, napisał wkrótce, dla „ułagodzenia zwolenników dawnéj szkoły": *Le trentadue disgrazie d'Arlecchino* i *La notte critica* (Noc krytyczna), dwie komedye *a soggetto*.

Tymczasem Goldoni został mianowany konsulem genueńskim w Wenecyi i na tém stanowisku będąc, napisał trzy komedye charakterów: *La Bancarotta* e la *Donna di garbo*. Lecz gdy zajęcia dyplomatyczne nie przypadły do smaku poecie, zrzekł się ich prędko i wrócił do zajęć adwokackich w Pizie. Na szczęście jednak poznawszy w Liworno dyrektora trupy komicznéj, opuścił powtórnie adwokaturę, a idąc za popędem miłości dla sztuki, wyjechał do Wenecyi wraz z trupą, z któréj przewodnikiem zrobił układ, że wyłącznie dla niego poświęci swoję komedyopisarską działalność. Pierwsza komedya, jaką po tym układzie wystawił dyrektor Medebac na scenie S. Angelo, a mianowicie: *Tognetto bella grazia*, przeszła bez wrażenia, lecz dwie następne *Uomo prudente* i *Due gemelli veneziani* (Bliźniacy), zapewniły Goldoniemu zwycięztwo. Pierwszemi jednak utworami tego pisarza, pozbawionemi przesady i fałszów życiowych, a płynącemi wprost z serca, były dwie sztuki: *Vedova scaltra* (Wdowa przebiegła) i *Puta onorata*, sponiewierane przez krytyków, a oklaskiwane gorąco przez publiczność. Ta zjadliwość krytyki i zawiść nędznych pismaków spotęgowały jeszcze twórczość Goldoniego, który téż w ciągu roku wystawił szesnaście komedyj: *Il teatro comico*, *Il caffe*, *L'Adulatore* (Pochlebca), *L'Antiquario*, *Il cavaliere di buon gusto*, *La moglie prudente* (Żona roztropna), *L'incognita* (Nieznajoma), *Il padre rivale di suo figlio* i kilka innych.

Taka nadmierna praca nabawiła poetę choroby, z któréj wyszedłszy, napisał w krótkim czasie: *Il padre di famiglia, l'Avocato veneziano*, *La figlia obbediente* (Córka posłuszna), *La serva amorosa*, *Poeta fanatico* i kilka innych. Rozstawszy się z Medebakiem, zawarł korzystniejszy układ z właścicielem teatru San Luca i wystawił zaraz na téj scenie trzy komedye: *Sposa persiana*, *Ircana e Julfa* i *Ircana a Ispahan*, do których fantastyczna historya Persyi dostarczyła mu wątku. Następnie po małéj przerwie, spowodowanéj powtórną chorobą, wystawił dziesięć nowych komedyi, jak: *La Villegiatura*, *La Donna forte*, *Terenzio*, *La Peruviana* i inne. Wezwany w r. 1756 przez infanta Filipa do Parmy, wystawił na teatrze książęcym trzy opery komiczne: *La buona figlia*, *Il festino* i *Viaggiatori ridicoli* (Podróżnicy śmieszni), wszystkie z muzyką najlepszych kompozytorów. Po powrocie do Wenecyi, znalazł jeszcze niechętniéj uprzedzonych nieprzyjaciół swoich, a w szczególności partyą Gozziego, co znów podwoiło działalność poety, któréj owocem były komedye: *Tasso*, *L'egoista*, *Rusteghi*, *La vedova spiritosa* i kilka innych. Odwiedziwszy Rzym, który zrobił na nim silne wrażenie, po powrocie do Wenecyi wystawił: *Gli innamorati* (Zakochani), *La casa nova* i kilka innych. W tym czasie ofiarowano Goldoniemu urząd superintendenta widowisk królewskich w Paryżu w teatrze włoskim. Przed wyjazdem (1761) wystawił jeszcze kilka nowych komedyi, z których ostatnią była: *Una delle ultime sere di carnevale* (Jeden z ostatnich wieczorów karnawałowych), sztuka alegoryczna, będąca ostatniém pożegnaniem ojczyzny. Teatr trząsł się wtedy od oklasków, a okrzyki: *Buon viaggio!* (Szczęśliwéj podróży!) *Felice ritorno!* (Szczęśliwego powrotu!), tak wzruszyły Goldoniego, że płakał, jak dziecko. Dwie nowe sztuki, jakie wystawił w Paryżu: *Amor paterno* i *La serva riconoscente* (Sługa wdzięczna), nie podobały się, ale zato Goldoni zdobył sobie publiczność paryzką wystawieniem sztuki francuzkiéj: *Bourru bienfaisant* (1771); Ludwik XVI dał poecie 6000 franków gratyfikacyi i 1200 fr. pensyi rocznéj. W 80-tym roku życia złożył Goldoni pióro komedyopisarskie, a zabrał się do pisania *Pamiętników* po francuzku. W dwa lata późniéj wybuchła rewolucya i biédny starzec straciwszy pensyą, znalazł się nagle wraz z żoną w okropnéj nędzy, która téż skróciła dni jego życia. Umarł 6 lutego 1793 r., a nazajutrz po jego śmierci—dziwna ironia losu—konwencya narodowa, przyznała Goldoniemu całą pensyą, z któréj już tylko wdowa staruszka korzystać miała. Tak żył „Molier włoski," którego najmilszemi gwiazdami w życiu były: sztuka i Wenecya. Charakter Goldoniego szlachetny, lecz słaby. Miał on więcéj skromności, niż dumy szlachetnéj. O ile dzielnie walczył ze sztuką pełną maniery, o tyle brakło mu odwagi do walczenia z hypokryzyą wieku. Był on pokorny i uniżony wobec możnych, uprzejmy z niższemi, pochlebstw nie żądał, zazdrością się brzydził, a jakkolwiek żył czas jakiś na dworze, dworakiem z interesu nie został i honorem nigdy nie frymarczył, pomimo, że w owym czasie tyl-

ko pochlebcy żyli wygodnie. Wpośród zepsucia powszechnego umiał być zawsze szlachetnym.

Z komedyi Goldoniego wieje filozofia zdrowego rozsądku, którą czerpał z ludu, przypatrując się jego zwyczajom, jego duchowi. Nikt nieumiał lepiéj od niego wniknąć we wnętrze serca swych współziomków, to też w komedyach swoich odzwierciedlił ze świeżością nieśmiertelną całość życia weneckiego ludu. Wprawdzie napisawszy przeszło 150 prac dramatycznych, niémiał czasu i cierpliwości do ich należytego wykończenia; ale też z drugiéj strony utwory jego mają zapewnioną nieśmiertelność, dzięki świeżości wrażeń, prawdzie uczucia i bystrości analitycznéj, jedném słowem temu wszystkiemu, co w utworze scenicznym stanowi życie. Goldoni jest niższy od Molier'a pod względem głębokości pomysłów, piękności formy, a nadewszystko tego subtelnego dowcipu, który u komika weneckiego przechodzi nieraz w trywialność. Muza Molier'a, to margrabianka, piękna, wyperfumowana i elegancka; muza Goldoniego, to wieśniaczka powabna, o licach, jak krew z mlekiem. Pierwszy odznacza się uczuciem delikatném, subtelném, a głębokiém; drugi prostém, szczerém, lecz powierzchownem. Autor *Tartuffe'a* posiada umysł wykształcony; sztuka Goldoniego nie jest wcale owocem studyów, a zasady jego ograniczały się do prostych obserwacyi zdrowego rozsądku. Francuz jest filozofem i artystą, włoch artystą tylko. Jeden rozmyśla i zastanawia się poważnie; drugi obserwuje wybornie i śmieje się. Goldoni nie był jednak fotografem tylko, jak chcą niektórzy, bo umiał nadawać kreacyom swoim życie i barwę, czego i niektórym postaciom Molierowskim brakuje. W każdym razie jest on twórcą nowożytnego teatru włoskiego.

Studyum Molmentiego o Goldonim, napisane z właściwym temu pisarzowi talentem i smakiem, czyta się wprawdzie bardzo przyjemnie, ale warunkom prawdziwie krytycznéj pracy nie czyni zadość. Wszystkie sądy autora czytelnik *in verba magistri* przyjąć musi, gdyż Molmenti nie poddał analizie żadnéj z prac Goldoniego i nie przytoczył ani jednéj sceny, któraby taki, lub inny sąd krytyka usprawiedliwić mogła. Strona biograficzno-bibliograficzna tego studyum jest w stosunku do całości zaobszerna i tym sposobem na rozbiór gruntowniejszy, przynajmniéj pierwszorzędnych komedyi „Menandra" włoskiego (bo i tak nazywają Goldoniego) miejsca niestało.

. . . . . .

Z rozrzuconych po pismach peryodycznych artykułów E. Camerriniego, powstała książka bardzo ciekawa p. t.: *Profile literackie*, zawierająca szereg studyów o najrozmaitszych pisarzach. „Artykuły te, mówi Roux [1]), są nietylko sympatyczne i rozumne; lecz oprócz tego zawierają mnóstwo wskazówek i anegdot literackich, z których historya skorzysta. Zarzucają mu wprawdzie, nie bez słuszności, optymizm zbyte-

[1]) *Histoire de la litterature contemporaine en Italie.* Paris, 1874, pag. 339.

czny, lecz wada ta jest po większéj części pozorna. Zpoza grzeczności przegląda zawsze prawdziwa myśl autora, który tą rozsądną taktyką chrześciańską zdobył sobie sympatyą powszechną, nie zdradziwszy interesów sztuki."

Camerini rozpoczyna dzieło swoje od historyografów i polityków (Mikołaj Machiavelli, Juliusz Michelet, Fr. Guizot, Raffael della Torre, Aureliusz Bianchi Giovini), przechodzi następnie do ziemiopisów (Antoni Bresciani) i reformatorów na polu religijnych studyów (Wincenty Gioberti); charakteryzuje greckiego naturalistę (Paweł Lioy) i amerykańskiego metafizyka (R. W. Emerson) i wykazuje zasługi tłómaczów Arystotelesa (Bonghi i Ricci). W dalszym ciągu rozbiera stanowisko panegiryków i biografów (Fr. Arago, St. Canovai, Daw. Brewster, W. C. Henry, Waddington Kastus, Dom. Berti, Johnson, Macaulay); analizuje twórczość romansopisarzów angielskich (Troloppe, Bulwer, Douglas Jerrold) i nowelistów (Bersezio, Poe, Gerard de Nerwal); oraz poddaje krytycznéj analizie duchowe płody wielkich poetów świata (Milton e l'Italia, Goethe e gli Amori, Wiktor Hugo, Heine).

Niektóre z powyższych artykułów pisane są gruntownie i krytycznie, inne z pośpiechem; ze wszystkich jednak przebija szlachetna niepodległość myśli, niekłamany zapał uczucia i dbałość o elegancyą formy. Camerini wydał jeszcze dwa tomy: *Profilów literackich*, których jednak nie znamy. Śmierć zaskoczyła dzielnego pisarza pośród gorączkowéj pracy, a sława, która mu nigdy nie towarzyszyła za życia, oddała mu dopiéro honory swoje na mogile...

. . . . . .

W podobnyż sposób, jak powyższa książka, powstała praca: *O teatrze współczesnym we Włoszech.* Autor jéj, Ludwik Capuana, poddaje we wstępie sądowi czytelników, czy dobrze zrobił, że artykuły luźne, drukowane w różnym czasie po dziennikach (*La Nazione* i *Perseveranza*), przedrukował razem w jednéj książce. Naturalnie, prasa to Moloch, w którego wnętrzu ginie wszystko.. bez wieści, a książka przechodzi do potomnych: ale to, co jest nawet dobre w dzienniku, nie zawsze kwalifikuje się do książki. Felietony teatralne, pisane pod wrażeniem chwili i po większej części dalekie od wszelkiéj gruntowności, najmniéj właśnie nadają się do przedruku, a z takich właśnie felietonów składa się książka Capuany. Owszem, powiedziałbym, że tego rodzaju książki przynoszą niekiedy więcéj szkody, niż pożytku; rozpowszechniają bowiem i utrwalają o pewnych autorach sądy powierzchowne i doraźne, oparte w danéj chwili na jednéj tylko sztuce. Capuana wszakże jest pisarzem poważnym, a nadewszystko trzeźwym. Nie pozwala on sobie żadnych iluzyi i patrzy na literaturę dramatyczną włoską bez najmniejszych uprzedzeń, bez okularów próżności narodowéj. Otwarcie przedstawia swoim współziomkom opłakany stan teatru we Włoszech, wykazując, że nie ilość scenicznych elukubracyi, lecz jakość dzieł sztuki, stanowi literaturę dramatyczną. Rozbierając rozprawę Trevisaniego: *O stanie literatury dramatycznéj włoskiéj w ostatniém*

dwudziestoleciu [1]), powiada bez ogródki, że „teatru my (włosi) nie posiadamy właściwie, lecz tylko pisarzów i ich utwory" (str. 7). „Dopóki autorowie nasi, mówi cokolwiek daléj, biorąc się do pisania komedyi, nie będą pamiętali o tém, żeby one były dziełami sztuki, dopóty wszelkie ich wysiłki odrodzenia literatury dramatycznéj okażą się zawsze bezskuteczne."

W następnym artykule: *Autori et attori*, Capuana przedstawia bardzo ciekawy obraz stosunków materyalnych świata aktorskiego do dramatopisarzów włoskich, *ex re* ogłoszenia prawa o własności literackiéj, które wywołało między aktorami straszną burzę. Byli oni zgorszeni, że pisarze dramatyczni ośmielili się żądać odpowiedniejszego wynagrodzenia za swoje prace, kiedy jakaś np. setka franków powinnaby im wystarczać przy tym zaszczycie, że ich dzieła są przedstawiane. „Prawa autorskie, wołają aktorowie, to zupełny upadek sztuki. Ileż towarzystw zginąć musi... Autorowie dramatyczni są względem nas niewdzięczni; my im nic nie zawdzięczamy, oni nam wszystko. W rezultacie jeżeli już mamy płacić, to Augier'om, Sardou, Dumasom i t. d., a nie autorom naszym, których sztuki są bez wartości i jeżeli mają jaką zasługę, to tę chyba jedynie, że... są włoskie" (str 16). „Sztuka dramatyczna, konkluduje Capuana, dopóty wśród nas nie zakwitnie, dopóki jéj kapłani nie będą mieli pewności dostatecznego wynagrodzenia, któreby ich zrobiło niezależnemi i pozwoliło oddać się sztuce całém sercem, obecnie bowiem los komedyopisarzów włoskich jest najnędzniejszy w Europie."

Pierwsza połowa książki, o któréj mowa, składa się z felietonów, traktujących o pojedyńczych utworach scenicznych włoskich pisarzów, druga zaś zawiera kilkanaście recenzyi o sztukach obcych, a tylko na scenie włoskiéj przedstawianych (*Les idées d. M-me Aubray*, Dumasa syna; *Paul Forestier*, Augier'a; *Nos bon villageois*, Sardou; *Le lion amoureux*, Ponsard'a i inne). Są to wszystko krótkie artykuły, pisane z poczuciem artystyczném i znajomością przedmiotu.

Tenże sam autor wydał przed dwoma miesiącami pierwszą seryą swoich *Studyów o literaturze współczesnéj*. W przedmowie Capuana, idąc za de Sanctisem, taką daje swoję *profesio fidei* jako krytyk: „forma nie jest *apryorystyczną*, nie jest czémś, coby istniało samo w sobie w różnicy od treści, jakby ozdoba, albo strój, albo dodatek do niéj: a więc z treści, działającéj w umyśle artysty powstają tak treść jak forma. Lecz jeżeli treść piękna, poważna, pozostała w umyśle artysty bezczynna, albo słaba lub zniszczona, jeżeli nie miała dostatecznéj siły twórczéj i objawia się w formie niedołężna, fałszywa lub skażona, cóżby znaczyło opiewać jéj pochwały?... W tym wypadku treść może być ważna sama w sobie, lecz jako literatura i jako sztuka jest bez wartości. I przeciwnie, treść może być niemoralna, niedorzeczna,

[1]) *Delle condizioni della letteratura drammatica italiana nel ultimo ventennio, relazione storica.* Firenze, 1867.

fałszywa, lub próżna; lecz w pewnym czasie i w pewnych okolicznościach działała potężnie w mózgu artysty i stała się formą, któréj treść jest nieśmiertelna!..." To powiedziawszy, Capuana rozbiera dzieło ostatnie Micheleta (*Le Banquet,* papiers intimes) jednę z tych zwyczajnych utopii serca, tak łatwych dla charakteru, będącego mieszaniną jasnowidzenia i halucynacyi;" daje sylwetkę Teofila Gautier, poety, krytyka, romansopisarza francuzkiego, a nadewszystko człowieka; kreśli działalność Leonarda Vigo, poety sycylijskiego, zmarłego w ostatnich czasach i zbieracza pieśni ludowych. W dalszym ciągu analizuje, dość płytko, utwory Zoli; daje wyborną charakterystykę Jana Pratiego, Rapisardiego, Aleardiego i kilku innych poetów; poświęca kilka kartek historycznéj pani Roland i kończy tę galeryą obrazków sprawozdaniem ze *Szkiców krytycznych* Canellego.

W ogólności *Studya* Capuany pokazują pisarza wytrawnego, a w porównaniu ze znaną nam poprzednią pracą tego autora, stanowią postęp tak pod względem głębokości sądu, jak i formy.

. . . . . .

Mamy przed sobą dwa grube tomy prac Franciszka de Sanctis, byłego ministra za Wiktora Emanuela, jednego z najpoważniejszych pisarzów włoskich w obecnéj chwili. Są to *Szkice krytyczne* (w trzeciém wydaniu, str. 528) i *Nowe szkice krytyczne* (w drugiém wydaniu, str. 527). W obu tych pracach wykazał autor dowody niepospolitéj erudycyi, tak w dziedzinie literatury ojczystéj jak i obcéj, obok niezaprzeczonéj głębokości sądu krytycznego. Czegoż bowiem niéma w tych dwu tomach. Gruntowna i z wielkim talentem napisana analiza dzieł dramatycznych Szyllera; sprawozdanie z *Kursu literatury dramatycznéj* Saint-Marc Girardin'a; rozbiór *Lukrecyi* Ponsard'a; krytyka *Pamiętników historycznych i literackich* Villemain'a; paralela literacka między Schopenhauerem a Leopardim; recenzya *Historyi literatury włoskiéj* Cezara Cantu; ocena *Historyi XIX wieku* Gerwinusa; studya nad treścią *Boskiéj komedyi* Danta i *Uwagi krytyczne nad Wiktorem Hugo.* W drugim tomie zastanawia się nad niektóremi postaciami z *Boskiéj komedyi;* daje bardzo gruntowną i wyczerpującą charakterystykę Pariniego „pierwszego poety nowożytnéj literatury włoskiéj;" wykłada o krytyce Petrarki; kreśli sylwetkę Maksyma d'Azeglio; ocenia liryczno-epiczny świat Manzoniego; daje obszerne (359—407) i ciekawe studyum nad Zolą; przedstawia działalność Thiers'a; wykazuje pierwiastki filozoficznego realizmu i analizuje liryki Leopardiego.

De Sanctis nie rozsiewa w krytykach swoich frazesów, lecz myśli, umie postaciom swoim nadawać szczególną wypukłość i życie, a daleki jest zawsze zarówno od przesadzonych uwielbień jak i stronnego poniżania. Walczy on ze wszystkiém co jest niepewne, chwiejne i mgliste, chociaż sprawiedliwość przyznać każe, iż niekiedy sam wpada w te wady, które u innych potępia. Każe on nienawidzieć sentymentalizmu, idealnych wybryków i marzeń nad nieskończonością, które obezsilają ducha; lecz sam pocichu wielbi idealizm, daje się unosić porywom swoich marzeń i lubi przebywać w świecie abstrakcyi.

Wobec idei, wobec prostego faktu zatrzymuje się nieraz, wytwarza sofizmaty, kręci się w kole niepotrzebnych subtelności, a przeszedłszy najrozmaitsze perypecye myślowe, rozprawia na kilku stronicach o tém, co dałoby się powiedzieć w jednym okresie. Lecz kiedy umysłu swego nie rozprasza pośród drobiazgów, kiedy żadna myśl uboczna nie zakłóca jego mózgu, widać na kartach jego książek rozum krytyka, umysł otwarty dla wszelkich wrażeń artystycznych, szlachetną śmiałość poety i smak subtelnie wykształcony [1]). Żeby dać czytelnikom pojęcie dokładniejsze o charakterze krytyk de Sanctis'a, zatrzymamy się cokolwiek dłużéj nad jego rozprawą o Zoli (*Zola i L'Assomoir*), wygłoszoną w Neapolu 15 czerwca 1879 r. na posiedzeniu Towarzystwa filologicznego a obsypaną grzmotami oklasków. Wobec najróżnorodniejszych sądów o autorze *Nany*, mniemam, że słówko krytyczne takiego krytyka jak de Sanctis, wypowiedziane o utworze, które miało podobno 46 wydań, będzie i nader ciekawe i na czasie.

Zola jest malarzem zgnilizny paryzkiéj, a opowiadanie jego (*L'Assomoir*) to nie tylko historya Gervasyi, ale historya społeczna. Jeżeli chcecie miéć o tém pojęcie, patrzcie na Neapol. Alboż tam niéma legowisk strasznych, w których wegetują społem ojcowie, dzieci, matki, bez powietrza, bez światła, wpośród wiekuistego brudu, łachmanami okryci, obszarpani, skrofuliczni i pogrążeni w anemii? Nikt z nas nie miał odwagi pójść tam i studyować tę nędzę; obrzydzenie trzyma nas zdala od nór takich. Otóż tę odwagę miał Zola w Paryżu; poszedł do nich, aby studyować proletaryat w najpodlejszych szynkach, w najohydniejszych domach. Zola przebywał lata w atmosferze tego świata zgniłego; patrzył na występek zblizka, czuł woń zgnilizny i nosa od niéj nie odwracał; słyszał wyrazy wstrętne i uszu sobie nie zatykał. Chodził tam z umysłem profesora anatomii, który ćwiertuje trupy ludzkie dla szukania w nich wiedzy, z miłością ś. Franciszka Salezego, lub Alfonsa Casanowy, którzy przepędzili życie pośród łotrów, nazywając ich swemi braćmi. Zola powoduje się miłością wiedzy i sztuki, a miłość jest nieustraszona i wstręt zwycięża. Chodził tam z notesikiem w rękach, a zapisując wszystko, gromadził obszerny materyał, z którego powstały słynne romanse. A więc jakież jest to społeczeństwo, przez Zolę z taką miłością studyowane; jakaż jest ta atmosfera, w pośród któréj żyje Gervasia? Społeczeństwo to niéma już w piersiach podnioślejszych radości ducha ludzkiego, niéma błękitu niebios i zieloności pól wonnych: tam niéma Boga ani natury. Gdybyż przynajmniéj była ojczyzna! „Wszystko nam jedno, mówią, czy cesarz czyli król rządzi; nasze życie zawsze jednakie." Żaden z członków tego społeczeństwa nie odczuł piękności kwiatów, żaden z nich nie wzniósł ku niebu swoich spojrzeń na skrzydłach myśli; żaden nie posiada najmniejszéj świadomości zasad moralnych, ani poczucia godności osobistéj. A cémże są Bóg, natura, ojczyzna, moralność, honor? Ludz-

[1]) Molmenti, *Nuovi Impr. lett.*, str. 21.

kością!... To wszystko robi człowieka człowiekiem. Cóż więc pozostało tym ludziom?... Zwierzęcość sama. Nie mają woli, lecz apetyt. Nie posiadają inteligencyi, lecz instynkt; do robienia wyboru nie są zdolni, panować nad sobą nie potrafią i działają pod wpływem pobudek chwilowych, bezpośrednich, jak zwierzęta. Zapytacie może w tém miejscu, mówi de Sanctis, jaki cel opowiadania Zoli? Cel taki: Gervasia rzucona w tę atmosferę zginąć w niéj musi. Ja jednak nie jestem tak absolutny jak Zola, dodaje krytyk włoski. Nie wierzę we wszechmocność atmosfery. Dajcie mi dzielną osobistość a ona z tém otoczeniem walczyć będzie. Zapewne; ależ Gerwazya niéma przymiotów, lecz instynkty, a instynkt dopiéro pod wpływem wychowania i dobrych przykładów staje się własnością naszego ducha, drugą naturą i dopiéro przekształcony w charakter, opierać się może otoczeniu. Ona musi, przechodząc od złego do złego, od upadku do upadku, skończyć na ostateczném upodleniu. Taka jest myśl autora. Zapytacie może czy to jest sztuka? Obalacie mi ludzkość, tworzycie atmosferę pozbawioną wszelkich ideałów i to ma być sztuka? Zobaczymy. Jeżeli rzecz przedstawiona ma być sztuką, musi miéć oddźwięk w naszym mózgu; rzeczy martwe nie mają dla nas interesu; żyją dla siebie nie dla nas, a sztuką my sami jesteśmy. Jeśli rzecz robi na nas wrażenie, wywołuje w naszych piersiach sensacye, spostrzeżenia i emocye, a my odczuwamy nie tylko jéj życie, lecz w niém i cząstkę naszego życia; taką jest forma idealna. Jakaż jest treść idealna? Wielkie uczucia ludzkie: Bóg, ojczyzna, natura, ludzkość, wolność, sprawiedliwość, piękność, wiedza, a pojęcia te są historyą ludzkości, rozwojem tego wszystkiego co nie jest w człowieku zwierzęciem.

Idealizując życie rzeczy, mamy formę idealną; a widząc w tém życiu wszystkie uczucia ludzkie, mamy idealność, treść idealną. Przeszedłszy do Zoli, widzimy w nim świat martwy, zwierzęcy, z którym dusza ludzka niéma nic wspólnego. Niemasz tam ani formy idealnéj, ani treści, ani wewnętrznych motywów idealnych, ani nawet form artystycznych prostoty, elegancyi lub ducha. Kiedy artysta w tém co przedstawia znajduje sprzeczność z owym ideałem form; kiedy zamiast prostoty spotyka cynizm, zamiast elegancyi rubaszność; przeciwieństwo tego co znalazł z tém co odczuwa, sprowadza ten nieunikniony objaw, który jest śmiechem; nie ten śmiech niesmaczny, upatrujący sprzeczność tam, gdzie jéj niéma, lecz uśmiech ducha, który ją odczuwa i wyrzuca nazewnątrz w jedném słowie, w jednym dowcipie, któremu śmiech towarzyszy. Takie jest źródło karykatury, ironii, sarkazmu, humorystyki.

Otóż w opowiadaniu Zoli nietylko tych trzech form brakuje, lecz istnieją ich przeciwieństwa. Wytworność staje się pospolitością, prostota—cynizmem, duch—głupotą. A jeżeli to wszystko nie jest sztuką, zapytacie daléj, czyja wina: Zoli, czy przedmiotu? *L'Assomoir* wywołał liczne protesty, lecz jeszcze liczniejsze oklaski. A gdzie pisarze i publiczność są wspólnikami złego, tam istnieje zgnilizna i upadek.

Otrząśnijmy się jednak z wrażeń dzisiejszych i spojrzyjmy na Zolę w historyi świata. Żyjemy w czasach przejściowych i mówimy wszyscy: sztuka jest w stanie przesilenia. Czémże jest ta nowa sztuka? Naturą, która się domaga swego stanowiska, zwierzęcością, która pragnie szerszego współudziału. Myśl przedystylowana i wycieńczona chce się odświeżyć i odmłodzić w czystych falach natury, odnaleźć w niéj swą siłę i swoję młodość. Już nie chce być niedołężną myślą Hamleta, w którym był nadmiar człowieka, a brak zwierzęcia; to téż restauracyi ciała ludzkiego towarzyszy ta sztuka zapłodniona siłami naturalnemi i zwierzęcemi.

Zwierzęcość jest poezyą młodzieńczych wieków. Achiles, to najdziksze i najstraszniejsze zwierzę, jakie tylko fantazya poety stworzyć mogła. Niéma rodziny, ojczyzny, pobożności—serce z żelaza. Piekło dantejskie jest najpotężniejszém malowidłem zwierzęcości ludzkiéj. Największa ponęta aryostowego poematu leży w tych zwierzętach nieokiełznanych, które się nazywają kawalerami, a którym towarzyszy już tylko półuśmiech poety, niby woń epoki oświeceńszéj. Sztuka tedy dąży zawsze do uzmysłowienia, do ucieleśnienia swych ideałów. A ideały abstrakcyjne i mistyczne, bezsilne i suchotnicze nie znajdują już echa w Europie staréj, która szuka krwi nowéj i pragnie powrotu swéj młodości. Chcemy odmłodzić człowieka, przerobić ciała, szukamy żądnie sił naszych naturalnych i zwierzęcych. Jestto zwierzęcość w przeciwstawieństwie do wygórowanego humanizmu! Jestto gimnastyka!... Zola zresztą nie jest twórcą nowéj sztuki ani nawet jéj zwiastunem. Jest on zjawiskiem, albo jeśli wolicie, symptomatem. Jestto zwyczajne następstwo każdego upadku a nie początek nowéj budowy. Zwiastuni są jako droga mleczna; zostawiają ślad promienisty, w którym późniejsi odkryją gwiazdy. Zola nie jest zwiastunem nowego, ale grabarzem starego. Nowe są tylko formy jego płodów, oblekające zawartość trupią.

. . . . . .

Ciekawa byłaby zaiste bibliografia powszechna studyów o Dantem, jakie się od XIII wieku na widowni świata ukazały! Zdawałoby się, że uczeni wypowiedzieli już o tym poecie ostatnie słowo; że gdy do każdego wiersza *Boskiéj komedyi* istnieją tysiące najgruntowniejszych komentarzów, byłoby prawdziwém niepodobieństwem powiedzieć o tym utworze coś nowego. A jednak biedni ludziska ustawiczne robią wysiłki, żeby z wyciśniętéj nawskroś cytryny, wydobyć jeszcze choć kroplę soku!... Ileto mózgów wyschło nad Homerem, ileto sił umysłowych pochłonęła Szekspiromania, ileżto elaboratów bezcelowych zawdzięcza istnienie swoje kochankowi nieśmiertelnemu Beatryczy. Jak tu nie pisać o takich „drogowskazach ludzkości," o takich „płomiennych łunach cywilizacyi narodów," o takich „podwalinach wieków"? Jak tu znów pisać a niepowiedzieć nic nowego? Trudna to sprawa po setkach tysięcy tomów, napisanych w tym przedmiocie z możliwie wyczerpującą gruntownością; ale któżby się tam lękał tych trudności!... Albożto

nie można przejść ze sfery faktów i logiki, w sferę halucynacyi i mrzonek? Alboż kto ograniczyć zdoła sferę hypotez i wniosków? Wielkaż historya, że w uczonych zaciekaniach swoich, głęboki krytyk przypisze poecie takie idee, dążenia i konsekwencye, jakie mu nigdy przez mózg nie przeszły; że myśli najjaśniejsze, najprostsze podciągnie pod metafizyczne formułki wylęgłe we własnym mózgu, byleby tylko „przeżuwającemu talentowi" swemu dostarczyć strawy!

Téj chorobliwéj manii przeżuwania ustawicznie jednych przedmiotów, szczególniéj niemcy ulegają, a wyssawszy aż do głupstwa klasyków, pastwią się obecnie nad Dantem i Szekspirem (naturalnie Szylera i Goethego biorę za nawias, jako swojskich). Do wypowiedzenia powyższych uwag, skłania mię praca prof. G. Poletto p. t.: *Miłość* i *Światło* w *Boskiéj komedyi*. Czego chciał ten mąż szanowny i jaki ma być rezultat jego mglistéj pracy? Odgadnąć trudno.

„Zastanawiając się uważnie, mówi p. Poletto, nad ostatecznym celem pomysłów Danta i ich wewnętrznem znaczeniem, spostrzegam zupełną i doskonałą ich syntezę w *miłości* i *świetle (!)*.

Wykrywszy cud ten, autor przebiega czyściec, piekło i niebo, szukając dowodów na poparcie swéj tezy, a wreszcie kończy arcy-nudną wędrówkę podziękowaniem czytelnikowi za towarzystwo (bardzo słusznie) i tego rodzaju postulatem: „O ile bardziéj przyznaję niekompetencyą swoję w przeprowadzeniu tak doniosłego tematu, o tyle gorącéj pragnę, żeby studya dantejskie dobroczynne, a pełne życia, kwitły coraz lepiéj w *świetle* wiary i piękna, w *miłości* prawdy, w naukowéj i obywatelskiéj wielkości naszego kraju" (str. 76).

. . . . . .

Że nieśmiertelny autor *Księgi pieśni* i *Obrazów z podróży* jest bardzo trudny do tłómaczenia, wié o tém każdy, kto się dokładniéj wtajemniczył w subtelności jego utworów, stanowiące indywidualną fizyognomią Heinego. To téż nic dziwnego, że pomiędzy przekładami utworów tego poety więcéj jest niefortunnych niż dobrych. Prawie w tym samym czasie, kiedy p. Kraushar przysłużył się naszemu społeczeństwu tłómaczeniem liryk Heinego, we Włoszech dokonał takiéj saméj pracy Zendrini. Na nieszczęście tłómacz zadaniu swemu nie sprostał, jak świadczy o tém broszurka p. Feliksa Martiniego p. t.: *Heine* i *Zendrini* ze złowróżbną dewizą na czele: *Du sublime au ridicule il n'y a qu'un pas...* Jakoż p. Martini, zestawiając skrupulatnie przekład z oryginałem, dochodzi do przekonania, że włosi, którzyby, nie znając języka niemieckiego, chcieli się zapoznać z Heinem, zapomocą przekładu Zendriniego nie będą mogli powiedzieć, że go poznali *intus et in cute*.

. . . . . .

Powiedzieliśmy na wstępie, że literatura odzwierciedla w sobie duchową fizyognomią narodu w danéj epoce. Powszechny przed pięciu wiekami upadek moralności we wszystkich warstwach społeczeń-

stwa włoskiego dał początek literaturze humorystyczno-satyrycznéj (burlesca), szczycącéj się niektórymi wysoko utalentowanymi przedstawicielami swoimi i posiadającéj w samym narodzie szerokie koło bardzo gorących zwolenników. Umysły żartobliwe i sarkastyczne już od wieku XIV szukały pola dla popisywania się z żartem lub dwuznacznikiem w sferze zwyczajów i obyczajów licznego w owych wiekach duchowieństwa. W wieku XV, a mianowicie za czasów Sacchettiego (frottole) i Giovanniego (pecorone) wzmaga się literatura tego rodzaju; w XVI zaś wieku zdaje się lekceważyć wszelkie względy moralne i estetyczne, co nie przeszkadzało ówczesnym pojęciom podnosić reprezentantów tego kierunku do godności klasyków włoskich [1]).

Najgłośniejszym przedstawicielem téj poezyi był w XVI wieku Berni (1490—1536 r.), postać w swoim rodzaju wielce charakterystyczna i ciekawa, autor „poprawki" (rifacimento) *Rolanda* Bojardowego. Był on właściwie pierwszym i prawdziwym wynalazcą, mistrzem i rodzicem stylu *con burla*, zwanego odtąd *stile Bernesco*. Drobnemi utworami swemi Berni założył szkołę i stworzył gałąź poezyi włoskiéj, z którą historyk literatury poważnie rachować się musi. Jestto poezya wesoła, żartobliwa (*giocosa*), jużto satyryczna już szydercza, a nawet wyłącznie parodyi poświęcona. Bawiła ona włochów przez dwa wieki zgórą, przyczyniając się do upodlenia smaku i skażenia myśli [2]).

Powyższe objaśnienia uważaliśmy za konieczne dla dania czytelnikom kanwy, na któréj uwydatni się lepiéj postać Grazziniego, zbyt obcesowo wprowadzona, w rozprawie p. t.: *D'Anton Francesco Grazzini*, zwany *Il Lasca*. Poeta ten (ur. 1503 † 1583 r.) pisał bardzo wiele wierszem i prozą, lecz miał szczególne upodobanie *alla poesia giocosa*, w któréj współzawodniczył nawet z Bernim. Ten ostatni wybierał do utworów swoich przedmioty nowe, oryginalne, łotrowskie (*furbeschi*); Grazzini zaś dziwaczne, suche, kapryśne. Berni, wróg niewoli, otwarcie żąda swobody; Lasca, stosując się do czasów, nie pragnie jéj zgoła, a przynajmniéj udaje, że nie pragnie. Pierwszy, kapłan i sceptyk, wszystko w żart obraca: moralność, religią, Boga nawet; drugi świecki i wierzący szanuje Kościół, religią i moralność. Tamten przedstawia życie światowe i szpetne uciechy rzymskie; ten społeczeństwo florenckie opieszałe, lekkomyślne, korzące się pod jarzmem tyranii, nie dbające o wolność i ojczyznę i żądne tylko... *far niente!*.. Berni przykładał wiele pracy do swoich *capitoli* i *sonet-*

[1]) Dr. Ruth: *Geschichte der italienischen poesie.* Leipzig 1847 r., t. II, str. 695.

[2]) L. Etienne: *Histoire de la litterature italienne.* Paris, 1875 r., str. 230.

ti, Grazzini pisał bez wielkiego zachodu, jak się zdarzyło, *quasi stans pede in uno*. Berni miał zawsze przed oczyma pojęcie sztuki; Grazziniemu chodziło głównie o wyrazy. Tamten umiał jednoczyć idee najodrębniejsze i tym sposobem śmiech wywoływał; Grazzini przechodził od pojęcia do pojęcia, jakgdyby filozoficznem rozumowaniem. Pierwszy szukał jedynie w każdéj rzeczy humorystycznéj strony; drugi, usiłując być moralnym, wpada w sentencyonalizm. Obaj odznaczali się stylem żywym, prostym, swobodnym, używając języka, mieszkańcom Florencyi właściwego. Bądźcobądź z pomiędzy poetów żartobliwych owego czasu, po Bernim Grazzini jest najoryginalniejszy, najczystszy i najuczciwszy; i gdy większéj części poezyi téj epoki nie można czytać bez wstrętu, Lasca bezwstydem niegrzeszy.

We Florencyi, szczególnie w XV wieku obchodzono uroczyście publiczne widowiska karnawałowe, w czasie których liczne maskarady, przedstawiające poetów, rycerzów błędnych, aniołów, błaznów i t. p. przebiegały miasto, śpiewając odpowiednie ludowe pieśni zwane *carnascíali* (zapustowe). Otóż w poezyi takiéj celował Grazzini, mający z tego powodu wielką popularność. Jest on również autorem 350 sonetów najrozmaitszéj treści i wartości, trzech poematów heroiczno-komicznych: *Gigantea*, *Nanea*, *Guerro de Mostri* i trzech zbiorków nowelli zatytułowanych *Cene*, z których każdy zawierał 10 powiastek. Jako nowelista zajął nawet dość wybitne stanowisko. Starał się on przedewszystkiém zmuszać do śmiechu, chociaż często żartami zbyt dzikiemi krwawił serce. Niemiał zamiaru z nowelli swoich tworzyć dzieł sztuki, lecz tylko dostarczyć przyjaciołom rozrywki miłéj, a nadewszystko dyalekt toskański wznieść na wyżyny języka. Grazzini był także i komedyopisarzem.

W XV wieku włosi mieli dosyć komedyi gorszych i lepszych, lecz im zbywało zupełnie na komedyi prawdziwie narodowéj, która z powodu braku życia narodowego i dzięki tradycyom klasycyzmu rozwinąć się tutaj nie mogła. Włochy były wówczas rozczłonkowane i zgnębione; rozmaite ludy w skład ich wchodzące, nie mogły się pochwalić ani dobremi obyczajami, ani instytucyami, a Florencya, usiłująca niby za Wawrzyńca Medyceusza być Włoch ogniskiem, myślała tylko o rozkoszach życia i zabawie: wolność znikła, a zgnilizna powszechną się stała. Komedyopisarze, przestrzegając ściśle reguł Arystotelesowych, mieli ustawicznie przed oczyma utwory Menandra, Plauta i Terencyusza.

Gdy charakterystyczną cechą téj epoki była zmysłowość, komedye tedy im brudniejsze, tém większe miały powodzenie. Dogadzając smakowi tłumu, autorowie wprowadzali na scenę cudzołóztwo, wyśmiewali księży, przedstawiali synów życzących śmierci ojcom, a bohaterami komedyi byli: mnisi, rozpustnicy, faktorzy, gachowie lub niewolnicy bezczelni. Taki stan rzeczy wywołał szlachetne usiłowania reformy, którą rozpoczął w XVI wieku Gelli, a podnosił również

i Grazzini. Ten ostatni, w przedmowie do jednéj ze sztuk swoich, utrzymuje, że komedya „powinna być wesoła, kapryśna, dowcipna, śmieszna, piękna i dobrze grana" i rzeczywiście komedye tego pisarza (*Gelosia*, *Spiritata*, *Strega*, *Sibilla* i inne) są „wesołe," „kapryśne" i „zabawne," ale też i nic więcéj. Lasca ani wznieść się na stanowisko sztuki, ani z pęt klasycznych wyjść nie umiał; czuł on potrzebę zreformowania sceny, lecz do wysokości zadania tego nie dorósł. To też komedye Grazziniego mają tylko wielkie znaczenie pod względem formy, są one prawdziwemi *testi di lingua*. Studyum Pr. Magriniego jest interesujące i poważne, zrobilibyśmy mu tylko ten zarzut, że nie uwzględnił dostatecznie tła historycznego, na którém Lasca występuje.

. . . . . .

Materyalizm, mówi Artur Linaker (*Realizm dzisiejszy w poezyi*) z ksiąg filozofów i z katedr przechodzi w serce człowieka, robiąc go egoistą; w organizm tłumów, budząc w nich gwałtowną żądzę bogactw; w dusze artystów i poetów, sprowadzając ich twórczość na drogę... *realizmu*. Człowiek jest człowiekiem i wszystko co ludzkie nie może mu być obcém. Wrażenia, idee, uczucia i namiętności, myśli i fantazye, rzeczy widzialne i sfera wierzeń, miłość tego co istnieje, oraz pragnienie rzeczy przyszłych; świat pojęć określonych i nieokreślonych: wszystko to jest ludzkie, i, jako przedmiot sztuki, jest realne, prawdziwe. Ztąd też Rafael niemniejszym jest realistą od Meissoniera, jeżeli przez prawdę i realizm pojmujemy to, co jest faktem w naturze ludzkiéj i co być może przedmiotem sztuki. Lecz, rozumuje daléj Linaker, poeci nowi nie nazywają się realistami lecz *werystami*. Co należy rozumieć przez ten wyraz nowy *verista*?... Jeżeli to co prawdziwe (*vero*) utożsamia się z rzeczywistém (*reale*); w takim razie co rozumiemy przez wyraz *realne*?... W obszernem znaczeniu „realne" przeciwstawia się „idealnemu": to co jest faktem, temu co jest możebne lub co się spostrzega w idei, jak np. doskonalenie się nasze. W znaczeniu ciaśniejszém „realne" bierze się przez niektórych za zmysłowe, za cielesne, za rozkosze zmysłów; a w takim razie przeciwstawia się ono rzeczom bezcielesnym, nadzmysłowym jak uczciwość, sprawiedliwość i wszystkie prawdy wogólności, które nie podpadają pod zmysły.

Ograniczać „prawdziwe" do tego ostatniego znaczenia jest to zaprzeczać prawdzie, która obejmuje wszystko co jest i co być może, wszystkie potrzeby i wszystkie siły natury ludzkiéj, z wyjątkiem tego tylko, co leży w granicach absurdu i sprzeczności. Zdawałoby się tedy, że tracąc z przed oczu istotę rzeczy, sprzeczamy się o wyrazy, w skutek czego w dziedzinie sztuki realista przeciwstawia się idealiście i jeden nie chce mieć z drugim nic wspólnego. Zkąd ten rozdźwięk? Zanim odpowiemy, zobaczmy naprzód jak sobie postępuje w sztuce realista? Przekonawszy się, że we wszechświecie nic wszystko jest bez zarzutu, że stron ujemnych w nim nie brak, ogarnia wła-

śnie samę tylko niedoskonałość jego i takową w przesadnych rysach czytelnikom lub widzom, popisowi gwoli, przedstawia. Uczucie np. jest doskonałością; namiętność zaś, będąc, przypuśćmy, stanem patologicznym ducha ludzkiego, jest niedoskonałością. Realista bierze namiętność, potęguje ją do przesady, w jéj świetle ukazuje różne zjawiska i przedmioty, zarażając obłędem niedoświadczonych czytelników.

Określiwszy w ten sposób stanowisko realizmu, p. Linaker przebiega, cokolwiek zapowierzchownie, najrozmaitszych poetów europejskich współczesnych, zaznaczając takie obrazy i myśli w ich utworach, które się pod sformułowane przez niego definicye podciągnąć dadzą. Jest w téj rozprawie dużo zdrowych myśli, nie brak wszakże i poglądów zbyt jednostronnych.

. . . . . .

W ostatnich czasach ukazało się we Włoszech kilka dzieł średnich rozmiarów, obejmujących całokształt literatury włoskiéj, lecz wszystkie te prace poważnéj krytyki nie wytrzymują, pomimo, że ich autorowie należą do najznakomitszych pisarzów tego kraju. Settembriniego: *Lekcye literatury włoskiéj*, owoc trzydziestoletnich studyów i rozmyślań, napisane zostały na przełomie dwu peryodów literackich, kiedy przekonania i sądy nie nabrały jeszcze spokoju i bezstronności. Autor pisząc swe dzieło, nie pozbył się jeszcze licznych przesądów, a już ulegać zaczął wpływowi nowych idei, wskutek czego przy naturalnéj żywości wrażeń, tracił równowagę sądu i na objektywne, a głębsze traktowanie przedmiotu zdobyć się nie mógł. To też bardzo często zdania jego o pisarzach tak wyglądają, jakby je autor bezkrytycznie na chybił trafił wygłaszał. Jeżeli jednak Settembrini krytykiem nie był, to w każdym wierszu jego pracy czuć artystę, pełnego ognia i siły.

Nie lepiéj wywiązał się z zadania swego znany nam już De Sanctis, który pomimo niepospolitéj nauki i talentu krytycznego, stworzył dzieło o *Historyi literatury włoskiéj*, bardzo słabe. Widocznie trafną jest uwaga prof. Gubernatisa, który twierdzi, że De Sanctis zawsze jest niższym od siebie, ile razy przychodzi mu opracowywać przedmiot, którego granic jednym rzutem oka objąć nie zdoła. Jego *Historya*, przedstawiająca się, jako szereg artykułów, nicią organicznego związku nie powiązanych, jest kompilacyą pełną braków i poglądów nieumotywowanych, a powierzchownych.

Cezar Cantu wreszcie, głośny autor znanéj społeczeństwu naszemu: *Historyi powszechnéj* i bardzo wielu innych dzieł historycznych i literackich, wydał we Florencyi jednotomową *Historyą literatury włoskiéj*, którą krytyka miejscowa bardzo surowo przyjęła, twierdząc, że „autor niémiał dość jasnego pojęcia o tém, co pisał.” Cezar Cantu to duch samotny i znękany w ciągłych zapasach ze współczesnymi; to deklamator, piorunujący przeciw pedantom i literatom, przeciw obskurantyzmowi i zgniliźnie wieku; to malkontent, przez nikogo nie rozumiany i stawiający się poza społeczeństwem, którego atmosferą oddy-

cha. Przy takim stanie duszy, przy podobném rozdrażnieniu wewnętrznem i niechęci autora, dzieło jego o literaturze włoskiéj musiało wyjść z pod pióra mocno spaczone!...

Po takich niefortunnych próbach, ukazanie się: *Dziejów literatury włoskiéj* Bartolego Adolfa, jest dla włochów faktem literackim bardzo doniosłym. Dotąd wyszły dopiéro dwa tomy téj pracy, która o ile można sądzić z tego początku, bardzo się świetnie zapowiada. Tom I, zatytułowany: *Caratteri fondamentali della letteratura medievale*, składa się z jedenastu rozdziałów, a mianowicie: kroniki, historye wierszowane i śpiewy historyczne, *le Moralisationes*, legendy, liryka religijna, dramaturgia religijna, encyklopedye, poezya *golijardica*, *fabliaux* i romans o lisie, romans o róży, poezya prowansalska. W II tomie, noszącym tytuł: *La poesia italiana nel periodo delle origini*, spotykamy następujące rozdziały: wpływy prowansalskie, wpływy francuzkie i pierwsze próby dyalektyczne włoskie, poezye dyalektyczne religijne i moralne w północnych Włoszech, poezye dyalektyczne żartobliwe i miłosne w północnych Włoszech, poezye dyalektyczne obywatelskie i polityczne w północnych Włoszech, szkoła poetyczna sycylijsko-prowansalska, liryka religijna w Umbryi, dramaturgia religijna, poezya miłosna w Toskanii, poezya żartobliwa i satyryczna w Toskanii, Toskania i Bolonia, poezye alegoryczno-moralne. Oprócz tego jest jeszcze na końcu tomu dość obszerny dodatek (*Appendici*), złożony z ośmiu różnych utworów téj epoki, przytoczonych w całości. Niepodobna w ciasnych ramach przeglądu streszczać téj ze wszech miar ciekawéj pracy, zamykającéj już w dwu pierwszych tomach materyał iście olbrzymi; przedwczesném byłoby także wygłaszanie dziś sądu o dziele, którego prawdopodobnie część piąta wyszła dotąd z druku; nie możemy wszakże powstrzymać się od zaznaczenia, że: *Historya* Bartolego jest dziełem źródłowém, opartém na samodzielnych i widocznie gruntownych studyach; że autor jéj, czerpiący rzecz swą z mnóstwa najpoważniejszych źródeł włoskich, francuzkich, angielskich, niemieckich i łacińskich, jest człowiekiem rozległéj wiedzy i że wreszcie objektywne traktowanie przedmiotu, charakterystyka wewnętrzna rozbieranych utworów, umiejętne porządkowanie treści, i jasny wykład i piękny język, nic wiele pozostawiają do życzenia. Po wyjściu całego dzieła, nie omieszkamy zapoznać z niém bliżéj czytelników. Tom III p. t.: *La prosa nel periodo delle origini*, jest już pod prasą.

Od dzieła Bartolego, do *Historyi literatury* Kantorowicza skok olbrzymi. Zaintrygowany polsko-żydowskiém nazwiskiem autora sprowadziłem świeżo wyszłą w Zurichu książeczkę jego (*compendietto*, stronnic 96), widocznie dla szkół przeznaczoną i przekonałem się, że mam przed sobą lichą kompilacyą, ułożoną podług Scherra (!) i Maffeiego, a doprowadzoną bibliograficznie mniéj więcéj do drugiéj połowy XIX wieku. Zaletą książki jest jéj cena (2 marki).

. . . . . .

Jestto literatura (ludowa), mówi Jan de Castro (*Historya w poezyi ludowéj medyolańskiéj*), która powstaje i żyje wśród ludu prostego, ma swobodę listków latających za powiewem wietrzyka, a jednoczy się chętnie ze śpiewem i muzyką, przebiegając drogi i place. Wypadek nadaje jéj życie i zaletami obdarza; lubi tłumy, bądźto kiedy się gromadzą w świątyniach na modlitwę, bądź też gdy się zbierają w grona wesołe i przyjemne; jest częścią istotną uroczystości publicznych i bez niéj wesołość uczty kuleje. Bywa melancholijna lub wesoła, poważna i lekka, chwalcza i potępiająca; zna wszystkie rodzaje, wszystkie tony i wszystkie miary, lecz po chwilowém powodzeniu przepada w niepamięć. Przez czas jakiś jest uciechą wielkich i małych, władców i poddanych, szlachty i mieszczan; jéj utwory błąkają się wszędzie w pewnéj dobie, przez echa tylko powtarzane, gdyż pamięć pogardza niemi, jako bezużytecznym ciężarem. Jeżeli które śród téj wędrówki nie zginęły, leżą pokryte pyłem i zaniedbane w bibliotekach. Będąc wyrazem danéj chwili, zwracają uwagę współczesnych, rzadko do potomności przechodząc; stają się więc zczasem bibliograficzną tylko rzadkością, trudem i nagrodą cierpliwych poszukiwań historyków, erudytów i zbieraczów starożytności. Nagrodą—bo są one żywym obrazem przemian, którym w kolei wieków ulegał język i przechowywają pamięć wypadków, zwyczajów i opowieści narodowych. Te dziarskie lub patetyczne piosenki, te kwiatki poezyi ukrytéj, która często bez rymu i wiersza obchodzić się musi; te dyalogi rymowane, w których odpowiedź bywa niekiedy tak gwałtowna i wrząca; te szmaty wierszowane kroniki obywatelskiéj i wieśniaczéj; owe pieśni miłosne lub hymny kościelne służyły dla tylu pokoleń za pokarm, że niepodobna ich odczytywać, nie pomyślawszy o usługach, jakie one oddały i o ideach, jakie rozbudzać mogły w umysłach przodków naszych. To też mają one, niezależnie od swojéj wartości literackiéj, inne znaczenie. Mogą być pozornie liche i bezbarwne, a przecież bywają dokumentami dla dziejów, przychodzą w pomoc etnografii i pomagają do poznania człowieka.

Określiwszy w ten sposób stanowisko i ważność pieśni ludowych, de Castro poddaje gruntownéj analizie zabytki literatury ludowéj medyolańskiéj z czasów pierwotnych, wskazując z niezaprzeczoną bystrością krytyczną na te wszystkie szczegóły, które mogą rzucić mniéj lub więcéj jasne światło jużto na wydarzenia historyczne, już też na kształtowanie się stopniowe języka włoskiego, albo wreszcie zacieranie się lub powstawanie pewnych stron etycznych ducha narodu i t. p. Jestto praca ze wszech miar poważna i ściśle naukowa. Autor sumiennie korzysta z pomocy poprzedników swoich i rozporządza materyałem bardzo bogatym, wykazując w całém dziele zarówno wielką miłość dla przedmiotu jak i umiejętne nim owładnięcie. Naszym badaczom literatury ludowéj możemy śmiało polecić książkę Jana de Castro, jako przewodnik w tego rodzaju studyach nad przeszłością.

. . . . . .

Mówiliśmy wyżéj, że Cezar Cantu, przejęty pewną nieufnością dla młodszych pokoleń, wykarmionych nowemi ideami, traci równowagę ducha, ilekroć przychodzi mu oceniać utwory najświeższe. Nie tając przed sobą i przed ludźmi tego zwątpienia, oświadcza wyraźnie (*Slawni Włosi*), że „wobec powszechnéj obecnie dążności do pogardzania i czernienia na przemiany, do wyszydzania wszelkiéj powagi i traktowania z ironią wszelkiéj szlachetności, z rozkoszą zwraca wzrok swój ku minionym czasom, w których namiętność i zawiść posiadały mniéj władzy.” Żeby więc stracić z przed oczu teraźniejszość, Cantu zagłębił myśl swoję w przeszłości, z któréj ku nauce swego społeczeństwa, odgrzebuje żyjące przed wieki postacie włochów, aureolą sławy nieśmiertelnéj opromienionych. Tym sposobem powstało olbrzymie jego dzieło: *Italiani illustri* (w trzech tomach, in 4-to majori, po 700 stronnic każdy), które już w roku zeszłym doczekało się trzeciéj edycyi.

W I-szym tomie, ozdobionym wizerunkiem Torkwata Tassa, spotykamy biografie Danta; Cycerona; słynnego podróżnika Marco Polo; Krzysztofa Kolumba; Alberta Radicati, który w czasie walki Wiktora Amadeusza z papieżem, występuje namiętnie przeciwko Klemensowi XI (w początkach XVIII w.). Daléj idą życiorysy: Juliusza Cezara; Pasquale Paoliego, korsykańskiego generała († 1807 r.), który w przekonaniu Fryderyka pruskiego był pierwszym wodzem w Europie (str. 278); Napoleona; głośnego astrologa Cecco d'Ascoli (1322 r.); słynnego demagoga Cola di Rienzo († 1354); Owidyusza; nieśmiertelnego autora *Jerozolimy Wyzwolonéj;* Grzegorza VII, papieża, o którym zwycięzca z pod Austerlitz miał powiedzieć: „gdybym nie był Napoleonem, chciałbym być Grzegorzem VII (str. 469); Gabryela Malacridy, apostoła Brezylijskiego w XVIII wieku; Romagnoriego, prawnika, matematyka, filozofa i publicysty († 1812); Wiktoryi Colonny, słynnéj poetki XVI wieku; a wreszcie Renaty, księżnéj ferrarskiéj († 1575 r.).

Na czele II tomu figuruje osławiony i w naszym kraju Cagliostro, po nim idzie biografia Pliniusza; daléj kreśli autor życiorys poety Montiego, o którym za chwilę szerzéj mówić będziemy; słynnego astronoma Barnaby Orianiego, którego Napoleon I niezmiernie wysoko cenił; Hipolita Pindemontego, poety († 1828 r.); Tomasza Campanelli, filozofa, astrologa i polityka († 1639 r.); Palearia, nieszczęśliwego poety, filozofa, literata i męczennika wiary († 1570 r.). Daléj przedstawia Cantu koleje burzliwego życia Bernarda Ochina, heretyka († 1564 roku), który, wygnany z ojczyzny, schronił się był do Polski za Zygmunta Augusta i tu w kazaniach swoich mieni się być apostołem, więcéj cierpiącym za wiarę od Chrystusa (str. 304). Tu także, dla przypodobania się Zygmuntowi, dowodził w jednym ze swoich *Trzydziestu dyalogów*, że mąż, posiadający żonę niepłodną, może zawrzéć nowe związki małżeńskie, bez rozwodzenia się z pierwszą. W dalszym ciągu spotykamy w tym tomie biografią Muratoriego, hi-

storyka i twórcę poetyki (w XVII w.); Tiraboschiego, autora *Historyi literatury włoskiéj*, bardzo surowo ocenionego; Piotra Pawła Vergeria, będącego, podług Cantu, „jedynym przykładem człowieka, który świetne stanowisko prałata rzymskiego, godność nuncyusza, mitrę biskupią i widoki purpury zamienił na niedolę wygnańca" (str. 392). Był to dostojnik kościoła katolickiego zarażony luteranizmem. Podobnie jak Ochino, szukał on szczęścia i w liberalnéj Polsce za ostatniego z Jagiellonów, gdzie starał się szerzyć reformacyą, podtrzymywany przez Radziwiłła i popularyzować pisma protestanckie.

Nie obcy jest również naszym dziejom bohatér następnéj biografii, Jan Morone, kardynał, który w r. 1542 był nuncyuszem papiezkim w Polsce (str. 409). S. Karol i Fryderyk Boromeusze; kardynał Alberoni; Elzbieta parmeńska i kilka innych podrzędniejszych nazwisk uzupełniają tom drugi.

Tom ostatni rozpoczyna Cantu *Listami* Tomasza Grossiego, przyjaciela Manzoniego. Byłto jeden z główniejszych reprezentantów romantyzmu we Włoszech, autor: *Ildegondy*, *Lombardów na wojnie krzyżowéj* i innych romansów wierszowanych. Za Grossim idzie pisarz religijny Celio Curione († 1569 r.); po nim Piotr Vermiglio, męczennik († 1562 r.); daléj Jakób Sadoleto, kardynał i prawa ręka papieża Pawła III († 1547 r.); Piotr Carnesecchi, słynny heretyk; Piotr Giannone, zapaśnik wszechwładztwa królów, „założyciel filozofii historyi" (str. 198) w XVIII wieku. Bardzo ciekawa i wzruszająca do głębi jest biografia Henryka Tazzolego, kapłana, profesora w seminaryum w Mantui, który, za usiłowania rewolucyjne przeciw austryakom, poniósł wraz z kilku towarzyszami śmierć męczeńską (1851 r.). Z kolei zapoznaje nas autor z Ludwikiem Castelvetro, dobrym pisarzem i krytykiem XVI wieku; z Antonim Rosminim, filozofem współczesnym, publicystą; dobrym kapłanem i równie dobrym liberałem oraz ze słynnym Giordano Bruno, spalonym w 1600 r. męczennikiem nauki. Gdy inkwizycya postanowiła *ut quam clementissime et citra sanguinis effusionem puniretur*, Bruno skazany został na spalenie. Usłyszawszy wyrok zawołał: „Wy go z większą trwogą wygłaszacie, niż ja go przyjmuję" (*Avete piu paurà voi nel proferirla che io nel riceverla*). Gdy mu podano krucyfiks, nie chciał go ucałować, powtarzając te słowa Plotina: „Robię najwyższe usiłowanie, żeby to co jest boskiego we mnie, zjednoczyć z tém, co jest boskiego we wszechświecie." Stałość jego, mówi Cantu, podtrzymywały zapewne te słowa, które kiedyś sam napisał: *Il morir in un secolo fa vivo in tutti gli altri.* Samotny i namiętny Bruno mieszał zarówno w stylu swoim, jak w myślach szczytność z trywialnością, hymny z obelgami. Umysł błędny, paradoksalny, wielki i dziwaczny, piękny, melancholiczny, wrzący jak Wezuwiusz ojczysty, czcząc filozofią jak religią, zwalczając szkołę, którą jednoczył z Kościołem; nie wiedział dobrze, czego chciał, brakło mu poczucia rzeczywistości, które każe poświęcać formy dla treści i nie umiał ukry-

wać lub miarkować własnych sądów, chociażby walczyły ze wszechświatem (str. 371).

Józef Parini, satyryk (ur. 1720 r.), autor poematu *Giorno* (Dzień), będącego malowidłem ironicznem próżniaczego życia arystokracyi medyolańskiéj; Ruggero Boscowich, jezuita, przyrodnik uczony i poeta XVIII wieku; Jan Trissin, autor poematu: *Italia oswobodzona od Gotów* i *Sofonisby*, tragedyi († 1550 r.); Maksym d'Azeglio, współczesny autor romansu: *Liga lombardzka* i *Wspomnień*, przepełnionych patryotycznemi uczuciami; nieśmiertelny Galileusz; wielki fizyk Aleksander Volta; a wreszcie głośnéj sławy religijno-polityczny demagog włoski Sawonarola, spalony jako heretyk w r. 1498—oto zawartość III tomu „Sławnych włochów."

Cezar Cantu usiłował w dziele tém wykazać, że człowiek jest nietylko cyfrą w obrachowaniach statystycznych, liczbą w batalionie, kamieniem w budynku państwa; lecz również istotą realną, czynną, wolną, że ma prawo być szanowanym, że jest zdolny do odkryć, kombinacyi, walk, odwagi, ofiar i zasług; i że historya, w skutek tego, w najszlachetniejszém jéj znaczeniu, jest studyowaniem człowieka, wypadków jego życia, zastosowań praktycznych jego idei albo ich zejścia na marne, a wreszcie rozwoju myśli, złożonéj w człowieku przez Opatrzność. Pomimo pedantycznéj oschłości w sposobie przeprowadzenia tych założeń, pomimo zbyt pobłażliwego niekiedy stanowiska, dla swoich bohaterów; pomimo, że Cantu, będąc z natury swego talentu historykiem, przy zetknięciu z poetami, ze światem ideałów i fantazyi—mocno kuleje; możemy jednak *Słynnych włochów* gorąco polecić czytelnikom jako dzieło bardzo ciekawe, zajmujące i pożyteczne.

Też same zalety i wady posiada najświeższa praca Cezara Cantu: *Monti i wiek jego*. Autor jest tu wyłącznie historykiem. Opowiada szczegółowo dzieje rzeczypospolitéj cisalpińskiéj, poświęca wiele miejsca Napoleonowi i jego królestwu włoskiemu, przytacza *in extenso* obszerne listy, rzucające światło na ówczesną epokę i jéj działaczów, jedném słowem gromadzi w swéj książce to wszystko, co tylko być mogło w pośrednim lub bezpośrednim związku z osobą Montiego i kolejami jego życia. Wprawdzie takie tło historyczne, niezbędne zawsze w tego rodzaju studyach nad pisarzami, jest wyjątkowo nieuniknione przy analizie działalności Montiego, który, pod wpływem zewnętrznych okoliczności, giął się jak trzcina wątła, co chwila zmieniając bogów, przekonania i barwę; ale też z drugiéj strony poety nie można oceniać jak polityka i męża stanu. Cantu wykazuje skrupulatnie wszystkie te przyczyny, które dany utwór Montiego wywołały; ale żadnego z utworów ze stanowiska sztuki nie ocenia, jak gdyby estetycznéj ich strony dotykać nie chciał lub nie umiał. Autor podaje np. że *Bassvillana* jestto poemat napisany ku czci Bassvill'ea, sekretarza poselstwa francuzkiego w Neapolu, który, przybywszy do Rzymu dla rozbudzenia patryotyzmu, poniósł śmierć z ręki wzburzonego ludu; przytacza Cantu w kilku wierszach treść tego poematu, zaliczając go

do lepszych prac poety (*migliore e piu duratura*); nie dość na tém, gwoli prawdzie historycznéj, ogłasza list Montiego o genezie poematu, przedstawiający duszę poety w najujemniejszém świetle (*d'inescusabile bassezza* str. 18); saméj *Bassvillany* jednak nie rozbiera wcale, pomimo że Monti zawdzięczał temu utworowi olbrzymi rozgłos. W téj saméj nieświadomości pozostać musi czytelnik odnośnie do prac dramatycznych Montiego, które zaledwie z tytułów przytoczone, analizie bliższéj nie uległy.

Z drugiéj wszakże strony, przyznać potrzeba, że Cantu spożytkowawszy nieznane dotąd materyały, przedstawił Montiego jako osobistość dziejową, w najwyraźniejszém świetle, nie tając takich nawet szczegółów, które o elastycznym charakterze poety i nicości jego moralnéj smutne dają świadectwo. Wogóle książka, o któréj mowa, będąca wybornym przyczynkiem do charakterystyki społeczeństwa włoskiego w epoce napoleońskich tryumfów, jest dziełem ze wszech miar zasługującém na przeczytanie.

. . . . . .

Z epoką jeszcze bliższą dni naszych zapoznaje nas Tabarini w pracy swéj p. t.: *Gino Capponi, jego wiek, studya i przyjaciele.* Jestto biografia w najściślejszém znaczeniu tego słowa. Autor, zacząwszy od genealogii Capponich, ród których XIII-go wieku sięga, prowadzi bohatera swego od kołyski (1792 r.) aż do grobu (1876 r.), nieopuszczając osoby jego ani na chwilę. Opisuje tedy szczegółowo dziecięce lata i sieroctwo Capponiego, w czasie emigracyi ojca do Wiednia; pierwotne wychowanie chłopca; studya młodzieńca nad klasycyzmem i nowożytnemi językami; ożenienie w 19 roku życia w sposób nic wspólnego z romantyzmem niemający, bo poprostu podług wskazówki i woli ojca; wczesną śmierć młodéj żony, która zostawiła Capponiemu dwie córeczki: podróż jego kilkoletnią po Włoszech, Francyi, Anglii, Niemczech, Szwajcaryi; studya naukowe w tych krajach i znajomości z najwydatniejszemi osobami tego czasu; a wreszcie powrót do ojczyzny, szczegóły domowego życia i praca Capponiego dla dobra kraju na niwie obywatelskiéj, politycznéj i literackiéj, która przyprawiła tego zacnego męża o ślepotę.

Capponi zdobył sobie miłość współziomków przedewszystkiém, jako patryota, najzacniejszy obywatel i hojny mecenas literatury. Jako pisarz, umiłował dzieje ojczyste, którym się poświęcał do ostatnich chwil życia. Pod względem przekonań religijnych, należał do téj szkoły, któréj Manzoni był poetą, Tomasseo pisarzem polemicznym, Rosmini i Gioberti filozofami, a Balbo, Troja i Capponi historykami. Ten ostatni napisał nawet: *Historyą Kościoła.* Najważniejszém jednak dziełem Capponiego, które wydał pod koniec życia i nad którém pracował przeszło lat dwadzieścia, była: *Storia della Republica di Firenze,* doprowadzona do r. 1530. Praca ta, jakkolwiek najrozmaiciéj oceniana, stawia Capponiego niewątpliwie w rzędzie poważnych historyków. Niemałą położył Capponi zasługę stworzeniem pisma naukowego *Antolo-*

gia, które od r. 1821 zaczęło wychodzić we Florencyi, pod bezpośrednim kierunkiem Vieusseux'a. Pismo to stało się ogniskiem ruchu umysłowego w Toskanii, oddziaływającém na całe Włochy. W niém się jednoczyły najróżnorodniejsze kierunki umysłowe, lecz wszyscy ich przedstawiciele mieli przed sobą jeden cel wspólny: dobro publiczne. Duszą tego organu był Capponi, który pod każdym względem dawał swym ziomkom przykład działania liberalnego bez zarozumiałości, głębokiéj wiedzy bez popisu, usiłowań najróżnorodniejszych, lecz poważnych zawsze i za awanturniczemi ideami nie goniących (str. 369).

Rozstając się z książką Tabariniego, napisaną popularnie i z wdziękiem, przytoczę nawiasowo wyjątek z listu Tomassea do Capponiego o Mickiewiczu, którego Tomasseo poznał w Paryżu. „Gdybyś poznał Mickiewicza, podobałby ci się. Skromny, szczery, mówiący pięknie i z uczuciem. Odczuwa kraj nasz, religią, piękność; nie udaje ani wad, jak to czynić zwykli wielcy ludzie, ani zalet, jak to pospolicie robią maluczcy. Poznać Mickiewicza w Paryżu, jestto znaléźć różę... na Syberyi" (str. 223).

. . . . . .

Do bardzo licznych studyów o Manzonim przybyło Włochom jeszcze jedno i to wyszłe zpod pióra znakomitego pisarza, bo jest nim niewątpliwie Angelo de Gubernatis. Książka jego p. t.: *Aleksander Manzoni* (studyum biograficzne), powstała z odczytów, wygłoszonych przez autora w r. 1878 w Taylorian Institution, w Oxfordzie, zawiera dziewiętnaście rozdziałów, z których pięć poświęcił Gubernatis wychowaniu Manzoniego, w innych zaś zajmuje się prawie wyłącznie oceną jego utworów.

Manzoni ur. się r. 1785 w Medyolanie. Wcześnie bardzo okazał nadzwyczajne zamiłowanie do poezyi i łatwość wierszowania, a ulubionym jego mistrzem był wtedy Parini, którego *Il giorno* umiał na pamięć. Wiadomo, że Monti z katedry swojéj w Padwie występował bardzo śmiało z ideami liberalnemi i mówił głośno o miłości Dantego dla ojczyzny i wolności. Wrażenia z téj szkoły wyniesione, uwydatniły się jasno w pierwszym utworze Manzoniego, jaki nas doszedł, t. j. w poemacie o czterech pieśniach, zatytułowanym: *Il triunfo della liberta.*

Piętnastoletni poeta przedstawił się tutaj jak młode orlę, które probuje sił swoich w pierwszym locie i chociaż odczuwa potęgę skrzydeł, nie zna jeszcze drogi. W dziewiętnastym roku życia, będąc studentem, zakochał się w 30-letniéj wenecyance, która wielbicielowi swemu na gorące oświadczenia miłości, odpowiedziała zachętą macierzyńską... do nauki. Owocem nienormalnego stanu ducha po téj odmowie były: *Sermoni giovanili*, pełne siły wiersze, z odcieniem humorystyczno-satyrycznym. Wkrótce potém napisał Manzoni wiersz p. t.: *In morte dell' Imbonati*, ku uczczeniu zmarłego przyjaciela matki, wiersz pełen prawdziwego ognia, oryginalności i potęgi. Przeniosłszy się do Paryża, Manzoni wszedł w stosunki przyjaźni z Cabanisem, a szczególnie z Faurielem, a pobyt jego w tém mieście i studya nad literaturą

francuzką, nie pozostały na nim bez wpływu. Niektórzy twierdzą, że miłość, którą wkrótce hymen miał uświęcić, natchnęła Manzoniego do napisania poemaciku: *l'Urania*, który pomimo pewnych zalet, jest utworem zimnym i wymuszonym (str. 114). Małżeństwo poety z szesnastoletnią Henryką Blondel, protestantką, odbyło się w Medyolanie w roku 1808; przez następne lat dziesięć twórczość duchowa Manzoniego była w uśpieniu, poetę bowiem owładnęła *idea fissa* stania się poetą i apologistą religii katolickiéj. Oprócz kilku *Hymnów świętych* i kanzon politycznych, w guście klasycznym, nic więcéj w tym okresie nie napisał. *Inni Sacri*, napisane pod zachętą spowiednika Tossi, są obmyślone raczéj, niż odczute. Nie wyszły one z serca pod wpływem wiary gorącéj, lecz z głowy pod przymusem rozumu, zniewolonego do takich ćwiczeń literackich radami, zachętą i przepisami spowiednika. Poeta uległ; widoczne jest jednak, że to posłuszeństwo było dlań ciężarem (str. 137). Gdzie tylko w tych *Hymnach* chciał być szczytnym, jest ciemnym jedynie. Wogóle zresztą utwory te są dobre dla artysty, który chce wierzyć, lecz nie dla ludu, który wierzy.

Tam jednak, gdzie poeta rozstaje się z dogmatami, a uderza tylko w struny miłości chrześciańskiéj, którą czuł już silnie, zanim się w ręce spowiednika dostał, owéj miłości, która jest podstawą, źródłem i elementem każdéj religii, tam słowa jego pieśni są proste, naturalne, wymowne. Za hymnami poszły daléj: *Osservationi sopra la morale cattolica*, którą to pracę naznaczył Manzoniemu spowiednik Tossi za pokutę. Tymczasem w r. 1818, Manzoni, ku wielkiéj boleści swojéj, był zmuszony sprzedać ojcowiznę (*Caleotto*), która była dla niego skarbnicą wspomnień, a kłopoty życiowe skierowały muzę jego do dramatu. To też w pierwszéj tragedyi tego poety p. t.: *Conte di Carmagnola*, spotykamy przeważnie ducha, myśli, zwątpienia i walki wewnętrzne autora, troskliwego o swoje imię, chwiejnego w czynie, wrzącego w pomysłach, pobożnego, delikatnego, kochającego ojczyznę i rodzinę. W następnéj tragedyi: *Adelchi*, indywidualne uczucia autora przejawiają się już w mniejszym stopniu, a w dalszych jego pracach gwiazdą poety jest jedność kraju pod każdym względem, a w szczególności i językowa. Kwestya języka nie jest nowa we Włoszech, powstała ona jednocześnie z literaturą; Manzoni wszakże ma tę zasługę, że ją ze stanowiska narodowego zaczął traktować z tą samą powagą, z jaką odnosili się do niéj w XIII i XV wieku pierwszy poeta Italii Dante i pierwszy jéj prozaik Machiavelli. *Jedność* była hasłem Manzoniego. Twierdził on, że należało pisać popularnie... dla wszystkich, mówić jednym językiem, mieć jednę wiarę religijną i polityczną, bez czego ani harmonii narodowéj, ani prawdziwéj wielkości włoskiéj być nie mogło. Ogniskiem jedności językowéj miała być podług niego Florencya, a jedności religijnéj kościół katolicki. Ze względu zaś na poczucie harmonii powszechnéj, odczuwał podniosłe stanowisko poezyi, obejmującéj w sobie wszystko, co tylko odczuć, lub pomyśleć można. Rzeczywistość była

dla niego podstawą, idealność koroną każdéj budowy poetycznéj; to też prace jego, oparte na ziemi, mogły sięgnąć z łatwością aż w niebo.

Burzliwe okoliczności polityczne, wśród których żył Manzoni wywołały piękny utwór tego poety: *Odę z 1821 r.*, poświęconą pamięci Teodora Kernera, poety i żołnierza w walce o niepodległość Germanii, zabitego w bitwie pod Lipskiem. Nie jestto tylko hymn wojenny Włochów, lecz odezwa do wszystkich narodów cywilizowanych. Pomimo wyjątkowego nastroju ducha poety, z ust jego nie wyszło ani jedno słowo nienawiści, zemsty lub namiętności poziomej; daleką jest również od niego wszelka chełpliwość lub szalone uniesienie gniewu; owszem, w całéj odzie rozlane jest tylko spokojne umiarkowanie dumy męzkiéj. Gdy Napoleon umarł 5 maja 1821 r., Manzoni uświęcił pamięć dnia tego pięknym utworem lirycznym *Cinque Maggio*, tłómaczonym na język niemiecki przez Goethego i naśladowanym przez Lamartine'a.

Najgłośniejszym wszakże utworem Manzoniego jest romans *Promessi sposi*, napisany z zaniedbaniem wszelkich zasad tego rodzaju literatury. Zbywa temu dziełu na odpowiedniém ustosunkowaniu części do całokształtu, na owém *crescendo* powabów, które w każdym romansie spotkaćbyśmy chcieli. Akcya główna jest niedość ważna, a przynajmniéj przedstawia się taką, rozważana sama w sobie, a nie w pojęciach społecznych autora, który za pośrednictwem wypadku drobnego i wyjątkowego chciał przedstawić odwieczną walkę pomiędzy ciemiężycielami i uciśnionemi, panami i służbą, magnatami i ludem, grupując około téj walki niektóre poważne kwestye społeczne: jak zdrowia publicznego, prawodawstwa karnego, o nieszczęściach które sprowadza wojna, o duchowieństwie i t. p. Romans Manzoniego sam przez się, ze stanowiska inwencyi mówi mało; wielkich i silnych namiętności niemasz w nim ani śladu; czytelnik nie został zaciekawiony i zdziwiony żadną nowością; lecz to jest właśnie szczególne, że w tym jedynym romansie mniéj się szuka tego co bawi, to jest elementu romantycznego, niż innych rzeczy; a jeszcze oryginalniejszą jest ta okoliczność, że autor, pozbywszy się prawie tego elementu, który w innych romansach tak za niezbędny uchodzi, znalazł poza nim tyle materyi pociągającéj i żywéj (str. 234). W *Boskiéj komedyi* nie przedmiot nas porywa, lecz sposób w jaki autor obmyśla go, odczuwa i traktuje; toż samo i o *Promessi sposi* powiedzieć można: w pierwszym szukamy poezyi Dantego, ducha i umysłu Dantego; w drugim poezyi Manzoniego, ducha i umysłu Manzoniego, oraz sposobu jakim potrafi jednoczyć rzeczywistość z idealnością. Kto czyta *Narzeczonych* jako zwykłą książkę, miernie tylko zająć się nią może; lecz kto szuka w nich tego, co autor chciał przedstawić, nie zawiedzie się nigdy i musi podziwiać twórcę, który środkami tak skromnemi umiał potężne efekty wywoływać. Skoncentrowanie, rozdzielenie i wyczerpanie jakgdyby całego siebie w jedném głównem dziele, jest największą chwałą Manzoniego i głównym, jakgdyby tajemniczym urokiem *Narzeczonych*, który sprawia, że utwór

ten miał we Włoszech, a ma i obecnie, niepraktykowaną popularność i wywołał licznych naśladowców.

. . . . . .

Współczesny Manzoniemu i pod wielu względami pokrewny mu duchem, był Aleardo Aleardi, jeden z bardziéj utalentowanych poetów włoskich, którego śmierć w r. 1878 odbiła się bolesném echem w sercach jego ziomków i wywołała między innemi broszurę Prampoliniego serdeczném piórem skreśloną. Aleardi przyszedł na świat poetą i otrzymał od natury bogaty zdrój uczucia, którém tak obficie utwory swoje ożywiał. Był poetą, bo kochał. Kochał silnie ojczyznę i sztukę; tym dwu świętym gwiazdom swego życia poświęcił całe istnienie. Miłość ojczyzny, ujarzmionéj wówczas i nieszczęśliwéj, natchnęła go wspaniałemi pieśniami (*Il Monte Circello*, *La città italiane; marinare e commercianti; Un ora della mia giovinezza*) które przechodząc z ust do ust, zabrzmiały jako protest przeciwko Austryi, jako podniosły objaw uczuć, zamkniętych w sercu każdego włocha. Ujarzmieni ojcowie przekazywali te pieśni dorastającym dzieciom, które pod ich wpływem rozwijały w młodocianych piersiach gorącą miłość ziemi rodzinnéj. Tę misyą szlachetną okupił poeta więzieniem naprzód w Mantui, następnie w Josephstadt; ale duch Alcardiego nie zachwiał się ani na chwilę. Cierpiał z godnością i spokojem pełnym rezygnacyi wyczekując, obojętnie wyroku.

„Nie proś, broń Boże, Beatryczo, o łaskę dla mnie—mówił do siostry, która go w więzieniu odwiedziła—wolę śmierć powolną niżeli łaskę...”

Głębokie poczucie natury, miłość ideałów transcendentalnych, mistycznych i słodki melancholijny koloryt wiersza, robiły Aleardiego uprzywilejowanym poetą płci nadobnéj, która oprzéć się nie mogła potędze czaru, jaki płynął z namiętnych pieśni o *Rafaelu* i *Fornarynie*, lub z *Listów do Maryi*. Aleardi był poetą w całém znaczeniu tego słowa, bo posiadał w największym stopniu poczucie piękna, a muza jego była jedynie na usługach pielęgnowanego w głębi duszy ideału. „Gdy umrę—mawiał często—połóżcie mi na grobie kamień z tym napisem: „był to uczciwy człowiek.” Trzeba się zgodzić z de Sanctisem, że „Aleardi, to poeta prosty i skromny... w swéj wielkości!....”

Że broszurka Prampoliniego nie jest panegirykiem, przekonywamy się również i z książki Corradina *O poetach współczesnych*, w któréj Aleardi został mniéj więcéj w podobny sposób oceniony jako poeta i jako człowiek. W pracy powyższéj, poważnie rekomendującéj autora, Corradino dał oprócz sylwetki Alcardiego, ciekawe studya o Pratim, autorze *Edmenegardy*, *Armanda* i wielu innych poematów, o Carduccim, największym z liryków włoskich dziś żyjących, z którym w następnym numerze *Biblioteki* zapoznamy się bliżéj, o Giacosie, utalentowanym dramaturgu, (*Una partita a Scachi*, *Il Marito amante della moglie* i t. d.) a wreszcie o Emilu Praga. Ten szkic ostatni, jako najbardziéj interesujący, podamy czytelnikom w głównych zarysach. Je-

żeli kiedy był poeta—mówi Corradino—któregoby idee, w najlepszéj wierze wygłaszane, podejrzywane były o złe intencye, któregoby dusza odbierała w każdéj chwili mnóstwo zniewag, szyderstw i zarzutów od publiczności—to jest nim Emil Praga, ustawiczny przedmiot gwałtownych nienawiści i niemniéj gwałtownego uwielbienia. Męczennik jednocześnie własnych i cudzych namiętności, ofiara geniuszu i poziomych nienawiści ludzkich, przedmiot wściekłego gniewu zawistnych, musiał Praga sączyć po kropli przez całe życie nadmierny kielich goryczy, jako *poeta przyszłości* (str. 142). A jednak Praga zrobił tyle dla poezyi włoskiéj, ile Manzoni dla prozy. Był on twórcą nowego sposobu pisania wierszów, dzięki któremu wszystkie rzeczy otrzymywały właściwą nazwę i zgodne z prawdą obrazy, rugujące owo gadulstwo klasyczne, tak zabójcze dla myśli i natchnienia. Był on wrogiem sztucznego idealizmu. Istniała we Włoszech poezya, która czerpała natchnienia swoje ze spekulacyi nawskroś idealnych, niemających w świecie rzeczywistości żadnéj odpowiedniéj formy, a jéj twórcy błąkali się tylko śród obłoków, po to chyba schodząc na ziemię, żeby potrącać tłumy. Poezya, mająca ustawicznie przed sobą wzory klasyczne, obca była ziemskiemu życiu; nie istniał dla niéj świat psychologiczny i natura schwytana w jéj tajemnicach. Cokolwiek późniéj, jedynemi źródłami natchnień życiowych była idea prawdy filozoficznéj i miłości ojczyzny, zkąd między innemi wypłynęły najsmętniejsze dźwięki Leopardiego, pieśni wojenne wielu mężnych włochów i nieśmiertelna satyra Giustiego.

Emil Praga wydarł tych melancholijnie ascetycznych poetów ze świata bezpłodnéj spekulacyi, sprowadził poezyą na ziemię, na tę piękną i ponętną ziemię; a poezya wtedy, opuściwszy chętnie drogę lazurów nieskończonych, z rozkoszą zstąpiła na pełne balsamicznéj woni łąki ojczyste, drżała z radości na widok wspaniałego morza i wzmacniała wycieńczony organizm ożywczém gór powietrzem. Jestto realizm Pragi, realizm, który się łączył cudownie z dobrze pojętym idealizmem i którego Praga był pierwszym i najdzielniejszym zapaśnikiem.

. . . . . .

Włosi kochają się widocznie w drobnych rozmiarami szkicach literackich, których, jak to widzieliśmy, po kilka i kilkanaście nieraz, składa się na średniéj objętości książkę. Przed kilku miesiącami opuściły prasę w Medyolanie *Szkice krytyczne* Simianiego, który tłumaczy się w przedmowie, że nie dla sławy zebrał kilka artykułów w jeden tomik, lecz że woli posiadać je razem, aniżeli rozpraszać po dziennikach. Szereg obrazków krytycznych rozpoczyna *L'Orlandino* Piotra Aretino, który jest prawdziwym wyrazem charakteru wieku XVI. Streszcza on w sobie to wszystko co tylko najsprośniejszego, najbardziéj poziomego, najsprzeczniejszego mogło się zrodzić w naturze ludzkiéj. Panegirysta aż do ckliwości; drwinkarz—do hańby; trwożliwy jak baba, arogant gorszy od żaka. *Orlandino*, to ani poemat, ani satyra; autor połączył w nim szyderstwo z żartem i stworzył karykaturę. Rozstawszy się

z wstrętnym utworem Aretina, Simiani osładza sobie przykrość poprzedniéj analizy rozkoszą dźwięków pieśni, którą z takim artyzmem umie wydobywać ze swéj liry Marianina Caffa Caruso, współczesna poetka sycylijska, „łącząca w sobie miękkość Tibulla i męzki zapał Propercyusza" (str. 27). Daléj ocenia Simiani przekład tragedyi Eurypidesa, dokonany przez Józefa de Spuches; rozbiera wyszłe w 1873 r. poezye Antoniego Amico, zaliczając do najpiękniejszych poematy: *L'alba* (Jutrzenka), *La Farfalla* (Motyl), *La Quieto* (Spoczynek) i inne, oraz zastanawia się nad tłumaczeniami tego pisarza; a wreszcie kreśli wspomnienie o uczonym historyku sycylijskim Izydorze La Lumia, zmarłym przed kilku laty i kończy sylwetką Józefa di Neapoli, współczesnego autora kilku udatnych poematów lirycznych. Simiani nie pisał *Szkiców* swoich dla sławy, i... one mu téż sławy nie przyniosą!

Toż samo powiedziećby można: o *Życiu Niccoliniego*. Autor téj pracy, dr. Brigidi, miał zadanie bardzo wdzięczne, ale mu sprostać nie zdołał. Niccolini urodził się w r. 1782 w okolicach Pizy. W 22 roku życia, przejęty do głębi okropną klęską miasta Livorno, dziesiątkowanego przez zarazę, napisał wiersz *La pieta*, w którym talent jego poetyczny zajaśniał poraz pierwszy. Przez długi czas poświęcał się Niccolini studyom klasycznym, których owocem była ogłoszona w r. 1810 pierwsza jego praca dramatyczna p. t.: *Polissena*. Tragedya ta, uwieńczona nagrodą akademii, została w trzy lata późniéj odegrana z ogromném powodzeniem. W jakiś czas potém wystawione zostały trzy inne tragedye tego pisarza, a mianowicie: *Ino e Temisto*, *La Medea*, *L'Edipo*. W czasie kiedy bohatér z pod Waterloo pędził samotne życie śród skał ś. Heleny, poeta toskański napisał tragedyą *Nabucco*, o charakterze przeważnie polityczno-alegorycznym, w któréj rozumnie ocenił Bonapartego. Gdy absolutyzm Austryi dławił we Włoszech każdy objaw narodowego ducha, tragik florencki pod wpływem szlachetnego oburzenia stworzył nową tragedyą *Foscarini*, któréj sława szeroko rozbrzmiała po Europie i którą Ludwik Bonaparte, późniéjszy Napoleon III, na język niemiecki przetłómaczył.

Owocem nieustannych rozmyślań nad jednością włoską, był dramat *Giovanni da Procida;* za nim powstały tragedye *Lodovico Sforza*, *Filippo Strozzi*, *Beatrix Cenci* i *Arnaldo;* ta ostatnia przeciw papieżowi skierowana. Zapał ducha, spokojność sądu, powaga i naturalność stylu, jednolitość akcyi, szczytność charakterów i świeżość sytuacyi, oto wybitne zalety prac dramatycznych Niccoliniego (str. 44). Pisał on również wiele rozpraw prozą jak: *Dell Imitatione dell'arte dramatica; Di Dante e del suo poema; Sul romanzo storico*; *Lezioni di mitologia; Del sublime e di Michelangiolo* i t. d., którym dr. Brigidi najwięcéj miejsca poświęca. Oprócz tego, Niccolini, przyglądając się bacznie naturze ludzkiéj i czasom swoim, rozsiewał wiele aforyzmów religijnych, intelektualnych, moralnych, politycznych i estetycznych niepospolitéj wartości. W dalszym ciągu dr. Brigidi przedstawia nam swego bohatéra jako najszlachetniejszego człowieka, obywatela i ojca rodziny.

Gdy w 1861 r. rozeszła się wieść po Florencyi o śmierci Niccoliniego, wszyscy mieszkańcy miasta od najwyższych do najniższych, byli głęboko dotknięci tym ciosem, a władza municypalna postanowiła złożyć śmiertelne szczątki poety na Santa Croce i wznieść mu pomnik (str. 186).

Książka Brigidiego napisana jest dziwnie sucho i anemicznie, pomimo uwielbienia, jakie miał autor dla poety; to też postać tragika florenckiego, a szczególniéj jako zapaśnika sceny, wyszła blado i bezbarwnie.

. . . . . .

Na zakończenie niniejszego artykułu uważamy za stosowne dodać, iż celem naszym nie była bynajmniéj wyczerpująca krytyka dzieł przedstawionych, to jest *szczegółowy* rozbiór zarówno stron ujemnych jak dodatnich każdéj pracy, lecz tylko zaznajomienie czytelników z obecnym ruchem umysłowym we Włoszech i podanie dokładnych informacyi dla tych wszystkich, którzyby się bliżéj z literaturą włoską zapoznać chcieli. Oprócz tego nadmienić muszę, że gdy z jednéj strony ramy tego przeglądu muszą być szczupłe, z drugiéj zaś o takich tylko książkach mam zwyczaj pisać, *które sam przeczytałem;* przeto z natury rzeczy tak w powyższym przeglądzie jak i w następnych, trzeba było pominąć nie jednę pracę, na bliższe poznanie zasługującą. Sądzę jednak, że zarówno ilość dzieł któreśmy przejrzeli, jak i ich wybór w zupełności do celów powyżéj wskazanych wystarczyć mogą.

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

Od szkolnéj ławy.

OPOWIADANIE Z LAT 1798—1813 *).

PRZEZ

Kajetana Kraszewskiego.

Pod wieczór wjechawszy do Warszawy, stanęliśmy w zajeździe Zrazowskiego, który mieścił się w prawym pawilonie saskiego pałacu, gdzie za trzy złote na dobę dano nam wygodne trzy pokoje i stajnię na ośm koni. Po drugiéj stronie pałacu znajdowało się naówczas Liceum, z którego widzieliśmy właśnie wychodzących uczniów; było ich bardzo niewielu i to samych malców. Stolica zdała się nam smutną i opuszczoną nadspodziewanie, sklepów kilka tylko na Miodowéj ulicy, którą natenczas kazano nazywać Napoleońską, ogłaszając to przemianowanie z wielkiemi solennościami; kilka magazynów na Krakowskiém Przedmieściu i kilka na Senatorskiéj. Ruch w mieście bardzo nieznaczny, żydzi tylko ze skrzynkami na ramionach i faktorzy, napastując rzadkich przechodniów, snuli się po ulicach, albo przeciągały kompanie rekrutów; dziwna jakaś wszędzie panowała cisza, nieznamionująca bynajmniéj stołecznego miasta. Zostawiając na dzień następny obmyślenie dalszych kroków naszych, odwiedziny i oddanie listów polecających, któreśmy mieli do osób znaczniejszych, pokładliśmy się spać wcześnie, pocieszając się, że smutne wrażenie, jakie na pierwszym wstępie uczyniła na nas Warszawa, rozwieje się rano przy weselszéj myśli i rozpatrzeniu się bliższém, kiedy po męczącéj wypoczniemy podróży. Jakoż, wcześnie nazajutrz, przebudził nas dźwięczny i wesoły głos trąbki wojskowéj; wyskoczyliśmy z łóżek na równe nogi; tuż przed samemi oknami, jakby umyślnie na przyjęcie nasze, uszykowały się kolumny piechoty, które właśnie ćwiczenia rozpoczynać miały.

*) Dalszy ciąg—patrz zeszyt za maj r. b.

Byłto czas, kiedy wielki Napoleon do podtrzymania swéj władzy i chwały największą ilość ludzi spotrzebowywał; setki i tysiące szły na ofiarę Molocha; szczupłe Księztwo Warszawskie, ubogie i wycieńczone, bezustannie nowe kontyngensa dostarczać było obowiązane. Zadanie to w każdym innym czasie i w innych okolicznościach byłoby niepodobném do uskutecznienia, gdyby nie ten zapał powszechny i poświęcenie się bez granic dla kraju i dla niezwyciężonego mocarza, który upadłych podnosił. Ubóstwo nowo utworzonego państwa, ciężary wszelkie i trudności nie zrażały ogółu mieszkańców, a choć stęknął niejeden, mienie jednak i życie ze skwapliwością na ołtarz powszechnego dobra przynosił. Były to świetne chwile zapału, którego nie ostudzały najcięższe ofiary, nie rozczarowywała bijąca w oczy obłuda i po sto razy ponawiane a niespełniane chwiejne obietnice.

Nigdy może kraj żaden nie dostarczał tylu ludzi, ile ich słało bezustannie małe Księztwo Warszawskie do armii Napoleona; na 2 miliony ludności krajowéj do 80 tysięcy żołnierzy naszych rozrzuconych było po wszystkich stronach Europy; z nich mniéj niż połowa zostawała w kraju; młodsi, gorętsi, i wawrzynów chciwi, biegli poza granice swéj ziemi ojczystéj, w któréj wojny blizkiéj nie przewidywano. W Księztwie téż prócz oficerów wyższych, co z legionów włoskich wrócili, jak: Dąbrowski, Sierawski, Hornowski i inni znajdowali się nietylko oficerowie młodsi, ale i starzy nawet wojacy z dawnego rycerstwa naszego, którzy od czasów konfederacyi barskiéj z konia nie zsiadali. Do armii tak licznéj wielka téż liczba i starszyzny była potrzebną, waleczność przeto uznana i długoletnie doświadczenie, równie cenione były, jak najnowszéj taktyki nauka. Ci jednak starzy wojacy, już się w daleki świat nie wyrywając, tradycyjnie strzegli własnego zagona i lubo w dzielności, młodszym za przykłady służyć mogli, z trudnością nałamywali się do regulaminów nowych, które im z „pod blachy" od głównego wodza przysyłano.

Natenczas właśnie, kiedyśmy do Warszawy przybyli, opowiadano o takim starym konfederacie, generale Kwaśniewskim, który najosobliwsze nieraz księciu Józefowi przysyłał raporta. Sam bowiem, brzydząc się piórem, posługiwał się sekretarzami; rygor jednak starego generała zniechęcał wielu, zmieniali się więc często, a co przybył nowy sekretarz, chociaż mu generał dyktował, nowe pisał banialuki. Nadsyłane papiery odczytywano częstokroć u księcia, w obecności starszyzny wojskowéj; szefa sztabu Fiszera, pułkownika Rautenstraucha, generała Hebdowskiego i innych; tę czynność zwykle powierzał książę adjutantowi swemu, pułkownikowi Kamienieckiemu, wkrótce majorem placu mianowanemu, który miał dar wyczytywania najniewyraźniejszych charakterów, a i za humor wesoły lubionym był przez księcia. Podobnie téż, raz do głośnego czytania znalazło się między innemi pismo, nadesłane właśnie od starego Kwaśniewskiego; towarzystwo nastrojone było poważnie, milczenie panowało powszechne; Kamieniecki z kolei wziął dużą kopertę, pieczęć rozłamał, rzucił

okiem na papier, zawahał się małą chwilę, niedostrzeżony uśmiech powstrzymywał, a przybierając głos i minę jaknajbardziéj seryo, zaczął donośnie:

— O, Jezu! Jezu! Jezu!

Wszyscy spojrzeli po sobie zdziwieni: adjutant czytał daléj.

— O, Jezu! Jezu! Jezu! w Pomeranii Gdańskiéj na kresach stojący...

— Co to jest? Kamieniecki? co ty tam czytasz?— zawołał książę zrywając się z kanapy.

— Raport, proszę księcia. Tak napisano.

— Jaki raport?

— Niech książę raczy posłuchać.

Tu czytał nanowo.

— O, Jezu! Jezu! Jezu! w Pomeranii Gdańskiéj na kresach stojący generał Kwaśniewski. Raport.

Śmiech głośny, niepowstrzymany, powszechny, przerwał dalsze czytanie; tajemnicę tego osobliwszego pisma zaraz téż objaśnił generał Hebdowski.

Stary Kwaśniewski miał zwyczaj dyktować chodząc, a z nałogu już wzdychał zawsze, o Jezu! Jezu! Jezu! co mu weszło w przysłowie; sekretarz tak pisał jak słyszał, generał zaś w dobréj wierze pośpiesznie *manu propria* raport podpisał i odesłał do księcia.

Ten sam jednak Kwaśniewski, mimo swych osobliwszych raportów stojąc nad Odrą z czwartym pułkiem strzelców konnych, dał się dobrze we znaki prusakom, a generał Schill, co chciał na kształt hiszpańskiéj pruską ruchawkę urządzić, jakkolwiek dzielny niezaprzeczenie, przy całéj swéj przebiegłości nie mógł mu dać rady; bo kiedy g. Kwaśniewski miał bić prusaków, a konfederatkę po staroświecku za pas wpakowawszy huknął na swoich: „wiara, za mną!" i tak z gołą głową, a szablą wzniesioną kopnął się na przedzie swoich szeregów, nie było przykładu, żeby kiedykolwiek nieprzyjaciel dotrzymał placu.

W trzy dni po przybyciu naszém do Warszawy, byliśmy już do kontroli wojskowych wpisani, wszyscy trzej zaciągając się do formowanych właśnie ułanów; Łukaszek miał wprawdzie wielką ochotę wstąpić do szaserów, aleśmy go od siebie puścić nie chcieli. Obu furmanom naszym pozwoliliśmy wracać do domu, ale tylko podkomorzyca chłopak korzystał z wolności, mój Pietrek nie chciał ani nas, ani koni opuścić, a późniéj do legii nadwiślańskiéj wstąpił; z ośmiu koni naszych, cztery było wyborowych pod wierzch jeżdżonych, wzięliśmy więc trzy pod siebie, jeden został sprzedany, a cztery zaprzężne z tłomoczkami naszemi i kupionym wózkiem poszły pod komendę mego Iwasia. Wszystko to urządziło się gładko i żwawo w przeciągu dni kilku, a lubo mieliśmy listy polecające, które ułatwiły nam wiele i bez nich jednak, o ileśmy się przekonali, można się było obejść wyśmienicie. Żołnierz natenczas w Księztwie, był nadewszystko pożądanym. Davoust'a korpus stał w kraju i on sam rezydując w Brühlowskim pałacu, a wy-

prawiając asamble i bale wraz z niedawno przybyłym rezydentem francuzkim panem Serra, o nowe zaciągi bezustannie naglili. Władze przeto wojskowe Księztwa, rade przyjmowały ochotników, tém bardziéj, jeśli oni z ościennych ziem przybywali; kraj bowiem i tak już wycieńczony, mniéj się z miejscowéj ogałacał ludności. Żałowaliśmy niezmiernie, żeśmy choćby kilka miesięcy pierwéj nie mogli przybyć do Warszawy, gdyż właśnie przed kilku tygodniami wyszedł był do Francyi nowo wystawiony pułk ułanów, a jak francuzi nazywali: szwoleżerów, pod dowództwem Wincentego Krasińskiego. Pułk ten przeznaczony był na gwardyą przyboczną samego cesarza, przy nim więc, u głównego ołtarza, miał się dosługiwać wawrzynów, mógł je najprędzéj pozyskać, i w istocie téż niezapomnianą okrył się chwałą w sławnym wąwozie Sommo-Sierra, całéj armii Napoleona otwierając drogę do Madrytu.

Już więc niespełna w tydzień po naszym przyjeździe, zaczęliśmy życie nowe, nowy zawód, jak dla mnie przynajmniéj wymarzony oddawna. Mundur nasz podobnym był zupełnie do pułku gwardyi Krasińskiego, granatowy z żółtemi wyłogami i ponsowym kołnierzem; kiedym go wdział poraz pierwszy, wyznaję, żem się cieszył jak dziecko; była to prawa strona medalu, jak mówią francuzi; odwrotną, miało mi okazać doświadczenie późniejsze, niebezpieczeństwa wojny, trudy i niewczasy obozowe. Toż samo jednak doświadczenie nauczyło mię również, że i dodatnia strona wojskowego życia nie ogranicza się bynajmniéj na mundurze, koniu i szabelce, a ma swój powab niewysłowiony i na całe życie najmilsze pozostawiający wspomnienia; jest nim nierozdzielne życie koleżeńskie i duch braterstwa łączący jakby w jednę rodzinę tych wszystkich, co pod jedną walczą chorągwią. Tośmy w całéj pełni dopiéro uczuli wszyscy, znalazłszy się w pół roku późniéj na drugim końcu Europy, z obcém wojskiem, w obcym kraju, garstka nas, Polaków, jak sierot rzuconych na pastwę kul i bagnetów, gdzie nad mogiłą poległego nawet ptasze nie zakwili. Aniśmy się spodziewali, co nas czeka, kiedy po dwu miesiącach, już nieco w służbie wyćwiczeni, otrzymaliśmy rozkaz wymaszerowania do Sedanu. Józio spostrzegł się teraz, że jego małżeńskie zamiary mogą być pokrzyżowane, jeśli za rok nie będzie się w kraju znajdował; wypadki jednak toczyły się żywo, należało coś i Opatrzności poruczyć, a nie czas było do rozmyślań, kiedy się już krok uczyniło stanowczy.

Dwa miesiące przebiegło nam w Warszawie niepostrzeżenie, ciągłemi a męczącemi ćwiczeniami zajęci, nie mieliśmy ani czasu, ani ochoty do zabawy, ledwieśmy rozpatrzéć się mogli, już nas wyprawiono do Francyi wraz z pięciuset rekrutami przesyłanymi dla dopełnienia legii Nadwiślańskiéj. Z Sedanu poszliśmy do Paryża; tu, po przeglądzie na placu Vandôme, odbytym przez samego cesarza, dano nam sutą ucztę w gmachu szkoły wojskowéj i zaraz nazajutrz wyruszyliśmy wzdłuż całéj Francyi, do Bajonny. Pochód ten na zawsze dla nas pamiętnym zostanie, czas był przecudnie piękny, kraj rozkoszny i boga-

ty, przyjmowano nas wszędzie z zapałem i gościnnością wszelkie przechodzącą granice; nie rzadko spotykaliśmy albo rodaków, albo francuzów, którzy kraj nasz znali i wspominali uprzejmie. Pochód ten, jakoby tryumfalny, gdyż nas nie rozróżniano od armii, która walczyła pod Jeną, był najprzyjemniejszą podróżą i tém milsze zostawił wspomnienia, że przekroczywszy granice Francyi i grzbiet Pireneów, znaleźliśmy się w kraju, gdzie nas na każdym kroku witano kulami, nie rzadko sztyletem, a nawet trucizną.

Świetne, bohaterskie nieraz czyny polskiego oręża na Iberyjskim półwyspie jeszcze swego historyka czekają. Legie nasze, które tam posłano, rozrzucone zostały jakby na okrasę pomiędzy wszystkie francuzkie korpusy. Nie było więc w nich jedności działań, oficerowie nasi znać mogli jedynie pojedyńcze wypadki wojny, które w skutek partyzanckiego urywkowego jéj charakteru mnożyły się nieskończenie. Każdy przeto z naszych starszych oficerów i dowódzców, zbierając własne wspomnienia, mógłby cząstkę zaledwie ogólnych działań odtworzyć. Dla wykazania obrazu całości, trzebaby mieć sprawozdania każdego z dowódców, a nieraz i młodszych oficerów nawet, którzy zostawali pod rozkazami generałów francuzkich. Niewielu jednak było takich, coby przygody własne i oddziałów, w których służyli, zapisywać chcieli i mogli; francuzcy zaś historycy, począwszy od Thiersa, lubo im materyałów nie brakło, ledwie gdzieniegdzie, z konieczności tylko i prawie niechętnie czyny wojsk naszych wspominają. I nie dziw, bo nieraz tam, gdzie ich najwaleczniejsi żołnierze pola dotrzymać nie mogli, tam, na stracone imię, posyłano legie nasze: ułanów, szaserów, woltyżerów i oni im torowali drogę. Wygodniéj więc te waleczne czyny policzyć ogólnie na karb armii całéj, albo korpusu, na zasługę własnego oręża. Sprawiedliwsi jednak byli sami francuzcy żołnierze, a nawet hiszpanie i anglicy; wszyscy oni i wszędzie oddają najwyższe pochwały waleczności, karności i wytrwałości naszego żołnierza. Przy powtórném już bezprzykładném w dziejach oblężeniu Saragossy, kiedy cała oblegająca armia francuzka, zniechęcona morderczą a bezskuteczną walką szemrała i blizką była wypowiedzenia posłuszeństwa swym wodzom, nasze tylko legie, pod dzielnym żelaznéj wytrwałości Chłopickim, darły się na szańce i wyłomy, na baterye i dachy kamienic, z rodzinną piosnką na ustach, z dobrodusznym uśmiechem. Gotowi na każde skinienie ukochanego wodza, szli na śmierć jak na gody, i ginęli, ostatnie westchnienie posyłając w kraj oddalony. Kiedy pod morderczym kartaczowym ogniem żołnierze nasi zdobywają plac broni w Saragossie i ulicę Engracia, o którą darmo kusili się francuzi, jeden z grenadyerów podziwem zdjęty, woła, rzucając karabin: „Wielki Boże?! jakimże sposobem kraj wasz zdobyto!?" Proste to, z serca i w uniesieniu rzucone pytanie, wywołuje również prostą, ale niemniéj znaczącą odpowiedź, że *nie oręż jedynie broni i nie oręż zdobywa;* czego najlepszym dowodem była ta właśnie wojna nieszczęsna, którąśmy toczyli w Hiszpanii; tu żołnierz, bijąc się bezustannie i zwyciężając, tę miał

tylko zdobytą ziemię, na któréj nogi jego stały; tysiące wojsk rozbrajał, warownie posiadał, a kraju nie był w stanie opanować.

Dziwném téż i niezbadaném przeznaczeniem losu przyszło nam walczyć w Hiszpanii, wspomagać sprawę zdradziecką, najazd niczém nieusprawiedliwiony i bić się z narodem, który nam nietylko nie uczynił nic złego, ale podziwienie nasze i mimowolny wzbudzał szacunek, rozwijając w obronie swojéj ojczyzny godne najwyższego uwielbienia cnoty. Jak grzech każdy niesie w sobie zarodek kary, tak téż i ta podstępna wojna hiszpańska wykruszyła najpierwszą cegiełkę z gmachu potęgi Napoleona. Sam on, już będąc na wyspie ś-téj Heleny przyznał, że ona głównie przyczyniła się do jego upadku.

Dziwimy się nieraz ptakom i zwierzętom, że się dziesiątkami w jeden samotrzask łapią; dziwićby się więcéj należało ludziom, którzy ucząc się historyi narodów, zawsze się jednak na też same sidła podłego podstępu i zdrady ułowić dają. Napoleon, idąc tą utartą drogą nic nie wymyślił nowego. Najprzód więc jest przekupiony minister, zasiane niesnaski w kraju i w panującéj rodzinie; późniéj, niewinna prośba o pozwolenie przeprowadzenia tylko wojsk francuzkich przez hiszpańską ziemię do Portugalii; daléj, łaskawe podjęcie się pośrednictwa w uczynieniu zgody między Karolem IV i Ferdynandem III, ojcem i synem, pociągnięcie ich do Bajonny, i owóż, klapka politycznéj pułapki zapada. Następuje uwięzienie ojca i syna i zabór kraju, w którym również uczciwych używano sposobów do opanowania miejsc obronnych w samych początkach, póki się naród nie opatrzył jeszcze, a z całą ufnością wierzył w przyjacielskie stosunki. Ciekawy jest pod tym względem pomysł generała Boneta, celem zajęcia cytadeli w Pampelunie, pierwszém od strony Francyi obronném miejscu za Pireneami; przyczém pamiętać należy, iż to się działo w tym czasie, kiedy wojska Napoleona, jako przyjacielskie jedynie, w przechodzie niby, gościły w Hiszpanii; twierdzę tę jednak bądźcobądź zająć im było potrzeba, a bić się... tak zaraz, z początku, nie wypadało. Gościnni hiszpanie, dozwoliwszy przejścia, dostarczali téż, po umówionych cenach i żywności dla przyjacielskiego wojska, wydawano zatém francuzom co wymagała potrzeba ze składów wojskowych, znajdujących się w cytadeli. Do odbierania żywności przyszli młodzi i żwawi żołnierze bez broni, w długie tylko płaszcze odziani; hiszpanie, jakkolwiek z przyjaciołmi mieli do czynienia, nikogo jednak do środka twierdzy nie wpuszczali; żywność mierzono i ważono w składach, kiedy oddział francuzki oczekiwał pod bramą. Było to w zimie, a że miasto położone jest na wysokiéj płaszczyznie u stóp Pireneów, śnieg przeto w téj porze, lubo nietrwały, dość często się trafia. Francuzom, jak wiadomo, na humorze nie zbywa, daléjże jedni na drugich, jak żaki, zaczynają ciskać śnieżkami: śmiech i wesołość powszechna. Nieliczna załoga twierdzy, stojąc w otwartéj bramie z powagą hiszpanom właściwą i z pogardą nawet niejaką przypatruje się téj dziecinnéj zabawie. Latają śnieżne kule, kilkunastu napastowanych silnie przez towarzyszów,

chroniąc się przed gradem pocisków, ze śmiechem i wrzawą wpada do bramy, za nimi z żartami i odgróżkami wbiegają inni... nagle, zpod długich płaszczów błysnęły bagnety, zdumiona załoga, nim się opatrzéć i opamiętać zdołała, już była rozbrojoną, a twierdzę... przyjaciele zajęli.

Po usunięciu rodziny królewskiéj, opróżniony tron w Hiszpanii zajmuje brat Napoleona, Józef; w przesiadanego bawiąc się z Muratem, szwagrem swoim ex-garsonem hotelowym, któremu neapolitański oddaje. Naród, widząc jawny podstęp i zdradę, rzuca się do broni; nowy król po czterodniowym pobycie w stolicy już musi uchodzić; pierwszy jednakże dekret, jaki ogłasza w pięć dni po ucieczce z Madrytu, jest skasowanie klasztorów. Tymczasem Murat uspakaja stolicę; kartaczuje więc procesye, a ludność chwytaną po ulicach, bez względu na wiek, płeć i powołanie, dziesiątkami i setkami skazuje na śmierć ryczałtowo.

Wielce jest wątpliwą rzeczą, czyby naród hiszpański powstał tak jednomyślnie i silnie, czy zdołałby tak długo z tak bohaterską wytrwałością walczyć i ginąć w obronie ojczyzny, gdyby nie barbarzyństwo Murata i innych generałów francuzkich, bezbożne i ich i żołnierzy rabunki i ów dekret o skasowaniu klasztorów. Nieugięci są i zaciekli z natury hiszpanie: o katalończykach mówią, że gdy im trzeba wbijać ćwiek w ścianę, nie młotkiem to czynią, ale głową; o aragończykach zaś dodają, że w takim wypadku gwóźdź jeszcze obracają główką do muru; ani ta jednak zajadłość i upór, ani Welington z anglikami, ani tak dzielni partyzanci, jak: Palafox, sławny obrońca Saragossy, margrabia Lazan, brat jego starszy, Montijo, Longo, Mina, Marino i wielu innych nie zdołaliby tak długiego stawić oporu, gdyby nie religijny zapał całego narodu, do fanatyzmu niemal podniesiony, a bezustannie przez zagrożone duchowieństwo klasztorne podsycany i podtrzymywany. Tą groźbą zamknięcia klasztorów nowy król oddał Hiszpanii, mimo woli, największą i rzeczywistą przysługę; zakonnicy podnieśli i podtrzymali wojnę narodową i ocalili ojczyznę. Nie ograniczając się na ambonie i konfesyonale, wielu z nich, z krzyżem albo szablą w ręku, szli osobiście na czele zebranych oddziałów ruchawki; kapucyn Francisqueti w la Mancha, był jednym z najdzielniejszych dowódzców, prowadzących lud do obrony swéj ziemi.

Każda na świecie wojna rzeczą jest nieludzką i barbarzyńską; hiszpańska jednak kampania Napoleona prowadzona była, rzec można, z bezprzykładną w dziejach z obu stron zaciętością. Ale jeśli rozpaczliwa obrona siedzib własnych od obcego najazdu, nietylko tę zaciętość tłómaczyła, lecz chlubę nawet przynosiła hiszpanom, jak wytłómaczyć i czém usprawiedliwić barbarzyństwo francuzów? Głoszą się oni za cywilizatorów świata. Wyznaję, żem przestał w to wierzyć, patrząc jedynie na ich okrucieństwa i nienasyconą chciwość łupu w rabowaniu wszędzie i wszystkiego, co im pod rękę podpadło; domów Bożych nawet nie oszczędzając, dla których nietylko nie mieli żadnego posza-

nowania, ale je bezcześcili w sposób najhaniebniejszy: hiszpanie, słusznie ich za bezbożników uważali. Tu, okazała się cała różnica narodowego charakteru polaków: kiedy francuzi obdzierali kościoły, nasi żołnierze śpieszyli tam ze skruchą korząc się przed ołtarzami. Nie rzadko, chórem zabrzmiała pieśń nabożna w języku, który pod sklepieniami kilkowiekowych świątyń nigdy nie był słyszanym; pieśń, wspomnieniami porywająca w kraj oddalony, pod zczerniałą strzechę wiejskiego kościołka, stokroć od owych marmurów i złoconych stropów dla serc naszych droższą; za pieśnią, cichym szmerem płynęły modlitwy i westchnienia i łza nieraz rzewna stoczyła się po marsowém legionisty obliczu.

Łupieztwo francuzów poznaliśmy i w naszym kraju, kiedy wkroczyli jako przyjaciele i obrońcy; wiadomém jest powszechnie owo zdarzenie, gdzie po świetnym obiedzie, przez jednego z magnatów na przyjęcie francuzkich oficerów wydanym, większa część sreber stołowych przeszła do szerokich kieszeni cywilizowanych gości.

Nasz żołnierz rabunkiem się brzydził, jedynym łupem pożądanym dla niego było to, co znajdował w spiżarni, wszystko co do zaspokojenia głodu i pragnienia służyć mogło; tu był też łatwo usprawiedliwionym. Gdzie wpadło wojsko, francuz chwytał złoty zegarek, a nasz wiarus sięgał po kiełbasę albo chleba bochenek; i nieraz się też później zdarzyło, że francuz oddawał chętnie zegarek, byle dostać choć połowę owego bochenka. Wielu oficerów naszych poprzywoziło jednak z Hiszpanii rzeczy kosztowne. Żleby wszelako sądził ten, coby ich o rabunek pomówił, działo się to bowiem podobnie jak z owym bochenkiem. Oficerowie i żołnierze francuzcy zdobywali bogactwa i kosztowności, ale je też jako lekko, nie licząc sumienia, nabyte, w potrzebie i bez potrzeby trwonili i marnotrawili często. Za armią snuli się chmurami spekulanci i handlarze, nawet naszych żydków polskich widywaliśmy nieraz; niejeden przeto z naszych rodaków, widząc za bezcen oddawane przedmioty, czuł się niejako usprawiedliwionym, jeśli je sam nabywał. Chęć zysku tak jest silną u żydów, że przemagała nawet wrodzoną tchórzliwość, o tyle bowiem bezpieczni być mogli, o ile się tylko przy armii trzymali, a i tu w razie porażki groziło im największe niebezpieczeństwo. Hiszpanie do tego stopnia brzydzą się żydami, że ich prawie za ludzi poczytywać nie chcą, utrzymując, że są oddzielnym gatunkiem człowieka i każdy z nich rodzi się z ogonem, który starannie ukrywa. Zdarzały się nieraz wypadki, że pierwszą rzeczą po złapaniu żyda było najskwapliwsze zbadanie, czy człowiek ten jest z ogonem lub bez ogona.

Mimo téj ciemnoty prostego ludu i oni nawet w bardzo prędkim czasie nauczyli się polaków od francuzów odróżniać; *los lancieros polacos*, jak naszych ułanów nazywano, byli postrachem wojska, ale ciż sami polacos katolicy i nie rabusie, przez samo porównanie z resztą najezdniczéj armiii, z każdym dniem u krajowców coraz większą zyskiwali przychylność. Niedość bowiem, że się modlili i nie rabowali,

ale czując całą niesprawiedliwość wojny, w któréj prawdziwą igraszką losu mimo woli i przekonań uczestniczyć musieli, starali się téż wszędzie i w każdém zdarzeniu oszczędzić cierpień nieszczęśliwéj ludności, uchronić kogo można było od klęsk i niebezpieczeństw, a w wielu bardzo razach od śmierci: bądźto osłaniając ich i ostrzegając w czasie rozpasanéj swawoli żołdactwa, bądź z narażeniem się nieraz własném, ułatwiając ucieczkę niewinnym różnéj płci i stanów ofiarom, najniesprawiedliwiéj pojmanym i na śmierć haniebną skazanym.

Zapytywano nas często, dlaczegośmy ich gnębić przyszli, kiedy oni nam nic złego nie uczynili, ani nas znali nawet? „Jeśli wam ziemi nie starczy, mawiali, przychodźcie do nas jak bracia i przyjaciele, będziemy żyć razem i chleba nam nie zabraknie.” Nie łatwo nam było odpowiadać na zapytania podobne; przy bliższéj jednak znajomości stosunki zawiązywały się coraz ściślejsze, najwięcéj zaś przez kobiety, które w Hiszpanii mniéj niż gdziekolwiekbądź do spraw publicznych mieszać się zwykły; wyjątek tu stanowią niektóre panie w stolicy lub damy, należące do rodzin przewodnictwo w kraju mających.

Z jeńcami lub rannymi nawet, którzy po klasztorach i lazaretach zostawać musieli, hiszpanie obchodzili się nieraz po tyrańsku, mordując i zabijając bez skrupułu; marudera lub zbłąkanego, jeśli się im w ręce dostał, tenże sam los oczekiwał. Polacy jednak, po pewnym czasie, gdy ich lepiéj poznano, czasem w takich wypadkach wychodzili cało i zdrowo, bo nienawiść zwracała się głównie do francuzów, a gdy przedłużyło się już zajęcie kraju i załogi nasze stały w jednych miejscach po kilka miesięcy i dłużéj, wyrobiła się między nami i mieszkańcami zażyłość nawet i najlepsza zgoda.

Romansów na wołowéj skórzeby nie spisał, ile ich tam mieli nasi oficerowie i żołnierze nawet i przygód téż osobliwszych niebrakło.

Znałem niejakiego Kaczorowskiego, który wszedł do naszego pułku ułanów, jako porucznik, a jeszcze w legionach włoskich służył w piechocie; ten miał w Medyolanie dziwne prawdziwie, a najszczęśliwsze w skutkach zdarzenie. Po dziennym skwarze, korzystając z wolnéj chwili, że noc była księżycowa i bardzo piękna, udał się on do cienistéj ulicy, położonéj nad głębokim kanałem i ciesząc się świeżém powietrzem, przechadzał się zatopiony w tęsknych dumaniach. Wtém posłyszał zdala w krzakach nad brzegiem jakieś wołania i jęki, podszedł więc żywo, a widząc, że osoba jakaś szamocze się w wodzie, chwytając się gałęzi zwieszonych, które jéj się z rąk wymykają i już prawie tonie, rzucił się pośpiesznie i niebawem udało mu się wyratować od niechybnéj śmierci jakąś nieznaną osobę. Była to dama młoda i piękna, ale obszarpana i prawie z ubrania odarta. Widząc, że uratowana omdlała zupełnie, wziął ją ostrożnie na ręce i zaniósł do niezbyt oddalonego biwaku; tu otulono ją płaszczami, wpuszczono w usta kilka kropel wina, a po niejakim czasie, gdy do przytomności przyszła, z wielkiém zdziwieniem dowiedział się Kaczorowski, że jestto panna margrabianka Eleonora Casabianci, córka bardzo bogatego, znanego i szanowanego

powszechnie człowieka. Wracała ona z teatru i chcąc skorzystać z pięknego wieczoru, odprawiła karetę, a sama ze służącą poszła piechotą; w ulicy napadli ją jacyś rabusie, ze stroju, oraz kosztownych brylantów odarli i wrzucili do kanału; służąca wraz z rabusiami zniknęła, zkąd domyślano się, że z nimi w zmowie być mogła. Margrabianka gdy do sił przyszła, prosiła, aby ją odprowadzono do domu, że była jednak mocno jeszcze osłabioną, Kaczorowski wezwał kilku swoich wiarusów, uwiązano naprędce nosze, jak dla rannych robią, okryto ją płaszczami i tak w eskorcie poniósł ją Kaczorowski do pałacu ojca.

Margrabia zobaczywszy córkę w tym stanie, przekonany był zrazu, że ją żołnierze nasi napadli i odarłszy, a okrywszy płaszczami, na urągowisko do domu odnieśli; wpadł więc w pasyą i furyą szaloną, zaczął lżyć i łajać tak, że do słowa nie dał przyjść nikomu i uspokoić go nie było podobna. Kaczorowski nie zważając na nic i nie czekając dalszych tłómaczeń, bo i po włosku ledwie piąte przez dziesiąte rozumiał, złożywszy pannę w pałacu, zabrał się ze swymi żołnierzami i do biwaku powrócił. Nazajutrz ledwie się dzień zrobił, margrabia uwiadomiony już od córki o całym wypadku, wpadł do Kaczorowskiego, nie mogąc słów dobrać na wyrażenie swéj wdzięczności za wyratowanie jedynego dziecięcia, chciał znaczną nawet ofiarować sumę, ale Kaczorowski harda dusza w ubogiém ciele, prosił, żeby mu téj krzywdy nie czynił i wręcz odmówił przyjęcia. Casabianci więc obdarował suto żołnierzy, dla oficerów wyprawił ucztę wspaniałą i póki ten legion stał w Medyolanie, opiekował się Kaczorowskim, jak synem. Dotąd niéma w tém zdarzeniu nic nadzwyczajnego; nie na tém jednak był koniec owéj przygody, tu bowiem czyn dobry w najosobliwszy sposób odniósł zasłużoną nagrodę. Po utworzeniu Księztwa Warszawskiego, na początku 1807 r., szczątki legionów włoskich powołane zostały do ojczyzny, składały się one tylko z trzech batalionów piechoty; żołnierzy wszystkich, nim wyszli do kraju, zabrał do siebie Józef, król neapolitański, z nimi téż razem przyjęła służbę i część starszyzny wojskowéj, reszta zaś oficerów i podoficerów wróciła do kraju i prawie wszyscy zaciągnęli się do pułków ułańskich, które zaraz następnego roku wysłano na wojnę hiszpańską; między tymi właśnie był i Stanisław Kaczorowski. Znalazł się on w dywizyi generała Dupont, który na samym początku kampanii 1808 roku, lubo miał sławę ustaloną znakomitego i uczonego wodza, przez fałszywe jednak obroty, znalazł się w takiém położeniu, że mając korpus z siedmnastu tysięcy ludzi złożony, przymuszonym był wejść w układy z generałem Castanos i w Baylen haniebną kapitulacyą podpisał. W skutek tego nieszczęśliwego wypadku, po rozbrojeniu wojska, hiszpanie umowy nawet nie dochowując, czterystu naszych polaków, a z nimi i Kaczorowskiego, obdarłszy do bielizny saméj, wysłali na wyspę Cabrerę. Na téj pustéj i jałowéj skale, bez przytułku, bez odzieży i bez chleba nawet, żywiąc się wodą i ślimakami, w zimnie, nędzy i głodzie, nieszczęśliwi wygnańcy nasi myśleli, że już dla nich ostatnia wybiła godziua. W kilka dni po wylądowaniu, kiedy już ci biédacy le-

dwie się na nogach trzymali, przybiła do wyspy łódź rybacka z zapasami żywności i odzieży. Kaczorowski, siedzący właśnie nad brzegiem morza, gdzie już tylko śmierci oczekiwał, oczom swym wierzyć nie chciał, ujrzawszy wysiadającego na ląd... margrabiego Casabianca. Dziwną łaską Opatrzności dowiedział się on o losie polaków, nie przypuszczając nawet, żeby się tam Kaczorowski znajdował; przez miłosierdzie jednak a może i pamięć, pośpieszył natychmiast z pomocą i nie poprzestając na tém, przez stosunki swe, gdyż miał krewnych w Hiszpanii, u których właśnie bawił, wyjednał nietylko ulgę dla jeńców, ale gdy anglicy wywozili ich wszystkich do siebie, Margrabia za pośrednictwem posła angielskiego, zdołał zupełnie uwolnić Kaczorowskiego i czterech jego towarzyszów, którym do Francyi wrócić pozwolono.

Gdyby opisywać przyszło najosobliwsze nieraz losy rodaków naszych, którzy w owych czasach tułali się po całym świecie, po wszystkich lądach i morzach, ileżby przygód podobnych naliczyć można. W Hiszpanii wielu starszych oficerów, zostawszy komendantami miejsc obronnych, po kilku latach pobytu zagospodarowało się jakby we własnym kraju, pożenili się i z całemi rodzinami później wracali do Polski. Począwszy od kapitana Michałowskiego z Saragossy, albo Suligowskiego oficera od piechoty, tamże zamieszkałego, który dymisyą wziąwszy, ożenił się z córką alkada i doskonałe własne wino tłoczył: możnaby takich całą litanią wyliczyć. Za walecznym nawet księciem Sułkowskim, kiedy go w 1810 roku, po krótkiém gubernatorstwie miasta Malagi odwołano, mówiono że pojechała także jedna zakochana hiszpanka, a jak inni dowodzili, afrykanka, która miała być bardzo piękną, tém się zaś szczególnie odznaczała, że nosiła jeden kolczyk z ogromnéj perły czarnéj u nosa. Dostała się ona później do Warszawy, gdzie sklep jakiś utrzymywała. Romansów i małżeństw naszych oficerów obrachowaćby trudno, nie mogę tu jednak pominąć wspomnienia o jednym człowieku nieznanym prawie, zapomnianym, który w czasie pobytu swego w Hiszpanii, zawarł związek małżeński tak osobliwy i świetny, że powinien był być wiadomym nie tylko w Polsce, ale w świecie całym; i gdyby rzecz nie była ściśle prawdziwą, z trudnością uwierzyćby w nią przyszło.

W nieskończonych marszach, prawdziwéj włóczędze naszéj po Hiszpanii, osładzanych jedynie cudowną częstokroć pięknością i klimatem tego kraju, stanęliśmy pierwszych dni stycznia 1810 roku w miasteczku Alcaniz, w Arragonii. Leży ono nad rzeką Guadalupe wpadającą do Ebro, w położeniu pięknem i malowniczém, skupione u stóp wysokiego wzgórza, na którém wznosi się cytadela, czyli zamek obronny, zdając się tulić pod jego opiekę; nie była ona jednak dość silną, oddawna bowiem stała tu załoga wojsk francuzkich z częścią polskich legionów. Tych jeden batalion stał w cytadeli saméj, któréj francuzi dla niewygody zająć nie chcieli, gdyż w zamku całym ani drzwi ani okien prawie nigdzie nie było, a wiatr tu na górze, dął wiecznie tak

przeraźliwy, wyjąc po izbach, zaułkach i korytarzach, że ani się gdzie przytulić, ani ognia rozpalić nie było podobna.

My z naszym szwadronem stanęliśmy w miasteczku, dowiedziawszy się jednak o braciach naszych znajdujących się w twierdzy, kto mógł, pośpieszyliśmy ich odwiedzić. Obcy, w dalekim a nieznanym kraju, pomiędzy obcém wojskiem rozrzuceni, biegliśmy jedni do drugich, choć nieznani i witaliśmy się poraz pierwszy, a często i ostatni, jak rodzeni bracia, którzy się oddawna nie widzieli. Listy do kogokolwiekbądź przychodzące z kraju, przynosiły nieraz wiadomości dla każdego ciekawe, rozmowa sama i wspomnienia stron rodzinnych nieopisaną były dla nas rozkoszą. W kilku zaciszniejszych izbach na dole mieszkał tu właśnie szef batalionu legii nadwiślańskiéj, kapitan Chłusowicz, do którego pociągnął mnie wspólny nasz znajomy, adjutant major Gosławski, wkrótce też i kilku innych kolegów naszych nadeszło; towarzystwo zebrało się dość liczne i gospodarz przyjął nas z uprzejmością wielką; że był wszelako sam smutny, znękany i milczący, chociaż więc mile nam wieczór na rozmowie i wspomnieniach upłynął, nie mogliśmy się bawić wesoło. Słyszałem w dalszych izbach kwilenie dziecięcia, stara jakaś piastunka pokazała się kilka razy, kobiet jednak żadnych nie widzieliśmy więcéj, i późniéj dopiéro dowiedziałem się bliższych nieco szczegółów o kapitanie Chłusowiczu. Kiedyśmy go naówczas odwiedzili, właśnie przed kilku miesiącami stracił był żonę, która go po roku małżeńskiego pożycia odumarła, zostawiając małą dziecinę.

W Polsce, kiedy dowiadujemy się, że ktoś jest żonaty, pytamy zwykle o nazwisko żony, jak jest z domu? I nic w tém niéma dziwnego, bo cała szlachta nasza stanowi jakoby jeden dom i jednę rodzinę na liczne podzieloną gałęzie; a rzadko jest spotkać z odległych okolic nawet takiéj szlacheckiéj rodziny nazwisko, o którejby się coś nie wiedziało, którąby przez związki swe i stosunki nie była nam znaną.

Z cudzoziemcami rzecz jest wcale inna: tu, ludzie dla nas są zupełnie obcy, nazwisko więc niczego nauczyć nie może. Niebyłbym przeto ciekawy wiedzieć jak się nazywała owa hiszpanka z którą Chłusowicz był żonaty, gdyby mnie nie zagadnął sam Gosławski pytając, czy wiem kto ona była. Odpowiedziałem, że i kapitana nie znałem dotąd i o żonie jego nic nie słyszałem. Tu dopiéro, opowiedział mi kolega, że Chłusowicz, przed rokiem, stojąc w Tudeli, około Valladolid, poznał się z jednym staruszkiem hiszpanem, który był w prostéj linii ostatnim potomkiem Krzysztofa Kolumba; wnuczka owego staruszka, młodziuchna, bogata i piękna panienka, tak się szalenie a prawdziwie po hiszpańsku, w kapitanie rozmiłowała, że dziadek bojąc się o jéj zdrowie i życie, sam go do małżeństwa ośmielił, które też doprowadziwszy do skutku, zmarł wkrótce. Został po nim ruchomy i nieruchomy majątek dość znaczny, który spadał na żonę Chłusowicza; ale najpiękniejszą spuścizną, rzec można, klejnotem nieocenionym, przechowanym w rodzinie, najgłówniejszą po wiekopomnym podróżniku

pamiątką, był to, na złotym grubym łańcuchu takiż duży medal z wizerunkiem królewskiéj pary Ferdynanda i Izabeli, wybity w roku 1494 i ze stosownemi napisami za odkrycie Ameryki, dany Columbowi przy sławnym a wspaniałym wjeździe jego do Barcelony po powrocie z podróży. W późniejszym czasie Chłusowicz podzielając losy polskich legionów odwołany został z Hiszpanii na początku 1812 roku; sprzedał więc dom, który posiadał w Valladolid po żonie, a była to również po Columbie spuścizna, tam on bowiem mieszkał i życie zakończył; dom ten jednak dostał się w dobre ręce, kupił go bowiem niejaki Veragoa, który lubo z bocznéj linii, także był sławnego podróżnika potomkiem.

Po odbytéj kampanii 1812 roku, gdy Chłusowicz korzystając z amnestyi, wrócił do kraju, kazano mu osiedlić się w stronach zkąd pochodził; w Petersburgu więc, niewiadomo z jakich powodów, zostawiwszy małą córeczkę swoją Dolores u księżnéj Naryszkin na wychowanie, powrócił w Grodzieńskie [1]) i zamieszkał u dalekiego krewnego swego marszałka Wrońskiego, w powiecie słonimskim, gdzie też do końca życia zostawał. Zjeżdżano się tam z ciekawością oglądać ów sławny medal, oraz wiele innych cennych pamiątek i przedmiotów, niewiadomo jednak co się z tém wszystkiém po śmierci Chłusowicza stało i jaki był los jego córki.

Tak, dziwną wypadków koleją, jedna z najsławniejszych w świecie pamiątek, za którąby dziś anglik albo amerykanin jaki góry złota położył, dostała się do nas, w uprzywilejowaną krainę zatraty wszelkich zabytków przeszłości i nie można zaręczyć, czy jéj dla popadzianek na pierścionki nie przerobił jaki żydek słonimski.

Po pierwszéj bytności naszéj w Alcaniz, dwa razy jeszcze późniéj, przechodząc przez tę okolicę wraz z podkomorzycem i Żebrowskim odwiedzaliśmy zawsze Chłusowicza, który nam ów medal pokazywał. Ostatni raz w Hiszpanii spotkałem się z nim w czasie bitwy pod Posuel dnia 24 października 1811 roku i przy wzięciu Murviedro, gdzie generał Blake straciwszy 1500 ludzi, na głowę porażony został, a jedynie legie nasze i ułani los całéj bitwy rozstrzygnęli, o czém u historyków francuzkich niéma nawet wspomnienia [2]). Tam, wybawił mnie od niechybnéj śmierci, kiedym był ranny i konia podemną ubito, podkomorzyc wraz z Józefem Stadnickim, sławnym siłaczem naszym, który nieraz na patrol wysłany, sam jeden, jak nażart po dwie placówki hiszpańskie za kołnierz do obozu przyprowadzał, a miał sobie za

[1]) W przejeździe był kapitan Chłusowicz w Romanowie (na Podlasiu) i w Dołhém (gub. grodzieńska) u rodziców autora, gdzie między wielu pięknemi rzeczami, oglądali wszyscy i ów sławny medal Columba. Matce autora ofiarował natenczas kapitan Chłusowicz rodzaj portfeilu misternéj roboty z kordubańskiéj skóry, który dziś jest w posiadaniu rodziny. *Prz. Aut.*

[2]) Treść raportu z pod Murviedro, dnia 26 października 1811 r., pisana po francuzku przez kapitana Chłusowicza, do generała dywizyi Harispe, znajduje się w posiadaniu autora. *Przyp. Aut.*

szczególny obowiązek biedz zawsze na obronę oficerów, jeśli który z nich był w czasie bitwy zagrożonym.

W wojskach naszych w Hiszpanii było natenczas niemało takich siłaczy; Załuski jedném uderzeniem pięścią, każdego jeźdzca z konia zwalił; Kłoczewski, szeregowiec z legii nadwiślańskiéj, przy budowie jakiéjś będąc, kiedy siedział na belce i linę na dół zrzucił, uczepiło się do niéj jedenastu mameluków i wyrwać mu jéj nie zdołali, kazał im się przeto mocno owéj liny trzymać i wszystkich razem wciągnął do góry. Takim był i sławny Zielonka, wachmistrz trzeciego szwadronu w pułku Krasińskiego; nie mniejszéj téż siły znajomy mój Wasilewski, który wziąwszy dymisyą z pułku elizabetgrodzkich huzarów, wkrótce po spotkaniu się zemną, wszedł do Księztwa Warszawskiego i ujrzałem go już w Hiszpanii kapitanem trzeciego pułku woltyżerów. Nasz Łukaszek Żebrowski zadziwiał wszystkich zimną krwią i niezachwianym w największych niebezpieczeństwach spokojem. Kiedy nam w zabezpieczeniu armat stojącym, pod gradem kul co chwila przerzedzały się szeregi, Łukaszek palił swoję krótką fajeczkę, a gdy mu raz kula nad samą czaszką na wylot kaszkiet przedziurawiła, puszczając kłąb dymu, rzekł ze swym zwykłym dobrodusznym uśmiechem:

— A! to Bóg zapłać! słońce okrutnie pali pod kaszkietem, teraz przynajmniéj wiatr trochę przedmucha.

Mój Iwaś w Hiszpanii już wstąpił do naszego pułku. Niémiał on téj krwi zimnéj, ale w szarży, w uderzeniu, zaciętym był, jak prawdziwy rusin, a na czatach, patrolach, podjazdowych utarczkach i wysyłkach nieoceniony. Wesoły zaś humor jego i najosobliwsze spostrzeżenia i uwagi, jakie czynił nad obcemi krajami, ludźmi i obyczajami, nietylko nas wszystkich co chwila pobudzały do śmiechu, ale rozchmurzały nawet nieraz i posępne czoło podkomorzyca. Wszyscy trzej, jakeśmy wstąpili do szeregów razem, w jednym pomieszczeni szwadronie, a z lat młodzieńczych od czasu naszego bractwa w Lubieszowie prawdziwie braterską związani miłością, zawsze téż nierozłączni, smutek i wesele, niewygody i dostatki podzielaliśmy z sobą, a zginąćby nam przyszło każdemu i nieraz, gdybyśmy się nie wspomagali wzajemnie. Podkomorzyc ocalił mi życie, jakom wyżéj powiedział, ale żeśmy się często w starciu wyrąbywali razem, to już i spamiętać trudno kto, kiedy i komu przybiegł z pomocą.

Całe półczwarta roku téj kampanii naszéj było jedném nieustanném pasmem bitw, marszów, kontramarszów i utarczek drobniejszych, których ani zliczyć, ani spamiętać żadenby z nas nie potrafił, a pułk nasz, o którym bez przechwałki, ale z prawdziwą chlubą powiedzieć można, że z waleczności słynął, boć go sami hiszpanie *Los infernos* przezwali, rozrywany był przez generałów naszych. Z pułkownikiem Klickim po bitwie pod Tudelą, część jego poszła pod Saragossę, reszta w czwartym korpusie generała Sebastyaniego walczyła z anglikami, hiszpanami i portugalczykami w armii południowéj. Biliśmy się razem, lub rozdzieleni pod generałami: Lefebvre, Soult, Lasalle, Mortier,

Merlé, Pèrimont i innymi; brał nas kto mógł, gdyż przed lancami ułańskiemi nieprzyjaciel nie ostał się nigdy. Byłto pułk prawdziwie nieprzeparty i szalony w ataku, błądził tém chyba, że się najczęściéj zapędzał zuchwale i przez to jedno ginęło zbyt wielu bez żadnéj dla sprawy korzyści. Nie mówiąc już o drobnych utarczkach tego pułku ułanów naszych, dość wspomnieć wawrzyny, które zbierał w bitwach pod Talavera, Amonacid, Ocania, Rio-Almanzor, Lorca, Olivenca, Badajoz, oraz w sławnéj bitwie pod Albuhera, gdzieśmy anglikom dwieście najpiękniejszych koni zabrali i jak wszędzie, tak i tu, głównie na naszą stronę przechyliliśmy szalę zwycięztwa, o czém najlepiéj raporta samych anglików przekonać mogą. Wszystkie te bowiem czyny waleczne zaledwie przez francuzkich historyków wspomniane zostały i zapadły w ciemną przepaść zapomnienia. Cóż powiedzieć o bezstronności takiego dziejopisarza, jak Thiers, który przemilczał o wzięciu niedostępnego wąwozu Sommo-Sierra, przez trzeci szwadron pułku Krasińskiego, przypisując to francuzom, gdzie ich noga nie była i jedynie wskutek publicznéj odezwy pułkownika Niegolewskiego, błąd swój, pewno nieprzypadkowy, zmuszonym był odwołać. Tu jednak pierwszy, co otworzył drogę, waleczny szwadron Kozietulskiego i następne z Tomaszem Łubieńskim i Roztworowskim, działały w obecności samego cesarza, całego sztabu i wszystkich wojsk zgromadzonych; cóż więc dziwnego, że niemniéj godne wiekopomnéj chwały zdobycie przez naszych ułanów wąwozu Sierra-Morena, nikomu prawie nie jest znane.

Z Murcyi do Andaluzyi, przechodząc w styczniu 1810 roku, zastaliśmy te wązkie i kręte między dwoma ścianami niebotycznych skał przesmyki, również jak w Sommo-Sierra, obsadzone działami i armią kilkudziesiąttysięczną i nie kto inny jednak torował tam drogę, ale my sami; a gdy pod Sommo-Sierra dzielni ułani Krasińskiego, sformowani już przed atakiem, jak piorun wpadli do wąwozu, my w ręku prowadząc konie pod paszczami dział, które ziały na nas kartaczami, wsiadaliśmy na koń i zdobywali pozycye, niedostępne prawie. Tegoż roku oparliśmy się byli aż o portugalską granicę i stanęliśmy pod Rodrigo, kiedy nam Welington z całą dywizyą zatamował drogę; kilkudziesiąttysięczny korpus jego składał się w części z anglików, w części z portugalczyków, oraz ruchawki dowodzonéj przez angielskich oficerów, zwanych *Ordenenzas*. Ci partyzanci byli dla nas najcięższą plagą, bitwy bowiem otwartéj unikając, dniem i nocą niepokoili nasze forpoczty i mniejsze oddziały, urywali gdzie co mogli, zabierali transporty wojenne, żywność i magazyny, pastwili się nad maruderami lub jeńcami, od nich téż największe ponosiliśmy szkody. Z naszéj strony, pod Rodrigo, lewém skrzydłem, gdzie i myśmy się znajdowali, dowodził Bessières, prawém Massena, będący właśnie w odwrocie z nieszczęśliwéj wyprawy swéj do Portugalii, środkiem korpusu Douvsen, marszałek gwardyi cesarskiéj. Oba wojska rozłożyły się były zdala od siebie na łagodnych stokach wzgórz przeciwległych, rozdzielonych obszerną, żyzną i piękną doliną, któréj środkiem biegła w tysiącznych zwojach ma-

ła rzeczułka, jak wstęga błękitna wśród zieloności traw, bujnego zboża, winnic, krzaków świętojańskiego chleba i lasków oliwnych. Dolina ta, utworzona przez dwie odnogi wzgórz, łączących się w stronie południowéj, rozszerzała się ku północy, dokąd téż kierowała się i owa rzeczułka, parę mil daléj wpadając do rzeki Aguenda. Nad rzeczką rozrzuconych było kilka folwarków i osad, które znalazły się teraz pomiędzy dwoma nieprzyjacielskiemi zastępami, lada chwila mogącemi te urocze siedliska, pełne wesela, swobody i życia, zgnieść między sobą, zamienić w kupę popiołów i gruzów, w dolinę łez i śmierci. Żal było patrzéć na tych mieszkańców biednych, którzy spostrzegłszy, w jakiém są położeniu, z płaczem i trwogą zabierali się do ucieczki, unosząc co kto mógł, a wymykając się pomiędzy wojskami ku południowi, w mniéj dostępne góry i wąwozy. Myśmy te sceny najlepiéj widzieć mogli, zajmując na lewém skrzydle wynioślejszą nieco pozycyą, zkąd téż i całe prawie rozłożenie armii Welingtona dość dobrze widzieć się dawało. Korzystał z tego dowodzący dywizyą naszą generał Bessières, pilnie, a bezustannie przez lunetę śledził ruchy nieprzyjaciela. Że się tu walna bitwa stoczyć musi, już wątpliwości nie było; oba jednak wojska, tak nasze, jako i przeciwne, nie bardzo się ku temu kwapiły; z obu stron starano się pierwéj zbadać siły, z któremi się spotkać miano, rozkład ich i położenie miejscowości. W tawernie, czyli karczmie, znajdującéj się poza naszym właśnie obozem, gdzie generał Bessières kwaterował, jako w najdogodniejszém miejscu, zjeżdżali się po kilkakroć dowódzcy nasi, tam téż i rady wojenne składano, rozsyłano szpiegów, posyłki i rekonesanse. Nazajutrz po nadciągnieniu naszém w tę stronę, kiedy się cała armia rozwijała jeszcze i rozkładała, po nocnéj naradzie wojennéj, do dnia otrzymały rozkaz wsiadania na koń dwa nasze szwadrony. Posileni naprędce winem i bułką, stanęliśmy w gotowości; zdziwiliśmy się jednak, widząc samego generała Bessières, który pozdrowiwszy nas uprzejmie, osobiście nad tak małym oddziałem objął dowództwo i natychmiast dał znak do pochodu. Wąwozy dość były wązkie, ruszyliśmy trójkami, radzi z zaszczytu, że pierwsi zaczną mamy wojenne działania.

Ranek był pogodny i w okolicy górskiéj prawdziwie zachwycający; cała dolina zdawała się usypiać jeszcze w cieniu, spowita we mgle puszystéj, która na swéj srebrzystéj powierzchni zabarwiała się już różowym odblaskiem, rzuconym od wierzchołków gór, po stronie zachodniéj leżących, a oświeconych wprost jaskrawemi, purpurowemi promieniami wschodzącego słońca, szczyty zaś gór po stronie wschodniéj, na któreśmy właśnie wstępowali, czarno prawie rysowały się na jasném tle w tysiączne barwy ozdobnego nieba; woń ziół górskich i dzikiego rozmarynu nasycając powietrze, czyniła go jakby orzeźwiającym balsamem.

Cicho postępowaliśmy za dowódzcą, który nas prowadził, cisza téż najzupełniejsza panowała wokoło i w szeregach naszych; wobec téj czarującéj natury, niejednemu wyrwało się tęskne westchnienie z my-

ślą o oddalonéj rodzinnéj krainie, gdzie i gór niebrak i pięknych widoków, a choćby i mniéj piękne były, najdroższe, bo swoje.

Wąwóz, którym postępowaliśmy, w tył nieco poza linią naszego obozu, skręcając się ku południowi w prawo, prowadził na wyżéj piętrzące się, niezbyt jednak wyniosłe szczyty; roślinność bujna w dolinie coraz się bardziéj ku wyżynom zmniejszała, odkrywając nagie, porysowane i popękane skały. Już byliśmy prawie u wierzchołka górzystego grzbietu, kiedy w załomie wąwozu generał zwrócił się ku nam i ręką tylko skinąwszy, kazał się zatrzymać; stanęliśmy jak wryci; Bessières zsiadł z konia i pieszo, z lunetą w ręku, skierował się w bok ku rozpadlinie skały, która otwierała widok na drugi stok góry; wychylony z za téj ściany kamiennéj, pilnie przypatrywał się czas jakiś, wreszcie zwrócił się żywym krokiem i oznajmując, że niebawem z nieprzyjacielem spotkać się mamy, kazał mocniéj przytrokować kulbaki i w zupełnéj gotowości do boju postępować na szczyt góry.

W istocie okazało się, że armii naszéj anglicy chcieli tył zająć i w tym celu wysłali oddział huzarów, a za nim. o czém nie wiedzieliśmy nawet, grenadyerów swoich i gerillasów. Generał widział tylko huzarów, gdyśmy więc pokazali się na wierzchołku góry, spostrzegliśmy ich na paręset kroków przed nami. W jednéj minucie, lubo w najniewygodniejszéj pozycyi, złożywszy lance w pół ucha końskiego, jak się należy, uderzyliśmy na nieprzyjaciela. Huzary jednak, ledwie nas spostrzegli, pierzchnęli odrazu; rzuciliśmy się w pogoń, kilkunastu dostało się w ręce nasze, ale gdyśmy się w najlepsze rozpędzili, z dwu stron naraz, znienacka, to jest z boku od gerillasów i z frontu od grenadyerów angielskich, zaskoczeni i obsypani zostaliśmy gradem kul nieprzyjacielskich. Z grenadyerami, na których wpadliśmy bezwiednie prawie i zgoła niespodziewanie, nastąpiła najcięższa przeprawa; zrobiło się zamieszanie, jak w garnku, grenadyerzy cofnęli się wreszcie, my zaś opamiętawszy się po utarczce i obrachowawszy się między sobą, ujrzeliśmy w szeregach naszych znaczny ubytek. Ja i Łukaszek wyszliśmy obronną ręką z téj przeprawy, z lekkiemi tylko ranami, ale najgorszém było to, żeśmy wcale nie wiedzieli, co się z podkomorzycem stało. Nie mogliśmy się uspokoić w żalu naszym i niepewności, Żebrowski był prawie w rozpaczy, zaczęliśmy się rozpytywać towarzyszów naszych, ale to w pochodzie nie było łatwém; gdyśmy się dopiéro znaleźli w obozie, nadbiegł mój Iwaś, oraz wachmistrz z drugiego plutonu Bączalski, którzy zapewniali nas, że Józio niebył rannym nawet, lecz gdy pod nim konia ubito, porwali go grenadyerzy, uprowadzając z sobą.

Wieść ta przeraziła nas bardziéj jeszcze, bo wydostanie się z rąk gerillasów, jeśliby oni pochwycili podkomorzyca, było niepodobném prawie, a co gorzéj, groziło śmiercią męczeńską.

Ja tak byłem tym nieszczęśliwym wypadkiem zgryziony, że mi się myśli plątały i zgoła rady nawet, ani ratunku nie widziałem żadnego. Żebrowski wszelako, twardszéj snać odemnie natury, lubo zasmucony i zafrasowany mocno, przytomnéj myśli nie tracił. Poduma-

wszy chwilę, pobiegł do pułkownika, zkąd powróciwszy, nie mówiąc nic, pieszo, z karabinkiem tylko, żywym krokiem ruszył na pobojowisko. Już było dobrze z południa, leżałem właśnie w szałasie z oliwnych gałęzi, ustawionym naprędce, stękając trochę po téj gorącéj przeprawie, bo mię rana w ręku paliła okrutnie, kiedym go spostrzegł nadchodzącego. Zziajany był i zmęczony, usiadł koło mnie, ocierając kroplisty pot, co mu oczy zalewał, mieszając się może z niejedną łzą za utraconym towarzyszem i przyjacielem. Zacząłem go się wypytywać, gdzie chodził i po co; milczał uparcie, ledwie nieledwie dowiedzieć się mogłem, że dotarł do miejsca naszego rannego spotkania, że oglądał zabitych, między któremi podkomorzyca nie było.

— Ale ja go muszę z niewoli wydobyć—powtarzał ciągle.

— Jakim sposobem?—spytałem wreszcie.

Machnął ręką wyraziście, ale nie odpowiedział nic.

— Mam ja myśl—rzekł po długiém milczeniu—bom się na pobojowisku nie darmo włóczył, ale poczekajmy do wieczora, jak się generałowie zjadą na naradę, pójdę do tawerny, może i moja głupia głowa na co się przyda.

Napróżnom go się jeszcze wypytywał, Łukaszek jak skamieniały siedział, nie mówiąc ani słowa.

Tu objaśnić wypada, że gdy Massena szedł jeszcze do Portugalii, zdobywszy tam niewielką fortecę Almeidę, leżącą o dwie mile od Rodrigo, już za granicą hiszpańską, obsadził ją był garnizonem włochów, pozostawiając tam batalion piechoty z pułkownikiem i artyleryą. Teraz przeto, gdy Welington stanął między Almeidą i Rodrigo, została ta forteca zupełnie od armii naszéj odciętą, była to więc jedyna chwila, w któréj garnizon ten, gdyby z twierdzy wyszedł, mógłby i dywersyą Welingtonowi w czasie bitwy uczynić i połączyć się z nami. Zmiarkowali to generałowie nasi i przed wieczorem jeszcze zebrawszy się na naradę wojenną, postanowili przesłać dowódzcy fortecy w Almeidzie rozkaz, aby ją na dany czas, kiedy się walna bitwa nazajutrz rozpocznie, w powietrze wysadził, a sam z garnizonem do nas się przez linią nieprzyjacielską przebijał. Chodziło o człowieka, któryby podjął się zanieść ten rozkaz komendantowi fortecy. Jeszcze więc na parę godzin przed zachodem słońca i przed wieczornym apelem, otrąbiono w obozie, że gdyby się znalazł ochotnik dla zaniesienia rozkazu do Almeidy, stawić się ma do generała Bessières po instrukcyą i jeśli w wyprawie téj szczęśliwie mu się powiedzie, sowicie nagrodzonym zostanie.

Gdy to usłyszał Łukaszek, zerwał się co żywo i pobiegł do kwatery generała, tu jednak ujrzał już czekającego na instrukcyą ochotnika, oficera od piechotnych strzelców, piemontczyka, który podejmował się téj niebezpiecznéj wyprawy. Byłyby wszelkie zamiary Żebrowskiego upadły, gdyby nie kapitan trzeciego pułku legii, Łuczycki, dobry nasz znajomy, który się w kwaterze generała natenczas znajdował; za wstawieniem się jego, Bessières, ułanów naszych bardzo lubiący, raz jeszcze rozpytawszy się dokładnie i upewniwszy o osobie Żebrowskie-

go, piemontczyka odprawił z niczém, a Łukaszkowi przedarcie się do fortecy powierzył.

Żebrowski uradowany, wpadł do naszego szałasu i pośpiesznie przebierać się począł, opowiadając o posłuchaniu swojém u generała. Kiedy po otrąbieniu i wywołaniu ochotnika wybiegał, niémiałem czasu mówić z nim ani słowa, teraz więc nastawałem już mocno, aby mi powiedział, jaki związek mieć może ta jego awanturnicza wyprawa z myślą, którą tak stanowczo objawiał, że podkomorzyca z niewoli wybawić musi i że ma jakieś względem tego projekta. Nie wątpiłem bowiem, że ta wycieczka nie w innym celu była przez Żebrowskiego przedsiębraną.

— Proszę mi już wybaczyć—odparł Łukaszek—bo ja nic nie powiem, nie chcę mówić przed czasem; jak da Bóg wrócę, to klnę się, że chyba z panem Józefem, a jak nie wrócę, no, to zmówcie zdrowaśkę za moję duszę.

— Ale ja możebym co dopomógł—rzekłem zniecierpliwiony tą tajemnicą—po co się kryjesz przedemną, czy to się godzi między nami...

— Niech Bóg uchowa!—zawołał Łukaszek—z czém się mam kryć?.. pan ranny jesteś, potrzebujesz spoczynku, ja sam tylko na domysł idę i do takiéj roboty jednego dosyć.

Tu, pożegnawszy się żywo, karabinek porwał na ramię i puścił się znowu w kierunku drogi którąśmy rano przechodzili.

Forteca Almeida położoną była za lewém skrzydłem wojsk nieprzyjacielskich, z naszego więc lewego skrzydła, Żebrowski chcąc się do niéj przedzierać, okrążać musiał poza całą linią wojsk angielskich, inaczéj jednak uczynić nie mógł, gdyż w górach i wąwozach z téj strony łatwiéj się było przemykać, niż płaszczyznami od prawego naszéj armii skrzydła. Gdy nam znikł z oczu, długośmy jeszcze o nim przemyślali, i prawdę rzekłszy, nie bardzo byliśmy pewni, czy z téj szalonéj wyprawy powróci.

Nazajutrz z rana zaczęły się już harce naszych i angielskich tyralierów, a niebawem i działa z obu stron rozpoczęły rozmowę; gadały téż gadały, nie sekretnie wcale, aż ziemia pod nogami drżała, a lubo mgła ranna opadła w dolinie, zastąpił ją dym gęsty, który chwilami tylko, pod lekkim powiewem wiatru, skłębił się i przerzedził. Nasze oba szwadrony, do asekuracyi dział przeznaczone, z miejsca się nie ruszyły; służba to jest dla kawaleryi najcięższa i stokroć od najżwawszéj bitwy do zniesienia trudniejsza; na ten raz jednak mniéj była, niż kiedyindziéj uciążliwą, położenie bowiem obrane szczęśliwie, znacznie nas od kul nieprzyjacielskich ochraniało. Tymczasem bitwa wzmagała się na całéj linii; z naszéj strony legie ucierały się z piechotą angielską, rozsypaną w laskach oliwnych i winnicach; wśród najgęstszéj zieloności przeglądały ich czerwone mundury, które jaskrawém słońcem oświecone, najwyborniéj nadawały się do celowania. Śmieli się téż z nich nasze mazury, przezywając „raczkami."

Wśród najgorętszéj bitwy prawie usłyszeliśmy potężny huk oddalony, jakby sto dział razem zagrało; wybuch to był min podłożonych w fortecy Almeidy: ucieszyliśmy się, będąc już pewni, że Łukaszek dotarł szczęśliwie na miejsce. Generał Bessiéres, widząc legie nasze ucierające się z piechotą angielską, która się po uliczkach winnic kryła, odkomenderował im w pomoc szefa Paca, z jednym tylko plutonem; wnet się też anglicy poczęli cofać ku wyżynom, na główną linię, gdzie sam Welington dowodził.

W téj chwili ujrzeliśmy rzecz dziwną, któréj z początku nikt sobie nawet wcale wytłómaczyć nie umiał. Gdy się bowiem na całéj linii wojska angielskie dość porządnie cofać zaczęły na pozycye wyższe, nasze też bez zbytecznych strat posuwać się za niemi nie mogły, z oliwnego lasku, leżącego na samym skraju doliny, przy lewém skrzydle naszém, wysunął się spory oddział grenadyerów szkockich. Już mieli na nich uderzyć nasi ułani, kiedy sam generał Bessières, który przez lunetę śledził wszelkie ruchy, wstrzymał komendę. Nie mogliśmy zupełnie zrozumiéć, co to wszystko znaczy, ile że grenadyery, nie dając wcale ognia, sformowani porządnie, wprost ku nam śpiesznym krokiem dążyli. Gdy się już tak zbliżyli, że ludzi rozpoznać było można, z osłupieniem prawie ujrzeliśmy na czele owego oddziału... Łukaszka i podkomorzyca! Za nimi stu dwudziestu kilku grenadyerów szkockich prowadziło kilkudziesięciu gerylasów ze związanemi rękoma. Wszyscy ci, jak się okazało, grenadyerzy, mniemani szkoci, byli to polacy, zabrani przez anglików w niewolę na San Domingo i wcieleni do pułku szkockich grenadyerów, w którym przez ośm lat bez przerwy służyć musieli [1]). Łukaszek znalazł jednego z nich na pobojowisku, rannego lekko i przygniecionego zabitym koniem naszym ułańskim; byłby tam zapewne i życie zakończył, gdyby go był nie wyratował Żebrowski; opowiedział on swemu wybawcy i o reszcie rodaków, którzy anglikom po niewoli służyli; umówili się więc, żeby w nocy ujść i dostać się do naszego obozu, a Łukaszek miał ich przeprowadzić, spodziewając się, że i podkomorzyca przytém oswobodzi. Rzeczy się jednak zmieniły: Żebrowski, idąc do Almeidy, porozumiał się z grenadyerem, który do swego batalionu powrócił, a skoro komendant fortecy wyszedł z załogą, podprowadził go Żebrowski na stanowisko przez grenadyerów zajmowane, ci w jednéj chwili rzucili się na stojących blizko gerilasów, niewolników i podkomorzyca uwolnili i nawiązawszy ich jeszcze, jak baranów przyprowadzili do naszego obozu. Za nimi téż ukazała się i załoga Almeidy, lubo znacznie uszczuplona, bo z tysiąca ogółem ludzi tam zostawionych, czterystu tylko wróciło; część wymarła w fortecy, część zginęła przebijając się przez linię wojsk angielskich, czém téż i wycofanie się naszych polaków grenadyerów osłonione i znacznie ułatwione zostało. Trudno jest opisać radość tych biedaków, zobopólne zdziwienie, wykrzykniki i powitania,

[1]) Historyczne. *Przyp. aut.*

gorące łzy rozrzewnienia, kiedy się znaleźli wśród swoich, usłyszeli mowę ojczystą i odzyskali nadzieję powrotu do rodzinnéj ziemi. Niebawem rozległy się i wesołe śmiechy, zwłaszcza z ubioru owych szkotów, którzy przy pełnym mundurze nie mieli wcale, jednéj, najpotrzebniejszéj rzeczy... szarawarów. Nasze wiarusy przekonani byli, że anglicy przez skąpstwo i na pośmiewisko tak im się ubierać kazali; nie mogła ich wcale przekonać reszta umundurowania, piękna i wspaniała nawet. Mieli bowiem ogromne, ze skóry psów morskich, bermyce, z ponsowemi wierzchami, piórami i kutasami i blachę złoconą nad czołem, na któréj był lew brytański; kolety krótkie, ponsowe, z kołnierzami i rabatami czarnemi, obszytemi taśmą białą; do tego na obnażonych nogach nic więcéj, tylko sznurkowe chodaki i zielone, w kratki, małe... fartuszki.

Ubiór ten, prawdę rzekłszy, chociaż niby paradny, nam samym śmiesznym się wydawał, a Iwaś mój aż się przeżegnał.

— Tfu!—zawołał spluwając—co to, proszę pana, za żołnierze, jak baby, bez szarawarów, tylko w fartuszkach chodzą!

Obracali ich téż nasi ułani i nadwiślańcy na wszystkie strony, i za boki się brali od śmiechu. Do późnéj nocy gwar był w naszym obozie jak w ulu.

Generał Bessiéres niezmiernie był rad zdobyczy grenadyerów, wcielono ich do legii naszych, a Żebrowski, rozsławiony za swoją dzielną wyprawę, podany był do awansu i do orderu.

Po bitwie téj, nierozstrzygnionéj, która przeszło ośm godzin trwała, oba wojska na stanowiskach swoich zostały. Rozpoczęły się zatém układy i zawarto zawieszenie broni na dni piętnaście, po upływie których, gdyśmy się do walnéj bitwy przygotowywali, widząc na całéj linii angielskiéj szerokie w nocy ogniska, ze zdziwieniem ujrzeliśmy rano, że już tam Welingtona ślad tylko w tych obozowych popiołach pozostał. W nocy bowiem, poprzedzającéj dzień bitwy, wyniósł się tak cicho, żeśmy nie wiedzieli nawet, kiedy i jak to się stało.

Z całéj kampanii hiszpańskiéj, wstrętnéj i przykréj dla nas, bośmy, wbrew przekonaniom naszym, uczestniczyć w niéj musieli, odebranie owych grenadyerów, rodaków naszych, z rąk anglików, było dla nas zdarzeniem najmilszém, jedyném po naszéj myśli dziełem wojenném. Żebrowski, awansowany i ozdobiony krzyżem legii honorowéj pozyskał szacunek i miłość powszechną; bynajmniéj go to jednak nie wbijało w dumę, uśmiechał się dobrodusznie jak zwykle.

— Et! co tam!—mówił rzucając ręką niedbale—niewielka sztuka, toby każdy potrafił, tylko Bogu dziękować, że się pan Józef z rąk tych oprawców wydostał.

Wypadek ten stał się dla nas z całéj kampanii najbardziéj pamiętnym, ale również prawie niezapomniane i niezatarte pozostały w pamięci naszéj kilka miesięcy życia, któreśmy przepędzili we wsi Valdepenias, w prowincyi Mancyi, gdzieśmy na odpoczynek po bitwie pod Ponte Almaras w roku jeszcze 1809 stanęli. Kraj to jest tak roz-

koszny, jakoby w nim wieczna panowała wiosna, istny raj i ziemia obiecana, a taką zwłaszcza była dla nas. Przyszedłszy do téj osady, długiemi niewygodami wyniszczeni i znużeni, zastaliśmy tu wszystko, co tylko, jak mówią, dusza pożądać może.. prócz ludzi. Mieszkańcy tutejsi, najzamożniejsi w kraju, opuścili siedziby, pozostawiając całe mienie, nieobliczone zapasy zboża, wina, bydła, trzody, domowe sprzęty, gospodarstwa całe, nietknięte i nienaruszone. Osobliwszy to i nadzwyczajny przedstawiało widok, niby w zaczarowanym zamku zastaliśmy wszystko na nasze usługi, a we wsi całéj cisza, pustka; nikogo, ani żywego ducha nie było. Nasz pułk i drugi holenderskich huzarów stał tu przez cztery prawie miesiące. Każda kompania miała swój dom oddzielny; zagospodarowaliśmy się tak, że w jednéj sali zawsze były stoły nakryte, a kucharze mieli jadło przygotowane, stały gąsiory i stągwie z wybornem winem, którego tam była taka obfitość, żeśmy go wypić nie byli w stanie, a zdarzało się, że nawet konie niém myli, zwłaszcza holendrzy, którzy niezbyt w winie smakując, piwo dla siebie warzyli. U nas zaś Majewski, adjutant, co był komendantem placu, pędził wódkę z wina, wyborną; karmiono wieprze i pod zarządem Skarzyńskiego doskonałe robiono szynki, salcesony i kiełbasy. Istnie téż, jakby dla zabawy, mieliśmy codzienne z gerylasami utarczki, były one mniéj lub więcéj gorące i niebezpieczne, tyle właśnie, aby w czujności ducha rycerskiego utrzymać, zapełnić życie, i dać pole do popisu z opowiadań, które nam biesiady nasze ożywiały i rozweselały. Zdarzało się, że z wyprawy takiéj wróciwszy, gdy już i stół był gotowy i kowal czekał z obcęgami i młotkiem dla przybicia oberwanéj podkowy i jęczmień leżał zasypany w żłobie, ledwie się miało czas nieco posilić, znów trzeba było na siodło wskakiwać. Najczęściéj jednak wyprawy czyniły kompanie i oddziały kolejno, mieliśmy więc wypoczynek po trudzie spokojny i jeśli dni kilka upłynęło bezczynnie, już nam się i nudzić zaczynało. Była to prawdziwa jakoby rzeczpospolita żołnierska, życie wesołe, bez jutra, bez troski, a tylko wspomnienia rodzinnego kraju przerywały niekiedy tok myśli wesołéj, ale i te zagłuszane były gwarną rozmową, zabawą, śmiechem towarzyszów. Życie to nasze miało w sobie niezwykły, dziwny, niewysłowiony urok jakiś, którego obraz niezatarty niczem, w pamięci naszéj pozostanie nazawsze.

W końcu stycznia, już w 1812 roku, otrzymaliśmy rozkaz powrotu do kraju; radowaliśmy się wszyscy, ale nikt więcéj nad podkomorzyca. Nas cieszyło zakończenie wojny uciążliwéj, w któréj walczyliśmy z obowiązku raczéj, z konieczności, nie z przekonania; cieszył powrót do rodziny i ukochanéj ojczyzny, ale podkomorzyca, prócz tych wszystkich pobudek, ciągnęło serce, tęsknota do narzeczonéj i niespokojność tém większa, że od miesięcy kilku, żadnych już nie otrzymywał ztamtąd wiadomości. Pewnym on był stałości uczuć swéj narzeczonéj, bo w listach poprzednich od podczaszego i Michasia, którego ojciec jeszcze przytrzymywał w domu, sam często i mocno zapadając na

zdrowiu, i w przypiskach panny miał jasne dowody, że pamiętano o nim i czekano go niecierpliwie; teraz więc, gdy od tak dawna żadne nie nadchodziły wiadomości, niepokoił się mocno, nie mogąc pojąć przyczyny tego milczenia.

W początkach lutego, wiosna już w téj południowéj krainie w całéj pełni tysiączne a różnobarwne rozsypuje kwiaty, czas jest ciepły a nieskwarny i powietrze zdaje się być najrozkoszniejszą kąpielą. Wesoło puściliśmy się ku Pireneom, na Wschód, goniąc oczyma lekkie obłoczki, które nas wyprzedzały, lecąc w tęż samą, co i my szliśmy, stronę, może na nasze sioła i dwory i lasy, dokąd nas równie szybko pociągały serca, ale setki mil oddalenia rokowały marsz kilkomiesięczny. Pocieszała myśl jednak, że każdy krok konia, każde stąpienie zbliżało nas ku rodzinnéj stronie; moglibyśmy się przeto całą duszą weselić, gdyby na tym świecie było gdzie światło bez cienia, wieniec radości bez wplątanego weń ciernia smutku i żałoby. I tu więc, często piosnka wesoła urywała się w pół słowa, często milkła ożywiona i żartobliwa rozmowa, gdy na usta wybiegło imię znane, imiona wielu a wielu towarzyszów naszych, których dusze uleciały do najpierwszéj ojczyzny, ale prochy legły na obcéj, oddalonéj ziemi i niczyjéj tam łzy żalu ani pobożnego nie wywołają westchnienia.

Wyszło nas, polaków, natenczas z Hiszpanii, wraz z legionami nadwiślańskiemi, czyli piechotnemi pułkami 6,000 ludzi. W końcu maja byliśmy już na rodzinnéj ziemi, cztery miesiące szliśmy od Pampeluny do Poznania. Drugiego dnia po naszém przybyciu, kiedyśmy z rana po długim i nużącym marszu wypoczywali, widząc, że już od dni kilku podkomorzyc jest więcéj niż kiedykolwiek milczący i zamyślony, zagadnąłem go pytając czy nie chory.

Ruszył ramionami.

— To gorzéj niż choroba—rzekł smutnie—od Kruszyńskich żadnych wiadomości, stary Zaręba pieniądze wprawdzie nadesłał, ale ani słowa nie pisze, co się z nimi dzieje; tu nowa kampania się otwiera, a ja sam nie wiem co mam robić z sobą... iść... czy zostawać.

— Jakto?—spytałem—myślisz o dymisyi w marszu? przed najgłówniejszą może kampanią.

— Ha—westchnął—żeby choć urlop na kilka tygodni.

— Co tu o kilku tygodniach wspominać—odrzekłem—kiedy za kilka dni przyjdzie może na koń wsiadać.

Zacząłem mu przekładać, że kiedy się tyle lat przebyło cierpliwie, należy już dotrwać do końca, a i wiadomości nadejść przecie muszą.

Kiedy tak rozmawiamy, wchodzi do kwatery naszéj młodzieniec, którego ani ja, ani podkomorzyc nie poznaliśmy wcale; tylko Żebrowski, co natenczas przy ścianie tyłem do nas odwrócony, przysiadłszy w kuczki, w mantelzaku gmerał, słysząc że się drzwi otwierają, odwrócił głowę.

— Pan Michał! jak Boga kocham! — zawołał podbiegając ku niemu.

Tu, jakby nam się oczy otworzyły, rzuciliśmy się na powitanie.

— Cóż? nie poznaliście mnie — mówił Michaś Kruszyński — ale i was też słońce opaliło; czarni jesteście jak cyganie: mnieby was chyba trudniéj poznać było.

Jak plutonowy ogień, a raczéj jak kartacze posypały się wzajemne zapytania, których narazie, połowa przynajmniéj uleciała bez odpowiedzi, albo półsłowami tylko załatwioną została. Tyleż-bo rzeczy było do wypowiedzenia, tyle wiadomości do udzielenia sobie wzajemnie; a to wszystko chciałoby się w jednéj wypowiedzieć i usłyszeć chwili: jednych ust na to nie starczy i jednéj pary uszu zamało.

Najważniejszą atoli, lubo najsmutniejszą zwiastował nam Michaś wiadomość; poczciwy, a ukochany przez wszystkich podczaszy, przed kilku miesiącami właśnie, zakończył życie. Michaś też, załatwiwszy nieco sprawy majątkowe, jak skoro o nadchodzących wojskach posłyszał, pośpieszył do Poznania, w celu odszukania nas i przyłączenia się do naszych szeregów. To przybycie naszego kolegi, jako i bilecik od siostry, który narzeczonemu przywoził, uspokoiło wreszcie podkomorzyca; nie było jednak czasu do marzeń, do snucia jakich projektów albo zamiarów przed wojną, bo już w kilka dni potém, opatrzono nas w świeże mundury i konie, zatrąbiono na apel i ruszyliśmy własnym już krajem... za Niemen.

Wiekopomna wyprawa, na podobieństwo jakiéjś krucyaty, którą Napoleon przeciw Rossyi przedsięwziął, znana jest całemu światu; ale gdyby o niéj setki tomów napisano, niebyłyby one chyba dostatecznemi do odmalowania tych scen, na jakie oczy nasze patrzały, tych przygód, jakieśmy przebyli; tych wreszcie uczuć i wzruszeń, którycheśmy w téj całéj kampanii doznali.

W szeregach wojsk, ciągnął za sobą ów chwilowy mocarz świata, mało nie wszystkie europejskie narody: istna wieża Babel. Czterykrotstotysięczna armia posuwała się w linii bojowéj na przestrzeni stu mil przeszło, rozciągając się od Połongi, aż pod Tomaszów u galicyjskiéj granicy. Ani Atylla, ani Batu-Chan nie ciągnęli tak szeroką przestrzenią kraju; a jeśli owa dzicz barbarzyńska, w swym niegdyś pochodzie niosła pożogę i mordy, była ona bezwątpienia, wobec pojęć obyczajowych więcéj godną usprawiedliwienia niż ci, zowiący się wielkim, cywilizowanym narodem, co popiołami i rabunkiem znaczyli swe szlaki, i to na ziemiach jeszcze, za których rzekomo sprawę, walkę podejmować mieli. Dla wojska nie było żadnych przysposobionych zapasów, miało ono zdobywać sobie samo wszystko, co do utrzymania i wyżywienia jego było potrzebném. Naturalném tak dziwnego urządzenia następstwem było rozpasanie żołdactwa, grabież powszechna, a ztąd i zupełne rozluźnienie węzłów karności wojskowéj; tak, że z samego prawie początku kampanii, liczba maruderów już do trzydziestu tysię-

cy dochodziła i w skutek skarg a narzekania powszechnego należało przeciw własnemu żołnierzowi, osobne oddziały wojska posyłać. Nieporządek ten nie był w armii francuzkiéj żadną nowością. Znane bowiem są rabunki i zbrodnie nawet popełniane przez maruderów armii w czasie wojny austryackiéj w 1809 roku; doszły one były do tego stopnia, że również jak w 1812 roku osobne oddziały do łapania tych złoczyńców wyprawiano [1]).

Z ośmdziesięciu pięciu tysięcy siedmiuset ludzi, ogółem ówczesnego wojska polskiego, zostawiono tylko dwadzieścia pięć pod dowództwém księcia Józefa, jako korpus piąty, resztę zaś, przeszło sześćdziesiąt tysięcy, rozrzucono tak pomiędzy armią całą, że ani ich samych, ani działania ich samoistnego nigdzie dopatrzéć się nie było podobna. Cała owa homeryczna wyprawa nosiła na sobie prawdziwe piętno czysto francuzkie: była olbrzymią na wielką skalę, komedyą. Sami historycy ich zapewniają, że Napoleon rachował na przestraszenie nieprzyjaciela i pewnym był, iż po pierwszéj bitwie przyjdą układy; komedyą była zorganizowana z rozkazu Napoleona a pod wpływem ambasadora Pradt'a owa niby konfederacya warszawska; komedyą były nakazywane z urzędu widowiska publiczne dla podniesienia zapału narodowego; komedyą, najrozmaitsze obietnice i przemowy Napoleona do wzywanych *ad hoc* deputacyi. Nieinaczéj nawet sami siebie oceniali główni aktorowie: Pradt komedyantem nazywa Napoleona, również jak księcia Bassano, który żyć w tym żywiole przywykły, nawet istotnych aktorów woził z sobą do Wilna. Bassano nawzajem, taksamo nazywa przewrotnego arcybiskupa mechlińskiego. Murat w hiszpańskim najosobliwszym stroju nieinaczéj wygląda, a sam wielki reżyser nie pozwala Dniepru inaczéj nazywać, tylko szumnobrzmiącém mianém: *Borystenu!* Dla nienasyconéj swéj dumy poświęciwszy na najstraszniejsze męczarnie śmierci 300,000 ludzi, pokonany patryotyzmem narodu, karnością armii nieprzyjacielskiéj, dyplomacyą i klimatem, wesoły jednak i w najlepszym humorze okazuje się w przejeździe swym dnia 10 grudnia przez Warszawę. Rad że się wyrwał sam z nieprzyjacielskich szponów, żartuje, śmieje się, paple bez związku prawie, co mu ślina do gęby przyniesie i jednéj rzeczy tylko się obawia, aby w oczach Europy nie okazał się śmiesznym. Nikt mu zaiste zaprzeczyć nie może niezrównanego wojennego geniuszu; godne uznania są: dzielność i zapał francuzkiego wojska i tysiączne inne przymioty tego narodu, témbardziéj przeto zadziwiają, zdumiewają nieraz, niepojęta ich i nieuleczona lekkomyślność, barbarzyństwo często i chciwość. Wady te również jak przymioty najwybitniéj uwydatniły się właśnie czasu kampanii 1812 roku, a najlepiéj przez nas uważane być mogły; byliśmy bowiem

[1]) Rozporządzenie wojenne, tyczące się ukrócenia tych nadużyć, wydane zostało w głównéj kwaterze cesarskiéj w Schönbrunn, d. 14 czerwca 1809 r., podpisany książę Neufchatel, major generalny Alexandre (Berthier).

przyłączeni do wielkiéj armii z dziewiątym korpusem generała Victora i dopiéro w sławnéj rejteradzie po klęsce tego generała odesłano nas, już pod Orszą do korpusu piątego, dowodzonego natenczas przez generała Zajączka, gdyż książę Józef szwankując z koniem pod Tarutyno, nogę sobie wywichnął i zmuszony był daléj jechać powozem.

Rabunki wojsk wielkiéj armii, rozpoczęte zaraz na początku pochodu, ciągnęły się już mimo wszelkich nawet przedsiębranych środków, przez cały czas wojny nieprzerwanie; nieoszczędzono i Wilna, gdzie nietylko na przedmieściach dokazywało żołdactwo, ale i w klinice akademickiéj pomieszczeni żołnierze, powypijali nawet spirytus ze słojów, w których przechowywane były ciekawsze okazy członków ludzkich, z żywych lub umarłych amputowane. Rozprzężenie, zbytki i nieład do tego stopnia doprowadziły armią, że już w Witebsku sto tysięcy ludzi ubyło z szeregów. Po krwawéj bitwie pod Smoleńskiem, gdzie nasze wojska walcząc głównie, straciły dwa tysiące ludzi i sześćdziesięciu oficerów, wieść rozeszła się była, że tu stanąć mamy na zimowe leże. Mówiono, że za tém mocno książę Józef obstawał; radził silnego nieprzyjaciela nie lekceważyć, przypominał ciężkie zimowe przeprawy Karola XII, a wskazując cesarzowi dzikie gęsi, które już na południe ciągnęły, przepowiadał ciężką zimę; wystawiał niebezpieczeństwo prowadzenia wojny w téj porze w odległym kraju bez należytych zapasów i przygotowań; z drugiéj zaś strony wskazywał korzyści w zajęciu prowincyi południowych i umocnieniu się w krajach już posiadanych, dla rozpoczęcia dalszéj wyprawy z wiosną następnego roku. I Napoleon podobno, myśl tę z początku podzielał, powtarzając głośno, a dobitnie i chełpliwie, że „zastępy swoje nad brzegami Borystenu rozłoży." Nowe jednak zwycięztwa zawsze dzielnych wojsk francuzkich pod Połockiem i Walutyno, chęć zajęcia stolicy, a z nią i spodziewanych tam łupów wojennych, zmieniły poprzednie plany i popchnęły wodza do murów staréj, bogatéj Moskwy, o które cała wielkość jego i potęga rozbić się miały.

Pod Smoleńskiem staliśmy jeszcze dni kilka, upały były tak wielkie, że nam hiszpańską naszą wyprawę przypominały; armia téż jakby topniejąc, zmniejszała się ciągle, była wszelako jeszcze tak liczną, żeśmy stojąc tam przez dwa dni, dwa jeziora, nie wielkie wprawdzie, ale do szczętu i do kropli wypili.

Nastąpiła wreszcie sławna i pamiętna bitwa, pod Możajskiem, czyli Borodyno, która liczbę wojska jeszcze o dwadzieścia kilka tysięcy zmniejszyła; z obu stron bowiem poległo dziewięćdziesiąt tysięcy ludzi i dwadzieścia tysięcy koni. Zwarły się tu dwie największe ówczesne potęgi; bój rozpoczął na prawém skrzydle Davoust, wraz z księciem Józefem. Można sobie całą grozę téj walki wystawić choćby z tego jednego, że z saméj francuzkiéj strony w przeciągu godzin dziewięciu dano sześćdziesiąt tysięcy wystrzałów działowych, czyli więcéj, niż po sto na minutę. Geniusz wojenny Napoleona i męztwo wojsk jego przeważyły

szalę, nieprzyjaciel pokonany był chwilowo, ale niezwyciężony. Otwartą została droga do staréj stolicy; tu czekać miał wielki wojownik, aby mu składano hołdy, zdano się na jego łaskę i przystąpiono do układów —napróżno; nikt go nie wita i nie spotyka, mieszkańcy oddając na łup i na pastwę płomieni dostatki swoje i własne siedziby, uchodzą w step bez pokłonu. Jestto prawdziwa samołówka, w którą się najezdnik łapie; pięć tygodni łudzi się nadzieją układów, ale słońce coraz mniéj grzeje i jesień, a za nią zima, zbliżają się wielkiemi krokami. Tymczasem, gdy wojska polskie najcięższe odbywają służby obozowe, stojąc w otwartém polu, osłaniając armią, rozbijając się dla wyszukania furażów i żywności, a ucierając się z forpocztami; francuzi o niczém inném nie myślą, nie marzą, tylko o zdobyczach. Napoleon, jako wódz, nie próżnuje także; zabiera kosztowności w Kremlinie, z cerkwi św. Iwana zdejmuje krzyż kilkunastołokciowy, oraz figurę św. Jerzego, gdyż przekonano się, że są z czystego srebra ukute. Sam osobiście wybiera i wraz z Berthiérem rozpatruje, przy wesołéj gawędzie, drogie sprzęty w zamku i aparaty w bogatéj cerkwi zamkowéj, naradza się, co ile warte być może i każe przy sobie zrzucać na stosy; obraz, godzien pędzla jakiego znakomitego artysty. Wódz i generałowie bawią się rozmowami o zrabowanych sobolach, srebrach i drogich klejnotach, żołnierze łupią sklepy, składy towarów i mieszkania prywatne. W nienasyconéj chciwości zapominają o wszystkiém, rzucają broń, amunicyą i wszelkie najpotrzebniejsze, nieodzowne do życia i obrony zapasy, zapełniając natomiast kiesony, wozy, tornistry, kieszenie, torby i mantelzaki tysiącznemi rzeczami, których nawet wartości wcale nie znają. Wszystkoby zabrać chcieli, a niémając gdzie chować już i jak z sobą dźwigać, wysypują na ulicę to, co pierwéj zagarnęli, rzucając się na nowe łupy, które im się kosztowniejsze zdają. Trafiło się, że kompania jedna po wielekroć odmieniając zdobycz, wpadła wreszcie, późno już w nocy, do kasy rządowéj; stały tu wielkie wory z monetą, poczęto je dźwigać skwapliwie, pękł jeden i całą strugą aż na dół po wschodach i na ulicę posypały błyszczące, świeże pieniądze.

— Złoto! złoto!—rozległ się okrzyk wokoło.

Dalej-że, poraz niewiadomo który, wypróżniać tornistry i kieszenie z zabranych poprzednio przedmiotów, a zapychać je nową zdobyczą, najpożądańszą—złotem, tym ostatnim wyrazem, skupiającym w sobie wszelkie ich sny i marzenia. Cięższe to do dźwigania, niźli wyrzucone ładunki, ale cieszą się i weselą noc całą, przy blasku ognia pieszcząc wzrok pozyskanemi skarbami, zasypiają marząc o bogactwie i rozkoszach; nadchodzi ranek, budzą się pełni dobréj myśli i otuchy, ale co za rozczarowanie! mniemane złoto okazuje się prostą, świeżo z pod stępla wybitą, drobną miedzianą monetą.

My wszyscy, znając lepiéj kraj i klimat tamtejszy, przewidywaliśmy prawie, co nas czeka, a nie kusząc się bynajmniéj o cudze mienie, o żadne zdobycze, zaopatrywaliśmy się głównie w rzeczy nieodzowne,

kożuchy, zaprzęgi i zapasy do utrzymania życia potrzebne. Francuzi żadnych rad, ani przestróg naszych słuchać nie chcieli, ale straszne następstwa przyniosły karę za chciwość i przekonały ich, kto miał słuszność za sobą.

Dyplomatyczne układy, które się przez miesiąc przeszło ciągnęły, okazały się strategicznym wybiegiem, prostą ułudą; wielki wojownik dał się złapać na wędkę swéj bezmiernéj zarozumiałości i dumy; przedstawienia i nalegania Napoleona w odpowiedzi otrzymały nakoniec wyjaśnienie, że „dla francuzów wprawdzie kampania skończona, ale dla rosyan teraz się właśnie zaczyna.” Bitwa pod Tarutyno i porażka Murata, przypominają nam, że należy myśleć o odwrocie.

(*Dokończenie nastąpi*).

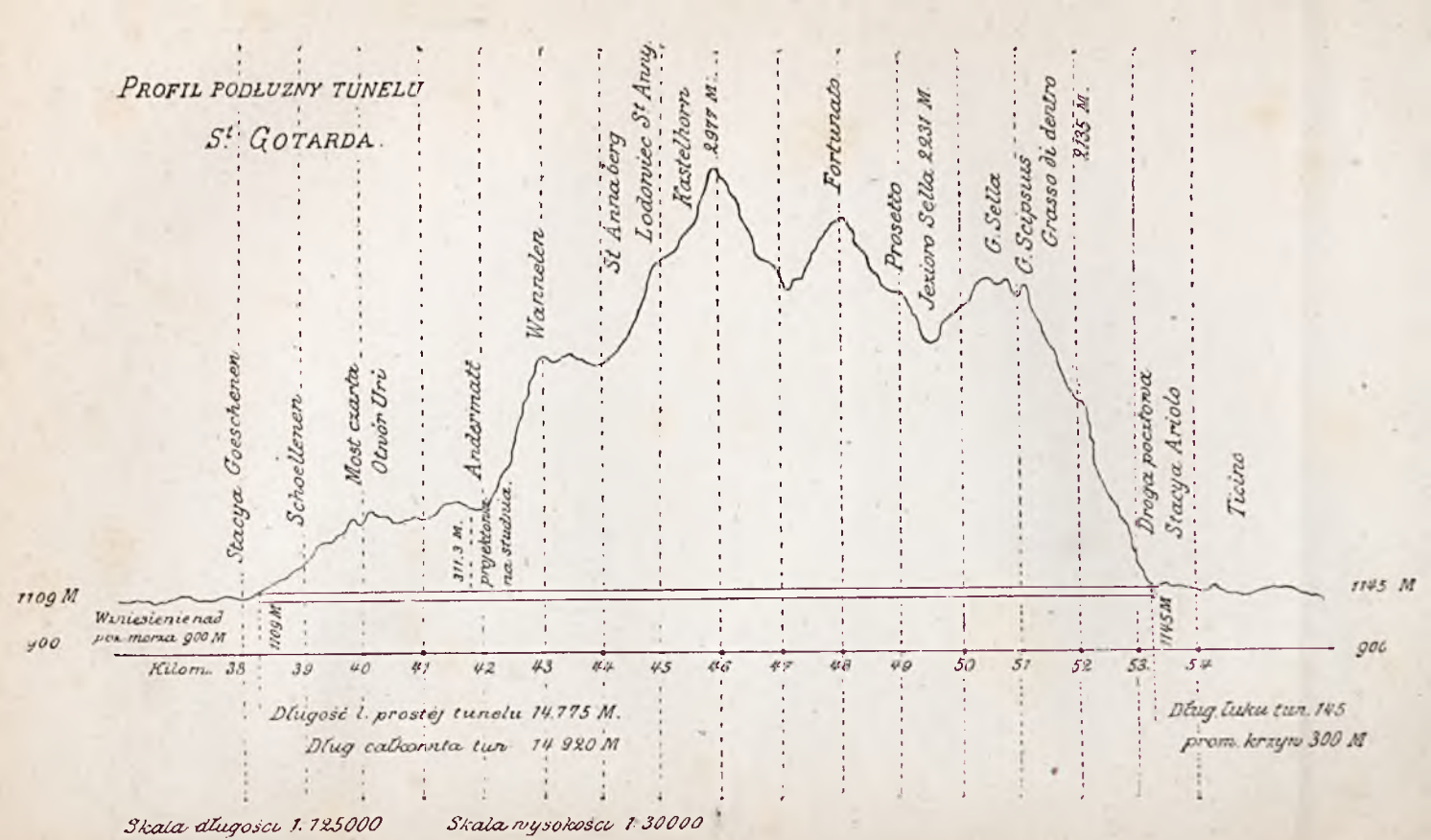
PROFIL PODŁUŻNY TUNELU
St. GOTARDA.
Stacya Goeschenen
Schoellenen
Most czarta
Otwór Uri
Andermatt
311.3 M.
projektowane
na studnia.
Wassmelen
St. Annaberg
Lodowiec St. Anny.
Kastelhorn
2977 M.
Fortunato
Prosetto
Jezioro Selta 2231 M.
G. Selta
G. Scipsus
Grasso di dentro
2735 M.
Droga pocztowa
Stacya Ariolo
Ticino
1109 M
Wzniesienie nad
poz. morza 900 M
900
1109 M
1145 M
1145 M
900
Kilom. 38 39 40 41 42 43 44 45 46 47 48 49 50 51 52 53 54
Długość l. prostej tunelu 14.775 M.
Dług całkowita tun. 14 920 M
Dług. łuku tun. 145
prom. krzyw. 300 M
Skala długości 1. 125000
Skala wysokości 1. 30000

PROFILE POPRZECZNE TUNELU Ś-go GOTARDA.

1. Wciąg robót.

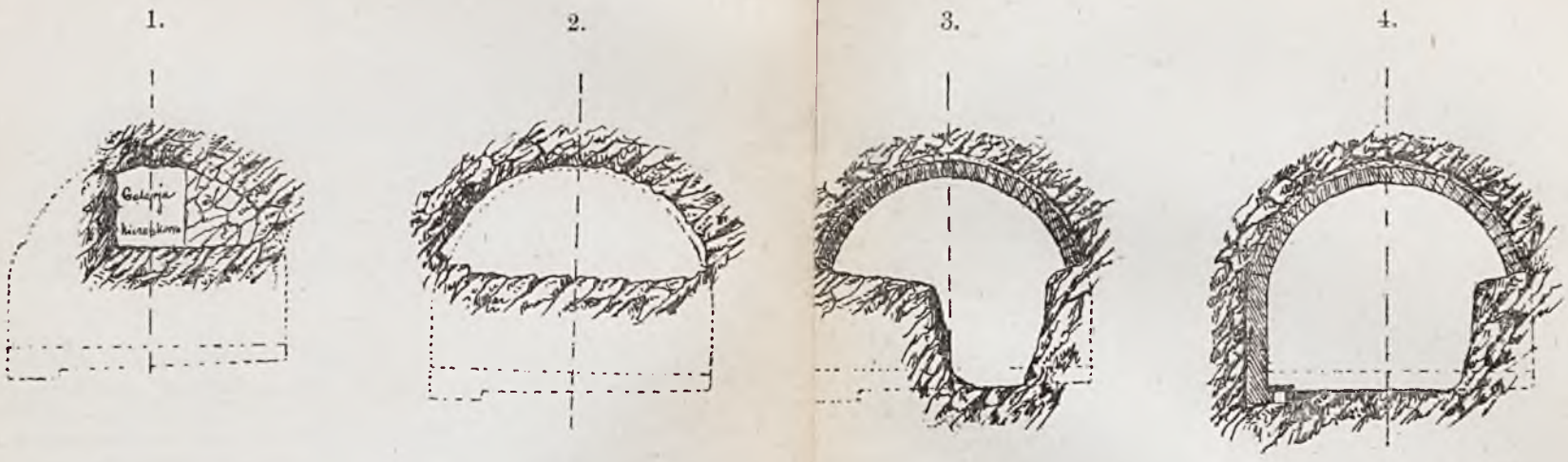

2. Po ukończeniu.

Profil obmurowania zmienionego według dkowéj umowy z d. 3 kwietnia 1877 r.

Przecięcia *ab*, *cd* pokazane są na podłużnym profilu.

Ury i Tesynu zajęły się niezwłocznie badaniem téj kwestyi, przewidując jéj urzeczywistnienie w mniéj lub więcéj blizkiéj przyszłości. W owych czasach zresztą różni inżynierowie, mianowicie zaś pp. Koller, naczelnik wydziału szwajcarskich kolei żelaznych, profesor Cateneo, Lucchini, naczelny inżynier Tesynu i inni, zajmowali się opracowaniem projektu drogi żelaznéj przez Alpy.

Inżynier Koller może być uważanym za głównego promotora kolei żelaznéj ś. Gotarda. W uwagi godnym memoryale, który złożył rządom Szwajcaryi, Włoch i Prus, porównawszy różne projektowane kierunki i oceniwszy wzajemne ich zalety i wady, p. Koller oświadczył się za linią ś. Gotarda, uznając drogę przez Splugen za jedyną jéj możebną współzawodniczkę.

W owéj epoce, wszelako, nie mogło być stanowczo mowy o przebiciu gór olbrzymich: urzeczywistnienie takowéj myśli uważaném było przez specyalistów za niemożebne.

Proponowano jedynie różnorodne specyalne systemy, jakoto: równie pochyłe, koleje ze środkową zębatą szyną i t. d., zapomocą których możnaby było przebiegać strome pochyłości, na każdym kroku w dolinach alpejskich spotykane. Takiemi były systemy pp. Agudio, Wetli, Maey, Fairlie, Fell, Riggenbach i Zschokke, Edwards, Coletti, Grassi i Tabi, Tomatis.

Systematy tego rodzaju, niejednokrotnie stosowano do budowania dróg prowadzących na niektóre góry, zwiedzane przez licznych miłośników przyrody, dróg, między któremi przytoczyć można kolej wiodącą na górę Righi, świeżo urządzoną drogę żelazną na Wezuwiuszu i tym podobne. W rzeczy saméj systemy te mogą korzystnie służyć w razie, kiedy ruch jest słabym, lecz bynajmniéj nie odpowiadają potrzebom wielkich dróg przeznaczonych dla międzynarodowego handlu.

Myśl wielkiego tunelu między Goeschenen i Airolo pierwszy raz wypowiedzianą została przez landammanna Müllera, który wspólnie z inżynierem Lucchini studyował projekty dróg, które miały doprowadzić do góry ś. Gotarda. Pan Wetli uzupełnił te studya i na zdjętych w ten sposób planach nakreślił dokładny projekt ogólny drogi ś. Gotarda. Wiele pomysłów téj pracy zachowanych zostało w ostatecznym projekcie.

Wszelako dopiéro w 1863 r. przystąpiono do stanowczych studyów.

Pierwotny komitet został przetworzonym. Do składu jego weszli przedstawiciele znacznéj liczby kantonów i kolei żelaznych Północo-Wschodu i środkowéj Szwajcaryi. Przewodniczącym komitetu mianowany został p. Alfred Escher, radca narodowy, a wówczas zarazem prezes zarządu wzmiankowanéj kolei Północo-Wschodu i Szwajcaryi.

Pod kierownictwem tego komitetu wykonane zostały nowe poszukiwania, jednocześnie pod względem technicznym i handlowym, a mianowicie, opracowanemi zostały: projekt techniczny przez panów Beckh, inżyniera naczelnego i Gerwig, dyrektora robót publicznych

księstwa badeńskiego; i sprawozdanie o ważności handlowéj i o dochodności projektowanéj drogi, przez pp. Koller, Schmidlin i Stoll. Prace te ukończone w 1865 roku stanowią podstawę wszystkich następnych operacyi.

Główną część kolei ś. Gotarda stanowi projektowana przez pp. Beckh i Gerwig następna droga: od Flüelen, nad brzegiem jeziora Czterech-kantonów, przez Amstäg do Goeschenen, daléj nawskroś góry do Airolo, a nakoniec do Biasca w kierunku Bellinzony.

Kosztorys wszakże będącego w mowie projektu okazał się niedokładnym i nader niewystarczającym. Sam projekt zresztą wypracowany był w ogólnych zarysach i mógł być jedynie uważany za przedwstępną pracę.

W 1869 r. konferencya delegowanych Szwajcaryi, północnych Niemiec, królestwa wirtemberskiego, wielkiego księstwa badeńskiego i Włoch, przejrzała szczegółowo powyższy projekt, następnie zaś, na zasadzie wypowiedzianych przez nią wniosków, zawartą została międzynarodowa umowa 15 października tegoż roku.

Przedsiębierstwo było więc już blizkiém urzeczywistnienia: wybuch wojny między Francyą i Niemcami, spowodował nowe opóźnienie.

Nakoniec, 31 października 1871 r., Szwajcarya ratyfikowała umowę międzynarodową 1869 roku, potwierdzoną już przez cesarstwo niemieckie i inne uczestniczące państwa.

Towarzystwo kolei żelaznéj ś. Gotarda ukonstytuowaném zostało 1 listopada 1871 r., i natychmiast przystąpiło do dzieła.

Dyrektorem wydziału technicznego mianowany został wyżéj wymieniony R. Gerwig, na jego zaś miejsce, w marcu 1879 r. W. Hellwag, który oddalonym został w końcu 1878 r. i zastąpionym przez inżyniera Broedel.

Piątego kwietnia 1872 r. ogłoszony został w ważniejszych czasopismach Szwajcaryi, Włoch, Austryi, Niemiec, Belgii, Anglii i Ameryki, powszechny konkurs na roboty tunelu ś. Gotarda, przyczém termin złożenia submisyi naznaczony został na 18 maja.

Na wezwanie to odpowiedzieli, stosownie do wysłowionych w niém warunków, następujący przedsiębiercy:

1) L. Favre, przedsiębierca w Genewie.
2) Società Italiana di Lavori pubblici, w Turynie.
3) Grandjean i wspólka w Chaux de-fonds.
4) Machine Tunneling et Comp. w Londynie.
5) Patent Tunneling and Mining Comp. w Londynie.
6) Humboldt, towarzystwo budowy maszyn w Kalk przy Deutz.
7) American Diamond Drill Com.

Przedstawiono przytém wiele innych propozycyi, nieobejmujących ogółu robót.

3. *Umowa z przedsiębiercą.* Po wielu negocyacyach wybranym został przedsiębierca L. Favre, z którym kontrakt zawarty został na

następnych warunkach: L. Favre zobowiązał się roboty tunelu całkowicie ukończyć w ciągu lat ośmiu, rachując od chwili zatwierdzenia umowy przez radę związkową, to jest od 17 sierpnia 1872 r. W 1879 roku, termin ukończenia tunelu odroczonym został do 1 października 1881 r.

Towarzystwo kolei ś. Gotarda zobowiązało się płacić panu Favre 5,000 fr. dziennie za wcześniejsze ukończenie tunelu; przeciwnie, w razie opóźnienia, przedsiębiorca ulega karze 5,000 fr. dziennie w ciągu pierwszych sześciu miesięcy, 10,000 fr. dziennie w ciągu następnych sześciu miesięcy; jeżeli zaś ukończenie tunelu opóźnionem będzie więcéj niż o rok, przedsiębierca utraci całą ośmiomilionową kaucyą.

Koszta robót obrachowują się na zasadzie następujących cen jedności wymiarowych.

Za metr całkowitego wydrążenia tunelu wraz z kanałem wodociągowym 2,800 fr. Długość tunelu wynosi 14,912 metrów, cena więc powyższa całkowitego wydrążenia odpowiada sumie 41,753,600 fr.

W miarę stopniowego postępowania robót wydrążenia tunelu, przedsiębierca otrzymuje co miesiąc na rachunek powyższéj ogólnéj ceny zapłatę obrachowaną na zasadzie następujących cyfr:

Za metr galeryi kierunkowéj . . .	fr.	800
„ wydrążenia pod sklepienie .	„	1000
„ dolnego zagłębienia . . .	„	450
„ sztrosu	„	450
„ uzupełnienia wydrążenia. .	„	100

Ceny obmurowania są następujące:

Ściany na których spoczywa sklepienie metr sześc.	fr.	40
Sklepienie z ciosowego kamienia. . „	„	75
Powierzchnia widzialna. . . . . metr kw.	„	20
Framuga, jedna . . . . . „	„	165

Do tych cen należy dołączyć następne stosujące się do robót drugorzędnych:

Za metr tunelu kierunkowego (15), przypuszczając że połowa tego tunelu będzie obmurowaną . . . . . 1500 fr.
a zatém za cały, 145 metrów po 1500 fr. = 217,500 fr.

Koléj i kładki na całéj długości tunelu, po 30 fr. za metr.

Powyższe ceny obejmują zapłatę za całkowite wydrążenie tunelu, za wywóz i wysypanie wyjętego gruzu, za obmurowanie, o ile takowe uznane będzie za potrzebne, za ułożenie kanału odprowadzającego wodę wzdłuż osi tunelu, za balast i chodniki, za ułożenie kolei, a w ogóle za wszystko to, czego wymaga całkowite wykonanie tunelu według warunków umowy i według prawideł sztuki. Ceny jednościowe zawierają w sobie nadto wynagrodzenie za wszelkie urządzenia i aparaty, które przedsiębierca może uznać za potrzebne dla robót tunelu, jakoto: motory wprawiające w ruch przyrządy, maszyny zgęszczające powietrze, maszyny świdrowe, rusztowania, koleje robocze, warsztaty, magazyny, mieszkania robotników, szpitale, place robocze, składy i t. d.

Nakonlec, w mowie będące ceny obejmują wynagrodzenie za wszelkie nieprzewidziane roboty, mogące być spowodowanemi przez niezwykle silny przypływ wody, przez wyjątkową twardość skały, przez wypadki wszelkiego rodzaju i t. d.

W kontrakcie przytém zastrzeżoném było, iż na wypadek śmierci przedsiębiercy przed ukończeniem tunelu, spadkobiercy wstępują w jego prawa i zobowiązania. W rzeczy saméj, Ludwik Favre umarł na apopleksyą 19 lipca 1879 r. a przedsiębierstwo tunelu przeszło pod kierunek jego spadkobierców.

4. *Przebieg robót.* Jeszcze w lecie 1872 r., Towarzystwo kolei ś. Gotarda przystąpiło własnemi środkami do robót tunelu; 4 czerwca rozpoczęto wykopy przy północném wejściu, a 2 lipca od południowego końca przy wejściu tak nazwanego kierunkowego tunelu (15).

Przy Goeschenen zaczęto prowadzić spodnią galeryą postępową, czyli kierunkową, 28 czerwca. Wkrótce przedsiębierca przyjął roboty, zarzucił tę galeryą i rozpoczął prowadzenie wierzchniéj kierunkowéj galeryi z obu stron tunelu.

Rada związkowa przyjęła za datę początku robót dzień 1 października 1872 r., poprzednio bowiem wykonane prace były uznane za przygotowawcze.

Maszyny świdrowe zaczęły działać w Goeschenen 4 kwietnia 1873 r., a w Airolo 1 lipca tegoż roku.

Wogólności przebieg robót szedł dosyć prawidłowo, bez żadnych zmian. Jednakże roboty niejednokrotnie były przerywane. Utrudniał je mianowicie w wysokim stopniu, wyjątkowo, silny przypływ wody. Nadto w Goeschenen 27 i 28 lipca 1875 r. robotnicy włoscy wypowiedzieli posłuszeństwo; musiano użyć siły zbrojnéj dla przywrócenia porządku. W Airolo 17 września 1877 r. wybuchł pożar, który nie mało sprawił zamieszania. Wreszcie w skutek niewystarczających finansowych środków i nieporozumień między przedsiębiercą i Towarzystwem, roboty tunelu doznały pewnego opóźnienia, a nawet w 1879 r., przez przedsiębiercę na pewien przeciąg czasu zawieszone zostały.

Nakoniec, 29 lutego 1880 roku, tunel przebitym został, to jest obie galeryc postępowe, północna i południowa połączonemi zostały w jednę.

Ważne jeszcze roboty pozostają do wykonania, a mianowicie: uzupełnienie wydrążenia i obmurowania. Pierwszém zadaniem jest jaknajprędsze ukończenie wydrążenia wierzchniéj części tunelu i obejmującego je sklepienia.

Wnosząc z wykonanych już robót, za pewne uważać należy całkowite ukończenie tunelu na kilka miesięcy przed terminem wyznaczonym na to, stosownie do umowy 1879 r., to jest przed 1 października 1881 r.

Pogląd finansowy.

5. *Pierwotny kapitał przedsiębierstwa.* Według projektu zatwierdzonego przez umowę międzynarodową 1869 r., koszta budowy całéj drogi ś. Gotarda oceniono na 187,000,000 fr.

Suma ta zrealizowaną została w następujący sposób.

Trzy zainteresowane w przedsiębierstwie kraje dostarczyły pierwotnie następujących subsydyów:

Szwajcarya.	20,000,000 fr.	
Włochy	45,000,000 „	
Niemcy.	20,000,000 „	
Razem...		85,000,000 fr.

Subsydya te składają się z sum dostarczonych przez najwięcéj zainteresowane koleje, prowincye, kantony i miasta.

Pozostały kapitał dostarczony został przez konsorcyum kapitalistów, składające się z trzech następnych gron, z których każde dało 34 miliony franków, a mianowicie:

1. *Grono szwajcarskie.*

Kolej północna . . .	9,000,000 fr.	
Kolej środkowa. . .	9,000,000 „	
Bank kred. szwajcarski	8,500,000 „	
Kilka innych banków	7,500,000 „	
Razem...		34,000,000 fr.

2. *Grono niemieckie.*

Discontogesellschaft w Berlinie, Bank für Handel und Industrie w Darmsztadzie; M. A. Rothschild i synowie we Frankfurcie; M. A. Schaafhausen w Kolonii; Sal. Oppenheim junior w Kolonii; Seehandlungssocietät w Berlinie i S. Bleichroeder w Berlinie . . . . . 34,000,000 „

3. *Grono włoskie.*

Soc. Gener. di Cr. Prov. e Com. we Florenc.	16,000,000 fr.	
Banca Nazionale nel Regno d'Italia we Florencyi	15,000,000 „	
Cztery inne banki . .	3,000,000 „	
Razem...		34,000,000 „
Suma...		102,000,000 fr.
Suma ogólna...		187,000,000 fr.

6. *Akcye i obligacye.* Kapitał dostarczony przez konsorcyum, podzielony został w następny sposób na akcyjny i obligacyjny:

Kapitał akcyjny: $^1/_3$ 102,000,000 fr. = 34,000,000 fr.
„ obligac.: $^2/_3$ 102,000,000 fr. = 68,000,000 fr.
Razem... 102,000,000 fr.

Obligacye przynoszą 5%.

Konsorcyum kapitalistów zobowiązało się wziąć kapitał akcyjny 34,000,000 fr. po kursie 95%, mniéj 3% komisow., a kapitał obligacyjny 68,000,000 fr. po kursie 97%, mniéj 2% komisow. Członkowie konsorcyum przyjęli na siebie odpowiedzialność za upłaty li tylko 40% kapitału akcyi, po wniesieniu któréjto kwoty, wydanemi zostały tymczasowe bilety na okaziciela i zobowiązania konsorcyum uznane zostały za wypełnione.

Towarzystwo drogi ś. Gotarda poręczyło będącemu w mowie konsorcyum trzecią część sum, które będą zaoszczędzonemi przy budowie wielkiego tunelu, z wyjątkiem murowych robót, lecz włącznie z podwójną koleją. Przyznane mu w ten sposób prawo, konsorcyum przelało następnie na akcye.

7. *Powiększenie kapitału.* Jednakże, jakeśmy wyżéj widzieli (2 i 4), suma 187,000,000 fr. uznaną została za niewystarczającą. Wybudowanie trzech odnóg drogi zostało odroczoném, a koszta pozostałéj głównéj linnii Immensee-Pino, z odnogą do Locarno, czyli tak zwanéj zmniejszonéj sieci, ocenionemi zostały na . . . . 227,000,000 fr.

to jest o 40 milionów więcéj od kosztorysu 1869 r.

Uczestniczące kraje ofiarowały nowe subsydyum w sumie 28 milionów, a mianowicie:

Szwajcarya	8,000,000 fr.	
Włochy	10,000,000 „	
Niemcy.	10,000,000 „	
Suma...		28,000,000 fr.

Pozostałe 12 milionów franków zrealizowanemi zostały w następujący sposób:

8. *Nowe emisye obligacyi.* Sześć milionów w franków w 5% obligacyach zahypotekowanych *primo loco* na kolei ś. Gotarda, wzięte zostało przez Towarzystwo dyskontowe, Bank handlowo-przemysłowy i dom S. Bleichroeder w Berlinie, po kursie 60%, do którego doliczają się procenty nieodjętych kuponów, utworzone do dnia wydania efektów.

Następnie, dla 6 ostatnich milionów zagwarantowaną została druga hypoteka na głównéj linii ś. Gotarda, czyli na tak zwanéj zmniejszonéj sieci. Na podstawie téj hypoteki wydaną została nowa serya obligacyi.

Nakoniec dodać wypada, iż na mocy umowy zawartéj między Szwajcaryą i Włochami, zapewnioną została budowa najważniejszéj z trzech linii, wykonanie których dla braku środków pieniężnych odłożoném było, to jest linii Monte Cenere, która połączy główną linią

z kolejami włoskiemi. Linia Monte Cenere ma kosztować 11 milionów, dla zrealizowania których Szwajcarya i Włochy dają po 3 miliony, Towarzystwo zaś wypuszcza 6 milionów 5% obligacyi zahypotekowanych *primo loco* na linii Monte Cenere.

W ten sposób wydatki na budowę kolei ś. Gotarda dosięgną 239 milionów franków, z których 119 dostarczonemi są przez zainteresowane kraje.

9. *Koszta budowy tunelu.* Koszta budowy tunelu kilkakrotnie były ocenianemi przez specyalistów: wypracowane w ten sposób kosztorysy, dosyć znaczne przedstawiają różnice, jak to poniższa pokazuje tablica.

Wyszczególnienie wydatków	Według kosztorysu			
	Biegłych 1864 r.	Międzynarod. konferencyi 1869 r.	Gerwiga 1872 i 1875 roku	Hellwaga 1876 roku
	Metry			
Długość tunelu.....	14,800	14,900	14,900	14,950
	Franki			
Zarząd ogólny.....	601,000	601,000	596,000	208,000
na kilometr....		40,340	40,000	13,910
Studya.....	150,250	150,250	149,000	445,210
na kilometr....		10,080	10,000	29,780
Kupno gruntów.....	55,990	55,990	—	200 000
na kilometr....		3,760	—	13,380
Budowa tunelu:				
1. Ogólne wydatki.....	708,630	708,630	—	769,990
na kilometr.....		47,560	—	51,500
2. Właściwe koszta budowy tunelu	49.418,861	55,486,440	47,357,300	57,171,100
na kilometr....	3,339,110	3,723,920	3,178,340	3,824,150
3. Kolej (podwójna)...	1,710,190	1,710,190	1,854,950	1,621,100
na kilometr...		114,780	124,500	108,430
4. Stacye.....	196,700	196,700	—	61,000
na kilometr....		13.200	—	4,090
5. Inwentarz dla budowy i eksploatacyi drogi.....	690,800	690,800	655,600	612,500
na kilometr....		46,360	41.000	40,970
Razem..	53,756,821	59,600,000	50,612,850	61,088,900
na kilometr....		4,000,000	3,396,800	4,086,200

Obecnie koszta budowy tunelu obliczane są przybliżenie na 3,300 franków metr długości, t. j. około 1000 franków stopa angielska.

W epoce przebicia tunelu, wykonane już roboty spowodowały następne ogólne sumy wydatków:

Strona południowa.	21,800,000 fr.
Strona północna.	23,200,000 „
Razem	45,000,000 fr.

Tunel zatém kosztował drożéj ze strony Goeschenen; wprawdzie część ta jest cokolwiek większą od połowy. Jedném słowem spodziewać się należy, iż suma wydatków na budowę tunelu nie przewyższy 50 milionów franków.

10. *Dochód drogi Ś-go Gotarda.* Według najdokładniejszych obliczeń, autorami których są: p. Błotnicki, główny inżynier departamentu szwajcarskich kolei żelaznych i wymienieni już pp. Hellwag i Koller; dochód całéj drogi ś. Gotarda na kilometr drogi sprowadza się do następujących liczb:

Dochód brutto.	47,000 do 52,000 fr.
Wydatki eksploatacyi	25,000 „ 26,000 „
Czysty dochód	22,000 do 26,000 fr.

Przyjmując tę ostatnią cyfrę, ogół czystego dochodu całéj kolei ś. Gotarda, długość któréj ma wynosić 268 kilometrów, dosięgnąłby 7 milionów franków.

Jakeśmy już wyżéj wspomnieli, z powodu braku funduszów, budowa trzech linii: Lucerna Immensee, Zug-Arth i Giubasco-Lugano (Monte-Cenere), odłożoną została (artykuł 3-ci dodatkowéj konwencyi 12 marca 1878 r.) do epoki, kiedy główna linia Immensee-Pino zostanie całkowicie ukończoną i wówczas Towarzystwo zobowiązane będzie trzy te linie wybudować, jak tylko finansowe środki jego na to mu pozwolą. Widzieliśmy wyżéj, że budowa linii Monte-Cenere jest już zapewnioną.

Wymieniony poprzednio dochód brutto na kilometr, wynoszący w przecięciu około 50,000 franków nie będzie prawdopodobnie osięgnięty prędzéj jak w kilka lat po otwarciu drogi. W każdym razie zdaje się, iż rachować można niezwłocznie po otwarciu na 40,000 fr. dochodu brutto na kilometr, czyli na całkowitą długość (239 kilom.) 9,560,000 franków.

Aby dochód ten wystarczył na pokrycie procentu 5 na sto od ogólnego długu wynoszącego obecnie, z wyjątkiem subsydyów, 86 milionów franków, a zatém 4,300,000 fr., potrzeba aby droga eksploatowaną była nie wyżéj nad 55%, co przedstawia się nader prawdopodobném, stosownie do powyżéj przytoczonych obliczeń specyalistów.

Kolej Symplońska przyniesie bezwątpienia znaczny uszczerbek drodze ś. Gotarda, mianowicie jeżeli tunel podmorski między Anglią i Francyą będzie uskutecznionym. Nim wszakże tunel przez Symplon zostanie wykonanym, co w każdym razie nie nastąpi wcześniéj, niż w kilka lat po ukończeniu drogi ś. Gotarda, droga ta korzystać będzie

z całego ruchu handlowego. Tunel Symploński, długość którego ma wynosić 18,507 metrów, kosztować będzie około 80 milionów franków.

Warunki miejscowe.

11. *Ogólny pogląd topograficzny.* Aby sobie zdać sprawę z wyjątkowych trudności, jakie przedsiębiercy kolei żelaznéj ś. Gotarda przełamać musieli, wypada rzucić okiem na kraj, który droga ta przerzyna, t. j. na doliny rzeki Reuss i Ticino (Tessyn), między któremi piętrzy się olbrzymia masa stromych, różnokształtnych skał, zwana górą ś. Gotarda.

Wzdłuż dolin tych bieży w mowie będąca kolej i przenika w głąb góry ś. Gotarda, z północy w Goeschenen, z południa w Airolo.

Rozgałęzienia dolin tych rozciągają się do najwyższych szczytów sąsiednich Alp i zawierają mnóstwo lodników i śniegowisk, które wymienionym rzekom i wpadającym w nie potokom i strumykom dostarczają wielkiéj masy wód. Bieg tych rzek i potoków nader jest nieregularny; górne ich części przedstawiają nader gwałtowne spadki, tak, iż przebieg kolei nader często od kierunku ich zbaczać musi i zwalczać tysiące przeszkód. W miejscach, gdzie droga spotyka zbyt nagłą pochyłość, niezbędném jest powiększyć jéj długość; w rzeczy saméj przedstawia ona niejednokrotne zakręty, a w Pfaffensprung, Brusimano, Anzonico zakreśla całe okręgi i wracając do poprzedniego kierunku, powtórnie nad temi samemi przebiega punktami, gdzie pierwéj za pomocą tunelu w głąb' ziemi przenikła.

Wyniosłe skały i strome wąwozy, wzdłuż których wije się droga żelazna ś. Gotarda, ulegają ciągłym przemianom, w skutek nieustannego działania wód, lawin i odłamów skał, przez wody z gwałtowną siłą unoszonych. W ten sposób często się zdarza, iż ogromne masy ziemi i kamieni osypują się i z wielkiéj spadając wysokości, zapełniają wąwozy i niweczą dzieła rąk ludzkich.

Roboty, mające celem zabezpieczenie kolei od działania potoków: jako to: mury, rowy, tamy, odwrócenie łożyska i t. d., przedstawiają wogóle niesłychane trudności i nader są niewystarczające.

Aby ochronić drogę od powyżéj przytoczonych katastrof, wypada albo budować wiadukty wdali od pola działań powyższych żywiołów zniszczenia, albo téż umieścić drogę pod nieprzenikalném zakryciem, t. j. przeprowadzić ją pod ziemią. Galerye drewniane, dachy i tym podobne budowle, wyjątkowo tylko mogą być zastosowane.

Z powyższych przyczyn wynika konieczność luźnych tuneli, już zresztą spowodowana przez ważniejsze pobudki, a mianowicie przez niezbędność uniknienia wielkich spadków. Tunele muszą nadto miéć otwory swe również umieszczone zdala od sfery działania lawin i wód: w skutek czego długość ich znacznie musi być powiększona.

12. *Brak ręcznéj siły.* Zupełnie innego rodzaju trudności wynikają z powodu nader nielicznéj ludności. Dolina Reuss, powy-

żéj miasteczka Altorf, nie liczy więcéj nad 5 do 6 tysięcy mieszkańców. Tymczasem w ciągu kilku lat, w czasie pięknéj pory roku, 6,000 robotników pracowało między Erstfeld i Goeschenen. W kantonie Tessynu również liczba robotników wahała się między 6 i 7 tysiącami przy 5 do 6 tysiącach mieszkańców.

W skutek braku, a zatém drożyzny ręcznéj roboty, postanowiono użyć siły mechanicznéj na jak największą skalę. Zresztą znaczna część robót kolei ś. Gotarda jest tak wielkich rozmiarów i przedstawia takie zawikłania, że wykonanie byłoby całkowicie niemożebném bez użycia mechanicznéj siły. Tak np. kamienie i inne budowlane materyały muszą być wznoszone na miejsca nader wysoko położone i nader nieprzystępne. Zapuszczanie studni, przewietrzanie tuneli i inne roboty, przedstawiają również wyjątkowe trudności. Nakoniec do przebicia wielkich tuneli używane maszyny wiercące wymagają niezbędnie siły mechanicznéj.

Oprócz głównego tunelu, kolej ś. Gotarda liczy wiele innych tuneli, których długość razem wzięta wynosi około 30,000 metrów, t. j. przeszło dwa razy długość głównego.

Potężne spadki wód. Lecz jeżeli miejscowe warunki nadzwyczajnie utrudniają roboty i powodują brak ręcznéj pracy, przyroda jednocześnie ofiaruje bogate źródło siły mechanicznéj. W rzeczy saméj, cała okolica obfituje w potoki, spadające z wielkiéj wysokości, i siła wody z wielkiém powodzeniem i na olbrzymią skalę zastosowaną została do przebicia góry ś. Gotarda. Uderzającym jest zresztą fakt, iż właśnie w miejscach, gdzie upostaciowanie gruntu największe przedstawia trudności, najpotężniejsze i najliczniejsze istnieją wodospady, a mianowicie wielkie katarakty Reuss'u i Ticino przy Airolo, Dazio, Lavorgo, Goeschenen, Wasen i Pfaffensprung.

13. *Dolina Reuss'u.* Przebiegłszy drugą seryą swych katarakt, położoną między płaskowzgórzem Andermatt i Goeschenen, rzeka Reuss płynie spokojnéj i u Flüelen wpada do jeziora Czterech-Kantonów. Wysokość Goeschenen, przy którém umieszczony jest północny otwór tunelu ś. Gotarda, nad powierzchnią morza, wynosi 1,109 metrów; Flüelen znajduje się o 672 metrów niżéj.

Powyżéj Goeschenen dolina Reuss'u przedstawia niezliczone katarakty (die Schöllenen). Obie jéj strony utworzone są z nagich i nader spadzistych skał, a dno pokryte jest wielkiemi masami opoki i gruzem wszelkiego rodzaju, tak iż roślinność całkowicie jest niemożebną.

Poniżéj Goeschenen obie boczne pochyłości doliny mniéj są spadziste, a spód szeroki na blisko 100 metrów, pokryty jest łąkami i zabudowaniami. Spadki nawet przedstawiają pewną zieloność, a wysokości pokryte są lasami.

Piętrzące się na wschodniéj stronie szczyty Rienerstocku, dochodzą do 2,980 metrów; na zachodniéj zaś Rohrstock i Schwarzenstock dosięgają 3,223 metrów i wznoszą się wprost ze dna doliny.

Objęta tak wyniosłemi górami część doliny Reuss'u, położona w blizkości Goeschenem, posiada klimat nader niekorzystny i ulega licznym i niebezpiecznym wypadkom.

W Goeschenen, na dnie doliny, średnia roczna temperatura wynosi 6 do 8 stopni Celsyusza. Zima, któréj przecięciowy ciepłostan równa się —4 do —5° C., trwa od października do maja. Od listopada do kwietnia grunt pokryty jest warstwą śniegu grubą na metr i więcéj.

Na pokrytych roślinnością pochyłościach spadzistych, śnieg ten często się porusza i osypuje, jakkolwiek nie w zbyt wielkiéj masie. Częste i nieraz gwałtowne panują również śnieżne zawieje.

Rocznie spadająca ilość wody wynosi 1010 milimetrów *minimum* na całéj linii ś. Gotarda.

14. *Dolina Ticino.* Dolina ta niéma, jak poprzednia, postaci jednolitéj: przerzyna ją znaczna liczba dolin wzdłuż i wpoprzek.

Począwszy od Airolo, która to miejscowość znajduje się na wysokości 1,125 metr., dno doliny na przebiegu 36 kilometrów, t. j. aż do Biasca (wysokość 287 metr.) zniża się o 838 metr.: średni spadek wynosi zatém 23‰.

Przy Airolo obie boczne pochyłości doliny przedstawiają często przerywany szereg alpejskich łąk.

Poniżéj Airolo śnieg zazwyczaj nie zalega długo na gruncie, jakkolwiek zdarza się czasami, iż silna zawieja pokrywa ziemię śnieżną warstwą, na pół metra grubą. Podobnież częstemi bywają lawiny lekkiego śniegu, osuwające się z pochyłości otaczających Airolo, Seruengo, Deggio i Catto; nie są jednak groźne. Przeciwnie, na wysokościach wzdłuż doliny, w czasie długich, śnieżnych zim, nagromadza się często śnieg tak obficie, iż na wiosnę powstają wielkie lawiny w postaci twardych mas śniegu, porywających bryły ziemi, kamienie, pnie drzew i grożące czasami samemu Airolo.

Deszcze obficie padają na wiosnę i w jesieni. Jednakże, mimo iż jednocześnie z deszczami topnieją wielkie masy śniegu, wylewy rzek rzadkiemi są w wiosennéj porze. Przeciwnie, w skutek wielkich ulew z burzami, w jesieni Tesyn często przepełnia swe koryto i zalewa spód doliny.

W Airolo średnia roczna temperatura wynosi około +7° Celsyusza. Temperatura lata równa się przecięciowo +16° C., a zimy —1°.

W tych warunkach klimatu, sosnowe lasy z łatwością rosną na wysokościach, dochodzących do 1,600 i 1.700 metrów. Poniżéj tego pasa lasów, aż do spodu doliny, rozciągają się łąki; powyżéj, do 2,000 metrów wysokości, alpejskie pastwiska. Żyto i kartofle udają się aż do 1,400 metr. wysokości; owocowe drzewa pojawiają się dopiéro w wioskach poniżéj Stalvedro.

Opisanie robót.

15. *Ogólne dane.* Przystępując obecnie do opisania robót budowy tunelu ś. Gotarda, powtórzmy najprzód w kilku słowach ogólne jéj warunki techniczne.

Ogólna długość tunelu wynosi 14,912 metrów. Tunel zbudowany jest w kierunku linii prostéj, z wyjątkiem południowego końca, który na długości 145 metr. nakreślony jest według łuku o promieniu 300 metrów. Od punktu, gdzie się ten łuk zaczyna, tunel przedłużony jest w kierunku linii prostéj: przedłużenie to, od którego rozpoczętą była budowa tunelu, z południowéj strony, nazywa się *tunelem kierunkowym.*

Wysokość kolei żelaznéj nad poziomem morza, przy wejściu do tunelu, wynosi:

przy Goeschenen. . . . . 1,109 metrów
„ Airolo . . . . . 1,145 „

Kolej podwójna:

Spadek ku Goeschenen. . . . . 5,82‰
„ „ Airolo. . . . 1‰ a daléj 2‰

Pokłady które tunel przechodzi:

50% długości tunelu stanowi gneissogranit, 25% łupek mikowy, a resztę kamień amfiboliczny, chloryt, kamień wapienny i t. d.

Roboty prowadzonemi były zapomocą wierzchniéj galeryi kierunkowéj i według systemu belgijskiego.

Powierzchnia poprzecznego przecięcia próżni tunelu wynosi 45 metrów kwadratowych (8 metrów szerokości i 6 metrów wysokości). Dodawszy do próżni tunelu objętość obmurowania, przekonywamy się, iż ogólna objętość wydrążenia wynosić będzie około 800 tysięcy metrów sześciennych.

Przypływ wody, który stanowił największą trudność budowy tunelu i którego, przystępując do robót, nader się obawiano, pojawił się groźnie w południowéj części tunelu. Do *maximum* doszedł on w trzecim kwartale 1878 r.: objętość przypływającéj wody wynosiła przez pewien czas 348 litrów na sekundę, t. j. około 30,000 metrów sześciennych dziennie. Objętość wody nadzwyczajnie wielka.

Nader trudną do przezwyciężenia przeszkodą w budowie tunelu ś. Gotarda, było wielkie ciśnienie, jakie wywierał pokład rozkruszonego gneissu. Podobnąż trudność spotkano przy budowie tunelu pod Łupkowem, między Galicyą i Węgrami, dla zwalczenia któréj sprowadzać musiano z odległych okolic granit; obmurowanie bowiem, dla pokonania tak wielkiego ciśnienia, posiadać winno wyjątkową wytrzymałość.

16. *System budowy; wierzchnia lub dolna galerya postępowa.* Jak wiadomo, budowa tunelu zaczyna się od wykopania małéj galeryi w kierunku osi tunelu. Galerya ta, mająca zaledwie kilka metrów

wysokości i tyleż szerokości, może być umieszczoną u samego spodu lub też w górze tunelu. Wynikają ztąd dwa nader różne sposoby przebijania tunelu, wielkie przedstawiające różnice, z których każdy ma swych stronników między specyalistami, lecz które, jak mam zamiar niezwłocznie okazać, powinny być zastosowanemi odpowiednio do natury gruntu i innych okoliczności.

Tunel ś. Gotarda przebitym został w nader twardym gruncie, za pomocą wierzchniéj galeryi postępowéj, któréj poprzeczne przecięcie wynosi 6 do 7 metrów kwadratowych, t. j. około $2^1/_2$ metrów wysokości i tyleż szerokości.

Ze wszystkich obecnie istniejących tuneli, najbardziéj zbliżają się do tunelu ś. Gotarda, pod względem ważności robót trzy następujące: tunel góry Cenis, ukończony w 1871 r. kosztem rządu włoskiego, długi na 12,233 metrów, wykonany w przeciągu $12^1/_2$ lat; tunel Hoosac w Ameryce (Massachusett) 7,622 metry długi, ukończony w 1874 roku, który kosztował przeszło 6,100 fr. metr., i przebicie którego wolniéj postępowało aniżeli przebicie tunelu góry Cenis; nakoniec tunel Suttro, 6,205 metrów długi, w Nevada, w Stanach Zjednoczonych. Przy budowie tunelu góry Cenis i tunelu Suttro, prowadzoną była dolna galerya. Obie metody zastosowanemi były przy tunelu Hoosac.

System wierzchniéj galeryi niekorzystnym jest, jeżeli grunt jest nader twardym, wówczas bowiem sklepienie uszkodzoném bywa przez odłamy rozsadzonéj masy. Niedogodność ta wszakże znika oczywiście, jeżeli pokład, przez który tunel przechodzi, tak jest twardym, iż obmurowanie byłoby zbytteczném.

Jeżeli grunt wywiera wielkie ciśnienie, wierzchnia galerya postępowa daje złe rezultaty: podmurowanie wówczas często pęka.. W tym razie prowadzić należy galeryą postępowę u spodu tunelu.

Wierzchnia galerya przedstawia nadto nader ważną niedogodność w tym względzie, iż kolej, rury i przyrządy wszelkiego rodzaju, muszą być niżéj opuszczane i w ogóle często przekładane. Roboty wypróżnienia niższéj części tunelu stają na przeszkodzie jednoczesnemu murowaniu sklepienia. Wykop musi być wznoszonym na pewną wysokość, co pochłania wiele pracy.

Przeciwnie, dolna galerya postępowa pozwala prowadzić roboty wydrążenia znacznie prędzéj; robota w wodzie może być łatwiéj uniknioną.

Podmocowanie sklepienia przedstawia znaczną trudność, albowiem wysychając, osadza się i między niém i sklepieniem tworzą się przerwy.

Metoda belgijska wszakże posiada ważne zalety. Odświeżanie powietrza w wierzchniéj części daleko jest łatwiejszém. Rusztowania są mniejsze, łatwiejsze do wykonania i znacznie mniéj wymagają drzewa.

17. *Wywóz ziemi.* W tunelu ś. Gotarda, w głąb przeprowadzonéj u wierzchu galeryi postępowéj, obok kolei przewozowéj, normalnéj szerokości, to jest mającéj metr szerokości, ułożoną jest na długości

70 metrów, począwszy od końca galeryi postępowéj, pomocnicza wązka kolej, mająca 0 m.,31 szerokości. Dla wywozu ziemi po téj wązkiéj, z lekkich szyn ułożonéj kolei, zbudowany jest nader lekki wagon, na którym pomieszcza się 16 koszy, których ogólna objętość wynosi 0,3 metra sześciennego.

Przed wybuchem miny maszyna świdrowa odsuwa się o 20—25 metrów od końca galeryi i pozostaje na głównéj, 1 metr szerokiéj kolei przewozowéj. Wagony więc téj drogi stoją nie w końcu galeryi, lecz bezpośrednio poza cofniętym w ten sposób przyrządem świdrowym. Ziemia z koszów, znajdujących się na powyżéj wymienionym małym wagonie, wysypuje się w wielkie wagony głównéj drogi, poczém mały wagon wraca wraz z próżnemi koszami na koniec galeryi.

Zapełnione w ten sposób wagony głównéj drogi przewozowéj, posuwanemi są najprzód przez robotników, następnie za pomocą koni do równi pochyłéj, po któréj są spuszczane aż do spodu tunelu. Nareszcie przybyłe z różnych miejsc wagony połączone są w pociąg, który działająca za pomocą zgęszczonego powietrza lokomotywa wyprowadza z tunelu.

Istnieją, jak widzimy, w tunelu ś. Gotarda dwie płaszczyzny robót: wyższa i niższa. Na wierzchniéj płaszczyznie wagony przesuwane są albo wprost przez robotników, lub za pomocą koni. Próżne wagony wciągane są również przez konie po równi pochyłéj.

Potrzebne do robót materyały przewożone są z niższej do wyższéj płaszczyzny, po łączącéj je równi pochyłéj, albo też za pomocą elewatorów.

Liczba miejsc robót ograniczoną jest rzec można do *minimum*.

Wywóz ziemi odbywa się po jedynéj głównéj kolei, która posiada pojedyńcze odnogi. Od pewnego czasu wszakże, w zupełnie ukończonym tunelu, ułożoną jest druga kolej.

Dla wywozu ziemi używane są dwa typy wagonów, wysypujących ziemię bokiem, różniące się tylko objętością skrzyń, która wynosi metr sześcienny i półtora metra. Wagony te są cokolwiek zawysokie.

W Goeschenen przybywa codzień przecięciowo paręset wagonów z tunelu.

Maszyny.

18. *Motory*. Siła poruszająca motory dostarczoną jest przez potężne spadki wód. Motory działają na przyrządy świdrowe za pomocą zgęszczonego powietrza, odświeżającego jednocześnie wnętrze podziemia.

Na południowéj stronie tunelu zużytkowanym być może Tesyn (Ticino), lub korzystniéj jeszcze z jeziora Sella wyciekająca Tremola, która przy spadku 20%, posiada czystszą, niż Ticino wodę.

Objętość wody, mogącéj być w tym celu zużytkowaną, wynosi 300—400 litrów na sekundę.

Jak wiadomo, najkorzystniejszemi motorami dla zużytkowania wielkich spadków wody są prędko obracające się pod wielkiém ciśnieniem turbiny. Tego rodzaju przyrządy zostały zastosowanemi do robót tunelu ś. Gotarda.

Na południowéj stronie tunelu turbiny wprawiane są w ruch przez wodę, wypływającą z rezerwoaru, umieszczonego o 180 metrów wyżéj, na wysokości odpowiadającéj ciśnieniu 18 atmosfer.

Budowa wodociągu do powyższego wodozbioru przedstawiała niezwyczajne trudności; potok bowiem wije się w głębi wąwozu, który co rok prawie, w ciągu zimy, zasypanym bywa przez olbrzymie lawiny. Z tego więc powodu Favre nader rozsądnie umieścił otwór wypływu na miejscu nader wysoko znajdującém się, gdzie Tremola jest zawsze przystępną i wodę jéj poprowadził za pomocą 1000 metrów długiego wodociągu, do mniejszego potoku Chiasso, płynącego poza obrębem lawin. Na brzegu Chiasso umieszczonym jest wpośród odosobnionych gór wodozbiór, gdzie się osadzają nieczystości i który, jakeśmy już wyżéj powiedzieli znajduje się o 180 metrów ponad motorami i kompresorami zgęszczającemi powietrze. Do nich woda doprowadzoną jest za pomocą wodociągu z żelaznych rur, mającego 841 metrów długości i 0,62 metra średnicy.

Cztery turbiny wykonane przez zakład Escher, Wyss i spółka w Zurychu, mają 1,20 m. średnicy i robią około 350 obrotów na minutę. Odlane są one z jednéj sztuki bronzu, albowiem materyał ten wytrzymuje łatwiéj, aniżeli żelazo, lub stal, wielkie zmienne ciśnienie, dochodzące, jakeśmy wyżéj wspomnieli, do 18 atmosfer.

Każda turbina porusza za pomocą koła zębatego wał poziomy, który wraz z innemi umieszczony jest w kierunku jednéj prostéj linii, tak, iż wszystkie wały mogą być sprzężone.

Cały ten system przyrządów działa nader zadawalniająco. Wszakże w suchéj i zimnéj porze roku, objętość wody Tremoli nader się zmniejsza, tak, iż czasami nie przewyższa 100 litrów na sekundę. Aby zatém uniknąć konieczności zawieszenia robót świdrowych i wentylacyi, chociażby na jeden dzień, Favre uznał w 1874 roku za potrzebne użyć wody Ticino, jako dodatkowéj siły. Wykonanie potrzebnych w tym celu robót przedstawiało wielkie trudności, albowiem Ticino powyżéj Airolo jest dzikim potokiem, którego spadek wprawdzie jest nader słabym, lecz zato brzegi strome i potrzaskane, po których staczają się odłamy skał, a w zimie masy śniegu.

Wodociąg umieszczonym jest na stromych, wyniosłych skałach. Przekracza on dwa bystre potoki Albinasca i Tremola i dostarcza metr sześcienny wody na sekundę. W ten sposób prowadzona woda zbiera się w osobnym rezerwoarze, umieszczonym o 90 metrów ponad turbinami.

Cztery nowe turbiny systemu Girard'a, konstrukcyi zakładu Escher, Wyss i spółka, zużywają siłę wód Ticino; umocowane są one na

wałach poprzednich turbin. Urządzenie to nader jest korzystném, tak iż działanie maszyn i przyrządów nie ulega żadnéj przerwie.

Przy Goeschenen, z północnéj strony tunelu, poniżéj Andermatt, Reuss dostarcza nie mniéj nad metr sześcienny wody na sekundę. Wodozbiór, w którym się osadzają nieczystości, ma 100 metrów sześciennych objętości i połączony jest wodociągiem z żelaznéj blachy, długości 800 metrów i średnicy 0,85 metra, doprowadzającym czterem turbinom Girard'a 1200 metrów sześciennych wody na sekundę. Turbiny te, osadzone na poziomój osi, zbudowane są przez firmę Br. Roy i spółka. Średnica ich wynosi 2,4 metra, a normalna prędkość 160 obrotów.

19. *Kompresory zgęszczające powietrze.* Jeszcze w 1852 roku Colladon proponował używać zgęszczonego powietrza zamiast lin, służących do transmisyi w głąb tunelu siły potrzebnéj do poruszania przyrządów.

W tym celu Sommeiller, Grandis i Grattoni, wzięli w 1853 roku patent na przyrząd hydrauliczny dla zgęszczania powietrza. W 1857 roku przyrząd ten zastosowany został do przebicia tunelu góry Cenis, lecz nader niepomyślnie. Zastąpiony on został z korzyścią przez mocne pompy.

Jakeśmy już wyżéj powiedzieli, najkorzystniejszemi motorami dla zużytkowania wielkiego spadku wód są turbiny, które wymagają szybko poruszających się pomp tłoczących. W 1871 roku profesor Colladon wziął patent na nowy system pomp, które suchą nawet drogą gazy prędko zgęszczają, przyczém rozgrzewanie, którego wpływ nader jest szkodliwym, uniknioném jest za pomocą wpryskiwania małéj ilości wody we wnętrze cylindra. Podobnież tłok i drąg jego, przedłużony powyżéj i poniżéj tłoka, są próżne i ochładzane wodą.

Według tego systemu wybudowane kompresory użytemi zostały do robót tunelu ś. Gotarda. Dla wyrównania oporów i dla uniknienia kół szalonych, pompy umieszczone są po trzy razem na jednym fundamencie.

Kompresory w Airolo zbudowanemi zostały przez „Société genevoise de construction." Cztery jednocześnie działające grupy pomp są w stanie dostarczyć we wnętrze tunelu około 1000 sześciennych metrów powietrza pod ciśnieniem 7—8 atmosfer. Powietrze to, przed opuszczeniem przyrządów świdrowych, posiada siłę kilkuset koni parowych.

Kompresory działające w Goeschenen, nader nieznacznie różniące się od poprzednich, zbudowane zostały przez Towarzystwo Roy i spółka.

Powietrze przeprowadzoném jest wzdłuż tunelu najprzód za pomocą rur z blachy żelaznéj, średnicy 0,20 m., aż na sam koniec do dna wydrążonéj części tunelu; daléj zaś w rurach żelaznych średnicy od 0,14 metra do 0,10 metra, do bocznych rozszerzeń i do końca galeryi kierunkowéj; nareszcie rury kauczukowe średnicy 0,05 metra doprowadzają powietrze do maszyn świdrowych. Oprócz tego w niektórych punktach

rur umieszczone są kruczki, służące do odświeżania powietrza na miejscach robót.

Pompy używane w tunelu ś. Gotarda dostarczają dwa razy więcéj siły, niż aparaty, które były używane dla tunelu góry Cenis, zajmują pięć razy mniéj miejsca i wymagają trzy razy mniéj wydatków.

20. *Wentylacya.* W ogólności, każdy robotnik w tunelu opatrzony jest lampą, która równie tyle powietrza zużywa, co i sam robotnik. Nadto dla odnowienia powietrza wskutek eksplozyi, potrzeba na 1 kilogram dynamitu, przynajmniéj 100 sześciennych metrów powietrza.

Wziąwszy pod uwagę, iż w tunelu pracuje przecięciowo około 1000 robotników, że masa zużytego codzień dynamitu wynosi średnio około 500 kilogramów, dochodzi się do tego wyniku, iż dla zupełnego odświeżenia potrzeba dziennie około 300 tysięcy metrów sześciennych powietrza, pod zwykłém ciśnieniem atmosferycznem.

Według przytoczonych powyżéj cyfr, kompresory dostarczają większą jeszcze objętość powietrza. Wentylacya wszakże jest niezupełną, albowiem, jak łatwo przewidzieć, zepsute powietrze nie może być wyprowadzoném z tunelu w téj saméj ilości, w jakiéj czyste przybywa. Zepsute powietrze zatrzymuje się w zagłębieniach i pod sklepieniem w szerokiéj części tunelu, świeże zaś w odpowiedniéj masie wychodzi z tunelu.

Dla wyprowadzenia zatrzymującego się w ten sposób złego powietrza, Favre umieścił z każdéj strony tunelu aspirator, działający nader skutecznie za pomocą rury, umieszczonéj wzdłuż sklepienia.

21. *Przyrządy świdrowe.* Pierwsze maszyny świdrowe, zbudowane w 1855 roku przez angielskiego inżyniera Bartlett'a, przedstawiciela przedsiębiorcy Brassey'a, według projektów D. Colladona, ulepszonemi zostały w 1857 r. przez Sommeillera. Służyły one dla tunelu góry Cenis i uległy stopniowo rozlicznym zmianom i ulepszeniom, tak, iż obecnie naliczyć można do 30 różnorodnych systemów tych przyrządów.

W ogólności główne części wszystkich świdrowych maszyn przedstawiają niewielkie różnice. Maszyny te składają się z następujących części: *a*) walce; *b*) tłok, do drąga którego przymocowuje się świder; *c*) mechanizm kierujący powietrze na przednią, lub tylną ścianę tłoku; *d*) mechanizm, za pomocą którego tłok obraca się wraz ze swym drągiem i świdrami i walce postępują ku opoce; *e*) podstawa, czyli rama, po któréj walec się posuwa i która umieszczoną jest na pewnego rodzaju wozie, poruszającym się na szynach kolei. Na wozie tym rama przyrządu perforacyjnego przybierać może wszelkie kierunki tak, iż świdry działać mogą również we wszelkich kierunkach.

Świder powinien poruszać się szybko i z wielką siłą tam i nazad i jednocześnie obracać się około swéj osi, aby w ten sposób utworzyć prostą i równą dziurę.

Przejrzyjmy obecnie główniejsze systemy perforatorów, używane przy budowie tunelu ś. Gotarda.

Stosownie do umowy zawartéj z rządem włoskim, Favre zmuszony został przyjąć dla przebicia góry ś. Gotarda około 100 maszyn Sommeillera. Perforatory te zostały wszakże wkrótce zarzuconemi i tunel ś. Gotarda wykonany został za pomocą znacznie ulepszonych przyrządów.

Najwięcéj używanemi były maszyny: Dubois et François, Mac Kean i Ferroux.

Sommeiller. Maszyna Sommeillera, zbudowana według typu Bartlett'a, składa się z dwu części, t. j. z motora, działającego za pomocą zgęszczonego powietrza i z właściwego przyrządu świdrowego. Motor Sommeillera wykonywa wzmiankowany wyżéj ruch mechanizmu kierowniczego, obrót tłoku i postępowanie walca ku opoce.

Dubois et François. Ten sam skutek osiąga aparat pp. Dubois i François, daleko prościéj i z mniejszym wydatkiem zgęszczonego powietrza. W maszynie téj niéma motora jak w przyrządzie Sommeillera. Mechanizm kierowniczy działa naprzód i w tył zapomocą zgęszczonego powietrza. Obrót tłoku i świdra otrzymuje się za pomocą dwu małych tłoków naprzemian działających na drążek dwuramieniowy i poruszanych uderzeniem zgęszczonego powietrza.

Nakoniec postępowanie całego przyrządu odbywa się za pomocą silnéj śruby, poruszanéj ręką.

Mac Kean. Zaledwie maszyny Dubois i François zaczęły działać, amerykanin Mac-Kean wynalazł nowy przyrząd, ważne posiadający zalety. Favre obstalował kilka tych przyrządów, które od poprzednio używanych znacznie się różnią. Obrót tłoku i świdrów odbywa się zapomocą dwu kół w rodzaju śrub, mających nader pochyłe zęby.

Przyrząd, kierujący powietrze, ma w maszynie Mac-Kean postać walca i jest prostszym aniżeli w maszynach Sommeiller i Dubois. Maszyna Mac-Kean działa prędzéj od wszystkich innych poprzednio zbudowanych. Długość jéj jest nieznaczna; w ogóle zajmuje ona mniéj miejsca, niż maszyny Sommeiller i Dubois; waży ona także mniéj.

Ferroux. Trzecia z najwięcéj używanych w tunelu ś. Gotarda maszyn perforacyjnych, wynalezioną została przez p. Ferroux, byłego naczelnika mechanicznych warsztatów w Modanie. Posiada ona specyalny motor, równie jak maszyna Sommeiller, lecz skomplikowany mechanizm poruszający przyrząd kierujący powietrze, w téj ostatniéj maszynie zastąpiony został przez ekscentryk.

Obrót świdra około osi odbywa się w podobny sposób jak w maszynie Sommeiller. Ale najdelikatniejszém ulepszeniem jest stopniowe postępowanie maszyny Ferroux, w miarę zagłębiania się świdra.

Maszyny Ferroux działają prędko i łatwo, lecz wymagają wiele miejsca i powietrza.

Turrettini. P. Turrettini, dyrektor fabryki maszyn towarzystwa „Société genevoise de construction," wybudował zasługującą na

uwagę maszynę świdrową, która również używaną jest w tunelu ś. Gotarda, jakkolwiek w niewielkiéj liczbie. Tłok téj maszyny składa się z dwu części, które na chwilę przed uderzeniem świdra rozchodzą się, przez co uderzenie staje się elastyczniejszém. Uderzenie samo nadaje kierunek powietrzu i sprawia powrót świdra, przez co uniknioném jest przedwczesne cofanie się świdra, w skutek którego w wielu maszynach uderzenie jego bywa niezupełném. Sposób obrotu tłoku i świdra, a także ruch przyrządu kierowniczego γ, są nader skuteczne i wymagają nieznacznych kosztów.

Nakoniec ruch postępowy i cofanie się walca odbywają się nieznanym poprzednio sposobem zapomocą oddziaływania zgęszczonego powietrza, tak iż przez zakręcenie kruczka otrzymuje się ruch w tę lub przeciwną stronę.

Użycie maszyn świdrowych. Na powierzchni poprzedniego przecięcia galeryi kierunkowéj, wynoszącéj około $6^1/_2$ metrów kwadratowych, liczba dziur świdrowych wynosiła od 16 do 26, stosownie do natury i twardości opoki. Średnia głębokość ich wynosi 1,10 m.

Po wywierceniu maszyna cofa się na 60 do 80 metrów, a w dziury kładą się ładunki z dynamitem.

Po wybuchu, odłamy, jakeśmy już wspomnieli, kładą się w kosze, te zaś umieszczają się w małe wagony.

22. *Lokomotywy poruszane przez zgęszczone powietrze.* Z obu stron tunelu materyały przewożone są do podnóża równi pochyłéj zapomocą lokomotyw, poruszanych zgęszczczoném powietrzem. Maszyny te posiadają obszerne rezerwoary, gdzie powietrze nagromadzoném jest pod wielkiém ciśnieniem.

Maszyna zakładu Creusot niéma tenderu. Rezerwoar jéj, mający 7 metrów sześciennych wewnętrznéj objętości i mogący wytrzymać ciśnienie 14 atmosfer, połączony jest z dwoma walcami, w których średnie ciśnienie wynosi 5 atmosfer. Powietrze rozprowadzaném jest zapomocą automatycznego przyrządu, wynalezionego przez p. Ribourt, inżyniera szkoły centralnéj.

Obecnie używane lokomotywy zbudowane są w ten sposób, iż może być do nich zastosowanym system p. Mękarskiego. System ten był w rzeczy saméj probowanym i dał dobre rezultaty; lecz użycie jego nie przedstawia korzyści, z powodu wysokiéj ceny węgla w Goeschenen.

Przebicie tunelu.

23. Tunel ś. Gotarda przebitym został 29 lutego 1880 r., w niedzielę.

Wielki ten tryumf przedsiębiorczego ducha człowieka odniesionym został o godzinie 11 minut 12 rano: rozległo się ostatnie ośm strzałów, które mur, dzielący obie galerye kierunkowe, rozsadziły.

Zresztą już w wigilią, t. j. w sobotę 28 lutego, o trzy kwadranse na siódmą, ze strony Airolo zapuszczony świder przebił ścianę na wylot.

Według poprzednio uczynionych obrachowań, pozostająca do przebicia ściana miała być grubą na 9,3 metrów: otwór zaś przebity przez świder miał tylko 1,6 metr. długości. Technicy więc omylili się o siedm metrów siedm dziesiątych, różnica zaiste nader mała, wynosi ona bowiem jedynie 0,0005164 część całéj długości tunelu. Niewiadomo zresztą, czy omyłka ta przypisaną ma być rozszerzeniu miar, w skutek wyższéj temperatury w tunelu, czy téż niedokładnemu trójkątowaniu.

Już na kilka tygodni przed przebiciem, t. j. w początku stycznia, słychać było we wnętrzu tunelu huk wybuchów na przeciwnéj stronie. Na kilka dni przed przebiciem dawał się słyszéć szum działających po drugiéj stronie maszyn. W sobotę wieczór, kiedy jeszcze technicy w Goeschenen spór między sobą wiedli o to, czy przebicie nastąpi w niedzielę wieczór, czy téż w nocy, nadeszła niespodziewana wiadomość o przebiciu skały świdrem na wylot.

Wiadomość ta wywołała wielki ruch i zapał w spokojnéj zwykle ludności téj górzystéj okolicy: muzyka zabrzmiała na ulicach, zaczęto iluminować miasteczko; słyszéć się dały małe moździerze, postawione u wejścia do tunelu.

Na wszystkie strony rozsyłano telegramy. Pozostającą jeszcze ścianę postanowiono przebić nazajutrz rano, t. j. w niedzielę 29 lutego.

W dzień ten, jeszcze przed świtem, nowe wystrzały ze wzmiankowanych już armat i świst lokomotyw przy wejściu do tunelu, obudziły liczne grono osób, mających być świadkami wielkiego faktu.

Dyrektorowie, inspektorzy, inżynierzy, geologowie i inni uczeni, korrespondenci dzienników, nakoniec ciekawi różnego rodzaju, zjawiają się o 6-éj rano przed wrotami podziemia.

Podczas kiedy maszyna ulega niezbędnym przygotowaniom, podróżni zajmują się toaletą, jakiéj podobna wizyta wymaga. Każdy nadziewa flanelową koszulę i olbrzymie buty: ostrożność konieczna z powodu błota i dusznego gorąca, jakie w podziemiu panuje.

Tymczasem dnieć zaczyna. Poruszana zgęszczoném powietrzem lokomotywa, zjawia się nakoniec, ozdobiona w szwajcarskie narodowe barwy. Podróżni wsiadają do wagonów: moździerze znów grzmią i pociąg rusza. Przy wejściu do tunelu widać znaczną liczbę biédnych robotników z wychudzoną, zielono-szaréj cery twarzą: smutną bowiem i ciężką jest praca w tunelu! W ogóle każdy robotnik ma lampę; gościom dano również pewną liczbę lamp.

O kilka minut po siódméj pociąg znika w ciemnéj paszczy podziemnego potworu. Ożywiona, wesoła rozmowa zawiązuje się między podróżnymi, oczywiście po większéj części szwajcarami.

Lokomotywa jęczy i syczy i sapie, ciężko ciągnąc pociąg, albowiem rzeka Reuss niewiele dostarczyła wody turbinom, a następnie

kompresory niezbyt silnie tłoczyły powietrze i lokomotywa posiada słabe ciśnienie.

Gorąco w tunelu staje się coraz większém: dosięga ono 36° Celsyusza.

Podróżni dojeżdżają do końca téj części tunelu, która do samego dna jest wydrążoną. Daléj lokomotywa iść nie może: wszyscy przesiadają w nizkie wagony, które konie wciągają w górę, w wązką galeryę kierunkową. Przy koniach idą ludzie z latarniami.

W galeryi postępowéj wilgoć, gorąco, ciężkie powietrze. Naokoło skała ciemna, poszarpana, poprzerywana pasami białego kwarcu.

Konie drżą i boleśnie dyszą. W ciągu budowy tunelu, wiele ich padło ofiarą gorąca.

Nareszcie o 10-téj godzinie, podróżni przybywają na sam koniec galeryi postępowéj, przed pozostającą do obalenia skalistą ścianę. Wszyscy cisną się ku wielkiéj maszynie świdrowéj, mającéj spełnić ważne to zadanie. Każdy chce przedtém jeszcze spojrzéć ku Airolo przez przebity w wigilią otwór.

Wkrótce jednak maszyna rozpoczyna swą trzeszczącą, ogłuszającą pracę. Wstrząsana własnémi wysileniami, maszyna drży i jęczy. W téj chwili, przez wspomniany już otwór podają list z Włoch. Ogólna wybucha wesołość. Gwar, krzyk, rozmowa w rozmaitych językach.

Nakoniec dziury wybuchowe są już gotowe. Robotnicy wsuwają w nie ładunki dynamitowe. Wszyscy cofają się o 300 metrów i zatrzymują się w miejscu, gdzie się znajduje kruczek przy rurze prowadzącéj powietrze.

Nagle pojawia się kilkakrotny błysk, który natychmiast znika w tumanie kurzu. W téj saméj chwili rozlega się gwałtowny huk i trzask: ściana obalona. Wszyscy rzucają się naprzód. Z obu stron słychać radosne okrzyki. Przez otwór, mający około 1° metra średnicy, wskakują najprzód pracownicy z Airolo. Serdeczne wymieniają się uściski. Roznoszą zimne jak lód piwo i wino. Inspektor tunelu przemawia w kilku wzruszających wyrazach.

Następnie technicy niezwłocznie przystępują do sprawdzenia dokładności wymierzenia osi i poziomu tunelu. Wszystko się schodzi.

Dotąd gorąco jest trudne do wytrzymania. Wszakże już przez w wigilię przebity otwór świdrowy powstał lekki ciąg powietrza, którego istnienie płomień lampy objawiał. Kierunek tego strumienia powietrza był z Goeschenen do Airolo. Po przebiciu wielkiego otworu, przeciąg o tyle się wzmocnił, iż lampy gasi.

Mimo to gorąco tak wielkie, iż goście, zaspokoiwszy swą ciekawość, pośpiesznie tunel opuszczają.

Goeschenen całe rzęsistą pali illuminacyą; moździerze grzmią przeraźliwie i muzyka wesoło brzmi.

W Airolo podobnież wielki zapał i obchód uroczysty.

Na pamiątkę rzadkiéj téj uroczystości, rozdano robotnikom 1300 medali.

---

24. *Konkluzya.* Z przebiciem tunelu znikła wszelka obawa o pomyślne ukończenie wielkiego tego przedsiębiorstwa, jakkolwiek pozostające prace są niewątpliwie ważne i trudne.

W rezultacie powiedzieć należy, iż mimo silnéj krytyki, jakiéj uległy roboty tunelu ś. Gotarda, uważane mianowicie za stanowiska teoretycznego, roboty te były prowadzone pomyślnie. Favre dał dowód rzadkiéj praktycznéj biegłości i energii. Tunel został prędko przebitym, mimo wielkiéj twardości gruntu i nadzwyczajnych w robocie przeszkód, zrządzanych miejscami obfitym napływem wody.

Po tak zwycięzkiém przełamaniu trudności i pomyślném ukończeniu zadania, dodaćby tylko można uwagę, że zastosowanie systemu galeryi postępowéj dolnéj okazałoby w wielu razach więcéj dogodności.

Kwiecień, 1880 r.

KSIĄŻKA JUBILEUSZOWA

dla uczczenia pięćdziesięcioletniéj działalności literackiéj

J. I. KRASZEWSKIEGO.

(Warszawa.—Drukiem Józefa Ungra.—r. 1880) *).

Rozprawa pani Marrené celuje przedewszystkiém wyborną charakterystyką postaci, stworzonych przez Kraszewskiego, jako to: rodziny Szarskich, Bazylewicza, poetycznéj izraelitki Sary, Karlińskich i Drabickiego, rodziny Jamuntów i pani Bulskiéj. Oczywiście nie pójdziemy w ślad za nią: ograniczmy się na zanotowaniu kilku jéj uwag, ażeby dać czytelnikowi pojęcie o zasadniczéj myśli, oraz o barwie artykułu pani Marrené.

Oceniając *Powieść bez tytułu*, autorka mówi: „walka o byt nie nosiła jeszcze wówczas téj dobitnéj nazwy, dzisiaj tak rozpowszechnionéj; ale niemniéj istniała od niepamiętnych czasów i od niepamiętnych czasów zabiegliwy, śmiały a częściéj jeszcze bezczelny, otrzymywał pierwszeństwo przed skromnym i zacnym. W *Powieści bez tytułu* walka rozgrywa się głównie pomiędzy Szarskim, najgorzéj do niéj uzbrojonym, a drugim studentem uniwersytetu, Bazylewiczem. Wśród typów z literackiego i akademickiego świata, zapełniających czterotomową powieść, Bazylewicz pierwsze zajmuje miejsce. Posiada on właśnie te wszystkie wady, których brakło Szarskiemu, a które zazwyczaj są najlepszą rękojmią powodzenia. Bazylewicz, samolub, samochwał, nigdy nie oglądający się na drugich, nie przebierający w środkach, strojący się w cudze pióra, wszystko zagarniający dla siebie, bezczelny bez skrupułów żadnych, musiał w każdém spotkaniu odnieść nad nim zwycięztwo."

Następnie, z powodu Szarskiego, autorka zadaje sobie pytanie: „czy te wszystkie piękne wyrazy, które ludzie ówcześni mieli na ustach, nie były wyrazami tylko? czémś nakształt fałszywego szyldu, pokrywającego te wszystkie rzeczywiste czynniki, panujące w łonie ogółu, za których sprawą, wszystko co góruje, cierpiéć musi, z powodu braku

*) Dalszy ciąg—patrz zeszyt za kwiecień r. b.

współczucia i zrozumienia; a jeśli siła wytrwania i hart jednostki nie staną na równi jéj wyższości, nie sprostają ogólnéj sile, jednostka ta upaść musi, zgnieciona obojętnością tłumu, wśród którego nie znajdzie się dla niéj miejsca. Siły téj Szarski nie posiadał. Czy koniecznie przez winę swéj poetycznéj organizacyi? Gdyby Kraszewski dał nam jednę tylko podobną postać w *Powieści bez tytułu*, mogłaby pod tym względem istnieć wątpliwość; ale nie zostawiają nam jéj inne utwory. A jednak organizacye poetyczne bywają rozmaite. Czyż siła twórcza, którą tak dobitnie w kilku słowach określił autor w *Powieści bez tytułu*, czyż siła ta, powiadam, koniecznie iść musi w parze, z życiową bezsilnością i rozwijać się koniecznie jéj kosztem? Poezya bywa czasem także energią i wolą, chociaż nie zawsze skierowaną wedle pojęć powszedniego poziomu."

Niemniejszym pesymizmem odznacza się *Trapezologion*, moralno-satyryczna bajka, osnuta na tle znanéj choroby umysłowéj: stolikomanii. Wiele w niéj gorzkich prawd autor wypowiedział pseudo-arystokracyi ówczesnéj.

Tenże kierunek widzimy w powieści *Dwa światy*, jednéj z najartystyczniejszych, które wyszły z pod pióra Kraszewskiego. Dwa światy jego, to świat wyższy i świat skromniejszy, czyli świat używania i świat pracy. Reprezentant pierwszego, Julian Karliński, nie łudzi się bynajmniéj ani co do własnego położenia, ani co do położenia całéj warstwy społecznéj, do któréj należy.

Autorka sprawozdania dosyć obszernie streszcza cały przebieg powieści i analizuje główne jéj charaktery.

Najwydatniéj atoli występuje pesymizm Kraszewskiego w powieści p. t.: *Choroby wieku*. „Kraszewski—mówi autorka—ochrzcił tém mianem ruch przemysłowy, podniesienie gospodarstw rolnych, zakładanie fabryk, praktyczność wreszcie i obrachowanie, rzeczy, niestety, obce naszéj naturze, ale których brak staje się powodem upadku tak narodów, jak i jednostek." W wyrazach tych mieści się zarzut „rozstroju autora z koniecznemi prądami czasu." Czy słuszny? Na pytanie to odpowiedział ubocznie sam Kraszewski w liście do *Gazety Warszawskiéj*, datowanym z Kijowa 1859 r.

Za naczelny utwór tego okresu, z ujmą *Powieści bez tytułu*, pani Marrené uważa *Bożą czeladkę*.

Sam Kraszewski we wstępie zaraz wypowiada myśl wcale różną od tych, na których tle snuł poprzednie powieści: zwrócić ludzkość na tory przebieżone, niemożliwa... My téż nie rozpaczamy wcale o przyszłości i w niéj się znajdują piękne i szlachetne strony... Ani poezya nie umrze, ani ideały nie znikną, ani cześć tego, co wielkie, piękne, szlachetne, nie zginie. Ze spokojem patrzym na zachodzące słońce dnia naszego, ufni w jaśniejszy poranek.

Pani Marrené poświęca téj pięknéj powieści rozbiór dosyć wyczerpujący.

Fragment p. t.: *Abrakadabra*, zdaniem autorki, Kraszewski napisał w chwili zniechęcenia i spleenu. Jestto historya człowieka, który niezłomną siłą woli dźwignął się z ostatniego szczebla wysoko na drabinie społecznéj, a pokosztowawszy po kolei wszystkich nauk, skończył na wyrafinowanym epikureizmie... Widzimy tu ogromną siłę wydaną za bardzo mały rezultat. Zadaleko jednak posuwa się pani Marrené we własnym już pesymizmie.

Nad fantazyą p. n.: *Mogiły* nie zatrzymuje się autorka; rzecz ta bowiem formą tylko należy do powieści, myślą zaś wiąże się z cyklem poetyckim i samym przedmiotem swoim wymyka się analizie ścisłéj.

Nareszcie przecudną alegoryą: *Podróż do miasteczka*, pani Marrené nadspodziewanie, traktuje dosyć łaskawie.

Nie na wszystko można się zgodzić, co wyczytujemy w artykule pani Marrené, w ogóle jednak nie czyni on ujmy *Książce jubileuszowéj*.

Czwarte dziesięciolecie powieściopisarskiéj działalności Kraszewskiego podjął się opracować p. Stanisław Grudziński. Znajdujemy tu obszerniejsze wzmianki o powieściach: *Resztki życia*, *Jaselka*, *Metamorfozy* i *Orbeka*, mniéj obszerne o *Kopciuszku*, *Złotym Jasieńku* i *Kamienicy w długim rynku*.

Nie wiele mamy do powiedzenia o artykule p. Grudzińskiego. Zaciasne obrał on sobie stanowisko, iżbyśmy się obok niego pomieścić mogli. W całym tym cyklu powieści widzi on przedewszystkiém „sprawy wychowania" jużto ze względu na wybór nauczycieli, już na system pedagogiczny. *Metamorfoz* nie waha się wręcz nazwać „traktatem o wychowaniu w formie powieściowéj." Zdaniem jego, wszystkie wymienione utwory zawierają odbicie wrażeń z pobytu Kraszewskiego w miastach, oraz wycieczek za granicę, z wyjątkiem *Metamorfoz* i *Jaselek*, osnutych na tle wspomnień uniwersyteckich i wołyńskich. Pod względem zewnętrznym odróżnia je wszystkie od innych utworów Kraszewskiego zbytnia epizodyczność. Pod względem estetyczno-moralnym, najniekorzystniéj wydają mu się *Orbeka* i *Kopciuszek*, w których widzi reminiscencye romansów francuzkich. Mira, generałowa Palmer, a nawet prześliczna Aneta (w *Jaselkach*), budzą w nim wstręt. Z tego powodu robi powieściom nie całkiem bezzasadny zarzut, „iż zaczęsto spotykamy w nich postacie, podobnie jak Mira ujemne, w skutek czego, bądź co bądź wyjątkowe, rosną one poniekąd do znaczenia ogółu. Cudzoziemiec, czytając *Orbekę*, *Jaselka*, *Kopciuszka*, trzy powieści napisane w ciągu jednego dziesięciolecia, mógłby przyjść do przekonania, że istoty jak Mira, generałowa Palmer i Aneta, należą u nas do typów zwyczajnych, a tak przecie, dzięki Bogu, nie jest."

Zadziwiło nas trochę to, że autor, dopatrując w tym stosie brylantów przedewszystkiem pedagogicznego prosa i za tę mianowicie pożywną stronę wynosząc pisarza pod obłoki, powiada w końcu: „artysta powinien osiągnąć cel dwojaki: naprzód własnéj korzyści ducha, a potém skutecznego oddziaływania na tłumy, z któremi się ma skarbem

duszy swéj dzielić. Otóż Kraszewski pamięta ustawicznie o tym pierwszym obowiązku artysty, zapominając często, lub może nie zawsze wierząc w skuteczność oddziaływania na zewnątrz, w doniosłość utylitarnéj strony artyzmu."

Na piąte dziesięciolecie złożyli się dwaj pisarze: p. Dyonizy Henkiel i p. Edward Lubowski. Pierwszy z nich wybrał sobie do ocenienia sześć powieści, a mianowicie: *Dzieci wieku, Niebieskie migdały, Mogilna, Morituri, Resurecturi, Roboty i prace.*

W udatném i bardzo zręcznie napisaném studyum swojém pan Henkiel zamierzył pokazać nam, jak dalece rozszerzyły się w ostatnich czasach widnokręgi twórczości Kraszewskiego, a oparł się na własnych słowach znakomitego pisarza, który w przedmowie do najnowszego wydania powieści: *Poeta i świat* wyznaje, że „nietylko zmienił się *poeta*, *świat* także się zmienił... Dlatego często i poeta wyda się anachronizmem i świat jakimś nie dzisiejszym... W półwieku ostatnim przeżyła społeczność wieki."

Punkt wyjścia p. Henkla niezaprzeczenie dobry, ale drogi jego rozumowania i wnioski ostateczne nie wydają nam się takiemi. Niech sam czytelnik osądzi.

„Nie jest—mówi p. Henkiel—zasługą martwota, więc niedość jest czuć i myśléć szlachetnie; trzeba jeszcze wnieść cząstkę swéj pracy do życia, zastosować ją do położenia obecnego, choćby potém przyszło „niejedno miłe zburzyć i inaczéj odbudować..." Niejedno téż miłe Kraszewski zburzył, żeby odbudować inaczéj, a lepiéj. W żywéj solidarności z interesami bieżącemi, z ruchem i całym bytem społecznym, leży przyczyna, że pisząc dużo, nie przestał on dotychczas być oryginalnym, zajmującym i najpoczytniejszym z naszych powieściopisarzy. Zbiór jego powieści przedstawia nie tylko wizerunek ludzi i rzeczy w ciągu lat około pięćdziesięciu, lecz pozwala jeszcze badać, jak stopniowo przeradzały się w tymże czasie typy, kształciły się wyobrażenia i brały górę nowe dążności, gdyż prądy nurtujące w społeczeństwie wywierały wpływ i na autora w potrójnym charakterze: myśliciela, powieściopisarza i publicysty. Kraszewski zajmował się temi prądami, był w bezpośrednim z nimi stosunku; walczył przeciw nim dzielném swém piórem, gdy sądził, że są szkodliwe, niekiedy znowuż im ulegał po dłuższym oporze, jeśli uznał, że dla pożytku ogólnego zrobić ustępstwo należało.

Pan Henkiel, raz tylko nazwawszy bohatéra *Powieści bez tytułu*, jako także należącego do rodziny „poetów wojujących," nie wymienia go więcéj. Umiemy uszanować tę drażliwość sumienia, która nie pozwoliła p. Henklowi sponiewierać jednéj z najpiękniejszych postaci Kraszewskiego (dorównywa jéj tylko Jan w *Sfinksie*). Ale nawet, gdy chodzi o Gustawa, na jakiéj zasadzie upatruje w nim pokrewieństwo z nikczemnym Walkiem? Powołuje się on na słowa samego autora w epilogu do dziejów Gustawa: „nie wszyscy poeci piszą, niektórzy czy-

tać nawet nieumieją; ich charakter, natchnienie, zapał, czynią ich poetami." A p. Henkiel dodaje od siebie: „z tego stanowiska rzecz biorąc, Walenty aż nadto posiadał praw do tytułu poety. Umiał nietylko czytać i pisać, lecz nawet próbował... dorabiać końcówki." Ależ to na żart zakrawa.

Kraszewski widzi w poecie istotę ekscentryczną, która na chwilę tylko z kontemplacyjnego życia swego powraca na ziemię. Ależ i Walek był pół waryata—robi uwagę p. Henkiel—otóż i nowa kwalifikacya...

Kraszewski mówi o poecie: „nie myśl go użyć do pospolitych życia potrzeb, do tych funkcyi zimnych; bezmyślnych, obcych mu zupełnie, które on uważa, pojmuje, lecz się do nich zniżyć nie potrafi." I Walek deklamuje: „ja nie jestem bydlęciem, jak drudzy!"

Nie wiemy, czy wielu jest poetów pomiędzy poczciwymi rzemieślnikami i praktycznymi kupcami, ale że wielu, wbrew woli rodziców i opiekunów, nie zważając na nieprzezwyciężone niemal przeszkody, rzucało nietylko rzemiosła i kantory kupieckie, ale adwokaturę, medycynę i inne szlachetne zawody, aby się poświęcić poezyi i sztuce, i że wielu na tém polu rozgłos chlubny zdobyło.

Usiłując zwyciężyć autora *Poety i świata* własną jego bronią, p. Henkiel powiada, że Kraszewski w *Dzieciach wieku* powrócił do zatargów poety ze światem, aby tym razem zgromić z należytą surowością „jednego z wydziedziczonych od losu (słowa Kraszewskiego), którzy zamiast z nim walczyć, wolą stękać nań, narzekać, nic nie robić i *świat za własne niedołęztwo przeklinać.*

„Świat za własne niedołęztwo przeklinać!—woła z tryumfem krytyk. Ledwie śmiemy wierzyć, iż te wyrazy znaleźliśmy w czémś, co wyszło z pod pióra autora powieści *Poeta i świat.* A my się wcale temu nie dziwimy: widzimy w tém tylko dowód, że Kraszewski chciał w Walku przedstawić nie poetę, ale udającego poetę, bezczelnego i zarozumiałego próżniaka.

Ale p. Henkiel nie poprzestaje na tém. Zmusza on jeszcze autora *Poety i świata*, iż własną ręką napisał wyrok na siebie. Jak wiadomo, sromotne wygnanie z domu opiekuna, zamyka w *Dzieciach wieku* wojnę poety ze światem. „Ostatniego ze spadkobierców Gustawa—powiada p. Henkiel—nie prześladowano za to, że chciał „wzlatywać nad poziomy" i „gryźć sercem," nie mając ani skrzydeł serca; lecz pozbyto się go, jak natręta i głupca, zamknąwszy mu bez ceremonii drzwi przed nosem."

Zasadnicza różnica pomiędzy Gustawem a Walkiem polega na tém, że pierwszy był szlachetnym i szczerym, drugi zaś, bezwstydnym szalbierzem; Gustaw miał rzeczywiście w sercu skarby poezyi, Walek: tylko zgniliznę, a w ręku tylko liczmany, któremi chciał frymarczyć jak złotem. Potrzebujemyż mówić o przepaści przedzielającéj tę nędzną istotę od drugiego bojownika poezyi, Stanisława Szarskiego, téj świętéj, pracowitéj, bezbronnéj i cichéj ofiary świata? Gdybyśmy w *Powieści*

bez tytułu zechcieli poszukać duchowego rodzica Walka, wskazalibyśmy go w Bazylewiczu. Postawmy Suzińskiego w innych warunkach, a wyszedłby z niego nie sumienny ale „praktyczny" literat, prawdziwe „dziecię wieku" w najgorszém znaczeniu tego wyrazu.

Wynurzywszy to, co nam leżało na sercu w sprawie pomiędzy poetą a światem, sprawie rozwiązanéj przez Kraszewskiego wcale inaczéj, niż wytłómaczył to sobie p. Henkiel, chętnie piszemy się na następujące słowa autora studyum:

„Wyrok skazujący Walka, poprzedzony był innym, wydanym przez myślący ogół, który nagradzając szacunkiem za mądrość, za cnotę i za pracę, żąda od wszystkich obywateli służby *stosownéj do uzdolnienia*. Przed sądem téj powagi, sprawa *lamentujących bezczynnie poetów* była już oddawna zdecydowaną, Kraszewski zaś teraz akt nagany publicznéj do kronik swoich wiecznie zapisał."

Nie wiemy, na jakiéj zasadzie p. Henkiel do gromady poetów, „nie zdolnych wzbić się w błękity i nieumiejących chodzić po ziemi," zaliczył hrabiego Zdzisława Samborskiego w *Niebieskich migdałach*. Jestto poprostu niedołężny, zepsuty źle pokierowaném wychowaniem pieszczoch, którym wszyscy igrają jak piłką. Że marzący był trochę zamłodu, nie odróżnia go to wcale od ludzi pospolitych. Zresztą w powieści téj wszyscy mniéj więcéj marzą o niebieskich migdałach—i zacni i nikczemni, i rozumni i głupcy, i ludzie energiczni i lalki takie jak Zdziś. Jestto powieść przeważnie psychologiczna, a ze względu na niektóre charaktery, nastręczająca prawdziwe łamigłówki do rozwiązania.

Domyślamy się jednak w części zamiaru p. Henkla w zestawieniu *Niebieskich migdałów* z *Poetą i światem*, oraz z *Dziećmi wieku*.

I znowu p. Henkiel tryumfuje. Niepraktyczność zaliczoną została do chorób, a zatém praktyczność musi być objawem zdrowia. Myśl ta najzupełniéj przeciwna (zdaniem p. Henkla) zasadzie wyniesionéj na ołtarz w *Chorobach wieku*, przewodniczy autorowi w powieściach: *Mogilna*, *Morituri*, *Resurrecturi*, *Roboty* i *prace*, z których pierwsze dwie są najsurowszą krytyką niepraktyczności, trzecia wskazuje pracę, jako jedyny środek zmartwychwstania, a ostatnia daje zarys tego, co się już na wskazanéj drodze zrobiło.

My tu żadnéj sprzeczności nie widzimy. Na dowód, że *Choroby wieku* źle były zrozumiane przez większość czytelników, wyżéj już przytoczyliśmy obronę samego autora, zawartą w liście pisanym jeszcze w r. 1859. Powtarzać tu ją nie widzimy potrzeby. Hasłem jéj: „ducha nie gaście!" Za niewłaściwą przeto uważamy podjętą przez p. Henkla uroczystą rehabilitacyą Dombora, człowieka, który, według autora, „ukochawszy rzeczywistość, w ducha nie wierzył, a więc i karmić go miał za rzecz próżną."

Machin rachunkowych nie chciał, a pewni jesteśmy, że i dziś nie chce widzieć Kraszewski w społeczeństwie rodzinném. Inny zupełnie temat, bynajmniéj poprzedniemu niezaprzeczający, ale dopełniający go, postawił on w założeniu powieści, o których mówi p. Henkiel.

W *Mogilnie*, prezes, lekceważąc stanowisko swoje na kresach, niszczy się marnie i oddaje mienie ojczyste w ręce czyhającego na nie szwaba. Ginie przez niedbalstwo i nieład. Czyż Kraszewski zalecał albo idealizował je kiedy? Pierwszym dlań obowiązkiem zawsze była praca.

W powieści *Morituri*, podobnież, ruinę materyalną poprzedza moralna. P. Henkiel parafrazuje tylko słowa autora.

Sprzeczności w ideach nigdzie u Kraszewskiego nie znajdziemy. Też same myśli jaśnieją na każdéj niemal karcie powieści, o któréj mowa. Gdzież tu sprzeczność, chociażby pozorna tylko z dawniejszemi płodami tego samego pióra. Prosimy tylko odczytać ustępy, które uwydatniliśmy, mówiąc o artykule p. Gawalewicza, ustępy wyjęte z *Dziwadeł*, z *Tomka Prawdzica*, z *Siekierzyńskiego*, ze *Złotego Jabłka*, z *Komedyantów*, a okaże się, że przed laty już trzydziestu Kraszewski prawie słowo w słowo mówił to samo, co p. Henkiel wynalazł dopiéro w ostatnim cyklu jego powieści.

Szczęściem, autor studyum sam osłabia doniosłość poglądów swoich na ewolucyą moralno-społecznych przekonań Kraszewskiego; ostatecznie możemy się pisać na ten kompromis p. Henkla... samego z sobą.

Piękna ocena powieści *Morituri*, pod względem estetycznym, prawdziwy zaszczyt przynosi p. Henklowi. Tém mocniéj zdziwieni byliśmy, że oceniając drugą powieść *Resurrecturi*, krytyk nie dostrzegł w niéj innego romansu, oprócz epizodu miłośnego Julka i Jadzi. A miłość Cecylii, wielka, tajemnicza, głęboka, jak śmierć?!.. P. Henkiel nie dotknął jéj nawet skalpelem swoim... i dobrze...

W powieści: *Roboty* i *prace* rehabilitacya praktyczności sięga, według p. Henkla do najwyższego szczebla... Cień Dembora weseli się na tamtym świecie... Myśl zasadnicza tego utworu da się streścić w następujących kilku aforyzmach:

Powinniśmy być pionierami, których powołaniem jest zamienić pustynią w warsztat pracy ludzkiéj, zdobyć ludzkości prowincyą nową, stworzyć świat nowy.

Ktokolwiek zna przeszłość i teraźniejszość naszę, przyznać musi, że nic niéma pilniejszego nad ekonomiczną reformę.

Trzeba rozwijać przemysł, ulepszać gospodarstwo rolne, z handlu surowemi materyałami przejść do wyprowadzania płodów tak przerobionych, aby ich wartość, pracy dała szacunek i zwiększyła się pracą... Tysiąc rzeczy jest do zrobienia, tysiące dróg jest otwartych. Podniesienie przemysłu i gospodarstwa wiąże się nierozdzielnie z podniesieniem oświaty ludu i rękodzielników; przemysł wymaga inteligencyi, gospodarstwo nauki i wykształcenia; dlatego u nas szkoła jest najprodukcyjniejszym, najlepiéj procentującym się kapitałem.

U nas połowa surowych materyałów niezmiernéj ceny, ogromne zasoby leżą niezużytkowane, ekonomiczny rozwój szeroki jest niemożebnym... ludzi brak tylko, *ludzi pracy i dnia białego*, mamy jedynie *robotników ciemności.*

Wierny do końca chwiejnemu stanowisku swemu, p. Henkiel jeszcze raz nadmieniwszy o ścieżkach, po których niegdyś błąkali się poeci i marzyciele w powieściach Jubilata, dodaje: „A jednak tu i tam przyświeca taż sama gwiazda przewodnia: miłość kraju, prawdy, ideału, promieniejąca czystym blaskiem we wszystkich dziełach Kraszewskiego. To też, podziwiając talent i nadzwyczajną twórczość, które w szacunku publiczności wzniosły go tak wysoko, czujemy, że sercem, myślą i życiem pisarz nie oddalił się od ogółu ani na chwilę, przez całe pół wieku chlubnego swego zawodu."

P. Lubowski wybrał sobie do ocenienia powieści: *U babuni*, *Klin klinem*, *Pan na czterech chłopach*, *Z dziennika starego dziada*, *Serce i ręka*, *Ada*. Streszcza on je tylko i chwali, nie wdając się w rozbiór głębszy. Za arcydzieło w ich rzędzie uważa powiastkę: *Z dziennika starego dziada*, tchnącą najszlachetniejszym, idealnym prawie, a przecie ludzkim optymizmem. Wysoko też stawia *Adę*, ze względu na głęboką analizę psychiczną, którą odznacza się ten utwór między innemi. Kończy wycieczką przeciw szkole naturalistycznéj Zoli i ofiarowaniem Kraszewskiemu buławy hetmańskiéj w powieściopisarstwie.

Ponieważ artykuł p. Lubowskiego doniosłością swoją nie przekracza granic zwyczajnéj recenzyi dziennikarskiéj, rozpisywać się o nim nie widzimy potrzeby.

Rozbiór autorskiéj działalności jubilata na polu powieści ludowéj przypadł na dział p. Kaszewskiego. Przedewszystkiém założył on sobie za cel wskazanie istotnego ducha utworów cyklu ludowego, oraz ich głównych żywiołów, nie pominął przecież i estetycznéj onych oceny.

Określiwszy na wstępie znaczenie i stanowisko „ludu," jako grupy środkującéj, pomiędzy cywilizacyą a dzikością, jako świata, w którym jeszcze żyje aktualnie to, co dla innych już jest przeszłością, autor podnosi zasługę Kraszewskiego, zależącą na pochwyceniu chwili spółczesnego jemu porządku, który dziś już zaczyna przechodzić do dziedziny historyi. Kraszewski, zajmując się obrazowaniem życia ludowego pomiędzy mniéjwięcéj 1840 a 1860 r. od *Latarni czarnoksięzkiéj* do *Historyi kołka w płocie*, doprowadził tym sposobem dzieje owe prawie do samego przełomu. Przytém autor ostrzega, ażeby wrażenia, otrzymanego z przeczytania wszystkich powieści ludowych Kraszewskiego, nie rozciągać do całości absolutnéj tego, co się nazywa ogólném mianem polskiego ludu; to bowiem, co czytamy w rzeczonych powieściach o stanie ówczesnym ludu, „stosuje się głównie do jednego tylko odłamu kraju. Zakątek, któremu malowidło swe poświęcił autor, ma wprawdzie pewne rysy wspólne z całością, zwłaszcza podchodzącą pod jeden i tenże sam porządek polityczny, ale zachowuje i pewne różnice względnie do całości, tak co do wyników tegoż porządku, jako i co do odcie-

ni etnograficznych, barwiących jedność, a przecież samoistnie wydatnych." Zresztą i sam Kraszewski zeznaje to poniekąd w jednym z listów prywatnych, zasługującym na przytoczenie.

Rzeczywiście, pisze on, myśl do obrazów ludowych podał mi pobyt na wsi i zbliżenia się do ludu w Omelném, w Grodku, w Hubinie i Kisielach, od r. 1837 do 1858. Gospodarowałem jakem umiał i studyowałem razem. Pamiętam, żem wielkiego przyjaciela zyskał w Gródku w chłopaku, którego kazałem ukarać przy sobie za to, że się porwał na swego starego ojca. Tak uczuł sprawiedliwość téj kary, że mnie za to pokochał, i gdy sprzedałem Gródek, przychodził do mnie z pozdrowieniem do Hubina. Epizod *Sawki* w *Latarni* był pono pierwszą, jeśli się nie mylę, próbą. Uderzyło mnie to, że wpół święty, zacny prałat, ks. Ożarowski, był nim do łez przejęty. Wiele faktów wprost z życia pobrałem. Do *Chaty za wsią* służył mi cygan, kowal, na miejscu u mnie. Przez lat dwadzieścia nosiłem się ciągle, mając do czynienia z ludem, słuchając, patrząc, wywołując opowiadania. Otóż właściwa geneza tych powieści... Wiem, że z natury jest wiele, ale nie niewolniczo. Sztuka wymaga wyboru razem i prawdy. Fotografia jéj nigdy nie zastąpi ani realizm bezmyślny... W całéj mojéj krzątaninie, obok kwestyi sztuki, która była mi może najpierwszą, stała zawsze, niestety! kwestya celu i potrzeb czasu... Dlatego wiele z tych rzeczy zestarzeje, ale, jakkolwiek liche, są to historyczne kartki."

P. Kaszewski gorąco protestuje przeciw ostatnim, zbyt skromnym wyrazom autora. Mówi on, że kartki te są bez zaprzeczenia historyczne, ale bynajmniéj nie liche.

Ocenę samych utworów poprzedza rzut oka na położenie socyalne ludu téj właśnie krainy, która stanowi scenaryusz Kraszewskiego. Smutny ten obraz pomijamy. Następnie autor przechodzi do *Sawki*, epizodu luźnego, wstawionego prawie bez związku w obrazy szlacheckie *Latarni czarnoksięzkiéj*. *Sawka*, zdaniem p. Kraszewskiego, „był manifestem młodzieńczym, protestacyą przeciwko postępowaniu dworów, utworem, w którym werwa uczucia nie miarkowała się jeszcze dostatecznie karbami artystycznemi. Nie szukaj tam téj pełni charakterów i harmonii estetycznéj, która późniejsze utwory ludowe Kraszewskiego stawia w rzędzie niespłowiałych obrazów rodzajowych, ale znaleźć tam możesz niemal całkowity zarys historyi włościan jednéj prowincyi, ich stanu społecznego. Autor odbywa tam studyum na jednéj rodzinie, ale ta jedna rodzina — to wszyscy. Bohater tego epizodu sprawdza niejako na sobie to, co Kraszewski miał we dwadzieścia lat późniéj w ogóle wyrazić: „Chłop widocznie stworzony został przez Boga, z przeznaczeniem tego, co znosi; inaczéj, jakżeby wytrzymał to, czego my dziesiątéj części znieśćbyśmy nie potrafili." Rzecz godna uwagi, że Kraszewski w *Sawce* bynajmniéj nie apoteozuje chłopa, „przedstawia go owszem, jak trafnie uważa p. Kaszewski, częściowo złym i zepsutym, tak jak jest wistocie, skutkiem edukacyi wiekowéj;

wskazuje tylko na jego naturę, w gruncie uczciwą, lubo zachwaszczoną naleciałościami nieprawości, tak hojną sypanemi ręką. Pozwala sobie nawet z tego powodu wprost refleksyi moralnych, argumentów *ad hominem*, wydających zamiar tendencyjny tego epizodu.

Tendencya, panująca w tém opowiadaniu, a pobudzająca klasę wyższą do opamiętania się i reformy, pozostała u Kraszewskiego tąż samą nazawsze. Po latach dwudziestu wydał on znowu manifest ostatni w téj sprawie, wyraz rozczarowania i potępienia. Manifestem tym była powieść p. n.: *Historya kołka w płocie*. „Pierwiastki bolesne, mówi p. Kaszewski, wypełniające epizod *Sawki*, przenoszą się i do *Historyi kołka*, koniec wiąże się z początkiem temiż samemi ogniwami, i dwa te obrazy stanowią symetryczną odpowiedniość. Różni je tylko ogromna w ostatnim przewaga siły artystycznéj, zwłaszcza co do saméj charakterystyki bohatera powieści, Zachara, chłopa-artysty, rozrywanego mocami wprost sobie przeciwnemi.

Powieść *Ładowa pieczara*, środkująca w porządku chronologicznym pomiędzy wstępem i zakończeniem obrazów ludowych Kraszewskiego, ma być, zdaniem krytyka, ze strony autora innym rodzajem pobudki reformistycznéj: apologią przeciwstawioną krytyce. Tu przypominamy czytelnikom przypisek wstępny do powtórnéj edycyi tego utworu.

P. Kaszewski bardzo zasadnie zbija zdanie autora, jakoby „społeczność owa była czemś idealnie doskonałém," i nie chce powtórzyć za nim słów: „niech sobie nowi mistrze nauki społecznéj szukają lepszego wzoru społeczności nad ową słowiańską, ja go nigdzie nie widzę." Według słusznéj uwagi krytyka, „stan taki mógł być dobrym chwilowo; że się jednak opierał na łasce i dyskrecyi obyczajowéj, nie zaś na prawie, więc nie był zgodnym z pojęciem natury społeczno-ludzkiéj, i przeto utrzymać się nie mógł. Optymizm Hrycia Soroki, owego ukształconego chłopa, któremu autor powierza swą rolę, zachodzi zadaleko, kiedy na zarzut interlokutora, wyrażający się słowami: „zależność i poddaństwo!" odpowiada: „Są to czcze słowa: z takimi, jak nasi panowie, poddaństwo kończy się na miłości i opiece; zresztą, czyż wszyscy w jakibądź sposób nie jesteśmy zależni?" Ten bohater powieści, zdaniem p. Kaszewskiego, jestto spory kawał doktrynera. Trudno zrozumiéć, jak podniósłszy się przez naukę tak wysoko, a przez życie miejskie nic z czystości duszy nie utraciwszy, powstawać on może przeciwko nauce miejskiéj i książkowéj, przeciwko miastu, przeciwko Zachodowi, a wywyższać wieś i naukę podaniową, która przekazała nam wiedzę „tajemnic niedostępnych uczonym i pojęcie świata takie, jakiém Bóg opromienił czoła pierwszych ojców rodzaju ludzkiego."

Ostatecznie krytyk streszcza swe zdanie o *Ładowéj pieczarze* w następnych słowach: „Artyzm powieści nie wybija się tu w sposób szczególnie odznaczający, lubo akcya dostatecznie realizuje to, co w pewnych ustępach książki, zadługich może, jak na utwór beletrystyczny, stanowi niejako dogmatykę życia patryarchalnego gminy. Dość, jeżeli

powiemy, że solidarność obustronna w dobréj i złéj doli, wspólność interesów, gotowość do obrony i poświęceń, stanowi treść budującą, a w doświadczeniu dziejowém, nawet i z czasów bliższych nie bezprzykładną."

Ułatwiwszy się ze stanowiskiem społecznem autora w kwestyi ludowéj, uwydatniającém się głównie w trzech utworach, o których mówiliśmy wyżéj, p. Kaszewski spogląda następnie na tło artystyczne, na którém cała ta gra, z natury kompozycyi, odbywa się.

Z innoplemiennych, cyganom przypadkowo tylko poświęcił Kraszewski jednę z najpiękniejszych swoich powieści ludowych: *Chatę za wsią*. Jest zato inny żywioł innoplemienny, nieodczepny od chłopa: to żydzi, istne pijawki ludu wiejskiego. Typowym ich wzorem jest Szmul Popielański w *Jermole*.

Prawość, szczerość i skłonność do poświęceń występują u Kraszewskiego, jako wrodzone i gruntowne przymioty charakteru ludu. Jako jednę też z cech jego głównych, zamieścić tu należy miłość dla rodzinnego kąta, wyrażającą się tęsknotą nie do pokonania w oddaleniu. Dwór w ogóle przedstawia się ujemnie. W kierunku tym atoli, jak słusznie powiada krytyk: „nie mieści się żadna doktryna demokratyzująca, żadna tania trybunerya, ani gra na popularność, która wreszcie byłaby zgoła fałszywie obliczoną, powstając przeciw większości czytających, w pośród których żył autor. Są to raczéj spostrzeżenia i uwagi obywatela, rozumiejącego stan rzeczy i potrzeby kraju, poglądy myśliciela, znającego życie i wartość jego objawów, pisarza niepodległego, który wszystkie te spostrzeżenia, uwagi i wrażenia, kojarząc w wyobraźni płodnéj, wyciska następnie w utworze."

Postacie panów, występujących w powieściach ludowych Kraszewskiego, bywają rozmaite. Pan, egoista, wyniosły i pogardliwy, mrożący wszystko swym wzrokiem lodowym (w *Ostapie Bondarczuku*); pan nie zły, ale apatyczny, rządzący przez chciwców i demoralizatorów, jak w większéj części obrazów; pan rozpustnik (w *Ulanie*, w *Budniku*); pan albo półpanek, za jedyny cel życia mający wyciąganie zysków bez wstydu i miary. Są to, jak mówi p. Kaszewski: „pierwiastki, wytwarzające atmosferę moralną zabójczą, a że najsilniejsze ze wszystkich, i z małym wyjątkiem nieprzemienne, przeto ją z pokolenia w pokolenie utrwalają. Na wzór, z inicyatywy niejako takich panów, modelują się ich namiestnicy, nieludzkością i chciwością potęgujący w szczegółach mniejszych i większych to zło, którego zasada leży w nieopatrzności naczelnego zwierzchnika. Pierwszym wynikiem takiéj atmosfery jest przygnębienie duchowe, bezcelowość życia, egoistyczna apatyczność, jakiéj ulega chłop, przekonany nareszcie, iż na wielkim świecie zostaje sierotą, z kulą niewoli u nogi, bez możności wyjścia i zmiany. Uczucie to objawia się wszędzie w grupach ludowych, przedstawianych przez Kraszewskiego, i stanowi niejako ogólne tło malarskie każdego obrazu. Z tego uczucia bezwładności wytwarza się rezygnacya, zadziwiająca i niepojęta dla każdego, kto w jakiéjbądź czę-

ści zachował poczucie samego siebie." Nareszcie następuje zupełne poddanie się i rodzaj upodlenia, którego wyrazem jest przysłowie: *Skaczy wraże, jak pan każe*, a wobec którego zemsta nawet przybiera dodatnie znamię protestu godności ludzkiéj. Ten rys charakteru grup ludowych, widniejący dość silnie z powieści Kraszewskiego, jest najboleśniejszym, i jemu téż samemu najboleśniejsze nastręcza uwagi.

Teraz dopiéro, wskazawszy rozmaite żywioły ludowe, nagromadzone z tego cyklu powieści, p. Kaszewski przystępuje do charakterów naczelnych, które żywiéj zarysowały się w pośród pomienionych żywiołów. Streszczać subtelną analizę autora, niepodobieństwo, przez wzgląd na zakres tego sprawozdania, i tak już nad miarę roszerzonego. Poprzestaniemy na kilku ogólnych rysach, ażeby choć słabe dać wyobrażenie o zapatrywaniu się p. Kaszewskiego na znane wszystkim prawie czytelnikom postacie. Do zarysu tego, w obawie przeistoczenia myśli, użyjemy słów jego własnych.

Typ najbliższy chłopa, bo najdalszy od zmieszania się z kulturą innorzędną, nie wyzuty z pierwotnéj prostoty i czystości duszy, p. Kaszewski upatruje w *Jermole*. Starzec ten szczególnie reprezentuje nasz lud i tém się odznacza indywidualnie, że jako roślina dzika, niehodowana, ale szlachetna, przy stosownych warunkach rozkwitająca przepysznem kwieciem, posiada on wrodzony instynkt cnoty. Zostając w nędzy, nigdy się nie poskarżył na życie sterane, wystarczał sobie w biedzie i osamotnieniu, dźwigając się duchem pobożnym. Sercem przerastając innych współbraci, świadczył im przysługi, co jednało mu współczucie i pomoc wzajemną.

Pierwszy płacz podrzuconego mu dziecka, zapadając w serce Jermoły, stał się ziarnem uczuć nowych, skomplikowanych; ziarnem, które schwycone przez grunt bujny, wydało stopniowo ten cudownie piękny kwiat, zowiący się miłością rodzicielską. Jest, rzeczywiście, dziwna rozkosz estetyczna, patrzéć, jak pod ręką potężnego malarza dusz prostych odbywa się ten tajemniczy proces natury, mocą którego serce starca, nieświadomego zgoła tych uczuć rodzinnych, w chwili, gdy szukał węzła, coby go jeszcze ze światem połączył, nagle budzi się do czegoś niespodzianego; jak on naraz młodnieje, zapala się, gorączkuje, przeczuwa w zarodku cały gmach szczęścia przyszłego, jakie ztąd powstać może, i budowę jego rozpoczyna rękami drżącemi ze wzruszenia, radości i obawy, aby go nie stracić.

Późniéj Jermoła w obrazie tym uczuciowym schodzi niejako na drugi plan, występuje nowy żywioł uczucia synowskiego w Radionku, który walcząc między dwiema miłościami, staro i nowo-rodzicielską, ginie z wysileń téj walki. Oto są uczucia traktowane na seryo, męzkie, energiczne, same przez się stanowiące temat tragiczny, nawet wśród bohaterów najmniéj do tragedyi klasycznéj podatnych. W całéj książco nieéma innego romansu nad romans starca z przybranym synem, ale romans to tak żywo wydarty z łona natury, tak pełen barw gorących, że daje zapominać o wszystkich innych kierunkach serca i wyczerpuje

całą uwagę. Wszystko to odbywa się na tle stosunków czysto sielskich, a więc wolném od wszelkiéj wybujałości, na tle stosunków, ujętych w krajobraz, nieustannie nasuwający przed oczy malownicze widoki wsi poleskiéj.

P. Kaszewski robi trafną uwagę, że gdy świat surdutowy autora zanadto jest zaludniony bohatérami kompleksyi słabéj, bohatérowie zato siermiężni odznaczają się dziwną energią, a nad nimi wszystkimi niewątpliwie prym trzyma Jermoła.

Ten *romans* Jermoły, na gruncie dwu swych żywiołów, wyłączności i energii życiowéj, spotyka się z innym utworem, a mianowicie: z *Ulaną*. Kiedy oddać się, to oddać całém sercem, bezwarunkowo, z zaparciem i zapomnieniem wszystkiego, przejść w świat całkiem nowy, zerwać z dotychczasowością. Tak czyni Jermoła, stając się ojcem; tak czyni Ulana, stając się kochanką.

Daléj jednak porównanie zachodzić nie może i zaraz ukazuje się głęboka bruzda, rozgraniczająca te dwa charaktery: starca i niewiasty młodéj; tak podobne do siebie ekspresyą uczucia, tak różne przedmiotu jego wartością. Uczucie Jermoły jest najmniéj egoistyczném, najwięcéj ludzkiém: uczucie Ulany jest najegoistyczniejszém, bo erotycznem. Jermoła na rzecz własnego szczęścia poświęca tylko siebie, swój trud i zachód, uszlachetnia się. Ulana poświęca obowiązki najbliższe, najświętsze; i ten wylew jéj uczucia stałby się kałużą, gdyby siła namiętności potężnéj, rwącéj za sobą wszystko, co drogie i święte, nie zamieniła tego wylewu w burzliwy potok, pełen grozy, szumu i wiru, ktory druzgocząc podstawy etyczne, ale razem z sobą porywając działacza, niby ofiarę, by ją roztrącić w powszechném zniszczeniu, staje się estetycznie pięknym, jak łuna pożaru, bez względu, co swym ognistym całunem pokrywa. Cała zaleta artystyczna tego utworu zależy nie na wypadkach nader interesujących, ale na tém stopniowaniu świateł, przez które charakter kobiéty przechodzi dla zabłyśnięcia całością.

Ważność *Jermoły* i *Ulany* dla sztuki na tém zależy, że lubo kreślone niby odniechcenia, pod piórem niejako rosnąc i mężniejąc, kreślone są na sercach niezużytych, dziewiczych, na kartach białych, które jakby same z siebie wydobywają barwy, służące do ich zobrazowania. A że w sercach tych jest wrodzona siła, polot wyższy, więc i kreacye ich samoistne nabierają téj siły i polotu, co je wyróżnia nad inne.

W *Budniku* Bartosz stanowi figurę naczelną obrazu, nietylko jako charakter ludzki, ale więcéj jeszcze jako typ lokalny, przez co i łączy się i rozdziela interes powieści. Postać ta jest już połowicznie tylko ludową, amalgamat szlachcica i chłopa, wytworzony przez historyą kraju. W usposobieniu i animuszu przeważa szlachcic, w wychowaniu i trybie życia chłop: postać to w każdym razie gminna, którą wszakże swoboda socyalna, obok nędzy więcéj może niż chłopskiéj, odznacza w pośród innéj czeredy wiejskiéj. W ogóle charakter Bartosza, nie przedstawiający nic szczególnie oryginalnego w pośród ludzi jego har-

tu, tu zdobywa sobie miejsce wydatne, najprzód położeniem bojownika, walczącego wśród okoliczności dziwnych; powtóre, dzielnym kolorytem scen, w których się szczegóły charakteru jego objawiają, i na prawdziwego bohatera go wynoszą. Powieść zaś sama, oprócz téj postaci głównéj, nadająca znamiona charakterystyczne każdéj prawie bez wyjątku figurze, mniéj lub więcéj czynnéj, do najartystyczniejszych kompozycyi Kraszewskiego bezwarunkowo należy.

Najbogatszą skarbnicą szczegółów i scen z życia wiejskiego jest: *Chata za wsią*. Ze względu jednak na ideał ludowy, jaki koncentruje się w pewnych typach, oraz na tendencyjność społeczną, dzieła poprzednie nad obrazkami z *Chaty za wsią* górują. Uderzającą jéj nowością to, że w kombinacyi ze stałemi żywiołami sielskiemi wprowadza element cygański i na tle téj kombinacyi fantazyuje dramatycznie. Cyganie żywo nas zająć mogą, jako fantazya, zwłaszcza jak tu, opierająca się na gruncie rzeczywistości, i w formie nader artystycznéj przeprowadzona, ale wrażenie téj fantazyi nie może być tak ściśle związane z interesem, jaki w oczach naszych przedstawia lud rodzimy. Wprowadzona tu Aza, dziecię burzy i ognia, dziewica demoniczna, pałająca mściwą nienawiścią do ludzi osiadłych, jest nierównie prawdziwszą od Esmeraldy. Ale wzgarda cywilizacyi, bezczelność, wstręt od wszystkiego, co moralnie pożyteczne, brak wszelkich zasad i egoizm nieuleczony; nie mogą z siebie wydobyć nic, coby wchodziło w sferę piękności pozazmysłowéj i subtelnéj. Niezmiernie zato uroczą jest dziewczynka pary przeklętéj, *cyganicha* Maryś, dziecię mogił, która téż pochłania całą czytelnika uwagę.

Cyganie wprowadzają do wsi jakiś element rozkładowy, nieszczęście. W rozkładzie tym zjawia się fakt wielce ciekawy. Oto ów chłop przygnębiony występuje względem obcego żywiołu ze wzgardą równą wzgardzie fanatycznego arystokraty względem gminu. Rys to niezmiernie prawdziwy. Chłop nasz odznacza się tém zakuciem w absolutną swojskość i ma to podobieństwo do zwierzęcia, że nie cierpi istot odmiennego gatunku, nigdy się z niemi nie łączy, w najlepszym razie zachowuje względem nich zbrojną neutralność, tolerując je tylko w imię interesu. Ale gdy przychodzi do poufalszego stosunku, a to rzecz zgoła inna.

Kraszewski nie poprzestał na wzorowaniu chłopa w zakresie jego sfery wieśniaczéj. Kreśląc go z rozmaitych stron dobrych i złych, powszednich i wyższych, naiwnych i wstrętnych, dwakroć zadawał sobie pytanie: coby to było z chłopa, gdyby wyszedł ze stanu wieśniaczego i stanąwszy ukształceniem na równi z klasą wyższą, wmieszał się w jéj stosunki? Upostaciowując rozwiązanie tego pytania w kilku jednostkach, miał on widać jakiś zamiar szczególny, z kwestyą ludową, która go bardzo zajmowała, połączony: oto chciał w nich wykazać pewne pośrednictwo między ludźmi jednego plemienia, a jednak rozdzielonymi i to nietylko pozycyą socyalną. Nieodstępna mu była i ta

myśl, że w takiéj masie czerni niepodobna, ażeby nie znalazła się jakaś rodzima wyższość, którą zamiast zakopywać, jak dyament w ziemię, należałoby, odkrywszy, podnieść i blask z niéj wydobyć, ażeby świeciła ziemi, która ją wydała. Myśl tę negatywnie rozwiązuje Kraszewski w *Historyi kołka w płocie.* Rozwiązanie pozytywne przedstawia się w Hryciu Soroce z *Ładowéj Pieczary,* oraz w powieściach: *Ostap Bondarczuk* i *Jaryna*, które właściwie są tylko dwiema częściami jednéj powieści.

Pomimo jednakiéj, a przynajmniéj bardzo podobnéj treści Soroki i Bondarczuka, p. Kaszewski upatruje pomiędzy nimi ważną różnicę indywidualną co do form. Hryć stanowi zaledwie sylwetkę wyraźną, ale bardzo streszczoną. Charakter wreszcie, który wyobraża to treściwa sylwetka, przedstawia rysy spokojne, refleksyjne, coś niby ze statysty i filozofa, o sercu wielkiém, ale obejściu chłodném. Ostap, przeciwnie, to obraz rozległy, barwny, różnostronnie wypełniony; charakter namiętny, ognisty, rzucający się na oślep w przepaście, za podmuchem serca. Pomimo doktrynerstwa swego, Hryć z konsekwencyą żelazną dochowuje wiary tradycyom, w imię których, zatęskniony za wsią za chatą, za braćmi, za życiem dawném, zrywa ze światem miejskim, do którego niegdyś z taką się wyrywał gorączką, powraca do domu, by odżyć wspomnieniami młodości, zawiązać przerwaną nić zajęć około roli, i cały zasób wiedzy spożytkować na korzyść braci, pod braterstwem tém rozumiejąc tak dobrze gromadę, jak dwór, a swoję ukochaną naukę dziejów prowadzić daléj.

Na zakończenie swéj rozprawy p. Kaszewski powiada: „Złożyliśmy świadectwo, że Kraszewski pracował dla ludu wprawdzie nie bezpośrednio, ale stawał jako pośrednik między nim a inteligencyą, przemawiając do tych właśnie najgoręcéj tonem zachęty i krytyki, którym powierzone było w znacznéj części kierownictwo bezpośrednie. Jaki był owoc jego dwudziestoletniéj pracy, stanowczo wyrzec nie można; zdanie powinnoby być oparte na wyjaśnieniach bliższych i faktycznych, które czas tylko i kierunek umyślny orzeką. To jednak śmiele przypuścić można, że tak silne zwracanie uwagi i takie jawne odkrywanie bolesnych stron kwestyi, nie mogło pozostać choćby bez częściowego skutku; że przykładem zachęcało innych do zabierania głosu, do mnożenia uwag i przestróg; że tém samém przyczynić się musiało gdzieś niegdzieś do wytrzeźwienia pojęć i jeśli nie zdołało, jak wiemy, ani na chwilę przyśpieszyć pożądanego dobra, mogło jednakże miarę złego umniejszyć. W każdym zaś razie prace na tém polu Kraszewskiego świadczą o jego dobrych dla ludu chęciach, o szczerém zainteresowaniu się dla mas cierpiących i bezbronnych.”

Może zanadto rozszerzyliśmy się nad artykułem p. Kaszewskiego, ale treściwość autora, umiejętność wynajdywania istotnych myśli w roztrząsanych przezeń utworach, wytrawność i samodzielność sądu, nie pozwalały na wzmiankę tylko pobieżną. Nie możemy także pominąć milczeniem artystycznéj wartości téj pracy. W streszczeniu powieści: *Hi-*

storya kołka w płocie, *Jermola*, *Ulana*, co chwila zdradza się pod maską Zoila wdzięczne oblicze poety. Nastrój ten poetycki unosi go kiedyniekiedy zadaleko. Reprodukcya np., krajobrazu poleskiego i podolskiego nie jest tu potrzebna, a co do podolskiego, niezupełnie nawet jest wierna.

Na dział powieści historycznych Jubilata złożyli się pp.: Tadeusz Korzon, Michał Bobrzyński, Władysław Nehring, Kazimierz Jarochowski i Władysław Smoleński.

Ponieważ tylu już poprzednich pisarzy uwydatniło artystyczne zalety utworów Kraszewskiego, plastyczność obrazowania, mistrzowstwo, światło cieni, umiejętność wywoływania silnych wrażeń i t. d., a każdy z następnych autorów *Książki Jubileuszowéj* zgadza się pod tym względem ze swymi poprzednikami, nie będziemy przeto dotykali téj strony w artykułach, o których pozostaje nam mówić jeszcze.

Powieści „rzymskie" znalazły sprawozdawcę w p. Korzonie. Streścił on i ocenił dwa ze znakomitszych utworów Kraszewskiego: *Capreæ i Roma* i *Rzym za Nerona*. Liczne przytoczenia nadały jego artykułowi najwięcéj wartości. Chociaż p. Korzon z należytą skromnością nazwał swą pracę artykułem sprawozdawczym, nie roszczącym praw do szali krytyki, nie powstrzymał się jednak od stoczenia z autorem kilku dość żwawych utarczek, przyczém okazał niemały zasób erudycyi w zakresie literatury historycznéj. Zarzuty jego co do imion, dat, charakterów i poglądów, dotykają po większéj części kwestyi spornych, na które tak, lub inaczéj zapatrywać się wolno. Sprawozdawca grzeszy niekiedy zbytnią drobiazgowością. Zastanawia się np., nad tém, czy nędzarz, pod czarownem niebem Italii, mógł nie znać przez całe życie kobiéty; czy Tyberyusz przy swéj oszczędności mógł wyprawiać tak wystawne orgie, jakie odmalował autor *Kaprei* i czy mógł tak często blednieć i drżeć, przy swéj obłudzie; czy Pudens mógł być senatorem, a Akwila kobiétą, skoro przy imieniu pierwszego autor zapomniał postawić praenomen, imię zaś drugiéj: *Aquila*, oznacza orła; czy Tejan mógłby się podobać płci pięknéj, gdyby istotnie był łysym i t. d. Inne zarzuty są poważniejsze, ale także wyrastają z gruntu spornego. Stosuje się to mianowicie do daty przybycia do Włoch Piotra św. i jego męczeństwa w Rzymie. Panu Korzonowi podobają się więcéj powagi protestanckie, kiedy Kraszewski trzyma się katolickich. Niemiłém jest także sprawozdawcy nadanie historycznego charakteru postaci *Symona Czarnoksiężnika*. Najwięcéj jednak boli go krzywda wyrządzona przez autora Tyberyuszowi, tak mądremu administratorowi państwa, tak pracowitemu i skromnemu monarsze. Więcéj sympatyzuje on z poglądami Napoleona I i późniejszych stronników cezaryzmu, aniżeli z surowym sądem pisarzy republikańskich. Gotów jest nawet pisać się na zdanie Woltera, który Swetoniusza nazwał „fabrykantem anegdot," a Tacyta „pisarzem złośliwym."

Zamykając opowieść o straszliwéj rzezi, dokonanéj nad chrześcianami przez Nerona, Kraszewski mówi: „Bój rozpoczął się dopiéro... ale ofiara, pokora i miłość miały go cudowném zamknąć zwycięztwem— słabszego, pokonaniem na wieki i potępieniem siły bezrozumnéj." Piękna ta myśl jest nicią przewodnią i ideą zasadniczą *Kaprei i Romy*. Nie zaprzeczając bynajmniéj zbawczych wpływów, wzniosłego posłannictwa, cudownych tryumfów Ewangelii, sprawozdawca, jako historyk, zarzuca autorowi *Kaprei* zbyt namiętny i jednostronny pogląd na Rzym pogański, który jednak niepoślednie położył zasługi względem ludzkości. Oddaje on mianowicie należną sprawiedliwość cesarstwu, tak często poniewieranemu przez pisarzy stronnych z zasady, lub uprzedzonych.

Pomijając zalety prawdy artystycznéj, nadmienimy o rysach ujemnych, które sprawozdawca dostrzegł w *Kapreach*. Widzi on w tym utworze zawiele trudu naukowego, niezupełnie szczęśliwe skojarzenie historyi ścisłéj z poezyą, z twórczością fantazyjną i brak jedności w układzie.

Te wszystkie usterki nikną według p. Korzona w powieści: *Rzym za Nerona*. Tu, mówi on, żywioł historyczny występuje w niezwykłém bogactwie i żywości, ale nie w genealogicznych wywodach, nie w politycznych poglądach i sądach, tylko w układzie myśli, w zwrotach mowy, w obyczaju, w trybie życia, w powierzchowności i wnętrzu człowieka. Zmniejszenie ram powieści, zredukowanie czasu do kilku miesięcy Neronowych rządów, znakomicie posłużyło do zwiększenia wyrazistości osób i charakterów, do nadania spójności szczegółom. Powieść to jednolita, kształtna, prostotą planu przypominająca klasyczną świątynię. Z występujących w niéj postaci, największe wrażenie wywiera Sabina, owa „dusza niewinna i słodka," tryumfująca nad wszystkiemi nędzami ziemskiemi męczennica.

W końcu, porównywając oba powyższe utwory, p. Korzon mówi, że „*Capreae i Roma* jest dziełem przygotowawczém do *Rzymu za Nerona*. Tam autor poczynił pierwsze studya nad epoką trudną, nad zadaniem skomplikowaném i tajemniczém; tu materyał naukowy jest już przetrawiony, nie przygniata twórczych pomysłów, lecz je zasila duchem przeszłości. Tam kontrast pomiędzy pogaństwem i chrystyanizmem jest niemożliwie ostry, dwa światy są przedzielone przepaścią; tu łączy je natura ludzka, a jednak różnica jest widoczna i jasna. Tam serce autora bije uczuciem wstrętu dla pogaństwa i jakiegoś ascetycznego zachwytu dla mysteryi chrześcianizmu; tu panuje wyrozumiałość, łagodna i rzewna, tkliwa, ale zdolna do wszelkich ofiar miłość; jeśli wolno użyć takiego porównania, rzeklibyśmy, że Kraszewski w *Kaprei* przejęty jest uczuciami Dominga Guzmana, w *Rzymie za Nerona* bije w nim serce Franciszka z Assyżu. I w *Kaprei* są piękne sceny, szlachetne sytuacye, myśli podniosłe; ale *Rzym Neronowy* jest utworem doskonałym, jest jednym z najcenniejszych klejnotów naszéj literatury, godnym tłó-

maczenia na wszystkie języki obce, bo dla wszystkich będzie zarówno zrozumiałym i miłym."

Powieści historyczne z pierwotnych dziejów Polski rozpatrzył pan Michał Bobrzyński.

Na wstępie p. Bobrzyński bardzo trafnie określa właściwe znaczenie „powieści historycznych" Kraszewskiego, upatrując w nich ciągłą, nieprzerwaną ilustracyą naszéj wewnętrznéj i zewnętrznéj historyi w jéj najszerszém, cywilizacyjném pojęciu, objaśnienie, uplastycznienie dziejów w szeregu powieściowych obrazów. Takie jest znaczenie *Staréj Baśni*, *Luboni*, *Braci Zmartwychwstańców*, *Maslawa*, *Boleszczyców*, *Synów królewskich*, *Petrka Własta* i *Stacha z Konar*. Wątek każdéj powieści wzięty jest z codziennego życia, dostarczyły go często legendy pojedyńczych prastarych rodzin; występują w nim osobistości, stojące na niższych szczeblach hierarchii społecznéj, dając tém samém sposobność do skreślenia społeczeństwa w jego codziennem życiu; ale ponad tym wątkiem powieściowym górują zawsze wielkie historyczne osobistości; one każdéj powieści dostarczają właściwych bohatérów, one czytelnika, obznajomionego już z życiem codziennem wszystkich warstw narodu, wprowadzają na widownią wielkich, rozstrzygających o dalszym rozwoju politycznym zapasów... Kto zna historyą ze wszystkiemi jéj szczegółami, ten w powieściach tych znaleźć ma próbę połączenia tych szczegółów w jeden plastyczny obraz; kto ją zna słabo, kto jéj nie zna wcale, ten ma ją poznać z powieści. Na pierwszym planie stoi tu historya, ona sama jest celem, artystyczna konstrukcya jéj narzędziem i środkiem.

Z tego stanowiska zapatrując się na cykl powieści wymienionych powyżéj, p. Bobrzyński uważa je za dzieło znakomite i niepospolitéj praktyczności i wagi. Czynią one zadość dwu warunkom. Jest w nich znajomość historyi z pierwszéj ręki, ze źródeł; autor ściśle trzyma się historycznego gruntu. Ustępy źródeł wplecione są w opowiadanie w sposób nadzwyczaj zręczny, wyczerpnięte wszystkie, rozszerzone z zachowaniem właściwéj miary, uzupełnione troskliwie wynikami najnowszych umiejętnych badań. Pod względem artystycznym są to ilustracye niezwykłéj wartości. Autor zdobył się na koloryt, do kolorytu czasów pierwotnych co najmniéj wielce zbliżony i nigdzie z nim w jawnéj nie stojący sprzeczności. Charakterystyka osób uzupełnia się pięknemi obrazami przyrody w ówczesnym jéj stanie; wypadki przedstawione są z nadzwyczajnym spokojem, prostotą, a nieraz z poezyą i prawdziwém mistrzowstwem i to jest druga „powieści historycznych" niepospolita zaleta.

Ujemne rysy, jakie w nich znajdujemy, tłómaczą się samą naturą tego rodzaju twórczości.

„Ilustrować w powieści historyą—powiada pan Bobrzyński—kiedy ta historya nie jest dotychczas umiejętnie zbadaną, kiedy najważniejsza dla powieściopisarza historya wewnętrznych stosunków pogrążona

jest w prawdziwym zamęcie najsprzeczniejszych ze sobą zdań i najdowolniejszych hypotez: oto pierwsza największa przeszkoda. Pokonał ją zwycięzko Kraszewski, stanął wobec czytelnika z taką znajomością historyi, z tak trzeźwém i rozważném schwyceniem jéj najwięcéj harakterystycznych rysów, jakiém się żaden z jego współzawodników poszczycić nie może.

Drugą, podług p. Bobrzyńskiego trudnością, jest przerażające ubóstwo materyału, niezbędnych dla powieści szczegółów i obrazów, skoro idzie o ilustrowanie historyi pierwotnéj Polski.

Największa atoli trudność dla powieściopisarza wypływała z niezgodności poglądów zasadniczych, cechującéj współczesne historyczne pomniki. Kronika Galla jest apoteozą siły i jedności państwa w osobie Krzywoustego; biografia Piotra Własta, broniąc możnowładztwa, potępia te zasady w osobie Władysława II; kronika Kadłubkowa, apoteozując wszechwładzę Kościoła, rzuca kamieniem potępienia na Mieszka Starego, który w ślady polityki swego brata Władysława i ojca, Krzywoustego (?), wstępował. Powieściopisarz przeto, w każdéj z powieści obejmujących te czasy, nie mógł iść bezwzględnie za kroniką, która jéj za podstawę służyła, nie mógł sądu swego historycznego nieustannie zmieniać, porzucając zaś sąd kronikarza, narażał się na stracenie wielu szczegółów i kolorytu współczesnego. Wobec téj trudności, Kraszewski usiłował zająć stanowisko pośrednie. Nie rzuca on kronikarza, w jego świetle przedstawia wypadki, ale w licznych, zręcznie wtrąconych uwagach, wymierza im ostrą nieraz krytykę i w ten sposób jednolitość swego sądu historycznego utrzymać się stara. Za Gallem idzie bezwarunkowo; trzymając się następnie biografii Piotra, przedstawia w ujemném świetle Władysława II, ale winy jego raczéj na wady osobiste charakteru jego i jego żony Agnieszki, niż na politykę Bolesławowską zwalić usiłuje, a możnowładztwu ostrych słów nagany nieszczędzi. Idąc daléj z Kadłubkiem, potępia Mieszka, lecz również raczéj dla jego osobistych przywar; znaczenie Kościoła i biskupów podnosi, ale zarazem w sposób nader zręczny daje do poznania na każdym kroku, że zbyteczna przewaga Kościoła i kryjąca się pod jéj płaszcz swawola ziemian, sprawie publicznéj szkodzi, bytowi państwa zagraża.

Mybyśmy w takim sposobie traktowania rzeczy przez autora *Powieści historycznych*, widzieli jedynie słuszność i sprawiedliwość, ale p. Bobrzyński ze stanowiska teoryi swéj politycznéj, widzi w nim tylko zręczność metody, dodając, (na co się także nie zgadzamy), że takie traktowanie szkodzi niezmiernie jednolitemu wrażeniu powieści, że czytelnik niewié po czyjéj stronie stanąć: „czy po stronie sympatycznie skreślonych, ale szkodliwie lub słabo działających osobistości, czy też po stronie postaci historycznych, ujemnych swoim charakterem, wielkich ideą (?!), którą pojmują i któréj nieszczęśliwie służą.

Nie możemy zato odmówić trafności spostrzeżeniom p. Bobrzyńskiego, tyczącym się pojedyńczych powieści. Tak *Starą Baśń* nazywa

on prześliczną, na wskroś poetyczną, prawdziwą epopeą, ale zarzuca autorowi, że niedostatecznie umotywował strącenie dynastyi Popiela. Piast nie rozwiązuje trudnego zadania, w powieści trzyma się zdala od wszelkiéj polityki, ucieka w lasy przed wołającym go na stolec książęcy wiecem. Nic tu nam nie tłómaczy powstania naszego narodu i państwa, które nastąpiło przez połączenie drobnych ludów mieszkających między Odrą a Wisłą i narzucenie im żelaznéj centralizacyi. Jeżeli zaś autor faktu togo nie chciał obrać za główną osnowę powieści, jeżeli zamierzchłe stosunki chciał rozmyślnie pozostawić w zamęcie: to należało może w silniejszém świetle podnieść i uwydatnić pewne dążenia i pierwiastki, mające za podstawę państwa i narodu polskiego posłużyć.

Dobrze pomyślana i zbudowana powieść *Lubonie* budzi wielki interes, ale zajęcie to słabnie w chwili, kiedy autor w sposób zbyt przewlekły zaczyna opowiadać kunktatorstwo Mieczysława w przyjęciu i ogłoszeniu chrześciańskiéj nauki, Mieczysław nie jest też głównym bohatérem powieści, lecz są nimi apostołowie chrześciaństwa, skreśleni z wielkiém życiém i uderzającą prawdą.

Najsłabszą ze wszystkich powieści są *Zmartwychwstańcy*. Autor zniżył ją do tonu rodzajowych obrazów. W powieści, w któréj idzie o zbudowanie uniwersalnéj słowiańskiéj monarchii, bohatérem nie jest sam Bolesław Chrobry, lecz jakichś dwu rycerzów, a na drugim planie opat Aaron. Król, który był wcieleniem idei tworzącego się państwa, odgrywa tylko bierną, trzeciorzędną rolę. Widzimy tu zresztą Bolesława na schyłku jego życia, siedzącego w Poznaniu, myślącego tylko o zapewnieniu całości państwa przez uzyskanie korony od papieża i przekazaniu jéj synowi, w którego dzielności słabe pokłada nadzieje. Czasy bohatérskich bojów z niemcami dawno minęły. Bili się z sobą niegdyś, ale teraz cicho siedzą i spokojnie na siebie patrzą. Nie był to sposób do scharakteryzowania bohatéra, który z orężem w ręku Polsce przystęp do morza otworzył, żelaznemi słupami w rzekach naznaczał granice, idei niemieckiéj przeciwstawił ideę słowiańską i po śmiertelnych walkach zdobył jéj w r. 1000 formalne uznanie w polityce powszechnéj, europejskiéj.

O wiele wyżéj od *Zmartwychwstańców* p. Bobrzyński stawia *Masława*. Widzi on w nim konsekwentne, żywe rozwinięcie wątku powieściowego, oraz piękną i dobrze utrafioną charakterystykę historycznych postaci. Zarzuca tylko autorowi, że cały bunt Masławowy przedstawia, jako rewolucyą jedynie socyalnéj natury, zapominając, że w buncie tym grała omal że nie ważniejszą rolę odrębność ludów składających ówczesną Polskę, które przez długi czas siłą tłumione, podniosły się gwałtownie przeciw gniotącéj je centralizacyi Piastowskiéj.

Boleszczyce odznaczają się wielkiém bogactwem treści, rozmaitością charakterów i tragicznością wypadków, obracających się około zabójstwa ś. Stanisława i wyganie Bolesława Śmiałego. Za największą téj powieści zaletę uważa p. Bobrzyński ściśle historyczne, wolne od wszelkiéj przesady, pojęcie tak trudnéj a drażliwéj dla historyka po-

staci, jaką jest ś. Stanisław. Autor całą działalność biskupa krakowskiego związał ściśle (według p. Bobrzyńskiego) z ruchem ówczesnym kościelnym, reprezentowanym przez Grzegorza VII i w obec natury dobréj w gruncie, ale dzikiéj i niepokonanéj w żądzach i dumie swéj Bolesława, postawił biskupa nieugiętego w przekonaniach, nieznającego pobłażania i miłości tam, gdzie obrażoną była zasada kościelna, zasada przewagi Kościoła nad państwem.

Wyznajemy otwarcie, że my nie dostrzegliśmy w *Boleszczycach* ani związku ś. Stanisława z ruchem ówczesnym kościelnym, ani bojowania jego w imię jakiéjś kościelno-politycznéj zasady. W walce papieża z cesarzem, Polska nie uczestniczyła wcale. Namby się zdawało, że ś. Stanisław, Kraszewskiego, da się określić słowami: dobry pasterz, wielki charakter. Prędzejby tam dopatrzéć można pewnéj solidarności pomiędzy biskupem a rycerstwem, oburzoném na króla za poruszanie zgnębionéj po rozgromie Masława sprawy ludu kmiecego. Może się zresztą mylimy.

Do podniesienia tych dwu głównych postaci (mówi znowu p. Bobrzyński), do narysowania ich stosunku względem całego narodu, przyczyniają się doskonale drugorzędne postacie w powieści, a w szczególności wpleciony w całą powieść obraz rycerskiego rodu Jastrzębców i jego zachowanie się wobec wielkiéj tragedyi dziejowéj... Instytucya „rodów," odgrywająca tak wielką rolę w początkowéj naszéj historyi, znalazła w powieści téj wyborną, szczegółową a wielce plastyczną ilustracyą.

O pozostałych *Powieściach historycznych* pan Bobrzyński nadmienia zaledwie w kilku słowach.

Stosunkowo króciutki, ale treściwy artykuł pana Bobrzyńskiego dałby się odczytać nietylko z pożytkiem, ale i z przyjemnością, gdyby nie szczególniejszy pogląd autora, w oczach którego Popiel jest ojcem duchowym Chrobrego, który ze swojéj strony w tym samym stoi stosunku względem Władysława II, niecnego zdrajcy narodu i plemienia, oraz Mieszka Starego, tyrana, zdziercy i okrutnika.

(*Dokończenie nastąpi*).

Z DZIEDZINY PRZYRODOZNAWSTWA.

Popularne książki angielskie z dziedziny nauk przyrodniczych.—*Society for Promoting Christian Knowledge.*—Prace naukowe professora Duncana.—Najnowsze badania nad zjawiskami fosforescencyi u istot żyjących.—Przyczynek do historyi rozwoju ostryg.—Fauna węgla kamiennego i wapieni formacyi Permskiéj, przez d-ra A. Fricza.—Zjazd przyrodników i lekarzy w Petersburgu.—Projekt powszechnego gromadzenia zbiorów botanicznych i paleontologicznych. — Geologiczne badania wybrzeży zatoki Finlandzkiéj. — Wyspa Hochland.—Słówko o lodowcach w ogóle i ich znaczeniu w rozwoju ziemi. — Podniesienie się południowéj Finlandyi.—De Lapparent o powstawaniu łańcuchów gór.—Oznaczenie massy krwi u zwierząt.—Projekt założenia muzeum rybackiego.—O wędrówkach reprezentantów flory.—Prawdziwy założyciel ewolucyonizmu.

Dla naturalisty morze i jego wybrzeża tak są przepełnione przedmiotami godnemi zajęcia, iż nie można się dziwić powodzi książek popularnych, traktujących o tego rodzaju kwestyach. Szczególniéj bogatą jest pod tym względem literatura angielska, która posiada nawet nowe termina, jak: „popularna literatura brzegów morskich" i t. p. (*popular literature of the shore*, *littoral literature* i t. d.). Specyalne towarzystwo miłośników nauki, znane w Anglii pod nazwą *Society for Promoting Christian Knowledge*, wydaje biblioteczkę popularną pod ogólnym tytułem *Natural History Rambles* (Ekskursye w dziedzinie historyi naturalnéj), w któréj redagowaniu professor M. Duncan, członek Towarzystwa Królewskiego, niepoślednie zajmuje miejsce [1]) Korzystamy z prac uczonego professora londyńskiego w niniejszém sprawozdaniu.

Prace professora Duncana, czy to specyalne, techniczne, czy téż więcéj popularnego charakteru, mają zawsze niepospolitą wartość. Tak np. w tylko co wymienioném dziełku *The Sea-Shore*, jakkolwiek popularném, autor nie ogranicza się na roślinach i zwierzętach, które mogą być znalezione na wybrzeżach morskich, albo w wydrążeniach

[1]) Z prac jego z roku 1879, odnoszących się do kwestyi o fosforescencyi, a mianowicie: *Some Facts and Thoughts about Light-emitting Animals*, oraz *The Sea-Shore*, by Professor P. Martin Duncan, F. R. S., (*in 8-o London 1879; Society for Promoting Christian Knowledge*), ta ostatnia wchodzi w skład wspomnianéj wyżéj biblioteczki.

skał, ale traktuje przedmiot ten z wyższego punktu widzenia, wykazując, w najogólniejszy sposób, wszystkie kierunki, w których te wycieczki na wybrzeża morskie mogą być nauczające i ciekawe. Określając np. brzegi morskie, wskazuje zjawiska geologiczne powstawania tych brzegów, a następnie przechodzi do ogólnych uwag nad fauną i florą, cechującą odpowiednie pasy, wykazując z kolei dopiero charakterystyczne rośliny lądowe wybrzeża. Dziesięć rozdziałów dziełka, odnoszących się do życia zwierzęcego, stanowi cenny, jakkolwiek maleńki podręcznik zoologii morskiéj. Rzecz jednak szczególna. Professor Duncan z umysłu unika, w popularnych pracach swoich, wszelkich terminów technicznych, nie wymieniając ich nawet, podobnie jak niektórzy nasi pisarze, traktując o najsubtelniejszych kwestyach filozoficznych, starają się nieużywać terminów naukowych, nie wymieniając nawet saméj nazwy mistrzyni czyli królowéj nauk, jak ją nazywał wielki nasz matematyk, J. Śniadecki.

Ale powróćmy do kwestyi głównie nas obchodzącéj.

W poprzedzającym artykule, zdając sprawę z rezultatów, otrzymanych przy sondowaniach morza Karaibskiego, obiecaliśmy czytelnikom przedstawić ostatnie rezultaty badań, dotyczących zjawisk fosforescencyi w istotach żyjących.

Podczas gorących letnich miesięcy, w porze nocnéj, widać często liczne drobne punkciki światła, na murawie oraz między krzewami i zaroślami. Światło to jest dosyć wyraźne i szczególniéj zwraca na siebie uwagę, kiedy je widzimy poraz pierwszy: zwiększa się i zmniejsza się w natężeniu, staje się mocniejszém i znowu słabnie. Godziny całe trwa ta zielonawo-biała illuminacya; ale obserwując bacznie każdy pojedynczy punkt, spostrzeżemy, że on znika chwilowo na sekundę lub więcej, poczém pojawia się nanowo. Podczas najciemniejszych godzin, a zwłaszcza o północy, te świetlne punkciki są nadzwyczaj jasne. Szukając pomiędzy murawą przyczyny tego zadziwiającego zjawiska, nie czujemy wcale wzrostu temperatury za zbliżaniem ręki do miejsc świecących; staranne poszukiwanie jednak odkrywa zimny delikatny owad, który jest jego przyczyną. W téj saméj porze, kiedy gorące promienie słońca ogrzeją powierzchnię morza, ciemne noce, podczas łagodnego powietrza na jego wybrzeżach, oświecone są błyskami światła zielonego, żółtego, błękitnego, a rzadziéj czerwonego, ktore, wydzielając się z pewnego punktu na powierzchni wody, rozlewa się na wszystkie strony w błyskach, znikając tak samo szybko, jak i powstało. Ciemność, tém zupełniejsza z powodu kontrastu, następuje z kolei, aby znowu przejść w przemijające światło. Idąc znowu brzegiem morza, po wilgotnym piasku, spostrzeganiy, że każde stąpnięcie nasze znaczy ślad światła, którego zjawisko trwa przez chwilę.

Zjawiska te, ciekawe nie tylko dla uczonego badacza przyrody, ale i dla każdego myślącego człowieka, są tylko słabém odbiciem, na północy i w krajach umiarkowanych, podobnych zjawisk, zdarzających

się w okolicach podzwrotnikowych, a które, według poetycznego wyrażenia profesora Duncana, nawet w głębokościach wielkich oceanów, mogą łagodzić nieco panującą tam wieczną ciemność. Ale nawet na powierzchni pełnego morza wspaniałą jest ta pirotechnika matki-natury, i Neptun zazdrosny jest o Noc, gdy na parę godzin przed brzaskiem dnia, pieniące się fale morskie, i wszystko to, co opłukują, są nieraz mocno oświetlone na dłuższy lub krótszy przeciąg czasu.

To samo zjawisko napotyka się na pełném morzu i w głębiach oceanów. Nurek widzi świetlny punkt na zatopionéj skale wapiennéj, którą bada, i znajduje muszle pokryte powłoką świetlną. Marynarz, znużony monotonnością i upałem stref podzwrotnikowych, patrząc uważnie w głąb wód, w blizkości ław koralowych północnéj Australii i Nowéj Kaledonii, widzi długie szlaki wędrownego światła i podziwia udatne zwroty i ewolucye, wykonywane przez węże morskie, kiedy te ostatnie dotkną się szlaku ognistego; podziwia ślad, jaki pozostawiają za sobą pewne polujące na łup ryby, które wznoszą się na powierzchnię wody i cofają się napowrót po zdobycz. Zjawiska tego rodzaju nie występują jednak stale w ciemności na morzach północnych, gdyż rozszerzająca się fosforescencya blednie często ze wschodem księżyca lub z nastaniem jutrzenki. Ale nawet wtedy środek oceanu jaśnieje światłem, bo fale jego nieraz niosą na sobie armie meduz. Nawet kiedy księżyc jest w pełni i udziela powierzchni morza owego blasku, nie brak tego sztucznego światła w jego głębi. Wielkie złote sklepienia, z których występują płomienie, zwolna, ale nieprzerwanie postępują naprzód; małe krążki srebrne pływają swobodnie, już to zwiększając się, już malejąc; a tu i owdzie zielony albo błękitnawy błysk znaczy ślad biegu niewielkiéj, ale szybko podnoszącéj się i opadającéj kuli. Godzina za godziną upływa, a fantastyczna processya przesuwa się ciągle przed oczami widza. Wreszcie blade te widma zapadają głęboko pod powierzchnię i giną dla oka; ale zwiększające się fale zabarwione są tu i owdzie na kolor zielony i biały; a często, wzdłuż pewnéj linii, gdzie woda słodka mięsza się ze słoną przy ujściu, panuje taka jasność, że widać zdaleka statki i brzegi. Jeżeli coś podobnego daje się widzieć na powierzchni, to łatwo sobie wystawić, w jaki sposób musi objawiać się fosforescencya w głębiach wód! Każde *Morskie pióro* (pennatula), każdy ośmioramienny *Korek morski* (Alcyonium) roztacza świetne światło; a *Ognica* (Pyrosoma) jaśnieje blaskiem światła białego i zielonego, jak sztaba rozpalonego metalu.

Wszystko to światło, którego taka powódź zalewa świat, pozbawione jest ciepła. Zebrane razem, powiada Duncan, wystarczyłoby do oświetlenia wielkiego miasta, nie podnosząc termometru nawet na kilka stopni; całe to drganie, następstwo nieskończenie szybkiego ruchu molekularnego, jest rezultatem energii życia.

W krajach północnych i umiarkowanych wydaje światło fosforyczne t. z. *świetlik* czyli *świętojański robaczek* (Lampyris), należący do

tęgopokrywych (Coleoptera): pod zwrotnikami spełniają to sprężyki i inne pokrewne z niemi w klassyfikacyi; do tych dodać należy półpokrywe (Hemiptera), jako też krocionóżki (Myriopoda). Powierzchnia morza winna jest swoje oświetlenie miryadom t. z. *Noctiluca miliaris*. Drobniejsze skorupiaki, korki morskie, meduzy, wężogony, oponnice i mięczaki, a może i niektóre ryby, uczestniczą również w wywoływaniu téj fosforescencyi.

Natężenie i kolor wydzielanego światła różni się, stosownie do rodzaju, gatunku, miejscowości i pory roku, a pewne gatunki odznaczają się stałém właściwém sobie światłem. Tak naprzykład w Anglii świetlik zazwyczaj świeci światłem zielonawém, we Włoszech jasno-błękitném, gatunki australskie odznaczają się światłem drżącém, w Indyach Zachodnich jaśnieje bardzo białém światłem. Inne owady, pod zwrotnikami, wydają światło ciemno-błękitne lub białe; a na wyspach oceanu Spokojnego krocionóżki świecą pięknem światłem szmaragdowo-zieloném. *Noctiluca* wydaje zielonawe a często błękitnawe światło, meduzy zaś żywéj barwy żółtéj, zielonéj, błękitnéj i białéj. Morskie pióra wydają tak białe jak i kolorowe światło, jeżokory zaś zielone. Odcienie zielone i białe są najpospolitsze, żółty jest rzadki, podobnie jak czerwony i błękitny, podczas gdy purpurowy jest niezwykły.

Powierzchowne nawet badanie zwierząt, na których spostrzegamy zjawiska świetlne, wykazuje, iż zjawiska te wywoływane bywają w rozmaity sposób.

Professor Duncan prowadził badania nad wymoczkiem *Noctiluca miliaris*, na wybrzeżach hrabstwa Essex; każda szklanka wody morskiéj, wzięta z tych miejscowości, roiła się temi istotami. Poruszają się one za pomocą nitkowatéj migawki, długości średnicy ciała, a około $^1/_{1800}$ cala szerokości, a która jest pomieszczona tuż przy otworze tak zwanych ust. Migawka jest długa i płaska, posiada poprzeczne prążki, które zdają się być pod delikatném pokryciem. Długie delikatne włókienko wychodzi ze spodu jamy ustnéj i może być wysuwane i cofane, a tuż przy niém jest ciało rogowe, podobne do zęba (horny-looking tooth-like body), $^1/_{7000}$ cala wysokie. Otwór do wnętrza, czyli usta, to koniec lejka, kommunikującego z nadzwyczaj drobnoziarnistą substancyą, wypełniającą ciało, a która, gdyby była zupełnie przezroczystą i jednostajną, mogłaby być nazwaną protoplazmą. Ta ziarnista mięsista substancya (sarkoda) ma puste miejsca, zawierające wodę, z których jedno bywa częstokroć dosyć stosunkowo wielkie, ale one nie kurczą się i nie rozszerzają, jak u innych żyjątek. Włókienkowate siatki obłożone są drobno-ziarnistą sarkodą i sięgają aż pod powierzchnię zwierzęcia, kończąc się w czystéj warstwie protoplazmy, która leży tuż pod czystą również i przezroczytą powłoczką czyli ścianką komórkową. W bliskości części pustéj jest małe jąderko, które widocznie pozostaje w związku ze świeceniem włókienek. W migawce i długiéj nitkowatéj rzęsie dostrzega się ruch oraz

prąd migawkowy ziarnek (*amoeboid streaming of granules*) na świecących włókienkach, ale nie widać żadnéj zmiany w postaci ogólnéj; zwierzę oddycha swoją zewnętrzną ścianką komórkową; wzrasta na objętość przez dołączanie się delikatniejszych części ziarnkowatych, a główne siedlisko téj działalności musi być właśnie pod ścianką komórkową.

Noctiluca obserwowana w niewoli, zadziwia nas wydawaniem bardzo żywego światła. Błyski te trwają w ciągu krótkiego czasu, ale powtarzają się ciągle, przyczém pewne tylko przerwy są konieczne. Światło jest zielonawe i wywięzuje się nie specyalnie w blizkości siedliska migawkowego i włókienkowego ruchu, ale właśnie pod ścianą komórkową. Powstaje ono z drobnych i niezależnych punkcików, które iskrzą się i świecą wszędzie tam, gdzie oddychanie i asymilacya są największe, gdzie energia żywotna jest w całéj pełni. Wszystko, co zwiększa tę działalność, sprawia wzrost światła i odwrotnie. Czysta woda morska, ciągle zmieniana, przyczynia się do wzrostu jego, natężenia i trwałości. Tlen, dodany do wody, zwiększa wywiązywanie się światła, a wpływ świeżéj (nie słonéj) wody jest z początku ten sam, chociaż w następstwie staje się zabójczym dla zwierzęcia. Fizyczne pobudzanie (drażnienie), widocznie wpływa na wywiązywanie się światła i w ciągu pewnego czasu, a *stałe świecenie* poprzedza śmierć, w któréj światło ustaje. Światło zmniejsza się *w próżni*, a również pod wpływem kwasu węglanego.

Noctiluca była poddawana doświadczeniom przez znakomitego naturalistę francuzkiego Quatrefages'a. Uczony ten przy doświadczeniach dodawał alkoholu, co wydawało stały oznaczony pierścień świetlny, a następnie ogólne oświecenie peryferyalne, które trwało pewną chwilę, aż do śmierci zwierzęcia.

Prawdopodobnie prawie wszystkie meduzy wydają światło, a szczególniéj większe, tak zwane *Aureliae* i *Zygodactylae*. Agassiz skonstatował, że błękitną barwę fosforyczną często wydawała meduza zwana *Dysmorphosa fulgurans*. Z drugiéj strony pień, z którego rozwija się *Obelia*, ma ruchome światło drżące, podczas, gdy swobodnie pływający krążek nie świeci. Podług Duncana, trudno przypuścić, aby nerwy i materye tłuste miały uczestniczyć w zjawiskach świetlnych, jakie sprawia Obelia. Protoplazma, w stanie czynnego żywienia, zdaje się być siedliskiem ruchu, który wywołuje fale świetlne.

Nadmienić wypada, że pławy grzebykonośne (*Ctenophora*) nie świecą w ciągu całego swego letniego życia, gdyż widzimy roje ich całe podczas gorących miesięcy, w ciągu nocy, nie dostrzegając ani jednéj iskierki światła między niemi. Fosforescencya nie była również zauważoną w rafach koralowych, ani w tych koralach pojedyńczych, które utrzymywane są w akwaryach, ale niektóre aktynie, zwane anemonami, albo pokrzywami morskiemi, jaśnieją szczególnie pięknem światłem. Nadzwyczajna zdolność świecenia licznych piór morskich (*pennatulidae*) równoważy brak tych zjawisk u innych członków grupy.

Do klasy istot świecących należą również tak zwane *Virgulariae* i *Gorgoniae*. Są to świeczniki morza Śródziemnego, jeżeli można tak się wyrazić; a Moseley zaznacza, że wszystkie tak zwane pióra morskie, dobyte z głębokich wód przez wyprawę naukową statku *Challenger* (Napastnik), objawiały świetne kolory światła, i fosforescencya ich odpowiadała w zupełności téj jaka zauważoną była na okazach z wód płytkich. Moseley badał światło, wydzielane przez trzy gatunki piór morskich, pochodzące z wielkich głębi, i znalazł, że składało się tylko z promieni czerwonych, żółtych i zielonych.

Panceri wspomina o świetle pióra morskiego, tak zwanego: *Pennatula phosphorea*, posiadającego pień z gałązkami, zawierającemi zooidy, czyli polipy. Długi pień, sięgający pod gałęzie, składa się z kanałów rurkowych, będących w komunikacyi z polipami przez gałązki; pokryty jest sarkodą stosunkowo szczątkową. Polipy, będąc zupełnie rozwinięte, znajdują się w szeregach na górnéj powierzchni gałęzi; każdy z nich ma ośm migawek, a przy podstawie nieznaczne nabrzmienie na stronie zewnętrznéj. Z każdego z tych ośmiu zgrubień wychodzi ciemno-biały sznurek, na zewnątrz wydrążenia polipa, do sarkody gałęzi. Sznurki te, to kanały w sarkodzie, a kiedy zostaną naciśnięte, zawartość ich może przejść do wspomnionych wydrążeń, i niewielkiéj potrzeba siły, aby pękły. Badana pod mikroskopem, zawartość ich składa się z komórek i płynu, a nieprzezroczystość, oraz biały kolor, wywoływane bywają przez zawartość komórkową, która się składa z nadzwyczaj łamliwych kuleczek, posiadających, pod względem chemicznym i optycznym, wszystkie własności materyi tłustéj. Substancya ta zwraca na siebie uwagę swoją trwałością, gdyż nie ulega rozkładowi długi czas po śmierci polipa. W substancyi sznurków są komórki gwiazdzistéj formy, z przedłużeniami i podobne do komórek zwojów nerwowych, a inne są to poprostu rozszerzenia wzdłuż biegu włókna. Oprócz nich są liczne inne ziarnka białkowe, oraz białe cząstki natury mineralnéj [1]).

Otóż to pióro morskie, obserwowane wśród sprzyjających okoliczności, na otwartém morzu, jest zazwyczaj świecące, ale ma również swoje godziny ciemności. Ujęta do doświadczenia, istota ta świeci w sposób stale oznaczony i nadzwyczaj godny uwagi. Kiedy główny pień jest drażniony, najbliższe polipy, na dolnych gałązkach zaczynają świecić, jeden po drugim, a kiedy wszystkie zajaśnieją, iluminacya przenosi się na następne gałązki i t. d., dopóki wszystkie nie zostaną oświecone. Mała chwilka, około $^3/_4$ sekundy, upływa od czasu podrażnienia, do pojawienia się światła, i pióro morskie, długie $6,_1$ cala, zostaje całe oświecone w ciągu $2,_3$ sekundy.

Przy drażnieniu wierzchołka pióra tego gatunku, świecenie rozpoczyna się na najbliższych polipach, posuwając się ciągle do dalszych gałązek, i następuje zjawisko w kierunku wprost przeciwnym poprze-

[1]) Bliższe szczegóły o ustroju i rozwoju tych istot, podamy w jednym z następujących artykułów.

dniemu. Wreszcie, jeżeli podrażnimy początkową i końcową gałązkę, światło stopniowo posuwa się ku środkowi.

Ta kolejna iluminacya jest bardzo charakterystyczną i stale określoną.

Ścisła obserwacya stwierdziła, że kiedy pióro jest zupełnie rozwinięte, światło wydzielane bywa z ośmiu nieprzezroczystych sznurków każdego polipa; może zacząć się i trwać bez ich zerwania. Z drugiéj strony zerwanie sznurka pobudza fosforescencyę całéj istoty, a dobywająca się materya tłusta świeci po jéj oddzieleniu i po śmierci zwierzęcia.

Najwspanialsze światło wywiązuje wielka cylindryczna ognica (*Pyrosoma*), należąca do oponnic (*Tunicata*). Ognice morza Śródziemnego mają od dwu, do czternastu cali długości, a trzy cale w średnicy. Widzieć je można w wielkich kompaniach, a kiedy pływają i przesuwają się tuż pod powierzchnią wody, wyglądają jak szerokie pasy rozpalonego żelaza. W ognicy z Atlantyku światło jest jasno zielonego koloru, w olbrzymich gatunkach błękitnego. Podług Panceri'ego, światło nie pochodzi z każdego miejsca na ciele. Po pewnéj chwili, światło rozlewa się po całéj powierzchni. Panceri zaznacza, że kiedy zwierzę nie jest zbytecznie drażnione, światło jego jest przerywane i składa się z iskier, pochodzących ze specyalnych komórek w każdym zooidzie. Ciała świecące są budowy fotogenicznéj i wytwarzają substancyę białkową. Światło zwiększa się i trwa długo w wodzie słodkiéj. Moseley, jeden z naturalistów, którzy towarzyszyli wyprawie naukowéj, odbytéj na statku „Challenger", powiada: „Schwytałem olbrzymią ognicę w głębi morskiéj. Była jak wielki worek, o ściankach około cala grubości. Miała 4 stopy długości, a 10 cali w średnicy. Kiedy ognica zostanie podrażnioną przez dotknięcie jéj powierzchni, światło fosforyczne powstaje najprzód w miejscu podrażnioném, a następnie rozlewa się po powierzchni kolonii, w miarę, jak drażnienie udziela się sąsiednim zwierzątkom. Napisałem palcem moje nazwisko na wielkiéj ognicy, kiedy leżała na pokładzie w nocy, a nazwisko to wyszło w kilka sekund w ognistych literach."

Wspaniała jest fosforescencya tak zwanéj *Phyllirhoe bucephala*. Ta mała przezroczysta istota żyje życiem morskiém, pływając swobodnie po wodzie i oddychając całą powierzchnią swoją, gdyż niéma specyalnych organów oddychania. Światło wywięzując się z wielu miejsc na ciele, czyni tkanki przezroczystemi i jasnemi. A kiedy pływa, cała powierzchnia wody jaśnieje rozlaném światłem. Niéma, jak się zdaje, specyalnéj substancyi fotogenicznéj. Światło pochodzi z kulistych komórek z powłoką, kończącą się w zewnętrzném pokryciu nerwu.

Niektóre wężogony odznaczają się świetną fosforescencyą i przy dzisiejszym stanie wiedzy naszéj, podług Duncana, powiedzieć można, że żyjące w większych głębokościach są więcéj świecące, niż te, które przebywają na wodach płytkich. Świecenie ich niéma żadnego związku z temperaturą powierzchni wody. Znakomity opis tych zjawisk podał główny kierownik wyprawy naukowéj, odbytéj na statku „Challenger", Sir Wyville Thomson, w swojéj poprzedniéj rozprawie: *The Crui-*

se of the Porcupine. Przed kilkoma laty Quatrefages, w wyczerpującym artykule rozbierając fosforescencyą zwierząt morskich, przypisywał światło wywiązywane przez wężogony kurczeniu się muskułów. Ale świecenie to pokazuje się na tarczy wężogona, powiada profesor Duncan, a jednak niéma tam włókien muskularnych.

Nie zapuszczając się w dalsze wywody, które przechodziłyby ramy niniejszego artykułu, streszczamy za profesorem Duncanem kwestyą w ogólnych zarysach.

Nie ulega wątpliwości, że niedostateczne są nasze wiadomości z anatomii i fizyologii organów fotogenicznych (wywiązujących światło) wielu zwierząt. Ale i przy dzisiejszéj naszéj wiedzy można otrzymać pewne dostatecznie określone poglądy na kwestyą fosforescencyi zwierzęcéj. Przedewszystkiém spektroskop nie jest dostatecznym środkiem pomocniczym w tych badaniach. Narzędzie to powiada nam, że światła tego nie wydaje gaz, a nadto, że jest tu cóś nadzwyczajnego, gdyż zielona część widma świeci niejako w części najmniéj łamliwéj, czyli, że jest większe natężenie w pobliżu koloru czerwonego, niż w innéj części. Sama nazwa fosforescencya niéma naukowéj podstawy; odnosi się ona tylko do podobieństwa świecenia świetlika, oraz światła towarzyszącego utlenianiu się fosforu.

Grzyby, zepsute ryby, oraz mięso niektórych raków, świecą pod pewnemi warunkami, ale zjawiska te różnią się od zjawisk, odbywających się na żywych istotach.

W niektórych zwierzętach niéma specyalnych przyrządów fotogenicznych (służących do wywiązywania światła); w innych stanowią je nadzwyczaj łamliwe substancye, zawarte w komórkach; w owadach komórki te przechodzą w specyalne organa, które zaopatrzone są w rurki powietrzne, nerwy i krew. Quatrefages wykazuje nadzwyczajną jasność i wyraźność umiejscowionych punktów światła, jakie przedstawia *Noctiluca*, i kładzie nacisk na to, że w odpowiedniéj ich masie znajduje się tyle wydzielonego światła, co i z organu świetlika (*Lampyris*). Jest wszakże różnica pomiędzy tém światłem: światło ich znika w próżni, ale powraca tylko w świetliku [1]). Dwa rodzaje zjawisk są prawdopodobnie obecne, i w najprostszém zwierzęciu przyczyna fizyczna światła jest prawdopodobnie różna od przyczyny światła w owadzie. Pewną jest rzeczą, że wszystkie czynniki, które wywołują kurczenie się protoplazmy w wymoczku *Noctiluca*, powodują powstawanie światła, a w razie trwałego kurczenia się, światło jest również trwałe, czego wynikiem jest śmierć.

Ponieważ światło pochodzi z miejsc gdzie wzrasta, to osadzanie się świeżéj protoplazmy i dzielenie się na drobne ziarnka odbywają się w całéj pełni, i ponieważ doświadczenie dowiodło, że przy-

[1]) „There is, however, this difference between the light: it is extinguished in both *in vacuo*, but it returns only in the *Lampyris*." M. Duncan, op. cit.

rost temperatury nie towarzyszy temu światłu, to przyczyna jego nie może być odniesioną do gorzenia, utleniania się, albo do fosforu, ale do miejscowego, a ztąd ogólnego, molekularnego ruchu natężonéj prędkości, który może sprawić fale świetlne.

W przypadku tak zwanym *Pholas*, wielkie ilości téj świetlnéj substancyi mogą być zebrane, ale temperatura nie zostaje w żadnym stosunku do światła. Jeżeli kilkanaście osobników położymy na rękę, co mniéj więcéj daje światło tak jasne, jak światło świécy, temperatura nie podniesie się przez to wcale. Wiadomość o utlenianiu się materyi, wywołującém jasne światło bez ilości ciepła, dającéj się oznaczyć, niéma wielkiego znaczenia, i nie ulega wątpliwości, że gdyby samica świetlika (*Lampyris*), świecąca na wilgotnéj trawie tak, iż światło jéj widoczne jest na kilka kroków, mogła wywiązywać odpowiednią ilość ciepła, to zostałaby literalnie usmażoną. Obserwowany w ciągu dnia, w cieniu, świetlik nie świeci tak, jak w nocy, i trudno jest zmusić go do wydawania światła przez drażnienie. Po północy widoczne jest zmniejszanie się światła. Wpływ nerwu jest bardzo widoczny w owadach, nie tyle jednak, kiedy budowa jest szczątkową. Ponieważ *Noctiluca* ma źródło powstawania światła pomieszczone na samym krańcu nitkowatéj protoplazmy, to światło to pozostaje w związku z umiejscowioną siłą, energią życia. Zjawiska wywiązywania światła przez takie substancye, jak siarek baru, nawet kiedy to wywiązywanie światła trwa krótko, są następstwem molekularnéj zmiany i ruchu. Pewne minerały nabywają tego ruchu przez wystawienie ich na działanie słońca, albo też sztucznego światła, o silném natężeniu. Łatwo jest zrozumiéć, że jeżeli energia życia, przywiązana do niestałéj substancyi białkowéj, podstawy organizmu zwierzęcego i roślinnego, może wywiązywać ciepło i elektryczność, to może również, jako najwyższy czynnik fizyczny, sprawiać ruch molekularny, dostateczny do wytwarzania fal świetlnych.

Według powszechnie przyjętéj opinii, jaja ostrygi zapładniają się wewnątrz muszli rodzica, w wydrążeniu, w którém pozostają młode, dopóki nie zostaną zaopatrzone własnemi muszlami. Opuszczają rodzica swego w dostatecznie posuniętym stanie rozwoju, a okres ich wolnéj egzystencyi jest bardzo krótki. Podług Brooks'a [1]), w ostrygach amerykańskich rzeczy idą w zupełnie odmienny sposób. Nie znajdując wcale młodych ostryg w pomienioném wydrążeniu u rodziców, próbował on sztucznie zapładniać jaja, i dokonał tego z powodzeniem, hodując miliony młodych ostryg i przeprowadzając je przez wszystkie stadya rozwoju, aż do czasu, w którym nabywają one wszystkich cech opisanych przez Saleńskiego, Möbiusa, Lacaze-Duthiers'a i innych, w młodéj ostrydze europejskiéj, w czasie kiedy ta ostatnia opuszcza swojego rodzica. Z drugiéj strony nie znajdował on nigdy młodych ostryg wewnątrz pomienionego wyżéj wydrążenia ostrygi dojrzałéj.

[1]) *Silliman's American Journal*, December, 1879.

Ogólne rezultaty badań Brooks'a streścić można w następujący sposób:

1. Ostryga w praktyce jest jednopłciową (*practically unisexual*); kiedy czas wydawania potomstwa nadchodzi, każdy osobnik zawiera albo jaja, albo spermatozoa wyłącznie.

2. Segmentacya jaja postępuje bardzo szybko: uskutecznia się w ciągu około dwu godzin i daje początek istocie, opatrzonéj pokryciem, jamą do trawienia, oraz krążkiem rzęs, czyli zasłoną (*circlet of cilia or velum*). W tym stanie rozwoju, zarodki przyczepiają się do powierzchni wody i tworzą gęstą warstwę około $^1/_4$ cala grubości.

3. Jama do trawienia rozszerza się, dostaje rzęs; otwór odchodowy występuje tuż około ust.

4. Zarodki zstępują na rozmaitą głębokość, pływają przy pomocy rzęs zasłony. Muszle narastają nad kanałem pokarmowym i zasłoną, a zarodek przybiera formę tak podobną do rozmaitych morskich zarodków blaszkoskrzelowych (*lamellibranch embryos*), iż niepodobna wziąć je za ostrygi, bez śledzenia ich rozwoju od stanu jaj.

5. Jajniki (*ovaria*) ostryg, mających około $1^1/_2$ cala długości a prawdopodobnie około roku wieku, zapłodnione płynem nasiennym osobników męzkich, rozwijają się normalnie.

Znany paleontolog czeski, dr. Antoni Fricz, rozpoczął wydawnictwo monografii fauny węgla i kamienia wapiennego formacyi permskiéj w Czechach. Bardzo ciekawy zbiór szczątków kopalnych odkryty został w tych skałach w ciągu ostatnich dziesięciu lat. Obejmuje on obecnie około 43 gatunki zwierząt ziemnowodnych, 33 ryb, 11 pierścienic i wiele innych nadzwyczaj ciekawych. Dr. Fricz opisał je szczegółowo w dziele noszącém tytuł: *Fauna der Gaskohle und der Kalksteine der Permformation Böhmens*, którego część pierwsza wyszła na widok publiczny.

Bliższe szczegóły podamy w jednym z następnych artykułów.

W miesiącu styczniu r. b. odbył się w Petersburgu VI zjazd przyrodników i lekarzy. Sądzimy, że zajmie czytelników wiadomość o treści naukowych badań, których rezultaty szczegółowo rozbierane były na posiedzeniach tego zjazdu na ogólném zebraniu i we właściwych sekcyach.

Przed niedawnym czasem profesor Beketow wystąpił z propozycyą względem zbierania kolekcyi botanicznych, a mianowicie, aby wspólnemi siłami wszystkich członków sekcyi botanicznéj starać się o jak największe i najbogatsze zbiory botaniczne, zachęcając do téj pracy każdego mającego chęć nią się zająć, w celu następnego odsyłania zebranych kolekcyi do gabinetów prywatnych uczonych i uniwersytetów. Wystosowane w tym celu wezwania ze strony uczonych, jak objaśnił profesor Beketow na tegoroczném zebraniu ogólném, odniosły pożądany skutek: odpowiedziały na nie nie tylko osoby wyższych, ale

i średnich klas, a nawet włościanie, i żądane zbiory botaniczne jak powódź zalały literalnie gabinety uczonych, dostarczając bogatych materyałów do ich naukowych badań.

Z tego powodu, skoro botanicy uznali całą ważność powszechnéj pracy nad gromadzeniem kolekcyi, zdaniem p. Domherr, które wygłosił na następném posiedzeniu, w sekcyi geologii i mineralogii, byłoby również bardzo pożyteczną rzeczą, aby téj metody chwycili się i geologowie, którzy nie potrzebują, dla dopięcia tego celu, rozpraszać się po rozległych przestrzeniach kraju, ale mogą ograniczyć się jedynie na niewielkiém terytoryum, na które mówca proponuje okolicę przyległą morzu Azowskiemu, obfitującą w bogate pokłady węgla kamiennego. Jeszcze bowiem w r. 1875 potwierdził to na posiedzeniu charkowskiego Towarzystwa badaczy przyrody, znany geolog Lewakowski. „Pomimo licznych poszukiwań, dokonanych na terytoryum donieckiém—powiedział uczony profesor—dotąd pozostaje nierozstrzygniętą ostatecznie nawet najważniejsza kwestya: o jego pochodzeniu. Pomiędzy licznemi przyczynami, które utrudniały rozstrzygnięcie téj kwestyi, jednakowo ważnéj tak pod względem czysto naukowym, jak i pod względem praktycznym, najgłówniejszą jest brak dokładnych badań nad rozdziałem skamieniałości, właściwych rozlicznym grupom warstw w ich prawidłowém i nieprzerwaném następstwie. Bez zachowania tego ostatniego warunku, dosyć znaczna liczba gatunków kopalnych szczątków zwierząt i roślin, znanych dotąd z rozmaitych miejscowości pokładów węglowych donieckich, przedstawia materyał, który nie może służyć do ustanowienia charakterystyki paleontologicznéj. Dla dopięcia pożądanego celu za jedyny środek służy najszczegółowsze i najstaranniejsze badanie, o ile można, długiego i nieprzerwanego przecięcia poprzecznego.” Profesor Lewakowski ofiarował swoje usługi dla wykonania nowych badań, ale choroba nie pozwoliła mu urzeczywistnić tego przedsięwzięcia. Kierując się powyższą myślą, projektodawca chciał daléj prowadzić dzieło rozpoczęte przez profesora Lewakowskiego, i z dwu ekskursyi swoich w kotlinę doniecką wyniósł to przekonanie, że pojedyncze usiłowania nie są w stanie sprostać temu wielkiemu zadaniu, a przynajmniéj niewiele posuną kwestyą w mowie będącą. I dlategoto mówca radził zaapelować do ogółu, i do pracy powołać wszystkie te osoby, które tam ciągle przebywają i przy dobrych chęciach zawsze mogą dostarczyć materyału naukowego.

Pomijając podany przez Kątkiewicza opis budowy geologicznéj Krzywego Rogu, leżącego na granicy gubernii Chersońskiéj i Jekaterynosławskiéj, gdzie pod czarnoziemem zalegają poniżéj poziome warstwy wapienia trzeciorzędowego, notujemy podaną przez Antonowicza informacyą *O śladach lodowców na wyspie Hochland i podniesieniu się téj wyspy.*

Wyspa Hochland znajduje się, jak wiadomo, na samym środku zatoki Fińskiéj i leży prawie w jednakowéj odległości od brzegów estlandzkiego i finlandzkiego, a w kierunku południowym prawie, na po-

łowie długości zatoki Fińskiéj. Jestto nie wielka podłużna wyspa, około 10 wiorst długa i 2 wiorsty szeroka. Długą swoją osią ciągnie się ona z NNW na SSO, to jest w tym głównym kierunku, w którym idą w Finlandyi rzeki, doliny, jeziora, fiordy i t. d. Wyspa Hochland przedstawia jednę prawie całkowitą i tylko w jedném miejscu głęboką doliną rozciętą masę skał krystalicznych, obfitujących w porfir kwarcowy, granit i dyoryt; nierównie mniéj rozszerzone są: gnejs, konglomerat, czyli zlepieniec kwarcowy, oraz różne łupki. Na całym Hochlandzie znajdują się tylko dwie wioseczki fińskie, których mieszkańcy żyją z połowu ryb i jeszcze korzystniejszego połowu szczątków, pozostałych z rozbijania się okrętów, a nadto latarnia morska. Prawidłowéj komunikacyi z lądem wyspa nie posiada.

Ale wprzód słówko o lodowcach i ich ogólném znaczeniu.

Kwestyą lodowców podnosimy tém chętniéj, że dotąd nie rozbieraliśmy jéj na kartach *Biblioteki.* I dlatego streszczenie rezultatów osiągniętych przez p. Antonowicza poprzedzamy ogólnemi uwagami.

Porównanie z kolei po sobie następujących zmian flory i fauny, w ciągu rozwoju ziemi aż do chwili obecnéj, wykazuje ciągłe zmniejszanie się powolne ciepła, zmianę stosunków klimatycznych, objaśniane kolejném grubieniem skorupy naszéj planety, oraz stopniowém zmniejszaniem się wpływu jéj wewnętrznego ciepła. W jakim stosunku pozostaje do tego zmniejszania się ciepła czas trwania wielkiego okresu lodowego, w ciągu którego nadzwyczajne zimno powstrzymało i zakłóciło prawidłowy bieg natury [1])? Zaledwie lat kilka dziesiątków upływa od czasu podniesienia do godności nauki teoryi objaśniającéj te zjawiska, inaugurowanéj przez uczonych szwajcarskich Venetza i Charpentiera, a rozwiniętéj w następstwie przez L. Agassiza i K. Schimpera.

W wielu krajach górzystych i na równinach napotykają się wielkie głazy kamienne, przeniesione daleko od pierwotnego ich miejsca znajdowania się, tak zwane kamienie erratyczne czyli błędne. Napotykają się na bokach gór, gdzie się przypadkowo zatrzymały, a oraz w takich miejscach, do których mogły się dopiéro dostać po przebyciu gór, dolin, jezior. Kamienie te przylepione nieraz do stromych boków gór i o tyle tylko zabezpieczone w swojéj pozycyi, iż nie staczają się na dół, stanowią nieraz ogromne głazy, ważące kilkadziesiąt centnarów i odległe na wiele mil od miejsca pierwotnego ich pochodzenia. Tak np. wielki głaz z drobnoziarnistego granitu, przeszło 30 łokci długi, mający objętości około 750,000 stóp sześciennych, a który znajduje się w lesie Chaumont, pod Neuburgiem, w Szwajcaryi (zwany on jest *Pierre-á bot* i pochodzi z kantonu Wallis), odległy jest przeszło 10 mil od miejsca pierwotnego swojego pochodzenia. Inny głaz, zwany Potworem (*Bloc-monstre*), przeszło 35 łokci wysoki, a 32 łokcie długi, a ma-

[1]) Znakomitą pracę w téj materyi ogłosił przed kilkoma laty uczony angielski J. Croll, pod tytułem: *Climate and Time in their geologicale helation*; by James Croll, London, 1875.

jący przeszło 250,000 st. sześć. objętości, znajduje się na wzgórzu Montel pod Devent, i stanowi odłam z wapienia doliny Avançon. Kamienie takie napotykają się w wielu krajach, a między innemi (oprócz Szwajcaryi, gdzie znajdują się w wielkiéj ilości) na całéj równinie północnéj Europy, około mórz: Północnego, Baltyckiego, zatoki Finlandzkiéj i morza Białego. Są tam wielkie i małe kamienie błędne, już rozrzucone w znacznéj od siebie odległości, już zebrane pod postacią wzgórz, wałów i ław, nieraz zakopane w piasku. Wszystkie one, to jest tak gatunki skał, jak i wiele skamieniałości pojawiających się jako kamienie błędne, okazują niewątpliwe wskazówki, świadczące o ich pochodzeniu ze Skandynawii. Jakim sposobem dosięgły miejsc, w których się obecnie znajdują? Jakim sposobem przebyły jeziora, cieśniny, morza i dostały się na wierzchołki albo téż spadziste boki zbyt oddalonych gór od miejsc swojego pierwotnego pobytu? Ani wielkie powodzie, ani rwące potoki i gwałtowne prądy wodne, ani straszliwe wybuchy gazów, ani pływające lody po morzach i jeziorach nie były w stanie dostarczyć dowodów, przy pomocy których możnaby usprawiedliwić i objaśnić przeniesienie tych olbrzymich głazów północnych na tak wielkie odległości. Podjęte w tym celu usiłowania Saussure'a, Deluc'a i innych badaczy przyrody, dla objaśnienia przesunięcia tych głazów okazały się zupełnie bezowocnemi. Dopiéro prace Venetza i Charpentiera wyświetliły tę kwestyą i dały początek nowéj nauce, według któréj cały kanton Wallis był zajęty kiedyś przez ogromny lodowiec, sięgający daleko poza jego granice, i który przyniósł na swoich barkach wielkie głazy alpejskie. Teoryą tę rozwinął Charpentier w znakomitém dziele swojém: *Essais sur les glaciers et le terrain erratique du bassin du Rhône*, w którém po pierwszy raz wypowiedziane zostały racyonalne poglądy, objaśniające kwestyą w mowie będącą.

Nauka Charpentier'a niebawem zyskała wielu zwolenników, którzy w poglądach swoich zachodzili jeszcze daléj, przyjmując nietylko okres powstawania lodowców, ograniczony do Alp Szwajcaryi, ale ogólny wielki period, w ciągu którego przeważna część naszéj planety pokrytą była śniegiem i lodem, i kombinując pogląd ten z dawniejszą opinią uczonych. Według téj opinii, historya rozwoju naszéj planety przedstawia szereg odrębnych okresów, w ciągu których stale występujące zimno powodowało zagładę reprezentantów świata roślinnego i zwierzęcego, a w miarę cofania się lodowców i powrotu ciepła, występowało na scenę nowe życie organiczne.

Inaugurowaną przez Venetza i Charpentiera teoryą rozwijali daléj K. Schimper i L. Agassiz. Ten ostatni, po przeprowadzeniu badań swoich, poparty przez wielu innych uczonych, jakimi byli: Escher von der Linth, Desor, Keller, Coulon, Nicolet, Vogt i inni, wystąpił z dwoma wielkiemi dziełami: *Untersuchungen über die Gletscher*, oraz: *Système glaciaire*. Od tego czasu teorya lodowców spoczęła na trwalszych i racyonalniejszych podstawach, jakkolwiek do ostatnich niemal czasów kwestya ta dawała powód do gorącéj polemiki pomiędzy uczo-

nymi, a w któréj głównie brali udział Croll, Mosley, Tyndall, Forbes i wielu innych.

Lodowce są to ruchome masy lodu, wypełniające doliny i zachowujące się tak, jak potoki; idą one śladem wszelkich zwrotów i wygięć napotykanych w dolinie: mniejsze, spotykając się z sobą, łączą się razem, tworząc jeden większy. Tak np. wielki lodowiec z Mont-Blanc, zwany Morzem lodowém (*Mer de Glace*), powstaje ze złączenia się trzech innych, noszących nazwę: Glacier du Géant, Glacier du Talèfre i Glacier de Léchaud. Ruch lodowców szybszy jest w kierunku ich linii środkowéj, niż na brzegach, gdzie następuje opóźnianie pod wpływem tarcia, szybszy na powierzchni górnéj, niż dolnéj, gdzie grunt stawia mu opór. Ruch lodowca wzrasta w miarę pochylania się powierzchni, po któréj się odbywa, i szybszy jest w lecie, niż w zimie. Z niezwykłą siłą posuwa przed sobą wał złożony z gruzu i odłamów skał, jaki sam utworzył na swéj granicy, czyli morenę przednią, niszcząc wszystko co spotka na drodze, ryjąc ziemię, wyrywając z korzeniami drzewa, i t. d. O ruchu tym przekonać się można bardzo łatwo, gdyż znajdujące się na lodowcu kamienne głazy i inne odłamy i przedmioty zmieniają swoję pozycyą, co sprawdzić można przy pomocy narzędzi. Średnio posuwanie się to w lecie wynosi kilkanaście cali na dzień.

Nie wchodzimy tu w bliższy rozbiór fizycznéj natury lodowców i przyczyn ich posuwania się czyli ruchu; zaznaczamy tylko, że wszystko, co jest na ich powierzchni, co się znajduje w ich wnętrzu, musi brać udział w tym ruchu. Lodowiec tedy przyjmuje na siebie i niesie wszystko, co się dostanie na jego powierzchnię, zsunięte z boków gór, nad których poniżeniem pracuje. Takim sposobem znajdują się na nim ogromne głazy skalne, drobne kamyki i delikatny piasek. Część tych głazów unoszoną bywa aż do końca lodowca i tam spychaną; inne zsuwane bywają na boki, w czasie niesienia i nieraz odrzucane daleko. Drobne zaokrąglone kamyki nazywają jeszcze walunami. Kamyki i piasek przenikają do wnętrza lodowca, dostając się do jego dna. Zwały gruzu, odłamów skał, głazów i kamieni, jakie tworzy lodowiec na swoich granicach, nazywają się morenami, które bywają: przednie, boczne i środkowe. Te ostatnie powstają z połączenia się moren bocznych dwu lodowców, albo też z odpadków kawałków skał, wydostających się z lodowca, i t. d. Mer de Glace ma cztery równoległe moreny środkowe. Największą z moren środkowych posiada lodowiec Aarski: szerokość jéj dochodzi do 100, wysokość ma przeszło 40 stóp.

Powiedzieliśmy, że lodowiec, w swojém posuwaniu się, szlifuje, gładzi, czyli poleruje grunt, po którym odbywa drogę. Wyskoki i nierówności bywają zaokrąglane, do czego dopomaga piasek i szlam dostający się na dno lodowca.

Istnienia dawnych lodowców dowodzą oszlifowanie i wypolerowanie w dolinach, zaokrąglenie ich, wyżłobienie i t. d.; dowodzą tego również znajdujące się w znacznéj odległości zrysowane krzemienie, i zakopane w ziemi, które, toczone przez wodę, nie miałyby nigdy linii

i rys charakterystycznych. W końcu dowodzą tego dawne moreny, jużto boczne, równoległe do boków gór, już przednie, w kształcie półkola występujące w dolinę, różniące się od pokładów zwiru i piasku brakiem warstwowania. Odłamki skał i kamieni nagromadzone są w nich bezładnie. Bliżéj mogą być obserwowane tylko w razie rozkopania, ponieważ zazwyczaj są zarośnięte. Moreny dowodzą długiego pobytu lodowców w jednakowém rozszerzeniu. Jeżeli lodowiec ulega powolnemu cofaniu się, to masy gruzu i kamieni rozrzucane bywają na wszystkie strony bezładnie, i moreny tworzyć się nie mogą. Kamienie błędne, dostarczające najnieomylniejszego dowodu nadzwyczajnego rozszerzenia lodowców w czasach dawnych, przedstawiają tę charakterystyczną cechę, stanowiącą ogólne prawo, że w ciągu całéj swojéj podróży trzymają się ciągle tego samego boku doliny, z którego pochodzą, nie mieszając się wcale z kamieniami drugiego boku doliny.

Teorya o lodowcach, na podstawie podań uczonych szwajcarskich zbudowaną i stwierdzoną została, przeważnie co do Szwajcaryi. Poetycznie opisany jest ten okres w dziele Oswalda Heera: *Urwelt der Schweiz.* Niebawem zebrane zostały wiadomości, dotyczące lodowców w innych krajach i dawniejsze spostrzeżenia, dotyczące krajów północnych, zostały sprostowane. Co do Wielkiéj Brytanii, Lyell w dziele swojém: *Antiquity of Man* (roz. XIV), powiada, że nieliczne ślady fauny kopalnéj w Irlandyi przemawiają za tém, iż kraj ten był kiedyś zalany wodą, a cała wyspa w czasie okresu lodowego była archipelagiem. Na Grenlandyi i na Szpicbergu, oraz i w innych krajach Europy Północnéj, istnienie lodowców zostało naukowo stwierdzone. Na północy nowego świata zauważone zostały ślady okresu lodowego przez Desora i Agassiza; istnienie lodowców na półkuli południowéj i na Nowéj Zelandyi zostało stwierdzone przez Hochstettera i Darwina.

Takim sposobem istnienie okresu lodowego na całym pasie umiarkowanym i północnym zostało naukowo stwierdzone, rozumie się nie okresu lodowego w najobszerniejszém tego słowa znaczeniu, w którym życie organiczne zostało zniszczone, gdyż taka czasowa zagłada całéj natury organicznéj nie zgadza się z dowiedzionym stopniowym rozwojem fauny i flory zaginionéj.

Co do przyczyn, które powodują posuwanie się lodowców, kwestyą tę w rozmaity sposób objaśniano; nie mamy zamiaru jéj rozbierać, ile że kwestya ta wychodzi poza zakres popularnego artykułu. Zmiana środka ciężkości, w skutek rozszerzania się i kurczenia lodu pod wpływem temperatury, podawaną jest przez jednych za przyczynę tego zjawiska. Inni uważają podobnego rodzaju zmiany za mało znaczące, aby mogły wywierać skuteczny wpływ. Sam tylko ciężar nie może być przyczyną tego ruchu, gdyż inne ciała, posiadające mniejszą spójność niż lód, nie ulegają ruchowi nawet na większych pochyłościach. Podług Crolla, pod działaniem promieni słonecznych na lód następuje zmiana w ugrupowaniu jego cząstek, która może zmusić lodowiec do posuwania się naprzód pod wpływem swojéj ciężkości. Nie rozbiera-

my téj kwestyi, którą zajmowali się szczegółowo w czasach ostatnich J. Croll, J. Ball, H. Moseley, W. Matthew, Osler i inni uczeni, w specyalnych rozprawach naukowych, bo chcieliśmy tylko dać ogólne o niéj pojęcie.

Jak jest odległy i jak wielki był okres lodowy, t. j. czas trwania wielkich lodowców na ziemi? Trudno jest o cyfry pod tym względem. To jednak pewna, że okres ten ginie w mgle wieków i sięga poza czasy historyczne, t. j. przeszłości bardzo dalekiéj. W końcu tego okresu poczyna się historya rodu ludzkiego. Pewną jest również rzeczą, że do utworzenia się, oraz do cofnięcia się tych olbrzymich lodowców potrzeba było ogromnego przeciągu czasu. Wszystko odbywało się nie w sposób prawidłowy, ale z przerwami, jak tego dowodzą liczne i ogromne moreny, które przetrwały do czasów naszych. Gdybyśmy mogli wyrzec coś ściśle określonego o okresie lodowym i o tém, co ma z nim związek, tém samém, posunęlibyśmy się znakomicie naprzód na drodze do wyświetlenia wielkiéj kwestyi rozwoju ziemi. Dlatego wszelkie nowe szczegóły tém chętniéj podnosimy i dajemy miejsce w niniejszym artykule rezultatom badań p. Antonowicza, które nam dały sposobność przypomnienia w kilku słowach, co dotąd na tém polu zrobiono dla téj gałęzi wiedzy.

Jak wiadomo, już przed pewnym czasem wypowiedzianą była myśl, że dawny lodowiec finlandzki opuszczał się na południe, poniżéj zatoki Fińskiéj i południowych brzegów jezior Ładogi i Onegi. Przypuszczają nawet, że ta ogromna powłoka lodowa dochodziła do południowéj granicy walunów północnych w Rossyi. Otóż, jeżeli to ostatnie przypuszczenie, powiada Antonowicz, pozostaje dotąd więcéj lub mniéj prawdopodobną hypotezą, ale nie ściśle dowiedzionym faktem, to pierwsza myśl może być uważana za ustaloną w zupełności pod względem naukowym. Dowiedzioną jest rzeczą, jak wiadomo, że w Estlandyi, oprócz wygładzonych i odszlifowanych powierzchni skał wapiennych, znajdują się typowe nanosy lodowcowe, których nawet rozmieszczenie wykazuje niekiedy ich pochodzenie. Ten sam fakt dowiedziony został i względem gubernii petersburskiéj. Przed dwoma laty, na wiosnę 1878 r., kilku członków Towarzystwa mineralogicznego i Towarzystwa przyrodników zrobiło wycieczkę drogą żelazną Bałtycką do Jelizawietyna, gdzie własnemi oczami widzieli i własnemi rękami dotykali się leżącego wprost na wapieniu syluryjskim charakterystycznego nanosu lodowcowego, który tam różne nosi nazwy: gruzu lodowcowego, lela, grostengrusa i t. p. Nanos ten leży bezpośrednio pod cienką warstwą roślinną, i zachował się nienaruszonym i nietkniętym w tym stanie, w jakim prawdopodobnie istniał po stopnieniu lodowca; nie został on przemytym i rozsortowanym przez wodę, w skutek czego zachował nawet wśród swoich często kątowatych, a niekiedy odpolerowanych walunów, tak zwany pył lodowcowy. Ten ostatni fakt, między innemi, dowodzi, że przynajmniéj dla danéj miejscowości nie

było tego pogrążenia w morze polodowcowe, przyjmowane zazwyczaj dla północnéj i środkowéj Rossyi walunowéj.

Skoro takim sposobem dowiedzioném zostało, że dawna powłoka lodowcowa rozciągała się poza brzegi południowe odnogi Fińskiéj, to z tego już można było *a priori* wyprowadzić wniosek, że wyspy odnogi Fińskiéj, które podówczas leżały na poziomie i wyżéj poziomu lądu stałego, były pokryte lodowcem i powinny miéć na sobie więcéj lub mniéj widoczne ślady działania lodowcowego. Wywód ten potwierdzony został na wyspach Wielki Tiuters i Hochland na odnodze Fińskiéj, gdzie znaleziono dosyć wyraźne ślady działania lodowcowego, pomimo zaprzeczenia Hofmana.

Już z pierwszego wejrzenia na Hochland, na skulpturę jego skał, można widziéć na nim ślady polerującego działania lodowca. Skały nie mają ostrych konturów krawędzi, wydatnych grzebieni; przeciwnie, wszystko tu jest zaokrąglone, obtoczone, wypolerowane, zwłaszcza na bokach, zwróconych ku północy. Północna strona wyspy pochylona jest ku morzu i przedstawia skałę porfirową, zupełnie wygładzoną na powierzchni, odszlifowaną, z zachowaniem politury do pewnego stopnia. W wielu miejscach napotykają się podobneż powierzchnie wygładzone, na których niekiedy wybitnie występowały, ścięte do poziomu z główną skałą przechodzące w niéj białe igły kwarcowe. Najwyższe wzniesienie wyspy Pochjaskorkia (co znaczy po fińsku wzniesienie północne), na którém stoi górna latarnia morska, przedstawia ogromne czoło z zaokrągloną i wygładzoną stroną północną i wierzchołkiem, oraz z obrywającą się, spadzistą i nierówną stroną południową. Cokolwiek daléj na południe, znajduje się niższa nieco góra, Majakalio, również odszlifowana, a nawet odpolerowana i błyszcząca na słońcu, jak zwierciadło. Powierzchnia jéj tak dalece jest gładką, że do niéj nie mogły przyczepić się ani mchy, ani nawet porosty, i dlatego jest zupełnie nagą i błyszczącą.

Na północnym krańcu wyspy dostrzegać się daje grzęda walunów, których wielkość dochodzi od jaja kurzego do głowy człowieka; wszystkie mają kształt foremmy, zaokrąglony, po większéj części elipsoidalny, jak gdyby obtoczone zostały na warsztacie. Na żadnym walunie nie dostrzeżono ani zupełnie płaskich odszlifowanych powierzchni, ani zadraśnięć i szram, jakie niekiedy napotykają się na niedotkniętych przez wodę walunach lodowcowych. Samo rozmieszczenie grzędy bardzo ciekawe: nie jestto jakiś bezładny stos, ale foremny rzęd, ciągnący się równą, dobrze odznaczoną linią, szczególniéj na stronie zwróconéj ku morzu, i przedstawiający, chociaż i nie bardzo wyraźne, zawsze jednak widoczne ślady ustępów, czyli małych terasów. Grzęda ta o tyle jest foremna, że kiedy patrzymy na nią od strony morza, to wydaje nam się, że jest sztucznie ułożoną, jak gdyby to był rzęd kul armatnich w jakim arsenale. Rozmieszczona jest na pochyłym brzegu, w odległości 20 do 30 sążni od wody, i nie dosięgają do niéj fale morskie nawet podczas najsilniejszéj burzy. Pomiędzy brzegiem i ową grzędą rosną niewielkie sosny i jodły, lat 15 wieku ma-

jące. Dzisiejszy brzeg morski. tak w tém miejscu, jak i w innych, składa się z całkowitych skał pierwotnych, albo też z oddzielnych nieforemnych kątowatych brył, albo nakoniec z drobnego gruzu z piaskiem i z samego piasku, i ława cała przedstawia szczególny charakterystyczny utwór, różny cechami swojemi od reszty brzegów wyspy.

Cóż to za ława, pyta daléj mówca, i jakie wnioski można wyprowadzić z jéj rozbioru? Rzecz jasna, że dla utworzenia jéj potrzebne były: 1) materyał, masa walunów, oraz czynnik, który przyniósł je na dane miejsce; 2) czynnik, który dał tym walunom foremny zaokrąglony kształt. Wobec innych śladów lodowców na wyspie, występuje sama przez się myśl, że czynnikiem, który zgromadził waluny na tém miejscu, może być lodowiec, albo jakakolwiek z jego moren. I rzeczywiście przedstawiają one tyle różnorodnych gatunków, że w żaden sposób nie mogły być miejscowe. Pływające i nadbrzeżne bryły lodu także nie mogły nagromadzić takiego ich mnóstwa. A zatém pierwszą kwestyą można uważać za załatwioną. Czynnikiem zaś, który zaokrąglił waluny, według wszelkiego prawdopodobieństwa, była woda, a mianowicie bałwany morskie. Jakkolwiek i w lodowcowych nanosach trafiają się obtarte i zaokrąglone waluny, ale napotykają się one rzadko, nigdy nie stanowią większości w masie walunów, a tém mniéj jéj wyjątkowéj części składowéj; tu zaś, jakeśmy widzieli, cała grzęda składa się wyłącznie z walunów zaokrąglonych. A oprócz tego nad zaokrągleniem walunów pracowały mianowicie bałwany morskie. Gdyby zaokrąglane były przez potok górski, bieżący z wierzchołków wyspy, to wspomniana grzęda byłaby rozmieszczona nieprawidłowo, a kierunek jéj rozmieszczenia byłby pod kątem do morza; tymczasem idzie ona równolegle do brzegu morskiego, a zatém złożona była przez morze, i zaokrąglenie dokonywane było przez bałwany morskie, które same tylko mogły posiadać dostateczną siłę, aby toczyć waluny, niekiedy większe od głowy ludzkiéj. Jeżeli tak się rzecz ma, to konieczny ztąd wypływa wniosek, że kiedyś wyspa Hochland pozostawała głębiéj w morzu, a następnie podniosła się w górę, w skutek czego opisana grzęda znacznie oddaliła się od brzegu i wyszła już ze sfery działania dzisiejszych bałwanów morskich. O ile można sądzić na oko, grzęda ta leży 10 stóp wyżéj od poziomu morza, co pozwala przyjąć, że wyspa Hochland wystąpiła z morza na stóp 10, a takie podniesienie się téj wyspy wydaje się prawdopodobném.

W dalszym ciągu pomieniony naturalista podaje, iż ze zdziwieniem spotkał jeżeli nie zupełnie taką samą foremną grzędę, to przynajmniéj podobną do niéj massę zaokrąglonych walunów na równie wyższym poziomie, a mianowicie: między szczytem Pochjaskorkia, a wierzchołkiem góry Majakalio. Przestrzeń pomiędzy temi dwiema górami cała zawalona walunami bez żadnego ładu. Są one nierównie większe co do objętości, niż na dolnéj grzędzie, średniéj wielkości 4 do 5 stóp, w okręgu. Waluny również po większéj części zaokrąglone, ale nie tak foremnie: zresztą mniejsze mają i tu prawidłowe zaokrą-

glenie; w większych zaokrąglone są i wyrównane tylko wydatne nierówności i ostre krawędzie. Nie ma pomiędzy niemi ani piasku, ani gliny, ani ziemi roślinnéj, a z pod nich nie widać ani jednego krzaczka, i cała przestrzeń, pokryta grudą szarych walunów, przedstawia charakter dziki, martwy, pozbawiony życia. Że i ta grzęda nagromadzoną została przez lodowiec, o tém nie można wątpić. Miejscowe obłamki skał nie mogłyby dać takiego mnóstwa walunów, a przytém tak rozmaitych gatunków, i nie mogłyby tak jednostajnie zapełnić całéj przestrzeni pomiędzy górami. Prócz tego samo wyrzeźbienie skał jest tu takie, że lodowcowi było łatwo i wygodnie gubić materyały swojéj moreny. Pochjaskorkia od południa urywa się nagle, i ztąd zniżał się lodowiec, a następnie lodowiec ten zuowu musiał podnosić się na szczyt Majakalio, i rzecz jasna, w tém zagłębieniu nagromadziło się mnóstwo walunów. Co zaokrągliło te waluny? Znowu musimy zaapelować do morza. Niemożliwą jest rzeczą, aby ta masa pozostawała w tym kształcie, w jakim obnażoną została z pod lodowca. Że była przemyta przez wodę, dowodzi tego, oprócz zoaokrąglenia, jeszcze i ta okoliczność, iż pomiędzy walunami do znacznéj głębokości niema żadnych drobnych materyałów, drobnego gruzu, mąki lodowcowéj albo szlamu, które zawsze znajdują się w materyałach naniesionych przez lodowiec. Ta grzęda walunów nie mogła być również tamą, która zatrzymała masę wody stopniałego lodowca i przez to utworzyła jezioro, jak to często zdarzało się i zdarza z morenami, a następnie jezioro mogłoby już rozmyć swoję tamę i zaokrąglać waluny; miejsce bowiem, gdzie się one znajdują, nie stanowi zamkniętéj ze wszech stron kotliny i posiada dosyć spadziste boki. A jeżeli zgodzimy się na to, że te waluny zostały rozmyte i zaokrąglone przez bałwany morskie, to należy również przyjąć, że wyspa Hochland była jeszcze głębiéj w morzu, nie mniéj nad 150 stóp niżéj od dzisiejszego swojego położenia, i od tego czasu podniosła się, na też 150 stóp, gdyż ostatnia gruppa walunów znajduje się właśnie na takiéj wysokości od dzisiejszego poziomu morza.

Pomijając dalsze wywody, zakończymy rzecz tą wzmianką. że według jednozgodnego świadectwa wszystkich uczonych, którzy zwiedzali strony tamtejsze, wśród ich mieszkańców przechowały się tradycye, wspomnienia, i panuje powszechne przekonanie, że wyspy Finlandzkie i obecnie jeszcze podnoszą się nad poziom morza; uczeni nie widzieli cech albo jakichkolwiek śladów, któreby przeczyły temu przekonaniu, ale owszem fakta potwierdzają w zupełności, podniesienie się południowéj Finlandyi. Tak np. około Helsingforsu znaleziono muszle morskie w nanosie na wysokości 124 stopy nad poziomem morza. Na zasadzie innych znowu cech wnoszą, że południowy brzeg Finlandyi podniósł się na 142 stopy. Istnieją również wskazówki, dowodzące podniesienia się południowego wybrzeża zatoki Fińskiéj od strony Inflant. Na zachód od ujścia rzeki Narowy, pionowe skały, podstępujące do tego miejsca do samego morza, tu od-

stępują od brzegu do wnętrza kraju; tak, że tworzy się nadbrzeżna równina, 2 do 4 wiorst szeroka, ciągnąca się równolegle od brzegu, na przestrzeni 8 wiorst, do samego ujścia rzeki. Nie ulega wątpliwości, że poprzednio cała ta równina pokryta była morzem, które w następstwie powoli odstępowało, o czém świadczą nadbrzeżne wydmy (*dûnes*), ciągnące się na całéj téj równinie równolegle od brzegu i zupełnie podobne do dzisiejszych wydm. Na całéj téj przestrzeni pokrytéj stuletnim lasem, a poczęści błotami, takich piaszczystych wydm, wysokości 1 do 3 stóp, można naliczyć do 50. Pod Sillamega również widać odstąpienie pierwszego wielkiego terasu od brzegu do wnętrza kraju, i takież zupełnie nadbrzeżne wydmy, z tą tylko różnicą, że składają się one nie z piasku, ale z miejscowych walunów, t. j. zaokrąglonych odłamków wapienia sylluryjskiego.

Na posiedzeniu sekcyi anatomii i fizyologii, p. Cybulski zakomunikował sposób oznaczenia massy krwi u zwierząt.

Sposoby oznaczenia ilości krwi u zwierząt przedstawiają pewne niedokładności i pomyłki, których przynajmniéj w części można uniknąć, używając dla oznaczenia całéj massy krwi ilościowego oznaczenia hemoglobiny. Doświadczenie wykonywa się w następujący sposb: oznacza się ilość hemoglobiny w krwi normalnéj, następnie, po poprzedniém puszczeniu krwi, wprowadza się albo jakąkolwiek ciecz obojętną, albo téż krew innego zwierzęcia tegoż gatunku, znacznie różniącą się ilością hemoglobiny od krwi zwierzęcia wziętego do doświadczenia. Po upływie 7 minut od chwili wprowadzenia płynu, znowu mierzy się ilość hemoglobiny. Z tych danych oznacza się ilość krwi na zasadzie wywodów następujących: objętości krwi przy niezmiennéj ilości hemoglobiny będą się mieć w stosunku odwrotnym do ilości zawartéj hemoglobiny, t. j. będzie:

$$\frac{X}{X+A} = \frac{b'}{b}$$

gdzie A jest ilość wprowadzonego płynu, b ilość hemoglobiny w krwi normalnéj, b' ilość hemoglobiny w krwi rozwiedzionéj. W razie wprowadzenia krwi, wzór zmienia się w odpowiedni sposób. Oznaczywszy takim sposobem ilość krwi u zwierzęcia, puszcza się krew i znowu oznacza się ilość pozostałéj krwi. To drugie oznaczenie jest miarą dokładności podanego sposobu. Sposób dany wykazał co do ilości krwi u psa, że przy sprawdzaniu, różnica między pierwszém i drugiém oznaczeniem nie dochodziła 50 cent. sześciennych przy massie krwi wynoszącéj 1500 cent. sz.

W jednym z zeszłorocznych numerów czasopisma *Revue des Questions Scientifiques* (lipiec 1879 r.), de Lapparent zamieścił ciekawy artykuł o tworzeniu się gór. Wykazuje w nim, że zmiany położenia, podniesienie się a zwłaszcza pofałdowanie warstw, obserwowane w okolicach górzystych, są rezultatem silnego ciśnienia bocznego.

Zgasły przed kilkoma laty dożywotni sekretarz francuzkiéj Akademii nauk, znakomity geolog Eliasz de Beaumont, nauczał, że łańcuchy gór nie zajmują środków kontynentów i nie przedstawiają symetrycznych pochyłości z obu stron, ale znajdują się blizko morza, z nagłym spadkiem od strony ku niemu zwróconéj, podczas gdy przerwana strona pochyla się łagodnie, tworząc masę lądu stałego, i zazwyczaj kończy się w oceanie linią kraju nizkiego. Ten pogląd sformułowany został w prawo przez wielu geologów, zwłaszcza w Ameryce, gdzie długa linia gór Skalistych (*Rocky mountains*) i Andów dostarcza tak uderzającego przykładu na jego poparcie; a prof. Dana dodał, że kiedy dwa łańcuchy wzniesień tworzą dwa brzegi kontynentu, to zwrócony do wielkiego oceanu jest wyższym. De Lapparent wykazuje, iż aby zastosować te zasady do gór Starego Świata, a zwłaszcza do gór Europy, skłonnym jest do utrzymywania, iż skoro prawdą jest, że łańcuchy gór tworzą się zawsze w sąsiedztwie oceanu, to dla zrozumienia ich rozmieszczenia, potrzeba uważać geograficzne warunki, jakie panowały w okresie ich powstania. Poglądy swoje autor formułuje w następujący sposób: W epoce, kiedy łańcuch podniesień się dosięgnął już swojego głównego wyrzeźbienia, składa się on z dwóch spadków, bardzo nierównego pochylenia, z których jeden o pochyleniu łagodném, łączy się z lądem stałym, drugi zaś, nadzwyczaj urwisty, obrócony jest ku morzu. Takim sposobem góry Pirenejskie, które, jak wykazała geologia, podniesione zostały po utworzeniu się pokładów nummulitycznych, ale przed powstaniem pokładów mioceńcznych, były połączone stopniowym spadkiem ku południu z lądem stałym Hiszpanii, podczas gdy podnóże spadzistéj strony północnéj opłukiwało morze okresu miocenicznego. Powstanie Alp datuje od czasu przerwy między czasem miocenicznym i plioceńcznym. Ku północy łączą się łagodnym spadkiem z płaszczyznami Niemiec północnych, podczas gdy ku Lombardyi tworzą pionową ścianę, u któréj podnóża powstały osady morza Podapenińskiego. Co do innych łańcuchów gór Europy, to można postawić następujące ogólne prawo: łańcuch gór, w chwili swego powstania, zajmuje zawsze położenie nadbrzeżne; nie odbiega od niego w następstwie, z wyjątkiem chyba, kiedy ląd stały zwiększa się nowemi dodatkami, zgodnie z tém samém prawem. Jeżeli zatém obecnie góry Skandynawskie z jednéj strony, a Kordyliery z drugiéj, występują wprost z głębi oceanu, to pochodzi to ztąd, że dwa te łańcuchy należą do najświeższych formacyi, jakie powstały na kuli ziemskiéj; a geologia, jak wiadomo, usprawiedliwia w zupełności wniosek.

Z uważania sondowań, jakie w ostatnich latach były prowadzone, de Lapparent dochodzi do wniosku, że z ogólnego prawa, wielkie głębokości morza odpowiadają wielkim wzniesieniom lądu i leżą bezpośrednio przy ich podstawie.

Podniesienia się i opadania lądów, zdaniem de Lapparent'a, pochodzą z pofałdowań stosunkowo cienkiéj skorupy ziemi, czego powodem jest kurczenie się jéj płynnego jądra.

Dalsze wywody autora, mogące interesować geologów, dają się streścić w następujący sposób: Wszystkie nierówności powierzchni kuli ziemskiéj pochodzą z jednéj przyczyny, która ciągle jest w działaniu, chociaż prawdopodobnie musi objawiać się w pewnych przerwach; wskutek kurczenia się płynnego jądra następuje strata ciepła, zkąd pochodzi dla stałéj powłoki konieczność ciągłego przystosowywania się do nowéj formy, nałożonéj przez warunki równowagi. Takim sposobem od najdawniejszych okresów historyi świata, lądy stałe tworzyły się przez kolejne dodatki, które stopniowo czyniły swoje zarysy coraz więcéj złożonemi. Powierzchnia morza ciągle zmniejszała się w rozmiarach swoich, ale jednocześnie jego głębokość ciągle wzrastała, w miarę podnoszenia się kontynentów. Ztąd powstały te różne warunki fizyczne, w których skutki naturalne szerokości komplikują się tysiącem modyfikacyi, pochodzących z natury gruntu, wzniesienia, rozmieszczenia, sąsiedztwa, lub oddalenia od morza.

Przed rokiem podaliśmy na kartach *Biblioteki* szczegółowe sprawozdanie o pracach p. Michała Girdwoynia na polu pszczelnictwa i ichtyologii. Obecnie notujemy dla wiadomości czytelników, że znakomity nasz specyalista na polu rybactwa podniósł w *Gazecie Rolniczéj* kwestyą poprawienia stanu hodowli ryb w kraju naszym, dowodząc bardzo przekonywająco, bo na cyfrach smutnego stanu, w jakim pozostaje u nas ta ważna gałąź gospodarstwa. Sprowadzamy do trzech milionów funtów ryb rocznie ze Szlązka i Czech, dla saméj Warszawy, to jest za sumę około pół miliona rubli, a pomimo to nie staramy się usunąć tego zaniedbania i obojętności, jakie pod tym względem panują. Za dowód, o ileby bogactwo krajowe wzrosło w razie podniesienia téj gałęzi gospodarstwa wiejskiego, posłużyć może fakt, że za 52 jeziora hr. Feliksa Broel-Platera, w guberniach wileńskiéj i kowieńskiéj, których powierzchnia wynosi około 1200 morgów, płacono dawniéj 4000 rubli dzierżawy, obecnie zaś, kiedy kierunek gospodarstwa rybnego w tych dobrach przeszedł w ręce znakomitego autora *Patologii ryb*, za jedno tylko jezioro rata dzierżawna wynosi 4500 rs.

Dla zaradzenia złemu, p. Girdwoyń proponuje założenie muzeum rybackiego, wraz z akwaryum i pstrągarnią. Pstrągarnia służyłaby do nauczania hodowli ryb łososiowatych i tworzyła praktyczną stronę założonego muzeum, hodowane bowiem rybki możnaby sprzedawać celem wytworzenia odpowiedniego dochodu od wyłożonego kapitału na ufundowanie muzeum, a którego część już złożoną została. Czy brakującą sumę złożą ludzie możni, pojmujący doniosłość sprawy? pyta p. Girdwoyń we wspomnionym artykule. Przyszłość to pokaże.

Uczony amerykański Claypole, profesor w Montreal, dowodzi w znakomitéj swojéj rozprawie o wędrówkach reprezentantów flory, którą czytał na zgromadzeniu naturalistów w tém mieście, że podczas, gdy zaledwie kilka gatunków amerykańskich dostało się na ląd stary, przebywszy ocean Atlantycki, liczba roślin, które dokonały emigracyi z Europy do Ameryki, tam się zaaklimatyzowały i wzięły przewagę nad gatunkami miejscowemi, jest nadzwyczaj znaczną. Uczony profesor amerykański wykazuje, że w peryodzie miocenicznym rośliny obu wymienionych części świata były bardzo do siebie zbliżone, zwracając uwagę na to, że warunki klimatyczne w ogóle i wzajemne stosunki, nie objaśniają dostatecznie tak widocznéj obecnie różnicy reprezentantów flory starego i nowego świata. Podczas, gdy flora amerykańska zachowała dawne swoje cechy mioceniczne, europejska, poczynając od tego okresu, wielkim uległa zmianom. Uczony profesor wnosi, że zmienność typów roślin europejskich pochodzi z ich zdolności naginania się do rozmaitych warunków zewnętrznych, zmiennego klimatu i t. d., co dowodzi jéj plastyczności, zdolności przystosowywania się do nowych warunków życia; przeciwnie, stałość i niezmienność reprezentantów świata roślinnego w Ameryce pochodzi z ich niezdolności do przystosowywania się do nowych warunków życia, skutkiem czego rośliny amerykańskie nie mogą stawić dostatecznego oporu i giną w starym świecie w téj walce o byt, *struggle for existence*, jak ją nazywał K. Darwin.

Potrąciwszy o nazwisko wielkiego naturalisty angielskiego, nie możemy pominąć milczeniem świeżo wyszłéj książki o jego znakomitym przodku Erazmie, a któréj autorem jest Ernest Krause. Książkę tę Krausego: *O Erazmie Darwinie*, przełożył na język angielski członek Towarzystwa Linneusza W. S. Dallas, a wnuk jego, twórca teoryi pochodzenia gatunków, opatrzył ją obszernym wstępem. Podług zdania dra Krause, dziad Karola Darwina, zarówno znakomity jako filantrop, jak również, jako lekarz, naturalista, filozof i poeta, jest nierównie mniéj znany i ceniony przez potomność, niż na to zasługuje, w porównaniu z innymi uczonymi, zajmującymi podobne stanowisko. Prawda, że to, co jest najważniejszém z jego wielostronnych prac i usiłowań, a mianowicie jego szeroki pogląd na filozofią natury, nie było zrozumiałe dla współczesnych; dziś dopiéro, po upływie przeszło stu lat, dzięki olbrzymim pracom jednego z jego wielkich potomków, jesteśmy w stanie ocenić prawdziwe znaczenie jego zasług w dziedzinie biologii. W nim, jak powiada dr. Krause, znajdujemy tego samego niezmordowanego ducha, zmierzającego do wielkich badań, prawie tę samę dążność biologiczną, co w jego znakomitym wnuku, i możemy nie bez słuszności utrzymywać, że ten ostatni odziedziczył spadek intelektualny i przyniósł na świat program, naszkicowany przez swego wielkiego dziada. Ale jednocześnie, ciągnie daléj dr. Krause, znajdujemy ważną różnicę w ich wykła-

dzie praw natury. Stary Darwin był lamarckistą, czyli właściwiéj mówiąc, Jan Lamarck był darwinistą dawniejszéj szkoły, gdyż rozwinął tylko daléj poglądy Erazma Darwina, i dlatego E. Darwinowi należy się uznanie, że pierwszy zbudował system teoryi ewolucyi. Słuszną zatém jest rzeczą, aby wyprowadzony został z tego zapomnienia, w jakiém się dotąd znajdował, i to właśnie położyli sobie za zadanie dr. Ernest Krause i autor dzieła: *On the Origin of Species* [1]).

Erazm Darwin pochodził z Lincolnshire i urodził się w końcu r. 1731, w Elston Hall. W młodym już wieku objawiał wielkie zamiłowanie do poezyi i do mechaniki i obie te gałęzie wiedzy uprawiał do ostatnich chwil życia swego. W roku 1750 wstąpił do S. John's College, w Cambridge; ten wyższy zakład naukowy ukończył w r. 1754. Poczém udał się do Edymburga dla studyowania medycyny, zkąd, po pewnym czasie, powrócił do stolicy Szkocyi, a następnie w r. 1755 do Nottingham i Lichefield, gdzie osiadł jako lekarz i gdzie przebył na tém stanowisku przez 25 lat. Umarł w Derby, w kwietniu 1802 roku.

Prawie każde pojedyńcze dzieło młodszego Darwina, powiada dr. Krause, daje się porównać przynajmniéj z jakimś rozdziałem w dziełach jego dziada; tajemnica dziedziczności, przystosowywanie się organizmów do otaczających warunków, ochronne podobieństwa zwierząt i roślin, dobór płciowy, rośliny mięsożerne, oraz rozbiór uczuć i pobudek socyologicznych, co większa, nawet poszukiwania i studya nad niemowlętami, znalazły już miejsce i rozbiór w pismach starszego Darwina. Wszelako dziad autora dzieła: *O pochodzeniu gatunków*, nie podał nigdzie swoich poglądów na przyrodę i rozwój organizmów w jednéj formie, ujętéj w systematyczną całość, ale dorywczo rozrzucił wszystkie te szczegóły, pomieszczając je w przypiskach do swoich różnych utworów poetycznych, i tylko częściowo zebrał je i sformułował ściśléj w swojém dziele, noszącém tytuł *Zoonomia*. Ale nawet w tych bezładnie rozrzuconych notatkach znajdujemy, jak powiada Ernest Krause, najbardziéj uderzające podobieństwa pomiędzy Erazmem Darwinem i jego znakomitym potomkiem; widać w nich obu ten sam szeroki pogląd filozoficzny, w połączeniu z nadzwyczajną zdolnością do zbierania i grupowania ogromnéj masy szczegółów z najrozmaitszych źródeł, na poparcie i wyświetlenie kwestyi rozbieranych. Inaczéj mówiąc: Erazm Darwin, podobnie jak i Karol Darwin, doszli widocznie do jednego przekonania, co do początku form organicznych drogą ewolucyi, czyli stopniowego rozwoju, ale uczony z Lichefield uważał, że ten proces pochodzi z pobudek wewnętrznych raczéj, niż działaniem zewnętrznych warunków, z których bierze początek wybór naturalny pod wpływem walki o istnienie.

---

[1]) *Erasmus Darwin.* By Ernst Krause. Translated from the German by W. S. Dallas. With a preliminary notice by Charles Darwin. London, 1879.

Tak więc Erazm Darwin, ściśle biorąc, jest prawdziwym założycielem nauki ewolucyonistów, gdyż jakkolwiek niektórzy autorowie, a między nimi i S. Butler [1]), starali się w czasach ostatnich, część zasługi pod tym względem przypisać znakomitemu francuzkiemu naturaliście Buffonowi, z tém wszystkiém jednak przeważna większość uczonych nie podziela tego zdania.

T. Skomorowski.

---

[1]) *Evolution, Old and New, or the Theories of Buffon, dr. Erasmus Darwin, and Lamarck, as compared with that of Mr. Charles Darwin.* By Samuel Butler. London, 1879.

KRONIKA PARYZKA,

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Weselne gody Attyli, dramat Henryka Bornier.—*Nowe studya słowiańskie* p. Ludwika Léger: *Karol z Żerocina; Powieści pani Greville; Weda bulgarska.*—*Dwaj dyplomaci: hr. Atanazy Raczyński* i *Donozo Cortez*, *margrabia Veldegamas*, przez hr. d'Antioche.—Zmarły powieściopisarz i publicysta Edmund Duranty.—Poprzedniki Zoli.—Najnowsze dzieło o Miltonie.—Wystawa rzeźb i obrazów na Polach Elizejskich.

Dramat Henryka Bornier, p. t.: *Weselne gody Attyli*, zaświecił na tutejszym widnokręgu literackim, nie jak błędny ognik lub chwilowa *fata morgana*, lecz blaskiem czystéj gwiazdy, pociągającéj wzrok i myśl widzów ku idealnym wyżynom. *Córka Rolandowa*, kilka lat temu rozgłosiła już imię znakomitego poety. *Attyla* otworzy mu dziś podwoje Akademii Francuzkiéj. Poważna krytyka wysoko podniosła ten utwór, tak pod względem wiersza wyrzeźbionego po mistrzowsku, jak pod względem układu scenicznego i umiejętnie obmyślanych sytuacyi dramatycznych. Co ważniejsza jeszcze, autor głęboko się wpatrzył w postać krwawego bohatéra, przezwanego w dziejach *Biczem Bożym*, który jak uragan wstrząsnął podwalinami starożytnego świata i przygotował pole do bujnych na przyszłość posiewów. Oto treść wspaniałego dramatu.

Akt pierwszy odbywa się w obozowisku Attyli nad Dunajem. Scena przedstawia most na rzece; w głębi góry porosłe lasem. Hunowie odziani w skóry zwierząt, przyprowadzają tłum brańców i branek, okutych w pęta, zabranych w napadzie na ziemi Franków i Burgundów. Między jeńcami odznacza się powagą król Burgundów Henryk, siwy jak gołąb starzec, wsparty na ramieniu córki Hildygi. Hunowie rozdzielają brańców pomiędzy siebie. Nad tłumem górują dwaj synowie Attyli, okuci w błyszczące zbroice; starszy z nich Hennok, urodzony ze scytki, postać ma barbarzyńską, ruchy dzikie i gwałtowne; młodszy Illak, syn branki germańskiéj stanowi zupełną sprzeczność obok brata. Obaj zachwyceni wdziękiem Hildygi, wlepili w nią oczy; każdy

z nich pragnąłby posiąść ten drogi klejnot. Spór wszczyna się już między nimi, kiedy Attyla wpada jak piorun na scenę.

— Żaden z was nie otrzyma jéj — zawoła grzmiącym głosem — ta branka będzie moją. Pomieszczę ją u boku księżniczki Honoryi, przyszłéj małżonki mojéj.

Na mocy zawartych układów, posłowie rzymscy przywiodą wnet córę Cezarów, do pałacu zwycięzkiego Attyli.

Król Burgundów patrzy w oczy pogromcy swemu, ale nie zadrżał przed nim:

HENRYK (*do Hildygi poglądając na Attylę*).

Z pod ciemnych rzęs płomieniem buchają te oczy,
Niby łuny pożarne wśród nocnéj pomroczy:
Ja nawskroś je zmierzyłem... to on!.. postrach świata!
Grzmiącyż to głos Attyli, mych uszu dolata?
Czemu głos ten w méj piersi nowe siły budzi?
Bóg nie dał upaść sercu jeszcze, w obec ludzi
Król jeniec, przed pogromcą kark podniesie prosto.
(*Przystępuje do Attyli z głową do góry podniesioną*).
Attylo! Bóg mnie złamał twojéj ręki chłostą,
Moja nędza podnieca chwały twéj odblaski!
Mój lud w pętach od twojéj zależy dziś łaski:
Chcę mu pobłogosławić raz jeszcze...

ATTYLA.

Mów śmiało.
(*ukazując jeńców*).
Mężnie bronili miasta przed wojsk mych nawałą:
Lubię dzielność... Mów starcze... Attyla cię słucha.

HENRYK (*zwracając się do ludu swego*).

Dzieci moje! na ziemi zgasła nam otucha:
Zstępujem oto w otchłań téj straszliwéj nocy,
Z któréj śmierć wyswobadza... nie w mojéj dziś mocy
Złamać wyroki niebios!... lecz ta myśl jak błoga:
Stoczyliśmy bój krwawy za kraj, w imię Boga.
Dusza bólem stargana, lecz srom jéj nie plami;
Po smutném pożegnaniu uświęconém łzami,
Pośpieszym znów do boju... Walka nieskończona...
Kto cierpi, ten wojuje, a kto dzielnie skona,
Ten zwyciężył... O dzieci! niech was to nie trwoży,
Gdy ktoś powie: „Nad wami spełnił się sąd Boży!
Ojczyzna zbyt daleko!" Ona w nas, w serc głębi!
Żyje, póki my żyjem, póki śmierć nie zziębi
Serc naszych, lub niewiara stokroć gorsza jeszcze
Od śmierci, bo roztacza całuny złowieszcze
I zasłania nam oczy na blask przyszłéj chwały!...
Ja wiem, przyjdzie godzina i lud mój zbolały
Podniesie z prochu głowę i przetrze powieki;
Przed mém okiem jutrzenki świta brzask daleki;

Inni, gdy krwawa plaga wróży zgubą światu
Widzą potop: ja widzę skałę Araratu!
Ludu mój! tyś nie ściągnął tych klęsk własną winą,
Bohaterska, a teraz męczeńska drużyno,
W tę otchłań, prądem wściekłéj rzucona powodzi,
Niewiasty, drobna dziatwo, wy starce i młodzi
Bądźcie błogosławieni, i błogosławiona
Ta ziemia, co was rychło przytuli do łona;
I te lasy, te góry, owiane mgłą siną
I te rzeki wygnania, co wstecz nie popłyną!
A nawet, jeśli Bóg im spuści zdrój łask żywy,
Krwawego tego króla, i ten lud straszliwy,
Ja rad pobłogosławię, niech tylko przestaną
Gnieść ludzkość, tak okrutnie ich mieczem schłostaną.
(*do Attyli*).
Attylo! biczem Bożym tyś nazwał sam siebie,
Twój wyrok, królu Hunów, już zapisan w niebie;
Gdy człowiek wolą Bożą pchnięty w nowe drogi,
Odmiótł nagromadzone wiekami barłogi!
On, w pysze barbarzyńskiéj zaufan bez miary,
Mniema, że własną winą zdruzgotał świat stary!
O nie! on tylko ziemię użyznił do siewu,
Powali go i zmiecie grom Bożego gniewu!
Zwycięztwo drogą tylko do celu, nie celem;
Temu kto go nadużył, stanie się mścicielem,
Jeśli mnie nie rozumiesz, ufny w moc olbrzyma,
Snać Bóg chce twojéj zguby... i nic jéj nie wstrzyma.

Śmiała ta mowa nie obraża Attyli. Rozkazuje pomieścić Henryka z córką w pysznym pałacu swoim. Tu, daje się słyszéć odgłos trąbki: serce Hildygi uderzyło; ta nuta znana jéj dobrze; to pobudka burgundzkich drużyn! Nie do boju przecież podzwania dziś to hasło. Walter, wódz Franków, przybywa jako poseł. Słudzy niosą na drągu zawieszone wielkie wory złota, w okup za króla Henryka i królewnę Hildygę. Widok złota rozbudza chciwość w barbarzyńcy. Attyla nie wyda jeńców, ale pochwyca okup. Wówczasto Walter oddaje w zakład głowę własną, za wolność króla i jego córki. Odpowiada mu na to szyderczy śmiech Attyli. Czém u niego prawo narodów? siła jedyném dlań prawem. Kto raz wpadł w paszczę tygrysa, tego on nie wypuści. Walter zostanie jako jeniec. Przyjmuje z poddaniem losy swoje; tu przynajmniéj będzie z Hildygą.

Raz jedyny przed dwoma laty dzielny Walter widział królewnę, lecz dzień ten, palącemi zgłoskami wyrył się w jego sercu. Było to w Arlezyi. W kilku słowach rycerz przypomina ów dzień, kiedy Henryk zasiadł na tronie, w gronie królów i książąt, i słodko rzekł do córki. „Będziesz po mnie królową, dziecię moje, wybierz sobie małżonka!"

Zrywają się z miejsc króle, książęta, barony,
Każdy z ręką na mieczu stoi pochylony,
Czeka na twoje słowo, a ty gorejąca
Czarodziejskiém odbiciem błyskawic tysiąca,
Od tych złocistych zbroic i mieczów ze stali,
Od promieni słonecznych, od żaru co pali
Oczy tylu rycerzy spragnionych wyroku;
Ty powstałaś Hildygo, łza błyska w twém oku,
Wyrzekłaś: „Kto Attylę wygna z Franków ziemi,
Dam mu rękę wraz z berłem... jam był między nimi,
Ha! są czasy przeklęte!... los haniebnie zdradza!
Krwawą stopą zwycięzcy potyrana władza
Wypadła dziś z rąk waszych!.. W téjże saméj sali
Zgarnąłem liczne grono twych niegdyś wassali;
Wołam ile tchu w piersi: wasz król dźwiga pęta!
Wasza królewna branką! to powinność święta
Wyrwać ich z tego piekła!... złotem ich wykupim!
Ale się nie dopukać tętna w sercu trupiém.
Na głos cześci rycerskiéj tłum wassalów głuchy,
Wszyscy z rozbitych tronów zgarniają okruchy:
Ja sam staję przed wami... bo ja niémam tronu!

Serce Hildygi uderza na te słowa; podaje Walterowi drżącą rękę: odtąd śmierć chyba ich rozłączy.

Akt drugi przenosi nas do pałacu Attyli. Król Hunów sprowadził budowników z Rzymu i z Aten, rozkazał im zbudować nad Dunajem pyszny gmach o ścianach ze złota i marmuru; przygotował orle gniazdo dla córy rzymskich cezarów. Poseł Maksymin wnet tu przywiedzie Honoryą, wnuczkę Teodozyusza. Już przybył do obozu; straże dają znać o tém. Attyla czeka narzeczonéj w purpurze i koronie.

Maksymin wchodzi sam do sali.

— Gdzież Honorya?—pyta król Hunów, i kiedyż tu przybędzie?

— Nigdy!...—odrzecze dumny Rzymianin.

Widoki twe myląl
Takżeśmy to upadli? ty sądzisz, Attylo,
Iż hańbą Rzym się zechce okupić od klęski?
Tak, srodze nam zaciężył twój oręż zwycięzki!
Możesz zwalczyć nas jeszcze i tryumfem dumny
Złupić nasz skarb, zagrabić spiżowe kolumny,
Posągi bohatérów, których imię słynie
Po świecie; możesz zabrać przepyszne świątynie,
Pałace i okręta, wodzów i żołnierzy
I cezarów i bogów!... ale twéj grabieży
Ujdzie rzymska niewiasta... kark rzymskiéj matrony,
Gdyby miał się pochylić jarzmem obciążony.
Byłby to srom ostatni, obelga niestarta:
Córa naszych cezarów, lepszych losów warta.

Nie jéj, być niewolnicą w twoich branek trzodzie;
Gdyby nas tak spodliły nowych klęsk powodzie,
Gdyby wbrew téj sromocie bogowie milczeli,
Matka Graków-by wstała z grobowéj pościeli
I z cnotliwą Lukrecyą, godną wiecznéj chwały,
Twarz-by nędznych odrodków policzkiem schłostały!

ATTYLA.

Idź, powiedz synom waszym: gotujcie pałace,
Do bram Rzymu Attyla rychło zakołace!
Takito sojusz z wami! Gdy was depcę nogą,
Schlebiacie nikczemnicy wskróś przejęci trwogą;
Ledwiem odszedł, wnet zdrada waszych serc się czepi:
Do góry pyszne czoła!.. tém lepiéj!.. tém lepiéj!..
Gdzie stąpił koń mój, ziemia trawą nie porasta
Mówi lud, a jam przecież pominął dwa miasta:
Nad Tybrem, nad Sekwaną, trawa rośnie jeszcze,
Papież dotąd i cezar... dwa widma złowieszcze
Sen spędzają mi z powiek! lecz dzień niedaleki,
Znów pod mieczem Attyli wytrysną krwi rzeki!

Maksymin odchodzi z orszakiem. Wściekły z gniewu Attyla, miota się, ryczy, jak lew ugodzony oszczepem. Oddala dworzan, zatrzymuje tylko Hildygę.

— Ty będziesz żoną moją!—zawoła—dziś nasze ślubne gody!

Królewna, jakby rażona gromem, opiera się gwałtownie; lecz Attyla umie złamać jéj opór.

— Od ciebie—rzecze—zależy los ojca i burgundzkich jeńców. Gdybyś jedném słowem, jedném skinieniem, dała poznać, że działasz wbrew twéj woli, krew ich popłynie pod toporem; wszyscy polegną, zacząwszy od Waltera i króla Henryka.

Tłum powraca na scenę. Attyla zapowiada małżeństwo swoje z Hildygą. Milczenie jéj zdumiewa wszystkich: miałżeby tron barbarzyńcy tyle uroku dla niéj? Napróżno Burgundy wyrzucają odstępstwo nieszczęśliwéj, napróżno Henryk zowie ją córką wiarołomną, próżno rzuca przekleństwo na jéj głowę. Sam tylko Walter odgadł poświęcenie Hildygi: on jeden zgina przed nią kolano.

WALTER.

Twe serce przebaczy
Te klątwy, te obelgi, te słowa rozpaczy.
Ja cię znam, promień gwiazdy bije z twego czoła!
Jeśli ją mętny tuman owionie dokoła,
Jeśli blask jéj przeczysty w chmurach się zanurzy,
Ja powiem: urągajcież wy chmurom i burzy
I wichrom szalejącym i śnieżnéj zamieci,
Nie gwiaździe: ona czysta, ona zawsze świeci!

W trzecim akcie, Mundo, śpiewak i wróżbita Attyli, oznajmia panu swemu, że pod bokiem jego ułożono zamach na oswobodzenie królewnéj. Jakoż w rzeczy saméj, młodszy syn Attyli, Ellak, syn germanki, postanowił bądźcobądź uprowadzić Hildygę z Walterem i Henrykiem. Krolewna odmawia, nie chce wolności okupionéj krwią jeńców burgundzkich.

Attyla prowadzi na tron królewnę, czoło jéj zdobi koroną. Rozpoczyna się obrzęd godowy. Obyczajem Hunów, obecni przystępują kolejno do narzeczonéj, w złotą jéj czaszę wlewają po ko kilka kropel miodu. Za innymi przystępuje lirnik Mundo.

ATTYLA.

Nim wyśpiewasz lirniku pieśń godną królowéj
Spełnij puhar!..

MUNDO (*odsuwając podaną czaszę*).

Ja śpiewam i bez téj podniety:
Niech wino pali serce rzymskiego poety!
Jam prosty Hun, mych ojców trzymam się zwyczaju:
Dla mnie dosyć przeczystéj krynicy Dunaju.
W niéj pieśń zahartowana brzmi jak ostrze stali,
Chłodna jak śnieg na górach, błyska lecz nie pali.

I Mundo przystępuje do królowéj, powtarza pieśń godową, wysławia w niéj topór Attyli.

Niech miecz sławią rzymscy wieszcze,
Niech go śpiewa lira grecka,
Dziad zgrzybiały tnie nim jeszcze,
On nie cięży dłoni dziecka;
Ja nań patrzę okiem wzgardy,
Sławię pieśnią oręż twardy,
Co kadłuby rąbie w ćwierci,
Siecze, wali, wart olbrzyma,
Sławię topór, co go trzyma
Dłoń Attyli, boga śmierci.

W drzewiec wprawion młot Marsowy,
Przepojony krwią do syta,
Bóg Thor w walce przeddziejowéj
Zwalił smoka nim Faldita!
Patrzcie, topór w słońcu błyska,
Czas wam hordy z koczowiska!
Przez Chrobackich skał gardziele,
Sadź kudłaczu!.. Wilcy żywo
Rozmykajcie paszcz krwi chciwą,
Topór dla was łupy ściele!

O! Burgundów białe córy,
Zkąd żałosna wasza skarga?

Ten co topór wzniósł do góry
Złote wasze kosy targa;
Czemu łuną się czerwieni
Chmura w biegu po przestrzeni?
Bo krwi morze ją zasila,
Bo mknie parta nawałnicą,
Nad cmentarną tam kostnicą
Gdzie z toporem szedł Attyla!

Hunowie przywtarzają grzmiącym okrzykiem, podnoszą puhary: sam tylko Attyla nie dzieli powszechnego zapału. Podejrzliwym wzrokiem śiiga burgundów; aby do gruntu zbadać rzecz, obmyśla zasadzkę: z powodu małżeństwa swego, powraca wszystkim wolność. Na słowa łaski, ogólne milczenie jedyną jest odpowiedzią. Król Henryk odejść nie może; zarzuconoby mu, że bezcześcią córki okupił swoję wolność. Walter nie odejdzie, nie opuści Hildygi. Opór śmiałego Franka uderza Attylę, doprowadza go do wściekłości.

ATTYLA.

Tyś ją kochał!

WALTER.

Kochałem i kocham...

ATTYLA.

Śmierć tobie!

WALTER.

Czém mi śmierć, gdy jéj mogę służyć jeszcze w grobie!
Jeśli krew co z méj piersi pod toporem ściecze,
Wnet rozbudzi do pomsty archaniołów mieczе!...

ATTYLA.

Żadna ciebie potęga skrzydłem nie otoczy:
(*do Hunów, ukazując Waltera*).
On umrze, on Attyli śmiał urągać w oczy!

WSZYSCY.

Tak, śmierć mu, śmierć!

HILDIGA (*przybiegając*).

Attylo!

ATTYLA.

Milcz!... próżno twe słowo...
Kto z was podniesie topór nad przestępcy głową?

RÓŻNE GŁOSY.

Ja!... ja!...

HENNOK (*rzucając się między tłum*)

Walter jest księciem, z krwi zacnych rycerzy,
Umrze pod ciosem moim, ta cześć mu należy!

ATTYLA.

Oto mój topór, synu, ukarzem go razem:
Ty krzepkiém twém ramieniem, ja mojém żelazem.

WALTER.

Żegnaj więc królu Hunów krwią ludzką pijany!
Ma głowa spadnie tylko... jam w czci niezachwiany;
Tyś panem życia mego, ale w piersi, na dnie,
Jest siła, którą wola twoja nie zawładnie;
Twe ramię Rzym pokona, bramy Aten skruszy,
Zwalczy świat, lecz nie sięgnie w głąb człowieczéj duszy.
Zaczém pójdę do Boga skazan twym wyrokiem,
Nie wzbronisz oku memu spotkać się z jéj okiem!

— Otóż wzbronię—woła wściekły z gniewu barbarzyniec i rozkazuje kapłankom rzucić zasłonę na oblicze królowéj.

Hunowie uprowadzają Waltera; po chwili słychać przeraźliwy ich okrzyk; wyrok spełniony... Jeńcy burgundcy upadają czołem ku ziemi.

Wpada na scenę Hennok; trzyma w ręku topór nieociekły ze krwi; składa go na stole przed Attylą. Hildyga wsparta na ramieniu Geruncyi, branki burgunckiéj, ukazuje zdaleka topór krzepkiéj swéj towarzyszce. Na rozkaz króla, kapłanki uprowadzają królowę do jéj komnat; Attyla woła Hunów na ucztę. Trąby grzmią pobudkę bojową; puhary krążą na cześć odniesionych tryumfów.

Akt czwarty przenosi nas do wielkiéj sali. Zasłona ze złotogłowiu oddziela ją od komnaty królewskiéj. Kapłanki wprowadzają Hildygę, zdejmują koronę z jéj głowy, odbierają sztylet.

— Tu—rzecze starsza z orszaku—nie jesteś już królową, lecz tylko małżonką Attyli!

Odeszły kapłanki: Hildyga postępuje sama. Obiega salę wkoło... Może ręka jéj napotka jakiś oręż, choćby nóż prosty... nic i nic! Nagle wpada wierna Geruncya, z pod płaszcza dobywa topór... ów topór Attyli zbroczony krwią Waltera. Na znak Hildygi, rozsuwa zasłonę, topór ukrywa pod wezgłowiem.

Branka wybiega i oto ukazuje się Ellak.

— Uciekaj—woła—póki czas: ojciec twój czeka ukryty... Ja muszę cię ocalić!... Walter kładąc głowę pod topór, szepnął do mnie: „ratuj Hildygę!" Wypełnię święcie rozkaz!

— Ratuj ojca—odrzecze Hildyga—ja zostanę!...

Z oporu jéj, Ellak odgaduje tajemny zamach. Ellak syn germanki obwinionéj o spisek, trzymanéj od roku w więzach, ma w duszy żal do ojca; nie pragnie przecież jego zguby; radby nawet ostrzedz go o grożącém niebezpieczeństwie; ale ostrzeżeniem tém zgubi Hildygę, którą kocha tajemną miłością. Położenie jego tém trudniejsze, że śmierć Attyli straszne dla całego rodu pociągnie za sobą następstwa:

ELLAK.

Nie śmierć tylko, lecz gorsza od śmierci niesława

Spadnie ojcu na głowę! Stare Hunów prawa
Starzają w wiekuistym sromie i bezcześci
Króla, gdyby haniebnie legł z ręki niewieściéj.
Jemu stos nie zapłonie, grób nie skryje ciała:
Rozszarpie je na kęsy zgraja psów zgłodniała;
Krew nie zmyje téj plamy! ciężkie hańby brzemię
Wieczną spada puścizną na potomne plemię.
Jeśli syn psa napotka, drży od grozy blady:
W psiéj źrenicy on pozna krwi ojcowskiéj ślady!

To dzikie prawo Hunów, czyni rozwiązanie rzeczy nadzwyczaj dramatycznem.

Słychać kroki... otóż i Attyla. Hildyga wybiega do poblizkiéj komnaty.

— Ostrzeż go!—rzecze do Ellaka;—spełnij twoję powinność; ja dopełnię mojéj!...

Ellak zostaje sam. Ojciec kipiący gniewem rzuca się na syna, obecność jego w tém miejscu, o téj porze, nie jestże oczywistym dowodem zdrady?

Napróżno Ellak błaga o wolność dla Hildygi, napróżno ostrzega o niebezpieczeństwie.

— Ojcze!—woła—nie czekaj chwili... krew Waltera płynie pomiędzy wami. Któż wié do czego rozpacz doprowadzić ją może?

Attyla głuchy na wszystko, rzuca w oczy synowi grad palących pocisków.

Dość tych kłamstw, z twoich źrenic błyska myśl zdradziecka.
Ty zdradę z mlekiem matki wyssałeś od dziecka:
Krata była więzienna jéj zbrodni zapłatą...
Ona umrze!

Ellak zadrżał; słowo skonało mu na ustach. Nie wyznał tajemnicy. Już tu nie idzie o samę Hildygę, ale o życie matki. Attyla, jeśli ocaleje, spełni co zapowiedział; z ust jego nigdy próżna nie wybiega pogróżka. Syn poświęcić matki nie może!...

ATTYLA.

Grozisz mi! Precz ztąd!...

ELLAK.

Ojcze! domysły nie mylą...

ATYLLA.

Jam już nie ojcem twoim!... Precz!...

ELLAK.

Królu Attylo!
Chciałem wyrwać Hildygę z rąk twych... nadaremnie...
Zatrzymaj ją... (*odchodzi*).

ATTYLA (*sam*).

Groźba!... w jego milczeniu myśl moja pochwyca
Jakiś wątek zdradziecki!... dziwna tajemnica!
Hildyga!... od miesiąca jak ją mam na oku,

Zda się widzę tę postać w przeszłych dni pomroku!
Widziałem ją... gdzie? kiedy? pytam nadaremno,
Myśl ta mąci mi zmysły, panuje nademną...
Trapi mnie... jak gdy robak do mózgu się wgryzie!...
Ha! wiem... wiem... raz, pamiętam, o zmroku w Trewizie,
Wszedłem w progi kościoła... zwalone na kupy
Księży pomordowanych tarzały się trupy...
Śmiałą stopą przez krwawe przebrnąłem kałuże...
Nagle postać niewieścią spostrzegam na murze:
Wieniec złotych promieni wytryska z jéj głowy;
Obie stopy na kuli wsparła lazurowéj,
Pod niemi wąż potworny, próżno grzbiet wypręża:
Niewiasta bosą nogą przyciska łeb węża...
To ona... to Hildyga... tylko że téj lice
Ostrzejsze i zuchwaléj patrzą jéj źrenice!

Hildyga unosi makatę, ukazuje się przed oczyma Attyli. Krwawy tygrys, który dotąd nie znał co trwoga, zadrżał wobec słabéj gołębicy. Złowrogie przeczucie ściska mu lodem krew w żyłach. Pogromca ludów, cofa się przed kobietą. Pchany przecież siłą niezwalczoną, chwyta ją wpół, wciąga do przyległéj komnaty. W téjże chwili słychać krzyk przeraźliwy.

Synowie Attyli z tłumem Hunów, wpadają na głos króla. Hildyga ukazuje się z poza makaty, blada, obluzgana krwią, z toporem w ręku... woła straszliwym głosem:

Chodźcie wszyscy: Attyla kona tam... w bezcześci!
Upadł pod tym toporem, legł z ręki niewieściéj:
Rzućcież psom jego trupa.
(*do Hennoka*).
Morderco Waltera!
Patrz... spełniłam powinność!...

I wpycha Hennoka do komnaty.

— Śmierć nikczemnéj!—zawoła syn Attyli.

Tłuszcza chwyta za oręż, a oto zbroczony w krwi Attyla wchodzi chwiejącym krokiem: poświęca żądzę zemsty, by ocalić cześć rodu swego.

— Ona kłamie!—zawoła—trwoga splątała jéj zmysły! Ja sam uniesiony szałem, rzuciłem się na topór!... Ona niewinna!... uszanujcie królowę!

I Attyla coraz bardziéj chwieje się na nogach.

— Synu mój!—rzecze do Hennoka—zatknij tu sztandar Hunów, niechaj skonam pod jego cieniem.

Wtém powstaje szalony zgiełk; przy blasku łuny pożarnéj ukazuje się sztandar... to nie sztandar Attyli!

Oddział Franków wpada na scenę. Po trupach pomordowanych Hunów, wdarli się nocą do grodu Attyli. Król Henryk rozkuty z więzów

zów, przyciska do piersi Hildygę. Attyla kona, ścigając oczyma sztandar tryumfującéj Lutecyi.

Tak się kończy wspaniały dramat. Krytyka skora do wyszukiwania plam na słońcu, zarzuca poecie niektóre ustępy zbytecznie przedłużone i inne drobne usterki. Jakkolwiekbądź, publiczność paryzka przyjęła utwór ten z gorącym zapałem a głos powszechny mieni go drogocennym klejnotem w dzisiejszéj dramatycznéj literaturze.

Po pierwszém przedstawieniu Attyli, Bornier otrzymał zaszczytne miejsce konserwatora Biblioteki arsenału; miejsce to zajmował Adam Mickiewicz w ostatnich latach życia; młody autor *Attyli* rozpoczął wówczas urzędowanie, pod zwierzchnictwem wielkiego poety naszego.

Gody Attyli obiegają już Francyą. Towarzystwo artystów dramatycznych z upoważnieniem autora rozpoczęło przedstawienia w Normandyi, poczém odwiedzi miasta belgijskie. Rolę króla Hunów odgrywa tam Dutertre (Bolesław Pluciński). Pierwsze przedstawienie odbyło się 8 maja w mieście St. Germain. Byliśmy świadkami tryumfów młodego artysty naszego. Nie naśladował on bynajmniéj słynnego Dumaina z Odeonu, lecz stworzył sam rolę krwawego bohatéra, nie oglądając się na obce wzory. Wywiązał się z tego wybornie, z zupełném zadowoleniem autora i gorącym poklaskiem słuchaczów.

Ukazał się w druku nowy tom studyów słowiańskich p. Ludwika Leger: jestto zbiór luźnych artykułów poświęconych literaturze, historyi i sprawom współczesnym. Znajdujemy tu życiorysy Palackiego i Deaka, wiadomość o promotorze panslawizmu z wieku XVII, Jerzym Kryżaniczu kroacie; rozprawę o Janie Hussie i t. d. Zwrócił szczególniéj uwagę naszę, ustęp o Henryku IV królu francuzkim, wyjęty z dzieła, ogłoszonego niedawno w Brünn w Morawii, p. t.: *Spisy Karla Starsiho z Zerotina, Listowe psani jazykiem ceskim.* Wydawcą dzieła tego jest Brandll, znany filolog.

Ów Karol z Żerocina, należał do najżarliwszych zwolenników wyznania Braci Morawskich, z końca XVI i początków XVII wieku. W roku 1592 zebrał on zbrojny oddział i pośpieszył w pomoc królowi Nawarry, walczącemu przeciwko Lidze. Było to w czasie, kiedy Henryk przemyślał już o przejściu na łono katolickiego kościoła, czego miał dokonać w roku następnym. Spostrzegł to niewątpliwie Żerocin, ztąd niechęć jego przeciw królowi, objawiająca się coraz wyraźniéj w listach.

Zrazu Morawczyk cieszy się powodzeniem Hugonotów. „Dzięki Bogu, pisze on, sprawa króla idzie jaknajlepiéj. Marszałek *Momoransky* (Montmorency), pobił nieprzyjaciół jego w Langwedoku. Gotów téż jestem ponosić wielkie trudy. Ja nie należę do tych, co siedzą radzi doma, przy piecu, zjadają pieczone jabłka i popijają ciepłe piwo z masłem, a myślą nie wybiegną poza dzień jaśniejszy. Stworze-

ni jesteśmy nie na zabawę, lecz do pracy; choćby mi przyszło toczyć kamień Syzyfa, przyjąłbym to bez chwili namysłu."

Wkrótce jednak Żerocin śpiewa na inną nutę. „Niestety! woła on, nie wszystko złoto co się świeci! Nie jesteśmy takiemi żołnierzami jak to sobie świat wyobraża; nie mamy wcale odwagi, nie zdobędziemy téż miasta Rouen, chyba że Pan Bóg złoży je cudem w nasze ręce. Od dwu miesięcy, ciągnie daléj, włóczymy się jak cygany. Król tak zniszczył kawaleryą, że dziś jéj całkiem niéma: ten stracił konia, ów pieniądze, tamten znów chory; wszystko dąży ku zgubie!... Co chwila porywamy za oręż, biegamy to wprawo, to wlewo, aleśmy dotąd nie wykonali żadnego bohatérskiego czynu." „Moi ludzie chorzy, pisze znów w innym liście, niektórzy z nich trzymają się ale przemyślają tylko o powrocie do domu. Francya nie poszła im w smak, woleliby spać na piernatach morawskich, niż na słomie tutejszéj. Ja także, gdyby nie ciekawość, nie dbałbym wcale o Francyą. Mam jéj dosyć, a jeśli Bóg wypuści mnie ztąd, już tu więcéj noga moja nie postanie."

W ostatnim liście nakoniec, Żerocin wypowiada jasno co mu ciąży na sercu. „Król, mówi on, nie zajmuje się religią, nie dba o wolność Bożego słowa; ludzie pobożni naganiają go surowo, że nie zwołał dotąd powszechnego zboru reformowanych."

Niechęć Morawczyka zawiedzionego w nadziejach, nie dziwi nas bynajmniéj, dziwi nas za to i gorszy sąd Francuza o królu, który wydźwignął z przepaści Francyą i chwałę jéj podniósł tak wysoko.

„Żerocin, lubo oddany Henrykowi IV, mówi p. Léger, nie łudzi się wcale co do jego charakteru, sądzi go ze *słuszną* surowością. Ta korrespondencya, pewni jesteśmy, przynosi ważne świadectwo przyszłym historykom Bearneńczyka."

Pan Léger należy widocznie do téj szkoły, która zaczynając dzieje Francyi od 1789 roku, radaby zatrzéć całą przeszłość i zagasić wszelkie promyki, na czole ulubieńców narodu. Wiadomo że konwencya tak nienawistna Burbonom, uszanowała przecież wielkiego ich protoplastę, pamiętna, że król ten wydźwignął Francyą z odmętu wojen domowych, że pragnął uszczęśliwić lud swój, rozszerzyć dobrobyt powszechny, a co więcéj sfederować wszystkie ucywilizowane ludy Europy i na solidarném połączeniu ubezpieczyć ich przyszłość. Autor zwolennik téj zacnéj szkoły która i u nas zdziera z czoła wawrzyny ostatnim Jagiellonom, poniża prace czteroletniego sejmu i ustawę majową; p. Léger wydobył z literatury czeskiéj, dokumenta protestanckiego stronnictwa i popiera niemi swój system.

Co do nas pewni jesteśmy, że ani pociski zniechęconego cudzoziemca, ani stronnicze sądy p. Léger i jego szkoły, nie zagłuszą w sumieniu Francuzów tego *vox populi*, który oddawna ocenił Henryka i widzi w nim najżywotniejszy wyraz ducha narodowego.

W literackim dziale, długi ustęp poświęca autor pani Durand, znanéj pod pseudonimem Henri Greville, autorce *Dosi*, *Soni*, *Księżny Ogierow* i tylu innych powieści, które odkryły przed Francyą świat

nowy, a zniszczyły tysiące zastarzałych uprzedzeń. „Dotąd, mówi pan Léger, Francya znała tylko nadwołżańskie społeczeństwo z potwarzy rozsiewanych przez Niemców i innych jeszcze, ku którym zbyt powolne skłaniała ucho, jak gdyby ktoś chciał sądzić Anglią z tego co mówią o niéj Irlandczycy!"

Pani Greville, zdaniem p. Leger, działa w myśl oportunizmu politycznego, który w ciągu ostatnich lat dziesięciu ukazał Francyi nowe drogi, przemawiając do narodu, jak niegdyś święty German do Klowisa: „Podnieś głowę, znienawidź co dotąd ukochałeś, uczcij co miałeś w nienawiści!" Pani Greville, powtarzamy, wielce zasłużyła się Francyi, zdaniem p. Leger. Równą zasługę położył Deroulede, przedstawiając w teatrze *Hetmana*, t. j. zapasy bohaterskich kozaków, przeciw zastępom Władysława IV. „Dziesięć lat temu, mówi p. Leger, dzieło Derouleda dziś przyjęte z najwyższym zapałem, byłoby niemiłosiernie wygwizdane. Opinia publiczna widziałaby tylko nikczemnego oszczercę w poecie, który pięknym wierszem ozdobił *prawdę historyczną!*

Przeciw téj apoteozie *Hetmana* świadczy wymownie fakt, że dramat Derouleda, pomimo pięknych wierszy upadł w teatrze Odeońskim, po dwumiesięcznych ledwie przedstawieniach.

W osobnym ustępie o mistyfikacyi literackiéj, p. Leger, opierając się na dwu uczonych filologach czeskich Ireczkach, odziera ze czci Werkowicza, wydawcę pieśni Bulgarów rodopskich; mieni go fałszerzem i oszustem. Nie myślimy podejmować téj sprawy, kompetentniéj od nas podjął ją pan Bronisław Grabowski w marcowym zeszycie *Biblioteki Warszawskiéj*, chłoszcząc surowo lekkomyślność francuzkiego krytyka, i dodając najsłuszniejszą uwagę, iż samo wystąpienie profesora Aleksandra Chodźki za Werkowiczem, wystarczało zawistnemu i samochwalnemu profesorowi Sorbony, aby przeciwne zajął stanowisko. Dorzućmy tu tylko uwagę, że profesor Chodźko, jakkolwiek uderzony był pięknością pieśni rodopskich, czego dowiódł wykładając je przez dwa lata w Kollegium francuzkiém, nigdy przecież nie utrzymywał z Werkowiczem, jakoby starożytni Bulgarzy mieli być twórcami cywilizacyi *mylnie* przypisywanéj Grekom. Nazwy wedyckich bogów: Wisznu, Siwy, raziły go niewłaściwością, a w użyciu ich widział niesmaczne naciąganie. Nie wchodząc jednakże w epokę powstania owych powieści rodopskich, wykazywał ich oryginalność i pełną wdzięku prostotę, właściwą tylko utworom ludowym. Wyjątkowe warunki, w jakich Bulgarzy przeżyli dwanaście wieków na półwyspie Bałkańskim musiały wypiętnować się w ich poezyi. Sama etnografia tego ludu, powstałego z mieszaniny turańskich przybyszów ze słowiańskimi tubylcami, tłómaczy tę fantastyczną cudowność, przypominającą w ich pieśniach obrazy Kalewali, a zarazem miłość pługa i roli, właściwą słowiańskim Aryom, wydatną szczególniéj w wędrówkach króla Sada. Położenie zaś geograficzne, w pobliżu greckich ludów, tłómaczy ten powiew helenizmu, uderzający szczególniéj w postaci Urfena, któremu trudno odmówić jakiegoś dalekiego powinowactwa z Orfeuszem. Zbli-

żenie to nie leży zapewne w jego zaklętéj fletni, gdyż jak słusznie przypomina p. Grabowski, i nasza fujarka, co nie zasłyszała piania kura, ni gwaru ludzkich głosów, poruszała także do tańca i żywych i umarłych; zbliżenie to, według nas, leży raczéj w porwaniu Rosidy z kraju wiekuistych ciemności, niby Eurydyki z piekieł i w walce z trójgłowym potworem, przypominającym Cerbera.

Najsłuszniéj téż p. Grabowski czyni uwagę co do wojowniczego ducha nadwołżańskich Bulgarów, że niepodobna by lud dziki, koczowniczy, łupiezki i zaborczy, mógł nie okazywać męztwa i nie polegać na sile fizycznéj. W dalszéj części zbiorów Werkowicza, niedrukowanych dotąd, znamy rapsod o carze Krumie, wykładany z katedry przez profesora Chodźkę. I tu nie brąk czarów i zaklęć, ale obok téj cudowności, uderza męzka siła i wojowniczy zapał. Jak Urfen przyszedł na świat z cudowną świrką w rączce, tak przyszły bohatér rodzi się z cudownym mieczem, wrosłym do niemowlęcéj dłoni.

Rychło dziecię wyrosło w junaka; patrzy ze zgrozą na królów i banów, ucztujących przy ojcowskim stole. Oto obraz biesiady, słabo odtworzony w przekładzie naszym:

A od grodu niedaleko,
Na kobiercu tam z murawy,
Zastawiono ponad rzeką,
Wielkie stoły, długie ławy.
Wytoczono kadzie wina,
Biesiaduje tam drużyna!
Do niéj młody Krum pośpieszy,
Chmura przemkła mu po czole,
Z królów, z banów mnogiéj rzeszy,
Nie został-że nikt przy stole?
Kędy wokół wzrok dosięże,
Powaleni legli męże;
Istne trupy, zbrzękłe lica,
Zwarte oczy, włos w bezładzie,
Krum na próżne patrzy kadzie.
Gniewem błysła mu źrenica.
Głośnym śmiechem parsknął wreszcie,
Śmiech po całém rozbrzmiał mieście.
Chwilę stoi zadumany.
—„ Biesiadować wam nie długo!
Lejcie, krzyknie, wino strugą,
Ha! wy króle! ha! wy bany!
Niech zawładnę tą dziedziną,
W lot roześlę na kraj cały,
Z czarném pismem liścik biały,
Niech przepada nędzne wino!
Na myśl o nim drżę od grozy,

Do pnia topór sam przyłożę,
Nam posiewać raczéj zboże,
Niż zabójcze sadzić łozy.
Z niemi głogiem kraj porasta,
W dymie włości, w gruzach miasta.

I Krum spełnił jak zapowiedział. Umiera stary król; z jego śmiercią zmienia się postać rzeczy. Milknie gędźba biesiadnicza, zgłuszona porykiem trąb bojowych!

Rwie się z gniazda sokół młody,
Radby wybiedz w świat szeroko,
Zjeżył szpony, wlepił oko
W Adryana gród nad grody.
Krum nie traci chwili czasu,
Woła dzielnych do zapasu;
W żartkiéj piersi krew nie woda,
Pod warowne podbiegł brony,
Ale grecki wojewoda,
Ma tam zastęp niezliczony.
Siedzi w baszcie jak za tarczą,
Ztąd nad grodem czaty trzyma:
Alboż siły mu wystarczą,
Bulgarskiego zmódz olbrzyma?
Gród dokoła szczelnie zwarty,
A pod grodem bój zażarty.
Strumieniami krew pocieka,
W pień Bulgarzyn wali Greka,
Grek w Bulgara miota strzały:
Od krwi wody zczerwieniały!..

Słaby ten przekład ledwie że daje poznać siłę oryginału; z głównych przecież zarysów widzieć już można, jak słusznie p. Grabowski zaprzecza tym, którzy w pieśniach bulgarskich widzą same czary i zaklęcia, a nie mogą dopatrzyć ducha wojowniczego.

Pod tytułem: *Dwaj dyplomaci: Hrabia Raczyński* i *Donozo Cortez margrabia Voldegamas*, hr. Ademar d'Antioche wydał u Plona obszerne dzieło w wielkim tomie, obejmujące dokładny zarys polityki dworu hiszpańskiego, pomiędzy rokiem 1848 a 1854, zaczerpnięty z notat hr. Raczyńskiego, jak niemniéj korrespondencyą polityczną tych dwu współczesnych mężów stanu.

Hr. Atanazy Raczyński, urodzony w Poznaniu r. 1788, zmarły w 1874 r., był rodzonym bratem zasłużonego w literaturze naszéj Edwarda. Po ukończeniu nauk w Berlińskim uniwersytecie, rozpoczął dyplomatyczny zawód. Ścisła przyjazń, łącząca go z królem pruskim Fryderykiem Wilhelmem IV, utorowała mu wcześnie drogę do wysokich godności. Mianowany nasamprzód posłem przy duńskim dworze,

przebył lat kilka w Kopenhadze; następnie wysłany został w tymże charakterze do Lisbony, nakoniec do Madrytu w r. 1848. Tu pozostał lat cztery. W tymże samym czasie Donozo Cortez był posłem hiszpańskim w Berlinie. Obaj dyplomaci, równie żarliwi katolicy, równie przywiązani do monarchicznych instytucyi, a przerażeni prądem idei rewolucyjnych, grożących wówczas tronom, związali się trwałą przyjaźnią i w ciągłéj pozostawali z sobą korrespondencyi. Związki te przerwała śmierć Donozo-Corteza w r. 1853.

Hr. Raczyński znalazł w Madrycie innego jeszcze przyjaciela, hr. d'Antioche, ówczesnego posła sardyńskiego, przy dworze hiszpańskim. Temu to przyjacielowi powierzył testamentem swoje archiwa i rękopisy. Między innemi była tam księga notat, w któréj zapisywał codziennie najdrobniejsze wypadki i wrażenia z życia dyplomatycznego. Z tychto bogatych materyałów, hrabia Ademar d'Antioche, syn sardyńskiego posła, ułożył dzieło świeżo wydane, ogarniające przeciąg lat czterech, tak ważnych w dziejach Europy.

Poseł Fryderyka Wilhelma przybył do Madrytu w maju w 1848 roku, pod wpływem przyjaznych okoliczności. Król pruski tylko co uznał rządy Izabelli; ujęci tém Hiszpanie, przyjęli posła w sposób bardzo sympatyczny i uroczysty. Innego całkiem przyjęcia doznał książę Hieronim Napoleon, dwudziesto-sześcioletni wówczas młodzieniec, wyprawiony jako poseł do Madrytu, przez Ludwika Napoleona, tylko co mianowanego prezydentem. Rodzina Bonapartych mało wtedy znaczyła u zagranicznych dworów; w Hiszpanii tym większą budziła niechęć. Książę przyjęty był obojętnie, nawet niegrzecznie. Raczyński opowiada, że kiedy poseł francuzki przedstawił królowéj listy wierzytelne; Izabela, w odpowiedź na jego mowę, wyszepnęła kilka słów niewyraźnych, w których dosłyszano jakąś klątwę hiszpańską. Spostrzegł to ambasador, odchodząc bowiem z posłuchania, rzekł do otaczających go osób: „nie okazała mi najmniejszego względu."

W lat cztery potém odwróciła się chorągiewka. Błyszcząca już gwiazda Napoleonów, zbliżających się do tronu, zaimponowała dworowi madryckiemu, zorza zaś chwały pruskiéj, tak słabo jeszcze świeciła w mgłach przyszłości, że oczy polityków hiszpańskich nie mogły jéj dopatrzéć. Z lekceważeniem téż minister spraw zagranicznych traktował posła pruskiego, widząc w nim przedstawiciela drugorzędnéj potęgi. „Pragniemy być w dobrych stosunkach z Prusami, rzekł do niego margrabia Miraflores, lecz w Wiedniu tylko układają się wielkie sprawy." Obrażony do żywego poseł pruski, tak pogardliwém oświadczeniem, opuścił natychmiast Madryt, w końcu 1852 roku.

Rzecz przeszła bez groźnych następstw; przyznać jednak trzeba, że politycy hiszpańscy nie dali dowodu przenikliwości.

Hr. Atanazy Raczyński, obok zajęć dyplomatycznych, pracował wytrwale nad historyą sztuk pięknych. Znawca i lubownik sztuki malarskiéj, zebrał szacowny zbiór obrazów i wydał w języku francuzkim kilka ważnych dzieł w tym przedmiocie. Kilkoletni pobyt w Lizbonie,

a potém w Madrycie rozszerzył jeszcze jego pogląd i przyczynił się wielce do wyrobienia estetycznego smaku.

Pierwsze z dzieł jego: *Historya sztuki nowożytnéj w Niemczech*, w trzech wielkich tomach, wyszła w Paryżu w r. 1836—1841. Późniéj toż dzieło ukazało się w niemieckim przekładzie Hagena, ozdobione wspaniałemi rycinami, drzeworytami i atlasami. Drugie dzieło p. t.: *Sztuki piękne w Portagalii*, drukowane było w Paryżu w r. 1846. Oprócz tego wydał *Dykcyonarz krytyczny*, stanowiący dalszy ciąg poprzedniéj pracy, wydawany w r. 1847.

Kilka tygodni temu umarł w szpitalu tutejszym powieściopisarz i publicysta, zapomniany dziś, który jednak przed dwudziestu kilku laty przemknął po widnokręgu literackim, jak raca fajerwerkowa, zostawiwszy za sobą tuman dymu i cuchnącą woń siarki. Mówimy o Edmundzie Durantym, jednym z pierwszych koryfeuszów naturalizmu. Prześcignięty przez Zolę i innych, umarł on wprzód, nim oczy przysypano mu ziemią. Jeżeli wspominamy tu jego imię, to dla tego, aby pokazać, że autor *Assomoaru* i *Nany* niéma prawa głosić się twórcą nowéj szkoły: inni poprzedzili go na téj drodze.

Duranty w pierwszych powieściach swoich, jak: *Nieszczęścia Henryety Gerard* i *Sprawa pięknego Wilhelma*, okazał oryginalny talent. Są tam ustępy, skreślone biegłém piórem, pokazujące głębokiego badacza serc ludzkich; ale autor trzyma się szczelnie ziemi, nie wybiega nigdy w świat ideału, wierzy w odrodzenie sztuki przez realizm.

Gorliwy nowator wraz z innym zwolennikiem swych zasad Asezot'em, późniejszym wydawcą Diderota, założył w r. 1856 pismo perydyczne p. t.: *Realizm*. W przeglądzie tym, wydawcy wypowiedzieli walkę wszelkim przyjętym tradycyom; ostrym biczem jęli chłostać wszelką zasługę i sławę, tak na polu sztuki jak i literatury. Bożyszczem ich w literaturze był Champhleury, w malarstwie Gustaw Courbet, który zburzeniem kolumny Vendome, miał zyskać późniéj nazwę nowego Herostrata.

Imię greckiego sztukoburcy nasuwa się nieraz pod pióro Durantemu, snać pozazdrościł mu sławy. „Wczoraj, pisze on, przyjaciel mój, potomek Herostrata, rzekł do mnie: „Idę właśnie z Luwru, gdybym miał był zapałki, podłożyłbym bez skrupułu ogień pod tę katakumbę, z przekonaniem że oddaję przysługę sztuce przyszłéj."

Rafael szczególny budzi wstręt w zawziętym realiście. „Zalecać dziś Rafaela, jako studyum, woła Duranty z oburzeniem, to anachronizm, to szaleństwo!"

Grecka tunika, równie jak toga rzymska, rażą smak wydawców *Realizmu*. „Frak ze *stokwiszowym ogonem* i bluza robotnika, godne jedynie, według nich, figurować na obrazach i posągach XIX wieku."

Ostrzejsze jeszcze bomby rzucają w oczy poetom „tym ostatnim *farserom* okłamującym ludzi."

„Wnoszę następujące prawa, pisze Duranty w swym przeglądzie.

Art. I. Wszelka poezya zabroniona pod karą śmierci. Każdy nowo wydany wiersz skazany na zatratę.

Art. II. Wiersze napisane przed ogłoszeniem tego prawa, usunięte będą z obiegu, zamknięte w skrzyni na kłódkę, obwarowane pieczęciami.

Oto sądy ogłoszone w *Realizmie* o współczesnych pisarzach i poetach. Wiktor Hugo *monstrum;* Lamartine *Sentymentalna Kreolka;* Musset, *Cień Don Juana*, Banville z całą szkołą parnasistów: *Grzechotki napełnione kamykami;* Michelet: *Pusty Ideolog;* Balzac: *Entuzyasta i egzageratór.*

Przegląd obiegał knajpy. Courbet przyklaskiwał oburącz. Mimo to *Realizm* konał jak ów pierwiosnek naszego poety, który wyszedł przedwcześnie z pod murawy spruszonéj śniegiem. Skonał wreszcie, przeżywszy ledwie kilka miesięcy. Duranty taki napisał mu nekrolog:

„W pierwszym numerze *Realizm* pełzał na brzuchu, jak zwierz wylęgły w bezładzie chaotycznym; potém powstał na nogi, wreszcie jak wilk z najeżoną siercią, pomknął gościńcem i wyszczerzał zęby na przechodniów. Dziś zwierz skonał, naturaliści wypchali skórę słomą, pomieścili go w swéj kollekcyi. Cieszcie się: *Realizm* umarł! niech żyje *Realizm!*

Nie było to czcze słowo. Posiew Durantego nie padł na skałę, lecz rozrodził się w porze dla siebie stosowniejszéj. Realizm odżył na każdém polu sztuki. W malarstwie zrodził szkołę *impresyonistów*, depczących pogardliwie wszelkie prawa uświęcone tradycyą, szukających w przyrodzie strony szpetnéj i trywialnéj. W powieści zrodził owe cuchnące brzydoty, których ostatnim wyrazem Assomoir i Nana. W krytyce artystycznéj zrodził profesorów, głoszących z katedry, że Rafael niegodzien rozwiązać rzemyka u obuwia dzisiejszych kolorystów, jak nauczał Taine w szkole sztuk pięknych. W krytyce literackiéj szerzéj jeszcze rozciągnął swoje wpływy; dosięgnął ramieniem aż do gniazda, z którego przed pół wiekiem wybiegła w świat chmura złotopiórych sokołów, świadcząca o sile żywotnéj rodu swego; tam zrodził tych rzeczników realizmu, którzy ośmielili się wyrzec: „poeci zgubili naród, a więc precz z poezyą!" Niedosyć jeszcze na tém, posiew Durantego zrodził całe tłumy tych złowrogich sztukmistrzów, którzy przed laty dziesięciu, krwawy dramat, odegrany we Francyi, zakończyli potwornym, bodajby ostatnim fajerwerkiem!

W przeszłéj korrespondencyi naszéj, wspominaliśmy o wrzawie, wywołanéj w Paryżu książką Aleksandra Dumasa: *O rozwodzie.* Dowiadujemy się dziś, że francuzki propagator zasady rozwodowéj, miał równie gorliwego poprzednika w poecie angielskim Miltonie. Dziwnaż to sprzeczność umysłów ludzkich! Słynny śpiewak *Raju zatraconego*, który takim blaskiem otoczył postać niewieścią w swéj nieśmiertelnéj epopei, okazywał się w ciągu całego życia najzaciętszym wrogiem ko-

biét, istnym Schoppenhauerem swego czasu; to jedynie różni go od filozofa niemieckiego, że kiedy ten uciekał od kobiét, jak od morowéj zarazy, Milton tymczasem potrzykroć wchodził w związki małżeńskie, działając sprzecznie z własnemi zasadami.

Życie Miltona było już nieraz przedmiotem głębokich badań. Do istniejących życiorysów przybył dziś jeden jeszcze, skreślony w zajmujący sposób przez Marka Patizona. Jednotomowe to dziełko, znane nam w oryginale, wkrótce ukaże się w języku francuzkim.

Milton należy do szeregu tych geniuszów, którym przyszło udręczeniem życia całego okupić świetną aureolę sławy. Był on jak Kamoens, jak Tasso, jak Klonowicz i tylu innych, męczennikiem ducha własnego. Czarodziej, który tak dzielnie grał na strunach serc ludzkich, upadał pod ciężarem powszedniego życia. Jego nieszczęścia domowe pochodziły więcéj jeszcze z własnéj winy, niż ze szczególnego zbiegu wypadków. Żadna z trzech małżonek nie była dlań nową Ksantypą, jak żona biednego naszego Acerna. Były to raczéj smutne ofiary, zdeptane pogardliwie stopą czciciela ideału, któremu świat nie mógł wystarczyć.

Poeta wyrobił sobie dziwną teoryą, przypominającą dzisiejszy szopenhaueryzm. Według niego człowiek, to jest mąż, był ostatecznym celem stworzenia, kobiéta zaś istotą niższą, nie pozbawioną całkiem duszy, lecz niezdolną przekazać jéj swym dzieciom; dusza ojca przechodziła na nie prawem spadku. Według niego wypadało trzymać kobiétę na uwięzi, jako istotę szkodliwą z natury swojéj, zamknąć ją w obrębie podrzędnych obowiązków, jakie przypadły jéj w udziale.

Pierwsze związki zawarł poeta w dojrzałym już wieku, w najdziwniejszy sposób. Utrzymywał on w domu swoim pensyą chłopców, uczył ich z niezmordowaną gorliwością, nie dając chwili spocząć. Przytém zajmował się namiętnie polityką, podkopywał zawzięcie tron królewski. Wśród tych rozlicznych zajęć, dnia jednego nie rzekłszy słowa, opuścił dom cichaczem. Po kilku dniach wrócił z siedmnastoletnią małżonką. Ojciec jéj Ryszard Powell, obarczony liczną rodziną, prowadził życie huczne i wesołe; nie troszcząc się o jutro, zaciągał coraz to nowe długi. Do wierzycieli jego liczył się także Milton. Powell oddał mu w długu córkę, z obietnicą wielkiego posagu.

Milton upodobał sobie młodą Marry z jéj prostoty i nieśmiałości. Postanowił wyrobić jéj umysł, odpowiednio do swoich pojęć. Niezgrabnie jednak wziął się do rzeczy; edukacya szła tępo, zniecierpliwiona kobiéta uciekła do rodziców, oświadczając stanowczo, że nie powróci nigdy w progi męża.

Wówczas poeta rozpoczął sprawę rozwodową; podał zaskarżenie do parlamentu. Obrażony odebraną odmową, napisał gorący pamflet za rozwodem; przypomina w nim prawa Mojżesza i obyczaje biblijnych patryarchów: słowem stawia też same argumenta, jakie podnosił niedawno Dumas w olbrzymim liście, nakreślonym na pięciuset stronnicach. Parlament stał niewzruszony, jak skała; tymczasem młoda Marry, po-

wolna rodzicielskim namowom, wróciła do domu, upadła do nóg mężowi i otrzymała przebaczenie.

Miał zapewne Milton na pamięci tę scenę, kiedy w *Raju Utraconym* nakreślił cudny obraz Ewy, z rozwianym włosem, ściskającéj kornie stopy rozgniewanego Adama.

Siedm lat przeżyli małżonkowie razem; Milton ociemniał w końcu, Marry umarła, zostawiwszy trzy małe córki: poeta zajął się sam ich wychowaniem. Po kilku leciech smutnego pożycia, Milton przyszedł do wniosku, że jeśli nie znalazł szczęścia w małżeństwie, pochodziło to jedynie ztąd, że Marry niedość była ograniczoną. Umyślił zatém odmówić córkom wszelkiego umysłowego wykształcenia; nie posyłał ich nawet do szkółki elementarnéj. W rodzinnych papierach pozostały widoczne ślady ich nieuctwa: podpis wszystkich trzech potrzebny był na jakimś akcie urzędowym, otóż starsza Anna nakreśliła poprostu krzyżyk; druga z rzędu Mary podpisała imię swoje krzywo, z widocznem wysileniem; podpis trzeciéj Debory, wprawniejszą skreślony ręką: ślepy i starzejący się ojciec spuścił ją cokolwiek z uwagi.

Dom Miltona istném był piekłem. Twarde jarzmo ojca ciężyło córkom, doprowadzało je do bezustannych buntów; służyły mu z przymusem. Czytanie na głos rzeczy całkiem niedostępnych, tak dalece było im wstrętném, że Mary uniesiona rozpaczą, modliła się, aby Bóg powołał ojca do siebie i swobodnie dał im odetchnąć. Milton kazał im czytywać w pięciu językach, których wcale nie rozumiały. Było to mechaniczne powtarzanie sylab, w sposób, w jaki gadają papugi. „Jednego języka aż nadto dla kobiéty!" powtarzał niemiłosierny ojciec.

Zniechęcone córki mściły się w niegodny sposób: ślepota starca ułatwiała im zemstę. Anna i Mary sprzedawały ulubione jego książki, w zmowie ze sługą, okradały go codzień, zostawiały go samego w domu. Pozbawiony opieki poeta, ożenił się powtórnie, ale żona odumarła go, przeżywszy z nim ledwie rok jeden. Pojął w małżeństwo trzecią żonę; ta przywróciła wreszcie ład rozprzężony: nie mogąc wprowadzić w karby zuchwałych córek, wydaliła je z domu: odtąd jako haftarki zarabiały na życie.

Trzecia żona, zabiegła gospodyni, tak umiała zniewolić sobie męża, iż zapisał jéj cały niemal majątek, drobną ledwie cząstkę pozostawiwszy córkom.

Dziwnaż to sprzeczność między życiem wielkiego poety, a twórczemi polotami jego w świat ideału. Istny orzeł zapatrzony w słońce, umiał rozwijać skrzydła po niebieskich wyżynach, lecz nie umiał stąpać po ziemi!

PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Juliana Bartoszewicza: *Historya pierwotna Polski.* Tomów IV, 1878, 1879. Kraków. Tom I, str. 500; t. II, str. 522; t. III, str. 450; t. IV, str. 336.

Uprawa historycznéj gałęzi w naszéj literaturze, stosunkowo może się dziś nazwać kwitnącą. Od lat kilku i więcéj, nié mamy prawie roku, prawie miesiąca, iżby się w téj gałęzi nie ukazała jakaś nowa, a odznaczona praca, praca już dotycząca przedmiotów całkiem dla czytelnika nowych, już znanych, ale opartych na źródłach nowych, krajowych i zagranicznych. Czasy mianowicie sięgające naszych pierwszych Piastów w wieku XI, nasze stosunki do Czech w wieku XV, do Wiednia, Brandeburga, Saksonii, w wiekach XVI, XVII i XVIII, te nowe wyjaśnienia zyskały. Jednocześnie gromadzą się, objaśniają i ogłaszają materyały, pomoce i źródła, z najdawniejszych akt naszych krajowych, administracyjnych, sądowych, kościelnych i t. p., z bibliotek i archiwów zaczerpywane. Nie przestają téż ukazywać się daléj *Pomniki dziejów polskich*, oceny i rozjaśnienia roczników i kronik, korrespondencye odznaczonych osobistości krajowych, dyplomatyczne i t. p.

Przy tak nagłém zyskiwaniu pomocy, przyroście źródeł, ogłaszanie prac wykończonych, wnioskowych, o tych dziejach dawnych, nie łatwém się staje. Nim obraz zamierzony, skreślony, ogłosi się drukiem, już autor musi uczuwać potrzebę dopełnień, objaśnień, nieraz sprostowań. Dzieje się to dziś jednak i w każdéj innéj gałęzi. Równie jak dzieje zewnętrzne, dzieje literatury, zasady ogólnego myślenia, wykład różnych gałęzi nauk przyrodniczych, systemów przyrodniczych i t. p., z dniem każdym ukazują nowe przydatki, nowe odmiany i nowa praca w każdym z tych zakresów nigdy dosyć wyczerpującą ukazać się nie może. A jednak dobrze czynią pisarze i pracownicy, iż nie zrażają się tą trudnością. Praca wszelka wykonana możliwie, ma zawsze koło swych następstw, dodatni swój skutek, a trudność owa przy ocenianiu tych prac winna być uwzględnianą.

Jakoż mamy właśnie przed sobą pracę niemałego zakresu, obejmującą bowiem cztery obszerne tomy i dotyczącą naszych ubiegłych

dziejów, a któréj strona krytyczna i treść chociażby się i nie przedstawiały wyczerpująco wobec poglądów i zniesionych dziś faktów, o ujemność jednak z téj strony nie powinna być obwinianą, zwłaszcza, iż jakkolwiek w roku zeszłym dopiéro ogłoszona, właściwie przed kilkunastu już laty była skreśloną. O czasie wykonania téj pracy mamy dokładną wiadomość z krótkiéj, ale nader ciekawéj przedmowy, przez wydawcę i syna autora książki, na czele położonéj. Dowiadujemy się mianowicie, iż autor, który był zarazem i współpracownikiem drukującéj się podówczas *Encyklopedyi powszechnéj*, rozpoczął ją był i wykonał w czasie poróżnienia się z wydawcą téj publikacyi, że zatém pisanie książki przypada na czas od 30 kwietnia 1863, do 20 czerwca 1865 roku [1]).

Z zawarciem pracy téj, ile tak obszernéj i przez jednego z najzasłużeńszych pracowników w gałęzi naszéj literatury historycznéj wykonanéj, chcemy tu zaznajomić bliżéj czytelników.

Główną treścią dzieła obecnego, jak to już objaśnia sam napis, jest *Historya pierwotna Polski*. Treść podobna nieraz już stanowiła przedmiot pism naszych. Jakiż więc jest mianowicie stosunek téj pracy, do innych podobnéj treści? i jakaż jest jéj właściwość? Dzieje pierwotne kraju jestto przedmiot, od którego naturalnie musi zaczynać każdy jego historyk, jestto jednak zarazem przedmiot, który we wszystkich prawie krajach sięga za czasy spółczesnych świadectw, o treści zatém którego mogą tylko nauczać albo tradycya, albo dociekania krytyczne.

Najpierwsi kronikarze nasi od Galla do Długosza włącznie, zapisywali tylko tradycye, ze wzrostem literatury i myśli krajowéj w wieku XVI poczęły się i dociekania krytyczne. Badania naszych historycznych pisarzy z wieku XVI o dziejach pierwotnych narodu nie były bez erudycyi, więc pewnéj krytyki; ta krytyka jednak od krytyki nam spółczesnéj różniła się tém, iż za jedyne świadectwa ubiegłych dziejów poczytywała tylko pismo, czyli różnokrajowe kroniki i że przytém nie oceniała wiarogodności tych źródeł; miała zaś z pewnéj strony, uważać można, tę cechę wspólności z naszą w podobnych przedmiotach, iż krytycy nie pozwalali nawet nikomu wątpić o prawdziwości swych wnio-

[1]) Objaśnienie to każe téż nam zwrócić uwagę, iż biografie historyczne, które należą do najcenniejszych cząstek owéj *Encyklopedyi powszechnéj*, od litery K do O, czyli w przybliżeniu od tomu XIV do XXI, nie były ręki Bartoszewicza. Powodem poróżnienia miały być: długość artykułów i nieczytelność pisma. Jestto pewna, że niejaką ujemnością niektórych artykułów Bartoszewicza w *Encyklopedyi* było wciskanie niekiedy do ich treści: osobistości, polemik bieżących, niezgodnych z naturą pisma, strona jednak dodatnia w tych artykułach tak była przeważająca, a czynność ta, jak się okazało, tak do zastąpienia nie łatwą, iż nie dziwimy się, że pojednanie redakcyi z pierwotnym swym pracownikiem musiało nastąpić i że odtąd współpracownictwo to przeciągało się do końca.

ków. Z wyjątkiem Kromera, który umieściwszy w swéj historyi wywód mieszkańców Polski od Sarmatów, dodał, iż przedstawia go tylko jako prawdopodobieństwo i że chętnie podzieli i inne wnioski, jeżeli je kto gruntowniej uzasadni, wszyscy inni nie dopuszczali nawet z sobą sporu. Marcin Bielski wyraził, iż się *wydziwić nie może*, dlaczego Kromer nie chciał uznać za przodków Polski „Wandalitów, a ma je za Niemce; Stryjkowski dumny, iż do przytaczanych przez Kromera kronik dodał znajomość kilkunastu kijowskich i litewskich latopisców, po wyliczeniu swych źródeł dodał wizerunek pięści ludzkiéj w kształcie figi i podpisał następny dwuwiersz do swego przypuszczalnego krytyka:

„Jeśli naprawdę stawisz twarz zmarszczoną,
Masz zysk: figurę z trzech palców tłoczoną.

A dumniejszym był jeszcze Sarnicki, iż oprócz pisarzy greckich i rzymskich, cytował nadto i wschodnich w ich tekstach, a dumę tę widzimy w ilości wniosków, jakie zapisał w rzeczy dziejów pierwotnych, a z których nie tłómaczy się nawet. Wié on np., w którym roku do Polski przybył Lech, w którym panował Krakus, w którym utopiła się Wanda i owszem, jaki nawet był napis na jéj grobowcu: („Hic jacet in tumba, *Rosa mundi* non *Rosamunda*").

Taki był tylko w ogólności owoc (że już nie wspomnimy o dociekaniach i wnioskach Dębołęckiego, Kleczewskiego i innych z epoki upadku nauk) owéj krytyki pierwszéj w przedmiocie, o którym mowa. Przedmiotowi temu pierwszy nasz rzetelnie krytyczny historyk Naruszewicz poświęcił dwa pierwsze tomy (wydane jednak dopiéro po jego śmierci). Treść ich była téż taka, jaka tylko być mogła miłującego ścisłą prawdę historyka; nie był to żaden wywód własny, domyślny, ale surowe zestawienie tego wszystkiego, co znalazł w kronikach krajowych i obcych, odnoszącego się do dziejów pierwotnych polskich, zewnętrznych i wewnętrznych. Szczególnie gorliwą pracą, poświęconą badaniom tego przedmiotu, odznaczyli się Jan Potocki i Siostrzeńcewicz, badania ich jednak odnosiły się raczéj do badań pierwotnych dziejów w ogóle Słowian, niż saméj Polski. Badaniu zaś tych ostatnich poświęcili w ostatnich czasach oddzielne wypracowania, trzej z najwięcéj odznaczonych nauką i piórem naszych historycznych badaczy: Maciejowski, Bielowski i Szajnocha. Wnioski tych ich prac były mianowicie następne: celem dziełka pierwszego z nich, wydanego w r. 1846 p. n.: *Pierwotne dzieje Polski i Litwy*, było dowieść, iż dwie klasy ludowe, znane na Zachodzie Europy pod imieniem *Lazi* i *Liti*, po przeniesieniu się w części na Wschód, stali się tu przodkami Lachów i Litwinów, tudzież, że pierwsi połączyli się tu nadto z Polanami (Bulones), znanymi już Ptolomeuszowi w wieku II. Drugi, Bielowski, wychodząc z tradycyi przechowanych w pierwszych kronikach naszych, oraz z uwagi, iż nad Elbą wspominana była *Dacia minor*, w dziele swém pod napisem: *Wstęp do dziejów Polski* (1851 r.), starał się dowieść, iż pierwotnemi dziejami naszemi były dzieje *Illiro Daków*, z nad Dunaju

nad Wisłę przybyłych i do Elby rozciągniętych. Trzeci wreszcie, Szajnocha w dziełku: *Lechicki początek Polski* (1858), wyraził znowu wywód, iż założycielami Lechii byli założyciele wszystkich prawie państw europejskich Normanowie, zamieszkali najprzód na Pomorzu, a następnie rozciągnieni do górnéj Wisły i Odry, czego dowody pozostały w przeniesionych tu nazwach skandynawskich: Lachów (*lag*, towarzysz), Kraka, Wandy, Popielów (normańskie: Ascer, Ascherich) i t. p. Zwrócimy tu uwagę, iż wszystkie te trzech badaczy wywody odznaczone są wyjątkową w obranych przez nich przedmiotach erudycyą, lecz zarazem lekceważeniem wywodów swych poprzedników; żaden z nich nie zadaje sobie pracy nietylko zbijania, ale nawet wzmiankowania o treści poprzednich wywodów, czyto dlatego, że czynione o gruntowności wniosków w tych pracach uwagi przez pióra trzecie, znajdywali dostatecznemi, lub też, iż po zauważeniu, iż główną podstawą każdego z tych wywodów była *fantazya*, nie uznawali za stosowne z pierwiastkiem tym walczyć *rozwagą*. Charakterystycznem też jest, iż główne wnioski w wywodach tych były wprost z sobą sprzeczne, t. j., iż gdy według pierwszego z pomienionych wywodów przodkowie nasi (lachowie) przyszli do nas z Zachodu, tedy według drugiego z Południa, zaś według ostatniego z Północy. Pominiemy tu odnoszące się także do obecnego przedmiotu z napisu swojego dziełko: *Pierwsze wieki historyi polskiéj*, pióra pierwszego poety naszego w r. 1868, po jego śmierci wydane, a w którém pierwsze stronnic 30, dotykające właśnie przedmiotu, o którym mowa, są tylko znakomitą poezyą; ale wspomnimy jeszcze w końcu o specyalnie historycznem badaniu z r 1873 p. n.: *Chrobacya*, T. Wojciechowskiego, odróżniającém się od poprzednich tem, iż się zwraca do szczegółów nie przeszłości obcéj, ale wyłącznie domowéj. Autor w badaniu tém trzyma się metody (któréj nie wiemy czemu zaprzeczył Szaffarzykowi, gdyż była to właśnie metoda tego badacza) posuwania się wstecz od rzeczy pewnych, do mniéj pewnych, a jakkolwiek bogactwo otrzymanych wypadków nie odpowiedziało tu wcale oryginalności i pracowitości w czynieniu wywodów, zawsze jednak doszło do wniosku, iż kilkanaście nomenklatur nadelbiańskich z wieku V miało brzmienie słowiańskie i że do tego czasu *prawdopodobnie* i pierwotne osady chrobackie odnieść się mogą.

Otóż całkiem oddmiennéj od wszystkich wymienionych tu prac, natury, jest ta *Historya pierwotna Polski* Juliana Bartoszewicza, o któréj tu rzec mamy. Historya ta najpodobniejszą jest do Historyi pierwotnéj Naruszewicza; niedopuszcza ona co do faktów w kreśleniu dziejów pierwotnych żadnéj fantazyi, a jest tylko zestawieniem opowiadań kronikarzy dawnych o dziejach i mieszkańcach tych miejsc, które następnie złożyły kraj polski albo z dziejami kraju tego miały najbliższy związek. Właściwość i odrębność téj Historyi leży nie w opowiadaniu nieznanych faktów, ale w zbiorze i zbliżeniu dziejów plemion sąsiednich, zarazem zaś w dołączeniu wewnętrznego poglądu na ich ogół.

W jakichże mianowicie szczegółach rozsnuty tu obraz faktów?; na czem zależy ów pogląd? Polacy są Słowianie, i mówiąc o dziejach pierwotnych Słowian, autor wyraża się zawsze *dzieje nasze*. Ale śród tych Słowian to jest śród plemion słowiańskich, wynikły z czasem różnice, wynikły zaś mianowicie ztąd, iż południowi Słowianie ulegli w części zgreczeniu, zturczeniu oraz wpływowi Finnów (Wołgarów, Madziarów): zachodni germanizacyi, wschodni, wpływowi Waregów. Plemie polskie środkowe i niezależne do końca, najwięcéj przechowało cech Słowian pierwotnych, w przyrodzie, mowie i duchu. Duch ten objawił się mianowicie w posunieniu śród tego plemienia najdaléj, gminowładnego charakteru pierwotnych Słowian, a cecha ta dała też temu plemieniowi długą nad sąsiedniemi przewagę, ku czemu dopomogła i czynność chrześciańska przez przyjęty tu obrzęd cywilizacyjny.

To jest najogólniejszy ów pogląd, ramy poglądu. Historya faktów rozwiniętą jest w księgach dziewięciu; a rysy każdéj (że wspomnimy tu tylko o tych, które się odnoszą do głównego napisu książki) są mianowicie następne.

Księga I. ma napis *Rozsiedlenie się Słowian*. Praojcami, według autora, Słowian byli Getowie i Dakowie. (Autor oczywiście nie dzielił zdania, iż były to dwie nomenklatury, grecka i rzymska, jednego ludu). Ci ostatni poparci przez Trajana, podstąpili pod Karpaty, tu znalezli spółbraci osiadłych już na kilka wieków przed erą chrześciańską. Ztąd pod imieniem Lechitów rozciągnęli się ku morzu i Elbie, a innym prądem z północy na południe ku Grecyi. Słowianie byli ludem rolniczym, spokojnym, a koczujące plemiona północne i wschodnie osiadały śród nich chwilowie i przenosiły się daléj. W wieku VII oswobodzone od władców poruszyły się i same do czynu. Napadały na Grecyą i rozpoczęły centralizacyą wewnątrz dla utworzenia wielkiego państwa. Pierwsza była pod Samonem Czechów, druga pod Świętopełkiem Morawian. W czasie téj weszło śród Słowian chrześciaństwo z obrzędem wschodnim, lecz za czasów jeszcze jedności kościelnéj w obu obrządkach. Związek pierwszy zniszczonym został przez Karola W., drugi przez Madziarów.

Księga II, mająca napis *Zorza Polski* mówi o dziejach ludów na ziemi późniejszéj Polski oraz sąsiednich, więc o szczepach lechickim, chrobackim, nadbużańskim, morawskim, bulgarskim, o plemionach litewskich, fińskich, narodach stepowych (Chazarowie, Pieczyngi), Waregach i Madziarach. Nazwę Lechów wyprowadza autor od *lechy*, i za lechickie uważa wszystkie plemiona słowian, rozsiedlone od Wisły ku morzu i Elbie. Śród Lechów zamieszkiwało i plemie Polan, znane już Ptolomeuszowi w wieku II. Polanie byli narodem rolniczym i uprawiali pola. Rośli zrazu i rozwijali się jak kwiat w ukryciu, zabłyśli potem odznaczywszy się i szeregiem bojów i handlem. Plemiona, wtrąca tu między innemi uwagę autor, głębiéj mieszkające w kotlinie nadwiślańskiéj, jeżeli postąpiły na dro-

dze uprawy pola, to tylko przez ziemie nad Wartą i Gopłem mogli się płodami swojemi przedzierać do morza. Nowy brylant, jaki w ręku swoim trzymał lud polański, nowe prawo dla tego ludu do przewodzenia braciom. Przez ich ziemie szła główna droga do wielkiego targu północnego. Bogate owe grody Arkona, Wolin, nie rosłyż dla tego, że był do nich napływ i odpływ płodów Wartą i Odrą (str. 151). Co do nazwy Chrobacyi (a następnie i Rusi) *Czerwonéj*, autor podziela zdanie tych, którzy ją wyprowadzają od wsi Czermno, Czerwno, czyli *grodów Czerwieńskich*, które na chwilę przyłączyli byli Waregowie do swoich władań. Najobszerniéj mówi następnie o najściu na Słowiańszczynę wschodnią Russow-Waregów, i rozciągnienie przez nich do wszystkich jéj części wschodnich nazwy Rusi, a także o najściu, osiedleniu się i wpływie Madziarów wśród Słowian południowo-zachodnich. Najście to i osiedlenie się zowie okresowém dla losu Słowian. Dynastya Arpadów, mówi, miała przeznaczenie obalić państwo Morawskie, aby oczyścić grunt i miejsce dla nowéj centralizacyi Słowian, dla państwa Polskiego (str. 264). „Madziarowie na południu jak klin w środku rozepchnęli Słowiaństwo. Serbowie z Bulgarami jednę tam narodowość stanowili, dzisiaj się rozeszli każdy w swoję stronę. Madziarowie przecięli tak jednym i drugim wszelkie związki z Chrobacyą“ (str. 208).

Księga III mająca napis *Wystąpienie Polski* zaczyna od opowiadania historyi Niemiec, zwłaszcza o ich pogranicznych hrabstwach czyli *Mark-hrabstwach*, a do tych ostatnich odnosi w pewnéj mierze i formującą się Polskę. Dzieje Polski zaczyna autor od Ziemowita (jak Gallus), który będąc mianowany (według autora) przez Popiela II wojewodą przy pomocy Myszyńców (właścicieli wsi Myszy koło Kruszwicy) strącił go z tronu i zaczął nową dynastyą, od ojca jego Piasta zwaną dynastyą Piastów. Dynastyą tę Ziemowit podbojami a wnuk jego Mieczysław przyjęciem wiary chrześciańskiéj odznaczył. Mieczysław będąc w części lennikiem cesarskim, (z ziem zaodrzańskich) stałym zawsze był przyjacielem Ottona, w jego imieniu i z jego pomocą walczył z nieposłusznymi mu Margrabiami a dzielnice ich do własnéj dołączał. Umierając rozdzielił kraj między syna z Dąbrówki czeskiéj Bolesława i synów ostatniéj swéj żony Ody; tych Bolesław wygnawszy został jedynowładcą.

Księga IV poświęcona jest dziejom *Chrobrego*. O dziejach tych zawikłanych w opowiadaniach naszych kronikarzy, rozpowiada autor nie chronologicznie ale kategoryami, a przeto jaśniéj. Mówi więc po kolei o zdobyciu Chrobacyi (Kraków), Pomorza, Czech, zapasach z Niemcami, wojnach z Russami, wreszcie o sprawach domowych i charakterze rządów Bolesławowych. Kreśląc charakter Bolesława autor nie tai i jego rysów ujemnych i wyraża się o tych z pewną przesadą: „Rządy jego wewnętrzne, mówi, były despotyczne, po ojcu odziedziczył *chytrość* (?) która po waleczności, najwybitniejszym była jego rysem; odnosi też znakomite zwycięztwa *przekupstwem*.

Wielkość jego charakteru kaziła gwałtowność, namiętności ducha odpowiadała namiętność ciała; zmieniał żony jak suknie (t. II. str. 5—8). Ale był on zarazem wielkim organizatorem. „Bolesław, mówi autor, nie był zdobywcą dla zdobyczy, był on zdobywcą oswobodzicielem tak na Zachodzie jak Wschodzie. Gromadząc tyle ludów, narodowości, pod jedno berło, zdaje się że miał król na myśli dźwignąć cesarstwo słowiańskie wbrew niemieckiemu, rzymskiemu (t. II. str. 10). Na Południu przez Ruś sięgał aż do Cesarstwa Greckiego, przez Węgry zaś aż do Bułgarów i Serbów, można powiedzieć że nawet był panem Niemiec, poselstwa jego sięgały do Danii i Anglii, gdzie na tronach siedzieli szwagier i siostrzeniec jego Swen i Kanut Wielki. Urządził państwo wewnętrznie, a był nadto, dodaje autor, królem-misyonarzem (Prussy). Polska za jego panowania była ścieżką apostołów, więcéj powiemy ścieżką świętych (t. II str. 10—14). W końcu dodaje autor: Bolesław powolny Cesarzowi, i słusznie (?) do Cesarstwa zaliczany, miał i swoję władzę i Ottona szerzyć coraz bardziéj. Mieczysław był tylko przyjacielem Cesarza, Bolesław jego bratem i spółrządcą Cesarstwa.

Księga V mówi o rządach Mieczysława II i Kazimierza I. Mieczysław II skreślony jak książe dzielny, lecz bez geniuszu ojca. Oryginalnie przedstawiony przywódca buntu po Mieczysławie Masław. Śród ogólnego zamieszania, mówi autor, wyszedł był z ludu i objął dyktaturę Masław, jak drugi Piast, aby ocalić resztę cywilizacyi (porównanie, zwrócimy uwagę, tém mniéj trafne, iż autor nieprzypisywał Piastowi żadnych rządów). Czego nie mógł do skutku doprowadzić Bolesław Chrobry, to wychodziło z rąk Masława piękne, nieskazitelne, w swéj pierwotnéj czystości (t. II str. 335). Ale Masław chciał się też cofnąć w pogaństwo, co było wstecznem, przegrał więc a odnowicielem istotnym stał się przywołany i powrócony z pomocą cesarską Kazimierz. Kazimierz właściwie odbudował nie kraj, ale tylko cząstkę. Nie pomagał Słowianom zachodnim, wschodnim odstąpił grody Czerwieńskie.

Księga VI opowiada dzieje Śmiałego. Król ten był waleczny, rycerski. Odnosił on kolejno zwycięztwa w Węgrzech, Czechach, nad Łabą, w Kijowie; lecz te obok powagi oręża żadnéj innéj dla kraju nie przynosiły korzyści. Zapomnienie w Kijowie (gdzie bawił lat 7) na kraj, wywołało powstanie w kraju. Było to, mówi autor, powstanie w kraju ogólne, nie mające na celu łotrostwa, swawoli albo osobistéj jakiéj zemsty. Kmiecie opanowali w jednéj chwili władzę, ziemie, a nawet żony i córki szlachty. To gmin tylko domagał się poważnie (?) równości obywatelskiéj (t. II str. 486). Bolesław wrócił i mścił się. Znienawidzony w kraju po zabójstwie biskupa krakowskiego, który go chciał reflektować i od tyranii powściągać, chciał szukać pomocy na Węgrzech, lecz raz ustąpiwszy z kraju zginął bez wieści.

Księga VII mówi o rządach Władysława Hermana, VIII Krzywoustego. Kreśląc niedołęztwo Władysława, nazywanego od imienia wuja Hermanem, wznosi autor ze szczególném odznaczeniem wojewodę jego Sieciecha, i mówi: „W dziejach naszych jedną z największych postaci jest wojewoda Sieciech. Sieciech doskonale zrozumiał myśl Bolesławową o jedności państwa, działał w duchu wielkich tradycyi historycznych. Podnosił lud (?) bo nie oddawał się wyłącznie szlachcie, nie dał się skrępować jak król Władysław nowym wyobrażeniom i prawom. Jego upadek oznaczał urodzenie się nowéj wolności, szlacheckiéj. Bolesław Krzywousty był to znakomity władca, wielki wódz w duchu Chrobrego, za wiele tylko miał chytrości (?) dla brata Zbigniewa, był dla niego wylany, serdeczny, a pozbawił w końcu rządów i życia. Przez lat 12 jedynowładztwa Bolesława, rozwijały się daléj te zasady w życiu narodowém, któreśmy już poprzednio poznali. Naród bez staréj wolności żyć nie mógł; kiedy upadła gminna, tworzył inną, szlachecką. Bolesław swym charakterem wstrzymał ten rozwój wolności, ale się pomiarkował, odniósł sam nad sobą zwycięztwo i tą mądrą polityką prześcignął Chrobrego (t. III str. 207). Kiedy odgłos zwycięztwa na Psiem polu, pobudził i Słowian Zachodnich do powstania przeciwko Niemcom, Krzywousty nie szedł im jednak na pomoc.” „Zwycięzca pogan na Północy (Pomorzan), nie mógł pomagać poganom na Zachodzie.” Mimo to jednak, formacya nowego kraju wśród Polan odznaczyła się silniéj, niż u sąsiadów, niż wśród Niemców, niż nawet na Rusi. „Cesarstwo, mówi autor, nie zdobyło się nawet na stolicę. Z Akwisgranu (gdzie miał stolicę Karol Wielki), królowie niemieccy przenieśli się do Bawaryi, a z utworzeniem się Cesarstwa w Niemczech, dynastya saska osiadła na ziemi czysto słowiańskiéj, zamieszkując to w Merseburgu, to w Magdeburgu, to często znowu się przenosiła do nieludnego Quedlinburga.” To dowodzi, dodaje autor, niemocy ducha niemieckiego ku stworzeniu jedności narodowéj. „Takich grodów, jakiemi były: Gniezno dla Polski, Kraków dla Chrobacyi, Płock dla Mazowsza, Praga dla Czechów, u Niemców nie było” (t. III, str. 3), (stworzenie kilku stolic, wtrąćmy uwagę, nie było równie dowodem jedności). Podobnie w sąsiedztwie wschodniém. „Zasady rozkładu na Rusi rzucone były przez Waregów; państw swoich nie umieli skupić w jedno. Polska pod synami Krzywoustego rozpadła się, ale mimo to zachowała myśl swojéj jedności. Tam za Bugiem ludy jednorodne, jednoplemienne, zbić się do siebie nie mogły, aby utworzyć jedno państwo, bo przeszkadzali im do tego Waregowie” (tom III, str. 319).

Księgę IX i ostatnią składa cały tom czwarty. Opowiada ona o kilkudziesięciu pierwszych latach Polski w podziałach. Więc najprzód o pokuszeniach Władysława księcia krakowskiego do pozbawienia braci ich dzielnic, o przegranéj i następieniu po nim (jako najstarszego) Kędzierzawego. Poniżający pokój zawarty przez tego z Rudobrodym w Kargowie (czyli, jak objaśnia autor w Krzyszkowie), pokój

co do formy i warunków poniżający, ale w niczém następnie nie wykonany, „był, według autora, dowodem przebiegłości Bolesława, był tryumfem nie dla Cesarstwa, lecz dla Lechii" (t. IV, str. 180). „Prawdziwy król połączonéj Lechii zwoływał Bolesław, ile razy było potrzeba, braci i wszystkich ziem rycerstwo na wyprawę" (t. IV, str. 190). Sławna jednak następnie jego klęska pruska (gdzie zginął i Henryk sandomierski), wyrzeczenie się Szlązka i niedbanie o Słowian zachodnich, nie mogły mu pozostawić sławnéj pamięci. Po Bolesławie objął w Krakowie następstwo nie syn jego Leszek (ten został przy dzielnicy ojca na Mazowszu) lecz znowu najstarszy z pozostałych braci, Mieczysław wielkopolski. Ten na wzór naddziada Chrobrego, pragnął złączyć dzielnice, a rządy swe odznaczyć energią i samowładztwem, ale przeciw temu ostatniemu dążeniu wywołał stanowczy protest i Kraków usunąwszy go, powołał na rządcę swego księcia sandomierskiego (dziedzica po bracie Henryku) Kazimierza.

Obiór ten przedstawia się jako zakończenie dziejów pierwotnych; ogólny zaś obraz skreślonych przez siebie dziejów Lechii, czyli Polski, autor następnemi dwoma uwagami odniesionemi już do zewnętrznych, już do wewnętrznych dziejów, zakończył:

„Lechia Polska (to jest nie pomorska i zaodrzańska) wszystko z siebie zrobiła co mogła. Rzeszy téj polskiéj mimo nawet podziały, powodziło się świetnie. Dwieście lat już przeszło żyła, rozwijała się ciągle i nie pozwoliła Niemcom ani krokiem daléj na wschód postąpić! Lechii poza Polską nic się nie udawało, uległa germanizacyi. Książęta Albert Niedźwiedź, Henryk Lew, Fryderyk Rudobrody, według piosnki ówczesnéj:

Das waren drey Herren,
Die konnten der Welt verkehren.

Lechii Piastów przyszło więc tylko być niemym świadkiem jéj dogorywania. Co do dziejów wewnętrznych, z okoliczności ostatniéj elekcyi krakowskiéj (Kazimierza) uważa autor, iż był to fakt, który nietylko rozszerzył władzę szlachty ale nadto przyznawał faktycznie odrębność dzielnicy od dzielnicy, Krakowianie bowiem obierali tylko władcę dla siebie. „Nieoględne postępowanie Mieczysława Starego, mówi, popchnąwszy Krakowian do powstania, jedności zadaje ciosy. Ruch z roku 1177 był więc głęboki, zmienił stosunki Lechii. Pokazywał nową dojrzewającą w narodzie potęgę, nie rycerstwa, ale już szlachty. Nad *wolnością* patryarchalną(?) słońce zachodziło, za to rodziła się wolność nowa, żywioł szlachecki... Potęga długo wspaniała, świetna i dobroczynna" (t. IV, str. 329).

Takie są główne rysy odniesione do Polski w czterech tomach *Pierwotnéj historyi* Bartoszewicza. Te rysy nie dają jednak zupełnego wyobrażenia o bogatéj treści jéj ksiąg; tyleż bowiem a podobno i więcéj miejsca niż dzieje Polski, zajmują tu szczegółowie opowiadane

dzieje od X do XII wieku, Niemiec, Czech, Węgier, księztw ruskich, oraz Słowian zachodnich, pomorskich i nadelbiańskich.

Dla oznaczenia bliżéj charakteru książki, powiemy tu najprzód słowo o stronie zewnętrznéj jéj treści czyli wykładzie faktów, a następnie o właściwości jéj głównéj, o jéj poglądach.

Co do faktów, czyli metody w ich wykładzie, ta, uważać można, jest takaż jak i w innych pracach Bartoszewicza. Autor ten był badaczem źródłowym, każda prawie z jego prac historycznych przynosiła nam nowość, dodatek do ogólnego obrazu dziejów. Był on zamiłowanym zwłaszcza, niezmordowanym, w zbieraniu szczegółów odnoszących się do zawodu osób historycznych. W artykułach téj kategoryi podawanych przezeń do *Encyklopedyi powszechnéj*, oraz w oddzielnych publikacyach (jak: *Żywoty arcybiskupów*, *Znakomici mężowie polscy* i t. p.) rzucił on, można rzec, ziarna do nowéj gałęzi w historyi kraju, gałęzi biograficznéj. A jednak i w tych wszystkich jego wykładach, obrazach, opowiadaniach, w których zkądinąd był tak samodzielnym, wykład jego nie był nigdy wykładem ściśle krytycznym, to jest wykazującym źródła swych badań (chociażby w takim stopniu np. jak jest w *Żywocie Chodkiewicza*, przez Naruszewicza) ale zawsze opowiadającym, wnioskowym, wymagającym od czytelnika dobréj wiary w zaręczenia autora. Taki wykład jest téż właśnie i w jego obecnéj książce. Bartoszewicz opowiada tu tylko co poznał z obcych badań i wymaga dobréj wiary w twierdzenia.

Ile w książce mającéj co do swych rysów zewnętrznych charakter *compendium*, krytyczność ta autora (przynajmniéj w odniesieniu do dziejów krajowych) jest dostateczną: Bartoszewicz kroniki polskie umiał, rzec można, napamięć, oswojony był z niemieckiemi od czasu zbioru Pertza, znał ruskie, jak widać z cytacyi, a jakkolwiek dzieło swe kreślił przed ukazaniem się nawet tomu pierwszego *Monumentów* Bielowskiego, znał jednak jak się zdaje, wszystkie te nawet źródła, poznane w ostatnich latach, które tu weszły. Jakoż w obrazie pierwszych panowań w Polsce, nietylko mówi według już dawniejszych sprostowań o koronacyi, małżeństwach, potomstwie Chrobrego, ale téż opowiada np. o spółrządach Bezbraima po jego śmierci, z Mieczysławem II, wié o ukoronowanym synie tego ostatniego Bolesławie II, wié a nawet przytacza główne słowa z *breve* Benedykta IX o podniesieniu biskupstwa krakowskiego na stopień arcybiskupstwa; o małżeństwach młodszych synów Krzywoustego; mówi nie według Długosza i czerpiących z niego wszystkich historyków naszych, ale według poznanéj niedawno kroniki Ortlieba (spółczesnéj Krzywoustemu) i t. p. Opowiadanie prowadzi jasno a pragmatycznie, a oprócz wskazówek niekiedy źródeł, wtrąca téż od czasu do czasu i niejakie objaśnienia krytyczne kwestyi spornych (o niektórych wspomnimy tu niżéj). Dodać téż wypada, iż w obrazach jego, jakkolwiek krótkich, szczegółowiéj zwykle niż gdzieindziéj dotykane są szczegóły genealogiczne głównych postaci, a także krytycznie zawsze, dotyczące hierarchii kościelnéj.

Co do strony jednak wewnętrznéj, ta, wyznać nam każe bezstronność, nie objawia się wszędzie w tej pracy równie dodatnio. Dzielimy w znacznéj części główne poglądy autora, lecz nie możemy uznać, iżby te które dowieść zamierzał, udowodnił. Krytyczność Juliana Bartoszewicza miała swe ujemności: przebijały się one już słabiéj, już silniéj w różnorodnych jego utworach i wyraziły się właśnie nie szczupłe i w pracy obecnéj. Bartoszewicz był miłośnikiem nietylko faktów, ale i uczuć; do wykładów łączył uczucia, nawet *żar* uczuć; lecz między tym żarem uczuć a zimą faktów, nie było nic, że się tak wyrazimy naprędce, harmonijnego mostu, coby je spajał. Rzecby można, że ta mrówczość pracy autora, jaką poświęcał na gromadzenie faktów (słyszeliśmy iż przy czytaniu pism historycznych, zwłaszcza źródłowych, rzucał co chwila kartki, czyli notatki do oddzielnego składu) nie dawała mu dosyć czasu do ukształcenia w myśleniu szyków logicznych, i do wyrażania się tém samém zgodnie z tém ukształceniem. Widok rozumowania tego autora, był podobnym nieraz, rzec można, do widoku fal wodnych, których szczegóły przedstawiają nam już podskoki, już spadki, a więc kontrasta, więc męty, a nie dochodzą nigdy prawie do ustalenia się i do zamienienia swéj treści w zwierciadło jasne.

Powiedzieliśmy już, iż głównem założeniem autora w obecnéj książce, było wskazać: iż plemie polskie, niezawisłe do końca, miało w udziale przechować gminowładność pierwotną, daléj ją niż gdzieindziéj rozwinąć i tém stanąć wyżéj nad współplemiona. Czyliż to sprawdził? Bynajmniéj. Autor w wykładzie swoim rzeczy krajowych, rzec można, iż całkiem stracił z myśli swe założenie. Nietylko od Piasta do ostatniego z Mieczysławów o których mówi, nie widzimy żadnych gminnych urządzeń, gminnego życia śród kraju, ale autor wyraźnie nawet uczy, iż tych nie było. Byt krajowy wewnętrzny uważa, przed czasem Piastów *musiał być* w Polsce jak i u innych plemion słowiańskich gminny, wiecowy; ale „za Piastów, dodaje, w łonie społeczeństwa polskiego nastąpiła *stanowcza przemiana*. W podniesieniu blasku władzy, szukać trzeba i podniesienia jéj tęgości. Tęgą była, bo jedni po drugich następowali po sobie zdolni Piastowie. Ustały dawne wiece narodowe, *śladu ich nie znajdzie historyk za Piastów*" (t. I, 435). I niżéj: „rządy Bolesława Chrobrego były narzucające się, gwałtowne, *bez względu na wolności gminne*" (t. II, str. 99). „Charakter Krzywoustego wstrzymywał rozwój wolności" (t. III, str. 207) i t. p. Nie było więc gminowładztwa za Piastów, lekcya jest jasna. W miejsce tego cóż jednak się objawiło? Byt kmiecy był uciśnięty, dawna miłość swobody wyraziła się więc za podrostem dziejów w kształcie nowym, w obrazie swobody szlacheckiéj. Czy autor był stronnikiem tego nowego zwrotu? czy go przenosił nad dawny? Zdałoby się, iż być nie może w tym względzie wątpliwość żadna: wyrażenia są jasne. Mówiąc np. o stanowisku epoki za Władysława Hermana, tak się między innemi wyraził: „kmiecie chcieli wolności gminnéj, to jest rozpadnięcia się Polski na sto oddzielnych przedziemowitowych, przedpopielowych rze-

czypospolitych, szlachta zaś wyrobiona, *światlejsza*, rozumiejąca potrzeby państwa, *zwalczała wolności gminne*, rzecz przestarzałą: szlachta była za *postępem*, kmiecie za *wstecznością*." Jaśniéj jeszcze, gdyż zarazem i poetycznie wyraził się daléj, mianując te rosnące swobody nowe „smugami światła." „Opowiadając dzieje za Władysława Hermana, mówi, wskazywaliśmy nieraz na bardzo ważne wypadki, które nie miały znaczenia dla jednéj chwili, ale ślad wyraźny, dziejowy, zostawiły po sobie, niby *smugi światła* po niebie pochmurném. Tylko te smugi światła nie nikły: zostały na polskiém niebie narodowém jak *gwiazdy*. Zniknąć nie mogły, bo były owocem pracy dwu wieków, były wyrobem stuletniéj przeszło cywilizacyi chrześciańskiéj. To zasady naszego narodowego życia, na którém się oprze cała przyszłość" (t. III, str. 104). Dodaje tu autor uwagę, iż rozwojowi tych swobód pomogło samo niedołęztwo Władysława Hermana, bo niemiał siły go powstrzymać, i nie zaszkodziła dzielność jego następcy, gdyż ten wczas „pomiarkował iż ustąpić musi i odniósł sam nad sobą zwycięztwo."

I ta więc lekcya jest jasna, lecz oto w wykładzie dziejów, w oznaczaniu stanowiska swego w poglądach na nie, autor, widzieliśmy, rozwijał zrazu i wielbił całkiem przeciwny kierunek. Masław np. stawionym był nad Chrobrego, iż popierał bunt *kmiecy*. Zawładanie za Śmiałego przez kmieci mieniem panów, uważał za poruszenie poważne i postępowe; Sieciecha który „poniżał szlachtę a podźwigał lud," podał za jednę z najznakomitszych postaci w dziejach polskich. Co zaś ciemniejszemi jeszcze czyni twierdzenia a ztąd i stanowisko autora, to to: iż nie objaśnił w wykładzie ani wyraźnie, ani przez aluzyą, w jakich to mianowicie faktach lub w jakich jednostkach, widział owe smugi światła i gwiazdy za panowania Hermana. Gwiazdami panowania Hermana byli wszakże ów właśnie Sieciech, który poniżał szlachtę, a następnie dwaj królewicze, którzy także myśleli tylko o podniesieniu władzy własnéj a nie szlacheckiéj. W czém je widział podobnie za Krzywoustego i w czém i komu ten uczynił ustępstwo? chyba iż za wzrost swobód, uważał autor bunty Skarbimira i Świętopełka, a za ustępstwo: oślepienie pierwszego i wygnanie drugiego. Za koronę wreszcie tych swobód i za bramę do przyszłych, podał autor fakt, którym zakończył opowiadanie, to jest elekcyą krakowską Kazimierza. Wszakże właściwie ani zjazd panów polskich w r. 1140, dla oznaczenia stosunku władzy Władysława krakowskiego do braci (podał go mianowicie dobitnie za okresowy Hofman, w dziełku: *Przyczyny podziału* etc.), ani owa elekcya, nie były jeszcze wskazówką jakowejś zmiany w ustroju kraju. Takie zjazdy i takie wybory władców dla założenia, lub przeciągania dynastyi, praktykowały się podówczas we wszystkich krajach i przedtém i potém, a nieprzesądzało to wcale stosunku nadal poddanych do panujących. Dosyć jest wspomnieć notabene, na zjazdy panów we Francyi, regulujących sukcesye następców Karola W., na częste elekcye dynastyi w Czechach, Węgrzech, Niemczech, a nawet i późniejsze w wielk. ks. moskiewskiém, co jednak nie oznaczało wcale zmiany

stosunku bojarów do ich elektów. Elekcya Kazimierza nie była też wcale prototypem późniejszych elekcyi polskich, była to bowiem także elekcya śród dynastyi i dla dynastyi. Żył wprawdzie jeszcze Mieczysław, lecz podobnie obierano nieraz wówczas np. w Niemczech za życia jednego króla, króla nowego.

Ciemnemi więc są właściwie nie zaś jasnemi, nietylko wywód ale i założenia autora. Lecz oto autor zamierzał wykazywać zarazem wyższości pod oznaczonym względem plemienia swego nad plemiona zachodnie i wschodnie, obaczmyż, czy ten bliższy wykład bliżéj nas nie objaśni?

Przystępując na str. 117 tomu I do bliższego wykładu losów swego plemienia, autor *Historyi pierwotnéj* tak mówi między innemi: „Po Samonie i Morawianach trzeci (centralizacyjny) związek nastąpił lechicki. Szczep lechicki i szczep chrobacki, to dwa główne i *najszlachetniejsze* odłamy wielkiego plemienia." Dlaczego najszlachetniejsze? W sprawie własnéj *nemo est judex.* Na pochlebny przymiotnik dla szczepu, szczep ten zapewne gotówby się zgodzić i bez dowodów; ale prócz szczepów chrobackiego i lechickiego, są i inne szczepy w słowiaństwie, i z nich każdy ma miłość swą własną, i mógłby miéć dowody na jéj poparcie; czeski np. mógłby rzec, iż pierwéj był Samo jak Chrobry, iż pierwéj był wiek złoty literatury w Czechach jak w Polsce i t. p.

„Rozwinąwszy się w sobie, mówi autor daléj, Polska szczepi (następnie) jedność swoję już na trzeciém polu, śród trzecich ludów. W Lechii, Chrobacyi, w ziemiach które spólnego nazwiska nie mają, a którym najazd obcych zdobywców przyswaja imię Rusi, będzie Polska, która pociągnie ku sobie i plemiona obce, niesłowiańskie. Potęga ogromna *jak świat cały* (!), nikt tak nie przedstawia słowiańszczyzny jak Polska, bo *większa połowa* (?) ziem słowiańskich zlała się z Polską" (t. I, str. 122). Prócz części Rusi żadne inne z większych plemion słowiańskich nie były w jedności z Polską, więcéj ich miały Węgry, Austrya a następnie Turcya. Te wyskoki fantastyczne, przesadne, szkodzą tylko rozumowaniom autora, cień bowiem rzucają i na to, co jest w nich dodatniém.

Po tych jakby założeniach ogólnych, autor schodzi do sprawdzeń owych założeń szczególnych: spójrzmy więc na te.

Z sympatyą wyraża się autor książki o plemionach słowiańskich wschodnich, sąsiednich Polsce, lecz dodaje, iż rozwojowi tych plemion zaszkodził, zwichnął go i w odmienny charakter przyodział, najazd *Waregów,* Włodzimierz W. nie jest tu ani razu nazwany Włodzimierzem, ale zawsze „Konungiem Waldemarem." „Nawet, dodaje autor, i przez następne (po Włodzimierzu) lat 200, książęta ci ruscy byli to zawsze Waregowie" (t. II, str. 411). Taki wykład jestto napozór wykład historyozoficzny, lecz właściwie jest sprzecznością z historyozofią. Bieg historyi to rozwój, a rozwój różnorodnych ludów, czyli ludzkości, jest obrazem rozrostu, rozkładu, krzyżowania się i kojarze-

nia się plemion i ras. Faktem jest, iż takie krzyżowania się i kojarzenia były nawet warunkiem postępu w historyi (coś to nakształt tego prawa fizyologii, iż, jak to utrzymują gospodarze praktyczni, dla odżywienia plonu potrzebne są ziarna z obcéj roli). Normanowie byli zaszczepcami we wszystkich prawie krajach europejskich nowych pokoleń i w nie następnie spływali sami. Każde téż prawie państwo Europy nowéj nie pierwéj ukazało swój wzrost i odznaczyło swoję właściwość, aż ukształciło się pierwéj z takich różnorodnych skrzyżowań. Z Burgundów np. Wizygotów, Normanów i Celtów ukształciło się było pierwotnie królestwo Franków; ze Staro-Bretonów, Gallów, Sasów i Normanów *Anglia*. Dynastya *Plantagenetów* (franko-normańska) zaczęta w lat 70 po podboju Anglii przez Wilhelma, nigdy nie była uznawaną za inną jak angielską. Nie historycznem przeto jest twierdzić, że nietylko Włodzimierz (który objął po Ruryku władzę w lat 130), ale nawet cała jego dynastya nie była słowiańską. Na co się zdało czynić założenia, wywody, które tylko wywołać mogą odpowiedź łatwą i tém samém tylko kompromitują. Jakoż i cały do owego zewnętrznego poglądu dodany wewnętrzny, razi jawnie stronnością. Autor zarzuca Waregom to, co podnosił w Lechii, to co wytyka Waregom, sam nieraz objaśnia, iż miało byt i w Lechii i t. p. „Największą szczerbę w słowiańskiéj plemion starożytności, mówi np. wyrządził system wojenny, który zaprowadzili Waregowie. Wojną celowali, wojna była ich żywiołem" (czémże inném celowali Bolesławowie?). „Po warezku widząc rzeczy, Konung sobie te wszystkie przestronne ziemie, od Karpat do odnogi Fińskiéj, przywłaszczał" (t. II, str. 383) (cóż innego powtórzmy, czynili Samo, Świętopełk, Chrobry?). „Nie przyszedł, dodaje autor, Konung do starszyzny słowiańskiéj, nie oparł się na opolach lub gminach, ale wszędzie swoje porządki stanowił" i wkrótce: „Coś podobnego czynili i Ziemowit i Mieczysław, ale w Polsce wznosiła się narodowa siła, nad Dnieprem i w krainie jezior uorganizował się najazd" (t. I, str. 464).

Najazd w pokoleniu trzeciém i czwartém nie jest już najazdem, lecz krajem, zwłaszcza jeśli najezdzcy przedzierżgają się w kraj najechany. Przejęcie miejscowego języka, przyjęcie przez siebie i wprowadzenie do całego kraju religii chrześciańskiéj, nadanie mu ogólnego kodeksu (*Prawda Ruska*), wskazują jasno, że potomkowie Ruryka, społeczność tę, do któréj przybyli, chcieli miéć zjednoczoną w sobie i z charakterem własnym, nie skandynawskim. Wspomniał autor o opolach i gminach, lecz te opola nasze, to przedmiot dopiéro domyślny, a wieców gminnych, według autora właśnie nie było i śladu za Piastów. Chrobry miał radę przyboczną, lecz jak wzmiankuje autor, miał ją i Włodzimierz. „Nie był, mówi, Konung samowładnym, radzić się musiał silniejszych mężów drużyny." Przy poglądzie na Ruś w podziałach, tak rozumuje autor: „Sam rozdział posiadłości Waldemarowych, między 12-tu synów, świadczy, iż nie było tu żadnéj idei

państwa, jedności, a tylko system zdzierstwa. To też w téj walce bez myśli, jaką dzieje książąt warezkich przedstawiają, jest zamęt nie do opisania, praw, pretensyi, widoków" (t. II, str. 201; t. III, str. 359). Ale na podobne obrazy, lubo patrząc z innego stanowiska, wskazuje autor i w Lechii. „Nie była to rzecz nowa dla Polski, mówi np., widzieć u siebie kilku książąt; Piastowie nieraz państwo pomiędzy synów dzielili. Niéma w niczém różnicy, tak samo w Krakowie, jak w Włodzimierzu i Przemyślu, panują drobni książęta i wojują z sobą, tylko że książęta z Piastów (jak szlązcy) ciągną ku niemcom, a książęta wołyńscy i czerwieńscy ku waregom" (t. IV, str. I; t. III, str. 395). Zastanawiając się w swym wykładzie końcowym nad przyczynami Polski w podziałach, autor uważał, iż przyczyną tego podziału nie byli ani Krzywousty, ani Herman, „wina tu, mówi, była wszystkich, a więc niczyja. Nieskrzepłe jeszcze były w państwie rozliczne plemienności, więc się rozpadły" (t. III, str. 97). Cóż więc znaczyły czynione z góry przechwałki o jedności wewnętrznéj Lechii, jéj instytucyach swobodnych, gdy ich nie widać? wzmiankował autor o kwitnącym śród Lechii handlu, ale wzmiankuje o nim i śród Waregów, lubo z przekąsem. „Panowanie Waregów, mówi, odznaczyła nietylko wojna, ale i handel. Kiedy drużyny osiadły po grodach słowiańskich, *musiały* się zająć handlem, *bo czémże zająć się miały?..*" (t. I, str. 473).

W czémże więc była wyższość Lechii za Bolesławów nad Wschodem? I na co się zdało, powtórzmy, czynić założenia, gdy te daléj nie sprawdzać się miały, tylko zaprzeczać?

Takie były dowody wobec Waregów; nie lepiéj wyszły założenia i wnioski względem Niemiec. Ograniczymy się na przytoczeniu ich, własnemi słowy autora.

Na str. 443 tomie I, takie znajdujemy założenie: „Tło naszéj cywilizacyi zupełnie odmienne od niemieckiego. W miejscu wojenności znajdujemy tu rolniczość, w miejscu feudalności porządek gminny, w miejscu nierówności towarzyskiéj zupełną równość (?), w miejsce czci dla osobistości, spólność praw i obowiązków, t. j. dążność społeczną. Demokracya nasza rozwija się zbyt wybitnie obok feudalnéj arystokracyi Niemiec."

Zaś na str. 276 tomu następnego taki jest wniosek: „Chrobry ideę władzy przejął od cesarzów... był on reprezentantem wszystkich sił swojego państwa (nie potwierdza to wcale owéj demokracyi) nie słowem, nie prawem, nie obiorem gmin, ale rzeczywistością... Urządził kasztelanów na wzór Henryka Ptasznika, przez nich to nakładał owe różnorodne i ciężkie obowiązki prawa rycerskiego, które wszystkich dotykały. Kraj tak nieprzyjazny dla wszelkiéj regularnéj a ogromnéj władzy, przyjął prawo, które król długiém, przeszło 30-to letniém panowaniem postawił jako zasadę rządu. Było to prawo uciążliwe i dla samego narodu i wzięte w porównaniu z prawem Cesarstwa, *bo w Cesarstwie* przez różne przywileje dla stanów i zawodów zaczynały się tworzyć *swobody społeczne.*"

Powtórzmy, iż nie mówimy tu wcale o gruntowności albo niegruntowności ogólnych założeń autora: przedmiot ten zostawiamy na boku, lecz wskazujemy tylko, iż jego wywody i wnioski są najczęściéj w kontraście z założeniem i że w tych wywodach i wnioskach tkwi takiż zamęt, jaki tkwił i w tém założeniu ogólném, które było prologiem do tych wywodów, a które literalnie tak brzmiało: „Polska, rozwinąwszy się w Lechii przechodzi do Chrobacyi i z dwu wielkich plemion słowiańskich wyrabia się do potęgi. Nowa siła, wzbierając w potęgę, działa jednocześnie na wschód i zachód (i cóż?); zachód stanowi opór i *ocalił się*, ale wschód uległ" (t. I, str. 122). Jeżeli się nie mylimy, celem autora było, wyrazić się tu zupełnie przeciwnie, t. j. że zachód uległ (germanizacyi), a wschód ocalił się.

Na domyślne źródło psychiczne tych zamętów w rozumowaniach autora wskazaliśmy, wskażmy teraz na ich źródło praktyczne w obecnéj pracy.

Jakże mamy bezstronnie patrzéć na obraz Polski pod względem, o jakim mowa w téj pracy?

Iż u pierwotnych Słowian przeważającém było gminowładztwo, iż rząd ten przeciągał się u nich przez długi czas ich niezawisłości, prawda to historyczna, bo na historycznych świadectwach oparta. Prokopiusz, historyk grecki z wieku VI, w którego dziele o *wojnie gockiéj*, pierwszy raz napotyka się wiadomość o Słowianach, mówi, iż ludy te od czasów dawnych pod rządem demokratycznym żyją (w przekładzie tego dzieła łacińskim, powszechnie w naukowości używanym, brzmi to: „Hi populi ab antiquo *in populari imperio* vitam agunt." Helmold, Dytmar i i. mówią o odbywanych u Słowian zachodnich wiecach jeszcze w wieku XIII. Nie domysłem téż jest, ale zbyt znanym faktem, iż kiedy wszystkie prawie europejskie kraje pierwotne swobody swoje zamieniły na rządy monarchiczne i absolutne, kraj polski wznosił je stale i w życiu politycznem praktycznie, i w pismach rozumowanie, i że w odniesieniu do przywilejów jednostek doprowadził je daléj, niż jakikolwiek kraj inny; lecz oto stało się to było już w czasie, kiedy kraj polski *podrósł*, t. przy końcu XIV wieku, a bardziéj jeszcze, kiedy ze skrzyżowania się kilku ludów i ras (między innemi ruskich, litewskich, pruskich i i.) ukształcił się w *naród* z oddzielnym charakterem, z oddzielną a sobie właściwą twarzą (odkreślił ją najdobitniéj w traktatach swych Orzechowski *gente Ruthenus*, a w praktyce *Jagiellońska* dynastya), ale téj odrębności, téj twarzy, niemiał jeszcze w swoich dziejach pierwotnych, w epoce, która jest przedmiotem książki, o któréj mówimy. Autor jéj ukształcił był sobie wyobrażenie, pojęcie o znaczeniu i charakterze kraju swojego z czasów późniejszych, z tego, jakim był w wieku XVI i chciał go widziéć takim i w wiekach, w których go jeszcze niemiał, i ztąd te sprzeczności, te męty, w jego rozumowaniach, w jego założeniach i wnioskach.

Toż co o kraju polskim, rozumiemy właśnie i o Słowianach wschodnich bliższych i dalszych, i ich byt podniósł z czasem i odzna-

czył się nową twarzą i charakterem, a na te wpłynęły także i wpływy zachodnie i wschodnie, lecz już nie z czasu Waregów i nie Bolesławowskich.

Tak się odbiły te skazy sądu autora, ta jego ekscentryczność (z której nawet był niegdyś głośnym), śród głównych założeń i wniosków; a dodać trzeba, że odbijają się one równie w ciągu dzieła i we wszystkich innych jego zwrotach i szczegółach, jako w opowiadaniu dziejowém, w kreśleniu charakterystyk, w pierwiastku nawet téj wagi, jak religijny i t. p. Przytoczmy tu chociaż kilka wskazówek, zaczynając od tego ostatniego pierwiastku. Bartoszewicz, jeżeli się nie mylimy, z zasady był religijnym. Chrześciaństwo, a zwłaszcza chrześciaństwo z obrządkiem, jak określał, cywilizacyjnym, za pierwiastek głównie żywotny w składzie państwa uważał; to też było powodem, że ze szczególném upodobaniem zwracał zawsze uwagę we wszystkich wiekach na krzewienie się, rozwijanie i działanie hierarchii kościelnéj i jak rzekliśmy, obrazy jéj i w pracy obecnéj bogatsze są nad inne. Z uszanowaniem też w téj pracy mówi wszędzie o duchowieństwie krajowém, zwłaszcza o działaniu biskupów; nie obwinia ich wcale, np. jak to dziś prawie powszechnie się czyni, o utrwalenie podziałów po Krzywoustym, i owszem tak się wyraża w téj rzeczy: „Od Władysława Hermana stanęli biskupi przy tronie i popierają stale sprawę wolności i jedności. Kiedy polityka możnych i panów rwie Polskę, biskupi zawsze ją kupią.” A jednak i w tym przedmiocie trafiamy nieraz w ciągu dzieła na owe wyskoki sądu autora, na ekscentryczność, kreśląc np. obraz ujemnych rysów chrześciaństwa, śród wieków średnich. Autor literalnie zarzuca, iż wierzono natenczas w sprawiedliwość Bożą oraz w Opatrzność. „Bóg, mówi, u *zabobonnych* był nieustającą, a do tego groźną, straszliwą *sprawiedliwością*” (t. I, str. 44). „Bóg w pojęciach owego społeczeństwa, przebywając śród niego na ziemi (gdzież indziéj mógł łączyć się z człowieczeństwem?) *plątał się* do najdrobniejszych spraw domowych” (t. I, str. 412). Do podobnych wyskoków odnieść się też musi jawne jakieś poufalenie się z niebem, dowolne tłómaczenie myśli sił skrytych i t. p., niewłaściwe zwłaszcza pióru historycznemu. Mówiąc np. o państwie Świętopełkowém, wyraża: „Bóg *chciał już* powołać do siebie apostoła, i jakby czekał na rozszerzenie się państwa Świętopełkowego” (t. I, str. 60). W inném miejscu zaręcza, iż: „nie *z natchnienia Ducha Ś.* Waldemar przyjął wiarę” (t. I, str. 395); mówiąc znowu o uchylaniu się Morawian od władzy biskupów niemieckich, tak się wyraża: „*sam dyabel* natchnął Morawian nienawiścią ku Chrześciaństwu. Odtąd biskup passawski nie może się w ich granicach pokazać, a co gorsza Morawianie chełpią się, iż mają prawo od papieża stanowić arcybiskupstwo” (t. I, str. 3); odwoływanie się do władzy i powagi papieża, czyż mogło stanowić dowód *nienawiści ku Chrześciaństwu?*

Wskażmy teraz po kilka szczegółów z innych miejsc książki, tak z miejsc, w których tkwi owa ekscentryczność, lub gdzie nastręczy się nam inna jaka uwaga.

W naszém opowiadaniu, przystępując do zaznajomienia czytelnika z czasem zjawienia się, przezwania się i następnie rozsiedlenia się Słowian, autor wzmiankuje, iż „Tacyt, oprócz Wisły, wskazał i na inną granicę między Germanami i Sarmatami, bojaźń wzajemną." Z tych słów możnaby wnieść, iż Tacyt w swym traktacie *O obyczajach Germanów* wspominał o Wiśle. Wisła istotnie znaną już była rzymianom za wieku Tacyta (Pliniusz, Pomponiusz Mela) geografowie z I i II wieku; tenże Mela, Ptolomeusz, Agathomenes wyrażają nawet, iż Wisła oddziela Germanią od Sarmacyi; lecz oto Tacyt, który dowiódł, iż najbliżéj znał germanów i szczegółowie oznacza ich siedliska, wzmiankuje w swym traktacie o Renie, Elbie, Dunaju, morzu, a niéma tu wzmianki o Wiśle; wniosek więc: iż właściwie posady germanów nie rozciągały się po tę rzekę.

Na str. 8, nauczając, iż początkiem nazwiska Słowian było ich hasło bojowe, autor tak mówi: „W wieku VI *jedna chwila* natchnienia *stworzyła je* i rozniosła; wyraz *słowo* był niezawodnie tém hasłem, lecz oto na stronie poprzedniéj 7-éj, wzmiankował, iż Getowie, Wenedowie, Dakowie, „*od wieków* Słowianami się między sobą nazywali." Któréjże z nauk tych obowiązanym jest trzymać się czytelnik?

Mówiąc z kolei o apostolstwie śród Słowian braci Cyrylla i Metodyusza, autor nie trafnie objaśnia, iż „pierwszy z nich nazywanym był Strachot" (t. I, str. 78). Strachotą nazywanym był Metodyusz od *metus* strach, i opowiada, jak bracia po drodze ochrzcili księcia bulgarskiego Borysa: fakt, który dziś jest powszechnie odrzucanym przez krytykę i o którym wreszcie nie wspomina i ów żywot Metodego, który cytuje autor.

Przechodząc do przedmiotu głównego książki, t. j. do kwestyi Lechów, nazwę tę wyprowadza autor od *lechy* (wywodu tego trzymał się niegdyś Maciejowski, nim go nie zamienił na wywód od *Lazzów*). Wywód taki kazałby przypuszczać, iż była to nazwa klasy pośród plemienia, a nie plemienia; nieharmonijnie z nim łączy się więc to wyrażenie, iż „*plemię* to rozciągnęło się daléj ku morzu i na zachód za Odrę;" wyraziwszy zaś to twierdzenie autor, dodaje: „rozwinęliśmy tu *pojęcie nowe*, bo szczep lechicki, według dawniejszych rozumowań, nie przechodził za Odrę. Łużyce i Pomorze nie do lechów liczono" (t. I, str. 126). Iż pojęcie to nie było nowém, wiedzieć o tém mogą dawni czytelnicy *Biblioteki*, na możność bowiem i konieczność takiego wniosku, zwróciliśmy niegdyś uwagę na jéj kartach sami jeszcze w roku 1848, w uwagach nad *Dziejami pierwotnymi* Maciejowskiego (w wydaniu Wolffa p. n.: *Rozbiory* i *Krytyki* w tomie II, od str. 49 do 54), a wnioski te obszerniéj jeszcze starał się następnie wyłożyć i ugruntować w osobném dziełku *O Pomorzu Zaodrzańskiém* Dominik

Szulc [1]). Bartoszewicz, pisząc swą *Historyą pierwotną* w r. 1863, mógł oczywiście zapomnieć o tém, co czytał przed lat dziesiątkiem, lecz szkoda, zamiast bowiem np. wyrażenia tylko *domysłu*, iż „pomeranica lingua," którym przemawiał Ś. Otto *musiał to być* język polski, mógł był posłużyć się tekstem, przywiedzionym w pomienioném dziełku przez Szulca, z nowoodkrytego wtedy w klasztorze niższéj Austryi życia ś. Ottona, wydanego przez Endlichera, w którym wyraźnie to brzmi, iż apostoł ten, przybywszy do Polski, tak się wyuczył *tamecznego* języka, iż trudno go było wziąć za niemca (*O Pomorzu Zaodrzańskiém* str. 24).

Wywodząc nazwisko *Polan* gnieźnieńskich od *pola*, autor nadmienia, iż o Polanach tych wspominał już Ptolomeusz, zowiąc ich *Bulones*. Lecz o tych *Bulonos* (którzy wyczytywani też byli *Sulanoi* i *Wulanoi*) Ptolomeusz wspomina jako o „*małym* narodku w *Sarmacyi*," jeżeli więc i oznaczali Polan, odnosili się raczéj do Polan *nadbużańskich*, nie zaś do plemion z lewego brzegu Wisły, a więc gnieźnieńskich; o narodach nad Wisłą były nieraz w następnych wiekach wzmianki w pismach historyków, geografów, podróżników, a nazwiska w nich Polski nie było. Nazwisko to zjawia się dopiéro z końcem X wieku. Jeszcze Dytmar, uważać można, w pierwszych rozdziałach swéj *Kroniki* nazywa Mieczysława księciem Słowian i dopiéro wzmiankując o przyjęciu przezeń chrześciaństwa, zowie go po raz pierwszy *dux Polonorum*. Polska była to jakby imię chrzestne, na chrzcie przyjęte, i (jak o tém właśnie przypomina i ta praca, o któréj mówimy) poszczęściło. *Rex Poloniae* pisać się wkrótce zaczął: *Nec non terrarum* Cracoviae, Sandomiriae, Masoviae, Lanciciae etc., a daléj Magnus dux Lituaniae, Russiae, Prussiae, Czernigoviae etc. Kwestyą tę dawności nazwiska, rzec można, iż dziś ostatecznie rozstrzyga tom I-szy *Monumentów*, wydanych przez Bielowskiego, t. j. najdawniejszych wzmianek

---

[1]) Wtrąćmy z téj okazyi, iż jak Szulc uwagi nasze, wyrażone wówczas w *Bibl. Warsz.* w dziełku *O Pomorzu Zaodrzańskiém*, 1850 r. tak wyrażone tamże o przyjściu przodków naszych ze swą tradycyą z Dacyi (*Rozb.* i *Kryt.*, t. II, str. 46—49), rozszerzył następnie Bielowski w dziele: *Wstęp krytyczny do dziejów Polski*, 1852 r. Obaj ci autorowie, mimo wsparcia założeń obszerną co do dotkniętego przedmiotu erudycyą, przez przybrany w wykładach tych ton zbytniéj pewności i przydawanie do historycznych faktów dobréj porcyi fantazyi, więcéj się przyczynili do skompromitowania, jak potwierdzenia podzielonych przez nich założeń. Bielowski, będąc w r. 1846 w Warszawie dla szperań w bibliotekach, po dwakroć nam powtórzył naówczas, iż czeka bardzo mających być w *Bibl. Warsz.* uwag *O dziejach pierwotnych*. Był on zajęty wtedy pisaniem komentarza do pieśni Igora. Zmiana przedmiotu pracy, poprzednich w téj rzeczy widoków, a nadewszystko jawne rozszerzenie napomkniongo tematu, w połączeniu z owém jego oczekiwaniem, upoważniły nas, sądzimy, do wyrażenia powyższych słów.

odnoszących się do Polski. Widzimy tu, iż niéma tu tego nazwiska przed chrztem Mieczysława.

Przechodząc do właściwéj historyi polskiéj, opowiadanie jéj zaczyna Bartoszewicz od *Ziemowita*, i uczy, jak widzieliśmy, iż Popiel II mianował go wojewodą, a następnie strąconym i zamordowanym był przezeń. Bartoszewicz nie wspomniał o rządach Piasta dlatego zapewne, iż uwierzył więcéj kronice Galla, niż innym, późniejszym; ale jeżeli uwierzył słowom tego historyka, tedy powinien był wierzyć i szczegółom tych słów. Gallus mówi, iż syn gościnnego Piasta, Ziemowit, tak „wzrastał w cnoty, iż król królów i książę książąt na księcia go Polski z powszechném uznaniem wywyższył, a Popiela z potomstwem jego wykorzenił." Autor objaśnia, iż historyk przez to wyrażenie król królów rozumiał samego Popiela, który Ziemowita, zgodnie z uznaniem starszyzny (concorditer), mianował wojewodą całego kraju. Wykład taki literalnie jednak jest niemożliwym. Nie mówiąc już bowiem o przyznawaniu Ziemowitowi przez historyka cnoty i braku wszelkiéj wzmianki o województwie, Popiel, który, według Galla, nie był nawet królem, mógłżeby być nazwanym „królem królów," a nadewszystko mógłżeby wykorzeniać z potomstwem *sam siebie?* (tekst mówi: eotenus quod *rex regum* et dux ducum eum (Semovith) Poloniae ducem concorditer *ordinavit*, et de regno Pumpil cum sobole radicitus *extirpavit* t. I, str. 3). Jestto, ile przypominamy, jedyne miejsce w 4-ch tomach, w którém autor, dla wsparcia swego twierdzenia, powołał się na źródło; nie wypada jednak ztąd wnosić, iż wszystkie jego twierdzenia tak miały się do swych źródeł, jak niniejsze, owszem sądzimy, iż autor dlatego tylko chciał tu poprzéć twierdzenie swoje przytoczeniem źródła, iż sam mu nie dowierzał.

Całe opowiadanie dziejów polskich, następnie do końca, jest potoczne, jasne, wierne. Autor od czasu do czasu podnosi w niém nadto niektóre punkta sporne i te rozstrzyga.

Mówiąc np. o Dobrogniewie, żonie Kazimierza I, którą pisarze nasi podawali nieraz już tylko za bojarkę, już za córkę któregoś z książąt, autor słusznie zwraca uwagę, iż według najwiarogodniejszego i prawie spółczesnego świadka Nestora, była ona Maryą, córką Włodzimierza W., nie wiemy tylko czy trafnie dodał, iż imię Dobrogniewy przyjęła przy koronacyi, w czasie zmiany obrządku. Długosz wprawdzie mówi istotnie, iż przybrała ona imię Dobrogniewa, przyjmując chrzest łaciński; ale chrzest w kościele łacińskim, uczyniony nawet przez duchownego innego wyznania, nie powtarza się, a nadto uważać można, iż w świadectwie ówczesném łacińskiém, albowiem w *Breve* Benedykta IX z r. 1046 do Aarona, arcybiskupa krakowskiego, t. j. za Kazimierza I nazwaną jest ona Maryą nie Dobrogniewą (Ejusque conjugis *Mariae. Monum.* t. I, str. 359).

W opowiadaniu i owych drobnych krytykach dalszych, autor między innemi zdaje się chciéć restaurować dobrą pamięć Ryksy i wzmiankuje, iż na zachodzie mianą była za świętą. Objaśnia zna-

czenie w ustach historyków naszych wyrazu *Palatinus* (iż był różnym od wojewody), wykłada właściwe brzmienie Żarnowca (Sarnowo), Kargowa (Krzyszków, za wskazówką Röpla), prostuje różne daty, jak klęski pruskiéj za Kędzierzawego, ustąpienia Władysława krakowskiego z kraju, roku jego śmierci i t. p. Te wszystkie i im podobne wskazówki i sprostowania są zwykle należnie rozumowane, loiczne i pożądane, o ile nie łączy się z którém i jaki ów wyskok, a taki trafił się właśnie, wypada wspomnieć, przy jednéj z najciekawszych może dla czytelnika wzmianek, t. j. o zajęciu twierdzy Brandeburga przez kogoś z Polski. W kronikach brandeburskich jest wzmianka (kronikarzom naszym nieznana), iż niejaki słowiański książę Jaczo von Copnic zdobył był w wieku XII twierdzę Brandeburg i przez niejaki czas nią władał. Przed kilkunasty laty uczony berliński, prof. Fryderyk Rabe w pracowitém dziełku, mającém napis: *Jaczo von Copnic Eroberer der Festung Brandeburg* starał się dowieść, iż zdobywcą tym był nie żaden książę słowiański, t. j. ze Słowian zachodnich, ale jeden z pogranicznych panów polskich, a mianowicie Jaksa z Kopanicy (Jaczo, Jacza istotnie przez kronikarza niemieckiego mogło się tylko czytać *Jaczo*, *Jac-za*). Otóż do wzmianki o tym szczególe, autor dodał następną szczególną uwagę: „Niemcy *aż w głowę zachodzą*, kto był ów zuchwały Jaczo, od kilkuset już lat *smażą sobie nad tém niemcy głowę*, napisali już całą bibliotekę domysłów i wniosków" (t. IV, str. 213). Przy takiém przytoczeniu właściwiéj było autorowi rzec, iż niemcy zawstydzają nas, wszelki dowód pracowitości, godnym jest naśladownictwa nie ironii. Wyskokiem tym chciał może autor ukryć wewnętrzną uciechę; nie dziwilibyśmy się jednak, gdyby jaki uczony niemiecki, spotkawszy się z tą tyradą, wziął ją za asumpt do okrycia śmiesznością całéj książki, w któréj ją znalazł, a może i w ogólności krytyki polskiéj.

Przy tych skazach dykcyi autora, jego poglądów, nic téż dziwnego, że w jego opowiadaniu, to co najwięcéj ożywia historyczne opowiadanie: obrazowość, charakterystyki osób, nie były to strony silne utworu. Obrazowością w tych opowiadaniach są tylko rysy, a wyraz fizyognomii kreślonych niémiał nigdy ekspresyi jasnéj. Wśród przekazanych różnorodnych rysów danéj postaci ująć jedność, skreślić je tak, iżby to, co jest przeważającém w charakterystyce, pozostało wyrazem głównym, nie leżało to w sztuce autora. Bartoszewicz chwytał nieraz za pędzel, w kreśleniu fizyognomii sławy dodatniéj chciał być bezstronnym, postacie o sławie ujemnéj pragnął podźwigać i w wypadku dawał żadną charakterystykę. Wskażmy tu po kilka przykładów z kategoryi jednéj i drugiéj.

Do postaci, które chciał restaurować autor, należeli, jak to widzieliśmy, Masław i Zbigniew. O pierwszym wyraził autor, iż wyższym był nad Chrobrego, chciał bowiem porównać w prawach kmieci i szlachtę. Czyny jednak dziejowe tak tylko oceniać możemy, jak o nich świadczą dzieje. Najbliższy owych czasów Gallus wzmiankując

o czynach kmieci, na czele których stanął następnie Masław, tak mówi: „Poddani powstawszy wtedy przeciw swym panom, jednych z nich w poddaństwo obrócili, drugich pozabijali" (Gallus, t. I, str. 23). O porównaniu praw wcale więc tu mowy nie było. Nie o to tu jednak nam idzie. Przypisawszy autor Masławowi cele dodatnie (prosto z fantazyi) wyraża: „czego nie mógł doprowadzić do skutku Bolesław Chrobry, to wychodziło z rąk Masława *piękne*, *nieskazitelne*, w swéj *pierwiastkowéj czystości*. Jeżeli uspokoi się Polska pod przewodnictwem chorążego Masława, kmieć i szlachcic równymi będą i w obyczaju narodowym, jak są równymi przed królem i prawem" (t. II, str. 335). Zaś niżéj: „lecz wygrał Kazimierz, bo kiedy chorąży mazowiecki *cofał się* w pogańskie czasy, królewicz postępował naprzód, jako zwiastun *cywilizacyi*" (t. II, str. 344. Co było *anti-cywilizacyą*, co było *wstecznem*, mogłoż być zarazem nazwane piękném, nieskazitelném, najczystszém?

Restaurując postać Zbigniewa, autor pisze: „Na Zbigniewa wiele walą... dzisiaj krytyka historyczna powraca Zbigniewowi wiele, oczyszcza go z zarzutu nieprawego urodzenia (chyba psychologicznie, nie historycznie), ludzie tu więcéj winni, *mógł być* (?) innym, jakim był" (t. III, str. 123). Zaś daléj: „Zbigniew udał się do Czech, namawiając księcia Borzywoja, aby napadł na Szląsk; była to z jego strony wielka nikczemność, która się stała źródłem *wielu* następstw *podobnych*. Jaki był cel téj zdrady? krew przelewać bez potrzeby, niewinnych ludzi niszczyć, było okrucieństwem" (t. III, str. 138). „Zbigniew nie upadał na duchu i w niegodziwy, jak dawniéj sposób, pragnął się podźwignąć" (t. III, str. 152). Na człowieka, któremu sam jego obrońca zmuszonym jest zarzucać *nikczemność, niegodziwość, okrucieństwa, zdrady*, cóż dziwnego, że wiele walą?

W kreśleniu zaś charakterów świetnych i którym sam nie odmawiał przymiotników wielkich dwu Bolesławów: Chrobrego i Krzywoustego, autor, rzec można, iż się z umysłu wysilał, by je ujemnie kreślić. Widzieliśmy już, jak zarzucał Chrobremu *chytrość*, *przekupstwo*, *rozpustę*, gwałtowność; „jego gwałtowność cielesna, mówi, przechodziła granice *wszelkiéj przyzwoitości*" (t. II, str. 5—8). Trafniejszy malarz mógłby powyższym rysom miano dać: *dyplomacyi*, *słabości*, wszakże sam gwałtowny przeciwnik tego króla Dytmar, przyznawał mu „*szlachetność* dla zwyciężonych."

W kreśleniu znowu postaci Krzywoustego, czytamy między innemi: „Pan względem ludzi *bardzo zuchwały* i nawet *złego serca*." „Ojciec jego kiedy kościół krakowski rozprzestrzeniał, wzbogacał, robił to z pobożności, ale Bolesław ze strachu" (t. III, str. 272, 273). Zarzucać Krzywoustemu brak męztwa, brak pobożności, było to kreślić wielki kontrast z rzeczywistością.

Na tém skończymy wzmianki o rysach, o ujemnościach, które nam po odczytaniu czterech obecnych tomów Bartoszewicza, obok przeważających znacznie rysów dodatnich, zatrzymały się w myśli. Te

ujemne rysy, ekscentryczności, tworzyły może nieraz tylko nieoględność wyrażeń, tylko *lapsus calami*. Na str. 411, tomu II, czytamy tu taki przypis wydawcy: „W tém miejscu zanotował autor w nawiasie: tu dać dowody z latopisców.” Oczywiście więc do pracy niniejszéj nie był téż jeszcze przyłożył ostatniéj ręki, a w przyłożeniu tém nie jeden może z owych ujemnych rysów byłby zniknął. Gdy jednak rysy te są, nie mogliśmy dawać i kreślić obrazu *tego co jest*, bez tych wskazówek, a stawało się to tém właściwszém, iż nie były tu te rysy zbyt rzadkie, iż odnosiły się nietylko do wyrażeń, frazesów, lecz i do zasad głównych, do głównych wniosków, a nadto, iż były już one zbyt znane i z ogłoszeń dawnych autora, a więc należą w części i do cech stałych jego pióra. Czytelników jednak, którzy nie znają bliżéj pism Juliana Bartoszewicza, oraz publikacyi obecnéj, winniśmy ostrzedz, iż te rysy ujemne, te ekscentryczności, te męty, o jakich mówiliśmy, są to tylko właściwie, jakby krople wody w odniesieniu do oceanu tych rysów i stron dodatnich, które też dzieła mieszczą. Dzieła te to materyał, wskazówki, poznanie których staje się nieodbitym warunkiem dla przyszłego historyka kraju. Autor tysiące biografii i monografii ze źródeł własną pracą czerpanych, różnostronnych poglądów dodatnich, licznych dziełek i dzieł do wypełnienia braków historycznych zwróconych, przez wydanie obecnéj książki zalet tych bynajmniéj nie stracił, przez skreślenie w niéj w łącznym, a wiernym obrazie dziejów plemion sąsiednich, w zasłudze téj owszem podrósł i nigdy téż zapewne w gałęzi historycznéj naszéj literatury do pracowników pierwszego rzędu liczonym być nie przestanie.

20 kwietnia 1880 roku.

A. Tyszyński.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE,
NAUKOWE, LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

WARSZAWA.

Maj 1880.—Z pomiędzy faktów, które zwróciły w bieżącym miesiącu ogólną uwagę na siebie, odznacza się obchód jubileuszu Długoszowego przez Akademią nauk w Krakowie, niezwykłą doniosłością naukową. Ogłoszony przez członków Akademii pod dniem 15 marca 1880 r. program, został wykonany z całym majestatem czci religijnéj dla zasłużonego pierwszego dziejopisarza polskiego i z niemniejszą powagą namaszczenia naukowego. Idąc za przykładem innych akademii, które doroczne swoje walne posiedzenia obchodzą jużto w rocznicę swojéj fundacyi, jużto w rocznicę urodzin swoich wspaniałomyślnych fundatorów, lub też wreszcie w rocznicę, poświęconą pamięci mężów szczególniejszych względem siebie zasług naukowych (np. Leibnitz w Berlinie), wyjednała sobie Akademia nauk w Krakowie, możność przeniesienia terminu swego dorocznego walnego posiedzenia z dnia 3 maja, na dzień 18 tegoż miesiąca, jako na wigilią dnia, na który przygotowaną była przez prof. i członka Akademii p. Łepkowskiego z pomocą sejmu krajowego, uroczystość złożenia prochów Jana Długosza do nowego sarkofagu w krypcie kościoła ś. Stanisława na Skałce. Uroczystość tę religijną, postanowiono odbyć w dniu 19 maja, jako w czterechsetną rocznicę śmierci († 19 maja 1480) zasłużonego względem potomnych wieków obywatela, kapłana, nauczyciela i historyka.

Niemogąc dla względów technicznych wydawnictwa pomieścić w niniejszym zeszycie naukowego studyum o historycznem znaczeniu Długosza i poświęconego jego pamięci jubileuszu w takiéj dokładności, jakiéj *peryodyczność naukowa* Biblioteki Warszawskiéj wymaga, musimy poprzestać tymczasem na krótkiéj relacyi faktów, które interesują cały świat naukowy, nie przesądzając szczegółów gruntowniejszego naukowego poglądu, jaki następnie czytelnikom przedstawimy.

Wogóle uroczystości jubileuszowych Długosza, odróżnić można pięć osobnych momentów, które zwracają na siebie ogólniejszą uwagę, kryjąc w sobie każdy mnóstwo szczegółów krzepiących umysł i podnoszących serce. Momenta te są następujące:

1. Posiedzenie walne Akademii nauk, odbywające się w tym wyjątkowym razie w sali Sukiennic, poświęcone, prócz zwyczajnego

rocznego sprawozdania zarządu Akedemii, niemniéj prócz ogłoszenia konkursów, wyboru nowych członków i t. p., wyłącznie oddaniu czci naukowym zasługom Jana Długosza. Generalny sekretarz Akademii prof. J. Szujski odczytał szeroko pomyślaną rozprawę: *O Długoszu, jako historyku na tle dziejopisarstwa średnich wieków.* Prof. St. hr. Tarnowski odczytał wiersz A. E. Odyńca, czł. Akademii, poświęcony wyłącznie pamięci Długosza, który w końcu swojéj Kroniki polskiéj, włożył na Akademią Jagiellońską obowiązek prowadzenia daléj rozpoczętego przezeń mozolnego dzieła. Potrzeba było, niestety, czterech wieków, aby potomność nasza zrozumiała doniosłość téj uroczystéj odezwy zasłużonego obywatela i dziejopisarza. Uroczystość ta naukowa odbyła się dnia 18 maja pod prezydencyą Alfreda hr. Potockiego, namiestnika Galicyi, wiceprotektora, zastępującego arcyksięcia Karola Ludwika, łaskawego protektora Akademii Krakowskiéj.

2. Pochowanie popiołów Długosza, spoczywających w kościele ś. Stanisława na Skałce, do nowego sarkofagu w tymże kościele w krypcie, przeznaczonéj na zaszczytne miejsce spoczynku dla zwłok mężów krajowi dobrze zasłużonych. Cześć dla prawdziwéj zasługi jest pięknem świadectwem szlachetności uczuć potomnych wieków. Takim też był ogólny nastrój umysłów biorących udział w tym religijnym obrządku tłumów ludności i poważnego zastępu duchowieństwa tak świeckiego jak i zakonnego. Ks. Polkowski wypowiedział odpowiednią mowę, pełną podniosłych myśli i uczuć religijnych (d. 19 maja).

3. Przedstawienie w sali teatralnéj obrazu historycznego napisanego przez J. Szujskiego, w trzech aktach, na tle wypadków 1471—1479 r., pod tytułem: *Długosz i Kallimach*, odegrane przez amatorów-uczniów uniwersytetu (19 maja).

4. Zjazd historyczny imienia Długosza (20 i 21 maja), na którym członkowie Akademii, tak miejscowi jak i zagraniczni (Tomek z Pragi, prof. Roeppel, Caro i Nehring z Wrocławia) rozbierali na posiedzeniach publicznych wśród ożywionéj dyskusyi liczne kwestye, odnoszące się przeważnie do ustalenia metodologicznego postępowania przy wydawnictwie źródeł historycznych. Prócz tego rozbierano w osobnych odczytach niektóre kwestye sporne historyczne, w celu stanowczego ich rozstrzygnięcia (np. o mnichostwie Kazimierza).

5. Wystawa naukowo-historyczna, tudzież archeologiczna. Pierwsza urządzona w gmachu Akademii umiejętności, przedstawiała cały naukowy materyał z historyi, archeologii i dziejów sztuki w Polsce, wydany bądź przez naszych, bądź też przez obcych uczonych od r. 1830. Obok wydawnictw Akademii stanęły godnie wydawnictwa Biblioteki Kórnickiéj; *Monumenta* Bielowskiego, *Pomniki prawa polskiego*, *Collectanea* Jana Zamoyskiego, *Biblią królowéj Zofii* i *Modlitwę Wacława*, przywodzące na pamięć imię Al. hr. Przezdzieckiego, które łączy się tak wdzięcznie z uroczystością jubileuszową Długosza, przez dokonanie monumentalnego wydania dzieł zasłużonego historyka. Znajdowała się tam także *Kantata dramatyczna* z muzyką Macieja Kamińskie-

go, śpiewana podczas odsłonięcia posągu Jana III w Łazienkach d. 14 września 1788 r. Udzielił téj kantaty do wystawy Konst. hr. Przezdziecki, a pierwszą o niéj szczegółową wiadomość podała *Biblioteka Warszawska* (grudzień, 1878, str. 410). Z wydawnictw obcych zwracały na siebie uwagę liczne kodeksa dyplomatyczne miast i wsi na Szlązku i Łużycach; zbiory historyków pruskich, tudzież *Archiv* południowo-zachodniéj Rossyi i liczne wydawnictwa historyczne i dyplomatyczne rossyjskie. Prócz tego, można tu było widzieć cały szereg zbytkowych edycyi i albumów, przedstawiających to wszystko, co dla dziejów naszéj sztuki od pięćdziesięciu lat zrobiono. Najciekawszém jest niewątpliwie *Album ubiorów w Polsce* J. Matejki, będące własnością Biblioteki Jagiellońskiéj.

Druga wystawa zawierała same pamiątki po Długoszu; mieściła się zaś w kapitularzu katedralnym, znajdującym się na górze z lewéj strony ołtarza ś. Stanisława przy kaplicy Maciejowskich. Wystawa ta nad wszelki wyraz interesująca, nie tylko dla historyka i artysty; ale dla najszerszéj publiczności, urządzoną została za pozwoleniem kapituły katedralnéj, przez jéj notaryusza członka Akademii ks. prałata Polkowskiego. Na środkowym stole, bogatą makatą okrytym, złożono autografy Długosza dzieł w poważnych pargaminowych kodeksach, doskonale zachowanych. Pismo Długosza niewyraźne, drobne, ale śmiałe, nie straciło przez cztery wieki nic ze swéj barwy, a karty pergaminu lśniące i czyste, jakby zapisane były wczoraj. Naokoło ścian idą długie stoły zapełnione stosami ksiąg, rycin i pergaminów odnoszących się do działalności naukowéj Długosza. *Album Długosza* wydane własną pracą i nakładem ks. Polkowskiego wieńczy i zamyka godnie akt czci i hołdu, jaki wdzięczna potomność złożyła w czterowiekową rocznicę śmierci swemu wielkiemu obywatelowi, kapłanowi i dziejopisarzowi.

Przy sposobności tych uroczystości, znalazł w zbiorach Konst. hr. Przezdzieckiego portret Długosza, robiony jak się zdaje z dokładnego wizerunku, ponieważ porównany z temi, które były na wystawie a mianowicie z figurą z kamienia wykutą, przypomina najdokładniéj podobieństwo rysów historyka.

— Towarzystwo historyczno-literackie w Paryżu przyznało prof. uniwers. Jagiellońskiego Stanisławowi Smolce nagrodę konkursową 1,800 franków za pracę pod tytułem *Mieszko Stary i jego wiek*. Dzieło to składa się z 2 części, z których w pierwszéj znajdujemy obraz kraju, społeczeństwa i państwa polskiego w wieku XII, w drugiéj zaś dzieje okresu od roku 1138—1207.

Toż samo Towarzystwo, pragnąc ze swojéj strony złożyć także hołd pamięci Długosza, ogłasza na konkurs przyszłego dwulecia zadanie następujące:

„Odnieść tekst Długosza wydania hr. Przezdzieckiego do źródeł rocznikarskich i kronikarskich, jak niemniéj dyplomatycznych, z których czerpał, wskazując zarazem, które realne wiadomości zdają

się opierać na zaginionych źródłach. Uczynić to przynajmniéj co do pierwszych ksiąg siedmiu."

Żądana praca w języku polskim, odpowiadająca na wymienione zadanie, ma obejmować nie mniéj niż 10 arkuszy druku. Autor najlepszéj rozprawy otrzyma nagrody 1,800 frank: nagroda ta jednak w danym razie będzie mogła być rozdzielona na dwie części i wtenczas najlepsza praca otrzyma 1,200 fr. następująca po niéj 600 fr.

Kto sobie życzy brać udział w tym konkursie, zechce przysłać swą pracę w rękopiśmie pod adresem sekretarza Towarzystwa historyczno literackiego (Paryż 6 quai d'Orléans), albo p. Józefa Szujskiego, profesora historyi przy Uniwersytecie Krakowskim, sekretarza generalnego Akademii Umiejętności (Kraków w Uniwersytecie Jagiellońskim).

Rękopism powinien być przysłany bezimiennie i opatrzony godłém wybranym przez autora, a toż samo godło ma się znajdować na liście zapieczętowanym, dołączonym do rękopismu i zawierającym nazwisko autora.

Terminem ostatecznym do złożenia rękopismów w Krakowie jest dzień 1 lutego 1882 r., a dla składających je w Paryżu dnia 15 lutego 1882 r.

Na posiedzeniu publiczném d. 3 maja 1882 r. rada odpieczętuje list noszący godło pracy, któréj została przyznana nagroda i ogłosi imię jéj autora. Inne listy zostaną spalone.

Gdyby do wymienionego terminu nie była przysłana żadna tego rodzaju praca, któraby w myśl obecnego konkursu zasługiwała na nagrodę, w takim razie suma 1,800 franków ofiarowaną będzie autorowi dzieła historycznego polskiego, które w ciągu ostatnich dwóch lat wyszło z druku i które rada za najlepsze osądzi. W imieniu rady Towarzystwa, sekretarz *L. Gadon.*

— Za inicyatywą ks. Zuzanny Czartoryskiéj zawiązał się w Krakowie pod przewodnictwem prezydenta miasta dr. Zyblikiewicza komitet w celu urządzenia i otwarcia w gmachu Sukiennic wystawy pamiątek i zabytków sztuki, odnoszących się do osoby i epoki Jana III. Komitet ten wydał odezwę, w któréj oświadcza, iż mając nadzieję że tak prywatne, jak publiczne zbiory, pospieszą z gotowością do dzieła, które obok naukowéj i artystycznéj treści, będzie miało cel publiczny i dobroczynny, zawiadamia, że:

1. Na wystawę przyjmować się będą przedmioty związane z pamięcią króla Jana III, całéj jego rodziny i jego współczesnych, tudzież zabytki z XVII wieku.

2. Wystawa otwartą będzie w rocznicę bitwy pod Wiedniem, to jest w dniu 12 września r. b.

3. Dochód po odtrąceniu kosztów będzie przeznaczony w jednéj połowie na muzeum narodowe a w drugiéj na internat kandydatów nauczycielskich dla szkół ludowych w Krakowie.

Przedmioty„ o których nadesłanie uprasza się nadaléj do 1 września r. b. przyjmowane będą pod adresem: Piotr Umiński, sekretarz komisyi archeologicznéj w Akademii Umiejętności, tudzież Towarzystwa sztuk pięknych w Krakowie (w Sukiennicach).

Przy téj sposobności zwracamy uwagę miłośników literatury na „*Katalog książek Biblioteki króla Jana III Sobieskiego.* Kraków, Warszawa 1879 r." 8 str. 93, z podobizną herbu króla Jana III, wziętą z oprawy Ekonomiki Haura, jedynéj książki z Biblioteki Królewskiéj, która przechowała się w bibliotece pałacu Kazimirowskiego w Warszawie. Z katalogu tego widzimy, że żadna gałąź wiedzy nie była obojętną dla tego bohatera swojego wieku. Katalog ten spisany w r. 1689 wydał podług spółczesnego rękopismu, uzupełniając tytuły dzieł pod względem treści i pisowni zasłużony badacz, miłośnik i opiekun oświaty krajowéj, pragnąc przez to uczcić pamięć króla bohatera i dobroczyńcy rodziny.

— Regencya poznańska zamierza założyć w Poznaniu Archiwum prowincyonalne w gmachu regencyjnym. W tym celu odwołała się do zarządów wszystkich miast W. Ks. Poznańskiego, ażeby nadesłały do Poznania wszelkie, jakie posiadają dokumenta. Okazało się, że niektóre miasta w W. Ks. Poznańskiém posiadają stosunkowo bardzo bogate archiwa. Miasto Środa np., posiada 32 dokumenta z XV, XVI i XVII wieku. Najstarszy dokument pochodzi z r. 1461. Dokumenty rzeczone dotyczą przeważnie kolegiaty miejscowéj i cechów, przedstawiając w ten sposób materyał bardzo ciekawy dla historyi życia miejskiego w dawnéj Polsce. Projekt rządowy zdaje się jednak napotykać poważne trudności. Środa odmówiła swych dokumentów, owszem: poleciła je lepiéj zachować, nieco zniszczone skopiować i przetłómaczyć na język polski. Postąpienie miasta Środy usprawiedliwia się zupełnie przez wzgląd na to, że jedno ogólne archiwum może być łatwo zniszczone, lub z prowincyi wywiezione.

— *Encyklopedyi Wychowawczéj*, wydawanéj pod redakcyą T. ks. Lubomirskiego, Edm. Stawiskiego, Stan. Przystańskiego i J. K. Plebańskiego, wyszedł zeszyt pierwszy, zawierający artykuły: *Abecadło*, przez P. Radlińskiego; *Afekt i afektacya*, *Agrykola Rudolf* (starszy) i *Agrykola Rudolf* (młodszy), jeszcze nie dokończony, przez J. K. Plebańskiego. Zeszyt pierwszy nie zawiódł oczekiwań publiczności, lecz owszem, pozwala się spodziewać, że publikacya ta wyświadczy sprawie wychowania trwałe usługi. Gruntowny, według metody naukowéj opracowany artykuł o *Abecadle*, przedstawiając koleje rozwoju pisma głoskowego, nie jest, ściśle rzeczy biorąc, artykułem pedagogicznym, lecz gdy niémamy encyklopedyi umiejętności w ogóle, któréj wymaganiom zupełnieby odpowiadał, wdzięczni jesteśmy redakcyi, że go wydrukowała. Artykuł o *Afektach i afektacyi* dotyczy kwestyi nader ważnéj z zakresu pedagogiki praktycznéj. Za zaletę jego uważamy, że rozbiera rzecz z całą powagą naukową, że mając wzgląd na cele praktyczne, trzyma się wypróbowanych w szkole rezultatów nowszéj nauki, nie za-

ciekając się w nieustalone jeszcze dziś poglądy najnowszych psychologów angielskich, których prace zaznacza jednak we wskazówce bibliograficznéj dla informacyi czytelnika. Artykuły o obydwu *Agrykolach* tego samego pióra odnoszą się do pedagogiki historycznéj i zawierają, mianowicie drugi (jeszcze nie skończony), nieznane szczegóły z praktyki nauczycielskiéj w Krakowie w pierwszéj połowie XVI wieku. Jeden zeszyt nie przedstawia atoli dostatecznego materyału do szczegółowego krytycznego rozbioru, który *Biblioteka* podać nieomieszka po wyjściu kilku zeszytów. Tymczasem życzymy, aby redakcya, poparta przez ludzi nauki, mogła wytrwać na drodze, rozpoczętéj tak poważnemi monografiami, a nie wątpimy, że za trudy swoje sowicie wynagrodzoną będzie trwałą wdzięcznością pokoleń, potrzebujących znajomości zdrowych pojęć pedagogicznych. *K. Sz.*

— Księgarnia Gubrynowicza i Schmidta we Lwowie wydała: *Szkice historyczne d-ra Kubali.* Serya pierwsza. Lwów, 1880 r. str. 332. Są to ustępy z dziejów polskich za Jana Kazimierza, w części drukowane już w *Przewodniku naukowym lwowskim.* Znajdujemy tu następujące przedmioty, wystawione w obrazach, przypominających formą zewnętrzną opowiadania Szajnochy, ale oparte na samodzielnych źródłowych badaniach. 1) *Królewicz Jan Kazimierz.* 2) *Oblężenie Lwowa w r. 1648.* 3) *Oblężenie Zbaraża i pokój pod Zborowem.* 4) *Poselstwo Puszkina w Polsce 1650 r.* 5) *Bitwa pod Beresteczkiem.* 6) *Kostka-Napierski.* Ważność przedmiotów zasługuje na szczegółowy rozbiór téj historycznéj pracy, z którą nie omieszkamy obeznać czytelników w jaknajbliższym czasie.

— W dalszym ciągu powieści historycznych J. I. Kraszewskiego, wyszła z druku powieść p. t.: *Syn Jazdona*, tomów 3. Osnuta jest na tle czasów Bolesława Wstydliwego i Leszka Czarnego.

— Pani Sawczyńska wydała dziełko p. t.: *Dzieje najnowsze (1789—1871), opowiedziane dla młodzieży.* Kraków, 1880 r.

— Zapowiedziane dawniéj czeskie pismo zbiorowe na wzór *Paris-Murcie* p. t.: *Narod sobe*, opuściło prasę. Wydanie w trzech arkuszach *in folio*, na ładnym papierze welinowym, odznacza się wielu pięknemi rysunkami i szkicami, wykonanemi przez malarzy czeskich. Zamiast autografów często spodziewanych dopiéro wielkości, którym obecnie skryćby się raczéj za książką wypadało, jak to ma miejsce w *Vindobonie*, są tu zebrane drobniejsze poemata wyborowych pisarzów czeskich, następnie krótkie powiastki, zbiór ulotnych myśli i aforyzmów. Z autografów znajdują się tylko podpisy i początki dzieł pierwszych kompozytorów oper. Wreszcie na samym końcu wizerunki osób historycznych z facsimilami ich podpisów. Arkusze tego pisma zbiorowego odbijały kolejno wszystkie drukarnie prazkie bezpłatnie; papieru dostarczyło 5 fabrykantów czeskich, także bezpłatnie. Dochód ze sprzedaży przeznaczony jest na teatr narodowy w Pradze. Cel piękny, przy wypróbowanéj solidarności narodu czeskiego, gdzie idzie o dobro ogółu, nie wątpimy, że na téj drodze rozumnéj samo-po-

mocy osiągniętym będzie. Najserdeczniejsze życzenia nasze towarzyszyć będą téj zacnéj narodowéj pracy.

— W Pradze przedstawiono w teatrze czeskim dramat Br. Grabowskiego: *Królewicz Marko*, w przekładzie akademika p. Hovorki. Dzienniki czeskie uznają szlachetną tendencyą dramatu, widzą ujemną stronę w przewadze żywiołu epicznego, a stanowczo potępiają przekład.

— Znaną czytelnikom *Biblioteki* tragedyą Asnyka p. n.: *Kiejstut*, przetłómaczył M. v. Reden i wydał w Poznaniu. Nakład Józefa Jołowicza, 1880 r. Według opinii recenzenta w *Magazin f. d. Litteratur des Auslandes* p. dr. Rudolfa Fried ze Lwowa jest tłómaczenie niemieckie tak wyborne, że dorównywa oryginałowi polskiemu. Nim podamy czytelnikom *Biblioteki*: *Przegląd ruchu literatury polskiéj w literaturze niemieckiéj* w obszerniejszém studyum, zwracamy tymczasem uwagę ich na nowy w tym kierunku objaw. Dr. Antoni Methner, dawniéj nauczyciel gimnazyum w Lesznie, w W. Ks. Poznańskiém, dziś we Fryburgu, wydał dzieło p. n.: *Voltaire, Lessing und Ignaz Krasicki, ein Studium und Parellele als Manuskript gedruckt*, w czterech egzemplárzach. Ten sam autor ma prócz tego gotowe dzieło p. t.: *Rousseau, Pestalozzi u. Sniadecki*, dla którego wydania szuka nakładcy.

— Redakcya książki jubileuszowéj J. I. Kraszewskiego podaje do wiadomości, że po ostatecznym obrachunku z księgarzami i prenumeratorami, jeszcze jéj pozostała nie wielka ilość egzemplarzy tego dzieła pamiątkowego, które mogą być nabywane w Redakcyi *Kłosów* do 1 Października, po cenie prenumeracyjnéj t. j. broszurowane po rs. 3, oprawne w kolorowe płócienko po rs. 4, z dopłatą za przesyłkę kop. 50. Z dniem 1-ym października cena stanowczo będzie podniesiona do rs. 5.

— Towarzystwo przyrodników imienia „Kopernika" we Lwowie, uprasza pp. autorów dzieł i broszur przyrodniczych lub z naukami temi związek mających, o łaskawe nadsyłanie po jednym egzemplarzu swoich prac do biblioteki Towarzystwa, na ręce kustosza zarządu d-ra Juliana Ochorowicza we Lwowie (ulica Ossolińskich Nr. 14). O każdéj nadesłanéj pracy umieszczona będzie wzmianka lub recenzya w organie Towarzystwa *Kosmos*. Przewodniczący dr. W. Żmurko.

— Ministerstwo Spraw zagranicznych Rptéj francuzkiéj otworzyło badaczom dziejów nowe źródło wiadomości historycznych, które może wpłynąć bardzo korzystnie na postęp nauki dziejów mianowicie wieku XVII i XVIII. Już ks. Decazes wydał w czasie urzędowania swego pod d. 20 lipca 1874 r. rozporządzenie, które upoważniało zwierzchność archiwum spraw zagranicznych do pozwolenia uczonym swobodnego użytkowania z wszystkich dokumentów, poprzedzających datę 10 maja 1774 r. t. j. aż do śmierci Ludwika XV. Obecnie rozszerzył p. Freycinet przez osobne rozporządzenie, grani-

ce swobodnego użytkowania ze wszystkich dokumentów archiwum spraw zagranicznych aż do dnia, w którym Ludwik XVI zaprzysiągł w obec Zgromadzenia narodowego nową konstytucyą t. j. do dnia 14 września 1791 r. W ten sposób zostały tajemnice dyplomatyczne starożytnéj monarchii francuzkiéj w zupełności odkryte. Korzystając z tego zapowiada już w małéj broszurce jeden z dyplomatów francuzkich p. M. E. de Mofres, będący zarazem członkiem komitetu badań historycznych, obszerne studium o działalności dyplomatycznéj hr. de Vergennes, który odbywszy missye poselskie w Konstantynopolu (z niektórych depesz korzystał już Rulhière i Flassau dla naszéj historyi) i w Szwecyi, dokonał w imieniu Francyi uroczystego aktu uznania niepodległości Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnéj (4 lipca 1776). Pan Mofros odzywa się do ministerstwa spraw zagranicznych, ażeby ono zajęło się ogłaszaniem nieznanych dotychczas skarbów historycznych, mianowicie aktów z czasów urzędowania p. de Pomponne, de Croissy, de Torcy, de Saint-Simon, de Choiseul i t. d. Pragnęlibyśmy i my poznania owych tek ciekawych nie tylko dla historyi francuzkiéj; ale więcéj może jeszcze dla dziejów tworzącéj się nowéj konglomeracyi państw północnéj i północno-wschodniéj Europy. Podzielamy jednak zdanie tych uczonych francuzkich, którzy utrzymują że odpowiedniejszym daleko organem do urzeczywistnienia téj idei byłby Komitet do badań historycznych, zostający pod zwierzchnictwem ministra oświecenia. Ministerstwo spraw zagranicznych mogłoby trafić na dokumenty, których publikacyi sprzeciwiałyby się teraźniejsze, chwilowe delikatne względy; prócz tego należałoby żądać, aby publikacya tych nowych dokumentów, starała się o możliwe skompletowanie materyału i na wzór dotychczasowéj *Collection de documents inédits* dokonała dzieła z całą ścisłością i powagą naukową.

Redakcya Biblioteki Warszawskiéj.

Redaktor odpowiedzialny **Feliks Jezierski.**

Wydawca *Józef Berger.*

Druk J. Bergera,
w Warszawie, Elektoralna Nr. 14.

Дозволено Цензурою
Варшава, 23 Мая 1880 года.

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE DRUGIM,

Z R. 1880.

—

stron.

Literatura.

Pieśni bulgarów macedońskich w Rodopie, zebrane przez Stefana Werkowicza. Przez Bronisława Grabowskiego. 236
Przegląd najnowszéj literatury włoskiéj. Przez J. A. Święcickiego. . 365
Książka jubileuszowa dla uczczenia pięćdziesięcioletniéj działalności literackiéj J. I. Kraszewskiego 81, 452

Historya.

Rodzina hetmana Jabłonowskiego. (Ustęp z dziejów panowania Augusta II-go). Przez Władysława Chomętowskiego. 26, 256

Technologia.

O osuszaniu błot poleskich (pińskich). 77
Tunel ś. Gotarda. Skreślił Władysław Mazurkiewicz (inżynier). (Z ośmiu drzeworytami) 429

Sztuki piękne.

Spis rycin Antoniego Oleszczyńskiego. Podał Julian Kołaczkowski. . 106

Powieść.

Od szkolnéj ławy. Opowiadanie z lat 1798—1813. Przez Kajetana Kraszewskiego 49, 208, 401

Biografia.

Nowe życie. Pamiętnik Danta Alighierego. Przez Gustawa Ehrenberga (Dokończenie). 1, 290
Rajmund Korsak. Przez Henryka Biegeleisen'a. 318

Etyka.

Kościół średniowieczny. Przez Wojciecha hr. Dzieduszyckiego. . 481

KRONIKA PARYZKA, LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Akademia francuzka: dwaj nowo obrani członkowie: Maksym du Camp i Labiche. Uroczyste przyjęcie księcia Audiffret Pasquet na miejsce biskupa Orleanu.—Przyjęcie Taina: mowa Jana Dumasa.—Nowe *Opowieści z podróży*, Ksawerego Marmier.—Grób Potockiéj w Bakczysaraju.—Jubileusz Hernaniego: apoteoza Wiktora Hugo.—*Daniel Rochat*, dramat Wiktoryna Sardou. Attyla, jako przedmiot poezyi, studyum Henryka Bornier.—*Historya zbytku*, Baudrillarda, tom III. Wspomnienie Henryka Walezyusza.—Sprawa rozwodowa w literaturze: Aleksander Dumas i Paweł Feval.—*Podróż do kraju cyganów*, przez Wiktora Tissot.—*Mielle et Nore*, poemat Jana Aicard, znaczenie poezyi ludowéj. Odkrycia archeologiczne.—Ś. p. Wojciech Sowiński 123
Weselne gody Attyli, dramat Henryka Bornier.—*Nowe studya słowiańskie*, p. Ludwika Léger: *Karol z Żerocina*; *Powieści pani Grewille*; *Weda bulgarska*.—*Dwaj dyplomaci: hr. Atanazy Raczyński* i *Donozo Cortez*, *margrabia Veldegamas*, przez hr. d'Antioche.—Zmarły powieściopisarz i publicysta Edmund Duranty.—Poprzedniki Zoli.—Najnowsze dzieło o Miltonie.—Wystawa rzeźb i obrazów na Polach Elizejskich 498

Nauki przyrodzone.

Z dziedziny przyrodoznawstwa. Przez T. Skomorowskiego. . . . 473

Korrespondencya.

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiéj. Przez dr. Zygmunta Samolewicza. 175

Przeglądy piśmiennictwa krajowego i zagranicznego.

Die ungöttliche Komödie, von Sigmund Krasiński. Besprochen von H. Blumenstok. Wien. Aus der K. K. Hof- und Staatsdruckerei, 1880 148
Die Ukraine und ihre Dichter. Bohdan Zaleski, von H. Blumenstok. Wien. Druck der K. K. Hof- und Staatsdruckerei, 1877. Przez F. Jezierskiego. . . . . —
Casopis Maćicy serbskeje. 1879 r. Redaktor Michał Hórnik. Przez J. A. Parczewskiego. 154
Th. Funck-Brentano: Cywilizacya i jéj prawa (La civilisation et ses lois). 157
Th. Funck-Brentano: Sofiści greccy i sofiści współcześni. (Les sophistes grecs et les sophistes contemporains). Przez S. Smolikowskiego 343
Przewodnik heraldyczny. Część II. Ułożył Ad. Am. Kosiński. Przez Stanisława Kazimierza Kossakowskiego 357
Juliana Bartoszewicza: Historya pierwotna Polski; tomów dwa. Przez A. Tyszyńskiego. 518

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE, NAUKOWE, LITERACK. I ART. 176, 360, 541

Nekrologia. 180